PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK JEDENASTY. — TOM XLII.

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1894.

KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1894.

SĄDY LUDOWE NA LITWIE.

W ostatnich kilkunastu latach prądy demokratyczno-społeczne powoli zaczynają zyskiwać prawo obywatelstwa w życiu i piśmiennictwie; społeczeństwo zainteresowało się ludem i wogóle stanem klas pracujących. Zjawiły się cenne prace w tym kierunku; coś niecoś nawet zrobiono. Lud litewski pozostawiono jednak zupełnie na uboczu, chociaż odrębność warunków, w których się on rozwija, przedstawia sporo rysów i stron nader ciekawych a pouczających: niewielu zapewne wie, że tuż poza wschodnią granicą Królestwa istnieją sądy wyłącznie włościańskie, oparte na prawie zwyczajowem, a pozostające poza obrębem ogólnej organizacyi sądowej; niewielu wie, iż regulują one stosunki majątkowe milionów włościan w sprawach, wynikających z własności ukazowej i wzajemnych zobowiązań, tudzież w rozmaitych sprawach cywilnych i kryminalnych, rozumie się drobnych. Niniejszy artykuł zamierza wypełnić tę lukę, choć pobieżnie; być może, rzuci on niejakie światło, acz bardzo mdłe, na sprawę uspołecznienia ludu, a zagorzałym ludowcom (chłopomanom) wskaże, czem jest właściwie sąd chłopski nawet w kraju, którego więcej niż połowa umie czytać, a i cieszy się wcale znośnym dobrobytem materyalnym: mówię tu o gubernii kowieńskiej.

Wadliwość sądów włościańskich, antyspołeczny charakter „ludowej sprawiedliwości“, tak często obrażającej nasze poczucie słuszności i prawa, poniewieranie godności osobistej... wedle

naszych pojęć, ciasne ramki prawa zwyczajowego i t. d. i t. d., być może skłonią naszych ludowców, zapatrzonych w formułki wschodnie, do zastanowienia się nad kwestyą „sądów ludowych“, albowiem złe tkwi nie w organizacyi, lecz w nizkim poziomie uspołecznienia ludu. Rozumie się — wadliwość organizacyi potęguje to złe, ale go nie stwarza.

Masa ludności miejscowej już od dawna stała poza obrębem prawa publicznego: juryzdykcya patrymonialna panowała niepodzielnie a wszechwładnie. Prawodawstwo litewskie zakreślało jej granice szersze niż polskie; tak np. Statut (rozd. III, art. II, par. 2) dozwala panom sądzić sprawy gardłowe swych sług, chociażby pochodzenia szlacheckiego, z wyjątkiem spraw o utratę czci i z zachowaniem wolnej apelacyi do sądu głównego. Poddani w dobrach starościńskich i królewskich od wyroków sądów patrymonialnych mogli apelować do Asesoryi W. Ks. Litewskiego, ale przywilej ten nie przysługiwał poddanym w dobrach prywatnych i duchownych.

Juryzdykcya patrymonialna w sprawach ważnych wykonywała się zwykle z udziałem kilku szlachciców osiadłych, biegłych w prawie, a często i w obecności woźnego; nie gardzono torturami. Wyroki spełniał kat. Opierały się one na prawie pisanem i zwyczajowem, czego przestrzegała i Asesorya litewska, zwłaszcza w sprawach cywilnych. Pierwsze ograniczenie juryzdykcyi patrymonialnej nastąpiło w r. 1768, albowiem sejm, zatwierdzając całość praw i przywilejów szlacheckich, dodał: „*jus* jednak *vitae et necis* poddanego w ręku dziedzica być nie ma; lecz gdy poddany kryminał popełni, do sądu grodzkiego lub ziemskiego lub miejskiego w miastach większych oddany być powinien“. „Po upadku Rzeczypospolitej — mówi Krzysztopor — włościanin ostatek swobód utracił. Formalnie przypisany do ziemi, ogłoszony poddanym dziedzica, rzucony mu niejako na pastwę, znalazł się stokroć nędzniejszym niżeli za najgorszych czasów Rzeczypospolitej“ [1].

U schyłku XVIII. wieku, juryzdykcya patrymonialna zmie-

[1] „O urządzeniu stosunków rolniczych w Polsce“, 325.

niła swój charakter: staje się ona wyłącznie władzą policyjno-sądową, rozciągając się tylko do poddanych. Zakres jej był nader szeroki: pan mógł poddanego zesłać wraz z rodziną na Syberyę, przenieść do dóbr innych, zamknąć w domu poprawy, oddać do wojska, oraz bez ograniczenia karać cieleśnie, byle tylko skutkiem chłosty nie nastąpiło kalectwo lub śmierć. Można było skarżyć się na nadużycia juryzdykcyi patrymonialnej, skargi te przecież w wyjątkowych tylko razach wydawały skutek pożądany dla petentów; inaczej jednak działo się w guberniach zachodnich: tu rząd niekiedy hamował nadużycia dziedziców... ze względów politycznych. Prawa z r. 1842 i 1845[1] znowu nieco ograniczyły w teoryi juryzdykcyę patrymonialną, regulując prawo chłosty.

Tu należy zauważyć, że władza patrymonialna, którą w dobrach prywatnych sprawował dziedzic, w dobrach rządowych, zorganizowanych w gminy (włości), składające się z kilku gromad, należała do ogółu włościan, który wykonywał ją przez urzędy obieralne pod nadzorem rządu. Najniższą jednostką samorządną została gromada, której organami były: zebranie gromadzkie — do spraw ogólnych; zwierzchność wiejska — do administracyi, i sąd — do rozstrzygania różnych spraw drobnych. Zwierzchność wiejska składała się z sołtysa (starszyny), starostów, poborcy podatkowego i dozorcy magazynu zbożowego, sąd zaś — pod prezydencyą sołtysa — z dwóch radnych; wszystkich obierało na lat 3 zebranie gromadzkie, a rząd zatwierdzał.

Kilka takich gromad stanowiło gminę (włość), którą rządził „głowa włościański“ z dwoma asesorami; posiadała ona swoje zebranie gminne, złożone z gospodarzy, licząc po jednemu od 12 chat, oraz sąd, składający się z głowy i dwóch radnych; urzędników obierało zebranie gminne, a rząd zatwierdzał. Kancelaryami gromadzkiemi i gminnemi zawiadywali pisarze. Gromada miała prawo przesiedlać swych członków na Syberyę, tudzież oddawać do wojska ponad liczbę przepisaną; pozwolenia na mał-

[1] Drugie wyd. „Zbioru praw i kodeksu krym.“.

żeństwa udzielał zarząd gminny (w dobrach prywatnych — dziedzic). Słowem, pełnia władzy patrymonialnej należała do gminy.

Wspominam o tem, bo w r. 1861, znosząc poddaństwo, zachowano tę władzę, przelewając ją na gminy i gromady, ale z pewnemi ograniczeniami; tak np. włościanie w dobrach prywatnych uzyskali w roku 1861 prawo swobodnego ożenku lub zamężcia (w dobrach rządowych — w r. 1867), a oddawanie do wojska za karę znikło dopiero z początkiem r. 1874. Gromady atoli dotychczas zachowały prawo przesiedlania swych członków na Syberyę, z czego korzystają dość często: w powiecie telszewskim od r. 1880 do 1890 w ten sposób wysłano za Ural 165 osób płci obojej. Wiadomo też, iż gromady mogą nie przyjmować swych członków... po odbyciu przez nich kar poprawczych, co prowadzi zawsze do zesłania ich na Syberyę; jest to też pewna pozostałość władzy patrymonialnej. Słowem, teraźniejsze instytucye włościańskie, tak zbliżone do urządzeń gminnych i gromadzkich w byłych dobrach rządowych, są pozostałościami dawno minionej doby, acz nieco unowocześnionemi; mimo to jednak nie odpowiadają one warunkom współczesnym.

I.

Organizując w r. 1861 gminę włościańską, wzięto za wzór organizacyę gminną istniejącą u włościan wielkorosyjskich; uproszczono ją nieco, pozbawiając cech biurokratycznych. Zarząd gromady powierzono staroście, znosząc kolegialność, gminy zaś — starszynie (wójtowi). Sądownictwo oddzielono od administracyi, znosząc jednocześnie sąd gromadzki; przeto pozostała jedna instancya, a mianowicie sąd gminny, wyroki którego są ostateczne. Dozór poruczono komisarzom do spraw włościańskich — bezpośrednio, a pośrednio — ich Zjazdom pod prezydencyą powiatowego marszałka szlachty, oraz gubernialnym urzędom do spraw włościańskich; najwyższą instancyą pozostał dla tych spraw drugi Departament rządzącego senatu.

Corocznie zebranie gminne, złożone z gospodarzy, wybieranych po jednemu z 10 dymów, obiera od 4 do 12 sędziów gminnych (urzędnicy gminni nie mogą być obierani); komplet

wymagany składa się z trzech osób. Sędziowie albo urzędują cały rok, albo też zmieniają się w kolei, wyznaczonej przez zebranie gminne, które może im naznaczyć płacę. Sąd gminny przewodniczącego nie posiada; zwołuje go starszyna. Sprawy rozstrzygają się słownie, wyroki jednak lub ugody polubowne zapisują się do księgi; protokóły sporządza pisarz gminny lub jego pomocnik.

Kompetencya sądu gminnego w sprawach cywilnych nie przenosi 100 rub.; podlegają mu też drobne sprawy karne, nie wyłączając kradzieży, oszustwa i fałszerstwa na sumę do 30 rub., jeśli były spełnione w obrębie gminy. Sąd gminny może działać w charakterze sądu polubownego; jego władza rozciąga się tylko do osób stanu włościańskiego i ich nieruchomości, wyjętych z pod prawa pospolitego (własność ukazowa), przeto żadna sprawa, do której zamieszane są osoby innych stanów, nie podlega kompetencyi tych sądów; wolno atoli każdemu zapozywać do nich włościan; nie mogą też one rozstrzygać sporów o nieruchomości, podlegające prawu pospolitemu (tj. pierwszej części X. t. Zbioru praw). Sąd gminny może skazywać winnych na roboty publiczne do 6 dni i grzywny do 3 rub., oraz na areszt do 7 dni lub chłostę do 20 rózg, od której wolni są: kobiety, starcy 60-letni, urzędnicy gromadzcy i gminni, kuratorowie szkół ludowych, radni ziemstw (stosuje się to i do byłych a nieposzlakowanych urzędników włościańskich), osoby, które ukończyły szkoły, nie niższe od powiatowych, oraz byli żołnierze, nie zaliczeni w czasie służby w wojsku w poczet karanych; te ograniczenia przekraczane bywają bardzo często.

Sądy gminne wyrokują w sprawach cywilnych wyłącznie na zasadzie prawa zwyczajowego, a w kryminalnych mogą posługiwać się artykułami 440 do 536 „Ustawy o porządku w dobrach skarbowych“, wydanej za czasów Kisielewa, ale niekiedy odwołują się one nawet do wyroków kasacyjnych Departamentów senatu; wogóle odwołanie się do prawa pisanego zawsze zawdzięczać należy pisarzowi.

Tu zauważę, że artykuły 93—110 „Ogólnej ustawy włościańskiej“, urządzające instytucyę sądów gminnych, nie są dość

jasne i treściwe, a przytem źle zredagowane. Ogólnych zasad, określających istotę praw i obowiązków sądów gminnych w stosunku do osób w procesie i odwrotnie, prawo nigdzie nie wskazuje, a praktyka nie wyrobiła. To samo da się powiedzieć o teoryi dowodów i przewodzie sądowym. Wadliwość dzisiejszego stanu rzeczy widoczniejszą się okaże, jeśli zważymy, że protokóły sądowe sporządzane są przez pisarzy gminnych lub przez ich pomocników, zwykle mało piśmiennych, oraz że sędziowie często bywają zmieniani, co utrudnia praktyczne obeznanie się z prawami, obowiązkami, celami i zadaniami sądów gminnych. Wypada też podkreślić, że sędziowie zwykle nie znają języka urzędowego, w którym sporządzają się protokóły i wyroki, a pisarz albo nic nie umie po litewsku, albo niewiele, co stanowczo wyklucza możność skontrolowania prawidłowości protokółów i wyroków. Ta okoliczność podaje sąd w zupełną zależność od kancelaryi urzędu gminnego, bo własnej on nie posiada. Na wyroki sądów gminnych wpływają poglądy administracyi włościańskiej i zamożnych gospodarzy; niekiedy zależą one od wpływów procesujących się stron. Nieraz odgrywa w tem pewną rolę i karczmarz, u którego sąd przed posiedzeniem pokrzepia się kosztem stron, co się dzieje bardzo często. Ugaszczanie sędziów, to rzecz zwykła: „ten ma słuszność — mówią z goryczą chłopi — czyja butelka jest większa". Wogóle stronność sądów gminnych wielokrotnie stwierdzono oficyalnie; w sprawach pomiędzy bogatymi a biednymi przechylają się one często na stronę pierwszych. O ich sprzedajności, nadużyciach i przekroczeniach władzy krążą całe legendy, o słuszności których czytelnik przekona się potem.

Pomimo jednak tego chaosu i zamieszania, wyroki sądów gminnych są ostateczne i apelacyi nie ulegają; można podawać na nie skargi kasacyjne, do Zjazdu komisarzy do spraw włościańskich, w terminie miesięcznym,— podstaw atoli kasacyi niema, bo prawo nie nakazuje żadnego przewodu sądowego. Wprawdzie w swych instrukcyach i okólnikach urzędy do spraw włościańskich wskazują pewne prawidła postępowania materyalnego i procesualnego, ale stałego znaczenia prawnego nie mają one, bo są

kazuistyczne i zmienne; zresztą często bywa, że to co jest prawdą w powiecie kowieńskim, nie uznaje się za nią w wiłkomierskim.

Za wyborną ilustracyę służyć może przykład, o którym mówi p. Friedman[1]: dwaj bracia prawowali się o 30—40 dzies. gruntu, który otrzymali w spadku po ojcu a władali nim wspólnie; jeden z nich wytoczył drugiemu sprawę w formie powództwa na 90 rub. o jakąś dzierżawę, i sąd gminny przyznał mu prawo własności do połowy brata, jakowy nagrodzenie. Wyrok ten wykonano.

Często spory o wielkie sumy sztucznie są dzielone na powództwa małe, by je sąd gminny mógł rozstrzygać; robią to zwykle bogaci a wpływowi chłopi. Biedni natomiast zawsze starają się uniknąć sądów gminnych: w tym celu sztucznie zwiększają wysokość powództwa lub zmieniają treść oskarżenia, by tylko sprawa dostała się do sądów pokoju lub ogólnych, pomimo nieznajomości języka urzędowego, opłat sądowych i rozmaitych kosztów, formalizmu i t. d.

Konieczność zanoszenia skarg kasacyjnych stwarza nowe zle — otwiera szerokie pole działalności pokątnym doradcom i pieniaczom, wyszłym zwykle z ludu; urzędowy „Pamiętnik gub. kowieńskiej na r. 1892“ tak mówi o nich: „Ucywilizowawszy się po opuszczeniu szkoły w ciągu 2—3 lat w różnych kancelaryach, nabyli już oni zielone książeczki z brzegiem różnokolorowym (czasami treść ich umieją na pamięć), i wnoszą w zacisze wiejskie zarazę pieniaczą, rozpalają namiętność do procesowania się, waśnią, godzą, oskarżają, bronią, apelują“... (str. 126). Wogóle skargi kasacyjne mało mają powodzenia, chociaż na tem cierpi poczucie prawa i słuszności... Podstawa działalności sądów gminnych — prawo zwyczajowe, nie jest czemś stałem, określonem, owszem, podlega ono tysiącznym wpływom, krzyżującym się wzajemnie; oddziaływają na nie i pojęcia prawno-społeczne klas wyższych, zwłaszcza licznej braci szaraczkowej,

[1] Prawne poglądy i zwyczaje włościan północno-zachodniego kraju, a zwłaszcza gub. kowieńskiej. Wilno 1890 r. (po rosyjsku), str. 171.

która dla włościan zamożnych jest wzorem [1], i prawodawstwo współczesne wraz z praktyką sądową; nie można też odrzucać znaczenia innych czynników kulturalno-cywilizacyjnych. Z konieczności wsiąkają w prawo zwyczajowe inne pojęcia prawne, bo całości stosunków dzisiejszych nie obejmuje ono, czego udowadniać chyba nie trzeba.

Najbardziej stosunkowo rozwinęło się prawo familijne, ale tu zachodzi najwięcej sprzeczności z obowiązującem prawem cywilnem; np. wedle pierwszego — mienie ruchome małżonków jest wspólnem, wedle drugiego — nie, i t. d. Takie sprzeczności spotykamy dość często; niemało przyczyniają się one do gmatwania stosunków cywilnych i pojęć prawnych. Ale ta sprzeczność najdobitniej występuje w sferze odpowiedzialności: wedle prawa zwyczajowego starsi wogóle odpowiadają za młodszych, rodzice za dzieci, chociażby dorosłe, a w szczególności ojciec za syna, matka za córkę... nietylko cywilnie ale i kryminalnie.

Współczesne pojęcia o godności osobistej, przesiąkają powoli w masy ludowe, dotąd jednak nie zdołały wyrugować chłosty. Sądy szafują nią szczodrze: od r. 1882—1886, w powiecie poniewieżskim, zapadło 366 wyroków, skazujących na chłostę. W poczcie skazanych były kobiety i dziewczęta. To samo dzieje się i w powiatach innych: w kowieńskim prawie $^1/_4$ część spraw kryminalnych kończy się chłostą. Dawniej było gorzej.

II.

Zacznę od spraw, toczących się na tle prawa familijnego, a mianowicie od związków rodzinnych. *Małżeństwo wogóle — to* zwykła niemal umowa, w której interesa gospodarcze biorą stanowczą przewagę nad innemi; skłonność serdeczna gra rolę bardzo podrzędną, natomiast zaś różnice narodowościowe i religijne posiadają znaczenie nader poważne [2]. Przymus rodzicielski spotyka się bardzo rzadko, co tłumaczy się dojrzałym wiekiem wstępujących w związki małżeńskie, oraz ich małą ilością, uwa-

[1] Friedman, 3.
[2] Friedman, 5, 6.

runkowaną całym szeregiem przyczyn społeczno-ekonomicznych [1]. Często natomiast rodzice zabraniają synom, zwłaszcza młodszym, żenić się; prawo to usiłują rozszerzyć i rozciągnąć do blizkich krewnych lub powinowatych, byle starszych wiekiem. Sądy żądania te uznają wogóle za słuszne. Tak np. przed sądem gm. w Rogowie, Jerzy Krawczunas oskarża swoją bratowę, wdowę dzietną, o zamiar zamężcia; pobudka skargi, to obawa zatargów, mogących powstać na tle wspólnego władania ziemią. Powód żąda, by sąd zakazał jej wyjścia zamąż, lub nakazał ustąpić grunt w razie zamężcia; sąd przychylił się do tego żądania, ale otrzymał „nieprzyzwoitą odpowiedź", za którą kazał kobietę posadzić na siedm dni do kozy (wyrok 91, z r. 1882).

Małżeństwo zawsze poprzedza pozwolenie rodziców, lub — w braku ich — starszych krewnych, albo opiekunów; ożenienie się syna wbrew woli ojca, chociaż zdarza się bardzo rzadko, pociąga zwykle smutne następstwa: taki syn nieposłuszny — *kumpinikas* po litewsku — traci swój udział w mieniu rodowem... wedle zwyczaju; do niedawna zaś oddawano go do wojska. Błogosławieństwo rodziców lub osób ich zastępujących, uważa się za wielce ważne. Umowa przedślubna, zlewająca się w jedno z zaręczynami *(zaruczinos)*, lub oględzinami *(surejmas, pragertures)*, zawsze bywa pilnie przestrzeganą; niedotrzymanie jej prowadzi niezwłocznie do zwrotu strat i kosztów, nietylko bezpośrednich, ale i p o ś r e d n i c h [2]. Jest to zwyczaj powszechny, niezupełnie zaniechany nawet w klasach wyższych [3]. W sądach gminnych podobne sprawy toczą się bardzo często; dla przykładu przytaczam parę.

Niejaki Darczunas p i ś m i e n n i e zobowiązał się poślubić pannę G., ale zobowiązania nie dotrzymał. Wywiązała się sprawa. Powód, G., zażądał 37 rubli zwrotu szkód, albowiem wydał na

[1] Na 1000 m. wypada przecięciowo 7.28 ślubów; średni wiek zamężcia wynosi około 23½ lat, ożenku zaś — 29.

[2] Friedman, 12, 16, 17.

[3] W r. 1890 pewien prowizor zapozwał do sądów pokoju pow. poniewieżskiego, córkę właściciela ziemskiego, żądając 250 rubli wynagrodzenia za odmowę ręki, uprzednio przyrzeczonej; dano mu 50 rs. „odczepnego".

kupno trunków 17 rs., cukru 4 rs. i mięsa 6 rs.; dał też swatce 10 rubli; przysądzono 22 rs. [1]. Wynagrodzenie przysądza się niezależnie od przyczyn, które wywołały zerwanie.—Umowę zawarto; narzeczony otrzymał nawet od swego przyszłego teścia 30 rs., jako zaliczkę posagową, ale tu zaszła okoliczność, o której protokół sądowy tak się wyraża: „swat, przyjechawszy z narzeczonym, spytał: czy narzeczona nie jest gniewliwą? Na co narzeczony, Budriunas, odparł, że ‚żony gniewliwej nie obawia się, bo ją trzeba należycie oćwiczyć rózgami i postawić na swojem'". Usłyszawszy to, narzeczona odmówiła swej ręki; jej ojciec zażądał zwrotu 30 rs., ale zasądzono 20 rs., bo 10 rs. Budriunas wydał „na traktament" [2]. — Tenże sąd rozstrzygał sprawę następną: bogaty wieśniak dawał „za córką" 700 rs. posagu. Narzeczony znalazł się; stanęła umowa; naznaczono nawet dzień ślubu... Atoli narzeczony zażądał wypłaty posagu przed ślubem, ojciec nie zgodził się i małżeństwo się rozchwiało. Narzeczony zażądał 92 rs., jako zwrotu szkód, które mu też przysądzono [3].

Czasami sądy oprócz wynagrodzenia strat i kosztów, wynikłych z zerwania umowy przedślubnej, skazują na grzywny... za niesłowność. Tak np. postąpił sąd rogowski. Niejaki Adam Bałtuszewicz zapozwał pannę D., która, zaprosiwszy go do swego domu, ofiarowała mu swą rękę wraz z całem gospodarstwem. Powód przeniósł się do swej lubej, ofiarował jej siana i słomy za 12 rs., na „uraczenie" wydał 15 rs. i na koszta podróżne 1 rs. 50 kop.; po dziesięciu atoli dniach luby został wypędzony, przeto żąda on nietylko wynagrodzenia za szkody, ale i kary, „ponieważ potem nie zgodziła się ona przyjąć go za męża".

— Co powiesz na swoje usprawiedliwienie?

— Nie podobał się.

Sąd [4] kazał zapłacić 18 rs. wynagrodzenia szkód, a 17 rs. jako grzywny „za oszukaństwo w niedotrzymaniu słowa w sprawie ślubu".

[1] Sąd gm. remigolski, 1883, nr. 5.
[2] Sąd gm. gulbiński, 1885 r., nr. 6.
[3] Wyrok nr. 6, r. 1885.
[4] Wyr. nr. 21, r. 1877.

Niekiedy uwzględniają się nawet okoliczności moralne, np. obrażoną miłość własną, lecz tylko w tym celu, by uzyskać większe wynagrodzenie. Józef M. p i ś m i e n n i e zobowiązał się poślubić córkę Staljonisa; w umowie, zaświadczonej w urzędzie gm., było powiedziane, „żeby w stosunki małżeńskie nikt nie miał prawa wtrącać się, a związek ślubu legalnego był odłożony na rok". Nie minął ten termin, gdy Adam M. — w imieniu brata Józefa — oskarżył Staljonisa o złamanie umowy; w podaniu — po wyliczeniu strat i kosztów — pisał: „oprócz tego stracił sposobność wyswatać drugą, a nawet pozostał w p r z y k r e m położeniu". Staljonis zgadza się na ślub swej córki, ta jednak ani chce o tem słyszeć i rzuca w twarz byłemu narzeczonemu — na sądzie — chustę czerwoną, jego podarek... Ojciec chce zapłacić 6 rs. wynagrodzenia, ale sąd, zważywszy, „że oprócz wydatków narzeczony doznał wstydu wobec towarzyszów i stracił czas", zasądził 55 rs. [1].

Nawet za zbytnią zalotność trzeba niekiedy płacić wynagrodzenie sowite; tak niejaki Antoni M. oskarżył pewną wdowę, do której zalecał się bezskutecznie siedm tygodni, żądając 44 rs. wynagrodzenia. Świadkowie zeznali, iż pozwana łudziła go, udając miłość, zresztą sama przyznała, że mu rzeczywiście nie zabraniała zalecać się, ale o zamęźciu ani myślała, za co zapłaciła 32 rs. [2]. Sprawy podobne można spotykać od czasu do czasu.

Liczne są też procesy o posagi, które wnoszą obie strony; w wyrokach sądów gm. mienie, wniesione przez narzeczonego do przyszłego gospodarstwa, oznacza się zwykle terminem „posag" *(posagos)*, którego część nawet w spólnotach rodzinnych stanowi zawsze własność osobistą *(peculium)*. Jeśli poślubia się dziewczynę lub wdowę dzietną i obejmuje się ich gospodarstwo, to posag mężczyzny wynosi 100—800 rs., oprócz statków gospodarskich i kilkudziesięciu purów zboża; umowy posagowe zawierają się słownie, rejentalne lub piśmienne stanowią wyjątek. Zięć przyjęty w dom teścia, lub mąż w dom żony, zowią się

[1] Sąd gm. wieprzowski, 1880 r.
[2] Sąd gm. remigolski, 1886 r., nr. 9.

„nadomnikami“, po litewsku *uszkurisami*, od wyrazu *uszkurt*, „opalać“, a w znaczeniu przenośnem „zbogacać“. Posagi męża i żony stanowią wspólną własność małżonków; wprawdzie dziś zaczyna wyrabiać się pojęcie o oddzielnej osobistej własności każdego z małżonków, ale sądy gm. stanowczo je odrzucają, gdy natomiast sądy państwowe tej wspólności nie uznają [1]. Wedle prawa zwyczajowego, posag — to pewna też część mienia rodowego, do którego ma niezaprzeczone prawo dziewczyna, wychodząc zamąż, przeto można go poszukiwać sądownie. I rzeczywiście sądy nie odmawiają swej pomocy: sprawy o to zdarzają się dość często. Córka żąda, by matka dała jej posag obiecany, a mianowicie: 10 aktejnów ziemniaków i 6 żyta [2], oraz lnu za 4 rs., dwa stoły i mieszkanie w komórce; sąd gm. sałantowski [3] żądanie to uznał za słuszne. Ojciec wypędził córkę, jakoby za „nierząd“; ta, opuszczając chatę rodzicielską, zabrała pieniądze i rzeczy; sąd gm. w Surwieliszkach od zarzutu kradzieży ją uwolnił, część rzeczy kazał zwrócić, a pozostałe wraz z pieniędzmi d a r o w a ł jako posag [4]. Córka z mężem żądają 93 rs. niedodanego posagu; sąd gm. aleksandrowski przychyla się do tego żądania [5].

Posagu można domagać się nietylko od rodziców, ale i od krewnych lub powinowatych. Siostra swej rodzonej dała 4 rs.; ta zażądała konia, dwie krowy, dwie świnie i owcę; przysądzono 40 rs. [6]. W Jaswojniach sąd gm. kazał bratu wypłacić siostrze 100 rs. posagu [7]; inny znowu [8] uznał za słuszne, by dziewierz (szwagier) wypłacił 50 rs. W razie bezpotomnego zejścia żony, posag zwraca się jej krewnym, z wyjątkiem pościeli — w wielu miejscach przynajmniej; jeśli jednak nieboszczka żyła z mężem

[1] Friedman, 12, 21.

[2] Aktejn = 28 garncy. Miary uprzednie zachowały się: łokieć, kwarta, garniec i pur (dla zboża = 24 garnce) są w użyciu powszechnem.

[3] Wyr. nr. 57, r. 1887.

[4] 1873 r., nr. 45.

[5] Wyr. nr. 36, r. 1888.

[6] Sąd gm. krocki, 1880 r., nr. 4.

[7] 1888 r., nr. 73.

[8] Jeleonorowski 1889 r., nr. 5.

lat kilkanaście, ruchomości zabiera mąż. Gdy mąż umiera bezpotomnie, mienie zwraca się krewnym, ruchomości zaś pozostawiają wdowie; oprócz tego zasądza się jej od krewnych męża zwykle alimenta w produktach i gotówce [1].

Wyroki stwierdzają to stanowczo. Tak niejaki Kodis żąda od Runkiasa, swego szwagra, zwrotu 56 rs., które on dał w posagu za swą siostrą, zmarłą Runkiasową. Pozwany udowodnił, że 40 rs. wydał na leczenie nieboszczki, przeto zapłacił tylko 15 rs. [2]. Tak zwany posag uszkurisa, winien być zwrócony, jeśli porzuca on dom swej żony. Po śmierci córki teść wypędził zięcia; wypędzony żąda zwrotu dwóch kół okutych, owcy, dwóch koni i dwóch gęsi; sąd gm. krocki wyrokiem [3] zasądził tę pretensyę; w podobnym wypadku tenże sąd kazał zapłacić nadomnikowi 100 rs. [4].

Sprawy o waśnie i kłótnie małżeńskie rzadko kiedy dochodzą do sądów gm.; w kwestyach, dotyczących strony moralnej, lud zwraca się do powagi duchowieństwa. W razie rozłączenia się małżonków — zdarza się to już dość często — córki pozostają przy matce, synowie przy ojcu; żony zawsze zachowują prawo do alimentów [5]. W razach wyjątkowych sądy nakazują rozłączenie się (separacyę) małżonków; tak sąd gm. bernatowski podzielił rodzinę na dwa gospodarstwa, wyznaczył żonie trzech opiekunów, a męża uprzedził, by siedział cicho, bo inaczej gromada ześle go do Syberyi [6]. W wypadku analogicznym sąd puszołacki wyznaczył żonie opiekunów [7]. Wogóle jednak złamanie umowy małżeńskiej, zwłaszcza ślubowanej wiary, chociaż uważa się za ciężką obrazę, karaną kryminalnie, dopuszcza, przynajmniej w zasadzie, wynagrodzenie pieniędzmi.

Wzajemne stosunki rodziców i dzieci dostarczają sądom obfitego materyału. Znaną jest dobrze surowość litewskich stosunków rodzinnych; wśród ludu *patria potestas* zachowała dotychczas swe znaczenie, ale utrzymuje się tylko dopóty, dopóki

[1] Friedman, 22.
[2] Sąd gm. remigolski, 1883 r., nr. 7.
[3] 1880 r., nr. 4. [4] 1885 r., nr. 41.
[5] Friedman, 26. [6] 1876 r., nr. 2. [7] 1886 r., nr. 30.

głowa rodziny zachowuje pełnię sił umysłowych i fizycznych: wraz z ich upadkiem upada i ona. Zasada: *hodie mihi, cras tibi*, wstępuje w swoje prawa! Tego poszanowania dla wieku podeszłego, tak zwykłego u Słowian, lud litewski nie zna; ta okoliczność — być może — tłumaczy się jako pozostałość zwyczaju skracania życia starcom, o którym mówią dziejopisowie i podania ludowe. Wszakże zaznaczyć należy, iż despotyzm rodzicielski słabnie, lekceważenie zaś rodziców i wogóle starszych krewnych wzrasta; gdy sądy gminne są zawalone skargami rodziców na dzieci, to odwrotnie, skargi dzieci na rodziców stanowią wyjątek. Przytaczam jednak te wyjątki... dla pełności obrazu, nim wskażę odwrotną stronę medalu.

Ojciec wypędził z chaty syna żonatego; sąd gm. w Ejragole nakazuje go przyjąć, ale wyrok ten [1] nie został wykonany. Świekier nie mógł pogodzić się z synową, przeto wypędził ją wraz z mężem „na suche lasy i na cztery wiatry"; sąd gm. w Średnikach każe przyjąć wypędzonych: ojciec przyjmuje syna, ale o synowej ani chce słyszeć, woląc jej wypłacać 3 rs. tygodniowo, na co nastąpiła zgoda [2]. Syn, wypędzony z chaty ojcowskiej przez matkę wdowę, uprowadza konia, za co zostaje zaskarżony do sądu wielońskiego, który nakazał zwrócić powódce (matce) jego wartość [3]. Ale już sąd gm. kiejdański nakazał ojca, wskutek skargi dzieci, „osadzić na kącie" [4]. „Sprowadzenie rodzica na kąt", lub „osadzenie na kącie", zawsze oznacza usunięcie od gospodarstwa; dobrowolnie dzieje się to rzadko, najczęściej zaś — wskutek przymusu dzieci, niekiedy wyroków sądów gm., lub uchwał gromadzkich, zawsze atoli wywołanych przez zainteresowane potomstwo. Prawo zwyczajowe zna od wieków „osadzanie na kącie", a nawet przewiduje wypadki, w których winno to nastąpić np. w razie zawarcia przez ojca powtórnego małżeństwa, gdy z pierwszego pozostały dzieci dorosłe. Ojcu osadzonemu na kącie, budują dzieci chatkę „na kurzych nożkach", często przerabianą z chlewka,

[1] 1890 r., nr. 54. [2] 1889 r., nr. 27.
[3] 1889 r., nr. 1. [4] 1873 r., nr. 14.

dają kawałek ogrodu, niejakie statki gospodarskie i wypraszają z chaty... „Tak niedawny gospodarz, samodzielny rządca wielkiego gospodarstwa, groźny głowa rodziny, której przyszłość była w jego ręku, staje się kątnikiem i bez szemrania wlecze smutny żywot, odrabiając przytem dzieciom po kilka dni tygodniowo, lub płacąc gotówką... za chatkę i ogród, tj. za prawo odgrywania w pogardzie i ubóstwie roli starego wilka z bajki litewskiej i wyczekiwania śmierci. Ale za to przedtem ojciec poniewierał dziećmi, trzymał je w karbach żelaznych, jakby pragnąc dostatecznie nacieszyć się swoją powagą jako pan domu i głowa rodziny, przewidując ciężki swój los na starość“ — mówi p. Gukowski [1]. Oto jakie znaczenie miał wyrok sądu gm. w Kiejdanach.

Rzecz oczywista, że na tle stosunków podobnych, o szacunku należnym rodzicom leciwym, mowy chyba być nie może: „znieważanie rodziców zdarza się bardzo często“ — pisze p. Friedman [2], dodając jednak, „że skargi pokrzywdzonych i znieważonych są nieliczne w porównaniu z ilością krzywd lub zniewag“. Innemi słowy: rodzice rzadko skarżą się, a jednak sądy gminne są zawalone ich skargami na dzieci za złe obejście się! Dochodzi do tego, że sądy, wcale nie grzeszące zbytkiem humanizmu, z własnej inicyatywy występują w obronie rodziców lub starszych krewnych. Tak w gminie gulbińskiej dzieci ciężko skrzywdziły matkę-staruszkę; sąd kazał ocwiczyć „porządnie“ syna i córkę [3]. Niejaki Sztaras zamyka matkę do chlewka razem z nierogacizną, za co sąd gm. w Towianach pakuje go na 7 dni do kozy [4]. Dzieci biją i krzywdzą matkę; wyrok — koza i rózgi [5]. Za uderzenie w twarz ojca — rózgi [6]; za zniewagę czynną stryja — podobnież [7]; za zwymyślanie babki bardzo obelżywe — koza i rózgi [8]. Matka rwała pokrzywę w ogrodzie synowskim...

[1] „Pamiętnik gub. kow. na r. 1887“, str. 352—3.
[2] Str. 32, 33. [3] 1885 r., nr. 43. [4] 1876 r., nr. 56.
[5] Sąd gm. traszkuński, 1889, nr. 33.
[6] Sąd gm. pompiański, 1886, nr. 5.
[7] Sąd gm. gulbiński, 1885, nr. 43.
[8] Sąd gm. subocki, 1887, nr. 68.

bez pozwolenia; syn za to ją obił, a nawet skaleczył; sąd gm. w Janowie uznał się niekompetentnym i skargę przesłał do prokuratoryi [1].

Złemu obchodzeniu się z rodzicami nie zapobiega t. zw. „wyderek", tj. ściśle oznaczona ilość produktów rozmaitych, oraz gotowizny, które dzieci muszą złożyć na rzecz rodziców, lub wogóle tych, którzy zrzekli się swoich gruntów na ich korzyść. Umowy podobne zawsze zawierane są w urzędach gminnych. W razie skargi rodziców, sądy zawsze skazują dzieci na wydawanie wyderku, którego wysokość, rozumie się, zależy od rozmaitych okoliczności, ale zasada równego podziału pomiędzy synów, a niekiedy i córki, przestrzega się bardzo pilnie. — Przytaczam kilka przykładów. Syn krzywdzi matkę, bo ta nie może zgodzić się z synową. Sąd postanawia, by syn dał matce osobne mieszkanie i krowę, a na utrzymanie dawał corocznie po 6 purów żyta i ziemniaków, 5 purów jęczmienia, 16 garncy bobu, $1^1/_2$ pura grochu, po pudzie lnu i soli, oraz owcę, trzy gęsi i wieprzka [2]. Matka skarży się, że synowie „nie chcą jej żywić"; sąd gm. w Rozalinie na jej utrzymanie wyznacza po 6 purów żyta i jęczmienia, a na okrasę 12 rs. [3]. Syn wypędził ojca, 70-letniego starca; sąd kazał dać mu dojną krowę, oraz dawać corocznie po 3 pury żyta, jęczmienia i owsa, pur grochu i wieprzka [4]. W gminie subockiej córka tak biła i głodziła starego ojca, że aż biedny uciekł się do opieki władzy; sąd nakazał córce w ciągu lat 5 dawać na życie ojcu po trzy pury żyta i jęczmienia, oraz 5 purów ziemniaków [5]. Stryj ustąpił swój grunt — 20 dzies. — bratankowi, ale ojciec wystąpił z powództwem przeciwko synowi, żądając zwrotu ziemi. Okazało się, że bratanek tak utrzymywał przestarzałe stryjostwo: dał izbę oświetlaną i opalaną, krowę i owcę, a oprócz tego dawał po pięć purów żyta i jęczmienia, $3^1/_2$ pura owsa, sztukę lnu, prosiaka, 5 rs. i konia na wyjazd do

[1] 1885 r., nr. 39.
[2] Sąd gm. gulbiński, 1885, nr. 23.
[3] 1885 r., nr. 47.
[4] Sąd gm. puszołacki, 1886, nr. 7.
[5] 1887 r., nr. 39.

kościoła; dla nich sadzi on 3 pury ziemniaków i wysiewa kwartę nasienia buraków; mają też staruszkowie w ogrodzie swoją jabłoń i śliwę, a w banku na ich „pochowek uczciwy“ złożono 100 rs. [1].

Ale i wyderek formalny nie zawsze zabezpiecza spokojną starość. Matka skarży się, że syn „nie pozwala jej doić krowy, zabrał kocioł i szafę, oraz nie wydaje 4 purów pszenicy, należących do wyderku“; sąd sałantowski powództwo uznał za słuszne [2]. Przed sądem bernatowskim staje 70-letnia staruszka i oświadcza, że zięć „bije ją, pozostawiając bez drew w chłodzie i głodzie“, chociaż w posagu dała ona córce 10 dz. gruntu; świadkowie zeznali, iż zięć zobowiązał się dać wyderek następny: po $1^1/_2$ pura żyta i jęczmienia, pur owsa, 7 garncy pszenicy, po 2 garnce bobu, grochu i siemienia konopnego, dać kawałek ogrodu, tudzież karmić krowę i owcę. Sąd nakazał zięciowi umowę spełnić, a za „surowe i niegrzeczne postępowanie z teściową“ kazał go oćwiczyć [3]. Spraw wyderkowych toczy się dużo.

Ta surowość litewskich stosunków rodzinnych, o której wspomniałem, występuje bardzo dobitnie w stosunkach dalszych krewnych i powinowatych, zawsze atoli w połączeniu z materyalizmem pierwotnym i brudnem sobkostwem. Można śmiało twierdzić, że bodaj ani jeden ojczym, ani jedna macocha nie może zabezpieczyć inaczej swych praw majątkowych, jeno tylko drogą sądową. „Stosunki między ojczymem lub macochą z jednej strony, a pasierbem lub pasierbicą z drugiej, z nader rzadkiemi wyjątkami, są zawsze złe“, mówi p. Friedman [4]; to też bardzo często na ich tle powstają rozmaite sprawy. Ojczym skarży się, iż pasierb bije go, krzywdzi i wypędza z chaty, przeto żąda wynagrodzenia za dwudziestoletni zarząd jego mieniem; sąd gm. w Suboczu nakazał zapłacić powodowi 100 rs., oraz dać dwie krowy, kozę i wieprza [5]. Najczęściej atoli są krzywdzone macochy, względem których zwykłe uprzedzenia podzie-

[1] Sąd gm. bernatowski, 1876, nr. 24.
[2] 1887 r., nr. 19. [3] 1876 r., nr. 24.
[4] Str. 82. [5] 1890 r., nr. 3.

lają nawet sądy, występujące w ich obronie tylko w wypadkach nadzwyczajnych; tak za obicie macochy sąd gm. w Worniach kazał oćwiczyć pasierba[1]. Za wypędzenie macochy z dziećmi i morzenie głodem — 25 rs. wynagrodzenia macosze, ale z warunkiem zrzeczenia się wszelkich pretensyj[2]; analogicznie wyrokował sąd gm. w Kupiszkach[3]. Zdarza się jednak gorzej. Pewien pasierb rozwalił chatkę, w której mieszkała jego stara macocha; sąd gm. w Towianach kazał dać jej na mieszkanie chlew, wartości 26 rs., a na utrzymanie dawać rocznie pur żyta i na sól 50 kop., tudzież sadzić pur ziemniaków[4].

Stosunki wzajemne braci i sióstr często też dają powód do rozmaitych spraw; prawa cywilne sióstr muszą zwykle zabezpieczać sądy, zwłaszcza stosuje się to do spraw posagowych, o których już pisałem. W stosunkach braterskich walczą dwie zasady: stara, nakazująca czcić brata starszego jak ojca, oraz nowsza, uznająca równość braci. Sądy przechylają się to na tę, to na ową stronę, ale wogóle zasada stara bodaj jeszcze przeważa, często też bracia młodsi skarżą starszych. Przytaczam wypadek typowy. Niejaki Jakimas zanosi skargę na brata starszego; na sądzie wyjaśnia się, że powód służy siedm lat bratu, nie otrzymując za tę służbę nawet odzieży, oraz, „że mu brat nie pozwala ożenić się i wypędza z chaty, chociaż on służył zań w wojsku". Sąd gm. kupiski nakazał zapłacić 70 rs. wynagrodzenia, tudzież zobowiązał nie wypędzać powoda z chaty i nie przeszkadzać mu w żeniaczce[5]. Często też zdarza się, że bracia, korzystając z nieobecności jednego z pośród siebie, usiłują go skrzywdzić, zwłaszcza stosuje się to do byłych żołnierzy, zwykle pogardzanych przez lud[6]. Jeśli żołnierz, wróciwszy z wojska, zastanie ojca żywym, to go rodzina przyjmuje do swego grona; „ale biada, — mówi p. Friedman — jeśli ojciec zmarł, lub wskutek starości albo innych przyczyn nie rozporządza już gruntem nadanym, a rozporządza nim brat starszy lub inny. Spotykają

[1] 1880 r., nr. 71.
[2] Sąd gm. subocki, 1890, nr. 41.
[3] 1878 r., nr. 3. [4] 1890 r., nr. 29.
[5] 1878 r., nr. 13. [6] Friedman, str. 43—45.

go nieprzyjaźnie i dobrowolnie do wspólnego władania gruntem nie dopuszczają. Do wspólnego użytkowania z gospodarstwa dopuszczany on jest na mocy wyroków sądów ogólnych. Jeśli nie posiada gotówki na prowadzenie sprawy, to tę okoliczność silnie wyzyskują bracia pozostali: zawierają z nim umowę, spłacając go drobną sumką, lub wydzielając mały kawałek gruntu“ [1]. O sporach majątkowych między braćmi będzie jeszcze mowa w ustępie o działach, bo na ich tle przeważnie one powstają; teraz zaś poświęcę parę słów opiece.

Wogóle prawo zwyczajowe zna tylko opiekę rodową nad nieruchomościami i osobami sierot chłopów rolnych; żadnych zasad, ogólnie uznawanych, niema: wszystko zależy od okoliczności, oraz „widzimisię“ wójta lub zebrania gromadzkiego. Opieka naznacza się tylko w razie żądania krewnych; kontroli nad opiekunami niema, bo zebrania gminne lub gromadzkie wtrącają się w te sprawy tylko w razie skarg lub rozkazu komisarza do spraw włościańskich. Nad sierotami chłopów bezrolnych i ich mieniem opieka nie ustanawia się. Opiekunowie dzielą się na opiekunów-administratorów i opiekunów-dozorców; ci ostatni zawsze zatwierdzają rozporządzenia pierwszych; wynagrodzenia nie pobierają oni żadnego, z wyjątkiem ojczymów. Przytaczam parę przykładów. Stryjowie odebrali swej bratance grunt; dziewczynkę przytuliła babka, która potem domagała się 21 rs. wynagrodzenia za jej siedmioletnie utrzymanie, co też zostało zasądzone [2]. Zmarł zamożny chłop, wdowiec, osierocając dwie dziewczynki; krewni grunt — 30 dzies. — zabrali, a dzieci wypędzili. Żebrały dziewczynki, dopóki ich nie przygarnął jakiś dwór; „wskutek skargi p. obywatela ziemskiego“ sąd gm. w Janowie grunt odebrał i osobiście osadził na nim sieroty, wyznaczając im babkę za opiekunkę [3].

Prawo zwyczajowe zna adoptacyę, nie odróżniając jej jednak od uznania dzieci naturalnych; ale sporów cywilnych o to

[1] Str. 45.
[2] Sąd gm. jaswojński, 1876, nr. 21.
[3] 1885 r., nr. 14.

nie spotykamy w sądach gm.; natomiast urodzenia nieślubne dają często powód do procesów o wynagrodzenie strat i kosztów, spowodowanych przez ciążę i połóg, albowiem poszukiwanie ojcostwa nie jest dopuszczane. Przytoczone niżej wyroki wyjaśnią to najlepiej: Młoda dziewczyna osobiście oskarża swego eks-kochanka, który ją uwiódł obietnicą ożenku, a potem porzucił wraz z dzieckiem, zabrawszy w dodatku 15 rs.; powódka żąda 40 rs. wynagrodzenia i zwrotu zabranych pieniędzy. Sąd gm. rozaliński przysądził 25 rs. wynagrodzenia, oraz kazał zwrócić 15 rs., zabranych uprzednio [1]. Sąd puszołacki w podobnym wypadku skazał pozwanego na natychmiastowe zapłacenie powódce 10 rs. „na chrzciny“ i tyleż w miesiąc po połogu, oraz dać pur jęczmienia „na piwo“ [2]. Niejaka J., panna, skarży się, że K. „przysłużył się jej synem“, jak powiedziano w protokóle. Pozwany usiłuje udowodnić, że powódka „sama napraszała się“, ale sąd w Gulbinie nie uwierzył temu i nakazał zapłacić 40 rs. wynagrodzenia [3]. Sprawy podobne są dość liczne; w ostatnich czasach zaczęto je na mocy 99 art. k. k. wszczynać w sądzie okręgowym.

(Dok. nast.).

Jan Witord.

---

[1] 1885 r., nr. 20. [2] 1876 r., nr. 20. [3] 1885 r., nr. 45.

KSIĄDZ KAROL ANTONIEWICZ.

V.

Misye po rzezi.

„*Wilczyska.* W wigilią Bożego Ciała opuściliśmy z niemałym żalem Gromnik, udając się do Wilczysk, wioski w obwodzie sandeckim położonej. W czasie tych rozruchów, p. Majchrowiczowa z synem schroniła się na probostwo (mąż jej nie był w domu podówczas). sądząc się tam najbezpieczniejszą. Ale wieczorem tłumy chłopstwa, rabujące i mordujące po całej okolicy, i tu się przywaliły, ciągnąc wprost na mieszkanie proboszcza, pod pozorem ukrytych powstańców. Dawnego uszanowania dla księży pomiędzy ludem najmniejszego śladu już nie pozostało, a że ich jeszcze przy życiu pozostawiono, to z tej przyczyny, że lud widział ich potrzebę dla chrztów, ślubów i innych obrzędów religijnych, chociaż i to nie wszystkich zasłoniło, wielu bowiem księży zginęło krwawą śmiercią z rąk własnych parafian, a daleko więcej sromotnie zelżonych, związanych, chłopi do urzędu obwodowego odstawiali, jak złoczyńców. Zabrawszy, co się wziąść dało, już chłopi wychodzić poczęli, gdy jeden przypadkiem ujrzał młodego Majchrowicza, którego matka biedna za drzwiami była ukryła. Zawyła tłuszcza radośnie, wyciągając go z ukrycia, żadnych przedstawień proboszcza, próśb i łez matki nieszczęśliwej nie słuchając, wziąwszy

pomiędzy siebie, wloką do karczmy. Lecz gdy już dobry kawał od domu odeszli, młody parobczak wraca do rozpaczającej matki, obiecując jej za dobrą nagrodę uwolnienie syna. Przystając na wszystkie jego żądania, z radością ujrzała wkrótce syna w objęciu swojem, na którego już byli wydali chłopi krwawy wyrok śmierci. Lecz nim go wypuścili, musiał im wydać, w jakiem miejscu matka, uchodząc z domu, pieniądze i srebro ukryła, które zabrawszy i poczyniwszy niemało szkód, dopuszczając się rozmaitych bezprawiów, opuścili Wilczyska.

„Dziwnie Opatrzność Boska w tych czasach nad niektórymi czuwała, których prawie cudownie od pewnej wybawiła śmierci. Ileżby tu przykładów przytoczyć można! Parę tylko dołączę z tych wielu, które mi jeszcze w pamięci pozostały. Trudne albowiem do uwierzenia, aby w tak krótkim czasie tyle tak dziwnych, tak rozmaitych, tak nadzwyczajnych wypadków i zdarzeń stać się mogło. Każdy dwór, każda wioska była widownią takich scen; każdy dwór, każda wioska teraz ma swoje pamiątki, swoją historyę krwawą, bolesną, ale częstokroć rozczulającą, bo obok wielkich zbrodni i w tych czasach nieraz wielkie cnoty i poświęcenia jaśniały, jak piękne gwiazdy na horyzoncie, krwawym, grobowym pokrytym kirem. Historya tych kilku dni ze wszech miar jest ważną i oczekuje biegłego pióra, aby ją we wszystkich szczegółach rozebrano i opisano; będzie oraz historyą boleści serca ludzkiego, i niestety nędznej natury ludzkiej, ale i straszną nauką: co to jest człowiek sam sobie zostawiony, który od Boga, i od którego Bóg odstąpił.

„W jednym z okolicznych dworów dziedzic był wyjechał, zostawiwszy żonę z dziećmi w domu. Gdy to powstanie ludu tak raptownie, jak górski potok wezbrany, rozlało się po całej okolicy, o ucieczce ani pomyśleć można było. Gdy dają znać, że chłopi ciągną na dwór w Brzanie, pani sama, dzieci, sługi padają krzyżem przed obrazem Matki Boskiej, śpiewając hymn ‚Pod Twoją obronę'. Wpadają chłopi do dworu; na widok tego obrazu, blasku świec zapalonych, stają jak wryci, przysłuchując się pieśni pobożnej i odkrywszy głowy, żegnają się i cichuteńko jeden po drugim się wynosi, nie uczyniwszy żadnej, najmniejszej

szkody. Potrafi Marya i dziś obronić tych, którzy w niej ufność swoją pokładają, bo chociaż my Jej, niestety, za królowę naszą uznać nie chcemy, Ona przecież matką i królową naszą być nie przestała, i w tych czasach ci, którzy się pod Jej opiekę udali, Jej opieki doznali, jako doznał p. S., który cięty kosą, żadnego szwanku nie odniósł; kosa bowiem trafiła na medalik cudownej Matki Boskiej i we dwoje się zgięła, a na ten widok przestraszona tłuszcza ucieka...

„Ostatnią naukę miałem na cmentarzu, przy pogrzebie matki tutejszego proboszcza, po której, pożegnawszy lud, powróciliśmy na parę dni odpoczynku do Sącza, sądząc, że na ten czas już misye nasze zakończone, gdyż oprócz jednej Korzenny nie mieliśmy wyznaczonego miejsca, a chociaż z różnych stron zapraszano nas tak w obwód tarnowski, jak bocheński, musieliśmy czekać na zezwolenie konsystorza. Lecz wracając do Sącza, wstąpiliśmy do dziekana, który usilnie upraszał, aby zjechać do parafii podolskiej i rożnowskiej, na co chętnie przystawszy, postanowiliśmy, wypocząwszy cokolwiek, najpierw udać się do Podola...

„*Podole.* Jałmużna od śmierci wybawia. Niedaleko Podola żył stary szlachcic, wdowiec, z córkami, w dziedzicznej wiosce swojej, pan Borzęcki. Przed kilkoma laty prowadzono transport więźniów przez podwórze dworu jego do Wiśnicza. Było to w zimie, wiatr ostry gęstym prószył śniegiem; pan B. stał na ganku i ujrzał w gromadzie tych więźniów, jednego młodego, który z odkrytą głową, schorzały i obdarty, ledwie nogi wlec mógł. Miłosierdziem zdjęty, zdejmuje p. B. czapkę z głowy i daje takową więźniowi. W czasie tych rozruchów banda chłopów napada dwór i zabiera się do rabunku. Naczelnik wchodzi do pokoju, aby się z panem po swojemu rozprawić, ale wtem poznaje w nim tego, co go był niegdyś czapką obdarzył, i przypomniawszy mu to, zwołuje ludzi swoich i bez najmniejszego uszkodzenia osoby i majątku pana B., cała banda się oddala.

„Niedaleko Podola jest klasztor OO. Reformatów (w Zakliczynie). Jednego wieczora, już późno, dzwoni ktoś do furty.

Furtyan, widząc znajomego p. L., zdziwiony tak późnemi odwiedzinami, pyta o jego żądanie.

— Proszę mię natychmiast do Ojca Gwardyana zaprowadzić.

— Może pan do jutra zaczekasz, bo już późna noc.

— Nie, mam pilny interes.

„Uczynił zadosyć braciszek żądaniu jego. Przyszedłszy do gwardyana, prosi o spowiednika dla odprawienia spowiedzi z całego życia. Gwardyan radzi czekać do jutra, lecz on nagli. Odprawia spowiedź dożywotnią, resztę nocy spędza na modlitwie, a skoro świt, prosi aby mu dano Komunię św. Zaledwie przyjął Przenajśw. Sakrament, gwar, hałas, jęki bolesne przed kościołem słyszeć się dają. Krew niejednej ofiary płynie po kamiennych płytach przedkościelnych, wpada chłopstwo do świątyni, wyciąga przemocą pana L. i morduje przed samemi kościelnemi drzwiami, poczem największych w samym kościele dopuścili się bezprawiów, rabując, znieważając księży, rąbiąc obrazy i posągi Świętych i t. p. Jednego brata, kwestarza, biorąc go za szlachcica przebranego, na drodze pokaleczono, a w Tarnowie dobito. Szczególniejsze przeczucie blizkiej śmierci pana L. okazuje, że Bóg tych w miłosierdziu swojem nie opuści i nie da bez pojednania się z Nim zejść z tego świata, którzy za życia od niego nie odstępowali; ale też sprawdziły się nie raz jeden w tych czasach te straszne słowa: *Wołałem, a nie słuchaliście mnie, będziecie mnie wzywać, a ja odwrócę uszy moje!* Ileż to było takich, którzy błagali, prosili, zaklinali morderców swoich, aby im przed śmiercią księdza zawołali i dali się wyspowiadać, ale prośba ich wysłuchaną nie została.

— Oj — rzekli do jednego — ty się chcesz spowiadać teraz, a czemuś się nigdy pierwej nie spowiadał? A czyż my cię choć raz jeden w kościele widzieli? Nie, teraz nie będziesz miał księdza.

— Czy pamiętasz — mówili drugiemu — jak to ty w kościele nie ugiąłeś nigdy kolana i śmiałeś się, i włosyś sobie szczoteczką poprawiał? Oj, my cię teraz zafryzujemy.

„Daj Boże, aby szczerą skruchą, ofiarując za grzechy mę-

czeństwo swoje, przebłagali gniew Boski, i odpuszczenia grzechów dostąpili.

„Takie i tym podobne wypadki wydarzone w okolicy opowiadał nam młody, bardzo uprzejmy proboszcz Podola, do którego śmy przybyli wieczorem w wigilią śś. Apostołów Piotra i Pawła. W samem Podolu żadne wprawdzie zabójstwo popełnione nie zostało, nie tak dla braku chęci, jak raczej dla braku ofiar. Lecz wynagrodzili to sobie Podolanie, po innych przeciągając miejscach, zrabowawszy najprzód dwór własnego dziedzica.

„Była tu u mnie pani D., która we dworku za wsią mieszkała. W nocy napada ją banda rozbójnicza, mąż ucieczką się ratował, ona sama z małą dzieciną przy piersiach w domu została. Żądają pieniędzy, lecz takowych nie miała; nie wierząc jej słowom, i chcąc ją zmusić, porywają dziecko i rzucają je w piec piekarski na rozżarzone węgle. Matka, widząc to, olbrzymią siłą oprawców roztrąca i dziecię z ognia wyrywa. Co widząc, cała banda cichaczem się wyniosła. Dziecię żyje i zdrowe, chociaż całe popalone zostało.

„Rozpoczęliśmy zwykłym trybem nauki nasze w kościele filialnym, do tej parafii należącym, śś. Apostołów Piotra i Pawła. Kościółek w odludnym zakątku, pomiędzy lasami i potokami, napełniony był ludem i wielu z sąsiedztwa przybyłemi osobami. Nazajutrz prowadziliśmy dalej nauki nasze, przy wielkiem zebraniu ludu, przez dni ośm w parafialnym kościele podolskim. Miłosierdzie Boskie przebywało ciągle z nami i biednym ludem, co poznawszy swoje zbrodnie, z prawdziwym żalem i skruchą garnął się do spowiedzi...

„*Rożnów.* Po stromej górze, krętą, krzemienistą i korzenistą drogą, wjechaliśmy na dziedziniec probostwa. Tak pięknej, zachwycającej okolicy nie łatwo widzieć się zdarza. Wieczór był ciepły, spokojny, obłoki gorzały czerwonym blaskiem nad szczytami lesistych gór, cisza uroczysta panowała dokoła, zaledwie wieczorny wietrzyk tu i ówdzie rozrzuconych brzóz lekkie kołysał gałązki. Tylko Dunajec, jak wąż o srebrnej łusce, pomiędzy opoczystemi kręcił się skałami, rozmaite wysepki formując, które

jak klomby zielone na kryształowej jego zdawały się pływać powierzchni; z chmurek przejrzystych, na ciemnem tle błękitu porozrzucanych, gwiazdki wykradać się poczęły, jakiś urok dziwny spoczywał na całej okolicy. Po pierwszem, szczerem, serdecznem powitaniu, poprowadził nas proboszcz do kościoła, w którym największy porządek i czystość zastaliśmy. Wisiały po ścianach obrazy fundatorów pięknego kościółka. Ołtarz wielki dziwnie pięknie urządzony, drzewami wonnemi umajony i przystrojony, cmentarz kościelny okolony staremi, rozłożystemi lipami; w jednej — w której rój pszczółek, jakby nieustającą przed Stwórcą swoim brzęczał harmonią — wpośród gęstych konarów zawieszona sygnaturka, czystym dźwiękiem zwoływała lud, aby spieszył oddać cześć i chwałę Bogu swemu. Z cmentarza widok zachwycający na całą otwierał się okolicę. W dali, jako olbrzymie posągi, znane tropskie okazywały się skały, żyzne niwy i pola z pożółkłym już kłosem słały się u stóp jodłami porosłych pagórków: bliżej piękny zamek rożnowski z zabudowaniem gospodarskiem i ogrodem, a na przeciwległym kościołowi, nagim i sterczącym groźno i zuchwale grzbiecie skały, widne były ponure zwaliska potężnego zamku Hebdów.

„Wązką, przykrą, wężykowatą ścieżką dostaliśmy się do tych ruin, i usiadłszy na omszałym głazie, proboszcz opowiadał nam zdarzenia w tej wiosce zaszłe w tych czasach niepokoju. Potrafił lud swój do tego nakłonić, że nietylko rąk swoich krwią nie zmazał, i sumienia rabunkiem nie obciążył, ale przeciwnie, stanął w obronie mienia pana swego. Cała wieś pod bronią we dnie i w nocy czuwała, aby obce bandy nie wtargnęły w granice rożnowskie, promy poodcinano, a gdy jedna horda gwałtem napaść chciała zamek rożnowski, przyszło do bitwy, w której kilku chłopów padło, kilku pojmanych zostało. Nie dla wykonanych więc bezprawiów, ale na żądanie proboszcza przysłano nas tu, aby lud w dobrem usposobieniu potwierdzić.

„W czasie tego opowiadania krzyk, czy raczej świst przeraźliwy w dali słyszeć się dał. Zerwał się raptem proboszcz przerażony, ale wkrótce, uśmiechnąwszy się, usiadł, mówiąc:

— Lęk i dreszcz mnie przejmuje, gdy posłyszę taki świst,

któregom się w tych bezsennych nocach podostatkiem nasłuchał. Było to hasło, którem te bandy łączyły się, idąc na mordy i rabunek. Góry i brzegi Dunajca roiły się zbrojnym ludem, a każdy świst taki był złowrogą przepowiednią krwawych bezprawiów nocnych. Gdy pierwszy szał tego krwawego szaleństwa przeminął — mówił dalej proboszcz — i umysły uspokajać się zdawały, przypadł odpust w moim kościele. Ludu nieznajomego mi, cała liczna kompania przybyła; to mnie trochę niepokoić zaczęło. Właśnie wychodziłem ze Mszą, gdy na podwórzu wrzask okropny powstaje. ‚Polacy rzną, uciekajcie!' W jednej chwili lud się rozpierzchł, a ludzie ci nieznani, zaczynają rabować kościół; ten postrach od nich zdradziecko był rzucony, aby lud miejscowy i spokojny rozproszyć. Właśnie wychodziłem z zakrystyi, gdy ci tamże się cisnęli, potrącony, zatoczyłem się na drzwi, które (i okazał nam) palec mi zgniotły i zgruchotały. Tym sposobem kościół zrabowany został i do dziś dnia, ani szkody odzyskać ani sprawców tej zbrodni wynaleść nie można. Ta dziwaczna pogłoska, że Polacy i panowie będą lud wyrzynać, piekielnie wymyślona i między lud już rokiem przed temi zaburzeniami w obieg puszczona, pomimo całej niedorzeczności swojej, mocną wiarę u ludu znalazła, i niemało się przyczyniła do tej wściekłej zawziętości ludu.

„Przy opowiadaniu proboszcza podobnych wypadków i zdarzeń, zmrok wieczorny przeszedł w noc ciemną, nietoperze tylko, snując się po zwaliskach, świstem przeraźliwym przerywały głuchą ciszę, a Dunajec jednostajnym szumem u stóp skały wtórował smutnym opowiadaniom.

„Powróciliśmy na probostwo, z którego okien widok się okazywał na te piękne ruiny i na przyboczną górę, gdzie jeszcze widzieć było można pomniki aryańskiego cmentarza. Lud dobry, przychylny, tłumnie na nauki się zgromadzał, oczyszczając sumienie swe szczerą spowiedzią. Tu, jak wszędzie prawie, wszystkie spowiedzie były dożywotnie. Ośm dni bawiliśmy na tem miejscu. W tymże czasie zjechał tu dziekan na wizytę i stąd udał się do Tropia, umówiwszy się z nami, abyśmy po skończonej misyi w Rożnowie, udali się do Korzenny. Lecz gdy przybył

do Tropia, lud rzucił mu się do nóg, prosząc, aby o nich nie zapomniał, i postarał się o to, abyśmy i do nich przybyć mogli. Proboszcz połączył swe prośby, tem bardziej, że zbliżał się odpust sławny św. Świrarda i Matki Boskiej Szkaplerznej. Musieliśmy więc przyobiecać na ten dzień tamże zjechać i przez całą zabawić oktawę. Nabożeństwo w Rożnowie zakończyłem nauką, na cmentarzu mianą, przy pogrzebie jednego wieśniaka; dziękując Bogu za wszystkie łaski Jego i tu doświadczone, opuściliśmy Rożnów, aby choć na pięć dni zjechać do Korzenny, gdzie nas oczekiwano.

„*Korzenna.* Lud dziki, zapuszczony, chociaż na miejscu nie mógł się krwią zmazać, odwetował to w okolicy, lecz całą złość i wściekłość swoją wywarł przy pustoszeniu i rabowaniu dworu i budynków gospodarskich do tego stopnia, że jednego kwiateczka w oranżeryi, w wazonie nie zostawił, i w ogrodzie planty i krzewy wyrywał z korzeniami, a nie mogąc mścić się na żywych, targnął się na umarłych, i dobył się do grobu zmarłego prałata, stryja pana Koczanowicza, szukając złotego łańcucha, w którym, wiedział, że tenże przed dawnemi czasy był pochowany. Chociaż wogóle biorąc, lud tutejszy daleko twardszym i obojętniejszym, jak gdziekolwiek się okazał, i pomimo że tam przez cały ten czas pobytu naszego pańszczyzna opuszczoną i darowaną była, leniwo i nie tak licznie zbierał się na nabożeństwo i nauki. Inne, smutne przyczyny były powodem tej opieszałości i nieufności ludu. Jednak wszędzie ma Bóg swoje dusze wybrane, i dziwne są drogi opatrzności Jego. Mieliśmy kilka tu wypadków tak pocieszających, że łatwo, jakby palcem namacał, poznać było można, na co, i dla kogo nas tu Pan Bóg powołał. Bawiliśmy tu przez dni pięć tylko, spiesząc uiścić się z danego słowa w Tropiu. Lecz gdy państwo Koczanowicze, tak gorliwi i staranni o dobro i poprawę ludu, żadną miarą puścić nas nie chcieli, musieliśmy pisać do Sącza, prosząc, aby przysłano dwóch księży, którzyby nas zastąpili w Korzenny.

„Widząc, że to zdanie sprawy czynności naszych misyjnych nazbyt rozwlekłem się stało, chciałbym jak najzwięźlej one ze-

brać, nie powtarzając już opisów miłosierdzia i łask Boskich nam i ludowi wyświadczonych. To jedno z przekonania powiedzieć mogę, że takie przechodzące misye wiejskie, są jedynym i jednym środkiem do poprawienia i oświecenia ludu naszego. Jedna pojedyńcza nauka nigdy nie odniesie tego skutku, co taki ciąg nauk połączonych, do zrozumienia potrzeb i pojęć miejscowych zastosowanych; i łatwiej tym, co w grzechach się zanurzyli, przed obcym księdzem, do którego raz ufności nabrali, wynurzyć sumienie. Przeto wielu świętokradzkim zapobiega się spowiedziom, wiele takowych się naprawia. Pamięć takiego nabożeństwa tkwi długo w umyśle ludu i jest wielkim na zbrodnie i grzechy hamulcem, zresztą i samo nabożeństwo i modły zebranego ludu, łzy i żal szczery ściągają błogosławieństwo Boskie i rozbrajają gniew Jego. Ustają w wiosce zgorszenia, cudza krzywda się nagradza; pojednania w małżeństwach, w sąsiedztwie zgody, posłuszeństwo, pobożność wracająca wskutek tych nauk na każdem miejscu widzieć się dawały. Bóg zawsze błogosławi pracy z miłości ku Niemu podjętej...

„*Staniątki.* Wyjechaliśmy rano z Sącza; przejechawszy Bochnię, przy zachodzącem już słońcu, późno w noc zbliżyliśmy się do Staniątek. O, jak miło było sercu spojrzeć przy blasku księżyca na te poważne, pamiątkami tylu wieków poświęcone mury klasztorne! Wjechaliśmy na podworzec obszerny; w klasztorze wszystko było cicho i ciemno, tylko w oknach celki samej ksieni blask świecy się odbijał. Powitani serdecznie od braci naszych, rozgospodarowaliśmy się, jak w domu. *O quam bonum et jucundum, habitare fratres in unum!* — Staniątki, to miejsce tak ciche i swobodne, ten klasztor, z którego tylko same dobrodziejstwa spływały na całą okolicę, nie uszedł zniewag i boleści: z tego kościoła wywleczono modlących się przed Najśw. Sakramentem księży naszych, i poblizkiej parafii proboszcza, i znieważonych, zbitych, skrępowanych, do obwodowego miasta Bochni przywiedziono; na tym dziedzińcu, pod oknami mniszek, tłumy ludu rozjuszonego wyrabiały bezprawia najokropniejsze, domy urzędników miejscowych spustoszone i zrabowane zostały. Sędzia

miejscowy i 5 czy 6 innych osób, krwią swoją zafarbowali piękną dziedzińca murawę, zginęli straszną śmiercią pod widłami i cepami chłopstwa, inni poranieni, pokaleczeni, zładowani na kilku wozach, pod strażą chłopów pijanych i jakby wściekłych, do Bochni przystawieni zostali. Klasztor gwałtem napadnięty, bramy wywalone, po wszystkich zakątkach, strychach, piwnicach i celach szukano ukrytej broni i powstańców. Byłyby te bezprawia dłużej trwały, ale na szczęście dwóch powstańców na koniach z Wieliczki tu przybyło. Na ich widok, jakby piorunem rażony, cały tłum chłopstwa w oka mgnieniu się rozproszył i więcej się nie pojawił.

„Siedzieliśmy późno w noc na ganeczku przed oficyną, gdy głos dzwonka klasztornego przerwał tę ciszę północną; mignęły w oknach światełka, i wkrótce z chóru anielskie głosy mniszek słyszeć się dały, tak prosto do duszy idące, tak rzewne i tkliwe, jak serca tych, które się Bogu w tych murach poświęciły; i znów wszystko ucichło, i tylko głos stróża nocnego posępny, ponury, przypominający, żeśmy jeszcze na tej biednej, nędznej ziemi.

„Kościół staniątecki starodawny, poważny, wspaniały, na ołtarzach obrazy Świętych Zakonników i Panien reguły św. Benedykta. W ponurej, ciemnej, przybocznej kaplicy starodawny obraz w posrebrzanej szacie Matki Boskiej Bolesnej, siedmiu mieczami przebitej, tak wskróś serce przenika. W tej kaplicy, gdzie w najjaśniejszy dzień świeca do Mszy św. zapaloną być musi, dla ponurego mroku, który nigdy z niej nie ustępuje, codziennie Mszę św. odprawiałem... Mieliśmy tu codziennie sześć nauk; oprócz nas, pięciu księży świeckich i Reformat z Wieliczki, od świtu aż do późnej nocy słuchaliśmy spowiedzi. Cała nadwiślańska okolica, a szczególniej od Niepołomic, tłumnie spieszyła do Staniątek na słuchanie nauk i oczyszczenie sumienia swego; codziennie dwie Msze św. śpiewane, jedna rano wotywa przy towarzyszeniu organów, druga suma przy towarzyszeniu całej orkiestry, którą klasztor utrzymuje. W przestankach mniszki na chórze modlitwy swoje, pięknym, na głosy podzielonym śpiewem odprawiały. Tak chwała Boska ciągle brzmiała w tym kościele, i o 10-tej jeszcze nocnej godzinie, i później lud się za-

silał chlebem anielskim. Bardzo wiele osób z okolicy zjeżdżało się na to nabożeństwo i nauki, na których znajdowało się całe zgromadzenie zakonne i konwikt panieński. Między temi panienkami było kilka, którym ojców pomordowano. W czasie pobytu naszego przyjeżdżali obcy księża i trzech kanoników tarnowskich, i wyznali sami nadzwyczajne pożytki i dziwny wpływ takich nauk na umysły i serca ludu naszego. Tak szczególniejsze lud ku nam powziął zaufanie, iż wolał dwa i trzy dni czekać o kawałku chleba, byle tylko przed nami spowiedź odprawić. Tu także prawie wszystkie spowiedzi były z całego życia. Oprócz zwykłych nauk, w niedzielę, na usilne prośby proboszcza, po nauce staniąteckiej, musiałem zjechać do Brzezia z kazaniem, po którem z ludem tutejszym na poobiednią naukę do Staniątek powróciłem. Bawiliśmy w Staniątkach przez dwanaście dni i codziennie napływ się powiększał tak, iż w ostatnie trzy dni ambonę musieliśmy na podworcu wystawić, gdzie się także i Msza św. dla ludu odprawiała. Restytucyj niemało nastąpiło; codziennie pod wieczór znoszono rozmaite rzeczy na umówione miejsce, aby je odesłać i wręczyć właścicielom. Stary gospodarz z Niepołomic, zabawiwszy dwa dni i przysłuchawszy się naukom, powrócił do domu, i żonę, synów, córki z całą czeladzią wysłał do Staniątek z nakazem, aby przed ukończeniem misyi nie wracali do domu...

„Misya ta staniątecka była zaiste jedna z najbłogosławieńszych, a chociaż praca była wielka, pociechy były nie mniejsze. Modlitwy nieustające tylu czystych, wybranych dusz, we dnie i w nocy wznoszące się do Boga wszechmogącego, niemało łask, miłosierdzia Boskiego i dla nas i dla biednego ludu naszego wyjednały. Dwunastego dnia, solennie zakończywszy nabożeństwo, mieliśmy się udać do Brzeźnicy, ale zachorowawszy na mocną gorączkę, musiałem się położyć w łóżko. Ksiądz Kawecki i ks. Załęski Stefan wyprzedzili mnie do Brzeźnicy, aby rozpocząć misyę dawaniem katechizmu dzieciom, dopóki wyzdrowiawszy nie przyłączę się do nich. Ksiądz Czeżowski i ks. Walużynicz tymczasem w Staniątkach ciągle spowiedzi słuchali. Przy miłosierdziu i łasce Boskiej w trzy dni powróciłem zupełnie do

zdrowia, przynajmniej czułem się na siłach do dalszej pracy, i dlatego, nie tracąc czasu, w sobotę wyjechałem do Brzeźnicy, ale przy samym wyjeździe spotkałem się z księdzem prowincyałem, który przyjeżdżał umyślnie, aby się rozmówić względem dalszych misyj, o które był proszony do tarnowskiego cyrkułu, do Nagoszyna, Wiewiórki i Oleśny. Stanęło na tem, iż ja z ks. Kiejnowskim do Nagoszyna i Wiewiórki, po skończonej misyi w Brzeźnicy, się udamy. Do Oleśnej zaś ks. Załęski, ale do którego, w dniu umówionym, miał się ks. Kiejnowski przyłączyć. Rozmówiwszy się z księdzem prowincyałem, pospieszyłem do Brzeźnicy, dokąd już sprowadzono ambonę naszą polową i kilka konfesyonałów ze staniąteckiego kościoła. Przybyłem już późno w nocy z soboty na niedzielę do Brzeźnicy i nazajutrz rozpoczęliśmy nauki nasze na większą cześć i chwałę Boga.

„*Nagoszyn.* Po trzech dniach wypoczynku wróciłem do Brzeźnicy, i stąd z księżmi: Kaweckim i Załęskim Stefanem, zostawiwszy księży Czeżowskiego i Suszczewskiego do słuchania spowiedzi, gdyż lud ciągle się jeszcze garnął i dowiadywał, dokąd jedziemy, ‚bo choćbyście — mówił — i o dwadzieścia mil pojechali, my za wami pójdziemy' — po południu wyjechałem do Tarnowa, do tego Tarnowa, po którego ulicach niedawno jeszcze krew niewinna płynęła strumieniami. Zajechaliśmy do klasztoru księży Bernardynów i odwiedziwszy p. Kotarską z Oleśna i p. Konopczynę z Nagoszyna, po mile przepędzonym wieczorze, powróciwszy do pomieszkania naszego, przysłuchiwaliśmy się opowiadaniom najokropniejszych zgroz, których te okolice, a szczególniej Wiewiórka i Oleśno stały się widownią. Odradzano nam jak najmocniej, abyśmy na te miejsca nie jechali, raz, że niebezpieczeństwo zagraża, a po drugie, że te nauki nasze bez żadnego skutku się odbędą. Lecz doznawszy już tyle miłosierdzia i pomocy Boskiej, nie daliśmy się tem odstraszyć, ufając, że jako dotychczas tak i nadal Bóg nas nie opuści. Kto w Panu położył nadzieję, zawiedzionym nie będzie. W nocy nadjechał ze Lwowa ksiądz Kiejnowski; i zabawiwszy jeszcze

dzień w Tarnowie, udaliśmy się każdy na miejsce przeznaczenia swego.

„W smutnej, piaszczystej okolicy, o trzy mile od Tarnowa, leży wieś Nagoszyn, której mieszkańcy okrucieństwem swojem tak się odznaczali, że to samo imię postrach w całej okolicy rzuciło. Stąd bowiem po rzezi pilznieńskiej rozpoczęły się te krwawe mordy, wskutek których o kilkanaście mil dokoła nikt śmierci nie uszedł, kto zawczasu ucieczką się nie ratował. W Nagoszynie obficie krew płynęła; między innymi zamordowano księdza Bazylianina, który dla prześladowania z Wołynia tu się był schronił. Nagoszyn i Wiewiórka do parafii należą zasowskiej, lecz w Nagoszynie jest kościółek filialny i ksiądz za staraniem dziedzica przy nim był postanowiony, lecz w tych czasach, musiał się schronić przed zemstą ludu, i zastaliśmy tylko tymczasowo przydanego księdza Bernardyna. Baronowa Konopczyna, pani tej włości, przyjęła nas z najszczerszą radością do domu swego, urządzonego naprędce, jak się dało po strasznem spustoszeniu, i była obecną przez cały ciąg pobytu naszego tak tu, jako i w Wiewiórce. Majątek jej zupełnie przez chłopów spustoszony został. Z owczarni, składającej się z kilku tysięcy owiec drogich, ani jedna nie pozostała sztuka, toż samo z holenderni i t. d. Zniszczono cały sprzęt domowy, wyjąwszy portret samego p. barona Konopki, który z wielką czcią od chłopów do kościoła przeniesiony — sądzili, że to obraz jakiego Świętego. Od pierwszego rozpoczęcia nauk naszych aż do końca, lud tłumnie się zbierał, z największą skruchą i żalem odprawiał spowiedzi swoje, które codziennie do późnej nocy się przeciągały, chociaż mieliśmy do pomocy dwóch księży Bernardynów, jednego Karmelitę i jednego Dominikanina, oraz proboszczów z okolicy, którzy na całe dni tu zjeżdżali. Nauki dla ilości zgromadzonego ludu, nie mogącego się w kościele pomieścić, odbywały się na kościelnym dziedzińcu, jakoteż i spowiedzi. Niemało restytucyj nastąpiło, wracał lud co tylko miał jeszcze ukrytego, za szkody poczynione prosił p. Konopczynę o darowanie, co też z rozczulającą łagodnością czyniła. Poznał to lud, i raz wracającej z kościoła do domu zastąpił drogę, i rzuciwszy się do nóg z wła-

snego popędu, błagał o przebaczenie. Jedna z poblizkich gromad prosiła, aby publiczną pokutę na całą gromadę naznaczyć, aby żal swój za to co popełnili nietylko przed Bogiem, ale i przed ludźmi, okazać mogli. Jeden włościanin, umiejący czytać, przyniósł mi raz kilka książek nabożnych do oddania; gdym go zapytał, czy więcej nie ma:

— Było tam i więcej, alem to wszystko spalił, bo to ladaco były książki.

— Skądże to wiesz?

— Bom je czytał, ale o Panu Bogu ani słowa nie było.

„W czasie pobytu mego w Nagoszynie, zjechałem raz z nauką do Zasowa, zapowiadając ludowi po skończonej misyi nagoszyńskiej następną w Wiewiórce. Lud w Nagoszynie, sądząc, że nie powrócę, gdy mnie wieczorem wracającego ujrzał, otoczył w radości wóz mój, wołając: ‚Nasz ksiądz do nas powrócił!' i wysadziwszy z wozu prosto na ambonę prowadził. I ten lud tak okrzyczany, i sprawiedliwie, tak potulnym, cichym i skruszonym się okazał. Żyd arendarz skarżył się, iż zwykle w jednym dniu na miejscowe potrzeby więcej wypotrzebował wódki, jak przy takim napływie ludu przez cały tydzień w czasie pobytu naszego...

„*Wiewiórka.* Ukończywszy w sam dzień św. Michała uroczystem nabożeństwem i nauką do tłumnie zgromadzonego ludu misye w Nagoszynie, rozpoczęliśmy nauki nasze w Wiewiórce, wsi do parafii zasowskiej należącej. Kościoła w tej wsi niema, ale będąc upoważniony przez księdza biskupa tarnowskiego, wielką, nowo wymurowaną owczarnię, na pięknem wzgórzu położoną, która przeszło cztery tysiące ludzi mieścić mogła, przeistoczyliśmy na kościół. Pięknie piaskiem i zielonym szuwarem wysławszy, urządziliśmy dwa ołtarze: jeden św. Michała, a drugi Matki Boskiej. Wpośrodku tego improwizowanego kościoła stała ambona, po bokach konfesyonałów kilka. Ściany wonnemi, sosnowemi zieleniały przystrojone gałęziami. Tak urządziwszy i poświęciwszy to miejsce, o milę od Nagoszyna odległe, wyruszyliśmy z Przenajświętszym Sakramentem i procesyami. Każda

procesya z swoim proboszczem, z rozwiniętemi chorągwiami, które wiatr przy pogodnem niebie rozdymał. Ze wzgórza na wzgórze ciągnął się ten orszak, któremu sam Bóg przewodniczył, w największym porządku, cichości i przykładności. Tysiące głosów cześć i chwałę Bogu oddawało pobożnemi pieśniami, których echo wiatr po rozległych roznosił polach. Słońce promienistym blaskiem przyświecało Panu i Stwórcy swemu.

„Gdyśmy się już zbliżali do Wiewiórki, na przeciwległej górze zaświeciły chorągwie i tysiące białych sukman, wpośród łąk i niw zielonych, wskazały nam procesye, od parafii zasowskiej i jastrzębskiej do Wiewiórki idące. Pochyleniem chorągwi jedni drugich powitali i te dwa liczne oddziały ludu, na chwałę Boga zebranego, potężnemi głosami podając sobie słowa pieśni nabożnych, w jedno jakby serce spłynęły; jakby za umówionym znakiem, jednocześnie stanęliśmy przed drzwiami tego kościoła, do którego po raz pierwszy Bóg wstępował. Zastaliśmy tu niemało osób z sąsiedztwa przybyłych. Ksiądz Bernardyn, prowadzący procesyę, wystawił Przenajświętszy Sakrament na ołtarzu i zaintonował grzmiącym głosem: ‚Święty Boże!' któremu cały lud zamiast organów wtórował, że aż mury nowego tego wstrzęsły się kościoła, a cały lud wokoło otaczający kościół, gdyż i połowa miejsca nie miała wewnątrz, padłszy na kolana, towarzyszył pieśni świętej. Po odśpiewanych suplikacyach, wstąpiłem na ambonę i stosowną miałem naukę do tej tak uroczystej chwili pierwszego przybycia Boga w te mury, w pośrodek ludu swego, zastosowaną, która powszechne łzy i westchnienia w sercach ludzi obudziła. Po nabożeństwie i błogosławieństwie Przenajśw. Sakramentem, w największej cichości lud rozchodzić się począł; jedni z blizkich wiosek do domu, a drudzy z dalszych stron przybyli, szukając sobie legowiska na noc, pod cieniem drzew porozrzucanych, po miedzach rozległych pól dokoła.

„Pomieszkanie mieliśmy z księdzem Dominikaninem, Karmelitą i wikaryuszem zasowskim w małym, dworskim budyneczku, który szczęśliwie ocalonym został w czasie rozruchów. Dwór z innemi budynkami zrujnowany był zupełnie. Z okna po-

mieszkania naszego w prostej linii widzieć można było lampkę, zapaloną przed Przenajświętszym Sakramentem, a ten widok tak błogo do duszy naszej przemawiał, bo lampka gorzeć się zdawała, jako gwiazdka przed słońcem. Ktokolwiek z katolickiem sercem przechodził drogą, na widok tego, jakby z nieba spadłego kościoła, musiał poczuć wewnętrzne wzruszenie, i poczuli to mieszkańcy miejscowi i okoliczni nadzwyczaj licznie się zbierając i jakby witając nowo przybyłego wpośród siebie Boga nie z gniewem i przekleństwem, ale z błogosławieństwem i zlitowaniem dla upokorzonych i skruszonych. A gdy po raz pierwszy, odkąd ta wioska stoi, dzwonek na wzgórzu na wysokiej żerdzi zawieszony, na Anioł Pański zadzwonił, i czystym głosem przynosić się zdawał z wieczorną rosą pozdrowienie i błogosławieństwo Boga-Rodzicy, to ci nawet, co może na te wezwania nigdy wprzód nie zważali, pomimowolnie ugięli kolana i modlili się. Taka jakaś wewnętrzna radość i pokój malowała się na twarzach przychodzących na to teraz tak święte miejsce.

„Dobrze, swobodnie i błogo było nam tu nad wszelki wyraz, i te ośm dni przeszło lotem błyskawicy. Codziennie miewaliśmy po dwie nauki rano i w wieczór a spowiedzi przed 10-tą lub 11-tą wieczorem nigdy nie można było ukończyć i nazajutrz się odkładało. Nie powtarzam tu o tak przykładnem i wzruszającem zachowaniu się ludu, o znakach żalu i skruchy, które okazywał, słowem, tu gdzie najmniej spodziewano się skutków, Bóg łaskaw i miłosierny okazać się raczył.

„Lecz zbliżał się dzień zakończenia misyi w Wiewiórce i prac naszych tegorocznych. Była to niedziela. Rano, już z brzaskiem dnia najpogodniejszego, po wszystkich drogach i ścieżkach snuł się, ciągnący się do Wiewiórki w procesyach lud przy odgłosie śpiewów pobożnych, to pojedyńczo, to mniejszemi i większemi kompaniami; od białych sukman i koszul pola z daleka, jakby śniegiem pobielałe, okrywały się. Ranne, uroczyste, dwoma naukami, jak zwykle, ukończyło się nabożeństwo. O ćwierć mili od tego miejsca jest karczma, wpośrodku czterech krzyżujących się dróg, dziś pusta, opuszczona, z rozwartemi drzwiami, powybijanemi szybami u okien; ale krwawą w całej okolicy pa-

miątką wsławiona. Tu albowiem jednej nocy zwieziono i zamordowano około 24 osób. Gdym tam był, ściany tej karczmy krwią zbryzgane jeszcze się czerwieniły. Przed samą tą karczmą, wpośrodku rozstajnych dróg, umyśliłem na smutną i bolesną pamiątkę owej strasznej nocy, krzyż wystawić misyjny i po raz ostatni do ludu przemówić.

„Po południu około czwartej godziny, ruszyliśmy z Wiewiórki w procesyi z ludem, którego przeszło na dwanaście tysięcy liczono. Cała przestrzeń od karczmy aż do Wiewiórki ludem zasłana była. Włościanie nieśli potężny krzyż, największy porządek panował w tym tłumie, widocznie wzruszonego żalem, wstydem i boleścią przejętego ludu, osobliwie na widok tej karczmy, od której oczy odwracali. Jako świadek okropnych zbrodni szyderczo patrzała na nich, jakoby piekielne z otworów jej wyzierały poczwary. Poświęcony zwykłem poświęceniem krzyż, wzniósł się nagle w górę, a w tej chwili słońce zachodzące, z poza czarnej wyzierając chmury, rzuciło ostatnie promienie na malowany na blasze wizerunek Zbawiciela, co wszyscy obecni z niemałem dostrzegli podziwieniem i uszanowaniem. Odbite od krzyża promienie z ognistym blaskiem spłynęły na karczmę i chmura ciemna zasunęła słońce, niebo się pokryło i tylko w dali błyskawice z głuchym grzmotem przyświecały. Lud roztarasował się na rozległem błoniu, na którem powozy, bryczki i wozy licznie się zebrały. Wpośród białych siermięg, czerniły gęste żałoby. Wtem przez te tłumy ludu przedziera się wóz z umierającą niewiastą. Mój towarzysz pobiegł ją spowiadać; w czasie poświęcania i wystawienia krzyża śmierć także chciała być przytomna temu, jakby pogrzebowemu obchodowi. Wstąpiłem na ambonę, między karczmą a krzyżem wzniesioną. Wzruszony w głębi duszy przemówiłem do ludu; wskazując na karczmę, przypomniałem mu zbrodnie jego, wskazując na krzyż, opowiadałem miłosierdzie Boga dla tych, którzy przez płacz, pokutę i poprawę tego miłosierdzia godnymi się staną.

„Jakby iskra elektryczna przeszła wszystkie serca; cisza, która w całem zgromadzeniu panowała, przeszła w jęki, stłumione łzy i westchnienia. Dobyłem ostatnich sił, korzystając

z tego usposobienia umysłów i wymówiwszy ‚Amen', jakby odgłos dalekiego grzmotu westchnienia pomału gubiły się. Gdym zeszedł z ambony, lud błogosławił, dziękował, do nóg się rzucając, iż zaledwie dosiąść dozwolił bryczki.

„Nazajutrz, odprawiwszy Mszę św. ostatni raz w tym ukochanym kościółku, wróciłem do Tarnowa, zostawiwszy księdza Kaweckiego do słuchania spowiedzi. Poczekawszy parę dni, nim bracia nasi z Radgoszczy wrócili, pojechałem do Lwowa"...

(C. d. n.).

Ks. Jan Badeni.

KONGRES WSZECH RELIGIJ

W CHICAGO.

Nim przystąpię do opowiadania o pracach i przebiegu kongresu wszystkich religij, zwanego Wszechświatowym parlamentem religij, niech mi będzie wolno odpowiedzieć na to pierwsze pytanie, które mię tam żywo zajmowało, a które niewątpliwie każdy z czytelników również sobie zada. Gdy na trybunie, mieszczącej około 50 krzeseł, widziałem obok kardynała, pastora protestanckiego, przy nim arcykapłana buddystów, o krzesło dalej rabina i oto znowu biskupa katolickiego, a dalej biskupa metodystów, a dalej pastora-kobietę i t. d. i t. d. — naówczas zapytywałem siebie ja, Europejczyk: jak mam to rozumieć? Jak mam rozumieć tych ludzi? Mamli to tłumaczyć obojętnością ich dla wyznawanych przez siebie religij? A więc to całe zgromadzenie jest tylko grą lichych aktorów? I znowu ze zdumieniem pytałem siebie: mamże do ich liczby policzyć i tych, których w przeszłym tygodniu czciłem i brałem sobie za przykład?... Nie! Więc mamże ich posądzić o brak przenikliwości, iż nie wiedzą do jakiej gry weszli?... I to nie! Jeżeli oni weszli do zgromadzenia tych ludzi, to muszą być przekonani o szczerości ich chęci i zamiarów, a powoduje nimi napewno jakaś wyższa idea. Więc czemże mam wytłumaczyć to dziwne dla Europejczyka zjawisko?...

Rozwiązanie bardzo proste. U nas w Europie wszystkie

stosunki, nawet religijne, są często przejęte polityką. I to jaką polityką? Tą, która głosi, iż nie zna żadnych nakazów moralności *(politische Noth kennt kein Gebot);* tej polityki, która używa mowy ludzkiej nie na to, by prawdę głosić, lecz by ją zręcznie ukrywać. Skutek tego jest ten, że u nas w Europie, szczególnie w sprawach publicznych, nie religia jest kierowniczką, bo za każdą z tych spraw stoi polityka państwowa i mąci a często gnębi jej rozwój. W Stanach Zjednoczonych przeciwnie. Zasadą wszystkich stosunków, a najbardziej religijnych, jest jak największa wolność. Gdzie jest w Europie państwo, w któremby przeciwko całej ludności, w której ręku spoczywa wszelka władza państwowa, odważyła się dziesiąta jej część stanąć tak jawnie i stanowczo, jak to zrobili katolicy w Chicago, i wypowiedzieć tak głośno: „nasza tylko wiara jest prawdziwą, wasze wyznania są błędem; nasza wiara będzie wiarą przyszłości, wasze muszą ustąpić!“... U nas w Europie nie może jedno wyznanie zbliżyć się do drugiego i podać wzajemnie przyjacielskiej dłoni, wypowiadając sobie zarazem walkę pokojową, aczkolwiek stanowczą, na śmierć lub życie duchowe. Poza plecy ich wciska się zaraz szatan polityki i burzy umysły, zapala serca, a do dłoni wciska bratobójczy miecz. Ludzie mający wyznanie nie popierane przez rząd nie zbliżą się do tych, którym ta potęga służy, gdyż boją się ucisku; a gdyby mocniejsi, choćby nawet najszczerzej, szukali zbliżenia ze słabszymi, u tych, na podstawie smutnych doświadczeń z przeszłości, zrodzi się podejrzenie podstępnych knowań na przyszłość. Wyznania więc u nas w Europie muszą stronić od siebie, i to dla nich zasługa przed Bogiem i ludzkością; bo zacniej pozostać tylko w nieporozumieniu, niż dojść do gwałtów i przelewu krwi. W Stanach Zjednoczonych inaczej. Nietylko mniejszość, lecz nawet mała cząstka ludności jest pewną swych praw i swobód. Katolicy, dziesiąta część tamecznej ludności, występują otwarcie, stanowczo, bo żadnej obawy gwałtu nie znają; bo wiedzą, że gdyby się komu zamarzyło wystąpić z przemocą względem ich garstki, to całe masy ich religijnych przeciwników: protestantów, Żydów, buddystów,

staną natychmiast w ich obronie — nie w obronie katolicyzmu, lecz wolnych obywateli Stanów Zjednoczonych.

Nie mówię teoryj — oto fakt.

Gdy się rozpoczął ten ruch religijny, naówczas w Stanie Indyana okazało się większe niż zwykle ożywienie wśród katolików, które przeraziło tamecznych protestantów. Poczęli więc gubernatora p. Mattews zarzucać bezimiennemi i jawnemi listami, zwracając jego uwagę na możliwe przez to zaburzenie spokoju. Gubernator długo milczał, aż nareszcie widział się zmuszonym odpowiedzieć listem otwartym ogłoszonym w gazecie, w którym przypomniał swoim korespondentom główną zasadę ich państwa, że katolicy są tak samo jak oni wolnymi obywatelami rzeczypospolitej, a że postępują w najbardziej lojalny sposób, więc skoro nie wykraczają przeciwko prawom, mogą wszystko robić, co się im podoba. Ten krok gubernatora, p. Mattewsa, prasa amerykańska podniosła z wielkiem uznaniem.

Jeżeli taką swobodę mają tam wszystkie wyznania, jeżeli nadto w zasadzie kongresu było surowe zastrzeżenie, iż wolno każdemu mówić o swojej religii, co mu sumienie i serce nakaże, lecz ani jednem słowem nie wolno dotykać obcego wyznania — to czemu nie mieli się zejść, czemu nie mieli powiedzieć sobie: „Jesteśmy dziećmi jednego Ojca w niebie, więc jesteśmy braćmi rodzonymi... a oto tak wielkie a liczne różnice zdań nas dzielą... szukajmy prawdy, pragnijmy gorąco pojednania się, a Bóg uczyni cud, rozjaśni nam wzrok i połączy nas wszystkich!“... Nie poziome nawyknienie do masowych zebrań, nie chęć popisów oratorskich zgromadziła tych ludzi z Japonii, Chin, Indyj, Armenii, Afryki południowej i z całej Europy i z całej Ameryki; wznioślejszy a bardziej potężny prąd niósł ich przez setki, tysiące mil i kazał im stanąć w tych zapaśniczych szrankach duchowej walki. Kardynał Gibbons, złożony niemocą, wbrew zakazowi lekarzy przyszedł na uroczyste otwarcie kongresu; pastorowi p. Schaff z Nowego Jorku lekarze oświadczyli, że ta podróż go zabije...

— Dobrze, — odpowiedział — niech zabije, lecz muszę tam

być! Ja całe życie pracowałem nad połączeniem wyznań chrześcijańskich, niech moją śmiercią temu dam świadectwo.

Nietylko przywódców wyznań łączyła ta gorąca chęć wzięcia udziału w tej sprawie — i ogół cały był nią poruszony. Pewnego dnia, wracając z wystawy, gdy noc zapadała wrześniowa, mglista, wiatr zimny chwilami mżył jesiennym deszczem, biegłem do pałacu kongresowego, chociaż dopiero za godzinę miała się rozpocząć wieczorna sesya. Dobiegłszy, stanąłem zdziwiony. Przed zamkniętą jeszcze bramą pałacu zastałem tłum ludu, mężczyzn i kobiet — przeważnie w dojrzałym już wieku — na schodach, na przymurkach siedzieli zmęczeni staruszkowie i staruszki. Nie było w tym tłumie gwaru, większość milczała, tu i ówdzie słyszałeś poważną dyskusyę... Co znaczą te tłumy — pytałem siebie — pod gołem niebem, na deszczu, wyczekujące godzinę przed zamkniętą bramą?... Czego one chcą?... Przed kilku tygodniami w tym gmachu był kongres robotniczy... i tak samo przed tą bramą i na tych schodach stały i siedziały tłumy ponurych twarzy, żylastych a od pracy zczerniałych rąk... Czego one chciały?... Chciały pracy i zarobku, by kupić chleba dla siebie i dla dzieci... Tak! lecz tym, których teraz widzę, nie braknie chleba, nie braknie odzieży, iluż z nich nawet wytwornie ubranych... Więc czegóż oni pożądają?... Prawdy! bo nietylko chlebem lecz i duchem bożym człowiek żyć musi. Chleba oni dość mają, lecz słowa bożego im brak... Wśród zamętu setki doktryn umysł ich zeszedł na najgorszą drogę, bo drogę zwątpienia o wszelkiej prawdzie... Oto z całego świata zeszli się uczeni, by głosić to, co sami za prawdę uznają, więc biegną te tłumy słuchać tych zwierzeń, może wśród nich odkryją prawdę. Jeżeli na innych kongresach publiczność była rozmaitego wieku, to na tym parlamencie religij przeważały siwe głowy. Kto najpierwej przychodził do sali a najcierpliwej wysiadywał długie godziny? to staruszkowie i staruszki. Zaprawdę! trudno przypuścić, by tylko pozioma ciekawość była przyczyną tej ich wytrwałości.

Dnia 11-go września odbyła się inauguracya parlamentu. W sali Kolumba na dole i galeryi był taki nacisk, jakiego nie

było na żadnym kongresie (wyjąwszy tylko kongres robotniczy gdy kilkanaście tysięcy ludu stanęło na placu przed pałacem, a biuro prezydyalne i mównicę trzeba było ustawić przed portalem, pod gołem niebem). — Przy stolikach korespondentów ruch także niezwykły; znalazło się nas przeszło dwudziestu pod dyrekcyą sekretarza kongresu, p. Pipe. Około $10^1/_2$ ozwały się organy tryumfalnym marszem; na estradę wśród głośnych oklasków weszli reprezentanci religij. Na czele szedł dr. Bonney i kardynał Gibbons, który zasiadł po prawej stronie prezesa; po lewej siedział dr. Barrows, pastor presbiteryanów, i pani Chaplin, pastor uniwersalistów, prezydent i prezydentka parlamentu religij. Po prawej stronie trybuny siedzieli w pierwszym rzędzie arcybiskupi katoliccy, a dalej kapłani i arcykapłani buddystów i szyntoizmu, za nimi zaś konfucyanie i protestanccy biskupi i pastorowie, mężczyźni i kobiety. Po lewej stronie trybuny na przodzie siedział arcybiskup grecki z Zante i kilku z duchowieństwa wschodniego kościoła; z prawosławia nie było nikogo; dalej bramini i parsowie, poza nimi rabini i muzułmanie. Na rozpoczęcie ozwał się piękny kwartet wokalny, a potem całe zgromadzenie powstawszy śpiewało hymn:

Wszystkie narody wychwalajcie Pana
I wszystkie kraje podnieście swój głos,
Niebo i ziemia w rozgłośnym akordzie
Śpiewajcie Panu chwałę, na wieki, na wieki!

Gdy ucichł śpiew, dr. Bonney, uderzywszy młotkiem w mównicę, ogłosił otwarcie kongresu i zwrócił się do kardynała ks. Gibbons'a, prosząc by prowadził wspólną modlitwę. Gdy ks. Gibbons stanął u mównicy, wszyscy powstali i całe to kilkotysięczne zgromadzenie wszystkich narodów i wszystkich wyznań powtarzało za nim słowa modlitwy Pańskiej: „Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech, święć się Imię Twoje...“ Potem dr. Bonney witał zgromadzenie, a mowę rozpoczął słowami: „Wyznawcy Boga i miłośnicy braci swych ludzi...“ określając tem charakter tego zgromadzenia, w którem ci tylko mieli prawo udziału i głosu, którzy uznawali te dwie zasady. Inni nie mogli należeć. Wolnomyśliciele chcieli mieć udział w kongresach re-

ligijnych, lecz im nie pozwolono nawet wstępu do pałacu kongresów. Mieli więc swe posiedzenia w tymże czasie, lecz w innym domu. Po krótkiej przemowie pastora d-ra Barrows, prezesa jeneralnego komitetu parlamentu, a następnie arcyb. Feehana, prezesa komitetu katolików, wystąpił kardynał Gibbons. Słowa natchnienia pełne jego przemowy krótkiej zaznaczyły stanowisko katolików w tem zgromadzeniu. „Szanowny prezes powiedział wam, że gdybym tylko na moje zdrowie miał wzgląd, to w chwili obecnej winienbym w łóżku pozostać... lecz czułem, że zrobiłbym ujmę moim obowiązkom, obowiązkom przywódcy Kościoła katolików w tym kraju, jeżelibym nie stanął tu w waszem gronie, jeżelibym nie wypowiedział pragnień mojego Kościoła, który chce by zasady nasze, by nasze wyznanie było tu rozważone, a jeśli można, i przyjęte. Religia, którą wyznaję, jest dla mnie skarbem nad wszystkie skarby świata, lecz go nie kryję w swych piersiach, chcę nim wszystkich obdzielić. Wznieśmy ku Bogu serca wdzięczności pełne, iż On pozwolił nam tu, na tej trybunie, połączyć się w uczuciu miłości i braterstwa ludzi. Patrzmy na ten przykład, jaki nam Chrystus dał w swej przypowieści o Samarytaninie. On podniósł z ziemi i przewiązał rany tego, który z plemienia i wiary i społecznego stanowiska był mu przeciwnikiem i wrogiem. Oto nauka dla nas. My nie mamy potęgi naszego Zbawcy, by ślepym wzrok a głuchym słuch przywracać; my niezdolni do cudów, które On sprawiał, lecz w miłosierdziu i bratniej miłości winniśmy iść za Jego przykładem. Kain niegdyś zawołał: ‚azali ja jestem stróżem brata mojego?' A ja wam powiadam, jesteśmy wszyscy stróżami braci naszych, i nie masz przed Bogiem większej zasługi, jak podać rękę pomocy cierpiącemu bratu; a nic ku Zbawcy naszemu nie zbliża nas więcej, jak niesienie światła z niebios do ciemnic zbłąkanej duszy. O! wtedy zaprawdę stajemy się godni imienia dzieci ‚Ojca naszego, który jest w niebiesiech!'"... Sądzę, iż nie można było jaśniej, oględniej a jednak tak stanowczo określić, w jakim duchu i w jakiej myśli stawali katolicy w tem zgromadzeniu wszystkich wyznań świata. W dalszym ciągu tej pierwszej sesyi przemawiali z kolei wszyscy przedstawiciele wyznań, tylko kościół

prawosławny nie miał żadnego. Dr. Bonney, dając głos księciu Sergiuszowi Wołkońskiemu, nazwał go przedstawicielem tego kościoła, lecz on zaprzeczył temu, powiadając, iż nie ma na to żadnego upoważnienia od rządu, a tylko osobiście przyjmuje wezwanie do wzięcia udziału w kongresie i w tym jedynie charakterze składa podziękowanie za uczyniony mu zaszczyt. Tak się rozpoczął ten niezwykły a jeden z najliczniejszych kongresów. Przejdźmy do charakterystyki jego prac następnych.

* * *

Przedewszystkiem muszę zaznaczyć dwa najogólniejsze a zasadniczo różne obozy: dogmatyków czyli katolików i scyentystów czyli niekatolików, tj. tych, którzy przyznają każdemu prawo wolnego wytwarzania zasad religii. Oba obozy miały cztery zasady wspólne: 1) Jest Bóg Stwórca wszechświata; 2) Wszyscy ludzie są dziećmi tego jedynego Ojca w niebiesiech; 3) Religia jest podstawą i najwyższem słowem duchowej istoty człowieka; 4) Religię ludziom objawił Bóg. — W dalszym jednakże rozwoju dwóch ostatnich zasad obozy te były w jawnem przeciwieństwie. Zasady wygłoszone przez katolików dają się streścić w następującej formule: „Jak po stworzeniu wszechświata Bóg nie wypuścił z swej ręki jego wszechrządów, tak również i objawienia religii nie pozostawił bez ciągłej opieki. W Starym Zakonie do straży swojego słowa powoływał wybranych, a gdy Syn Jego wypowiedział światu najwyższe słowo objawienia, na straży jego pozostawił swego zastępcę i grono wybranych, uświęconych sakramentem kapłaństwa. Ich pieczy, przy nieustannej pomocy Ducha Świętego, powierzonemi zostały Księgi święte i ustne tradycye objawienia, i tej wyłącznie instytucyi, założonej przez Syna Bożego, przysługuje prawo sądu o zasadach religii. Nasza więc religia objawiona w przeszłości, jest objawianą aż po dzień dzisiejszy. Nasza religia nie w nas samych ma źródło, lecz jest nam daną z niebios w ciągłem objawieniu, i ona to tworzy z nas to, czem jesteśmy, ona to stawia nas, wedle tego jak ją do serca bierzemy, na niższym lub wyższym stopniu godności człowieka. Jednem słowem, je-

steśmy ludzie, bo jesteśmy katolicy, a że główną nauką jest objawione przykazanie: ‚kochaj bliźniego twego', więc stajemy tu wśród was, wśród braci naszych, ‚stróżami waszych dusz być chcemy' — ‚najświętsze skarby dane z nieba darmo niesiemy wam w darze'". — Z innej zasady wychodzili należący do drugiego obozu: „Wszyscy jesteśmy ludźmi, dziećmi jedynego Ojca w niebiesiech, więc zejdźmy się razem i wypowiedzmy, jak każdy z nas wyrobił pojęcie o tej Najwyższej Istocie, o Jej rządach światem, o stosunku nas ludzi do tego naszego Stwórcy, a to na podstawie objawienia zawartego w Biblii, w księgach Wedy, w Zend-Aweście, w Koranie i t. d.". Jak różnemi były zasady, tak różnem było zachowanie się obu tych najogólniejszych stronnictw religijnych.

Zróbmy przegląd pojedyńczych religijnych grup. Zacznijmy od katolików, oni bowiem stanowią jedyną grupę pierwszego obozu, co im najjawniej było przyznane przez wszystkie inne wyznania.

Jak więc zadaniu swemu odpowiedzieli katolicy?

W programie kongresu było postawione, by każde wyznanie wypowiedziało zasady swej wiary, i o ile one wpłynęły na społeczeństwo złożone z jego wyznawców. Przejdźmy więc koleją treść głównych odczytów, podanych przez reprezentantów katolicyzmu. Na czele stoi traktat kardynała ks. Gibbonsa p. t.: Potrzeby ludzkości zaspokojone przez religię katolicką. Była to, rzec można, podana w formie streszczenia zapowiedź tego, co inni prelegenci naszego Kościoła mieli podać w szczegółowych traktatach. Oto główne jej myśli: „Żyjemy wśród cywilizacyi, którą słusznie możemy nazwać katolicką. Do tych dobrodziejstw, które z niej płyną, myśmy już tak przywykli, jako do rzeczy codziennych, do słońca blasku, powietrza, lub ziemi owoców. Wtedy dopiero cenimy ich wartość, gdy staniem wśród ludów, które ich nie znają. Przenieśmy się myślą w czasy przed Chrystusem, gdy zamiast Stwórcy, stworzeniu oddawano cześć. Jezus nauczył ludzkość całą czcić prawego Boga, najświętszego, najsprawiedliwszego i pełnego miłosierdzia. Chrystus dopiero pouczył człowieka, czem on jest i w jakim

zostaje stosunku do Stwórcy. Aż dotąd człowiek był dla siebie samego zagadką, nie wiedział skąd i dokąd idzie. On duszy ludzkiej dał potrójny spokój i szczęście: w stosunku z Bogiem, z bliźnim i własną istotą. Religie pogańskie i judaizm były ekskluzywnie narodowemi. Chrystus pierwszy powiedział: ‚idźcie, nauczajcie wszystkie narody'. Chrystus nam wskazał naszego Ojca w niebie, a Kościół katolicki, idąc za Jego głosem, widząc w każdym człowieku brata, nawoływał do wspierania dzieci, sierot i starców.

„Zadaniem obecnego kongresu ma być przedstawienie zasad wszystkich religij i uznanie tej, która silniejszym nad wszystkie głosy przemówi do waszych serc. Ja już nie szukam, bo ja ją mam i nie kryję tego skarbu, lecz pragnę się nim dzielić ze wszystkimi. — Gdybym szukał prawdy, toby mię Kościół katolicki pociągnął ku sobie tą jednością wiary 250,000.000 dusz, tym wzniosłym systemem prawd moralnych, tem wyrównaniem narodowych różnic, tem dziedzictwem apostolstwa idącem bez przerwy od czasów Chrystusa, a nadewszystko tym olbrzymim, cały świat obejmującym, systemem instytucyj miłosiernych ku pomocy ludzkości, ku ulżeniu jej cierpień...

„Przepatrzmy, co Kościół katolicki zrobił w sprawie uszlachetnienia społeczeństwa ludzi? Przedewszystkiem uświęcenie związków małżeńskich, bo Założyciel tego Kościoła wyrzekł te słowa: ‚Co Bóg połączył, niech tego człowiek nie rozłącza'. Żony i matki! pamiętajcie o tem, że nierozerwalność węzłów małżeńskich, to palladyum waszej godności kobiecej. Jeżeli nie jesteście do dziś, na wzór kobiet na Wschodzie, niewolnicami mężczyzn i igraszką ich kaprysów, lecz równemi mężom waszym i paniami w domu waszym; jeżeli nie jesteście celem intryg waszych rywalek, jak u mormonów i muzułmanów — to zawdzięczacie Kościołowi katolickiemu, zawdzięczacie papieżom, nieugiętym w tej rzeczy względem królów i szlachty i występnego prawodawstwa. Kościół katolicki wziął w opiekę życie człowieka od najpierwszej chwili jego przejawu. Morderstwo dzieci, oto straszne piętno hańby pogańskich cywilizacyj. Najlepsi ich przedstawiciele, jak Solon i Likurg, Plato i Arystoteles, nie widzieli w tem zbrodni.

W Rzymie było to rzeczą zwykłą, u pogan do dziś to istnieje. Kościół katolicki nazwał to zbrodnią gorszą niż Herodowa rzeź niewiniątek, bo zbrodnią dopełnianą na własnej krwi. Kościół katolicki potępił również zbrodniczą teoryę Maltusa. Gdyby mi względy przyzwoitości i obawa zgorszenia nieświadomych nie zamykały ust, mógłbym tu długo mówić o tej strasznej zarazie społecznej skrytego dzieciobójstwa, które się szerzy wśród nas, urągając prawom karnym i prawu bożemu: ‚nie zabijaj!'... — Mówił następnie o domach przytułku dla dzieci i starców, o ‚Siostrach nędzarzy' *(Little Sisters of the Poor)*, które, istniejąc od 1840 roku, obecnie liczą już 150, po całym świecie rozsianych, domów, w których znajduje przytułek 30.000 biedaków, a do roku 1889 umarło w nich przeszło 70.000... „Dla sióstr tych nie istnieją różnice ras, narodów lub wyznań... o jedno tylko pytają: ‚Czy jesteś biedny?... chodź, my ci damy przytułek'. Szpitale nie były znane w starożytności, odpowiedniej nazwy nie znajdziesz w słownikach Grecyi lub Rzymu. To Kościół katolicki, który je rozsiał po całej ziemi. On też posyła siostry miłosierdzia na place boju i do okolic dotkniętych zarazą. Gdy w czasie wojny krymskiej pani Florentyna Nightingale poświęciła się dozorowaniu rannych, dzienniki rozniosły jej imię po całej ziemi — siostry miłosierdzia padają od kul, mrą po szpitalach w czasach zarazy, a nikt o nich światu nie głosi, bo one przed światem ukryły swe imiona.

„Nietylko nędzę cielesną Kościół katolicki bierze w opiekę, lecz i duchową nędzę. Świat starożytny nie znał troski o podniesienie upadłej kobiety; to On, Chrystus, pierwszy dał nam tego przykład, a Kościół katolicki stworzył wyłączne na ten cel instytucye Magdalenek i Dobrego Pasterza. W stu kilkudziesięciu domach 4000 sióstr otacza opieką swoją przeszło 20.000 kobiet tego rodzaju.

„Kościół katolicki pierwszy stanął w obronie niewolnictwa. Gdy Chrystus przyszedł na świat, wszędzie byli niewolnicy. Apostołowie uczyli ich cierpliwości, wskazując przykład Chrystusa, który sam dobrowolnie oddał się na męki; dopuścili ich na równi z innymi do kościoła, do sakramentów i wszelkich pociech

duchowych. Właścicieli niewolników pouczali ludzkości i miłosierdzia ku nim. Kościół katolicki nieustannym trudem skruszył raz na zawsze okowy niewolników. Dziś, Bogu dzięki, skoro niewolnik stanie na ziemi chrześcijan, w tej chwili zostaje wolnym. Lud roboczy w Rzymie był uważany na równi z niewolnikami. Chrystus uszlachetnił rękodzielniczą pracę, On młodość swoją spędził w warsztacie, nosił miano syna cieśli. Jeśli uczeni, artyści, wojownicy szczycą się imionami geniuszów wyszłych z ich sfery, to lud roboczy niech pamięta, że Chrystus był z ich grona.

„Tak więc! prawdziwe pojęcie Boga i człowieka, zachęta do wytrwania wśród cierpień w tem życiu, uświęcenie małżeństwa, obrona życia człowieka od jego pierwszej aż do ostatniej chwili, szkoły dla dzieci a domy przytułku dla starców, szpitale dla chorych i zakłady dla kobiet upadłych, zniesienie niewolnictwa i uczczenie pracy rękodzielniczej — oto dobrodziejstwa, które Kościół katolicki przyniósł społeczeństwu!... Nie przeczę, ah! więcej, jestem szczęśliwy, iż mogę zaświadczyć, że i wy, nasi bracia chrześcijanie, stojący poza moim Kościołem, pracujecie gorliwie w tej sprawie. Któż nie zna imion Wilsona, Shepherda, Hopkinsa, Prata, Peabody i innych? Lecz przyznajcie nam bracia, że my pierwsi byliśmy na tem polu, żeśmy wam przykład i zachętę dali. A więc pracujmy wszyscy na tej roli, bo każdy z nas ma od Boga rozkaz nieść pomoc bratu swojemu. Różni nas wiara, lecz, Bogu dzięki, jedno ogniwo łączy nas wszystkich: miłosierdzie i dobroczynność“...

Mowa ta wywarła ogromne wrażenie, tysiące egzemplarzy rozeszło się wśród uczestników kongresu. Inne odczyty były następującej treści: ks. Hewit mówił o istnieniu Boga, wykazując iż niema narodu, któryby tej wiary nie posiadał; że cały ustrój wszechświata i istota naszej myśli jest niezbitym dowodem istnienia tej Najwyższej Istoty. Ks. biskup Keane mówił o wcieleniu Syna Bożego, dowodząc również, iż wiara w inkarnacyę Boga była i jest niemal u wszystkich narodów wyższych cywilizacyj, a zaś oczekiwanie przyjścia Zbawiciela świata było nietylko u Żydów, nietylko autorowie ksiąg Starego Testamentu o tem świadczą, lecz i inni pogańscy pisarze. Ks. Byrne, mówiąc

o stanowisku człowieka z katolickiego punktu widzenia, zaznaczył tę zasadniczą jego od panteizmu różnicę, że ten w człowieku widzi emanacyę, że tak powiem, cząstkę Boga, a katolicyzm uznaje w nim tylko obraz i podobieństwo boże. Tenże ks. Byrne podniósł w innym odczycie zasadę, iż religia jest objawioną, a więc dogmat musi mieć sankcyę Kościoła i nie ma prawa być wytworem myśli jednostki. Arcybiskup Ireland mówił o tem, że Kościół katolicki ma siłę potrzebną ku rozwiązaniu wszystkich spraw życiowych na dziś i w przyszłości. „Rozbrat wiary i nauki — tak mówił — jest tylko pozornym, bo jedno i drugie pochodzi od jedynego Boga, więc tylko niedouk i zły teolog mogą się różnić w głównych zasadach. Czem jest historya Kościoła katolickiego? To walka przeciw niewoli, przeciw despotyzmowi monarchów; to obrona narodowości, obrona biednych, obrona kobiety... Patrzcie, to są zasady, które dziś nauka nazywa swoją zdobyczą... Przy narodzinach naszej cywilizacyi stał Kościół katolicki, on też przy niej stoi do dziś... stary tysiące lat a zawsze młody i pełen sił, on i przyszłości będzie przodował“... Arcyb. Chapell mówił o rozwoju dogmatyki naszego Kościoła aż do Niepokalanego Poczęcia N. P. Maryi, i nieomylności papieża. Niezmiernie ważny był odczyt ks. Seton'a o Biblii. Przedewszystkiem podniósł to, iż Biblia nie zawiera całej nauki chrześcijańskiej. Kościół już wtedy istniał, gdy najważniejsza część Biblii, Nowy Testament, jeszcze nie była spisaną, a więc nauka Kościoła i Biblia to nie jest jedno i to samo. Spisane księgi objawienia Kościół wziął w depozyt jako wielką świętość; strzeże ich, z nich czerpie naukę, a więc nie może dozwolić, by każdy, kto zechce, bez należnego przygotowania roztrząsał słowa objawienia i z nich wysnuwał dowolne wnioski. Piękny był bardzo o katolickiem wychowaniu dzieci pośmiertny odczyt Brata Szkolnego Azaryi, który na parę miesięcy przedtem zakończył życie; a niezmiernej doniosłości i ogromne robiący wrażenie był odczyt o małżeństwie przez p. Wade, profesora szkoły prawników w Ohio. Jako zasadę postawił to, że małżeństwo nie jest zawarciem jednego, lecz trzech kontraktów: z Bogiem, z ludzkością, a dopiero trzeci, ostatni, to kontrakt osobisty.

Wypowiedziawszy następnie zasadę, że ułatwienie rozwodu prowadzi do upadku społeczeństwa, zestawił przerażające w tym względzie cyfry: w roku 1867 było w Stanach Zjednoczonych 9937 rozwodów, a w 1886 roku już liczba ich doszła do 25.535; wszystkich zaś rozwodów w tym czasie było 328.716. „Patrzcie! — zawołał — oto w ciągu 20 lat tyle ognisk domowych zgaszonych, tyle ojców i matek ze złamanem życiem, a kilkakroć tyle zgorszonych dzieci, moralnych sierot! Oto straszny obraz następstw rozwodowych". Przypomniał następnie te wszystkie walki, które Stolica Apostolska stoczyła w obronie świętości związków małżeńskich i przytoczył słowa Van Muelera, protestanckiego historyka: „Gdyby papieże żadnych innych zasług nie położyli, to ta jedna nieugięta walka w obronie monogamii okryłaby ich sławą na wieki". Wkońcu napiętnował mianem „zbrodniczego prawodawstwa" ustawy kilku Stanów, w których można dostać rozwód na podstawie kilkomiesięcznego zamieszkania bez żony w tym kraju. Żądał, by to prawo było zniesione, a nadto, by za zbrodnię było uznanem to, co się najczęściej zdarza, iż ojciec opuszczając matkę, wyrzeka się dzieci i nie troszczy się o nie. — Odczyt ks. Donnely'ego traktował o stosunku Kościoła do biednych i wydziedziczonych. Autor wspomniał, iż od najpierwszych czasów Kościół katolicki żądał od wiernych, by dawali jałmużnę uboższym braciom; zaznaczył wielkie zasługi Francyi w sprawie dobroczynności, wyliczając główne kongregacye i zakłady miłosierne w tym kraju; wypowiedział jednak przekonanie, że w krótkim czasie pierwszeństwo wezmą Stany Zjednoczone, w których tylko katolicy wyłącznie mają już przeszło 700 zakładów dobroczynnych. Wkońcu wygłosił z naciskiem zasadę, że Chrystus błogosławił b i e d n y c h ale nie w y d z i e d z i c z o n y c h, przez co stanowczą nakreślił granicę między dwiema, tak często plątanemi z sobą sprawami: sprawą miłosierdzia i sprawą socyalizmu. O tym traktował odczyt ks. Cleury p. t.: „Religia i praca". Podniósłszy znaczenie w tej sprawie encykliki Ojca świętego, twierdził, iż jest rzeczą nieprawą normować zapłatę roboczą wedle możliwego *minimum*, bez żadnych względów na to, że robotnik, jak każdy człowiek,

ma słuszne prawo żądać, aby mógł mieć znośny byt i kształcić się duchowo. Robienie z człowieka maszyny kującej pieniądze, przeciwne jest prawom bożym. Religia uczy, że kapitał ma obowiązki względem pracy, a ich zbliżenie się wzajemne, to jej stanowcze żądanie.

„I kto jest dzisiaj obrońcą tych mas roboczych? — tak wołał — najwyżsi dostojnicy Kościoła katolickiego. Wśród nas tu żyje kardynał Gibbons, a żywo nam jeszcze stoi przed oczyma postać człowieka, który z koła najwyższych sfer towarzyskich zeszedł z własnego popędu serca do tłumu roboczego ludu, który go bronił, pocieszał, który tylekroć ochronił Londyn od hańby walk bratobójczych... Azali nie znacie jego imienia?... Kardynał Manning!“

Ks. Slatery miał odczyt p. t. „Kościół katolicki i rasa murzyńska“, w którym powiedział, iż zasadą naszej religii jest to, iż cały ród ludzki idzie od jednej pary pierwszych rodziców, a więc Murzyn jest takimże człowiekiem, jak inni. W krajach, gdzie Kościół katolicki ma przewodni głos, niema kwestyi murzyńskiej; on też ustanowił zakony, których wyłącznym celem było wykupowanie niewolników. Zacytowawszy wyrok Ojca świętego, Leona XIII., w którym karci zasadę, jakoby Murzyn z natury już był człowiekiem upośledzonym, jako twierdzenie ubliżające godności człowieka, zakończył pięknem podaniem o Michale Aniole, który ujrzawszy razu pewnego nieociosaną bryłę marmuru, zawołał radośnie: „o jakiż to piękny anioł!“... pod dłutem artysty wyłonił się z tego głazu przez niego tylko dojrzany anioł. Religia ma także potęgę geniuszu, który z nieociosanych brył tworzy postacie wzniosłej piękności. — Ks. Walter Elliot mówił o najwyższym celu religii, którym jest duchowe przeistoczenie się człowieka; bo religia robi człowieka dobrym mocą dobroci Boga, który ją nam objawił. — Odczytem o „stosunku Ameryki do katolicyzmu“ ks. Gorman, profesor katolickiego uniwersytetu w Waszyngtonie, poruszył do głębi uczucia religijne i patryotyczne swoich rodaków. Po krótkim wstępie historycznym, w którym mówił o stosunkach Stolicy Apostolskiej w wieku X. z koloniami chrześcijan w Grenlandyi, podniósł

ten fakt, że przewodnią myślą odkrycia Ameryki była gorąca chęć Kolumba i Izabelli niesienia w najdalsze krańce świata nauki Chrystusowej. Odkrycie więc Ameryki jest głównie zasługą Kościoła katolickiego, on to założył to wielkie państwo, które dziś jest dla świata podziwem, a jutro będzie jego przodownikiem... „Katolickie kolonie w Marylandzie pierwsze postawiły zasadę swobody wyznań i określiły ją prawem. To było pierwowzorem głównych, religii dotyczących artykułów naszej konstytucyi, a mianowicie: po pierwsze, iż piastowanie urzędów państwowych nie jest zawarunkowane żadnemi względami wyznaniowemi; powtóre, iż kongres nie ma mocy stanowić jakichkolwiek praw, dotyczących religii. Przez to prawo państwo orzekło, iż uznaje samo siebie niezdolnem do stanowienia uchwał w sprawie religii. To jest rozdział kościoła i państwa — tak! lecz wręcz przeciwny czerwono-republikańskim zasadom w Europie. Tam niema rozdziału kościoła i państwa, tam jest prześladowanie kościoła przez państwo. U nas tego rozdziału podstawą nie jest indyferentyzm — nie chcę powiedzieć nienawiść — względem religii, lecz swoboda wyznań i wzajemny szacunek Kościoła i państwa. Nasze kościoły istnieją, organizują się, rządzą własną swą wolą w granicach powszechnych swobód państwowych, na straży których stoi rząd. My rozumiemy, że w narodzie religia i władza państwowa, to jak dusza i ciało w jednostce ludzkiej. Jeżeli Kościół od państwa żąda ochrony swych swobód, to państwo o wiele więcej potrzebuje religijnej pomocy kościoła ku utrwaleniu swojego bytu. U nas jest rozdział kościoła od państwa, lecz niema rozdziału narodu od religii". Przytoczywszy twierdzenia licznych autorów, świadczących o tem, że w żadnym narodzie religia nie ma takiego wpływu na życie publiczne, jak w Stanach Zjednoczonych, powołał się na świadectwo Ojca św.... „azali posądzicie o nieszczerość Leona XIII., który tylekroć wypowiedział swoje uznanie dla naszej konstytucyi, a szczególnie w dniu swego jubileuszu, gdy mu prezydent Cleveland wraz z innemi darami ofiarował egzemplarz naszej konstytucyi?... azali bluźnierstwem nazwiecie głos jego wysłańca, arcybiskupa Satollego, który przed niewielu dniami rozbrzmiał

tu w tej sali: ‚katolicy Ameryki! naprzód! wciąż naprzód! z Ewangelią w jednej, a konstytucyą Stanów Zjednoczonych w drugiej ręce'". Następnie zaznaczył zasługę Stanów Zjednoczonych, które postawiły zasadę wszechświatowego pokoju i międzynarodowych rozjemczych sądów, i że, odkąd to państwo istnieje, już 48 razy wzięło udział w takich sądach, a siedm razy było sędzią — i zakończył w te słowa: „Jesteśmy głęboko przekonani, że Boża Opatrzność doprowadziła do odkrycia tej ziemi; że na to przywiodła tu miliony wychodźców, by w państwie, które oni stworzyli, chrześcijanizm katolicki doszedł najwyższego rozkwitu drogą wcielenia w życie prywatne i publiczne prawd naukowych i objawionych. W tym parlamencie każdy ma wolne prawo głosu, więc z głębi mej duszy głoszę to przekonanie, iż w katolickiej religii jest pełnia prawdy, rozumowej i objawionej; że katolicyzm jest najsilniejszą twierdzą ustaw i rządów naszej rzeczypospolitej. Nigdzie Kościół katolicki nie ma tak rozległego pola do działania, jak w Stanach Zjednoczonych".

Pozostaje mi jeszcze wspomnieć o odczycie ks. Harleza, o „porównawczych studyach religij". Zaznaczywszy, iż początkowo ludzie szczerej wiary byli zaniepokojeni niezwykle szybkim rozwojem tej nauki, grożącej podówczas zachwianiem uczuć religijnych; dowiódł, iż dzisiaj obawy te okazały się płonnemi. Ostatnie wyniki sumiennie przeprowadzonych prac stwierdzają coraz jaśniej a jaśniej te dwie, ogromnej doniosłości, zasady: najpierw, że monoteizm poprzedził wszystkie inne religie, i że te są tylko mniej lub więcej spaczonym przetworem tej pierwszej wiary — a powtóre, że ta wiara w Boga nie jest wyrobem myśli ludzkiej, lecz przeciwnie, ona tkwi w samej istocie duszy człowieka.

Oto jest treść najważniejszych odczytów, wygłoszonych przez katolickich mówców. Wszystkich razem było dwadzieścia kilka. O odczycie ks. biskupa Keane'a, p. t.: „Religia w przyszłości", będę mówił przy końcu opisu.

Kto choćby tylko tytuły odczytów katolickich przepatrzył, ten musiał przyznać, iż żadne wyznanie nie odpowiedziało programowi kongresu tak wyczerpująco, jak to zrobili katolicy.

Nadto odczyty ich cechowała zwięzłość, dosadność — nie było w nich wielomówstwa. Kto się o tem chce przekonać, niech porówna ich mowy z mowami na takież temata przedstawicieli innych wyznań. Katolicy szli za przykładem swego przewódcy, ks. Gibbons'a, którego ks. Keane w ten sposób scharakteryzował, iż u niego miarą wszelkiej sprawy i zasady jest jej doniosłość w stosunkach życiowych będących na dobie, że jego pierwszem pytaniem jest zawsze: *will it work?*

Lecz najważniejszą stroną tych odczytów, to był ich duchowy charakter. Katolicy stanęli na tejże trybunie z wyznawcami innych religij, podali wszystkie zasadnicze punkta swego wyznania i ich życiowe zastosowanie, odpowiedzieli na wszystkie główne pytania, podane w programie, lecz wszystkie te mowy były dogmatyczne. Poza ich treścią słyszałeś wciąż wypowiadaną stanowczo zasadę: „chcecie poznać naszą religię? — oto ją macie! — my skarbu naszego nie ukrywamy, chcemy się nim dzielić ze wszystkimi... lecz żadnych ustępstw robić nie mamy prawa, bo to jest objawienie, to dar bożej łaski, a nie wytwór naszej własnej myśli“... Wierząc w nieomylność głoszonych zasad i prawd, ani im na myśl nie przyszło porównywać je z tem, co inne wyznania prawdą nazywały, żaden z nich ani jednem słowem tego nie uczynił, a mówcy innych wyznań czynili to wielokrotnie.

Jeżeli nadto weźmiemy na uwagę, że już poprzednio oczy wszystkich, w ciągu całego tygodnia, były zwrócone wyłącznie na kongres katolicki, jeden z największych, bo zajmujący na swe obrady niemal cały ten ogromny gmach; jeżeli dodamy obecne ich wystąpienie, naukową doniosłość ich rozpraw, charakter stanowczy, nieugięty, a i odwagę cywilną w wypowiadaniu zasad i karceniu występków... wtedy dopiero zrozumiemy to ogromne wrażenie, jakie katolicy tameczni wywarli na cały ogół. Na zgromadzeniu unitaryanów wypowiedziano głośno zdanie, iż opinia ogólna twierdzi, że parlament religijny posiedli katolicy i poganie, tą drugą nazwą obejmując wogóle wszystkie inne niechrześcijańskie wyznania. Rzeczywiście! odczyty tych ostatnich daleko więcej zwracały na siebie uwagę, niż większa część tra-

ktatów duchowieństwa protestanckich wyznań; często niezwykle pięknej formy, lecz niebogatej, zpowszedniałej treści, a charakteru chwiejnego. Nie przypominam sobie — z wyjątkiem biskupa amerykańskiego kościoła, ks. Dudleya — czy na którego z nich publiczność wołała, by nie przerywał odczytu, chociaż był za długi, jak to się zdarzyło biskupowi katolickiemu, ks. Keane'owi, gdy czytał o wcieleniu Słowa. Innych prelegentów prezes traktował inaczej; wprost za plecyma szeptał im, iż pora zakończyć, a słuchacze wcale przeciwko temu nie protestowali. Byłem już od roku w korespondencyi z komitetem, więc mię zaszczycano względami na równi z innymi przedstawicielami wyznań; proszono, bym zasiadał na trybunie, lecz tylko kilka razy uległem żądaniu, wolałem bowiem siedzieć na dole, wśród korespondentów, skąd miałem widok na całą trybunę i mogłem śledzić na twarzach tam siedzących wrażenie czytanych traktatów. Warto było widzieć, z jaką natężoną uwagą słuchano odczytów katolickich. Gdy ks. Seton mówił o Biblii, a p. Wade o małżeństwie, o tych zasadniczych punktach, wyróżniających katolicyzm i protestantyzm wogóle, trybuna była pełna duchowieństwa protestanckiego... niektórzy chwiali głowami, kilku się uśmiechało, lecz byli i głęboko zadumani. Gdy który z n i c h mówił, niewiele uważano, bo mówił w tymże duchu i tak samo, jak każdy z nich tylekroć już mówił. — Na zgromadzeniu metodystów zapytano pastora Cook'a: co on myśli o wpływie parlamentu na przyszłość protestantyzmu i czy nie sądzi, że on podniesie katolików na jeszcze wyższe niż dotychczas stanowisko?... Pastor Cook odpowiedział, że jeszcze o skutkach kongresu nie da się nic powiedzieć, że początkowo miał wielkie obawy, których się jeszcze do dziś w zupełności nie pozbył — szczególnie względem sprawy misyonarzy (która właśnie w tych dniach stanęła w fatalnem świetle); co do katolików, pocieszał siebie i drugich twierdzeniem, iż dziennikarze dziesięćkroć powiększają doniosłość tego wrażenia, jakie katolicy wywarli na ogół swem stanowiskiem, zajętem w parlamencie.

Do ogólnego obrazu tego wrażenia, które pastor Cook przyznawał, lecz tylko w jednej dziesiątej części, niech mi będzie

wolno dodać tę wieść, którą sam słyszałem w kole protestantów episkopalnych. Nie przywiązuję do niej wielkiej wagi, lecz, że ona właśnie gruchnęła w czasie tego ruchu religijnego, to rzuca niemałe światło na doniosłość sprawy katolików i w tym ruchu, i w tym parlamencie. Mówiono, jak o rzeczy najpewniejszej, iż katolicy robią starania, by skłonić Ojca świętego, aby przeniósł swą stolicę do Ameryki, do Stanów Zjednoczonych. Prócz tych głosów poza obrębem parlamentu, również i na posiedzeniach jego publicznych, w samychże odczytach protestantów trafiały się nieraz ustępy, w których wprost lub ubocznie wyrażone było uznanie silnej organizacyi naszego Kościoła i niewzruszonej jedności jego nauki. Biskupa Keane'a, który z liczby katolików najczęściej bywał na posiedzeniach, otaczano niezwykłym szacunkiem. Muszę tu dodać, że ks. Keane wziął na siebie najtrudniejszą misyę w tym parlamencie, w osobnym bowiem pokoju, gdzie były rozdawane i sprzedawane rozmaite pisma katolickie, wyznaczył pewne godziny, w których każdemu wolno było przyjść w celu zasięgnięcia od niego wyjaśnień względem religii katolickiej. Przychodzili więc tam do niego protestanci, z którymi on dysputował. Byłem świadkiem kilku takich posiedzeń, i byłem zbudowany z jednej strony powagą Biskupa, z drugiej zaś, wdrożeniem się do porządku tamecznej publiczności. Zwykle bywało tak, iż jeden, a najwięcej dwóch zasiadało do dyskusyi z Biskupem — wokoło zaś setka słuchaczy na stołkach i stołach, siedziała, stała, przysłuchując się rozmowie. Nie było tam prezesa, nikt głosu nie dawał, nie nawoływał do porządku, bo to zupełnie było niepotrzebne. Godzinę a często i więcej trwały rozprawy, a wszystko się odbywało w największym spokoju. — Inne wyznania nie wyznaczyły takich pogadanek.

(C. d. n.).

Michał Żmigrodzki.

Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI.

Urywki z pamiętnika.

V. Życie w Omsku na swoją rękę.

Skończyła się więc już wtedy moja żołnierka, jakkolwiek długi czas jeszcze nazywałem się żołnierzem inwalidnej komendy, i prywatnie tylko, wskutek woli pana Krupienikowa, której opierać się nikt nie miał ochoty, wyniosłem się z koszar; a poczciwy major Nagibin, wiedząc, że to z dobrem dla mnie będzie, rad był nawet, że mię zwalnia od obowiązku zamieszkiwania kojki, która bądź co bądź mieściła się w koszarach i miała przeto wiele wspólnych cech z niemi.

Jednocześnie pracowałem w biurze Wymiarów ziem zachodniej Syberyi, którego naczelnik, pułkownik jeneralnego sztabu Kuźmin, przyjaciel Krupienikowa, dał mi tam robotę, wbrew srogiej instrukcyi, egzystującej jeszcze wówczas, aby żadnego Polaka do biura nie przyjmować.

Przy tych obowiązkach przebyłem dwa lata, w ciągu których zdrowie poprawiło mi się znacznie, bo powietrze w willi pod laskiem i dobry wikt u państwa Ochrymowiczów, zresztą i inne warunki życia, skutecznie do tego dopomogły. Ale zmartwień w tym czasie miałem bodaj czy nie więcej niż poprzednio: Najprzód listy z kraju zawiadomiły mię, że matka moja, ze zgryzot po wywiezionych synach, dostała zapalenia mózgu i po krót-

kiej słabości żyć przestała. Była to więc już druga strata najukochańszej osoby, jaką poniosłem od czasu uwięzienia mię w Grodnie; jeszcze bowiem będąc w grodzieńskiem więzieniu, dowiedziałem się o śmierci starszej siostry Michaliny, która też nie mogąc przenieść obawy o los uwięzionych braci, wpadła w jakąś chorobę i przeniosła się do wieczności; a była to tęga, zdrowa i dobra dziewczynka, kochana przez nas bardzo siostrzyczka. Bóg zabrał ją do swojej chwały na samym początku doświadczeń jej braci, a w parę lat za nią poszła i matka. Czy na nas cięży wina ich śmierci? Nie — są to pośrednie ofiary biednej naszej ojczyzny; świeć Panie ich duszom! — Drugie zmartwienie, ale już innego gatunku, miałem w zarządzie powiatu omskiego. W roku 1867, wskutek rozporządzenia ministeryalnego, wszyscy Polacy, zesłani w sołdaty, zostali „wypędzeni“ z wojska, aby między żołnierzami nie rozkrzewiali szkodliwych idei. Wykreślono więc nas z listy żołnierzy i oddano pod wiedzę cywilnych zarządów powiatowych, które miały trzymać nas pod swoim policyjnym dozorem i wypłacać każdemu po 7 kopiejek dziennie na utrzymanie, w ratach miesięcznych, czyli po 2 rs. 10 kop. miesięcznie. Musieliśmy więc co miesiąc stawiać się w tym zarządzie, zapisywać miejsce swego zamieszkania i odbierać ową kwotę na miesięczne utrzymanie, tj. opłacenie kwatery, życie i odzież.

W zarządzie tym był *niepremiennyj zasiedatiel* (dosłownie: „mający koniecznie zasiadać“ — niby niezbędny członek), którego nazwiska już obecnie nie pamiętam, człowiek, wpadający w wściekłość na widok Polaka, gbur i awanturnik do najwyższego stopnia. Za jego sprawą wielu z naszych biednych wygnańców srogie cierpieli męczarnie, niejednych ćwiczyli rózgami, trzymali po lochach lub chlewach w zamknięciu, wypędzali nagich na mróz i t. p. wyrządzali brewerye. Czasami więc wolał niejeden wyrzec się „karmowych“, byleby nie iść do zarządu, aby nie wpaść w oko temu szatanowi, który każdemu prawie zalał sadła za skórę. Unikałem więc i ja go starannie. Razu jednego wszakże, potrzebując bardzo tego zasiłku, który nam rząd wspaniale wyznaczyć raczył, wślizgnąłem się jakoś do biura i poszedłem do stołu urzędnika, wypłacającego raty. Ledwiem zaczął

coś mówić półszeptem do tego pana, gdy za plecami memi poczułem już kogoś, a pan urzędnik wyciągnął się przede mną jak struna.

— *Ty kto takòj!* — wrzasnęło mi coś z tyłu, aż szyby w oknach brzęczały. Poznałem słowika o niedźwiedzim głosie, ale udaję, że nie wiem o kogo się pyta — i prowadzę dalej rozpoczętą rozmowę o „karmowych".

— *Ty kto takòj!* — powtórzyło się raz drugi.

Milczę i nie obracam się.

— *Tiebiè goworiàt, ty kto takòj!* (tobie mówią, coś ty za jeden) — zaszedłszy już z boku, pod same uszy ryknął mi niedźwiedź, i jakby chciał rozszarpać, tak patrzył na mnie srogo.

Już byłem zły za gburowatość i niewłaściwy ton zapytania, zresztą pałałem nienawiścią za rozmaite wiadome nam krzywdy, jakie wyrządzał naszym; niedługo więc myśląc, odpłaciłem mu tą samą formą i mówię: *A tiebiè kak kàżetsa? — czełowiek ili skotina, kak ty?* (a tobie jak się zdaje? — człowiek, czy bydlę takie jak ty?)

— Ależ panie, — zawołał pan urzędnik, do którego przyszedłem — to nasz *niepremiennyj zasiedatiel!*

— A niech będzie kto chce, — odpowiadam — za niegrzeczne zapytanie ma niegrzeczną odpowiedź.

Zmieszał się na chwilę pan niezbędny członek zarządu, zaczął się cofać do swego pokoju *(prysutstwie)*, i gdy już był przy progu, wtedy zawołał znów:

— Chodź, chodź tu, powtórz coś powiedział!

— Szukaj takiego durnia jakeś sam, żeby z tobą tam poszedł — powiedziałem głośno przy wszystkich, i wyszedłem z urzędu. — A trzeba wiedzieć, że w każdym urzędzie w Rosyi jest pokój zwany *prysutstwie*, w którym zasiadają najważniejsi członkowie, i w którym na stole zwykle stoi *zièrcało*, tj. trójkątna złocona szafka, z orłem dwugłowym na wierzchu, zawierająca trzy za szkło oprawne ukazy cara Piotra Wielkiego i carycy Katarzyny, stanowiące pewne regulamina przyzwoitości, i w takim pokoju zwykle znajduje się portret panującego. Jeżeliby więc w tym pokoju, wobec tego *zièrcała* i portretu, ktokolwiek

z prywatnych osób jakąkolwiek wyrządził niegrzeczność któremu z członków prysutstwia, bez żadnej apelacyi oddaje się go pod sąd i jest karany jako zbrodniarz stanu. Wiedziałem o tem dobrze, i dlatego nie dałem się tam zaprosić, kiedy i w pierwszym pokoju, wobec wszystkich niższych urzędników, to com powiedział jeszcze bardziej przykrem mu być musiało, a tego chciałem. Wieczorem tegoż samego dnia przyszedł jeden z kolegów, który po mojem wyjściu został jeszcze w urzędzie i był świadkiem tego co się tam działo, i opowiedział mi, co następuje:

Pan członek zarządu, kiedym drzwi za sobą zatrzasnął, kazał sporządzić protokół całego zajścia, podpisany przez wszystkich obecnych świadków, i zawyrokował już, że dostanę 50 rózg — czekał tylko na przybycie naczelnika powiatu, który miał dać swoją sankcyę temu postanowieniu. Naczelnik powiatu przybył, rozpatrzył rzecz i protokół z wnioskiem członka podpisał. Miałem więc dostać 50 rózg nieodwołalnie, a służba policyjna otrzymała już polecenie wyszukać mnie i przyprowadzić do zarządu.

Wtedy, któryś z urzędników, któremu pan członek nie bardzo widać mile leżał na sercu, podszepnął panu naczelnikowi, że należałoby przedtem zajrzeć do mego formularza, żeby czasami nie nawołać sobie jakiej biedy, bo ten sołdacik, jak powiadał, jakoś bardzo pewnym był siebie odgryzając się panu członkowi; kto on taki? — trzebaby się dokładnie przekonać.

Zaglądnęli więc do księgi formularzy, i o *fiasco!* — znaleźli tam wypisane wyraźnie: „niepozbawiony praw szlachectwa“, którego zatem rózgami bić nie wolno, a przynajmniej ma prawo upomnieć się o to. Niema co, schowali protokół pod sukno, ale jednak naszeptawszy się coś pomiędzy sobą, pan naczelnik powiatu wydał rozporządzenie, żeby mię do biura powołać.

Naczelnika powiatu nie znałem bliżej, ale kilka razy widziałem go w gabinecie Krupienikowa, gdzie naturalnie byłem jak domowy, a on stał przy progu i słuchał dyspozycyj, jakie mu Krupieników wydawał, otrzymawszy je, skłonił się z uszanowaniem i wyszedł. Tyle więc było naszej znajomości, żeśmy przy wejściu i wyjściu pana naczelnika powiatu do gabinetu

Krupienikowa kiwali sobie głowami. Jednak i to mi, jak się okazało, znakomicie pomogło. Nie czekając, aż policyant przyjdzie po mnie, nazajutrz raniutko poszedłem do pana naczelnika powiatu do domu. Zameldowałem się bez nazwiska, by nie przypominać zawczasu wczorajszego protokółu, i na wezwanie stawiłem się przed panem naczelnikiem. Z początku myślał, żem od Krupienikowa przysłany po co, zaraz bowiem mię poznał, ale, gdym mu powiedział, że jestem ten sam, któremu wczoraj postanowiono dać 50 rózg, że przychodzę mu wytłumaczyć zajście, do którego sam pan członek zarządu dał pierwszy powód, zmieszał się bardzo, zaprzeczył wszelkim decyzyom swoim przeciwko mnie w tej sprawie, a owszem oświadczył, że pan członek, jako znany już z gburowatości, dostał od niego srogi *wygowor* (wymówkę), i że nic podobnego więcej się nie powtórzy — za to on ręczy.

Jeszcze jedna, podobnego rodzaju, nieprzyjemność spotkała mię w biurze wymiarów, gdzie pracowałem jako dyurnista. Także jeden z zawziętych nieprzyjaciół naszych wyrządził mi jakąś impertynencyę, która wymagała satysfakcyi, ale już nie sam ją sobie wymierzyć chciałem, lecz domagałem się takowej od właściwej władzy. Wprawdzie pomocnik naczelnika biura, radca kolegialny Szyroków, natychmiast własnoręcznie wyrzucił tamtego za drzwi, ale, ponieważ on wyjątkowo był dla mnie łaskaw, co mogło w innych obudzić tem silniejszy przeciwko niemu protest za pokrzywdzenie kolegi w sprawie z Polakiem, chciałem, aby sam naczelnik ujął się za mną, a skarcił winowajcę przed kompletem biura, tak jak impertynencya wyrządzoną była.

Pan Kuźmin, niegdyś pułkownik, do tego stopnia liberalny, że wszystkich jenerałów nazywał *skotami* (bydlętami) i mówił, że to już jest w naturze moskiewskiej zostać koniecznie bydlęciem po otrzymaniu stopnia jenerała, a o ile który ma więcej krzyżów, tem większy łotr, bo teraz nie łotrów na krzyżu, lecz krzyże na łotrach wieszają (Kuźmin, będąc pułkownikiem, nie miał żadnego krzyża) — naówczas był już jenerałem i zdaje mi się, miał nawet krzyżyk na piersiach. Do niego więc udałem się ze skargą na odniesioną krzywdę. Mieszkał na piętrze tego sa-

mego domu, w którym mieściły się biura. Wysłuchał mię uważnie i przyrzekł, że winnego przykładnie ukarze. I rzeczywiście musiał ukarać, bo winowajca zaraz wezwany był na górę, a powrócił mocno zaczerwieniony i z wielce spuszczonym nosem; ale to nie było po mojej myśli. Ja chciałem, aby pan naczelnik, w biurze, przy wszystkich urzędnikach, kazał mię przeprosić w swojej obecności, aby tem i dla innych dać dobry przykład szanowania osobistej godności każdego, bez względu na stan, w jakim się znajduje, i bez względu na rolę, jaką pełni. Po kilku więc dniach, jakby nie wiedząc o wzywaniu mego przeciwnika na górę, znów poszedłem do pana jenerała, upominając się o satysfakcyę.

— O, ja go zgromiłem porządnie, — powiada pan jenerał — więcej już tego nie zrobi.

— Tak, panie jenerale, — powiadam — bardzo to być może, i wierzę temu najmocniej, ale sprawa wymaga, aby to zgromienie odbyło się na miejscu występku, wobec urzędników, a nie tu, na cztery oczy.

— No, widzi pan, — odparł pan jenerał — tego mi robić nie wypada, mogą powiedzieć, że za gorąco za panem obstaję.

— Aha — odpowiedziałem mu na to — więc dlatego, żem Polak, nie wypada gorąco obstawać za mną? Czy to ostatnie słowo pana jenerała? — pytam.

— Ostatnie, bo widzi pan...

Nie dałem mu dokończyć i mówię:

— Nie pozostaje mi więc, jak przypomnieć panu to, coś, będąc pułkownikiem, mówił o jenerałach, i przyznać mu teraz zupełną słuszność ówczesnego twierdzenia; żegnam pana jenerała — i wyszedłem, naturalnie nie do biura, ale prosto do domu i więcej już nie wróciłem.

Ciężkie znów nastały czasy! Dziatki Ochrymowiczów przeszły do zakładów naukowych, a darmo mieszkać u nich nie chciałem, posadę w biurze wymiarowem musiałem opuścić, jednocześnie więc prawie nastało kompletne bezrobocie, a i zapasów pieniężnych nie było żadnych, bo te 8 rs. miesięcznie, które pobierałem w biurze, rozchodziły się przedtem, zanim je

dostałem, a u Ochrymowiczów pracowałem nad dziećmi za stół i mieszkanie. Wprawdzie Krupieników byłby mi dał pieniędzy, ile tylko potrzeba, bo nawet dopytywał się nieraz, czy nie mam jakich potrzeb materyalnych, ale ja od takowych starannie się wymawiałem, tem więcej, że bez tych zapytań często zaopatrywał potrzeby moje, przywożąc rozmaite prezenta w bieliźnie, ubraniu i t. p. rzeczach. Pod tym względem więc byłem zaopatrzony już nieźle, ale gotówki nie miałem wcale, tylko te 2 rs. 10 kop., które dostawałem od rządu, a potrzeba było nająć kwaterę i dalej żyć o własnych środkach.

Wówczas świeżo zorganizowaną była w Omsku izba kontrolna, która wielu z naszych przyjęła, bo tam przyjmować na posady dyurnistów pozwolono było i płacili nawet stosunkowo lepiej, jak gdzieindziej — tam więc się udałem, ale nieszczęśliwie: prezes powiedział, że już wakujących posad niema, i czy będą takowe, nie wie. Nie było co począć, potrzeba było czekać, ale jednak żyć. Wynająłem więc ciupkę malutką, za rubla miesięcznie, z obowiązkiem dawania mi codzień kołacza do herbaty rano i wieczorem, a drugiego rubla i 10 kop. przeznaczyłem na wszystkie inne potrzeby, tj. obiad, herbatę, cukier, praczkę i tytoń — a musiało na wszystko wystarczyć. Dzięki taniości chleba i *prostokwaszy* (zbierane mleko kwaśne), rzeczywiście wystarczało, chleba bowiem można było kupić u dawnych kolegów żołnierzy, frymarczących świeżym chlebem, za 10 kop. ogromny bochen, który śmiało wystarczał na tydzień, prostokwaszy garnek za 3 kop. także na 4 albo 5 dni wystarczał; więc codzień z rana najprzód miałem kilka szklanek herbaty o jednym kawałeczku cukru na *przykąskę*, albo czasami i bez niego, a do herbaty kołacz gospodarski, w święta zaś jakieś inne gorące ciasto, które mi gosposia dawała z grzeczności; w południe talerz kwaśnego mleka z kawałkiem chleba, przed wieczorem suchy kawałek chleba, a wieczorem znów herbata, jak rano, i tak było sześć dni w tygodniu, a siódmego dnia formalny obiad gorący i z mięsem, który, przy swoim chlebie, kosztował 10 kop. Ten siódmy dzień był u mnie zwykle we czwartek, bo w niedzielę czasem wypadło być na obiedzie u Krupienikowych, albo u Ochrymowiczów, czego jednak sta-

rannie unikałem, bo mi się zdawało, że każdy wie i widzi jak ja zasiadam do ich stołu dlatego, że nie mam swego obiadu. Na szczęście Krupienikowie jakoś niedługo wyjechali do Petersburga i bawili tam blizko roku — do jednych więc tylko Ochrymowiczów czasami zaglądałem, ale to najczęściej w takiej porze, kiedy o obiedzie mowy być nie mogło. A często bardzo chciało się obiadku, czekało się czwartku, jak dnia radości. Szkoda tylko, że i wtedy niewielka radość być mogła za 10 kop. — ot tak, tylko że coś gorącego i niby z mięsem się zjadło.

Takiego życia o kwaśnem mleku miałem okrągłych ośm miesięcy, ale nareszcie starania do izby kontrolnej nie przeszły darmo; pewnego dnia bowiem sami przysłali po mnie, abym się zgłosił do biura. Zawdzięczać to mam sekretarzowi izby, Polakowi z francuskiem nazwiskiem, panu Monnerot-du-Min, który skorzystał z okazyi i przy pierwszem otworzeniu się posady mnie na takową zaprosił. I od razu naznaczyli mi płacy 15 rs. miesięcznie! Co to była za radość!

Jakim panem wówczas być się mieniłem! a z jaką niecierpliwością czekałem upływu pierwszego miesiąca, aby tę kwotę otrzymać. Żeby to odczuć należycie, zdaje się koniecznie potrzeba kilka miesięcy dłubać piórkiem zęby po kwaśnem mleku.

Nareszcie odebrałem owe 15 rs., a na następny miesiąc naznaczyli mi 25 rs. Oho, poszedłem w górę, myślę sobie. Zaraz więc zmieniłem najprzód kwaterę, bo przedewszystkiem lubiłem wygodniej i przyzwoiciej mieszkać. Niedaleko domu Krupieników wynalazłem schludny bardzo domeczek dwojga staruszków: dymisyonowanego pisarza Antonowicza i jego żony, którzy mieli jeden, ale ładniutki pokoik do wynajęcia; tam więc przeniosłem się zaraz. Że zaś, tak sposób przyjęcia jak i dalsze życie u tych poczciwych ludzi było nieco oryginalnem, muszę się zatem w opowiadaniu zatrzymać przy nich dłużej.

Ugoda stanęła na tem, że za pokoik z opałem i usługą, z nastawieniem samowara rano i wieczór, oraz z bułkami do herbaty codzień świeżego pieczywa, miałem płacić $2^1/_2$ rs. miesięcznie. Meble, oprócz łóżka, które miałem sprowadzić swoje, także były gospodarskie; warunki więc bardzo przystępne, i tem

rychlej się więc wniosłem, aby coprędzej porzucić poprzednią dziurę, w której mieszkałem. Po wprowadzeniu się zacząłem rozlokowywać swoje manatki, ustawiać po swojemu meble, rozwieszać obrazki i fotografie, a Iwan Daniłowicz i Paraskowja Fiedotowna wciąż zaglądali co robię, i czy nie potrzebuję czego, pytali. Nareszcie Iwan Daniłowicz wszedł, kiedy już wszystko było gotowe, a ja odpoczywałem przyglądając się, czy niema jeszcze czego do zmiany lub dopełnienia w dekoracyi mego pokoiku. Obejrzał wszystko szczegółowo, przypatrzył się każdej rzeczy, wszędzie pokiwał głową, ale jak doszedł do rogu, przeciwległego drzwiom wchodowym, gdzie zwykle u Rosyan wisi obraz Zbawiciela z lampką, aby wchodzący miał się przed czem przeżegnać zanim gospodarza pokoju powita, a u mnie, zamiast obrazu, zawieszony był w tym kącie ogromny róg jeleni i na nim rozmaite wisiadełka — zgorszył się okropnie, splunął, ale nic nie mówiąc, dalej oglądał. Gdy skończył zaś, powiada do mnie:

— Wszystko bardzo ładnie i symetrycznie, ale tu, w tym kącie (pokazuje na róg jeleni), myślałem, że przecie pan co innego zawiesi, *a nie jewtu rohàtinu* (a nie to rożysko).

— A cóż tam zawiesić byłem powinien? — udając że nie wiem, zapytuję staruszka.

— *Wiestimo, Spasìtiela* (Wiadomo, Zbawiciela).

— A przecież Spasitiel wisi ot tu, nad łóżkiem — pokazuję mu obrazek Pana Jezusa, który rzeczywiście miałem zawieszony na ścianie przy łóżku.

— To nic nie znaczy, przed tamtym nikt się nie przeżegna, bo miejsce dla obrazu Spasitiela jest tu — pokazując znów na kąt i róg jeleni — i tu on być musi.

Nie chciałem się długo certować ze staruszkiem, zdjąłem wszystko co było na rogu, a zawiesiłem tam obrazek.

— Ot tak to co innego — powiada Iwan Daniłowicz, przeżegnał się, życzył mi dobrej nocy i wyszedł.

Nazajutrz z rana, posłyszawszy, że chodzę już po pokoju, przyszedł znów poczciwy starowina, przeżegnał się już na ślepo do przeciwległego kąta, bo wiedział na pamięć, że tam jest Spasitiel, powiedział dzień dobry i pyta, czy prędko będę pił herbatę?

— Mogę pić niedługo, — odpowiadam — ja zwykle pijam herbatę wcześnie.

— Dobrze, to ja każę nastawić samowar — i wyszedł.

Po pewnym czasie znów drzwi otwiera i pyta:

— Może już pan herbatę pić będzie?

— Dobrze, — mówię — mogę pić.

Drzwi się zamknęły, a ja myślałem, że mi zaraz przyniosą samowar. W kwadrans może wchodzi już do pokoju staruszek, ogląda się, chrząka, coś szepce pod wąsy, nareszcie znów pyta:

— Każe pan samowar przynosić?

— Proszę bardzo, — mówię mu — już niedługo czas będzie wychodzić do biura.

— To dobrze — odpowiada i wyszedł.

Myślałem, że już natychmiast powitam samowarek, bo mi i herbaty chciało się już bardzo i rzeczywiście pora była spóźniona, trzeba było się spieszyć, a po herbacie miałem jeszcze umyć się i przybrać, co także parę chwil zająć musiało. Niecierpliwie więc chodzę po pokoju i przysłuchuję się, czy też tam za ścianą zabierają się do przyniesienia upragnionego samowara. Niestety, ani drzwi się tam nie otwierają, ani ruchu żadnego nie słychać. Aż po kwadransie może, włazi starowina już prędszym nieco ruchem i mówi:

— Pan się spóźni do biura, a kiedyż samowar?

— Przecież ja prosiłem już dawno, — powiadam — obiecaliście mi przynieść, ja czekam.

— Ale proszę pana, pan się jeszcze nie mył, jakże mam wnosić samowar?

Aha, myślę sobie, oto trafiłem na reguły, których co prawda ściśle zachowywać nie miałem zwyczaju. Że jednak nic nie miałem przeciwko takim porządkom, a nie chciałem irytować staruszków, udałem, że zwykle się myję wtedy, jak herbata na samowarze naciąga; ponieważ jednak on przynieść mi wcześniej samowara nie chce, pobiegłem do kuchni i w oczach Paraskowji Fiedotowny dopełniłem tego aktu czystości, a wtedy w ślad za mną wjechał samowar do mego pokoju.

Odtąd już zawsze myłem się zaraz po wstaniu, aby nie

opóźnić samowara, który mi bardzo był pożądany, szczególnie w rannych godzinach.

W parę dni potem zdarzyło się znów coś innego.

Po odbytej rannej herbacie, aby nie zostawiać samowara w zamkniętym pokoju, od którego klucz brałem ze sobą, weszła sprzątnąć takowy Paraskowja Fiedotowna.

Siedziałem przy stoliku, na którym cały ten przybór herbaciany się znajdował i czytałem coś, czas bowiem jeszcze mię nie naglił.

Przeżegnała się do wiadomego kąta, pozdrowiła *dobrym utrom* (co u nas dzień dobry, tam mówią: dobry poranek, *dobroje utro*) i podeszła do stolika. Nagle wrzasnęła, jakby ją kto sztyletem w serce ugodził, wykrzywiła się jak w przedśmiertnych kurczach, oczy zaiskrzyły się obłąkanym ogniem, nogi drżeć zaczęły, a prawą ręką dalejże trącać szklankę ze spodkiem, odpychając od siebie, i przeraźliwym głosem woła ..... wyraz, którego dla przyzwoitości powtórzyć nie mogę.

Zdetonowałem się trochę, podniosłem się z krzesła, patrzę na nią i sam nie wiem czego ta baba wrzeszczy, a ona wciąż trąca tę biedną szklankę, że aż skacze po stole i wciąż woła to, co pod kropkami zostawić muszę.

Co to jest, co z tego będzie? myślę sobie i chciałem już uciekać z pokoju, bo baba coraz bardziej a bardziej waryować zaczyna, gdy na szczęście Iwan Daniłowicz pospieszył na ratunek. Wpada do pokoju, bierze za kark babę, ta płacze już w spazmach, a on ją kolanem popychając wyrzuca za drzwi, i sam z nią poszedł. Za chwilę wraca znowu i zaczyna sprzątać naczynie z samowarem.

— Co to było, — pytam — co się stało Paraskowji Fiedotownie?

— Ee... bo widzi pan, ona u mnie *porczènnaja* i ten oto munsztuczek od papierosa, który pan rzucił do szklanki, wywołał znów chorobę, będę się ja miał z pyszna! Co robić, taka już moja dola chochlacka!

Iwan Daniłowicz Antonowicz rodem był z kijowskiej gubernii; zagnany niegdyś na Sybir, był długi czas pisarzem in-

tendentury, tam się ożenił z mieszczanką i tyle już tylko pamiętał o sobie, że jest chochłem.

— Jakże — powiadam — to i wy nie palicie?

— Kiedyś paliłem fajkę, alem już dawno zaprzestał, bo moja „starucha“ jak *zawiełaś etim Wańkoj* (jak się zaopatrzyła w tego Iwanka) to mi już palić nie dała; teraz zażywam niby tabakę, ale i z tem mam tyle biedy, że gdybym tylko mógł, wolałbym przestać.

— Więc i tabaki zażywać nie wolno?

— Ale gdzież tam! Ot tak, jak mi się zechce niucha, to muszę aż na ogród wychodzić, tam sobie zażyję, wykicham się i dopiero wracam; w nocy trzymam tabakierkę pod poduszką i z rana sam sobie pościel ścielę, aby broń Boże nie poczuła tabaki; chustki muszę aż do Irtysza nosić i tam sobie piorę, bo najwięcej co ją irytuje, to tytoń rozpuszczony w wodzie, ot jak i tu, ten munsztuczek rozmoczony w resztkach herbaty. Niech Bóg zachowa, gdybym kiedy chustkę miał uprać w domu, łażę więc z tem aż nad rzekę.

— To ja także palić tu nie będę miał prawa? — zapytuję z kolei, aby wiedzieć, czy i na mnie despotyzm „Wańki“ rozciągać się zechce.

— Ta juści, byłoby lepiej, gdyby tu mieszkał ktoś niepalący, już ja mówiłem o tem ze staruchą przedtem jeszcze zanim zdecydowaliśmy się wynajmować ten pokój, zmuszać jednak pana nie mamy prawa, prosiłbym tylko bardzo, aby ona nie widziała nigdy palącego i aby nie rzucać ogarków do szklanki; już ja panu dam jakieś naczyńko na to i sam będę je uprzątał.

Wtem wrzask nowy powstał za ścianą. Iwan Daniłowicz pospieszył z naczyniem, złorzecząc swej doli, a ja poszedłem do biura.

Wróciłem dopiero późno w nocy, bom sam nie wiedział, co zastanę w domu. Przyszedłem i cichutko położyłem się do łóżka. Nazajutrz z rana już nie widziałem Paraskowji Fiedotowny w kuchni, jakem się poszedł tam myć. Iwan Daniłowicz tylko spłakany, jak z krzyża zdjęty, bo całą noc nie spał, postękując krzątał się koło mego samowara i słuchał, czy nie woła

o co jego starucha, która obłożnie chora, leżała w *gòrnicy*[1]. Tam nie zaczynałem z nim żadnej rozmowy, aby nie spłoszyć „Wańki", ale bardzo mi się chciało dowiedzieć w jakim stanie jest chora, i co było dnia poprzedniego, po mojem wyjściu do biura. Gdy wszedł więc Iwan Daniłowicz z samowarem, zacząłem go wypytywać: okazało się, że Paraskowja Fiedotowna, wypchnięta przez męża z mego pokoju, zaraz wpadła w płacz spazmatyczny, który ją męczył całe dwie godziny; następnie padła bez zmysłów na łóżko i obudziła się dopiero po południu. Pierwsze, czego zażądała, była *klukwa* (żórawina), której *porcza* przez usta chorej wymagać miała. Pobiegł więc Iwan Daniłowicz po klukwę.

Zjadła z apetytem całe dwa ziarnka i w ślad za tem kazała sobie podać *Sybirskawo razgowora* (sybirskiej rozmowy).

W Syberyi jest zwyczaj w niższej i średniej klasie społeczeństwa włącznie do kupców I. gildyi, a nawet i znaczna część klasy urzędniczej używa tego zwyczaju, że, jak się tylko gdzie zbierze kilka lub kilkanaście osób w kompanii, to zasiadają przy stole, a gospodyni zaraz wnosi talerz lub miskę cedrowych orzeszków i zaprasza słowami: *miłosti prosim poszczełkàt* (prosimy o łaskę, połuszczyć). Bierze każdy w garść tych orzeszków i zaczyna się ogólne łuszczenie, czasami tylko przerywane ulotnem jakiemś słówkiem, ale ciągłej rozmowy nie prowadzą przytem, bo nikt nie ma czasu. Zęby sybirskie tak są wprawne do takiego łuszczenia, że ja długo się uczyłem, ale tak dokładnie jak oni rozłuszczyć orzeszka nigdy nie mogłem. U nich łupinka dość twarda orzeszka pęka w poprzecznym kierunku tak gładko, jakby przepiłowana, a ziarnko w całości, broń Boże nie zgniecione, wskakuje do ust samo, zostawiając za sobą drugą połowę łuski na brzegu ust. Te więc orzeszki noszą nazwę *Sybirskawo razgowora* z tego powodu, że zajmując gości, uwalniają gospodynię domu od bawienia rozmową, i takich to Iwan Daniłowicz podał Paraskowje Fiedotownie, zabierając napowrót klukwę, której już nie chciała. *Sybirskawo razgowora* zjadła sporą garsteczkę, prze-

[1] Najparadniejszy pokój u mieszczan i włościan rosyjskich nazywa się *gòrnica*.

platając łuszczenie głęboką czkawką, która zwykle napada w czasie paroksyzmu porczy, i zaraz kazała przynieść miodu. Miodu w domu nie było, więc musiał iść do sklepu. Jeszcze nie zdążył zamknąć drzwi za sobą w drodze po miód, zjawia się głośniejsza czkawka i wołanie staruchy. Wraca i pyta, czego potrzebuje? „Porcza chce śledzia", powiada baba. Rusza więc, zamiast po miód, po śledzia. Na śledzia patrzyć nie chciała, gdy przyniósł, a woła rodzenków, „rodzenka co najprędzej, bo umrę!" Biegnie i przynosi rodzenki. Rodzenków zjadła parę, a resztę wysypała za łóżko, klnąc i złorzecząc starego, że przyniósł wtedy, kiedy już apetyt porczy do rodzenków przeszedł. Za chwilę krzyczy baba, żeby koguta wypędzić z chaty, a nawet z dziedzińca, bo kogut zapiać może i obudzi Wańkę, który w tej chwili zasypia. Lezie więc pod piec staruszek, wyciąga koguta i niesie do sąsiedniego domu, prosząc, aby go na czas choroby żony schowali. Wraca i znajduje, że żona lula się na łóżku i przyśpiewuje Wańce. No, dzięki Bogu, myśli sobie, może już zaśnie! Ale gdzie tam! nieszczęście chciało, że kogut uciekł i pod samem oknem zapiał. Wańka się obudził i takim samym głosem zapiał przez babę. I znów nowe hece: to płacze, to złości, to chce tego to owego, i tak aż do ciemnej nocy musiał starzec biegać i znosić jej rozmaite rzeczy. Noc przeszła jakoś spokojniej, bo widać i Wańka wiedział, że sklepy w nocy zamknięte, ale za to płacze, stękania, rozmowy z Wańką, co moment jakieś zapytania do starego, nie dały mu ani na chwilę zasnąć; dopiero nad ranem starucha się uspokoiła, a on musiał zająć się gospodarstwem, wydoić krowy, nastawić dla mnie samowar, przynieść wody i t. p. Żal mi było serdecznie starego, ale nie było już rady, trzeba było tę biedę przeczekać.

Dwa tygodnie leżała w łóżku i codzień choć jedno dziwaczne jakieś żądanie objawić musiała, a biedny staruszek co się namęczył i nagryzł, tego mu nikt nie wróci.

Zresztą, było to wzorowe małżeństwo, myślące tylko o tem, jakby jedno drugiemu dogodziło.

Nic pocieszniejszego, jak oni się umawiali co dzień o picie popołudniowej herbaty. Paraskowja Fiedotowna siadywała zwy-

kle, po obiedzie i po uprzątnięciu obiadowego naczynia, przy oknie w swojej izbie kuchennej, nałożyła na nos okulary i brała jakąś robotę, pończochę lub jakieś szycie. Iwan Daniłowicz zaś miał zwyczaj odpoczywać wtedy na swojem łóżku w górnicy, od której drzwi do izby były otwarte tak, że staruszkowie widzieć siebie mogli nawzajem. Nadchodzi nareszcie godzina herbaty, Paraskowja Fiedotowna woła na męża:

— *Staryk, a! staryk!*

— *A szto, starucha?*

— A jak dziś będziemy pili herbatę, *z sacharom, al z kołaczami?* (z cukrem, czy też z kołaczami?).

Biedniejsi, jeżeli przy herbacie mają kołacze i mleko lub śmietankę, nie używają cukru, i odwrotnie, jeżeli piją z cukrem, miodem lub rodzenkami, nie używają wtedy śmietanki ani kołaczy.

— A jak ty myślisz, starucha? — odzywa się Iwan Daniłowicz, leżąc na łóżku.

— Ja myślę tak, jakbyś ty chciał — odpowiada mężowi Paraskowja Fiedotowna.

— A mnie znów chciałoby się tak, jak ty myślisz, starucha.

I tak z pół godziny będą się wzajemnie wymijać, aż nareszcie chyba okoliczność jakaś poboczna rozstrzyga tę kwestyę. Że zaś to się odbywa z całą powagą ludzi starych, i z całem przejęciem się ważnością sprawy, jest to tak komiczne, że dotychczas na szczery śmiech mi się zbiera, gdy sobie podobne utarczki ich przypomnę.

Cały czas zajmowania u nich wynajętego pokoiku, a mieszkałem tam przeszło dwa lata, byłem w najlepszych z gospodarzami stosunkach; Paraskowja Fiedotowna ani razu nie widziała mię palącego papierosy, a ja unikałem wszystkiego, co tylko mogło którekolwiek z nich irytować. Za to też co niedziela i w każde święto dostawałem nad program jakieś smaczniejsze ciasto do herbaty; latem Paraskowja Fiedotowna, wiedząc, że lubię bardzo kalafiory, często robiła mi z nich prezenta, nikt bowiem w całym Omsku nie miał tak wybornych kalafiorów, jak ona w swoim ogródku; a jak piekła dla swego pieska, Trezorka, chleb żytni,

to i dla mnie zawsze bułeczkę upiekła, chociaż to ją ciągle nie przestawało dziwić, że ja chleb taki używać a nawet lubieć mogę. Wogóle w Syberyi, w okręgu omskim, oprócz wojska, nikt prawie żytniego chleba nie jada, lecz pszenny, i dlatego ja byłem dla Paraskowji Fiedotowny zjawiskiem w tym względzie godnem podziwu.

Byłbym mieszkał u nich dłużej, gdyby nie to, że trochę za daleko było do biura, gdzie i po południu potrzeba było być czasami, a od Antonowiczów miałem przeszło trzy wiorsty — powrót więc, szczególnie wieczorem, był przykry i nie zawsze bezpieczny, bo w ciemną porę, w jednym z miejskich ogrodów, będących na mojej drodze, lubiano czasami obdzierać przechodniów. Musiałem więc po dwóch latach przenieść się bliżej.

O materyalnych biedach już mówić mi w niniejszych notatkach nie wypadnie, skończyły się takowe bezpowrotnie z chwilą otrzymania pasady w izbie kontrolnej. Nawet 15 rs. miesięcznie dla kawalera w Omsku jest całkiem dostateczne na bardzo przyzwoite utrzymanie, powodów bowiem do straty pieniędzy jest mało, a konieczne artykuły żywności w porównaniu z naszemi cenami bajecznie tanie. Gdy zaś w krótkim czasie znacznie poszło się wyżej z płacą za czynności kontrolne, to już i na pewne zbytki można było sobie pozwolić.

Bo i gdzie tam stracić pieniądze, jeżeli się nie piło lub nie grało w karty? Teatru niema, koncertów stałych także nikt tam nie widział, a z przyjezdnych, w czasie całego pobytu mego w Syberyi, zjawiła się była tylko jedna pani Hochstetter, uczennica podobno pragskiego konserwatoryum, i dała dwa wieczorki na skrzypcach, ale polakożerca, adjutant Makłaków, wyszperał skądś, że ona niby jest pochodzenia polskiego, więc też na tych dwóch występach skończyła i kazano jej wyjechać, pomimo, że publiczność grą jej była szczerze zachwyconą. — Ogródkowych zabaw żadnych, chociaż ogrodów w mieście kilka; cukiernia jedna tylko, założona przez jednego z naszych wygnańców, ale bez cukrów, robiły się bowiem tylko na obstalunki; kawiarni także ani jednej; chyba więc tylko w restauracyi zagrało się po obiedzie partyę na bilardzie — oto i cała strata.

Żyło się zatem skromnie i cicho; każdy pilnował pracy, a w chwilach wolnych wychodził na niekosztowny spacer, *per pedes* za miasto, podumać, potęsknić za ojczyzną i drogą przeszłością; wracał wieczorem do domu, albo do którego z kolegów *oprokinut' samowarczyk* [1] i następnie udawał się na spoczynek, aby z pokrzepionemi siłami znów zasiąść do pracy.

A zresztą, gdyby i były jakie przybytki chwil wesołych, to dla nas w żaden sposób nie byłyby stosowne i nie nęciłyby nas z pewnością, chyba za małą ekscepcyą. — Życie duchowe koncentrowało się u nas na krążeniu myśli o ziemi rodzinnej, o swoich najbliższych, o nadziei powrotu, o przyszłości naszej i naszej ojczyzny, a że to wszystko były nader smutne i ciemne temata, nikt więc nie dojrzał na twarzach naszych uśmiechu, do wesołości nie było żadnych pobudek. Co do mnie, nie przestawałem ani na chwilę wierzyć, że powrót do kraju jest tylko kwestyą czasu, że potrzeba jednak starać się o to usilnie, aby ten czas przyspieszyć. Stosunki moje, jakie sobie wyrobiłem za pośrednictwem Krupienikowa i pomyślnej służby w izbie kontrolnej, utrwalały te moje myśli, bo przedstawienia od jenerał-gubernatora, poparte chlubnemi atestacyami prezesa izby kontrolnej i miejscowej policyi, jedno za drugiem szły do Petersburga i zdawało się, że po każdem z nich nadejdzie amnestya niezawodnie. Tak byłem pewny pomyślnego uwieńczenia tych starań, że po pierwszem już przedstawieniu, kompletnie zebrałem się do podróży, pozbyłem się niepotrzebnych rzeczy, sprzedałem nawet łóżko, aby mię już nic nie zatrzymywało, abym zaraz po wyrobieniu paszportu mógł ruszyć w podróż. Przeznaczenie jednak mówiło inaczej.

Jenerał-gubernator zachodniej Syberyi, naówczas już nie Diuhamel, a Chruszczew, człowiek nie najgorszy, z którym Krupieników był w takichże stosunkach, jak poprzednio z Diuhamelem, pisał o mnie jak o rodzonym synu, ale, że na nieszczęście miał wroga w Petersburgu, w osobie ministra spraw we-

[1] Dosłownie: przewrócić samowarek — to się nazywało, wypić do dna samowar herbaty.

wnętrznych, od którego losy nasze najwięcej zależały, każde jego przedstawienie albo chowało się pod sukno, albo wywoływało jakieś kruczki, odwlekające przychylny rezultat. Ja jednak z dnia na dzień oczekiwałem powrotu, i o ile bardziej się zwlekało, o tyle silniej pragnąłem wyjechać do kraju.

Mądre są wyroki Boskie, że o przyszłości naszej nie pozwala nam wiedzieć, i grzeszymy bardzo, jeżeli uprojektowawszy sobie jakąś pomyślność, zawczasu rachujemy na nią, liczymy ją za pewną. Przeznaczenie, jakby umyślnie za tę nieuzasadnioną i bezprawną rachubę, albo rezultat oczekiwania odwleka, albo wręcz przeciwnemi darzy losami. Na sobie doznałem tego, że nie należy gwałtem podnosić zasłony przyszłości, a tem więcej nie należy przywdziewać szat świątecznych na powitanie upragnionego szczęścia; — starajmy się tylko skrzętnie o to, czego pragniemy, z ufnością w łaskę Bożą, a spokojnie czekajmy końca. — Ja postąpiłem inaczej: po pierwszej protekcyi, okazanej przez jenerał-gubernatora, liczyłem już na to, że lada dzień otrzymam paszport do kraju, przygotowałem się już do podróży, rzeczy miałem spakowane, pościel podróżna na podłodze leżała, którą tylko zwinąć i zabrać było ze sobą, a tu upływa rok i drugi, ba i trzeci nawet już się zaczyna, a paszportu jak niema tak niema; same tylko obietnice, odmowy, albo, co najgorsze, długie milczenie. — Niecierpliwość doszła do najwyższego stopnia, wyobraźnia się rozgorączkowała, tęsknota wzmogła się, już mię i praca kontrolna zajmować przestała, a była tylko najcięższym obowiązkiem; już w towarzystwie nie znajdowałem najmniejszej przyjemności, stroniłem od niego, a w ślad za tem i niemoc fizyczna dopełniła miary cierpienia. Zacząłem mizernieć, kaszleć, dławić się powietrzem, nareszcie musiałem przywołać lekarza, i na owej podróżnej pościeli wyciągnąłem się jak długi. Było to na wiosnę r. 1871.

Poczciwy dr. Klimowicz dojeżdżał do mnie codzień, radził, zapisywał, pocieszał, ale wszystko to na niewiele się przydało, bo tu innego lekarstwa było potrzeba: potrzeba było pomyślnej wiadomości z Petersburga. Krupieników, wiedząc o stanie zdrowia mego, i znając przyczyny choroby, silniej natarł na jenerał-

gubernatora; ten ponownie odniósł się do Petersburga, zastosowując do mnie wyszły już wówczas manifest o małoletnich, którzy w r. 1863 nie mieli 20-tu lat skończonych, i wtedy to dopiero, na te usilne prośby władzy nadeszła decyzya, że mam prawo wyjechać do gubernii tambowskiej, tam przebyć 2 lata i później przejechać do Królestwa Polskiego, pomijając naturalnie Litwę, bo ta była moim rodzinnym krajem, do którego powrót na zawsze wzbroniony.

Wiadomość o tem przywiózł mi Krupieników w czerwcu, kiedy już o podróży ani mowy być nie mogło, bom obłożnie leżał chory, wycieńczony, jak z krzyża zdjęty — wszyscy mówili: suchotnik w ostatnim stopniu.

Zwołałem konsylium lekarskie, prosiłem o ratunek. — Czterech zjechało doktorów: Klimowicz, Rostkowski, Wilmunt i jeszcze jeden wojskowy, którego nazwiska nie pamiętam, medytowali, radzili, kręcili głowami, ale zadecydować coś było trudno, bo ja ciągle wołałem: jechać, jechać i jechać!

Słysząc to moje nierozumne wołanie, wesoły ale dzielny doktór nasz Rostkowski *(vulgo* Grunt), roześmiał mi się w oczy, stanął na środku pokoju i powiada:

— No, pluń na mnie, to pozwolimy ci jechać choć zaraz.

I mnie się śmiać zechciało na podobną propozycyę; zebrałem jednak śliny co mogłem i wymierzyłem w Grunta, ale niestety! ślina została mi na brodzie, a Grunt bardziej się jeszcze śmiejąc, mówi:

— A widzisz, gdzież ci jechać, kiedy nawet plunąć na mnie nie miałeś siły; ale się nie martw, my cię podźwigniemy z łóżka, nabierzesz trochę sił, pojedziesz do stepu na kumys, tam się podreperujesz lepiej, a później pojedziesz do Tambowa.

I w części tak się stało, jak powiedział. Zaordynowana medycyna pokrzepiła mię na siłach o tyle, że z początkiem lipca wyjechałem na kumys.

(Dok. nast.).

Jerzy Kraskowski.

ZAPATRYWANIA RELIGIJNE

WESPAZYANA KOCHOWSKIEGO.

(CHARAKTERYSTYKA).

Wespazyan Kochowski urodził się w r. 1633 w dziedzicznej wsi Gaju, w Sandomierskiem, niedaleko Łysej Góry, na której szczycie wznosił się klasztor OO. Benedyktynów. W klasztorze tym przechowywano cenną relikwię: cząstkę Krzyża świętego, na którym Zbawiciel nasz śmierć za ludzi poniósł. Już sąsiedztwo miejsca tego musiało oddziaływać na tkliwą duszę dziecięcia, które kiedyś stać się miało „poetą, najbardziej w swoim czasie patryotycznym, historycznym“ [1] i religijnym. Nie wiemy, do jakich szkół niższych uczęszczał Kochowski, wiemy natomiast, że miał dobrego i zacnego ojca, któremu wieczysty pomnik wystawił w tym wierszu:

Gościu, obraz ten, który widzisz malowany,
Ojciec to, Jan z Kochowa, jest mój ukochany,
Podsędek sendomirski, gdy jako człek skazie
Śmierci podległ, pamięć swą zostawił w obrazie
Powierzchownej postaci, lecz cnoty i myśli
Poczciwej żaden godnie pędzel nie okryśli [2].

[1] St. hr. Tarnowski, „Wespazyan Kochowski“, *Kronika Rodzinna* 1877, str. 6 — i Rzążewski, „Wespazyan Kochowski“, str. 103—104.

[2] „Na obraz j. m. p. Jana Kochowskiego, podsędka sendomirskiego“... „Fraszki“, ks. 1, str. 45, wyd. Turowskiego.

Kierowany więc przez znającego wartość nauki ojca, wcześnie zapewne młody Wespazyan oddany został do szkół. Szkoła jezuicka w Sandomierzu, założona w roku 1602, w czasach owych cieszyła się wielkiem powodzeniem; miała wykład filozofii i teologii i bogaty konwikt szlachecki, „Bursa Boboliana“ [1] zwany. Nie mamy żadnych dowodów, ale z wszelką pewnością przypuszczać możemy, że młody Kochowski tu był oddany [2] na nauki. Przypuszczenie, że Kochowski początkowe swe wykształcenie odebrać mógł w klasztorze OO. Benedyktynów na Łysej Górze, mniej mi się wydaje prawdopodobnem, gdyż, pisząc tylekroć o tym klasztorze, byłby niewątpliwie poeta nie przepomniał tego, iż tam się początkowo kształcił. Wiemy, że Kochowski był uczniem Akademii krakowskiej, że kolegował tam z Janem Gawińskim [3]. Po ukończeniu akademii zaciągnął się Kochowski pod chorągwie i walczył w bojach ze Szwedami i Kozakami. Czasy te wyryły niezatarte i głębokie ślady w sercu poety, wtedy to zebrał on bowiem spory zasób cennych doświadczeń; gromy i nieszczęścia, uderzające w jego ojczyznę i w serce jego, nauczyły go kraj swój rodzinny kochać serdecznie, a ulgi i wzmocnienia dla zbolałego serca w religii szukać. W pierwszej księdze „Liryków“ [4] czytamy przed wierszem p. t.: „Postrzał w gnieźnieńskiej potrzebie“: „Przed potrzebą pod Gnieznem w kościele katedralnym tamecznym dwiema dniami krew ciekła z Pasyi Chrystusa Pana na ołtarzu ku północnej stronie, co prawie wszyscy widzieli; w sobotę ciec przestała, w niedzielę potrzeba z Duglasem, jenerałem szwedzkim, była“. Tę krew ciekącą „prawie wszyscy widzieli“ i prawie wszyscy, zdaje się, za cud to poczytywali, jeno nasz pan Wespazyan aż krwi tej świętej ręką swą własną do-

[1] Łukaszewicz, „Historya szkół“, tom IV, str. 149—151.

[2] Adam Rzążewski, „H. W. Kochowski“, str. 9—10.

[3] Nehring, „Studya literackie“, Poznań 1884 („Wespazyan Kochowski i jego Liryki“, str. 81—143), na str. 81—82: „W dziełku Kochowskiego z r. 1672 p. t.: *Hypomnemata Reginarum Poloniae,* jest wiersz łaciński, zalecający tę pracę, napisany przez profesora krakowskiego Rudzkiego, który Kochowskiego studentem krakowskim i swoim nazywa“.

[4] „Liryka“ XVI, wydanie Turowskiego, str. 92—93.

tknąć się zapragnął. Posłuchajmy, jakie tej niewiary następstwa były:

...Z Pasyi w Gnieźnie krew żywa (o dziwy!)
Płynie, czem daje znać Bóg dobrotliwy,
Że On Polski nie zabaczy,
Dla której drugi raz krew swą lać raczy.
Niewiarą idąc, ty z płynącym krużem,
Masz pomstę ręko, gdy postrzałem dużym
Dwojać kula ramię zrani,
I prędka kara niedowiarstwo zgani.
Ale mój Panie, już te przyznam cuda,
Które nie żaden kunszt ani obłuda,
Ale ręka Twa czyniła,
By się tym cudem Polska polepszyła,
Więcże tę rękę, jako z bolu wzmoże,
Twej ofiaruję chwale, o mój Boże!
Wierna, potem Twoje cuda
Ogłosi piórem pośród wszego luda... [1]

Wypadało więc teraz przestać miłosne nucić pienia i nie składać dalej lekkich rymów, lecz przed świętym korzyć się krzyżem, wielbić Maryę Pannę Matkę Bożą, Świętych prosić o opiekę nad sobą i nad Polską całą, opisywać uroczystości kościelne, notować skrzętnie wszystkie wydarzające się cuda, walczyć pieśnią z heretykami i nieprzyjaciółmi katolickiej wiary. „Na ten sam czas [2] — jak pierwszy zauważył profesor Nehring — przypada również i śmierć brata naszego poety, Seweryna, którego Wespazyan tak kochał, jak rzadko brat brata kocha, bo w trenach, poświęconych temuż, pisze, że, tak jak ptak fenix jest rzadkim, tak rzadką była ich miłość ku sobie [3]. Strata ta ciężkim niezawodnie smutkiem napełniła jego duszę i zniewoliła coraz więcej szukać w religii i w praktykach religijnych pociechy". Liczne dobrodziejstwa, które, zdaniem poety, Bóg i Marya Panna jemu lub jego rodzinie wyświadczyli, spotęgowały jeszcze

[1] „Liryka", wyd. Tur., str. 92—93.

[2] Nehring, „Studya lit.", str. 136.

[3] „Liryka" XXXI. „Pamiątka trenami wyrażona prędkiego z tego świata zejścia nieboszczyka p. Seweryna Kochowskiego, który po zwróceniu wojska z Węgier umarł w Bieczu anno 1657". Str. 121—129. Dane miejsce w trenie IV, str. 126—127.

uczucia religijne Wespazyana. Do tych osobistych smutków dodać należy, jak trafnie zauważył prof. Nehring, jeszcze i ciężkie nieszczęścia, ojczyznę naszą trafiające za dni Jana Kazimierza, które tkliwą i wrażliwą duszę Kochowskiego głębokim żalem i serdeczną boleścią napełniać musiały — a zrozumiemy genezę tych zapatrywań, któremi zająć się mamy.

I.

Wspomniałem poprzednio o klasztorze OO. Benedyktynów, w którego świątyni przechowywano cenną relikwię, cząstkę Krzyża świętego. Miejsce to nad inne droższem poecie, czci on je wysoko, miłuje sercem całem i nieraz doń myślą swoją powraca. Wspomnienia lat dziecinnych, wiążące go serdecznym węzłem miłości i przywiązania z rodzinną wsią Gajem, wiązały go widać zarazem i z klasztorem OO. Benedyktynów. Tam spoczywały szczątki pośmiertne jego przodków, tam u stóp krzyża leżały zwłoki grobów tych fundatora, Tomasza Sarny z Kochowa Nieczui Kochowskiego [1]. Dumnym był z tego poeta, że się w pobliżu tej góry, „lasem opasanej dokoła“ [2], urodził, zdawało mu się też, że nader wielka ...„Polskę fortuna potyka“, gdy ma tak znamienity

...Dar, znaczną cząstkę Krzyża zbawiennego,
Na którym okup zbawienia mojego
Był rozbity, w krwi sowitej
Pniak skropiony, w polskie strony
Na tę górę godzi.
Nie bez tajemnic dobrodziejstwo za to,
Jakoś powinien dziękować Sarmato,
Krzyż jest zbroją, Polsko, twoją,
Krzyż obrona Akwilona,
Skąd wsze złe pochodzi.
Tak Kościół trzyma, że, gdy Pan umierał,
Na Akwilon, głowę skłoniwszy, pozierał,
Na oliwnej górze dziwnej
Kończąc mękę, skłania rękę
Na północnych ludzi.

[1] „Fraszki“, ks. 1, str. 40. „O grobie przodków swoich“.
[2] „Fraszki“ ks. 1, str. 39. „O Łysej Górze, gdzie klasztor św. Krzyża“.

Matka znać dając, że nam jest w pomocy,
Pod krzyżem stoi ku nam na północy,
Krzyż zasłoni, Matka broni
I przed gniewem z świętem drzewem
Litość w Nim pobudzi [1].

W tych słowach, przytoczonych przed chwilą, tkwi rdzeń poniekąd tego, co będzie myślą przewodnią religijnej poezyi Kochowskiego. W krzyżu świętym nasza nadzieja, opiekunką naszą Marya Panna — to myśl, którą nam nieraz ze słów Wespazyana wysnuć wypadnie. Nieraz jeszcze modlić on się będzie podobnemi do tych słowami:

Hyperborejski kraju znamienity,
Jak się cieszyć masz temi depozyty,
Klejnot drogi, w polskie progi
Jezus zsyła, gdzie mu miła
Na tej górze knieja... [2]

i o sobie też samym wspomni nieraz poeta:

...Więc i ja pod jej wychowany cieniem,
Lichem, lecz z chuci wynoszę ją pieniem:
Podłej ceny, me Kameny,
Przy tym Krzyżu, kładę z bliżu,
Bo w nim ma nadzieja... [3]

Gdy mu po przeprowadzonym dziale majątkowym przyszło Gaj pożegnać, skarży się na to, że polskie prawo spadkowe wymaga, by starsi bracia młodszym ustępowali gniazda rodzinnego, i w łacińskiem *Rythmographon* maluje uczucia, przepełniające mu wtedy serce; kto wie, czy mu nie więcej żal za drogocenną relikwią, niż za miejscem rodzinnem?

...O quae vestra felicitas —

przemawia do swych braci. — Jacy oni szczęśliwi! Oni mogą:

...Visu frui huius ligni,
In quo est passa Deitas...

W pobliżu tego drzewa żyć i przebywać tak dobrze, że Kochowski w dalszym ciągu temi przemawia słowy:

[1] „Liryka“ XXIX. „Góra Łysa. Depozytem drzewa Krzyża św. w sendomirskim kraju sławna, do Ich M. M. P. P. Podgórzanów tamecznych“. Dane miejsce str. 118.

[2] Tamże str. 119.

[3] Tamże.

...Non invideo Magdali
Ad pedes Christi cernuae,
Sedens arbore sub tali,
Quae me protegit strenue [1].

Chciałby tu poeta nieraz ptakiem *(volueris)* przelecieć, by te drogie widzieć okolice i widokiem swych braci się nacieszyć, przed świętością się ukorzyć. Ta głęboka cześć dla Krzyża św., brzmiąca piękną nutą w cytowanych przez nas poematach, to jeden z najpotężniejszych i najdźwięczniejszych akordów lutni Wespazyana. Naturalnie, iż dziwną nietylko Rzążewskiemu [2], ale i nam się wydaje ta logika, mocą której poeta na podaniu tem, iż Chrystus Pan, umierając, głowę swą najświętszą ku północnej zwrócił stronie, wyprowadzał teoryę szczególnej opieki Bożej nad ojczyzną naszą. Oceniając to jednak z punktu widzenia XVII. wieku, który w sofizmatach i subtelnych wnioskowaniach się kochał, to rozumowanie Kochowskiego musimy nader uzasadnionem znaleść. Doznajemy też przykrego niemal zawodu, gdy, odłożywszy na bok „Niepróżnujące próżnowanie“, weźmiemy do rąk inne dzieła poetyckie Kochowskiego, w których spodziewamy się znaleść równie piękne ustępy, poświęcone czci Krzyża świętego; niestety, „Chrystus cierpiący“, to utwór, w którym zaiste „poezyi bardzo skąpo“, w którym ustępy opowiadające są bez talentu nakreślone; obfite wynurzenia liryczne, które się czepiają opowiadania, są po większej części lamentacyami, które tem łatwiej wpadają w niemoc, że są przesadne [3]. Miejsc ładniejszych w tym poemacie prawdziwie nad wyraz mało, kilka z nich zaledwie głębsze, trwalsze na czytelniku czyni wrażenie. Chcąc w tym rozdziale wyczerpać wszystko, co do czci Krzyża świętego i do umęczonego na nim Chrystusa Pana znaleźliśmy charakterystycznego w poezyach Kochowskiego, dodamy to jeszcze, że poeta nasz uwielbiał gorące wieki wojen krzyżowych i radby był chciał je widzieć wznowionemi:

[1] „Liryka“ XXXII, ks. II, str. 62—63, p. t.: „Do tychże Ich M.M. P.P. Braci łaciński Rythmographon“.

[2] Rzążewski, „Wespazyan Kochowski“, str. 50.

[3] Nehring, „Studya lit.“, str. 131.

...O złote wieki, o czasy nie leda,
Gdy pod znakami mężnego Goffreda
Wszystka Europa (u niej był tej ceny
Grób Pański) na złe poszła Saraceny [1].

Nie samo jednak pokonanie Saracenów, a raczej Turków, wrogów Polski, jest marzeniem poety; grób Pański w ręku chrześcijan widzieć pragnie on gorąco, i w łacińskim wierszu p. t.: *Explicit Prosa Excitatoria Ad gnaviter gerendum bellum a Christianis contra Turcam* [2], wzywa on wymownie wszystkie ludy Europy, by pod wodzą papieża wyrwały z rąk niewiernych grób Zbawiciela *Jesu Christi sepulchrum* [3].

Z Kochowskiego wierszy treści religijnej większa część jest Maryi Pannie poświęcona. Jej to dedykuje autor: Drugą księgę „Liryk", Jej poświęca „Ogród Panieński, Pod Sznur Pisma Świętego wymierzony... a kwiatami tytułów Matki Boskiej wysadzony", Jej „Różaniec, według zwyczaju kaznodziejskiego rytmem polskim wyrażony". Wszystkie te utwory są ściśle religijnej treści. Myśl ofiarowania drugiej księgi „Liryk" Matce Boskiej znajduje profesor St. hr. Tarnowski „naiwną, poufałą, pokorną, może nie bardzo piękną, ale niepospolicie oryginalną. Myśl to rzadka... a sympatyczna, ofiarować swoje wiersze Najśw. Pannie przez wdzięczność za to" [4], że za jej to przyczyną poeta tworzyć począł i dzieła swe drukiem ośmielił się ogłaszać:

...Bo któż był większym nademnie nieukiem?
Pisma me jednak ozwały się drukiem,
I dziś stoją
Łaską twoją,

[1] Kochowski, „Epodon" XVI. „Do monarchów chrześciańskich sąmsiedzkie quamquam", str. 300.

[2] Wiersz ten przedrukował na nowo p. Wł. Wisłocki w *Rubus Incombustus*, str. 57—58.

[3] Wierszy ku czci Chrystusa znacznie jest więcej, np.: „Różne epigrama z łać.", str. 12. „Na obraz ukrzyżowanego Pana", „Nad śpiącym Jezusem", „Najświętsza Matka czuje" i t. d., wyliczać jednak wszystkie mniej charakterystyczne, nie widzę wcale potrzeby.

[4] Studyum prof. Tarnowskiego. *Kronika Rodzinna*. 1877, str. 7.

Chcąc i więcej
Wyniść pręcej
Na widok publiczny,
Tyś dała słowa, o Matko, lichocie!

za to poeta „Nietylko pisać“, lecz i „nadstawić głowy“

Dla dostojności Twej, Panno, gotowy [1].

Lecz na tej jednej dedykacyi „Liryk“ nie poprzestaje Kochowski; zaraz po tem ofiarowaniu „poesim polskiej Przenajświętszej Maryi Pannie“, idzie „Votum do tejże Matki bez zmazy“ [2], które jest szczerą prośbą, by Królowa niebios dar ten przyjąć raczyła. W dedykacyi „Ogrodu“ uderza autor w ton patryotyczny: „nie gardzisz“, Maryo, „polskiego zwać się królestwa Królową. Zaprawdę tytuł barzij nam tytulantom niż Tobie tytulantce potrzebny. Ty przed trzydziestoletnią wojną, jako się o tę koronę pieczołujesz, w obrazie księżkim, krwią płacząc, pokazałaś. Tyś o ojczyźnie desperujących synów na odebranie zdeptanej wolności w Częstochowej prosiła, krom innej ustawicznej nad Sarmacyą protekcji, która, gdy Cię Królową swoją zowie, matką uznaje. Zawrzejże tedy o ogrodzie zawarty zewsząd przystępne i każdemu nieprzyjacielowi otwarte ojczyzny naszej granice. Zmocnij dziedzictwo twoje, ufortyfikuj antemurał chrześcijaństwa. Aby ta Polska, która Cię ma przeciwko impresie pogańskiej nieprzełomionym zaszczytem, tu Cię wiecznie Królową swoją licząc wyznawała, żeś jest w mocnem ramieniu boskiem *auferens bella usque ad finem*“. Pod tym ustępem podpisał się Kochowski: „Najliszszy niewolnik ogroda panieńskiego. Autor“ [3]. Ofiarowanie „Różańca“ [4] zawiera tylko pokorne, a gorące polecenie się opiece Matki Boskiej.

Jak dawni epikowie mieli zwyczaj muz wzywać, tak Kochowski w drugiej zwrotce „Pieśni Wiednia wybawionego“ Maryi Panny wzywa:

---

[1] „Liryki“ ks. II, pieśń I. „Ofiarowanie poesim polskiej Najświętszej Pannie Maryi“, str. 74—75.

[2] „Liryka“ ks. II, str. 75—76.

[3] „Ogród“, wyd. Tur., str. 2—4.

[4] „Różaniec“, wyd. Tur., str. 2—4.

...Ty mi bądź Klio, Ty mi w tym usiłku
Dodaj słów Panno i dodaj posiłku [1].

Nic w tem dziwnego, że Kochowski Maryi Pannie dzieła swe ofiarował. Wszak sam pisze o tem, że *Bene et laudabiliter olim veteres Poloni Patrium Poema* (Bogarodz'ica) *in praelia accincti, Sacerrimae Theotocos modulabantur* [2]. Więc i on do tej Matki Bożej się udaje, jak później zobaczymy, zawsze, gdy Polsce niebezpieczeństwo jakie zagraża. Pomówimy o tem później, gdyż zdaje mi się, że lepiej od małych iść ku większym sprawom, i że rzeczy publiczne wyżej od osobistych stawiać i cenić należy. W osobistych smutkach i bolach udawał się Kochowski zawsze do tej Królowej nieba, do której nikt napróżno błagań nie zanosi; nie zawiodła też Matka Zbawiciela nigdy naszego poety, pomocy nie odmówiła mu swej nigdy. Wszak Marya Panna ocaliła go, gdy tonął, kąpiąc się w rzece Pilczy, za co Jej wierszem: „Dzięka powinna Przenajświętszej Pannie i Maryi Matce za wyratowanie ze złej toni anno 1665", wdzięczność swą wyraża [3]. Również żona poety, trapiona *febri periodica,* pomodliwszy się szczerze do słynącego po świecie cudami swemi obrazu Maryi, odzyskała cudownym sposobem utracone zdrowie; czytamy o tem w „Lirykach" w wierszu p. t.: *Gratiarum actio pro recepta sanitate miraculose* [4]. Matka Boża w cudownym obrazie częstochowskim inną jeszcze łaskę wyświadczyła Sarnom Kochowskim; brat młodszy poety, „Wojciech Kochowski, o którym zresztą nic nie wiemy, doznał większego jeszcze poratowania. Przez trzy dni i noce trapił go krwiotok i blizkim był już śmierci. W potrzebie tej

[1] „Pieśni Wiednia wybawionego", wyd. Tur., str. 6.

[2] *Rubus Incombustus,* str. 153. Studyum Wisłockiego, str. 33.

[3] „Liryki", wyd. Tur., str. 104—106. ...„Najsztuczniejszy to wiersz Kochowskiego — jak prof. Nehring („Stud. lit.", str. 142) wykazał — to podziękowanie, gdyż dopiero co dwie strofy wiążą się w całość. Kochowski nie zapomina o tem zdarzeniu w swoim „Ogrodzie", gdyż pisze: *Consalatrix desolatorum* (S. Bern.):

Niech kto opuszczony będzie we złej toni,
Krzyknij do Panny, ta cię dźwignie i obroni".

„Ogród", wyd. Tur. str. 16; podobnież str. 157 tamże.

[4] „Liryka", ks. II, str. 93.

wezwał więc na ratunek Maryę Częstochowską, krwiotok niezwłocznie ustał i zdrowie powróciło. Sami OO. Paulini poczytali to za cud niepospolity i uwiecznili wskutek tego raz na zawsze Wojciecha Kochowskiego w Annałach Częstochowskich“ [1]. To wszystko zobowiązało było Kochowskiego tak dla obrazu częstochowskiego, że w podeszłym już wieku, z przyczyny pożaru, jaki klasztor częstochowski nawiedził, napisał dziełko p. t.: *Rubus Incombustus,* o którem, mówiąc o obniżających uczucie religijne Kochowskiego przymiotach, wspomnieć nam wypadnie. Doznawszy sam łask tylu, poeta ten, co religię z ojczyzną identyfikował zawsze, a sam siebie za niepoślednią swej ojczyzny cząstkę uważał, począł się zwracać do Maryi Panny, prosząc Jej, by — jak pisząc o przedmowie do „Ogrodu“, wspomniałem — „zechciała być antemurałem Polsce“, i po wielekroć [2] prosi Jej, by Polskę przed nawałą turecką chronić raczyła. Najdobitniej błaga Ją o to Kochowski w „Taratantara, albo pobudka do rycerstwa polskiego, żeby, ufności w Bogu pełni, pospieszali na odsiecz Kamieńcowi Podolskiemu“ [3]. Przed straszną potęgą Turcyi

By nas ratował, trudno ufać światu [4],
Niestateczności wszelakiej warsztatu;
Chyba iże nas w ostatecznej toni
Sam Bóg obroni,

[1] Wisłocki, *Rubus Incomb.* str. 16—17 — i Kętrzyński, *Mensa Nazaraea,* str. 278, skąd Wisłocki wiadomość tę zaczerpnął.

[2] Zobacz Kochowski, „Ogród“, wyd. Tur. Str. 66: *Virga percutiens duces,* str. 73: *Porta Orientalis,* str. 112: *Propugnatrix fidelium,* str. 186: *Stella in medio nubium,* str. 227: *Ab Aquilone malorum propulsatrix,* str. 209: *Fundans nos in pace,* str. 280: *Fenestra Orientalis,* str. 291: *Adjutrix christiani populi,* dalej „Pieśni Wiednia wybawionego“, zwrotka v, str. 6, tudzież „Różaniec“ (mniej wprawdzie dobitnie te myśli wyrażone) str. 42 i str. 45—46.

[3] Kochowski, „Epodon“, wyd. Tur., str. 273—275, miejsce cytowane str. 274—275. „Epodon“ str. 270—275, iv. „Stracenie Kamieńca Podolskiego“.

[4] Jak potężne wrażenie oblężenie i utrata Kamieńca na Kochowskim zrobiły, dowodzi tego ta okoliczność, że w „Epodon“ znachodzimy parafrazę psalmu 79: *Deus, venerunt gentes in haereditatem tuam;* w tej parafrazie błaga poeta Boga o karę za tyle krzywd, Polsce przez wrogów wyrządzonych. („Epodon“, str. 291). Nie wierzy poeta, by nas świat uratował: widocznie przekonał się, że wysnuwane przez niego wyparcie zjednoczonemi siłami mocarstw chrześcijańskich Turcyi z Europy jest tylko utopią, że na

A Cesarzowa [1] nieba, w tej niezmiernej
Krzywdzie, uprosi sukurs miłosierny,
Która za honor ma, kiedy ją zową
Polską Królową [2].
Królowa Polska, Sarmacyi Pani,
Tobie i nieba, morze i otchłani
Posłuszne zawsze, świetną słońce togą,
Miesiąc pod nogą.
Błogosławioną zowią Cię narody,
Boś nam w kłopotach dana dla ochłody,
Ucieka się dziś pod Twój paiż mocny
Kraj nasz północny.
Widzisz to Panno, jak Twoje kościoły
W bluźnierskie idą moschy lub popioły [3],
Uczyń, niech brzydki, co się Turczyn sroży,
Z srogości złoży.
Tyś jest szyk wojska, szyk nieustraszony,
Tyś antemurał Polski niezwalczony,
O wieżo mocna! I w tej naszej stronie
Nowy Syonie!
Syn Twój, Bóg, jest wojsk żwawy i żarliwy
Zawsze pomocnik stronie sprawiedliwej,
Nie w liczbie pułków, nie w wielkości zgraje
Zwycięstwa daje.

Lubo „szalona chuć“ Turków „łechce“, by kraj nasz zdobyć, nadzieja jeszcze zawsze w Maryi Pannie, bo:

Twojać to Polska, Ty jej zdawna bronisz,
I teraz ją Ty w tym razie zasłonisz;
Wielmożna ręka jej nieprzyjaciele
Mostem pościele!

nic się nie zda to napisanie („Epodon“ XVI, str. 302 i n.) wiersza: „Do monarchów chrześciańskich sąmsiedzkie quamquam“ i pełnego zapału *Explicit.* (Wisłocki, *Rubus Inc.,* str. 54—58).

[1] Tytuł Królowa Niebios wydaje się widać Kochowskiemu za skromny dla Matki Bożej, zwie ją więc najczęściej Cesarzową, np. „Liryka“ ks. II: „Dzięka powinna“... str. 106; „Ogród“ str. 15, 35, 183, wszędzie tłumaczy tytuł *Imperatrix* przez polskie słowo cesarzowa.

[2] Miejsce to przypomina cytowaną wyżej przedmowę do „Ogrodu“.

[3] Myśl tę, jak zresztą prawie każdą inną, jak każde prawie wyrażenie swoje, powtarza Kochowski jeszcze kilkakroć, np. „Liryka“, Epodon str. 295—297: „Zwycięstwo Bodnarowskie z Tatar do I. M. P. Wodzów koronnych i rycerstwa“, tudzież „Liryka“ XXIII, ks. II, str. 106: „Nowy Atylla Jerzy Rakoczy książe siedmiogrodzkie koronę polską wojujący“.

Więc hej! tylko ty, Polaku, zbierz się w bitne hufce i nie dopuść, by „dziatki niewinne i panny wstydliwe w jasyr brano“ i by „w kościołach“, co więcej, „kędy boska chwała brzmiała — Turcy swe konie stawiali i Ałła wołali“, by córki twe w haremach bezczeszczono, a synowie twoi w janczarach marnieli, a pomoc Maryi Panny nas nie zawiedzie. Ilekroć

...Ku nam, bracia, zguba się zbliża,
Pójdźmy pod znaki zbawiennego krzyża;
Ucieczka grzesznych, Matka, o Twa, Boże,
(Ta) nam pomoże [1].

Ona bowiem „pierwszą i ostatnią ucieczką Korony Polskiej“ [2], w chwilach trwogi wołajmy do Niej: „Monstra te esse Matrem, przypominajmy Jej, że Pallas Ateny, Appollo Troję, Mars Rzym, a Jupiter Greki“ [prawdziwie dziwny argument] „ochraniali, a Ona Polskę przed Szwedami i innymi najeźdźcami zasłoni“:

...Pójdźmy boskiej prosić Matki,
Aza Polski te ostatki
Pożarte, wydrze z łakomej paszczeki,
I nie da zginąć Sarmatom na wieki;
Pokaż się nam matką, Pani,
Prosim upadli poddani.
Broń nas zaszczytem, o Królowa, czułym,
Tym Cię na wieki Polska czci tytułem.
Ukój Ojca w gniewie srogim,
Przeproś winy nam ubogim,
Aby pamiątka w polskiem była państwie:
Nie zginie, kto jest w Maryi poddaństwie [3].

Kiedy król Michał Wiśniowiecki brał ślub (powtórny, pierwszy odbył się *per procurat.)* z Eleonorą w Częstochowie, napisał nasz Kochowski: „Hymen Jasnogórski, albo wiersz wotywny do Najświętszej Matki Bożej na weselu Królestwa Ich Mości“. Poleca ich w tym wierszu szczególniejszej opiece Maryi Panny. Gdzie różne narody

[1] „Epodon“, str. 273—275.

[2] „Lir.“ ks. II, str. 91 i 92, xv. „Pierwsza i ostatnia ucieczka Kor. Pol. do Najświętszej Panny Maryi“.

[3] Tamże.

...W pokornych modłach swych pociechę odnoszą,
Za nic Olimpu chwały i Oreba,
Choć się wierzchami dotykają nieba.
Na górze być Dziewiczej,
Każdy człek katolicki szczęściem sobie liczy.
A więc o wielka nieba gospodyni,
W upodobanej tej Twojej świątyni,
Na tym Syonie prawym,
Nakłoń się prośbom naszym uchem Twem łaskawem.
Tego go nam łaska Boska dała,
Króla i ojca polskiego Michała,
Miej Panno w Twej opiece,
Której pewien, ktokolwiek do niej się uciecze,
Gdy przed ołtarzem Twym stanie z pokorą [1],
Z rakuską sobie obok Leonorą,
Obróć k'nim Panno oczy,
Niechaj ich łaska Ducha Świętego obtoczy,
Niechaj żarliwe serca ich czci Twojej,
Nierozerwanym węzłem miłość spoi,
Niechaj żyją w długie wieki,
Twojej chwały obrońcy, pewni też opieki.
Tego na ręku, co piastujesz Syna,
Przychyl im Matko, bo Twoja przyczyna
Snadnie u niego sprawi,
Iże nowemu stadłu sam pobłogosławi.
Niech nieprzyjaciół zwyciężywszy w boju,
Długo w kwitnącym panuje pokoju,
A z pięknej Leonory
Niech widzi podobnych synów poczet spory [2].

Zdaniem prof. Nehringa, jak wogóle „w religijnej poezyi“, tak i w szczególnym kulcie Maryi Panny, w upodobaniu swem „w mistycznych tytułach Najśw. Panny Maryi, w kulcie różańca, ogrodu panieńskiego, dziardynu fiołkowego“ [3], poszedł Kochowski za duchem wieku swego.

Zapatrywanie prof. Nehringa, mojem zdaniem, jest jednak tylko do pewnego stopnia słusznem. Prądy ogólne oddziaływają na wszystkich pisarzy danej epoki — lecz tylko tych, z których usposobieniem, charakterem i dążnościami zupełnie się zgadzają — prądy te porywają i unoszą. Gdy czytamy poemat Kochow-

[1] O pokorze lubi Kochowski rozprawiać często.
[2] „Lir.“ ks. IV, str. 242—243.
[3] Nehring, „Studya“, str. 113.

skiego: „O obrazie płaczącym Najświętszej Panny Maryi we wsi Dzierzkowie“ [1], w którym poeta w wyrazach pełnych głębokiej wiary nietylko nie powątpiewa o rzeczywistości cudu, lecz widzi w tem przestrogę dla Polski [2], zwłaszcza gdy czytamy ten ustęp:

(W) Nadprzyrodzone ręki Boskiej cuda,
Wierz heretyku, że to nie obłuda.
Te oczy płaczą, któremi gdy kinie
Na człeka, żaden na wieki nie zginie.
Te oczy płaczą, twarz łzami skrapiają,
Które na Polskę łaskawie wzglądają,
Te oczy płaczą Matki naszej drogi
Dla napomnienia nam i dla przestrogi...

a dalej słowa, włożone w usta Matce Bożej:

Ja przez te piersi, z których mlekiem żywy
Był miły Jezus, Bóg i człek prawdziwy,
Proszę, a On zaś przez mękę i rany
Prosi, aby był Ojciec ubłagany.
A Ojciec, prośbie synowskiej łaskawy,
Pogląda na was i na wasze sprawy,
Mówiąc: Plemię to Adama i Ewy
Bardziej porusza moje gniewy.
Atoli dla ran tych i próśb Maryi
Odwlekę z grzesznych mej exekucyi,
Jeszcze zatrzymam miecz ten obosieczny
Jeśli od zbrodzień będzie Polak wsteczny.
Więc moja Polsko, moi Sarmatowie,
Miej płacz mój w sercu, a komety w głowie:
Nigdy te ognie darmo nie pałają,
Ani łzy, chyba gdy napominają [3]. —

gdy czytamy ten poemat, odkrywamy czysto polską naturę Nieczui Kochowskiego, widzimy w nim brata szlachcica, sodalisa maryańskiego. Rozumiemy potem dobrze słuszne oburzenie na Szweda za to, że zburzył „kapellę“ Maryi, „luby przybytek“, obu-

[1] „Lir.“ ks. II, poem. XXVIII, str. 115—117. „O obrazie płaczącym Najśw. Panny Maryi we wsi Dzierzkowie, województwie krakowskiem“. Mamy także i drugą redakcyę, podaną w „Przydatkach“ do wyd. Tur., bardzo mało różniącą się od pierwszej, wyżej cytowanej.

[2] Szkoda tylko, że połączenie objawu tej niezwykle silnej wiary w cud z wiarą w zabobony psuje wrażenie:

Więc moja Polsko, moi Sarmatowie,
Miej płacz mój w sercu, a komety w głowie:
Nigdy te ognie darmo nie pałają...

[3] „Lir.“ ks. II, poem. XXVIII, str. 115—117.

rzenie, równe temu, jakie poeta żywi w swej piersi dla Szwedów za najechanie drogiej naszej ojczyzny; rozumiemy również dalej radość poety, z tego płynącą, że Bóg

Zachował w rumach skarb nienaruszony,
Który dziś, jako fenix odmłodzony,
Lub jako ogród, strząsnąwszy popioły,
Kwitnie na wiosnę wdzięczny i wesoły,
Więcże tryumfuj panieński ogrodzie,
Gdyć heretyckie nie szkodzą powodzie,
W twój port me żagle szczyrą chęcią biegą,
Byłaś mi Panno alfą, bądź omegą [1].

To zakończenie nawet teraz, gdyśmy już zdołali stworzyć sobie charakterystykę poety, mniej nam się wydaje dziwacznem, i, nie bacząc na znużenie, odbywamy z Kochowskim uciążliwą pielgrzymkę, przechodząc z kolei wiele miejsc, poświęconych Maryi Pannie; dążymy zatem z nim do Studziannej [2], Loretu [3], Monseratu, Aprykolu, Halle, Częstochowy, Sokola, Leżajska, Bochni, Chełmu, Żyrowic, Skąpego i Pajęczna, Jarosławia, Tuchowa, Trok, Myślenic, Podkamienia, Klewania, Piotrkowic, Gidel i na Piasek w Krakowie. Przeczytawszy wreszcie „Ogród“ i „Różaniec“, przyznajemy zupełną słuszność nad wyraz trafnemu zdaniu profesora Tarnowskiego, że Kochowski jest to... „ciekawy i sympatyczny reprezentant swego czasu. Typowa, szlachecka polska natura“; można za Kochowskiego ręczyć, że „należał do wszystkich bractw“ Maryi Panny, „a godzinki i różaniec odmawiał skrupulatnie“ [4]. Dowodem na to dostatecznym ta zmudna praca, jaką domniemywany nasz *sodalis Marianus* zadał sobie, zestawiając epiteta [5] Najśw. Panny, układając je w swym „Ogro-

[1] „Lir.“ ks. II, poem. XXXIV, str. 132. „Dziardyn fijałkowy, to jest ulubione miejsce Matce Bożej na Piasku w Krakowie“.

[2] „Liryka“ ks. II, poem. XIX, str. 92—97. „Studzianna. Miejsce tych czasów domem Matki Bożej sławne, nieprzyjaciołom wiary i Korony polskiej straszne“.

[3] Loret opisuje Kochowski jeszcze w wierszu p. t.: „Loret Domkiem Matki Boskiej rękami anielskimi cudownie przeniesionym we Włoszech sławny“. „Lir.“ ks. II, poem. XX, str. 98.

[4] Studyum prof. Tarnowskiego, str. 5.

[5] Poemat p. t. „Ogród“ składa się, jak obliczył prof. Nehring, z 3500 wierszy, a epitetów jest tysiąc kilkaset. Nehring, „Studya“, str. 113 w przyp.

dzie“ w kwatery do nich stosowne dwu- lub czterowierszy. Epitetów tych szukał Wespazyan Kochowski nietylko w Ewangelii, Piśmie św., codziennych modlitwach, lecz w całej ówczesnej teologicznej literaturze, w znanych pismach autorów świętych różnych wieków i różnych narodowości. Zastanawiając się nad źródłem tego nabożeństwa ku Maryi Pannie, tak pisze prof. Tarnowski: ...„Jest w tem nabożeństwie i wpływ jego spowiednika Jezuity lub Bernardyna z najbliższego klasztoru, który w nim te uczucia rozwijał, ale jest i to dziwne uczucie wdzięczności i ufności, z jaką Polska ówczesna patrzała na swoją Niebieską Królowę, której przypisywała swoją obronę od nieprzyjaciół. Nie raz i nie sto razy znajdzie się u Kochowskiego dowód na to piękne ówczesne pojęcie stosunku między niebem a ziemią. Matce Bożej należy się cześć i wdzięczność, ale nam od Niej opieka“ [1].

Święci także mają poświęcone czci swej poemata w „Lirykach“ i innych pismach Kochowskiego, ich także prosił nie raz jeden poeta o pomoc dla siebie i dla swej ojczyzny, „jego pobożność zwraca się do wielu Świętych“ [2]. Mamy w „Lirykach“ wiersz p. t.: *Divo Antonio Christi Domini Bajulo, orbis christiani thaumaturgo, Pataviensium tutellari, omnium fidelium patrono suoque Author offert* [3], a ośm kartek dalej czytamy „Wotywę św. Agacie“ [4], w której to Kochowski tej „Pannie i Męczenniczce“, ogniem katowskim nietkniętej, dom swój w opiekę ofiaruje i prosi, by „chatę“ jego przed pożarem strzedz łaskawie raczyła.

W modlitwach swoich za Polskę zwraca się poeta przedewszystkiem do „błogosławionego Józefa, wcielonego słowa Komisarza, Przenajświętszej Panny Maryi Oblubieńca“ [5]:

[1] Studyum prof. Tarnowskiego, l. c.

[2] Tamże.

[3] „Lir.“ ks. II, poem. XVIII, str. 94—95.

[4] „Lir.“ ks. II, poem. XXVI. „Wotywa Ś. Agacie Pannie i Męczenniczce od ognia uprzewilowanej patronce autor ofiaruje“, str. 111—112.

[5] „Hymn o błogosławionym Józefie, wcielonego słowa Komisarzu, Przenajświętszej Panny Maryi Oblubieńcu“. „Lir.“ ks. II, poem. XXVII, str. 112—114. Hymnu tego mamy również dwie redakcye mało różne; ks. II, „Przydatek“, str. 73—75.

...Strażniku, opiekunie
Jezusa w ciała ludzkiego zasłonie,
Pilny dozorco, ojcze, pedagogu,
Przydany Bogu,
Wspomóż Józefie twą przyczyną, żeby
.... onej (Polsce) pokój pożądany
Dał Pan nad pany.

Nie zapomina również Wespazyan o naszych dwóch świętych rodakach: biskupie św. Stanisławie Szczepanowskim [1] i św. Stanisławie Kostce; ostatniego w czasie wojny kozackiej o „instancyę za wspólną matką Koroną Polską“ tak prosi:

...Ubłagaj przez Matkę Syna, uproś łaskę nową,
Wzdyć jest Polski Królową.
Niech za przyczyną ziomka koronne oboje
Wojska rozpoczną boje.
Zatrwóż serce Ottomanów, niech pierzchną sromotnie,
Do nas nigdy niezwrotnie;
Niech pozna pokolenie to Chama złoczynne,
Że wspomógł Bóg niewinne [2].

Świętemu Ignacemu i Franciszkowi Ksaweremu T. J. hołd należny również oddał Kochowski w swych „Fraszkach“ [3]; św. Michała zaś opiece szczególniejszej poruca poeta króla Michała Wiśniowieckiego [4].

II.

Kochowski, człowiek wielkiego i szlachetnego serca, jak o tem z pozostałych po nim pism i życia jego sądzić można, odczuwał każde nieszczęście ojczyzny swojej głęboko, co już w pierwszej części tej pracy nieraz mimochodem zaznaczyć miałem sposobność. Nie tu miejsce charakteryzować zapatrywania polityczne tego historyka-poety, który *anathema* rzucał — w potężnym i pięknym poemacie, formą swą i wyrażeniami Dawidowy

[1] „Fraszki“, wyd. Tur., str. 48. „Urodzony Polak święty Stanisław, biskup i męczennik“.

[2] „Epodon“, poem. XI. „Za spólną Matką Koroną Polską, Do bł. Stanisława Kostki Soc. Jesu instancya“.

[3] „Fraszki“, *ks. II, str.* 123. „O śś. Ignacym i Franciszku Xawerze S. J.“

[4] „Muza słowiańska na koronacyi króla Michała“. „Liryk.“ ks. IV, poem. XX, str. 234—240.

psalm przypominającym — na rozrywających sejmy [1], a równocześnie był zwolennikiem hetmana Lubomirskiego, rokoszanina, królewiątka, marzącego o koronie dla siebie lub o odegraniu znaczniejszej przynajmniej roli, zwolennika zrazu Francyi, a potem chroniącego się na Szląsku pod opiekuńcze skrzydła Austryi. Niezrozumiałe to nam na razie, w jaki sposób „nieprzyjaciel zrywanych sejmów był zarazem najgorliwszym stronnikiem Lubomirskiego"; to nie wystarcza jeszcze do rozwiązania tej dwoistości w charakterze poety, co podał za przyczynę tego faktu prof. Tarnowski, że „ojczyzna miła, a rozrywanie sejmów złe, ale miła i wolność, a *veto* to jej źrenica i tarcza" [2], a z wolnością tą w związku wolna elekcya; najprawdopodobniej wielką rolę w tej życzliwości poety dla Lubomirskiego odgrywały uczucia religijne. Właśnie dlatego, że Lubomirski w Austryi szukał poparcia, stanął zapewne Kochowski, przyszły uczestnik i Homer wyprawy wiedeńskiej, wierny sojusznik katolickiej Austryi, po stronie rokoszanina. O rozwiązanie tej kwestyi nie chodzi nam jednak na razie, wypada nam raczej zastanowić się głębiej nad tem, jak silnie i o ile odczuwał nasz poeta nieszczęścia, spadające na Polskę, i w czem tych nieszczęść szukał przyczyny, czy w samem tylko częstem zrywaniu sejmów?

Gdy wielkie grozi niebezpieczeństwo Polsce, szuka Kochowski wzorów dla swej poezyi u Dawida psalmisty: „Kiedy Szwed wylądował (r. 1655) i zbliżał się ku Warszawie, Kochowski wtedy nie pisze już o własnych siłach, ale potrzebuje wielkiej głębokości żalu i prośby, wspiera się na Dawidzie, parafrazuje psalm 81: *Deus, quis similis erit tibi*" [3].

Zdrajcy Szwedzi weszli w radę,
Jakby polską znieść osadę,
I rzymskiej wiary obrzędy
Potłumić w koronie wszędy.

[1] „Lir." ks. IV, poem. XXX, str. 255—256. „Przekleństwo na synów koronnych sejmy rozrywających". — Porównaj „Fraszki", ks. II, str. 117: „Rozrywanie sejmów" i Psalm XI. z „Psalmodyi" p. t.: „Psalm na mieszanie i rozrywanie sejmów", str. 20—21.

[2] Tarnowski, str. 6.

[3] Tamże str. 7.

Na pakta zaprzysiężone oni nie zważają, łączą się z nimi „Złego Zwingla źli uczniowie“, a, co gorsza, „I Polacy z nimi nasi“, skąd „Zmaza Polski i sromota“, więc zlituj się nad nami Boże! A oni:

Niech będą jak koło zwrotne,
I jak zdziebło z wiatrem lotne,
Jak las, co pożarem tleje,
Góra, co ogniem niszczeje.
Od nich łaska twa niech stroni,
Niech strwożonych gniew twój goni,
Napełni twarz ich sromotą...
...Niech pozna ich harda głowa,
Żeś najwyższy ty Jehowa! [1]

Klęskę korsuńską [2] uważa Kochowski za zasłużoną ciężkiemi grzechami karę i woła, bolem do głębi przejęty: „O jakże ciężko boska ręka karze“; strasznej pamięci Piławce natchnęły go do napisania: „Dawna kanneńska (klęska) rozprószeniem wojska pod Piławcami odnowiona Roku pańskiego 1648“ [3]; śle dalej „Napomnienie braterskie do wojsk obojga narodów w związku zostających“ [4], a w czasie strasznych wojen kozackich nuci: „Hejnał utrapionej Koronie polskiej inkursyami pogranicznych narodów splądrowanej“ [5], jeden z najlepszych swoich poematów, i zawodzi „Skargę Korony polskiej na zdradę narodów ukraińskich“ [6], w której ustęp jeden znakomicie maluje usposobienie Kochowskiego dla schyzmatyckich zbuntowanych Kozaków:

Pierwsze niesie zginienie,
Kaima pokolenie,
Chłop z nieprzyjacielem:
...Kozak z swoim Chmielem.

[1] „Lir.“ ks. II, str. 37—38, poem. XIX. „Pieśń albo Psalm 81... O wojnie szwedzkiej przełożony r. 1655“.
[2] „Klęska korsuńska“. „Lir.“ ks. I, poem. II, str. 11—12.
[3] „Lir.“ ks. II, poem. III, str. 12—15.
[4] „Lir.“ ks. IV, poem. II, str. 198—200.
[5] „Lir.“ ks. IV, poem. II, str. 126—128.
[6] „Lir.“ Epodon, poem. XII, str. 292—295.

„Kiedy wojsko kwarciane przystało do Szweda, Kochowski pisze na to wiersz [1], którego początek przypomina Kochanowskiego: ‚Na utratę Smoleńska' — wiersz dość słaby, ale ciekawy przez to, że wszystkie nieszczęścia Rzeczypospolitej przypisuje różności wiary: ‚heretyka pragną mieć panem heretycy'. Ale nie to tylko: byliśmy mocni, póki była u nas święta wiara i jedna, ale kiedy Aryanie bluźnią Trójcy, kiedy nasze ‚konfederacye (warszawska 1572) dają opiekę fałszywym wiarom, Bóg się od nas odwrócił i łaska jego, a z nią pomyślność Rzeczypospolitej nie wróci, aż ta różność wiar będzie precz wyplewiona'. Czytając ten wiersz, widzi się prawie, jak w opinii owoczesnej rodzi się myśl wypędzenia z Polski Aryanów, jako zadośćuczynienie i jako sposób przebłagania Boga" [2].

Dwie są przyczyny, jak mniema Kochowski, „odstąpienia wojska kwarcianego od J. K. M. Jana Kazimierza"; jedna, to ta okoliczność, „że miękko młodość koronnego syna ociec zaprawia", a o drugiej już wspomnieliśmy:

...Taki takiego panem życzy,
Heretyka pragną mieć panem heretycy,
Trudnoż, ach, trudno nie upaść mocnemu
Królestwu w sobie tak rozróżnionemu;
A święta zgoda które spoi,
Takie bez naruszenia i na wieki stoi [3]
Królestwo...

Ale my
Odmieniliśmy dawne obyczaje,
I z wiarą świętą, starożytną,
Szczyrość, prawdę, odwagę, w męstwie siłę bitną...

I tak będzie długo źle w Polsce, póki się ona nową, silną i potężną wiarą nie odrodzi, bo Polsce wtedy:

Na złoty pokój się bierze,
I tem się Polska chlubi,
(Że) Przy prawowiernej wierze
Nieprzyjaciół swych zgubi [4].

[1] „Lir." ks. I, poem. XX, str. 39—43. „Na odstąpienie wojska kwarcianego od Jego K. M. Jana Kazimierza pod Krakowem 1655".

[2] Tarnowski, l. c. str. 7.

[3] „Lir." ks. I, poem. XX, str. 40.

[4] „Pamiątka trenami wyrażona na zejście z tego świata p. Seweryna Kochowskiego". Tren III, poem. XXXIII, str. 124.

Heretykom po śmierci ich nawet grozi Kochowski, umarłych jeszcze nienawidzi i przypomina im:

Heretycy Piotrowe lekceważą klucze,
Aleć jest i miecz Pawłów, który ich potłucze.
Niech go lekce nie ważą, iże malowany,
Bo w ręku apostolskich żywe daje rany [1].

Srodze to boli Kochowskiego, że Jana Kochanowskiego „rozumieją niektórzy być heretykiem“:

Żałuję twej, Janie, doli,
Która mię jak własna boli,
Obmownym że cię językiem
Udają być heretykiem.
Jakobyś Pańskiej owczarnie
Odstąpiwszy, uwiązł marnie
W błędach Lutra czy Kalwina,
Jak to zbłądzić nie nowina.
Więc cię bronię, żeby ludzie,
Nie wierzyli tej obłudzie,
W której żywot wziąłeś wierze,
W tej cię z świata zła śmierć bierze [2].

A zresztą, jak mógł być przyjaciel Myszkowskiego heretykiem, jak mógł heretyk biskupowi dzieła swe ofiarować?

Usposobienie Kochowskiego dla heretyków najlepiej przedstawia wiersz p. t. *Atheismus* [3], nie wiadomo, z jakiej okazyi napisany; za motto tego wiersza wziął poeta słowa: *Dixit insipiens in corde suo: Non est Deus.* Oto kilka ustępów tego poematu:

...Możeż się znaleść w szalonym rozumie
Miejsce tej czyim opętanej dumie,
Że Boga niemasz, który wszystkiem rządzi,
Karze i sądzi?
Że w Charontowym niepowrotnym promie
Te dusze nasze poginą znikomie,
Pól elizejskich (co my zwiemy niebem)
Niemasz z Erebem.

[1] „Fraszki“, ks. I. „ŚŚ. Piotr i Paweł“, str. 35.

[2] „Lir.“ ks. I, poem. XXII, str. 46—48. „Apologia za Janem Kochanowskim wojskim send., poetów polskich wodzem, którego niektórzy rozumieją być heretykiem“.

[3] „Lir.“ ks. IV, poem. XXIX. *Atheismus,* str. 253—254.

Niemasz nagrody cnotom, poczciwości,
Na onym świecie, niemasz kary złości,
Lecz się bezbożni na tem Ateiste
Mylą zaiste.
Kto niebo stworzył, kto dał bytność ziemi,
Kto ją osadził synami ludzkiemi,
Kto ją i rządzi, trzyma, opatruje,
Ten jej panuje.
Któż biednej mrówce tę opatrzność radzi,
Kiedy na przyszłą zimę nagromadzi
Ziarn, które gdy ma, zimy się nie boi
W chałupie swojej.
A tyś sam ktoś jest? Czyliś dawnym wiekiem
Z smoczych przez Kadma zębów stworzon człekiem?
Czy cię głaz Promet rzuciwszy przez głowę
Stworzył na nowe?
Milcz hardy głupcze, bo sami poganie
To twe bezbożne potępiają zdanie.
O *Ens entium* wydał edykt szczyry
Mędrzec z Stagiry.
Świat ten upadnie, okrąg ziemski zginie,
Ale wszechmocność Boska nie przeminie;
W wieczność wieczności z nim ludzie szczęśliwi
Na wieki żywi.

A heretycy grzesznicy na wieki przeklętymi będą:

...Czemu nie wierzą jeśli Ateusze,
Że żyją ludzkie i po śmierci dusze,
Na Piotrowina, co legł dwakroć w grobie,
Dość mają probie.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wiersz ten musiał krążyć w licznych odpisach, podawany z rąk do rąk, działał na opinię publiczną, podobnie jak i „Bando na Aryany sejmem Warszawskim z Korony Polskiej wywołane“ [1], jest sformułowaniem uczuć ówczesnych patryotów-katolików. Nie razi nas wcale w Kochowskim „brak zupełny religijnej tolerancyi“ [2], który tak gorszył Rzążewskiego, bo wiemy, że nazwy takie były wówczas na porządku dziennym [3].

[1] Sejm z r. 1658 najbardziej znienawidzonych z pomiędzy różnowierców, mianowicie Aryanów, wygnał z kraju; był to skutek łączenia się różnowierców z najeźdźcami.

[2] Rzążewski, „Wespazyan Kochowski“, str. 53.

[3] Dość przypomnieć np. wcześniejsze tylko poezye polityczno-religijne Miaskowskiego, a przedewszystkiem jego „Testament Luterski“.

I.

Wychodź swacho Babilonu,
Nierządnico wszeteczna,
Sarmackiego molu tronu,
Ojczyzny hańbo wieczna.
Fora z dwora, precz z korony,
Atejska bezbożności,
Któraś przez swój jad szalony
Matki gryzła wnętrzności.

II.

Wender, wender Aryani,
Wnukowie Belzebuba,
Którym boski honor tani,
A z bluźnierstw jego chluba,
Rumujcie się Socyniste,
Ciemne z przedpiekła sowy,
Złe puchacze i nieczyste,
Narodzie wartogłowy.

III.

Pikardowie, nowokrzczeńcy,
Wszystka djabla rodzina,
Lucyperowi siostrzeńcy,
W drogę przyszła godzina;
Głos fasolny, głos ogromny,
Huczna trąba wynosi,
A przez edykt wiekopomny
Wygnanie wasze głosi.

IV.

Pójdźcie z Polski precz szarpacze
Chrystusa przedwieczności,
I sukienki rozdzieracze,
Którą tkano w jedności.
Woła znowu i podwojski:
Komu jest miła dusza,
Kto nie chce być wygnan z Polski,
Odstępuj Aryusza.

V.

Kto uparty w swym niewstydzie,
I zatwardziały w błędzie,
Do Garamant niechaj idzie,
Indom mieszkaniem będzie,
Mówią, radzą przyjaciele,
Po tysiąc prosząc razy,
Żeby wyznać to w kościele,
Jak uczy Atanazy.

VI.

Jak ojców zbory zebrane,
I synody chwalebne,
Apostolskie nam podane
Tradycye potrzebne.
Co wyraźnie mądrość rzekła:
Jam życiem, prawdą, drogą,
Czemu same wierzą piekła,
Oni wierzyć nie mogą.

VII.

Więc uparci Mauryszkowie,
Fora z Polski Granaty,
Zdrajcy raczej nie synowie,
Wender za oba światy.
Mniemam, i tak mi się widzi,
Choć piekło prawdę gani,
Że się wami prędko zbrzydzi,
I pchnie głębiej odchłani [1].

„Bando“ znakomicie odpowiada tym czasom, kiedy Aryanów prześladowano, gdy na stosie spalono Łyszczyńskiego za

[1] „Lir.“ ks. II, poem. XXV. „Bando na Aryany sejmem Warszawskim z Korony Polskiej wywołane anno 1661“, str. 109—111.

niedowiedzione dokładnie wątpliwości w rzeczach wiary. Mam to najgłębsze przekonanie, że Kochowski wierzył w to święcie, iż z powrotem wiary św. wrócą i dnie szczęśliwe Polsce, że pełen ufności w prawdę słów swoich pisał:

Ale nic to Polsko ma, że trzymając wiarę
Przysięgłą, twa przebrała niefortuna miarę.
Pono cię to przychylne doświadczają nieba,
Jeśliś w obojem szczęściu stateczna jak trzeba...

Bóg was Polacy, jak jubiler złoto, czyści i próbuje; któż nie wie, że:

...Mocny Bóg, sądy jego skryte, a któż zgadnie,
Nie na cię li Polaku, ten obłów przypadnie,
A rząd wszytkiego świata na tym wieku zgonie,
Będzie chciał mieć przy naszym zimnym Akwilonie [1].

III.

Czy ten wielbiciel Krzyża świętego był zawsze pobożnym i skromnym, czy ten *Sodalis Marianus* całe swe życie zapełniał tylko pracą, modlitwą i tworzeniem nabożnych wierszy? Czy ten poeta, „głosząc i opowiadając najrozliczniejsze cuda, w jego pojawiające się czasach, o których bez Kochowskiego wiedzieć-byśmy zupełnie nie mogli, bo nam nikt więcej o nich nie donosi“ [2] — nie uderza czasem na lutni swej w strunę, wydającą ton dysharmonijny z muzyką uczuć katolickich? Niestety tak! Wiele się znajdzie w jego pismach miejsc, uchybiających etyce katolickiej, a nawet wierze katolickiej! Uchybienia te jednak charakteryzują tylko typową, szlachecką, polską naturę owej epoki. Z życiorysu Kochowskiego wiemy, że dla wielu „lekkich a niestatecznych rymów“, jego „Niepróżnujące próżnowanie“ chciano na stosie spalić, że dopiero wdanie się nuncyusza w tę sprawę i instrukcya braci szlachty ziemi krakowskiej, dana swym delegatom na sejm, zażegnały tę burzę, zbierającą się nad głową poety, a zagrażającą jego dziełom zniszczeniem.

[1] „Lir.“ ks. IV, poem. XII. „Paraenesis do Korony polskiej i W. Ks. Lit. z prognostykiem dobrej nadzieje“.

[2] Rzążewski, „Wesp. Kochowski“, str. 104.

Dziś nawet jeszcze, czytając niektóre rubaszne i trywialne koncepty Kochowskiego, a jest ich tak wiele, iż wyliczanie ich tytułów (bezcelowe zresztą) zbyt dużo zajęłoby miejsca, choćeśmy przywykli do „realistycznego opisywania procesów życia", znachodzimy je nieprzyzwoitemi bardzo, rozwioźlejszemi od umieszczonego na indeksie zbioru nowel Boccacia p. t.: „Decameron". Uśmiech bolesnej ironii pojawia się na naszych ustach, gdy czytamy, że „wielkie" poemata „wielkim", a (rozwioźlejsze właśnie) „te małe dla dziatwy" [1] być mają. Rozwiozłość ta jednak i rubaszność mniej nas jeszcze razi, tak samo jak częste [2], dowcipne czasami, a częściej mniej dowcipne, satyryczne uwagi Kochowskiego o księżach. Nie możemy jednak uchronić się od niemiłego wrażenia, gdy takie niewczesne, uchybiające Bogu czytamy we „Fraszkach" dowcipy, jak zabawne zresztą może: „Daleko do nieba":

A wszak astrologowie w swej rachubie piszą,
Jak wiele do nieba, kędy gwiazdy wiszą:
Ja pół dnia drogi kładę, gdyż tam Pan wstępował
Po obiedzie, a niema, by gdzie noclegował [3].

Rozśmieszają nas i oburzają równocześnie naiwne elukubracye Kochowskiego w tym rodzaju, jak np. na słowa Pieśni nad pieśniami: *Tota pulchra etc.:*

Wszystkaś piękna, nad wszystkie ziomki i kolegi;
W Tobie nie było żadnej makuły i piegi [4].

Niemiłem jest również dla dzisiejszego czytelnika tytułowanie przez Kochowskiego Matki Boskiej „przyjaciółko moja" [5]. Dzikim konceptem wprost dziś nam się wydaje igranie z wyrazem *Ave,* jaki kilkakroć [6] w pismach Kochowskiego napotykamy.

[1] „Fraszki" ks. I, str. 31: o wierszach tych.

[2] „Lir." ks. III, poem. XXX, str. 119—120. „Do światowego zakonnika". — „Fraszki" ks. I. *Regulae Sacerdotum,* str. 15; tamże, „O kaznodziei", str. 35, „Wielkie podobieństwo", *Bibit abbas cum priore,* str. 68, „O kaznodziejach" str. 132 i t. d.

[3] „Fraszki" ks. II, str. 137 p. t. tyt.

[4] „Ogród" str. 30.

[5] „Ogród". *Ecce tu pulchra es (Cant.* str. 59).

[6] *Rubus Incombustus* str. 67—68. Wisłocki, Wstęp 26 i 27. — Podobnie „Ogród": *Sumens Ave* (Ave = Ewa) str. 209 a str. 56: Maria (anagramma) Miara.

Z świętych żartuje sobie poeta nieraz w sposób [1], przekraczający nawet granice zwyczajnej przyzwoitości; najbardziej jednak ujemną stroną Kochowskiego jest jego zabobonność i wiara w prognostyki. Kochowski nietylko uważa „naród swój pomiędzy innemi przez Opatrzność wybrany“ [2], lecz wierzy w dodatku w nieszczęsne *Klimaktery* [3], tj. w symboliczne siódemki, a wreszcie w złowrogie komety. W *Rubus Incombustus* opisuje poeta ocalenie klasztoru częstochowskiego w ten sposób, że nie obraz cudowny ocalił kaplicę od pożaru, lecz siedm kolumn i siedm obrazów, trafem szczęśliwym w takiej liczbie (siedm) na siedmiu kolumnach zawieszonych. Rocznikom swoim dał Kochowski nazwę: *Klimaktery*. Wyżej zwróciłem już na to w właściwem miejscu uwagę, że cud w Dzierzkowie łączy Wespazyan Kochowski z równoczesnem okazaniem się komety na niebie, i dopiero na podstawie tego połączenia przestrzega:

...Więc moja Polsko, moi Sarmatowie,
Miej płacz mój w sercu, a komety w głowie.
Nigdy te ognie darmo nie pałają,
Ani łzy, chyba gdy napominają [4].

W „Pieśniach Wiednia wybawionego“ nie zapomina poeta również o komecie, świecącej wtedy na niebie [5].

Napisał Kochowski:

Często lód przezroczysty kałużę przykrywa,
Pod płaszczem nabożeństwa hypokryzya bywa... [6]

o nim jednak tego przypuścić nawet nie można. W ustach jego brzmieć to musiało pięknie i prawdziwie, gdy mówił o „zdroju

---

[1] „Fraszki“ str. 36. „Św. Marya Magdalena“. Str. 115, zestawia Chrystusa Pana z Wenerą. Str. 131, „Spowiedź św. Lemma“. Str. 123, *Unus alio major* i t. d.

[2] Myśl tę rozwija poprzednik Mickiewicza i Krasińskiego w „Psalmodyi“. Psalm 7, 14 i 15; — por. Rzążewski, str. 116.

[3] Swoją drogą „Wiara w Klimaktery“ nie była czemś niezwykłem w owych czasach w Europie. Wisłocki, *Rub. Incomb.* str. 36.

[4] „Lir.“ ks. II, str. 115—117, poem. XXVIII. „O obrazie płaczącym“.

[5] „Pieśni Wiednia“, str. 6, strofa V.

[6] „Lir.“ ks. III, str. 136, poem. II. „Za murami do skrupulantów“.

żywej, katolickiej wiary", gdy zapewniał, że „wszystko z nieba" [1] pochodzi. Na część autobiografii Kochowskiego (czem się nawet być zdaje) wygląda jego „Testament katolicki" [2], w którym „jako prawy katolik", poleca przed śmiercią gorąco ubogich i utrapionych łasce i opiece możnych, godzi się z swojem sumieniem, apeluje wreszcie jeszcze raz do miłosierdzia Bożego, a w końcu żegna się z tym światem [3]. Z życia Kochowskiego najpiękniejszem może zdarzeniem jest ufundowanie przytułku dla podupadłych kmieci. Nie bez rozrzewnienia również czyta się w *Klimakterach* [4] o tem, że Kochowski, starzec już zgrzybiały, którego nikt nie śmiałby (znając jego pisma) z powodu zapatrywań religijnych oskarżać, poddaje dzieła swe dobrowolnie ponownej cenzurze duchownej i obiecuje *recepta et approbata, pro legitimis — reprobata, pro apocryphis et damnatis* uważać.

Położył Kochowski na wielu swoich dziełach jezuicki znak: *A. M. D. G.*, położył go nawet pod rubasznemi fraszkami; życie jego upłynęło zaiste ku większej chwale Boga, mimo tej wiary w zabobony i niesmacznych konceptów; a życie jego całe bez wątpienia pożyteczne było wierze świętej i ojczyźnie naszej.

L. M. Dziama.

---

[1] „Lir." ks. II, poem. XII, str. 88—89. Parafraza psalmu 22.

[2] „Psalmodya" str. 60—62, psalm 35. Testament ten napisał Kochowski w 63 roku swego życia, tj. wielkim roku klimakterycznym (9×7), ale wiara w *Klimaktery* go zawiodła, bo nie w 63, lecz 69 roku życie swe zakończył.

[3] Wisłocki, *Rubus Incombustus*, str. 44—45.

[4] *Climacter* III, proemium ad lectorem.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Pisma Pawła Popiela. 2 tomy. Kraków 1893.

Minęło dwa lata od zgonu Pawła Popiela. Dwa lata już! Wydaje się, że to był wczoraj ów dzień rzewny i smutny, gdyśmy męża tego po długich znojach żywota układali do wiecznego spoczynku. Ponad umarłymi czas tak prędko przechodzi... Są jednak tacy pomiędzy zmarłymi, którzy, pomimo iż czas przechodzi, nie przestają żyć w sercach i pamięci, których głos z poza mogiły jeszcze słyszeć się daje. Tym głosem, wymowniejszym nieraz aniżeli za życia, bywa wspomnienie czynów, bywają prócz czynów i pisma. W nich, ludzie kochający zmarłego, odszukują skwapliwie odbicia jego uczuć i myśli; ci zaś, co go nie znali, a żałują że znać nie mogli, usiłują przebić zesztywniałą powłokę druku, aby wniknąć w głąb jego ducha i oświecić się odblaskiem, jaki zachodząc w wieczność poza sobą zostawił.

Człowieka z pism jego rzadko poznać można, zwłaszcza człowieka „dawnej daty“, zajętego, gdy co pisał, przedmiotem swojej rozprawy, a nie dyssekcyą odcieni własnych uczuć i wrażeń. P. Popiela jednak odnajduje się w jego dziełach: jego treściwość w słowie, jędrność w myśli, sumienność w sądach, zamiłowanie piękna w formie i treści, a nadewszystko gorącość serca zwróconą ku Bogu i krajowi, rozgrzewającą dziś czytelników, tak jak za życia rozgrzewała słuchaczy. Zalety te, do którychby i wiele innych doliczyć można, a które się nie często pod jednem piórem złączone spotyka, wytwarzają prawdziwą

wyższość, wynoszącą pisma P. Popiela ponad większość politycznych i niepolitycznych nowoczesnych utworów. Jedno zwłaszcza: czystość i sumienność w sądach, stanowiła bardzo wybitny rys jego charakteru i wielki nadawała wdzięk obejściu z drugimi. Skutkiem tej sumienności było uszanowanie dla przekonań bliźniego; nigdy P. Popiel nie odrzucił cudzego zdania, nie zastanowiwszy się wprzódy, czy choć części prawdy w sobie nie zawiera, a odkrywszy tę cząstkę, chwytał ją skwapliwie, rozwijał i rozszerzał, aż nieraz z owej iskry rozdmuchane światło zdołało całość mętnej wprzódy myśli rozjaśnić. Na to, aby tak czynić i tak czynić umieć, trzeba niezmiernie kochać bliźniego i prawdę...

Trzeba, aby módz czynić bezkarnie, mieć w głównych rzeczach myśl ugruntowaną na niewzruszonych zasadach: Paweł Popiel sztandar swych zasad nosił do końca wysoko i jawnie. Dlatego też u wstępu pierwszego tomu, zawierającego zbiór jego pism politycznych, umieszczono artykuł napisany 2 grudnia 1866 r. w obronie władzy papieskiej i wolności Kościoła wśród miotających się nań nawalności. O walce, toczącej się wówczas a nie zakończonej po dziś dzień pomimo upadku doczesnych rządów Ojca św., wyraża autor swe przekonanie głębokie, iż „nie toczy się ona bynajmniej dla Włoch ani na ich korzyść, ale jest to walka pomiędzy tymi co wierzą w prawa nadprzyrodzone, a tymi co je odrzucają". Gani obojętność katolików, mówiąc, że gdyby te ich „300 milionów, które są rozsypane po kuli ziemskiej, poparło papieskie *non possumus* głośnem *non volumus*, nie ważyłby się ani jeden żołnierz włoski przestąpić progów Rzymu"... Artykuł ten, zawierający prawdziwie katolickie wyznanie wiary, umieszczono zaraz po krótkim życiorysie P. Popiela, na samym wstępie jego własnych utworów; i dobrze zrobiono: jest to jakoby znak krzyża św. nakreślony przed rozpoczęciem pracy.

W tomie pierwszym, jak mówiliśmy, zebrano w różnych czasach drukiem ogłoszone pisma polityczne, oraz niemniej polityczne, a przynajmniej na sprawy publiczne wpłynąć mające pisma z powodu wypadków bieżących. Pisma polityczne P. Popiela omówione już były i będą w przyszłości przez fachowe, zdolniejsze pióra; może z ich okazyi, pod natchnieniem myśli w ich łamach zawartych, niejeden tom kiedyś wyrośnie. Praca ta atoli wymaga bystrego politycznego zmysłu, obznajmienia się z całym skomplikowanym mechanizmem stronnictw i ruchów społecznych, wymaga nadewszystko gruntownej znajomości dziejów ubiegłych lat 30-stu, dziejów mniej znanych wogóle, bo już nie

należących do gazet, a jeszcze nie do ksiąg historycznych, i przez to samo trudniejsze są do zbadania dla tych, którzy w nich osobistego nie brali udziału. Sam P. Popiel posiadał prócz wielkiej historycznej wiedzy, zadziwiającą pamięć zaszłych za życia jego wypadków: pamiętał je, umiał rzecby można we wszystkich szczegółach, w ich chronologicznem następstwie i konsekwencyi, z charakterystyką moralną i fizyczną osobistości, z kolorytem tła, miejscowości, nawet odrębnych cech śmieszności lub dowcipu... Stąd szło, iż w rozmowie dotykał przeróżnych punktów niezrozumiałych zrazu dla słuchaczy, ale które natychmiast ze zwykłym sobie wdziękiem objaśniał. W pismach jego też niejeden podobno taki punkt się znachodzi, tylko że już jego nie stało, aby nam je rozświecał... Czytający rumieni się i powtarza w duchu słowa Doudan'a: *qu'il faudrait toujours traiter son lecteur comme un idiot*, czego P. Popiel nie czyni, i stąd wyrasta nowa trudność dla usiłującego coś o dziełach jego napisać. Dlatego też wolimy ocenę artykułów politycznych bardziej kompetentnym zostawić piórom.

Są wszelako i wśród polityki kwestye społeczne, o których każdy jest w stanie mniej lub więcej słuszny i głęboki sąd sobie wyrobić; taką np. jest socyalizm omówiony przez p. Pawła w artykule zatytułowanym „Choroba wieku". Autor, przebiegając myślą główne kraje Europy, twierdzi, że we Francyi istnieje właściwie tylko „kwestya robotników", a kwestya socyalna „dotąd mimo pozorów mało zagraża"; że przeciwnie w Niemczech, gdzie panteizm pod nazwą hegelianizmu zachwiał wiarę w osobistość Boga i człowieka, a następnie „błąd z wyżyn spekulacyi zstępując w życie polityczne, praktyczne, stworzył nowożytne państwo jako najwyższy postulat rozumu", który „za wszystkich rządzi, myśli, uczy i wierzy" — tam socyalizm znajdując gotowy dla siebie materyał w upadku wolności osobistej, „osobny sobie wyrobił charakter i zwolna masy ludu przesiąka"... Po Niemczech następuje charakterystyka nihilizmu, wyrosłego na gruncie, gdzie wpływ buddaizmu przyniesiony przez azyatyckich najeźdźców połączył się z wpływem bizantyńskim i wytworzył carat u góry a unicestwienie jednostki u dołu; dalej charakterystyka socyalizmu wogóle. Autor, zgromiwszy go słowami: „nauka socyalna zdolna obałamucić i zaspokoić tylko umysły słabe i głowy ciasne", oraz że „historya nie zna tak potwornego zjawiska" — gromi zarazem i konserwatystów, porażki ich przypisując temu, iż broniąc tylko swoich własności, „nie zapuszczali nigdy korzeni w grunt moralny"... „Prawa człowieka materyalne, doczesne — dodaje dalej — o tyle tylko mają trwałości i bytu, o ile on uszanuje obowiązki du-

chowe i wieczne"; jeżeli zaś to uczyni, znajdzie poparcie w masach ludowych. Na te masy w Polsce zaleca w konkluzyi mieć baczną uwagę, a moralną i materyalną otaczając je opieką, strzedz od socyalizmu najniebezpieczniejszego dla nas, przychodzącego ze Wschodu.

Inne artykuły, jak „List do Jerzego Lubomirskiego", drugi do Stanisława Polanowskiego, „Austrya — monarchia federalna", „Kilka słów z powodu artykułu J. Szujskiego w fejletonie dziennika *Hasło*", *Considérations sur l'ètat politique de l'Autriche adressées au Comte Belcredi* i t. p. zostawiamy tedy do omówienia politykom z zawodu.

Drugi dział, złożony z szeregu „Pism" z powodu bieżących wypadków, rozpoczynają „Listy do Tichaczewa", autora zgryźliwych artykułów o Polsce i rewolucyi r. 1830, drukowanych w *Revue Européenne*. Odpowiedź na te zarzuty napisana po francusku przez 26-letniego wówczas P. Popiela z wielką śmiałością i zapałem: znać iż dłoń, która dzielnie pod Grochowem o wolność kraju walczyła, nie ostygła jeszcze od szabli, i chwyciwszy za pióro, dalej swą walkę prowadzi. Językiem francuskim zaś włada lepiej od niejednego Francuza; wyraża się nim z tą nadzwyczajną giętkością i siłą, na jaką nawet gruntowna znajomość języka nie starczy, ale którą gwałtowne wzruszenie niekiedy człowiekowi nadaje. Po „Listach do rosyjskiego Admirała" następuje „List do Józefa Kremera", pisany w jedenaście lat potem, gdyż w r. 1844, po zamknięciu ostatniego Sejmu Wolnego miasta Krakowa, na którym to Sejmie dyskutowano projekt ustawy dozwalającej — wbrew prawom Kościoła — na rozwody w małżeństwie. P. Paweł tu, jak zawsze, staje w obronie prawdy, tj. świętości Sakramentu i nierozerwalności ślubów, a że opinia jego w tej mierze nie zmieniła się z czasem, świadczy „Memoryał", w 24 lat później jednemu z członków rządu austryackiego podany w chwili gdy konkordat pomiędzy Austryą a Stolicą św. miał być prawem o małżeństwie zachwiany. W „Liście do Kremera" P. Popiel chwali zawsze sympatyczną sobie Anglię za to, iż procesa rozwodowe utrudnia, oddając je pod sąd Izby Panów; Prusy zaś, za starania łożone przez rząd celem ograniczenia mnożących się rozwodów.

Tenże sam duch religijny, nie już w walce o trwałość domowego ogniska, ale o pierwiastek Boży w wychowaniu dzieci, ujawnia się w artykule „O szkole", drukowanym w *Czasie* r. 1889 a skreślonym z okazyi wniosku księcia Liechtensteina. Kwestya wychowania bowiem była jedną z najżywiej zaprzątających umysł autora; był on zbyt logicznie chrześcijaninem, aby nie potępiać dzisiejszych prądów, usiłujących w imię dobrobytu ludzkości zamieniać dzieci w maszyny do obli-

czania procentów lub odmierzania gruntu. „Nie myślcie — mawiał nam nieraz — aby system dążący jedynie do tak zwanych celów praktycznych, obciążający pamięć formułkami z matematyki, szczegółami z zoologii, mineralogii i t. p., a nie podnoszący jego myśli i uczuć, był czysto wynikiem konieczności, potrzebą zrodzoną z walki o chleb powszedni. Tkwi tam na dnie intencya głębsza: przykuwając od młodu umysł do ziemi, oddalając go od rzeczy wyższych, broniąc mu wszelkiego polotu, oddala go się przez to samo od Boga, a to jest rzeczywistym celem inicyatorów i promotorów systemu“. Oczywiście nie mówił tu o wykonawcach zmuszonych do pchania dalej ciężkiego edukacyjnego pociągu po założonych szynach, których kierunku nie łatwo jest odmienić... Nie dziw, że p. Paweł popierał Liechtensteina w żądaniu szkół wyznaniowych, nie dziw też, że nie cierpiał w szkole wszystkiego co tchnie biurokracyą. Przeciw tej burzyły się jego humanistyczne instynkta, a że był humanistą z natury, znać było choćby z miłości, jaką otaczał ludzi i rzeczy z czasów Odrodzenia. Rzekłbyś, iż się między nimi wychował, tak mu wśród ich dzieł i rozmowie o nich było dobrze, tak zdał się wtedy oddychać swojskiem, rodzimem powietrzem...

W pismach jego pozostał ślad widomy tego zamiłowania, szkic pod tytułem: „Czynności artystyczne na dworze Zygmunta I., wedle zapisów Seweryna Bonera“. Oryginały owych „zapisów“ wraz z częścią kancelaryi Stanisława Augusta były jego własnością: składają się z dwóch tomów, zawierających: pierwszy, rachunki królewskie z r. 1524. drugi, od 1 listopada 1525 do ostatniego października r. 1527. Seweryn Boner był, jak wiadomo, synem żupnika krakowskiego Jana Bonera, któremu król zawdzięczał uregulowanie swych interesów pieniężnych. wykupienie mnóstwa dóbr w zastaw puszczonych, zapewnienie stałych a dość obfitych dochodów skarbowi, słowem naprawę smutnej gospodarki z czasów poprzednich, zwłaszcza z czasów króla Aleksandra. Seweryn odziedziczył po ojcu posadę wielkorządcy i burgrabi zamku krakowskiego, na nim też ciężyi obowiązek utrzymywania rachunków królewskich tak z wydatków dworskich kuchennych i domowych, jak z kosztów fabryki około przebudowania i ozdoby królewskiego zamku. Kto nie wejrzał w podobne rejestra, pisane zwłaszcza tak jak to wówczas czyniono — ten nie ma wyobrażenia, jak w nich czuć tętno życia. jakie bije światło na codzienne prywatne i publiczne stosunki. Jednę z tych ksiąg użył P. Popiel za źródło do szkicu przeznaczonego dla Akademii Umiejętności, główny kładąc nacisk na szczegóły dotyczące

robót około Zamku i kaplicy Zygmuntowskiej. Nie chcemy tutaj dotykać tych szczegółów z obawy, aby pod ich upajającym urokiem nie zatrzymać się nad niemi zbyt długo. Dziś, wobec restauracyi Zygmuntowskiej kaplicy i innych napraw koniecznych na Wawelu, nabierają one podwójnej ceny: nic nas tak nie uczy co czynić mamy, jak widok tego, co inni przed nami na temże miejscu zdziałali.

Śliczną, gdyż bogatą we wspomnienia a płomienną uczuciem, jest „Mowa na jubileusz gimnazyum św. Anny", wypowiedziana 28 października 1888 r., nie mniej gorącą a szerszą rozmiarem i ważniejszej treści rozprawa o Powstaniu i upadku Konstytucyi 3 maja. Lecz aby tej rozprawy napisać ocenę, należałoby mieć wzrok i pióro Waleryana Kalinki, a Kalinka już w grobie, i nie nam porywać się na sądzenie dzieł jego dziełu pokrewnych. Genezę myśli, z której powstała Konstytucya 3 maja, wywodzi pan Paweł od Skargi i Górnickiego, domagających się jeden uroczyście i głośno, drugi po cichu i *incognito* prawdziwej naprawy Rzeczypospolitej, mogącej ją od upadku ochronić. Za nimi możnaby wymienić szereg nazw ludzi, którzy widzieli niebezpieczeństwo istniejącego ustroju, i czynem lub słowem usiłowali je zażegnać — usiłowali daremnie, bo pojedyńczo. Konstytucya 3 maja dopiero była aktem zbiorowym, ale przyszła, niestety, za późno. Opowieść P. Popiela silna, barwna, oparta na wielkiej znajomości przedmiotu i z tejże wynikłych poglądach, kończy się w tragicznej chwili wybuchu Targowicy. Zamyka ją zwrot do stosunków dzisiejszych, przestroga: że Targowicą „jest rozdział kraju na mnogie obozy. Była Targowica z góry. Ale bywają i z dołu. Kto współobywateli, w położeniu zwłaszcza anormalnem, prowadzi do podejrzliwości, budzi namiętności czy wpływu czy posiadania, kto w nadziei zawładnięcia nie dość umiejętnymi, jak magnaci drobną szlachtą, wmawia w nich, że są przedniejszą społeczeństwa częścią i że do nich należy kierunek spraw publicznych, kto ludzi zacnych, gotowych do czynu i poświęcenia, zohydza i szkaluje — to Targowiczanin".

Ciekawe bardzo są „Annexa" do powyższej rozprawy: przedruk listów Stanisława Augusta, Katarzyny, Debolego i Szczęsnego Potockiego, listów znajdujących się w oryginale w tekach P. Popiela. Najbardziej uderzającym z nich jest list królewski 2 stycznia 1792 do Szczęsnego pisany, list prosty a rzewny, któryby opokę zmiękczyć potrafił, a który jednak nie zdołał skruszyć trzechwiekowego, na ruchach egzekucyjnych i paktach konwentach XVI. w., na rokoszach XVII. i rozpasaniu XVIII. w. wyrosłego przesądu.

Na tem kończy się I. tom „Pism“ P. Popiela. Początek jednak drugiego tomu wydaje się silnie z tym końcem złączony: otwierają go bowiem „Uwagi o sejmie Czteroletnim O. Waleryana Kalinki“. Dalej czytamy o „Pamiętnikach księcia Adama Czartoryskiego“, dalej znów całą broszurę o Powstaniu r. 1830 z powodu dzieła Barzykowskiego. „Antoni Zygmunt Helcel“ (rozbiór dzieła Henryka Lisickiego), „O znaczeniu większej własności“ (Ludwika Górskiego), a wreszcie „Anglia z r. 1831 w listach lorda Grey i księżny Lieven“. Są to wszystko niby rozbiory cudzych dzieł, a w istocie z okazyi tych dzieł napisane rozprawy, noszące własne piętno, wyrażające sąd i opinię P. Popiela, nie tyle o samych książkach, ile o podniesionych w nich kwestyach. Aby z kolei rozbiór tych rozpraw podać czytelnikom, należałoby osobne dzieło napisać; dziś zda się mądrzej zrobimy, odsyłając ich do samego źródła, z zaręczeniem, że będą mogli czerpać dowoli i długo, a jeszcze dna nie obaczą.

Niepodobna też kusić się o rozbiór zawartych w drugim tomie dwudziestu ośmiu wspomnień pośmiertnych. Jest to rząd pereł, szkiców biograficznych, wychodzących ponad miarę zwykłych nekrologów. Niektóre, jak np. wspomnienia o Józefie Szujskim i Aleksandrze Wielopolskim, wyrastają — nie rozmiarami ale doniosłością — do znaczenia dzieł politycznych; inne — czy to opowiadania o kampaniach Chłapowskiego i Skrzyneckiego, czy o działalności politycznej Manna, administracyjnej Gołuchowskiego, poetycznej i artystycznej jenerała Morawskiego i Piotra Michałowskiego, o dobroczynności Arturowej Potockiej i Róży Sobańskiej, czy też artykuły o zgonie Veuillot'a Montalemberta i księdza Lamennais, w których odtwarza swe dawne wrażenia, nie osłabione ani oddaleniem ani wiekiem — wszystkie będą mogły kiedyś historykowi, opowiadającemu nasz wiek XIX., służyć za galeryę portretów, z których żaden nie jest panegirykiem ani satyrą. Wiele tam głębszych myśli rzuconych, wiele rozsianego zdrowego uczucia, wiele nawet, na niejednej karcie i łez wylanych!

Niechaj ten, który tak pięknie umiał pisać o drugich, przebaczy dzisiaj tym, którzy nie umieją o nim pisać tak jakoby pragnęli. Nie chodziło nam tu o ocenę pism p. Pawła, ale o zaznaczenie ich w uwadze bardziej oddalonych czytelników. Na jedno wszakże w tych pismach zwrócić ich baczność jeszcze tu wypada: na styl. P. Paweł mawiał, że najlepiej w naszych czasach pisał po polsku Kalinka, a po nim chyba Lisicki, na co znów ten ostatni odpierał, iż on właśnie kształcił się na wzorach P. Popiela. Jędrność tam i czystość języka niezró-

wnana, treściwość godna Tacyta, w ostatnich latach nawet zbyt wielka, lepsza wszelako od rozwlekłości, na którą wielu autorów choruje. Jedna z przyczyn tej doskonałości stylu była niemal materyalna: P. Paweł pisma swoje, zwłaszcza ostatnie, najczęściej dyktował; słyszał więc to co pisał i według należnej harmonii układał swe zdania. Ucho w tym względzie daleko lepiej służy od oczu, te zaś niestety pod koniec życia P. Popielowi odmawiały posługi. Tem bystrzej za to patrzał okiem rozumu, tem skwapliwiej serce jego szukało w przeszłości narodu, w smutnej teraźniejszości naszej i każdym promyku nadziei na przyszłość, szukało tego co dobre i piękne, za co mógł ludzi ukochać na ziemi i Panu Bogu dziękować.

W.

Ludzie i wypadki z 1861—1865 r. Obrazki z powstania. Zebrał i ułożył *Pułkownik Struś*. Lwów. Nakładem Gubrynowicza i Schmidta. 1894. 2 tomy.

„Dzieciom i wnukom naszym — czytamy w pierwszych wierszach „Obrazków z powstania“ — bez wątpienia będą niepojęte czyny ojców i dziadów w pamiętnych latach początku siódmego dziesiątka naszego stulecia“. — Trudno na słowa te się nie zgodzić: wszak dziś już ludzie i wypadki z tych lat, choć stosunkowo tak jeszcze niedawnych, mgłą gęstą nieraz pokryte; dziś już niełatwo nieraz młodszemu pokoleniu, wychowanemu wśród innych prądów, w innych warunkach życia, wmyśleć się w pobudki, wyrozumieć uczucia, które spowodowały i kierowały strasznym dramatem, zowiącym się: ostatnie nasze powstanie. Dobrze więc, że mnożą się opisy tych czasów, zajmujących w historyi naszej ojczyzny bardzo smutną, ale i nader ważną kartę; dobrze zwłaszcza, że ci, którzy sami w tej tragedyi bezpośredni udział brali i odgrywali w niej znaczniejsze role, jak wojowali dawniej orężem, tak teraz piórem przynajmniej wojują, i choć innemi środkami, inne dziś niż przed laty 30 wskazując ścieżki, popierają i rozświecają sprawę, którą ukochali nad życie.

Dwa obszerne tomy, które mamy obecnie pod ręką, nie są bynajmniej — jak zresztą sam już tytuł ostrzega — osobistemi tylko pamiętnikami. — Przeciwnie, autor, z powziętem widocznie z góry postanowieniem, cofa się, ile tylko może, na drugi plan; o sobie samym wtedy i o tyle wspomina, kiedy i o ile ciąg opowiadania niezbędnie tego się domaga. Natomiast w długim szeregu, luźnie — niejeden z czy-

telników żałować może będzie, że tak luźnie, tak od przypadku — powiązanych ze sobą portretów, szkiców, obrazków, maluje głównie z osobistych wspomnień najwybitniejsze typy organizatorów, wodzów, bohaterów powstania; tych, co swem postępowaniem drogę mu utorowali, i tych, co usiłowali napróżno perswazyą i siłą drogę mu zatamować; uwydatnia charakterystyczne rysy ogniem i szubienicami rządzących rosyjskich wielkorządców. Jakie postacie tu się nie przesuwają, szlachetne i wstrętne, tchnące samą miłością i dyszące samą nienawiścią — od Andrzeja Zamojskiego, który procesyę tę rozpoczyna, aż do Murawiewa?! Obok Wielopolskiego, o którym autor, ze szkodą dla swej książki, spokojnie mówić nie umie; staje gorączkowy, nie wiedzieć zastrzelony czy żywcem ziemią zasypany Padlewski; dyktator Langiewicz z adjutantem swym: panną Pustowojtówną; urodzony konspirator: Frankowski; zbyt marzycielski, poetyczny, ale nie mniej szlachetny Zygmunt Sierakowski, powieszony przez tych samych żołnierzy, których poprzednio, jako rosyjski oficer, wszelkiemi siłami i drogami od kary cielesnej starał się uwolnić; syn murarza, krakowianin Borelowski, lepiej znany pod przybranem nazwiskiem Lelewela; tajemny dyktator powstania: Traugut; Aleksander Waszkowski, ostatni naczelnik miasta Warszawy... Gorzko pomyśleć, że tyle męstwa, tyle bohaterskich wysiłków, tyle energii i dobrej woli poszło na marne, i gorzej niż na marne!

Jak wysiłki te i z mienia i z krwi szły i musiały iść na marne, tego charakterystycznym dowodem opis kilku potyczek, w których jeden walczył nie przeciw dziesiątkom, lecz setkom, tysiącom; kilka wypraw, o których z góry każdy wiedział, że w dzisiejszych czasach i warunkach udać się nie mogą... Czyż, i jakież mogło mieć widoki powodzenia powstanie nad Bajkałem, morska wyprawa wyruszająca z Anglii na ratunek Polski, przekroczenie rumuńskiej granicy z bronią w ręku? Jedynie czarna rozpacz, powodująca się hasłem: „Niech dzieje się co chce“, i „Gorzej już być nie może!“ — popchnąć mogła do takich — nikt nie zaprzeczy, że bohaterskich, ale bądź co bądź bohaterskich — awantur. Pożyteczny jest ich szczegółowy i dokładny opis, bo jaśniej od wszelkich rozumowań poucza, jak najlepsza wola, najgorętsza miłość ojczyzny stać się może zgubną, gdy rozsądek przez wyobraźnię porwany, przez ogrom nieszczęść zaćmiony, przestaje ją na wodzy prowadzić.

Z.

Literatura dla młodzieży, jako czynnik wychowawczy w domu i w szkole (Przegląd wydawnictw z ostatnich lat kilku). Napisał *Karol I. Nitman.* Lwów. Nakładem H. Altenberga. Z drukarni *Dziennika Polskiego.* 1893. (W 16ce, str. 30).

Powyższych kilkanaście kartek powinnyby zwrócić na siebie uwagę każdego zawiadowcy biblioteki gimnazyalnej, bo chociaż nie mogą uchodzić za nieomylną wskazówkę przy wyborze książek, jednak pisane w duchu dobrym, zawierają niejedną zdrową zasadę i usilnie przypominają, jak trzeba uważać na strawę, którą młodzież karmi swój umysł.

Autor porusza sprawę bardzo ważną, dlatego wypada jego pracę, choć drobną, bliżej rozebrać i nie przemilczeć niczego, co można zarzucić jego poglądom na piśmiennictwo przeznaczone dla młodzieży. Najprzód uderza podział książek na cztery tylko działy, bez wzmianki o książkach treści religijnej, które przecież także powinnyby stanowić dział niezbędny w bibliotece dla młodzieży. Niekoniecznie też zgodzić się można na pochwały, z jakiemi autor poleca niektóre dziełka Dygasińskiego albo Konopnickiej. Chociaż ich niektóre prace wyjątkowo nie tchną duchem pozytywizmu, jednak nie należy oswajać młodzieży z autorami, których dzieła wogóle zasługują na naganę pod najważniejszym względem, tj. że, mimo zalet pisarskich, podkopują ducha wiary.

Trudno także przystać na pochlebny sąd autora o powieściach, przesiąkłych zasadami bezwyznaniowemi, jak np. „Pamiętniki chłopca“ przez Amicisa.

C.

Nowe epizody z ostatnich lat życia IMci Pana Jana Chryzostoma z Gosławic Paska. Przez *Aleksandra Kraushara.* Petersburg 1893. (Str. 175).

Autor, opierając się na księgach sądowych trybunału lubelskiego, przedstawia dwa procesa, wypełniające ostatnie lata J. Chr. Paska. Pierwszy, z margrabią Myszkowskim, od którego dzierżawił Olszówkę i Brześć, wypadł dla Paska nieszczególnie. Po długich przewłokach zyskał wprawdzie dekret skazujący Myszkowskiego na wypłacenie 6000 złp., ale sam musiał odsiedzieć tydzień wieży, za obrazę margrabiego. Drugi proces ciągnął się lat dziewięć i wypadł dla pamiętnikarza o wiele smutniej. Od roku 1691 dzierżawił Pasek dwie wsie

królewskie, Ucieszków i Górną Wolę, żyjąc w ustawicznych zatargach sąsiedzkich z Wojciechem Wolskim. Za najazd na Żegocin, posiadłość Wolskiego, za wyzwanie go na pojedynek i za pobicie myśliwych Wolskiego (jednego zmusił do zjedzenia surowego zająca), skazany został 21 lipca 1700 roku na wieczystą banicyę i infamię. Dekret ponowiono 10 września i miano go bezzwłocznie wykonać. Czy skutki banicyi dosięgły podeszłego już zawadyakę, nie wiadomo. Autor utrzymuje, że Pasek umarł na obczyźnie. Zważywszy jednak krótkość czasu między ogłoszeniem wyroku a śmiercią Paska (umarł dwa lub trzy miesiące później, jak się pokazuje z legatu na rzecz plebana pilczyckiego) i mając wzgląd na powolność w wykonaniu wyroków sądowych, prawdopodobniejsze wydaje się przypuszczenie d-ra Czermaka, że Pasek umarł w ojczyźnie. Co do czasu powstania pamiętników przychylić się musimy do zdania autora, że nie pochodzą z ostatniej doby życia pamiętnikarza, bo po utracie dzierżaw i po doznanych nieprzyjemnościach nie mógł wspominać o nich: „Objąłem dzierżawę... Daj Panie Boże szczęśliwie".

J. S.

Dzieje Apostolskie. Opowiedział *ks. Jan Milczanowski*, prof. dyecez. Zakładu teologicznego ob. łać. w Przemyślu. Z 6-ciu rycinami i mapą. Przemyśl. Nakł. i druk. J. Styfiego. 1894. (W 8-ce str. 300).

Jest to bardzo dobre spopularyzowanie egzegezy tej księgi świętej. Autor „na wzór dziełka francuskiego: *Les actes des Apôtres, par Mme la Comtesse de Segur*... obrał formę rozmówek"... „W kwestyach rzeczowych radził się często znakomitej ‚Introdukcyi do ksiąg świętych' O. Rudolfa Cornely'ego T. J. i innych komentarzy", jak sam mówi we wstępie.

Babunia opowiada dzieciom te dzieje, ale mali słuchacze nie służą tu jedynie do otwierania buź i nastawiania uszek; biorą oni czynny udział w rozmowie, i swemi naiwnemi i niespodziewanemi pytaniami rzecz bardzo urozmaicają.

Mądra to jakaś babunia, kiedy na wszystkie prawdziwie dziecinne zagadnienia znajduje zawsze doraźną, krótką a trafną odpowiedź; a wiadomo, że na pytanie dziecka trudniej czasem odpowiedzieć, niż na zarzut uczonego niedowiarka. Pod względem pedagogicznym te pytania i odpowiedzi wysoką mają wartość. Sposób myślenia, pojmowania i wyrażania się dzieci doskonale uchwycony. Dodaćby tylko można życzenie,

żeby babunia nie z samych uczonych komentarzy czerpała swoje objaśnienia, ale dała miejsce i prywatnym objawieniom, jak Katarzyny Emmerich, św. Brygidy i t. d. Dałoby to więcej ciepła i życia tym opowiadaniom.

Język czysty, styl szlachetny, cokolwiek tylko francuski przypominający, zaszczytnie wyróżniają to dziełko od wielu tłumaczeń i przeróbek z innych języków [1].

Wydanie, nietylko na Przemyśl, ale i na Kraków, bardzo dobre; wszakże ryciny, a zwłaszcza mapka, mogłyby, przy tej oprawie, tym papierze i druku być nieco lepsze.

Bardzo to dobry podarek imieninowy lub gwiazdkowy, nietylko dla dzieci, ale, z powodu poważnej treści, i dla młodzieży, a nawet osób starszych.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Constitutiones dogmaticae SS. Oecumenici Concilii Vaticani ex ipsis ejus actis explicatae atque illustrataea *P. Theod. Granderath.* Friburgi apud Herder. 1892. (Pag. VIII, 243. — Cena 2 m. 80 f.).

Dzieło to rozpada się na dwie części, z których każda zajmuje się jedną z dwóch konstytucyj watykańskich, podzieloną na trzy rozdziały, tj. na historyę konstytucyi, na głębszy wykład niektórych miejsc konstytucyi, wreszcie na samąż konstytucyę z obszernemi objaśnieniami. Bardzo jest uwagi godnem, że O. Granderath zrobił ten wyciąg z olbrzymiego siódmego tomu *Collectio Conciliorum Lacensis*, które autor specyalnie obrobił — bo w ten dopiero sposób można się zabrać do studyowania konstytucyj soboru. Gdybyśmy mieli podobnie opracowane wyciągi z soboru wiennеńskiego i trydenckiego, jakiż olbrzymi postęp uczyniłaby umiejętność kościelna, ileż zawiłych kwestyj możnaby zadawalniająco rozwiązać.

Co prawda, gdyby O. Granderath zechciał był nader ważne mowy zgromadzonych na soborze Ojców opracować i ogłosić, i to przede-

[1] Jednak takie prowincyonalizmy jak „masz dobrze“ (zamiast masz słuszność) zdarzają się niekiedy.

wszystkiem mowy wygłaszane na jeneralnych posiedzeniach, a przynajmniej gdyby był nam dał opracowane posiedzenia Deputacyi Wiary św., z której łona te konstytucye wyszły — pożytek byłby jeszcze znacznie większy. Jednakże Stolica Apostolska nie uznała za pożądane, aby to sprawozdanie było całkowicie wydrukowane. Tyczy się to — jak słusznie zauważył A. Schill — głównie aktów pomieszczonych w Col. Jog. z r. 1646, na które O. Granderath się tutaj powołuje. Byłoby jednak dla obrony Kościoła św. nader pożądanem, gdyby szanowny wydawca zechciał odeprzeć niektóre potwarze i fałsze Friedricha i Quirinusa, wymierzone przeciw posiedzeniom tego koncylium.

Podnieśmy niektóre szczegóły tego opracowania. Pierwsza konstytucya o wierze odpowiada prawie zupełnie programowi, opracowanemu jeszcze przed soborem przez komisyę dogmatyczną teologów *contra multiplices errores ex rationalismo derivatos.* W pierwszej części jest potępiony racyonalizm absolutny we wszystkich trzech swych objawach, tj. jako materyalizm, panteizm i właściwy racyonalizm *(ration. vulgaris).* Druga i trzecia część zajmuje się racyonalizmem umiarkowanym. (1 *de Deo,* 2 *de Verbo incarnato,* 3 *de homine secundum naturam spectato,* 4 *de supernaturali elevatione hominis).*

W komentarzach do drugiego rozdziału daje O. Granderath krótkie opracowania niektórych kontrowersyj. Często przez samąż redakcyę dekretu rozwiązują się pewne pytania, któremi sobór nie chciał się specyalnie zajmować. Te pytania wskazuje autor, wyjaśniając znaczenie odpowiedzi: 1) Dlaczego na początku konstytucyi o wierze są umieszczone te słowa: *Sancta catholica Apostolica Ecclesia.* Ten wstęp jest właśnie punktem, nad którym najwięcej w tej konstytucyi miano dysputować. Jest to bardzo uwagi godnem, trzeba bowiem było jedyny i prawdziwy Kościół Boży oznaczyć pewną, jasną nazwą. Pierwotna propozycya brzmiała: *Sancta Romana catholica Ecclesia,* ale ważne względy na błędnowierstwo anglikańskie i inne jeszcze przyczyny wpłynęły na powyższą zmianę. 2) W drugim komentarzu objaśnia autor naukę soboru w stosunku do systemu ontologizmu i tradycyonalizmu. 3) Trzeci komentarz mówi o kwestyi: *Quid Concilium Vaticanum de S. Scriptura sentiat.* Nauka soboru wyjaśnia Pismo św. w całym jego obszarze, o ile ono jest wynikiem natchnienia. W sprawie bowiem natchnienia Pisma św. Lessiusz miał, jak wiadomo, odmienne od ogólnie przyjętego zapatrywanie. Ale jakkolwiek sobór watykański daje nam pod tym względem naukę całkiem przeciwną twierdzeniom tego zna-

komitego teologa, to jednak potępiając przez tę naukę pewne fałszywe zapatrywania, Lessiusza wcale nie wymienia. (Książę biskup Gassner z Brixen, str. 50).

Do drugiej konstytucyi soboru mamy również komentarze: 1) Dlaczego św. synod nie nazwał św. Piotra krótko — jak to niektórzy Ojcowie Kościoła uczynili — fundamentem jedności, ale zasadą i widzialnym fundamentem tejże jedności? Słowo fundament oznacza coś bardziej biernego, ażeby zatem rozumiano, że papież jest żyjącym fundamentem, siłą czynną, dlatego powiedziano, że św. Piotr jest zasadą. Z drugiej strony trzeba było wskazać, że ta zasada utrzymała przez tyle wieków jedność Kościoła św. i dlatego dodano i „fundamentem". Ten zaś fundament jest widzialny *visibile*, ponieważ jest fundamentem widzialnego zgromadzenia wiernych. 2) *De primatu soli Petro collato ac de Petri ad ceteros Apostolos ratione.* Wyjaśnia ten punkt długa mowa biskupa Bartłomieja d'Aranzo de Calvi. 3) *Num vi Constitutionis primae de Ecclesia tenendum sit, primatum in totam Ecclesiam cum sede Romana jure divino atque immutabiliter connexum esse?* Palmieri T. J. mniema (*Tractatus de Romano Pontifice*, 336 sequ.), że to pytanie zostało przez sobór rozwiązane, ale O. Granderath dowodzi, że tak nie jest. Najpierw odrzuca on teologiczną podstawę twierdzenia O. Palmieri'ego (str. 139), poczem wskazuje, że początkowa redakcya o wyklęciu, właśnie dlatego w drugim rozdziale zmienioną została, aby ta nauka została wcale nie zdefiniowaną. A słowa: *Secundum Christi ipsius institutionem primatum obtinet*, które spotykamy w drugim rozdziale, znaczą — jak to w imieniu deputacyi wyjaśnili biskupi Pie i d'Aranzo — tylko to, że prymat z prawa Bożego trwa dalej. Rozdział 4-ty do 7-go wyjaśnia przyczyny, dlaczego przyjęto definicyę soborów florenckiego, IV. konstantynopolitańskiego i II. lyońskiego. Żywa niegdyś kontrowersya: czy biskupi otrzymują swoją juryzdykcyę wprost od Boga, czy też przez papieża, nie jest i tu rozstrzygnięta. Rozdział 8-my i 9-ty: *SS. Pontificis infallibilitas num personalis separata etc.* i *De objecto infallibilitatis.* Przedmiot ten sięga tak daleko, jak nieomylność Kościoła św.

Na zakończenie zaznaczamy z największem uznaniem, krótkie dopiski, dodane do konstytucyj. Książka ta stanowi znakomity podręcznik uchwał soboru watykańskiego.

Ks. Augustyn Arndt.

Ibrišimoviću franjevački bogoslovi. U Zagrebu 1893.

Od dawna już utarła się nazwa, mianująca naszą ojczyznę przedmurzem chrześcijaństwa. Słusznie też przyznano Polsce zaszczytny ten przydomek, bo pod Cecorą, Chocimem, Wiedniem, Trembowlą i w tylu innych miejscach, mnóstwo naszych rycerzy okupiło go krwią własną i niepospolitem bohaterstwem. Atoli obok Polski zasługuje również na to miano pobratymcza nam Chorwacya wraz z sąsiednią Slawonią; i jej synowie bowiem w przeciągu całych stuleci nadstawiali mężnie piersi na muzułmańskie pociski, stając zwartemi szeregami do walki za *krst časni i slabodu zlatnu*. Wiek XVII. zwłaszcza dostarczył księdze chorwackich dziejów niejednej wspaniałej karty, kreślonej złotemi głoskami heroizmu i poświęcenia, wielu zaś *hrvatskih junaka* z owej doby śmiało stanąć może obok naszych Żółkiewskich, Koniecpolskich i Sobieskich.

Jednemu z takich mężów idei i czynu, ubogiemu chorwackiemu zakonnikowi z XVII. stulecia, O. Łukaszowi Ibryszymowiczowi, poświęcona została powyższa pamiątkowa księga. Złożyły się na nią rozmaite prace następców tego sługi Bożego w zakonie, przeplatane utworami poetyckiemi kilku wybitniejszych współczesnych chorwackich pieśniarzy. Po krótkiej, lecz pięknie skreślonej przedmowie, w której głębokie religijne uczucie z miłością ojczyzny w śliczną zlało się harmonię, rozpoczyna szereg prac literackich artykuł O. Mladena Barbarycza, pod tytułem: *Slavonia turska podanica*. Jest to przelotny rzut oka na opłakany stan ludności chrześcijańskiej w Slawonii i na kresach Chorwacyi w XVI. i XVII. wieku. Smutny ten opis, tak szaremi i posępnemi nakreślony barwami, jak szarą i posępną była dola ludu, którego losy odtwarza, stanowi jakby tło do biografii O. Ibryszymowicza, podanej podług wiarogodnych źródeł przez O. Wirgilego Szulca. Życiorys ten, to wymowny zaiste argument przeciw twierdzeniom niedowiarków lub indyferentów, głoszących, że zakony są pasorzytami na ciele społeczeństwa, które czerpiąc z niego soki żywotne, żadnej, lub przynajmniej bardzo małą przynoszą mu korzyść. Warto więc dłużej nieco zastanowić się nad tą wzniosłą postacią kapłana-bohatera, bo zdolna ona jest natchnąć nas gorącą miłością dla wielkich i szlachetnych idei, oraz energią do czynu, do walki w ich obronie.

O. Łukasz Ibryszymowicz urodził się w r. 1620 w miasteczku Pożedze, na pograniczu Chorwacyi i Slawonii. Rodzina, z której pochodził, słynęła już od dawna z głębokiej pobożności i dostarczyła Kościołowi niejednego gorliwego kapłana, że wymienimy z nich jedynie

Maryana Ibryszymowicza, z początku Franciszkanina, później zaś, od r. 1648—1650 biogradzkiego biskupa. Dziecinne lata spędził mały Łukasz w domu rodzicielskim, gdzie niejednokrotnie musiał być świadkiem okrucieństw i przemocy, doznawanej przez swych rodaków od muzułmańskich najeźdźców. Otrzymawszy wykształcenie w gimnazyum św. Augustyna, utrzymywanem przez Franciszkanów w Welice, Ibryszymowicz uczuł w sobie powołanie do stanu kapłańskiego i idąc za głosem boskiego natchnienia, wstąpił do nowicyatu w tymże samym klasztorze. Wkrótce po wyświęceniu na kapłana, przełożeni, widząc niepospolite zdolności młodego zakonnika, wysłali go do Rzymu dla uzupełnienia teologicznych studyów. W roku 1658 znajdujemy go znowu w klasztorze welickim już jako słynnego kaznodzieję. Nie poprzestając jednak na głoszeniu z ambony wzniosłych prawd Chrystusowej nauki i bronieniu tego talizmanu, w katolickim przechowywanego Kościele, od napaści ze strony innowierców, O. Ibryszymowicz przebiegał wsie i miasteczka i nawiedzał najuboższe chaty, niosąc strapionym ich mieszkańcom balsam pociechy i nadziei. Niejednokrotnie nawet z narażeniem własnego życia przedzierał się w głąb niedostępnych lasów, gdzie wielu nieszczęśliwych, trawionych rozpaczą z powodu utraty całego mienia i rodzinnego ogniska, szukało schronienia od swych prześladowców. I tam więc umiał dotrzeć nieustraszony zakonnik, darząc swych wiernych wraz z jałmużną materyalną, cenniejszą od niej jałmużną dobrego, pobożnego słowa. Ileż to takich ukrytych czynów miłości bliźniego wplotło się w życie tego cichego, skromnego pracownika!

Niedługo jednak O. Ibryszymowicz pozostać miał w ukryciu. Ceniąc jego zasługi i niezmordowaną gorliwość o dobro dusz, mianowano go niebawem gwardyanem welickiego klasztoru, później zaś definitorem całej zakonnej prowincyi. Na stanowisku tem O. Łukasz rozszerzył bardziej jeszcze zakres swej działalności, występując już teraz otwarcie w obronie nieszczęśliwych i uciśnionych. Nietylko bowiem wówczas tureccy agowie i begowie nad chrześcijańską znęcali się ludnością, ale bardziej jeszcze, niż oni, dokuczał katolickim Chorwatom ówczesny grecko-wschodni metropolita z Pożegi. Oburzony oporem katolików, nie chcących mu płacić niesłusznie wymaganych dziesięcin i uznać go za swego zwierzchnika, władyka ten niejednokrotnie podburzał przeciw nim Turków i sam najokropniej ich prześladował. Dlatego, nawet schyzmatycki pisarz, Hilaryon Ruvarac, potępiając intrygi współczesnych przedstawicieli wschodniej cerkwi, mówi między innemi o metropolicie pożeskim, że „taki postępek naszych władyków

i patryarchów w żaden sposób nie da się usprawiedliwić“ (Такав поступак наших владикâ и патријаракâ никако се оправдати не да).

Bolejąc całą duszą nad niedolą swych wiernych, O. Ibryszymowicz wysyłał często do zagrzebskiego biskupa Borkowicza, a nawet do samego cesarza Leopolda listy z prośbą o pomoc. Listy te doręczał zwykle dzielny i poczciwy Chorwat, nazwiskiem Relja, i niejednokrotnie też zjednywały one dla uciśnionych chrześcijan chorwackich nader pożądany i niezbędny, przynajmniej materyalny zasiłek. Niestety w roku 1681 biedny Relja został zdradzony i wpadł w ręce Turków, którzy też niezwłocznie uwięzili O. Ibryszymowicza; Relję wbili na pal, a Ojcu Ibryszymowiczowi kazali być świadkiem okropnych męczarni nieszczęśliwego swego przyjaciela, grożąc, że jego takiż sam los wkrótce spotka. Atoli znaczny okup, złożony niebawem przez Franciszkanów chorwackich, ocalił od śmierci ukochanego ich przełożonego.

Bądź co bądź w kilka lat później miała dla Chorwatów lepsza zajaśnieć przyszłość; pierwszym zaś jej promykiem, jak twierdzą jednozgodnie wszyscy niemal autorowie chorwaccy, których prace mieszczą się w tem wydawnictwie, było zwycięstwo, odniesione pod Wiedniem w roku 1683 przez Jana Sobieskiego, *junačkoga polskoga kralja*. Wieść o niem obudziła Chorwatów z letargu moralnego odrętwienia i rozpaczy, oraz nowym do walki z muzułmańskiemi hordami natchnęła ich zapałem. Niebawem w całej Chorwacyi i Slawonii zaczęły się tworzyć rycerskie oddziały, w roku zaś 1687 jenerał Dünewald z 10.000 cesarskiego wojska, oraz sporem gronem chorwackich ochotników, czyli *hajduków*, pobił Turków kilkakrotnie i wyparł aż do Bośni. Przez cały ten czas O. Ibryszymowicz nie pozostał bezczynnym, owszem, był ciągle z tymi, co gotowali się do boju za *svetu vjeru i domovinu dragu*, bądź krzepiąc ich mądrą radą i przestrogą, bądź zagrzewając ognistem słowem do wytrwałości i męstwa. Gdy zaś w roku 1689 Turcy znowu wtargnęli do Pożegi, a wódz muzułmański, Arslan-beg, zaczął się tam dopuszczać względem chrześcijan niesłychanych okrucieństw, wówczas O. Ibryszymowicz, stanąwszy na czele partyzanckiego oddziału, stoczył z Turkami walną bitwę na polu zwanem Sokolowcem, której niezwłocznem następstwem było wyparcie muzułmanów z granic Slawonii. Dotychczas jeszcze corocznie, dnia 12-go marca, cała ludność Pożegi obchodzi uroczyście rocznicę tego zwycięstwa, które imię O. Ibryszymowicza nieśmiertelną w oczach Chorwatów okryło sławą.

Po oswobodzeniu rodaków od muzułmańskiego jarzma, reszta życia świątobliwego tego zakonnika upłynęła w klasztornem zaciszu na

modlitwie i dobrych uczynkach. Zakończył je godnie piękny czyn chrześcijańskiego przebaczenia, gdy w roku 1698 sędziwy ten kapłan osłodził ostatnie chwile, oraz odprowadził na miejsce wiecznego spoczynku zwłoki jednego z najzaciętszych swych wrogów, niejakiego Ogramicza.

Jakby za epilog do tego życiorysu, tylu szlachetnemi jaśniejącego dziełami, służy następny artykuł O. Mladena Barbarycza, pod tytułem: „Następstwa tureckiego panowania“ *(Posljedice turskoga gospodstva),* który zamyka historyczną część księgi zbiorowej, poświęconej pamięci O. Ibryszymowicza. Dalej rozpoczyna się część ściśle literacka, gdzie obok ładnej powieści: *Požeški dobrotvor,* osnutej przez O. Mateusza Iwaniszewicza na tle żywota „dobroczyńcy Pożegi“, znajdujemy cały szereg mniej lub więcej udatnych poetyckich utworów, wyszłych z pod pióra kilku współczesnych pieśniarzy. Pomiędzy nimi spotykamy i paru już nam znanych, a mianowicie ks. Jana Hranilowicza i O. Eliasza Okrugicza. Całe to grono synów chorwackiej muzy nastroiło tym razem zgodnie swe lutnie, zlewając ich dźwięki w harmonijny chór uwielbienia dla bohatera, który życiem swojem dowiódł, że wiara, połączona z miłością ojczyzny, nieśmiertelnych dzieł dokonywa. Słusznie też O. Mladen Barbarycz, którego nazwisko parę razy spotyka się na kartach tego wydawnictwa, woła w swoim sonecie „Na sławę pożeskiego Sokoła“ *(U slavu požeškoga Sokola):*

Ty kapłanem byłeś u ołtarza,
I obrońcą rodzinnego grodu,
Całe serce, całe życie swoje
Poświęciłeś dla szczęścia narodu.

Ty, jak anioł na synajskiej górze,
Wciąż czuwałeś nad dobrem rodaków,
I jak gwiazda na niebios lazurze,
Wśród przeszłości zajaśniałeś szlaków.

Tyś był... lecz czyż ciebie już niestało?
Czyż twe imię otoczone chwałą
W niepamięci zniknie oceanie?

Nie, Sokole, póki Chorwat żyje,
Póki serce w naszych piersiach bije,
Żyć w niem będziesz wiecznie, nieprzerwanie!...[1].

[1] Ti si bio junak od mejdana,
I svećenik Božjega ołtara,

Kończąc niniejszą ocenę, dodać jeszcze musimy, że zewnętrzna strona tej księgi pamiątkowej przedstawia się bardzo korzystnie, główną zaś jej ozdobę stanowi portret O. Ibryszymowicza wraz z jego autografem.

Tytus Sopodźko.

Sursum corda! Básně *Františka Skalíka.* W Praze 1893.

Trudno byłoby zaiste o lepszy i odpowiedniejszy tytuł dla tego zbiorku poezyj, jak piękne słowa: „Wzgórę serca!“, powtarzane codziennie przez kapłanów na całym katolickim świecie. Hasło to zawiera w sobie ideę tak szlachetną i głęboką, tak wyższą od wszystkiego co w ziemskim nurza się prochu, iż nie dziw, że zdołało natchnąć młodego poetę do skreślenia całego szeregu, drobnych wprawdzie, lirycznych utworów, ale którym podniosły nastrój myśli, we wdzięczną przyodzianych formę, nader wielką nadaje wartość. Wobec prawdziwej powodzi poetyckich kreacyj, nacechowanych bądź rozpaczliwym pesymizmem, bądź też jakiemś nieokreślonem szamotaniem się duchowem ich twórców, nie wiedzących czego chcą i do czego dążą, *Sursum corda* pana Skalíka odgrywa rolę świetlanej gwiazdy przewodniej, wskazującej jedyne źródło istotnej harmonii i piękna.

Aby usprawiedliwić nasze twierdzenie, przerzućmy kartki tych *basen.* Na czele ich znajdujemy piękny wiersz, oznaczony takim samym jak cały zbiorek tytułem. Pieśniarz określa w nim trafnie wzniosłe zadanie poezyi, mówiąc, że powinna ona być podobna do wspaniałej świątyni, której fronton zdobi napis: *Sursum corda!* Sam widok tej świątyni, urągającej śmiało wichrom i burzom, ma, podług słów poety,

Al žrtvóvô srce iz njedara
Tek si sreći roda milovana.

Bdio si nam nad narodnjim pravom,
Ko angjeo vrh gore sinajske,
Kao zv'jezda sa milòte rajske,
Prošlost našu prosjao si slavom.

Ti si bio... pa da sad te nije?
Takvog borca zaborav da skrije?
Na nj spomènik da nas sjeća teka'?

O ne, Luko, dokle Hrvat žije,
Hrvatsko dok živo srce bije,
Živjeti ćeš u njem — sve do v'jeka!

lewać światło, otuchę i nadzieję do serc zbolałych i wątpiących. Cały ten wiersz charakteryzuje wybornie kierunek i nastrój muzy swego twórcy, który od pierwszej aż do ostatniej karty hołduje niezachwianie wyrażonej w nim idei. Idea ta, to jakby cement w gmachu poetyckiej muzy p. Skalíka, jakby nić, wiążąca ulotne jego utwory, podobne do luźnych listków, we wdzięcznej, jednolitej równiance. Oto jeden z ulotnych wierszyków, pod tytułem: „Co to są gwiazdy“ *(Co jsou hvězdy)*:

Co to gwiazdy? — Białe róże na jeziora fali,
Między niemi tak, jak łabędź, płynie księżyc w dali.

Co to gwiazdy? — Rajskiej łąki tajemnicze kwiaty,
Do serc ludzkich spływa spokój z ich złocistej szaty.

Co to gwiazdy? — To okienka, przez które na ziemię
Aniołowie wciąż na ludzkie spoglądają plemię.

Co to gwiazdy? — Złote głoski, co swym blaskiem światu
Głoszą ciągle o piękności Stwórcy majestatu [1].

Również głębokie religijne uczucie przebija się w pieśni porannej i wieczornej. Dalej, w pięknym wierszu: „Posąg Memnona“ *(Sochy Memnonovy)*, poeta przeprowadza zręcznie analogię pomiędzy śpiewającym posągiem Memnona, a poetyczną struną, jaka dźwięczy w każdej niemal duszy ludzkiej. Nader wdzięczny jest także urywek, malujący noc wiosenną *(Noc jarní)*:

Noc pełna krasy, wdzięku, woni!
Rozległy ziemski łan już śpi,
I tylko w niebios modrej toni
Gwiazd złotych mnóstwo czuwa, lśni!

O! niech tak wszechświat już po znoju
Odetchnie szczęściem, niech śpi żal,

[1] Co jsou hvězdy? Na jezeře růže leknínové,
Mezi nimiž labuť snivá, bílý měsíc plove.

Co jsou hvězdy? Rajských luhů tajůplne květy,
Nebes mir v hrud lidskou dýší svaté jejich rety.

Co jsou hvězdy? Okénka jsou v modré nebes bání,
Andělů z nich k bratřím na zem vlídný zrak se sklání.

Co jsou hvězdy? Zlate čteny, zářnou svoji lící
Mocnost' Boží všemu světu zvučně hlásajici.

A anioł ciszy i pokoju
Niechaj z podniebnych spłynie fal! [1].

Prawdziwie młodzieńczym zapałem odznacza się motyw: „Idzie wiosna“ *(Ide vesna)*; zapał ten jednak chłodzi niebawem poważna rozwaga, przebijająca się w wierszu: „Z prochu w proch“ *(Z prachu v prach)*, i stopniowo lutnia poety na coraz smętniejszą nastraja się nutę. Pod wrażeniem takiej melancholii poeta zapytuje:

Gwiazdy moje, pszczółki złote,
Co na niebie wciąż igracie,
Mówcie mi, gdzie sady wonne,
W których złote ule macie?

Księżycu, co na lazurze
Snujesz smugi srebrno-płowe,
Powiedz, gdzie codziennie składasz
Na spoczynek jasną głowę?

Serce moje, co swem biciem
Przypominasz mi o grobie,
Powiedz, gdzie ten trawnik leży,
Pod którym ty spoczniesz sobie? [2].

---

[1] Noc plna vůně, krásy, svitu!
Spí tíše širý země lán,
Jen smavém nebes na blankytu
Bdí hvězd nezměrný oceán.

Tak celý vesmír štěstím dýše!
To jístě spi žal v skrýších svých
A míru anděl s nebes výše
K nám sléť na lásky perutich!

[2] Rcete hvězdy, zlaté včely,
Na luhu jež nebes pláte,
Kde jsou ony sady vonné,
V nichž své zlaté úly máte?

Měsíčku, jenž po nebesku
Mráčki vodíš kadeřavé,
Povez, ku spánku kde skládáš
Tvaře svoje věčně smavé?

Srdce me, jež každým tlukem
Blíž můj život k hrobu šineš,
Rci, kde as ten trávník roste,
Pod nímž sobě odpočineš?

Niedługo jednak duch pieśniarza błądzi wśród smutku i zwątpienia, o kilka bowiem kartek dalej, po pięknej modlitwie do Najświętszej Maryi Panny, poeta w trzech sonetach, poświęconych „Schwytanemu orłowi“ *(Zajatemu orlu)*, porównywa duszę ludzką, przykutą do ziemi łańcuchem żądz i namiętności, do ptaka, trzymanego w niewoli i bezowocnie szarpiącego swe pęta. Radzi więc skołatanemu duchowi sięgać wzrokiem w górę, bo wówczas pękną jego więzy i na skrzydłach łaski wzleci on jak orzeł pod obłoki.

Powyższe trzy sonety należą już do cyklu *Znelek a Ghazel*, wpośród których najbardziej zasługują na uwagę ładne wiersze: „Do nowo wyświęconych kapłanów“ *(Novokněžim)*, „W klasztorze“ *(V klašteře)* i *Per aspera ad astra*. W następnym zaś cyklu: *Želechovice*, naczelne miejsce przyznać należy ślicznemu utworowi, pod tytułem: „Śmierć Mojżesza“ *(Mojžíšova smrť)*. Treścią jego są ostatnie nauki męża Bożego, przeplatane wdzięcznie chórem izraelskiego ludu.

Wreszcie cały ten zbiór poezyj uzupełniają dwie legendy: „Ostatnia podróż Brata Efrema“ *(Poslední cesta Bratra Efréma)*, oraz „Morze i Pustynia“ *(Moře a Poušť)*. W pierwszej z nich poeta maluje świątobliwy zgon starca pustelnika, który w wigilię Bożego Narodzenia przybywa do klasztoru, aby w gronie swych współbraci spędzić to najpiękniejsze chrześcijańskie święto, po Mszy zaś pasterskiej zakonnicy znajdują w świątyni martwe jego zwłoki. Treść drugiej legendy stanowi rozmowa pustyni z morzem, które swej siostrze, równie jak ono rozległej i niezmierzonej, opowiada o wszystkiem, co w ciągu dnia całego widziało i słyszało, mówiąc, że najpiękniejszem wspomnieniem jest dla niego Msza święta, odprawiona przez pewnego misyonarza na pokładzie okrętu. „Mogłobym wprawdzie się pochlubić wielu pięknemi momentami w dziejach mego istnienia, — odzywa się morze — moje to bowiem fale pochłonęły niegdyś dumnego Faraona, jam pomagało bohaterskim Grekom walczyć z przebiegłym Kserksesem, w moje to wreszcie łono dożowie weneccy rzucali niegdyś drogocenne pierścienie na znak braterstwa i miłości. A jednak wszystkie te wspomnienia bledną wobec uroczystej chwili, gdym dźwigało swojego Stwórcę, utajonego w Przenajświętszym Sakramencie. Wówczas świat cały wydał mi się świątynią, a biały okręt wspaniałym ołtarzem“.

Śliczną tą legendą, zamykającą książkę *Sursum corda*, i my zamykamy naszą ocenę, dodając, iż ogół poezyj, zawartych w tym zbiorze, świadczy o wysoce rozwiniętem zamiłowaniu piękna i o istotnem poetyckiem natchnieniu swego autora. Witając więc w nim nowego oracza

na niwie pobratymczej czeskiej poezyi, życzymy młodzieńczej jego muzie tego, czego on sam jej życzy w następującym ustępie:

O! tylko zawsze w górę swą jasną podnoś głowę,
I ciągle głoś nam hasło pokoju i miłości,
Wśród zgiełku, w którym nikną wciąż hasła modne, nowe,
Ty zawsze *Sursum corda* do całej mów ludzkości,
Co w morzu łez wciąż brodzi!
Niech święty głos twój budzi do walki za idee,
Szlachetny prąd zapału niech w piersi nasze leje,
I cały świat odrodzi![1].

Tytus Sopodźko.

[1] Ó jen vždy výš svou jasnou zdvihej hlavu,
Vždy hlasněj' hřmi k nam velkým slovem míru,
Hřmi v hesel svár, hřmi v dnešní všední vřavu
Své „Sursum corda!“ celém po vesmiru,
Jenž tone w moři běd!
Tvůj svatý hlas ať spící k dílu budí,
Nam veliké myšlénky zažhni v hrudi,
A obroď celý svět!

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Węgierskie rozprawy. — Oświadczenia Spullera. — Nawrócenie się ks. Kolasińskiego.

WĘGIERSKIE ROZPRAWY.

Smutno z rządem, który, aby przy władzy się utrzymać, wzywa na pomoc ulicę; krucho być musi z rządem peszteńskim, który tak niebacznie puścił się na wzburzone morze awanturniczych reform kościelnych, kiedy nie waha się urządzać, popierać ulicznych demonstracyj; z najczerwieńszemi, rewolucyjnemi żywiołami się łączy; ucieka się pod sztandar jawnego po dziś dzień wroga dynastyi, „gubernatora“ Węgier z 1848 r., Ludwika Kossutha. Świetny przebieg zwołanego do Pesztu w połowie stycznia b. r. katolickiego kongresu; dochodzące ze wszystkich stron wiadomości o mnożących się protestach wyborców, równie katolickich, jak protestanckich, jak prawosławnych, równie madziarskich, jak serbskich, saskich, rumuńskich, słowackich, przeciw postępowaniu „liberalnych“ posłów; rozstrój, dający się czuć coraz wyraźniej w łonie samejże z tygodnia na tydzień topniejącej, drżącej że za chwilę znajdzie się w mniejszości „liberalnej“ partyi — wszystkie te i wiele innych arcyniemiłych faktów i symptomatów, tak rozdrażniły nieprzewidujących snać takiego oporu Wekerlego i Szilagyego, że zu-

pełnie równowagę utracili; zapomnieli, że są przedstawicielami węgierskiego króla i stoją na czele rządu, a nie rewolucyjnej, o dozwolone niedozwolone środki nie pytającej opozycyi.

Urządzone w kilku prowincyonalnych miastach z wielkim nakładem sił i pieniędzy rzekomo „katolickie“ wiece, którym zlecono wołać *Eljen!* na cześć peszteńskich reformatorów, zrobiły kompletne *fiasco*. Dla pokrycia tej w oczy wpadającej klęski, organa rządowe zawezwały wszystkich liberalnie myślących Węgrów do skoncentrowania całej akcyi w stolicy, gdzie tłumy Żydów, ściśle od rządu zależnych urzędników, gotowych za parę groszy do każdej manifestacyi biedaków, z każdą uliczną burdą solidaryzujących się studentów, zapewniały łatwe zwycięstwo. Na koszt rządu, albo może — jeśli wierzyć zapewnieniom rządowym — na koszt „liberalnego stronnictwa“, przywieziono nadto z całych Węgier kilkanaście tysięcy manifestantów, zadowolnionych, że nastręcza im się tak tania sposobność zwiedzenia Pesztu. Miejscowi i zamiejscowi manifestanci, złączeni z tysiącami przypatrujących się ciekawych, utworzyli istotnie potężną, stutysięczną falangę; w myśl organizatorów miała ta falanga wyprawić owacyę ministrom, tymczasem zręczni stronnicy Kossutha tak umieli sytuacyę wyzyskać, że najgłośniejsze wiwaty odezwały się na cześć nieuznającego habsburskiego berła eksgubernatora, największe tryumfy święciło stronnictwo radykałów, broniące programu z 1848 roku. Ledwie gdzieniegdzie nieśmiało odzywały się okrzyki: „Niech żyje Król!“ przygłuszane entuzyastycznemi wołaniami: „Niech żyje Kossuth!“ — wszędzie i najgłośniej rozbrzmiewała pieśń „Kossuthowa“; nie Wekerle, nie zamierzone przez niego reformy, ale Ludwik Kossuth — jak bez ogródek przyznało wiele pism peszteńskich — był bohaterem tego dnia. Protestant br. Izydor Kaas tak trafnie scharakteryzował znaczenie i przebieg peszteńskich manifestacyj:

Z powodu udania się wielkiego liberalnego kongresu składam szczere powinszowania:

Ludwikowi Kossuthowi, bo jego to było święto.

Najskrajniejszej lewicy, bo dzielne hufce jej wyborców, kro-

czące pod sztandarami Bocskay'a, Rakoczego i wspomnień z 1848 r., wygrały bitwę.

Albertowi Apponyi'emu, bo polityczne położenie w Węgrzech stało się wręcz niemożliwe.

Czerwonemu rządowi, bo prowadzona przezeń, rozkładająca społeczeństwo, rujnująca kraj polityka doczekała się tryumfu w urzędowej, ulicznej demonstracyi.

Studenci peszteńscy, rekrutujący się w znacznej części z Żydów, uznali również za stosowne urządzić owacye na cześć ślubów cywilnych i Wekerlego; nie najmniej to dosadna krytyka, która spotkała nieszczęśliwe te projekta i ich autora. Poważnej krytyce poddali je już nie na ulicy, ale w parlamencie, a poddali z bardzo różnych punktów widzenia trzej najgłośniejsi dziś może politycy i mężowie stanu węgierscy: były prezes ministrów Szapary, kandydat na przyszłego prezesa, przywódca stronnictwa „niezależnego" Apponyi, i znany z radykalnych swych przemówień członek lewicy Ugron.

Bardzo, niestety! od dłuższego już czasu niezdecydowany, stale tylko za popularnością goniący Apponyi, przypomniał sobie w krytycznej chwili o obowiązkach ciążących na katolickim mężu stanu, o przyćmionych pyłem niezdrowej ambicyi, głównych przynajmniej zasadach katolickiej nauki. Mowa jego trwała blizko cztery godziny i wywarła, podobnie jak męskie oświadczenie Szaparego, niezmierne wrażenie w całym kraju, wywołała konsternacyę w rządowem stronnictwie, burzę oklasków na galeryach, w Centrum i na lewicy.

„Prostym przesądem jest — stwierdzał mówca — jakoby jedynie obowiązkowe śluby cywilne odpowiadały wymaganiom liberalizmu i postępu; a każdy inny sposób załatwienia tej kwestyi miał być paktowaniem z reakcyą. Zresztą prawodawstwo nie powinno się wplątywać w naukowe spory, ale mieć na oku praktyczne zadania, ciążące na węgierskiej polityce. Czyż za jedyną miarę służyć może pytanie, co bardziej lub mniej odpowiada liberalnym formułom? Dotąd nic do tej zmiany w ustawodawstwie nie przygotowane; nie rozstrzygnięto nawet kwestyi, jakiej kategoryi urzędnikom poruczyć udzielanie państwowych

ślubów. Aż strach, aż smutno pomyśleć, jaki zamęt nowe prawo wprowadzi w życie praktyczne; jak nikogo nie zadawalniając, wszystkich podraźni; spory wyznaniowe rozogni, a powagę państwa skompromituje. Choćby nawet wszystkie ustawodawcze czynniki na podane przez ministeryum projekta się zgodziły, to i tak żadnej a żadnej rękojmi nie mamy, że naród się na nie zgodzi, że wzburzone umysły się uspokoją; nie mamy nawet rękojmi, że rząd będzie w możności przystąpić do praktycznego przeprowadzenia uchwalonego w teoryi prawa. Niemożność wykonania zamierzonych, w imię liberalizmu przeforsowanych reform dopiero naprawdę skompromituje liberalne idee, liberalne tradycye. Kto ideami temi przejęty, i dla dobra ojczyzny pracuje, ten dążyć może i powinien do tego tylko, co się da wykonać bez naruszenia w masach ludności religijnego ducha, którego, dla dobra samegoż państwa, nie należy z pewnością osłabiać. Dążmy do tego, dążmy do zaprowadzenia jednolitego prawa małżeńskiego; dozwólmy nawet na śluby cywilne przed państwowym urzędnikiem zawarte w wyjątkowych wypadkach, w których zachodzą kościelne, kanoniczne przeszkody, przez prawodawstwo węgierskie nie uznane; ale nie róbcie awanturniczych doświadczeń na narodowym organizmie, doświadczeń dotykających najdrażliwszych punktów, bo życia rodzinnego i religijnych uczuć. Do eksperymentu tego przystępujemy na ślepo, nie znając organizmu, na którym się ma dokonać, nie mając wyobrażenia, jakich finansowych ofiar od nas zażąda, w chwili posuniętych do ostatniej granicy wyznaniowych niechęci, narodowościowych agitacyj. W dodatku nie mamy wyobrażenia, kiedy, z czyją pomocą, jakiemi drogami będziemy w stanie przedsięwziętym reformom zabezpieczyć choć chwilowe życie. Jakże spokojnem sercem rzucać naród cały na wezbrane fale burzliwego morza, nie wiedząc, nie mogąc przewidzieć, dokąd go te fale zapędzą?!...“

Mowa Szaparego, nadzwyczaj spokojna, strzegąca się z lękliwą troskliwością choćby cienia patosu, choćby jednego słowa już nie obelżywego, ale mniej grzecznego dla rządu, któremu nie tak dawno miejsca ustąpił — była w gruncie rzeczy jeszcze silniejszym policzkiem, rządowi temu wymierzonym. „Słowa by-

łego prezesa ministów — pisze *Budapesti Hirlap* — uderzały w pierwszej linii w stronnictwo liberalne, któremu dowiodły, jak bardzo się pomyliło, i w rząd, któremu jasno okazały, na jakich manowcach krąży w polityce kościelnej. Wobec Korony wskazał na nieparlamentarny sojusz rządu i partyi liberalnej z najskrajniejszą lewicą... Nie powiedział: ‚Należę do opozycyi' — i istotnie, tylko jedna część liberalnej partyi widziała w nim przeciwnika; druga chętnie go słuchała, ale sama nie odważyła się zdania swego wyjawić...“

Jeśli w bardziej dyplomatycznych przemówieniach Apponyi'ego, a po części i Szaparego, odzywa się nieraz jeszcze nuta, prawdziwemu katolikowi mniej miła; jeśli nie na wszystkie zdania ich i zapatrywania bez zastrzeżeń zgodzić się może — to odczytując pełną ognia i siły mowę Ugrona, zapomina o możliwych zastrzeżeniach i gotów łączyć się z tłumem porwanych entuzyazmem słuchaczów, i — choć to przecież jeden z przywódców bardzo czerwonej lewicy — wołać bez końca: *Eljen!* Niektórzy liberalni posłowie, niektóre mniejsze dzienniczki, nie wiedząc co Ugronowi odpowiedzieć, śmiesznością zapragnęły go okryć i mowę jego stale nazywać zaczęły „kazaniem“; ale dowcipom tym położył prędko kres jeden z najznakomitszych mówców węgierskich, minister Szilagyi, oświadczając bez ogródek, że dawno, dawno nie obiły się o ściany parlamentu równie wymowne słowa.

Stwierdziwszy, że rząd wskutek opuszczenia swych szeregów przez znaczną liczbę posłów, znajduje się w mniejszości wobec możliwej koalicyi wszystkich opozycyjnych stronnictw — zapytał Ugron, z jakiej właściwie racyi zachciało się rządowi wprowadzić na porządek dzienny kościelno-polityczne reformy? Ponieważ ministrowi wyznań przyszła chętka wydać reskrypt w sprawie „powtórnych chrztów“, a gdy krok ten wywołał walkę i niechęć, postawić za zasadę: państwo cofać się nie może. Reskrypt był przeciwny konstytucyi i prawu; stąd opór kleru najzupełniej z prawem się zgadza. Ale rząd postąpił sobie jak cesarz Julian, który dość długo polemizował z chrześcijanami piśmiennie, aż pewnego poranku powiedział sobie: na co mi ta po-

lemika, kiedy jestem cesarzem i wydać mogę dekret, jaki mi się podoba... Wydać może, ale i zastanowić się powinien, dokąd w ten sposób idzie? Historya nie opowiada nam ani o jednym ludzie, któryby przy zawieraniu małżeństw obywał się bez religijnych ceremonij; kiedy w Rzymie zaprzestano przy zawieraniu małżeństw składać ofiary bożkom i penatom, społeczeństwo rzymskie się rozpadło, z państwa rzymskiego pozostały tylko gruzy.

„Czyż mądrość prawodawcy nie zależy właśnie na tem, aby rachować się z ogólnemi pojęciami ludów i do nich prawa zastosowywać? Dzieje uczą, że każdemu aktowi, którego trwałość ma być zapewnioną, dają pieczęć religijne ceremonie; wszak i koronacya królów wyjątku w tej mierze nie czyni... Każda kobieta, wchodząca w związki małżeńskie, rozumie i wie, że stoi przed czemś większem i ważniejszem, niż przed zawarciem zwykłego interesu, zwykłej umowy. Nigdy słaba niewiasta czuć się nie będzie bezpieczną, jeśli nie będzie miała pewniejszej gwarancyi, niż dać ją może prawo państwowe; jeśli nie będzie miała gwarancyi opartej na prawach Bożych... Wiara dla wszystkich jest niezbędną; uważam ją za konieczną dla ludu, za konieczną dla siebie; miałem i ja chwile wątpliwości, ale gdy chwile te przeszły i światło wiary wróciło, doznawałem uczucia, jakbym powstał z ciężkiej choroby. O tem pamiętajmy, a nie zapominajmy, że religijne życie ludu opiera się na wązkiej podstawie, którą zniszczyć nie trudno. Niebezpieczna to rzecz stawiać projekty podkopujące znaczenie Kościoła, bo tylko Kościół ma w swych ręku broń, potrzebną do zwalczenia niewiary; nie zabierajmy mu tej broni, boć nigdy ona nie przejdzie na własność państwa. Jeśli kiedy, to dziś, gdy socyalizm szerzyć zaczyna swe zagony po wsiach i miastach węgierskich; dziś nie czas podkopywać sam fundament społecznego ładu: rodzinę, i żyjącą w rodzinie wiarę. Zdzierając z małżeństwa moralne znaczenie, które nadają mu kościelne ceremonie, służycie socyalizmowi... prowadzicie lud albo do fanatyzmu, albo do ateizmu...

„Państwowa wszechmoc padła zwyciężona w konstytucyonalnych walkach. Nie dozwalajmy zatem nigdy i za niepaństwo-

wej wszechmocy zagarniać pod jej władzę życie rodzinne, ten węgielny kamień społeczeństwa. Gdyby ponownie zasada państwowej wszechmocy miała społeczeństwem zawładnąć, gdyby miała zapanować niepodzielnie nad publicznemi instytucyami, natenczas, gdyby Chrystus przyszedł znowu na świat, niosąc mu zbawienie, wiarę, miłość, pokój, zostałby niechybnie w imię państwowej tej wszechmocy na nowo oplwany i do krzyża przybity. Przedłożony nam bowiem projekt zdradza wolność w imię liberalizmu, jak Judasz pocałunkiem miłości zdradził Boga miłości".

Cóż rząd, cóż wnioskodawcy na te wywody, tak jasne i trzeźwe, tak zgodne z zapatrywaniami całego, rzec można, kraju z wyjątkiem nielicznej garstki liberalnych Żydów, hałasujących studentów, schlebiających Żydom i studentom polityków? Szilagyi i Wekerle wystąpili z długiemi, bardzo blademi mowami; następnie rzucono hasło: „Trzeba debaty, ile tylko można, skrócić" — i w imię tego hasła zapisani już do głosu liberalni mówcy tłumnie się wypisywali, a przyjaciele ich wołali z dnia na dzień głośniej, natarczywiej: „Zamknąć rozprawy! Głosować! głosować!" Skąd ten gorączkowy pośpiech? Ba! jak się nie spieszyć, kiedy losy projektu i całej partyi zdane na łaskę i niełaskę jednego odłamu skrajnej lewicy, który znowu dlatego głównie gotów głosować za cywilnemi ślubami i odmawia sobie przyjemności wypłatania dosadnego figla znienawidzonemu rządowi, że taki surowy rozkaz otrzymał z Turynu od Kossutha — a Kossuth tymczasem ciężko zachorował, i lada godzina nadejść może telegram z zawiadomieniem o jego śmierci, rozcinając za jednym zamachem wszystkie tak mozolnie ułożone kombinacye. Jeśli przed śmiercią Kossutha projekt nie przejdzie, wielkie pytanie, czy kiedybądź przejdzie; — więc spieszyć się trzeba, więc nie rachować się nawet z prostą parlamentarną przyzwoitością!... „Od nas — tryumfował w parlamencie jeden z kossuthowskich posłów, Justh — od nas wszyscy zależycie; my dziś właściwie Węgrami rządzimy!" Na tryumfalny ten okrzyk, tak bardzo kompromitujący rząd węgierskiego króla, nikt nie odpowiedział; rzeczywiście nie było możliwej odpowiedzi.

OŚWIADCZENIA SPULLERA.

W parlamencie francuskim słyszeć się dały po długich latach i z ministeryalnych fotelów słowa wzywające do tolerancyi dla religii, dla Kościoła. Minister oświaty, Spuller, wyznał w paru odpowiedziach na wniesione interpelacye, że wojna, prowadzona przeciw Kościołowi, nie przyniosła rzeczypospolitej ani zaszczytu, ani pożytku. „Rząd — zaręczał w słowach zanadto dyplomatycznie ze sobą powiązanych, aby były zupełnie jasne — nie myśli bynajmniej cofnąć, nie myśli nawet zmodyfikować istniejących praw szkolnych i wojskowych; sądzi jednakowoż, że nadszedł czas, w którym wszystkiemi religijnemi sprawami rządzić winna jedna główna zasada tolerancyi, aby położyć wreszcie koniec niedorzecznym kłótniom i uspokoić wszystkie umysły. Nie chodzi tu — dyplomatyzował dalej — o rozbrojenie państwa, o odbieranie przysługujących mu praw, ale o rozumne zastosowanie się do okoliczności, do potrzeb czasu. Jestem i byłem zawsze oportunistą; dlatego śmiało powiedzieć mogę, że to, co dawniej wydawało mi się potrzebnem, dziś wydaje mi się zbytecznem. Nie żałuję wcale osobistego współudziału w prawach szkolnych; nie żałuję, żem był referentem prawa, zawierającego słynny paragraf siódmy; nie! tego wszystkiego nie żałuję. Ale również, jak dawniej, tak dziś oświadczyć się nie waham, że walka z Kościołem przyniosła rzeczypospolitej najwięcej nieszczęść i biedy. Kościół zmienił taktykę, stanął na czele demokracyi; nowy ten stan rzeczy nowej domaga się polityki; miejsce drobiazgowej, dokuczliwej, nieszlachetnej walki zająć winien duch prawdziwego liberalizmu, zbawczej tolerancyi. Rzeczpospolita za długo już dawała co najmniej pozory do oskarżenia o prowadzenie niewdzięcznej walki z wolnością sumienia; niechże pozory te ustąpią, niech powieje inny duch, z filozofii zrodzony, duch szczerej tolerancyi“...

Minister do niczego więc nie wzywa, jak tylko do tolerancyi, i to wyraźnie wyłączając najważniejsze sprawy i kwestye; ale republikańscy ministrowie tak regularnie dotąd zachęcali do nietolerancyi, że i to drobne ustępstwo na korzyść wolności, jak dotąd ustępstwo tylko w słowach i w mnóstwo zastrzeżeń spowite, wywołało bardzo wielkie gniewy z jednej strony, bardzo

różowe nadzieje z drugiej. Odczytując spokojnie oświadczenia Spullera, a bardziej jeszcze poczynione do nich poprawki prezesa ministrów Périera; zdaje nam się, niestety! że ani do tych melancholicznych obaw, ani do tych sangwinistycznych nadziei niema dostatecznej racyi.

NAWRÓCENIE SIĘ KS. KOLASIŃSKIEGO.

Wychodząca w Detroit *Prawda* tak opisuje powrót na łono Kościoła, znanego dobrze i naszym czytelnikom, amerykańskiego odszczepieńca, ks. Kolasińskiego:

Jak łan pszeniczny na kujawskiej ziemi — wyglądał wewnątrz kościół Serca Maryi w ostatnią niedzielę (20-go lutego). Święto bo też uroczyste obchodzili w dniu tym Polacy, święto wyplenienia kąkolu niezgody, która przez dziewięć lat rozdzielała ich, święto powrotu na łono Kościoła katolickiego dziesięciu tysięcy dusz i ich pasterza. Wysłannik delegata apostolskiego, arcybiskupa Satolliego, mgr. Sbaretti, w asystencyi ks. Witolda Buhaczkowskiego, wicerektora tutejszego seminaryum, i ks. Kolkiewicza, asystenta w parafii św. Kazimierza, ks. Kolasińskiego i Barszcza, dopełnił tymczasowej ceremonii poświęcenia kościoła i odprawił następnie sumę. Po Ewangelii św. wstąpił na ambonę ks. Kolasiński, który dniem pierwej wrócił skruszony z klasztornej pokuty, i w wymownych słowach powitał zebranych, jako dzieci jednego Kościoła i jednej ojczyzny, których nic już teraz rozłączać nie powinno; a potem głosem cichym przeczytał odwołanie błędów swoich tak, jak to miał przez zastępcę Ojca św. nakazane...:

„Ja, Dominik Kolasiński, pragnąc pojednać się z Kościołem rzymsko-katolickim i poddać się najprzewielebniejszemu Biskupowi tutejszej dyecezyi, obecnie uroczyście odwołuję wszystkie moje błędy i naprawiam wszystkie występki i nieporządki, których byłem jedyną przyczyną. Pokornie błagam Boga i Jego Kościół, błagam Biskupa i cały lud tej dyecezyi o przebaczenie za wszystkie zgorszenia, które dawałem przez pięć lat, będąc nieposłusznym prawowitej władzy. Błagam o przebaczenie za to, żem nieprawnie wykonywał wszelkie czynności kapłańskie przeciwko woli Kościoła rzymsko-katolickiego i Biskupa prawowitego. Wobec Boga Wszechmogącego, wobec moich parafian i wobec wszystkich wiernych żałuję szczerze i prawdziwie za wszystko, com uczynił przeciwnego Bogu, przeciwnego prawom kościelnym. Odwołuję wszystko, cokolwiek mówiłem lub czyniłem przeciwko

powadze i władzy najprzewielebniejszego Biskupa tej dyecezyi. Przyrzekam dalej, w imieniu mojej całej parafii, od dzisiaj posłuszeństwo prawom Kościoła katolickiego i poddanie się pod rozporządzenia tutejszej dyecezyi. Przyrzekam pracować dla zgody i pokoju pomiędzy ludem tej parafii, a Biskupem prawowitym. Błagam Boga i Jego zastępcę Biskupa, aby przyjąć raczył moje pokorne odwołanie i poddanie się; błagam Boga przez najświętsze Serce Maryi Panny, aby mi w swej łasce dozwolił obietnicy dotrzymać, na chwałę Jego i na zbawienie dusz"...

Opuszczamy następne uwagi, mniej dla ks. Kolasińskiego pochlebne, z któremi wystąpiła jak *Prawda*, tak wiele innych dzienników polskich w Ameryce. O ile uwagi te słuszne i jedynie z miłości objektywnej prawdy płynące, tego wiedzieć nie możemy; w każdym, najgorszym nawet razie, najzupełniejszą słuszność ma chicagowska *Gazeta Katolicka*, kiedy tak upomina Polaków, Niemców, Irlandczyków, gniewających się, że księdzu Kolasińskiemu otworzono za łatwą drogę do pojednania się z Kościołem; grożących nawet podobno, że sami od Kościoła odpadną:

...To źle, i tak katolicy postępować nie powinni. Wyrzućcie, kochani rodacy, zapalczywość z serc waszych, i zamiast smucić, raczej cieszyć się powinniście, że ta plama zmazaną, że to zgorszenie wreszcie usunięte zostanie. Wszak warunki przyjęcia w porozumieniu z Biskupem dyecezyalnym podyktowane zostały przez samego Ojca św... Pamiętajcie, że nie chodzi tu jedynie o osobę ks. Kolasińskiego, lecz o kilka tysięcy dusz — o kilka tysięcy braci Polaków, którzy uznawszy swój błąd, mają się pojednać i stać napowrót dziećmi Kościoła katolickiego...

Ks. Jan Badeni.

Ze świata nauk, odkryć i wynalazków.

Jajo kukułki i jego zagadka. — Czy człowiek może latać?

Życie kukułki, jak niemal każdej żywiny, nastręcza mnóstwo zagadnień, nad których rozwiązaniem biedził się nieraz i jeszcze się biedzi umysł ludzki. W każdej niemal literaturze znajdziemy wiele szczegółów

o tym ciekawym ptaku, rozweselającym gaje, sady i ogrody nasze. I w literaturze polskiej posiadamy piękną monografię kukułki, napisaną z niezrównaną werwą, oryginalnością poglądów i szczególnem zajęciem przez K. Wodzickiego. Atoli czy wszystkie te prace wyczerpały już przedmiot w zupełności? Gdzież tam, zagadki były i zagadkami zostały, z tą różnicą, że najczęściej do starych przybywały nowsze, bardziej jeszcze skomplikowane. Stąd badania nowe, nowe spostrzeżenia, są zawsze pożądane, a choć i one nie rozwiązują zagadki w całości, to przecież rozwiązanie ułatwiają i przyspieszają.

Dziś nie obchodzi nas życie kukułki z wszystkiemi szczegółami, więc ni chichotanie samicy, ni kukanie samca, ni stroje godowe, ni codzienny tryb życia; na jednę zagadkę kukułki zwracamy uwagę: na zagadkę jej jaja [1].

Już poczciwy Arystoteles wiedział, podobnie jak wie polski chłop i wieśniaczka, że kukułka nie wysiaduje sama jaj swoich, lecz znosi je w obce gniazda i macochom powierza wychowanie młodych. Dzięki obserwacyom ornitologów, wiemy obecnie nieco więcej o tem. Jaja kukułcze są bardzo małe w stosunku do wielkości ciała, co jest celowem przystosowaniem do tego, że macochami kukułki bywają normalnie małe śpiewaki, jak gajówki, pokrzywki, pliszki i t. p.; mają nadto silną skorupę, co znowu związane jest z tem, że kukułka często znosi jajo gdziekolwiek, bierze je w dziób i zanosi do gniazda macoszego. Zabarwienie jaja kukułki, czyli zazuli, jak ją gdzieniegdzie nasz lud nazywa, nasuwa wiele zagadek i spowodowało dużo nieporozumień między ornitologami. Jak się ta rzecz przedstawia obecnie? Koloryt jaj kukułczych wogóle jest bardzo rozmaity, u żadnego innego ptaka nie spotykamy takiej różnorodności w tym względzie — i na to wszyscy się godzą. Prócz jednobarwnych, niebiesko-zielonych, trafiają się jaja plamiste lub nakrapiane czerwono i żółto. Samo tło znowu może być białawe, żółtawe, zielonawe, niebieskie, brunatne, czerwonawe i t. d. i t. d., na tem tle mogą występować kropki, kreski, pręgi, chmurki, plamki wyraźne lub rozmazane także różnego koloru, jak czarne, fijołkowe, czerwono-brunatne, szaro-zielone, czerwonawe. Już w tej rzeczy jest coś zagadkowego, lecz starajmy się najpierw zapoznać dokładniej z faktami. Wiemy już, że jaja kukułki co do wielkości imitują mniej więcej wiel-

[1] Cfr. E. Rey, *Altes und Neues aus dem Haushalte des Kuckucks.* Leipzig 1892. — E. Wasmann S. J., *Das Kuckucksei und seine Räthsel,* w *Stimmen aus M. Laach.* Heft 1 und 2, 1894.

kość jaj macoszych; czy imitacya ta odnosi się też do zabarwienia jaja? Podług Reya statystyka kolorytu jaj kukułczych jest następująca: Poznano dotychczas 117 gatunków ptaków, w których gniazda kukułka znosi jaja, między temi jednak kilka tylko jest zwyczajnych macoch, które znowu w różnych okolicach mogą być różne. Rey porównał 597 jaj kukułczych z jajami właścicieli gniazd, którzy należeli do 15 gatunków. Zestawienie to tak się przedstawia: 180 jaj, tj. 30,2%, miało zabarwienie takie jak jaja właściciela gniazda, 164 jaj, tj. 27,5%, miało zabarwienie właściwe innym zwyczajnym macochom, 209 jaj, tj. 35%, miało koloryt mieszany, zbliżający się do różnych macoch zwyczajnych, wreszcie 44 jaj, tj. 7,4%, miało koloryt odrębny, nie zgadzający się z żadnym z normalnych opiekunów. Dodać wypada, że na 180 jaj wspomnianych na pierwszem miejscu, było tylko 76, które kolorytem swoim nie różniły się wcale od jaj opiekuna, 104 zaś miało wybitny typ obcego jaja, ale z zatrzymaniem pewnych cech odrębnych. Ciekawa rzecz, że na owych 76 jaj, 57 pochodziło z gniazda pokrzywki właściwej *(Ruticilla phoenicura)*.

Z tego zestawienia wynikałoby, że jaja kukułki nie tak znowu często zgadzają się w swojej pstrokaciznie z jajami opiekunów. Pochodzi to stąd, że statystyka ta opiera się na jajach zebranych w najrozmaitszych, jak najdalej od siebie odległych okolicach. Daty zebrane w granicach ciaśniejszych przedstawiają się inaczej; w niektórych miejscowościach równobarwność jest normalną, w innych bardzo częstą, jeszcze w innych wyjątkową, tam mianowicie, gdzie kultura człowieka wpłynęła na zmianę w rozmieszczeniu ptaków. U nas, podług Wodzickiego, mamkami zazuli są najczęściej: rudzik *(Rubecula silvestris)* i pliszka biała *(Motacilla alba)*, a jaja kukułki są wogóle podobne do jaj właściciela gniazda. Co zaś Wodzicki mówi, że samica jedna i ta sama znosi jaja o najrozmaitszym kolorycie, zależnie od tego, w jakiem gnieździe wypadnie jej swe jajo podłożyć, byłoby podług Reya nieprawdziwem. Zapatrywania zatem starszych ornitologów, zbijane do niedawna niemal przez wszystkich, po dokładniejszych spostrzeżeniach, przeprowadzonych z jakąś myślą przewodnią, okazują się zupełnie słusznemi. Dzisiaj więc zdaje się pewnem: 1) że każda samica znosi w ciągu życia swego jaja o tym samym lub prawie o tym samym kolorycie; 2) nadto, że każda ma pewną predylekcyę do podkładania swoich jaj w gniazda jednego gatunku; 3) że im wyłączniej kukułki pewnej okolicy obierają sobie stały gatunek macoszy, tem normalniej jaja kukułki zgadzają się w zabarwieniu z jajami mamek.

Jaki jest związek między temi faktami? Czy kukułka dlatego przenosi jakiegoś ptaka, że jej jaja do jego podobne, czy też dlatego jaja kukułki są podobne do jaj ptaka-mamki, że ona przenosi gniazda właśnie tego ptaka? I Rey i Wasmann uważają ostatni związek za prawdopodobniejszy. Jeśli nasza zazula ma faktycznie wrodzoną sympatyę do jednego opiekuna, i to tego, w którego gnieździe sama się wykluła, wtenczas podobieństwo kolorytu jaj kukułczych z jajami wysiadywacza będzie wynikiem wychowania, ciągnącego się przez liczne generacye. Zdaje się, że pokarm i gniazdo pisklęcia ma pewien wpływ na późniejsze zabarwienie jaja, i toby tłumaczyło, czemu jedna kukułka znosi zawsze mniej więcej tak samo zabarwione jaja. Ta sama rzecz tłumaczyłaby również do pewnego stopnia wielką rozmaitość i rozmaitą pstrokatość jaj zazulich. Jakaś samica była zmuszona podłożyć swe jajo w gniazdo nie ulubionego, lecz innego ptaka; pisklę jej nabywa pewnej skłonności do swojego gniazda, i tym sposobem wyradza się pewna oscylacya w wyborze opiekunów, a zarazem w kolorycie jaj. Zmiana gniazd, następnie krzyżowanie kukułek o sympatyach do różnych gniazd spowodowały znowu bardzo częsty typ mieszany w pstrokaciznie jaj.

Czy teorya ta tłumaczy rzecz dokładnie? Być może, że nie, w każdym razie nie jest to hipoteza przyrodnicza bezpodstawna. Przystosowanie naśladownicze kukułki w kolorycie jaj pozostaje więc i nadal jeszcze zagadką.

Przejdźmy do innych zagadek. Czemu jajo kukułki jest zawsze pasorzytem? Czemu kukułka sama nigdy nie wysiaduje jaj?

Dotychczas twierdzono zazwyczaj, że przyczyna tego leży w budowie jajników; kukułka miałaby składać rocznie tylko kilka jaj i to w przerwach ośmiodniowych. Otóż badania Reya wykazują, że jajnik kukułki, zestawiony z jajnikami innych ptaków, nie przedstawia w rozwoju jaj żadnych anomalij, że nadto samica znosi corocznie około 20 jaj i to najczęściej dzień po dniu. Przyczyna zatem tego szczególnego parazytyzmu nie leży w anatomii. Ostatecznie więc trzeba i tutaj zwalić wszystko na instynkt, i powiedzieć, że kukułka nie wysiaduje jaj, bo nie ma żadnego popędu do tego, nie znajduje w tem żadnej przyjemności, ciągnie ją za to jakaś siła magnetyczna do podkładania jaj swoich w obce gniazda. Lecz czy powiedzenie takie naprawdę zadowolni kogo? Słowo „instynkt“, jak wiele podobnych ogólnych terminów i określeń filozoficznych, tłumaczy wszystko zanadto jasno, i stąd niektórzy mówią, że właściwie nie tłumaczy niczego.

Próbujmy więc za instynkt podstawić coś uchwytniejszego, konkretniejszego. Czy np. teleologia, dziś tak bardzo znienawidzona u wielu przyrodników, nie mogłaby rzucić jakiegoś promyka na owo ciemne i jasne jednocześnie słowo „instynkt"? — Jakie jest powołanie kukułki w przyrodzie? Tępić włochate gąsienice, których inne ptaki z powodu włosków parzących nie chcą się tknąć zazwyczaj. Nasza zazula pożera je z największym apetytem i bez uszczerbku dla zdrowia. Kosmate gąsienice, mniszki, nieparki, białki, barczatki, występują nieraz krociami i są straszną plagą lasów i borów. Jakkolwiek kukułka występuje rzadko i zajmuje niejako wybitne tylko stanice w tem gospodarstwie przyrody, to jednak do miejsc nawiedzonych plagą kosmatych gości kukułki zbierają się liczniej na parę tygodni, a tak *viribus unitis* świadczą pokaźne usługi. Miesiące, w których pojawiają się brzydkie gąsienice, są właśnie miesiącami lęgu ptaków. Kukułka przykuta do gniazda i piskląt, nie mogłaby się oddawać obowiązkom zawodowym swego powołania, poszukiwanie zaś mamek umożebnia jej właśnie spełnienie zadania w przyrodzie. Pod tym kątem widzenia pasorzytowanie kukułki staje się już dostatecznie zrozumiałem, a ujemny charakter kukułki, zapominającej zupełnie o obowiązkach matki, który Wodzickiemu nastręczył tyle zdrowych myśli i poglądów na stosunki ludzkie, przedstawia się we właściwem świetle.

Atoli stanowisko teleologiczne ma być już przestarzałe; tłumaczenie genetyczne, ewolucyjne, jedynie jest w modzie i konsekwentnie, a raczej najniekonsekwentniej w świecie, uważa się za jedynie prawdziwe. Czy z tego punktu widzenia nie otrzymamy jakiego światła? Czy kukułka nasza, co sama nie wywodzi nigdy piskląt swoich, nie mogła się rozwinąć z bardzo dalekich przodków, co ścieliły gniazda i hodowały dzieci swoje? Hipoteza ta, zdaniem Wasmanna, niekoniecznie musi być z góry odrzucona. Zestawienie całej rodziny kukułkowatych mogłoby na tę myśl naprowadzić. Ale na wytłumaczenie tej ewolucyi nie wystarczy sama selekcya. Selekcya może operować wtedy dopiero, kiedy są dane do selekcyi, wybór jest niemożliwy, gdy nie ma kto i z czego wybierać. Skąd się więc wzięły owe dane, czyli w czem leży właściwa przyczyna ewolucyi? Przyczyna właściwa, jak słusznie uważa Wasmann, musi pochodzić z warunków organiczno-psychicznych samej kukułki. Jeśli zazula nasza miała kiedyś stać się pasorzytem szczególnego rodzaju, to już wtenczas, kiedy jeszcze była normalnym ptakiem i wychowywała troskliwie *pisklęta swoje, musiała być* wewnętrznie tak ustrojoną, że skoro dla utrzymania gatunku nastąpiła

potrzeba pasorzytowania, zaraz instynkt odpowiedni wystąpił. Jakieś powody, pobudzenia do tego mogły przyjść z rozmaitych stron, przyczyna właściwa leżała w ustroju, w naturze kukułki. Tak pojęta ewolucya celowości nietylko nie wywraca, owszem, bardziej ją popiera. A zdaje się, że tylko taka ewolucya jest możliwą, bo taka tylko opiera się na oczywistej zasadzie przyczynowości.

Jak kukułka, tak inne ptaki mają tę wyższość nad człowiekiem, że mogą bujać sobie swobodnie w łonie powietrza i nie być bezprzerwnie przykutym do skorupy i błota ziemskiego. Od najdawniejszych też czasów, bo od Dedala i Ikara, jeśli można wierzyć bajkom klasycznym, człowiek zazdrościł ptakom tej zdolności i nieraz usiłował pójść w ich ślady i wzbić się ponad ziemię, w przestworza niebieskie. Dlaczego próby wszystkich dotychczasowych Dedalów spełzały na niczem? Dlatego, że w podstawach i założeniach swoich były najczęściej fałszywe, a nie opierały się na rzeczywistości. W ostatnim dopiero czasie Langley w Ameryce a następnie Lilienthal w Niemczech zwrócili uwagę na to, że najpierw trzeba dokładnie zbadać lot i szybowanie ptaków, a potem mówić o naśladowaniu mieszkańców powietrznych. Lilienthal zabrał się do tej pracy na seryo i gruntownie, obmyślił wszystko detajlicznie, a rezultaty jego prób i spostrzeżeń zdają się zapowiadać, jak na początek, dosyć pomyślnie. Kilka słów sprawozdania o tych doświadczeniach podajemy czytelnikom *Przeglądu* [1].

Przyglądając się ruchom ptaków, unoszących się w morzu powietrznem, przekonywamy się, że ruchy te są bardzo rozmaite, i choć zazwyczaj jedne w drugie przechodzą, możemy jednak wyróżnić trzy główne formy tych ruchów: trzepotanie, lot wiosłowy i lot żaglowy. Trzepotanie jest to utrzymanie się na jednem miejscu w spokojnem zupełnie powietrzu; lot wiosłowy jest to ruch postępowy w nieruchomem powietrzu, który można uważać na ptakach, co w czasie zupełnej ciszy posuwają się poziomo naprzód; lot żaglowy wreszcie jest właściwy lepszym latawcom, co nie ruszając wcale skrzydłami i jakby bez żadnego natężenia szybują w najrozmaitszych kierunkach. Pierwszy sposób latania wymaga największego nakładu pracy, dlatego używają go tylko drobne gatunki ptaków. Kiedy dawniej obliczano pracę, jakiej potrzeba do latania, brano na uwagę głównie trzepotanie, i tem się

[1] A. du Bois-Reymond, *Otto Lilienthal's Versuche das Fliegen zu erlernen*, w *Naturwiss. Rundschau*, 1894, nr. 5.

tłumaczą wysokie rezultaty tych rachunków. Dopiero fakt, że lot żaglowy jest właściwy największym ptakom, a nadto że nie wymaga właściwie pracy od latającego, nasunął myśl, że sztucznie najłatwiej będzie naśladować ten rodzaj lotu. To też głównie wyróżnia usiłowania Lilienthala od innych dawniejszych i spółczesnych, że on zagadnienie to pochwycił z innego stanowiska.

Zauważono już dawniej, że ptaki posługują się lotem żaglowym tylko wtenczas, kiedy jest wiatr, a w najczystszej formie tylko kiedy wiatr jest dość silny. Wynikałoby z tego, że wiatr ma pewne własności, których mu zwykle nie przypisujemy. Ponieważ dla ptaka nie jest obojętną rzeczą czy wiatr wieje lub nie, ponieważ dalej wszystkie dobre latawce podczas dostatecznego wiatru mogą z jednakową łatwością szybować we wszelkich kierunkach — musimy przypuścić, że wiatr posiada pewną własność, której działanie nie zależy ani od kierunku, ani od prędkości absolutnej szybującego ptaka. Warunkom tym stałoby się zadość, gdyby wiatr odnośnie do poziomu posiadał kierunek w górę idący. W rzeczy samej zdaje się, że wiatr wywiera taki skutek, jak gdyby podnosił się w górę pod kątem $3—4^0$ odnośnie do poziomu.

Do zaznaczenia tej własności wiatru, Lilienthal doszedł po wielu próbach i eksperymentach. Chcąc obliczyć wielkość pracy ptaków podczas latania, skonstruował osobny przyrząd rotacyjny. Otrzymywał początkowo wyniki olbrzymie, tak, iż wobec nich nie było mowy o tem, by człowiek kiedykolwiek mógł się puścić za ptakami w powietrze. Dokładniejsza obserwacya pouczyła go, że skrzydła ptasie nie są to nigdy powierzchnie płaskie, ale zawsze mniej więcej wypukłe i to stroną wklęsłą na dół zwrócone. Lilienthal zastąpił więc w swoim przyrządzie powierzchnie płaskie wypukłemi. Cóż się stało? Wypadek zmienił się nadspodziewanie. Obliczona ilość pracy malała coraz bardziej.

Pokazało się następnie, że wypukłość nie może być jakakolwiek; najlepsze wyniki wychodziły, jeśli powierzchnie miały wypukłość, której wysokość równała się dwunastej części długości powierzchni mierzonej w kierunku ruchu. Zabrał się więc L. teraz do dokładniejszych pomiarów naturalnych skrzydeł tęgich latawców — i cóż? Natura już dawno o tym stosunku wypukłości do rozmiarów skrzydła wiedziała i niemniej dawno w życie go wprowadziła.

Mimo to wszystko w rezultacie pokazywała się jeszcze zawsze potrzeba pewnej choć małej pracy, a przecież ptak szybuje w powietrzu bez nakładu energii. Dopiero kiedy L. uwzględnił swoje przypuszczenie, częściowo doświadczeniem stwierdzone, o nowej własności

wiatru, otrzymał rezultat od dawna pożądany. Według tych obliczeń powinienby bocian podczas wiatru o prędkości 10 m. unosić się swobodnie w powietrzu bez nakładu pracy, więc bez poruszenia skrzydłami, i wynik ten zgadza się zupełnie z faktami.

Atoli jeszcze tu czegoś niedostaje. Gdybyśmy podług wyników L. zbudowali ptaka mechanicznego i spuścili go z jakiej wieży w przestworze powietrzne, zobaczylibyśmy, że ptak taki okazywałby wprawdzie z początku pewien zapęd do lotu naturalnego, wkrótce jednak straciłby równowagę i spadłby na ziemię. Zresztą to samo stałoby się z ptakiem jak najlepiej wypchanym w podobnych warunkach. Wina zatem nie może leżeć w postaci samej. — Gdybyśmy jak najlepiej skonstruowany okręt naładowali martwym materyałem, ustawili doskonale żagle i ster, i tak puścili go na morze, czyż nie bylibyśmy pewni, że okręt ten po krótkim czasie zatonie? Możemy zresztą jeszcze więcej zrobić: postawić u steru człowieka, co przy swoim stoliku świetnie przestudyował teoryę żeglugi, który jednak nigdy jeszcze w życiu steru nie widział — czyż teraz okręt dalej zapłynie niż w pierwszym przypadku? A przecież mimo to nie wątpimy wcale, iż żegluga morska jest możliwą. Podobnie rzecz się ma z lataniem w powietrzu. Nie dość jest mieć przyrząd odpowiedni do lotu, czyli rodzaj skrzydeł wygodnych, trzeba jeszcze nauczyć się latać, podobnie jak trzeba uczyć się ślizgania na łyżwach lub jazdy na rowerach. I to jest trzeci moment ważny w badaniach Lilienthala. Warunki zatem, umożliwiające lot w powietrzu, są następujące: 1) skrzydła odpowiednio wypukłe, 2) dostateczna siła wiatru, 3) wyuczenie się latania.

Pierwszemu warunkowi L. już uczynił zadość. Powierzchnia skrzydeł jego wynosi 14 m^2 a ciężar 20 kg. Człowiek przybrany w te skrzydła, unoszący się w powietrzu, robi wrażenie jakiegoś gacka-olbrzyma. O drugi warunek nie potrzeba się troszczyć, bo pamięta o nim zazwyczaj sama przyroda. Trzeciego warunku jeszcze sam L. nie wypełnił — latać się jeszcze nie nauczył, ale usilnie pracuje nad tem. Usiłowania te nie są bezowocne. Z początku szło bardzo ciężko. Pomału udawało mu się wzbić nad ziemię na 30 m., czasem znowu mógł kilka sekund utrzymać się w jednym punkcie, podobnie jak to robią często nasze ptaki drapieżne. Najdłuższe loty w kierunku poziomym wynosiły 400—500 m., a trwały mniej więcej minutę. Trzeba zauważyć, że Lilienthal uczy się latania w czasie miernego wiatru, tj. o prędkości 3—4 m, a według jego obliczeń dopiero wiatr 10 m. potrafi unieść człowieka uzbrojonego w skrzydła o powierzchni 14 m^2 swobodnie w prze-

stworzu powietrznem. Sam L. nie odważył się jeszcze na spróbowanie skrzydeł swoich przy tak silnym wietrze, pragnie najpierw doskonale nauczyć się władać niemi podczas wiatrów słabszych.

Być może, że próby te nie doprowadzą do tak pomyślnych rezultatów, jak sądzi ich twórca, w każdym razie przyznać trzeba, że gimnastyka ta nie jest niebezpieczną, a przytem opiera się na dokładnych spostrzeżeniach faktów żywej przyrody.

J. Nuckowski.

Listy australskie polskiego emigranta.

(Ciąg dalszy).

Grodno, 20 stycznia 1888.

Znowu z powrotem do Grodna, z pogoni za „kawaleryą św. Jerzego“ (funty szterlingi). Jeździłem w interesie pana G.... do cukrowni Richmond River, nad tąż rzeką. Właściciel płacił mi 15 szyl. dziennie i wszystkie wydatki. Z Sydney wyjechałem statkiem parowym, kursującym między Sydney a Lismore, miastem nad rzeką tegoż nazwiska. Byli ze mną pp. G.... i Chipman, właściciel fabryki. Podróż trwała dwa dni; dwa dni też chorowaliśmy. Po tygodniowym pobycie w fabryce pan G.... wrócił do siebie, a Chipman i ja, niżej podpisany, pojechaliśmy przez rzekę Brunswik nad ujście rzeki Twid, tuż przy granicy Queenslandu, dla obejrzenia własności Chipmana (około 90 mil ang.): on w małym wózeczku a ja konno; stamtąd nad brzegiem morza obaj już konno do South-Port, skąd pocztą i koleją dotarliśmy do Brisbam, a wreszcie do Sydney. Wycieczka ta zajęła nam dwa tygodnie. Bardzo z niej zadowolony jestem: 1) bo mi przyniosła trochę onej „kawaleryi“, za którą zmuszony jestem tak ciągle się uganiać, 2) iż mi pozwoliła zobaczyć coś ładnego... mało — coś wspaniałego w Australii, do tej bowiem pory, pomimo żem milczał, a może nawet i chwalił trochę, miałem ten kraj za bardzo brzydki, zarośnięty karłowatemi eukaliptusami, brudno-zielonej barwy, które nawet cienia nie dają. To „coś“ tak wspaniałe, są to lasy. Okolica między rzeką Richmond a rzeką Twid, znana tu jest jako *The big scrub,* który rośnie na najurodzajniejszej tu ziemi, koloru czerwonego. Formacya tam przeważnie wulkaniczna; sądzę to po kamieniach. Okolica bardzo falista, miejscami nawet górzysta. Otóż proszę sobie wyobrazić las, z drzewami wysokiemi na 200'—300, o liściach najrozmaitszych kolorów i odcieni, a tak gę-

stych, że zadać sobie można pytanie, czy tam co innego, prócz węża, przecisnąć się może. Drzewa wszystkie posplatane lianami, które tworzą jakby siatkę pajęczą. Jest tam cedr, palma, sosna, paproć-drzewo, i masa innych, których nazwiska tak dziwaczne, iż ich spamiętać trudno, jak np. *Tik*, *Bujong* i t. d.

Jakiej to rzeczywiście odwagi i wytrwałości trzeba, aby tam osiąść, ziemię oczyścić i uprawiać; jabym jej nie miał, to pewno: ja, co tu od roku już lamentuję, bo trzeba krzaki, w porównaniu z temi lasami, wycinać i karczować. A są ludzie, mający dość tej odwagi, jest ich nawet stosunkowo dużo. I tak — jedzie się lasem, ledwo drogę widząc, bo zarośnięta, miejscami jak tunel wygląda; naraz wjeżdża się do ślicznej fermy, z ładnym domkiem, stodółkami, polem, przeważnie trzciną cukrową zasadzonem; widzi się tu ładne konie, śliczne bydło — za chwilę znowu nic, prócz gęstwiny leśnej.

Liany tu są bardzo ciekawe; każda lianka rośnie sobie przy drzewie jakiemś, okręcając się około niego; gdy dojdzie do góry, zwraca się na dół, potem znowu do góry, i tak dalej, aż drzewo oplecie jakby siatką; wtedy łodygi zaczynają grubieć i spajać się, zlewać ze sobą tak, że pień drzewa pierwotnego niknie, niknie, aż wreszcie ginie pod drzewem liany. Co się potem dzieje? Drzewo umiera, próchnieje i wypada, a pozostaje liana sama, pusta w środku, która stoi, aż ją jaka inna zdusi i przewróci. Drzewo *Bujong* (wymawia się jak napisano) również jest ciekawe. Nie ma korzeni idących w głąb; leżą one na powierzchni ziemi, tworząc bardzo szeroką podstawę, która chroni od wywrotu to drzewo, dochodzące zwykle do znacznej wysokości. Ceniony jest bardzo jako materyał budowlany. *Tik* używany tu bywa na klepkę. Co zaś do drzewa chlebowego, o które pytacie, niema go tu wcale.

Złapałem kilka osobliwych owadów, między innemi ćmę, której ciało ma przeszło dwa cale długości. To tylko bieda z owadami, że nie mam czasu się niemi zajmować; łapię dużo, lecz chwil swobodnych na zakonserwowanie onych brak mi zupełnie.

1 lutego. Tydzień już prawie szukam swoich koni, bo mi w las uciekły. Po powrocie ze wspomnianej podróży kupiłem konia roboczego; widocznie mu się tu nie podobało i uciekł, prowadząc za sobą dawnego. Robota postępuje: codzień więcej ziemi pod winnicę przybywa, a płot coraz się przedłuża. Kawony, melony, ogórki i pomidory rosną aż miło...

Sydney, 22 marca 1888.

Znowu z powrotem z podróży na północ. Tą razą nie po cukier, ale po złoto i srebro jeździłem, wysłany przez d-ra Marano i d-ra Warren, którzy tam mają kopalnie. Wysłali mnie jako „człowieka zaufania", abym zbadał co trzeba robić, dając mi zarazem upoważnienie samoistnego działania. Otóż po zbadaniu dokładnem, dokupiłem od rządu 40 akrów przyległych i poradziłem im zawiązać Towarzystwo akcyjne, do którego i mnie z 50 akcyami przypuścić mają za trudy, gdyż zapłaty nie wziąłem, bo pieniędzy dużo nie mają; zwrócili mi jednak wszystkie koszta podróży.

Kopalnia położona jest 400 mil ang. na północ od Sydney, nad Pey Creek (Pey Creek wpada do rzeki Mole, a ta do Barwon), między górami, stanowiącemi część granicy Queenslandu i Nowej Południowej Walii. Są to bogate pokłady Galeny. Próbki analizowane dawały 50—300 uncyj srebra na tonę, i $^1/_2$—1 uncyi złota. Pojadę tam jeszcze raz zapewne, by się przekonać, jak polecenia moje spełniono, i co one w rezultacie przyniosły. Podróż, jako interes na przyszłość niedaleką, uważam za dobrą dla mnie, bo zaczepiła mię o złoto i srebro, a co najlepiej, o ludzi, mających z powyżej wymienionemi marnościami światowemi ciągle do czynienia.

Przy sposobności udało mi się znaleść kilka, choć małych, lecz bardzo ładnych pajączków; między niemi jest jeden czarny, z czerwonym znaczkiem na grzbiecie, o którego istnieniu tutejszym uczonym nawet się nie śniło, wątpię zatem, byście i wy go znali. Siedział na własnej siatce; jest czarny, świecący się, jakby lakierowany; ciało kończy się śpiczasto i podniesione do góry u samego końca. — Okolica nad Pey Creek i Mole River jest jedną z najmniej uczęszczanych z powodu swej dzikości, to też obfituje w dziczyznę australską wszelkiego rodzaju. Kangury i to ogromne, *dingo* (dziki pies), niedźwiadki, oposumy, kaczki i t. d. — jest tego tyle, że doprawdy spać trudno w nocy. Koczowałem w namiocie nad samą rzeczką, która płynie w głębokim parowie (500′ co najmniej); tam się widocznie kangury licznie zbierają, bo nie przesadzę, jeśli powiem, że ich dwadzieścia tuż koło namiotu nad ranem się pasło. W dzień chować się one zwykły między skały. Nieznośniejsze są oposumy; te ceremonij żadnych nie robią, wchodzą wszędzie bez pytania. Chleb mój im smakował, więc się też nim uraczyć chciały; wypędziłem je naturalnie (było ich trzy). Wypłoszone wlazły na drzewko koncert dawać zaczęły; były tam sola, duety

i tercety, ale że nieuki taktu nie trzymały, więcem znudzony nareszcie wyszedł z namiotu, i dopóty trząsł drzewkiem, póki jak gruszki nie pospadały...

Dużo tu ostatniemi czasy lasów się paliło, wielkie szkody wyrządzone. Bogactwem głównem Australii jest trawa, i każdy skwater, u którego trawa się spali, prawie zrujnowany. Setki mil kw. zgorzały. Ja także szkodę miałem przez to; płoty mi się paliły. Mila ang. płotu kosztuje mię od 50—60 funt. szterl.

25 marca. Znacie już mniej więcej prawa tutejsze, tyczące się ziemi; dodam teraz parę słów jeszcze o kopalniach. Wszystkie bogactwa mineralne należą do rządu. Jeśli kto znajdzie pokłady złota, srebra, węgla lub jakiegobądź minerału, na ziemi należącej do rządu, daje natychmiast znać o swem odkryciu i o zamiarze, jeśli ma takowy, eksploatowania kopalni na pewnej przestrzeni (4—40—80 akr. i t. d.), którą przedtem oznacza na rogach słupkami. Ziemię taką rząd nie sprzedaje natychmiast, lecz wydzierżawia po cenie 5 szyl. od akra rocznie, z warunkiem jednak, iż człowiek biorący taką dzierżawę *(Mineral Lease)*, będzie na niej pracował sam, lub też ludzi do pracowania weźmie. Póki te warunki są wykonywane, póty rząd nie ma prawa ziemi odbierać.

Jeśli ktoś odkryje nieznaną kopalnię złota, która potrafi przez pewien czas znaczniejszą ilość ludzi skutecznie zająć, ten dostaje od rządu 5000 ff. premii i pewien obszar gruntu dla własnego użytku.

Jeżeli kopalnia jakaś położoną jest we własności prywatnej, wtedy rząd tejże w dzierżawę oddać nie może, właściciel tylko mocen to uczynić. To prawo, jak i wszystkie tutaj prawa, ma pewną niedokładność: przypuśćmy, że właściciel kopalni takowej eksploatować nie chciał, a przybył kto inny i to przedsięwziął; nie można tego „ktosia“ przed sąd pociągnąć, chyba tylko za uszkodzenie posiadłości, za co się pewną sumę żąda, a rząd już sam takiego szkodnika karze, za kradzież własności rządowej. Były tu już takie wypadki.

Są to w krótkości prawa, tyczące się kopalń w Australii.

Sydney, 12 kwietnia 1888.

Posyłam wam raport, który zrobiłem dla min. d-ra Marano; prócz raportu zajmowałem się także formowaniem kompanii i emisyą akcyj... Święta spędziłem nie bardzo wesoło, na północy, dokąd jeździłem w interesie kopalni. Udało mi się tam złapać śliczne pająki; między innemi jeden żółto-szary; ogon zakończony trzema czarnemi rożkami, którym

wywija jak skorpion; mam samca i samicę; wziąłem je w ich siatce. Oprócz tej pary mam wiele innych, przeważnie skaczących... W celu zaprowadzenia hodowli drobiu, choć na małą skalę, posłałem do Grodna przed paru tygodniami: sześć kur i jednego koguta. W tych dniach sprzedam konia kasztanka, pierwszego, któregom kupił; bardzo mi go żal, bo ładny i dobry, ale tylko ja używać go mogę, bo trochę znarowiony. Na jego miejsce mam już klacz ze ślicznem czteromiesięcznem źrebięciem; kosztuje 17 ff.; trochę to za drogo na tutejsze ceny koni.

Trzy tygodnie mija, jakem w Grodnie nie był; skoro tam powrócę, zacznę budować stajnię i wozownię; materyał już przygotowany. Pierwszego maja rozpocznę oranie; robota koło płotów ciągle postępuje...

Grodno, 16 czerwca 1888.

Nie mogłem orać, jak zamierzałem; ziemia była zbyt twardą z powodu długotrwałej suszy; szczęściem — przed paru tygodniami spadł deszcz obfity, który mi dozwolił wykonać roboty w polu. Sam teraz podziwiam, jak Grodno ładnie wygląda od czasu gdy zorane i obsadzone, i kiedy budynki przybyły. Szkoda, że Australia tak od was daleko! takby mi było miło przedstawić wam moją posiadłość; dam wam przynajmniej jej opis jak najdokładniejszy: Dom mieszkalny, dziś cały w zieleni, ślicznie wygląda; z jednej strony bowiem weranda, ocieniona latoroślą winną, z innych zaś, zasadziłem drzewka pomarańczowe, wiecznie zielone. O kilkadziesiąt kroków od domku postawiłem małe koszary dla robotników; niedaleko stamtąd nową stajnię na 4 konie, z wozownią, składem na uprząż i owies i pokojem dla stangreta na przyszłość. Przed samym domem urządziłem ogródek kwiatowy, poza którym ciągną się w dal winnice; inne znów zapełniają przestrzeń między domkiem a zabudowaniami gospodarskiemi, — za któremi zasadziłem jeszcze kilka akrów białem *Cheres* i *Maderą*. Za tąż winnicą płynie Harris Creek, dalej wznosi się górka, od której do końca mojej posiadłości jest mila angielska, w prawo zaś od domu 2 mile ang. Wzdłuż płotu i dróg mam rozmaite drzewka owocowe, przeważnie jabłonie; udało mi się kupić 120 sztuk onych, już rodzących, nie są jednak zbyt duże, nie powinny więc zginąć, pomimo przesadzenia. — Przybyło mi tu jeszcze jedno stworzenie: młoda harciczka, która mi się przyda kiedyś do polowania. Kurki moje dobrze się też spisują trzy z nich wodzi już kurczęta.

Mam obecnie czterech ludzi u siebie (trzech Francuzów, jeden Anglik); boją się mnie, a pomimo to widzę, że mnie lubią. W Liwerpolu,

skąd zwykle miewam robotników, niema jednego, któryby do mnie przyjść nie chciał; to też za każdą moją tam bytnością przychodzą prosić o zajęcie lub piszą listy rekomendacyjne. Wogóle jestem bardzo popularny w Liwerpolu i okolicy. Raz szedłem ulicą, koło szkoły, z której dzieci wychodziły; te mię zaczęły pozdrawiać: *Good day Mr. W...*; lubo żadnego z dzieciaków nie znałem. Pytam jednego: Skąd mię znasz?— *My dada knows You* (Mój ojciec ciebie zna). — Pytam o jego nazwisko, tego jednak nie wiedział. — W Liwerpolu mają mnie za człowieka majętnego; pewnie dlatego, że długów nie robię i gotówką płacę. Wspomniałem w jednym z poprzednich listów o baronie Cavalchini. Od stycznia już mieszka w Grodnie, gdyż został moim wspólnikiem na lat pięć... Jest też u mnie, w opiekę mi oddany, Polak jeden, Poznańczyk, który mi wiele kłopotu sprawia. Uśmiałem się z niego parę dni temu. Wybrał się był do rzeczki dla przepłókania wypranej już bielizny. Gdy się tam pluskał, przyszedł mały kangurek wody się napić, lecz ujrzawszy człowieka zatrzymał się, by mu się przypatrzyć spokojnie. Poznańczyk mój, gdy ujrzał kangura, tak się przeląkł, że aż w wodę wpadł ze strachu, a potem trzęsący się, mokry od stóp do głów, z niewypłókaną bielizną do domu powrócił.

Zrobiłem, temu dwa tygodnie, podanie do rządu, o przeprowadzenie mi drogi do miasta Campbeltown (stacya kolejowa). Wskutek tego posłano geometrę dla obejrzenia, czy to jest możebnem...

Sydney, 19 lipca 1888.

Jak widzicie, często bywam w Sydney, z powodu interesów. Widuję przytem nieraz przyjaciół moich, do liczby których zaliczam: ks. Le Rennetel i ks. Genesty, Marystów, i ks. Pichegru. Znam tu prawie wszystkich księży, a nawet arcybiskupa tutejszego, osobiście...

...W Grodnie ważnych zmian niema, chyba ta, że mi drogi rząd robi, które, jak będą skończone, o sześć mil ang. zbliżą mnie do stacyi kolejowej Ingelburn; przez to podniosę wartość ziemi w dwójnasób prawie. Wszystko już niemal u mnie zorane pod winnicę, kartofle, owies i kukurydzę dla koni. Mina nasza do tej pory nieświetna, a wogóle wartość wszystkich min tutejszych grubo spada...

Grodno, 23 sierpnia 1888.

W ostatnim liście waszym otrzymałem wyjątek z dziennika „o algierskich winnicach"; ja swoje w ten sam sposób, tj. po ziemi, prowadzić zamierzam; wydatki mniejsze, dochód zaś jednaki. Pytacie o ga-

tunki win, jakie sadzę? Głównie Bordeaux *Malbec* i burgundzkie *Hermitage*. Tych obu gatunków posadzonych w zeszłym i tym roku, mam 40.000 — prócz tego posadziłem dla siebie 3000 *White Shirar* (reńskie) i 3000 *Madery;* z tych 46.000, blizko połowa jeszcze w szkółce, przesadzę je dopiero aż w przyszłym roku. Bardzo niekorzystną mieliśmy zimę; sucha, zimna i wietrzna. Jeśli deszcz w krótkim czasie nie spadnie, to bardzo na tem ucierpię.

Zostałem w tych czasach prezesem okręgu *Parish Eckersley,* w którym Grodno leży. Jest to prezesostwo li tylko tytularne, gdyż grosza jednego, ani nawet zaszczytu nie przynosi. Jako taki, uzyskałem od rządu drogi i mosty, nad któremi obecnie około 300 ludzi pracuje. Przez samo Grodno dwie rządowe drogi przechodzą. Odległość od kolei będzie teraz niespełna 5 mil ang. Od kiedy komunikacya ułatwiona, rzucili się ludzie do brania tu ziemi; między innymi p. Lebiński, nadzwyczaj porządny człowiek, z którego sąsiedztwa bardzo rad jestem. Paru z tych panów u mnie mieszka, dopóki sobie domów nie postawią. Przybył tu jeszcze jeden Polak, p. Daniszewski z Litwy...

Sydney, 15 października 1888.

...Mam zamiar założyć tu dom komisowo-handlowy, którego celem będzie ułatwiać krajowi naszemu robienie interesów z Australią; podejmować się też będziemy dawania wszelkich informacyj stąd, o jakie nas tylko poproszą.

Polaków tu coraz więcej napływa; są między nimi i porządni ludzie. Koło polskie się powiększa... Znam ich prawie wszystkich, i w czem mogę staram się im dopomódz... Może który z nich wróciwszy kiedy do Polski, powie wam o mnie...

23 października. ...Pytacie o wilki australskie: Nie są one właściwie z gatunku naszych, są mniejsze i różnych odcieni; podobne bardzo do zwykłego psa; a jest ich tu sporo. By zachęcić do wytępiania ich, płaci rząd po 1 f. za zabicie od sztuki. W Grodnie przed kilku miesiącami zastrzelili jednego tuż koło domu. Wilki te zwane są tu *dingo.*

Co o Grodnie powiedzieć? Jest ono śliczne: winnica prosperuje, drzewa owocowe rodzą już; warzywa, owies, kukurydza i kartofle rosną. Kur mam już 50, nierogacizny sztuk 2, koni obecnie z łoszętami 7. Gdyby nie brak krowy, mógłbym powiedzieć jednem słowem, że mam wszystko, prócz ptasiego mleka!... Płoty prawie pokończone. Pomimo, że mógłbym już w najgorszym razie końca lat pięciu czekać, tego

jednak nie zrobię, a zawsze naprzód, choć powoli, postępować będę, zwłaszcza, że teraz o bardzo ważną rzecz idzie, to jest o piwnicę i beczki, bardzo tu drogie. — Założyłem w Grodnie sklep *General store*, pierwszy i jedyny na pięć mil wokoło; dużo nie przynosi, bo niewielu jest klientów, daje jednak 5—6 ff. miesięcznie na czysto. Lepszy rydz jak nic; robię pieniądze z czego można. Sam w sklepie nigdy nie jestem; Cavalchini i baron tem się zajmują.

24 października. Wczoraj dokończyć nie mogłem, gdyż zabrał mię był gwałtem pewien p. Berteaux do siebie na obiad. Pokazało się, że to był właściwie bal; ponieważ tańczyć nie chcąc, pannom się nie przedstawiałem, wymknąłem się około godz. 11, by wrócić do domu...

Sydney, 21 listopada 1888.

Bieda będzie u nas wielka w tym roku z powodu suszy, trwającej już 9 miesięcy. Posiewy wszystkie przepadły, a z niemi i moje winnice tegoroczne. Trzeba będzie, da Pan Bóg, w przyszłym roku na nowo przerabiać; ale jakoś to będzie, kiedy być musi. Ciągle dalej karczuję, grodzę, mury stawiam i t. d.

Właśnie skończyłem pisać do d-ra Piotrowskiego, do Colombo; przypomina mi to, że odbierzecie mój list gdzieś koło Nowego Roku. Dajże wam tam Boże szczęścia, zdrowia i pomyślności co najwięcej...

Sydney, 27 grudnia 1888.

Otóż i po świętach Bożego Narodzenia! Spędziłem je w Grodnie w dość licznem towarzystwie. Miałem u siebie Millerów z dziećmi (mieszkam u nich, gdy jestem w Sydney), młodego d'Apice, a w pierwszy dzień świąt pp. C... na obiedzie. Obiad cały gotowany był przez Cavalchiniego i przeze mnie: mieliśmy rzadkiej dobroci rosół z makaronem, kurczęta pieczone, szynkę angielską z jarzynami, *plum puding*, owoce, deser i czarną kawę, do tego: piwo, wino i koniak. Do stołu zasiadło jedenaście osób. W drugi dzień świąt proszony byłem z moimi gośćmi do pp. C..., którzy także selekcyę wzięli w mojem sąsiedztwie, lecz nie pojechałem, by domu samego nie zostawić, ludzie moi bowiem poszli byli wszyscy do miasta. Domek mój, na przyjęcie miłych gości świątecznie się przystroił; weranda wieczorem była oświecona chińskiemi latarniami. Cavalchini bardzo dobry chłopiec, coraz go więcej lubię i cenię. Zamierzamy po Nowym Roku dobrać dwie mile kwadratowe ziemi, na której on będzie mieszkał, a ja wszystkiem jak i teraz rządził. Deszcze w tym miesiącu spadły dość obfite, wszystko też lepiej rośnie...

Sydney, 5 stycznia 1889.

W tych dniach wyczytacie w gazetach warszawskich ogłoszenia domu handlowego, który tu staram się założyć. Dom nasz ma być czysto komisowo-handlowy. Podejmujemy się pośredniczyć w przeprowadzeniu wszystkich interesów, jakieby nam tylko powierzyć chciano, jakoteż dawać będziemy relacye o Australii każdemu, kto takowej zażąda; wszystko oczywiście będzie musiało być opłacone. Możeby S. zechciał być naszym korespondentem, mógłby być pożytecznym przez swoje znajomości w kołach technicznych i artystycznych. Można tu znaleść dobry zbyt na meble, posadzki i t. p.; potrzebne są tylko próbki tychże i dokładne cenniki. Zamówienia będą opłacane przez bank jakikolwiek, po złożeniu listu frachtowego jako dowód, że towar został władowanym i wysłanym. Można mieć zbyt i na cukier rafinowany; wiem, że go w zeszłym roku u was na ten towar nie było; otóż dałoby się część produkcyi onego na tutejszych targach umieścić.

Być bardzo może, że cały interes będzie *un four*, z powodu małego ducha przedsiębiorczego, jaki u nas, niestety, jeszcze panuje, lecz że próba niewiele kosztuje, robimy ją; uda się, dobrze, nie uda — w Bogu nadzieja, że nikomu krzywdy nie przyniesie.

Wełny stąd dużo eksportują do Anglii, stamtąd do Rosyi; może kto zechce wprost ją stąd dostawać, my mu ją kupimy, co taniej wypadnie.

9 stycznia. Posuchy tutejsze się skończyły; spadło kilka dobrych deszczów, wszystko zaczyna zielenieć, lecz drożyzna okropna. Tona kartofli kosztuje 25 ff. Gdybym się tego mógł był spodziewać, tobym zarobił z 1000 ff. na nich, a tak nie mam dosyć na własne nawet potrzeby, gdyż tylko $^1/_6$ akra posadziłem. Utrzymanie ludzi moich kosztuje w tych trzech ostatnich miesiącach ogromnie: za mięso 15 ff., rachunek za cukier, herbatę, chleb i t. d. wynosi 39 ff. Spodziewam się, że teraz po deszczach wszystko stanieje, inaczej byłbym w niemałych kłopotach.

...Poczta dziś odchodzi, kończę więc...

Druk ukończony 30 marca 1894 r.

ENCYKLIKA DO POLAKÓW.

W chwili kiedy dopływa wiek od wykreślenia Polski z mapy Europy, kiedy pogrążeni jesteśmy w posępnych myślach, a Europa dziwuje się, że grób nasz jeszcze trawą nie porósł — i słusznie się dziwuje: bo naród prawdziwie uśmiercony jużby był od dawna do szczętu zaginął — w chwili tej Ojciec chrześcijaństwa przemawia do nas.

Co nam niegdyś prorockiemi słowy przepowiadał Skarga: że będziemy urągowiskiem narodów, to się spełniło — aż do nadmiaru. Gorzej niż urągają, bo zamilczają nas, zadołowują w grobie, mówią, że naród polski nie istnieje. Politykom wiele zależy na tem, żeby tak było w istocie; a narody coraz więcej solidaryzują się z politykami swymi. Gdzie jeszcze za pamięci naszej krzyczano: *En Pologne! en Pologne!* dziś krzyczą — nie *à bas la Pologne!* cobym prawie wolał, ale: *Vive la Russie!* — jakoby już nie było Polski po drodze między Zachodem a Wschodem. Nawet przedstawiciele nauki — ktoby myślał? — tymże duchem się przejmują. Jedni mówią, że jesteśmy tylko kartą historyi, drudzy, że tylko językiem, kartą filologii. Wszyscy się po cichu na to zmawiają, żeby ani imię Polski nie zabrzmiało w powietrzu.

Otóż teraz Papież — tym głosem, którego nikt na świecie nie słyszeć nie może — wobec nadstawiających uszu rządów i na-

rodów — przemówił do nas. Uznał, że jesteśmy. Przemówiwszy po kolei do Hiszpanów, Niemców, Francuzów, Włochów, Węgrów i t. d., uczuł się zniewolonym, jak sam powiada, apostolskim swym urzędem przemówić i do „Narodu Polskiego".

A jakżeż On pojmuje ten naród? Oczywiście nie patrzy On na dzisiejszą mapę polityczną, gdzie są tylko odrębne prowincye sąsiednich państw, ale ma przed oczyma jeden naród w trzech dzielnicach mieszkający, do którego przemawia. Lecz pytajmy dalej, jak On rozumie ten naród politycznie podzielony? Czy jedynie na podstawie etnograficznej go pojmuje — jak to wielu czyni (z wrogów, i nawet z Polaków)? czy tylko tych ma na myśli, którzy mówią po polsku? Nie, On go pojmuje — tak jak my go czujemy — na podstawie historycznego rozwoju; bierze naród, jaki dzieje stworzyły, „różny plemieniem, mową, obrzędem religijnym", i w jednym duchowym uścisku miłości go obejmuje: *complectimur et fovemus.*

Zaczyna uprzejmie Ojciec św. od wspomnienia o chwałach i zasługach przodków naszych, o ich przywiązaniu do wiary i bohaterskich potrzebach, w których piersiami swemi chrześcijaństwo zastawiali. Przez co delikatnie znać daje, że Kościół — którego On jest Głową — nie zapomina o tych zasługach; że i Bóg — którego On jest Namiestnikiem — o nich nie zapomina. Mieliśmy niejedną czarną kartę w naszej historyi, niemało grzechów, któremi naród jako taki się obarczył; za nie dziś pokutujemy. Ale mieliśmy też wspaniałe męstwem, wiarą, cnotami obywatelskiemi karty; i te nie są przed Bogiem i przed Kościołem zmazane. I te są nadzieją naszą. Wspomina Papież o tych dziejowych chwałach naszych, bo one właściwie utworzyły w ciągu wieków, one stanowią tę narodowość naszą, która po upadku bytu politycznego jest jedynym, ale niemniej realnym bytem naszym.

Po zasługach zaś Polski względem Kościoła, przytacza zaraz Ojciec św. swoje o dobro Polski starania: aby okazać wzajemność. Wspomina, z jakiem uczuciem przyjmował pielgrzymki polskie do Rzymu, z jaką troskliwością i wszystkich sił wytę-

żeniem popierał wszystkie duchowe interesa Polski, jak pragnie módz jeszcze więcej uczynić[1], jak wreszcie w obecnym Liście chce dać nowy i uroczysty tego dowód, wobec Kościoła powszechnego, wobec historyi, która zapisze to słowo papieskie; a nadewszystko nas chce tem słowem pokrzepić.

Po tym wspaniałym wstępie następuje nauka encykliki. Jaka nauka? Słuchajmy! bo Namiestnik Chrystusowy mówi do nas. Jak każdy z osobna człowiek baczny być winien na chwile, w których łaska Boża silniej do jego serca przemawia: bo od takich chwil losy jego duszy niemało zależą; tak i naród miewa podobne chwile łaski, w których Bóg do niego przez organa swoje przemawia. Prorocy, natchnieni ludzie, jak Skarga, są nadzwyczajnymi posłańcami Boga; papiestwo jest zwyczajnym organem Opatrzności. I dlatego z największem uszanowaniem i uległością winien nadstawiać uszu naród, do którego Papież raczy przemawiać.

Papież mówi najprzód, jak się niektórym zdało, ogólniki; istotnie przekłada On ogólne i powszechne chrześcijanina obowiązki, uczy jak mamy życie chrześcijańskie w sobie i w społeczeństwie swojem wytworzyć: dlatego, że to, a nie co innego jest najważniejszem zadaniem naszem — zadaniem najważniejszem, nietylko dla każdego z osobna, odnośnie do wieczności, ale dla narodu jako takiego — zwłaszcza w takiem położeniu jak nasze. Bo cóż może być dla narodu pożyteczniejszego? Czy kto skreślił program, rzucił hasło praktyczniejsze? Słyszałem niegdyś hasło, echem od Tuilleryj odbite: „Wzbogacajcie się“. Później, po wypróbowaniu bezskuteczności haseł bojowych, sformułowano hasło „pracy organicznej“. Niektórzy to hasło odrzucają z powodów partyjnych, lecz ile razy jakiś dodatni skreślają program, tyle razy do tej samej wracają treści: pracować

[1] Takie jest znaczenie zwrotu: *id posse vel amplius cupimus,* co w niejednem tłumaczeniu nie zostało oddanem.

nad rozwojem ekonomicznym i umysłowym swoim i kraju. Pewna rzecz, że bogactwo jest niemałą dla narodu siłą; pewna rzecz, że zorganizowanie jego stosunków i czynników produkcyjnych, uposażenie go w skarby nauki i sztuki jest jeszcze większą, bo głębiej wszczepioną siłą. Ale jeszcze większą i jeszcze głębiej sięgającą siłą jest życie chrześcijańskie, zakorzenione w narodzie, dające duszom hart po męczennikach odziedziczony, kwitnące w rodzinach, namaszczające stosunki między obywatelami sprawiedliwością i miłością ofiarną. „Skarby mieczowi spustoszą złodzieje“ — wiemy o tem z doświadczenia; owoce długoletniej pracy organicznej w mgnieniu oka brutalna dłoń zgniecie, zniweczy; — życie chrześcijańskie najmocniejszy stawi opór przemocy. Gdyby innego nie było dowodu na to: jaką ono jest siłą, toby przykład naszego narodu starczył. A chociaż to życie chrześcijańskie nie jest bynajmniej środkiem dla rzeczy doczesnych, wszelako, jak wielokrotnie Ojciec św. powtarza, ono jest zarodem i doczesnej pomyślności narodów: bo nauka Chrystusowa wszystkie najistotniejsze warunki dobrego ustroju społeczeństw w sobie mieści. Trzeba tylko temu zarodowi dać się odpowiednio rozwinąć.

Ale jakżeż ma naród to życie chrześcijańskie w sobie rozwinąć? Czy u nas ono nie dosyć jeszcze rozwinięte? Przecież każdy niemal człowiek jest u nas katolikiem; kościołów, gdzie ich przemoc nie zabiera, jest dosyć; nabożeństwa gęste są i wspaniałe. Czegóż więcej trzeba? — Nie chcę naszemu społeczeństwu przyganiać w chwili, kiedy mu Papież z ojcowską dobrocią takie pochwały daje; ale chciałbym, żebyśmy nie wpadli w złudzenie tych, którzy myślą, że dosyć jest mówić: Panie! Panie!, a nie czynią woli pańskiej. Słuchajmy więc, na co Ojciec św. zwraca naszą uwagę.

Otóż najprzód i najbardziej kładzie Ojciec św. nacisk na to, że trzeba się przywiązać do nauki Chrystusowej, wiarę św. cenić nadewszystko, „jako dar najwyższy, z którym żaden inny w porównanie iść nie może“. Póki tego fundamentu niema, póki uważa się religię jako zabytek szacowny i z wielorakich

względów pożyteczny, ale nie jako prawdę najwyższą, póty buduje się na piasku, póty jeszcze chrystyanizmu niema; a gdy ten fundament jest, wtedy inne pożytki na nim się piętrzą.

A brać trzeba tę religię nie jak się komu podoba — to „widzi mi się“ w religii jest zasadą protestantyzmu — ale tak jak ją Chrystus podał, jak ją ukształtował w Kościele, z jego sakramentami, hierarchią i najwyższą Głową na ziemi, której słuchać należy; — w czem znowu Ojciec św. przykład przodków naszych stawia nam przed oczyma.

Punktem wyjścia tego życia chrześcijańskiego w społeczeństwie — naucza dalej Papież — powinna być oczywiście rodzina. Ona najprzód musi być jego duchem owiana i uświęcona, aby naród mógł być katolickim. Więc przedewszystkiem „świętość i nierozdzielność małżeństwa“ — jeden z warunków życia narodów, o którym niestety zapomnieliśmy ongi. Dalej zgodne pożycie, oraz wychowanie dzieci, którego głównym czynnikiem ze strony rodziców jest „przykład własnego ich życia“.

Po rodzinnym domu, szkoła. Ojciec św. ścisłe co do niej stawia wymagania: chce, aby szkoły, do których posyłamy dzieci, były katolickie, gdzieby nietylko uczono religii, ale też w niczem jej nie obrażano. Powinniśmy więc wszyscy, gdzie możemy i o ile możemy, do tego usilnie dążyć, aby szkoły nasze takiemi były. Tę samą zasadę stosować każe Ojciec św. i do szkół wyższych, gdzie bez tej ochrony jeszcze większe zachodzi niebezpieczeństwo zatracenia wiary.

Od szkół przenosi się Jego myśl do arcyważnej sprawy kształcenia kleru. Kler zawsze powinien być światłością i solą ziemi; ale w ciężkich czasach, jakie przyszły na kościół polski, wśród niebezpieczeństw wszędzie dzisiaj grożących wierze, nierównie więcej pomocy oczekuje społeczeństwo od kapłanów niż dawniej, i dlatego daleko staranniej, szerzej, gruntowniej powinni się kształcić, tak w życiu wewnętrznem jak i w nauce. Tu przypomina Ojciec św. różne encykliki i polecenia jakie o tej rzeczy wydał, i wyraża wolę, żeby kler polski oddawał się nauce, nietylko teologii ale i filozofii i innym gałęziom wiedzy, które za-

wód jego ozdobić i powagi mu dodać mogą; i to nietylko w czasie pobytu w seminaryum, ale i potem w ciągu swych prac kapłańskich.

Wreszcie, przechodząc do wszystkich stanów składających społeczeństwo, stawia im Ojciec św. przed oczyma zasadę ewangeliczną, która jest też myślą przewodnią encykliki *Novarum rerum:* że cementem chrześcijańskiego społeczeństwa, cementem bez którego nic trwałego zbudować nie można, jest miłość bliźniego. Nie wystarczą żadne mądre prawa, nie wystarczą żadne urządzenia państw i społeczeństw, ani te które były i są, ani tem mniej te, o których marzą socyaliści; potrzeba jeszcze miłości łączącej ludzi i klasy: tej miłości, mówi Ojciec św., prawdziwej i czynnej, która w dawnych wiekach tyle żywotnych ustrojów zbudowała.

Czy może bez powodu Ojciec św. do nas Polaków tak silnie o tej miłości obywatelskiej przemawia?... Gdyby nie rokosze i niezgody ojców naszych, nigdyby nie były obce potęgi ojczyzny naszej zgnębiły. Dziś nie dobywamy korda jedni na drugich, ale zazdrością zaprawione języki mogą jeszcze cięższe rany bliźnim i ojczyznie zadawać. Już drugi Żeleźniak nie poprowadzi czerni do drugiej rzezi humańskiej — ale jeśli szerzenie podejrzeń, podniecanie nienawiści między klasami społecznemi będzie się dalej praktykowało, jeśli nawet w łonie tych samych klas rozdwojenie partyjne, nacechowane nietyle różnością programów, ile osobistemi niechęciami i zawiściami, będzie krępowało dalej ręce do wszelkiego czynu — to niewiedzieć w jaką przepaść stoczyć się możemy... Więc, dla Boga! bierzmy do serca to upomnienie Ojca św. o miłości chrześcijańskiej.

Jak widać, i ta część ogólna encykliki pełna jest praktycznych dla nas nauk i ważnych przestróg. Nie wszystko jednak, co się w tej pierwszej części mówi, zmierza wyłącznie do nas. Ażeby dobrze Papieża zrozumieć, trzeba pamiętać, że — przemawiając z tej najwyższej mownicy Piotrowej — On ma przed

oczyma nietylko biskupów polskich, do których ten List adresuje, nietylko cały naród polski, dla którego przemawia — ale także wielu innych interesowanych, którzy czujnie i podejrzliwie nadstawiają uszu, zwłaszcza władców — a najbardziej cesarza i rząd rosyjski, w którego mocy największa część tego narodu i Kościoła polskiego pozostaje. Pod koniec Listu zwraca się Ojciec św. w tę stronę wyraźnie, kiedy daje rady każdej z trzech dzielnic z osobna; ale już od początku znać, że tego groźnego słuchacza ciągle ma na myśli. Dlatego to zaraz od początku z takim naciskiem mówi i wykłada, że Kościół, acz najszersze posiada prawa, jednak z wielką oględnością tych praw się domaga. Dlatego powtarza, że Kościół wpaja swym wiernym zasady karności, posłuszeństwa względem władz, poszanowania tronów i t. d. Chce on wytłumaczyć, przekonać, że katolicy nie są buntowszczykami, że nie trzeba ich z religii wyzuwać, schyzmatyczyć, aby mieć z nich sumiennych poddanych; że Kościołowi katolickiemu w państwie nie trzeba rąk i nóg krępować, aby służył społecznemu porządkowi, ale przeciwnie trzeba mu zostawić swobodę ruchów, jakiej wymaga organizm od Chrystusa mu nadany. Śmiało zaś Papież piętnuje tych złych doradców, „którzy w tym względzie nie ufają Kościołowi i w podejrzenie go u rządców państw podają".

Dalej, kiedy mówi Ojciec św. o potrzebie szkoły katolickiej, wolnej od wszelkiego wpływu, mogącego przyćmić wiarę, kiedy rozwodzi się o konieczności kształcenia kleru w seminaryach z całą swobodą, jakiej wymagają kościelne kanony, o potrzebie dla księży już pracujących na niwie Pańskiej zbierania się peryodycznego dla pokrzepienia się rekolekcyami, dla utrzymania ducha naukowego i studyów teologicznych — to pewnie nietyle chce Papież upomnieć biskupów, o których wie i uznaje, że czynią co tylko mogą — jak raczej wytłumaczyć, wykazać na dłoni owemu rządowi, czego katolicyzmowi potrzeba i w czem mu się w obecnym stanie rzeczy krzywda dzieje.

A kiedy już wprost do tej nieszczęśliwej cząstki owczarni Chrystusowej mowę swą zwraca, z jak niezrównaną delikatnością,

z jakiem współczuciem to czyni! Najprzód winszuje im wyznawania wiary katolickiej — winszuje im, bo w ich położeniu jest to bohaterskie wyznawstwo [1]. A zarazem zachęca ich podniosłemi słowy i przykładem wielkich chrześcijan dawnych wieków, aby trwali dalej: bo wiara i cnota jest największem dobrem — co, rozumie się, pocieszać ich ma, gdy im gwałt prześladowcy dobra ziemskie wydziera. Potem zapewnia ich z wielkim naciskiem, że wie o wszystkiem co się u nich dzieje, że dba o to wszystko i stara się wszystkiemi sposobami zaradzić niemniej jak poprzednicy jego (Pius IX.); cieszy się z zaufania synowskiego, jakie w nim pokładają, i zaklina aby nie wierzyli kłamliwym wieściom, złośliwie rozsiewanym, jakoby mniej się o nich troszczył niż poprzednicy jego. Świadczy się wreszcie, że „gotów jest, by odpowiedzieć położonemu w nim zaufaniu [2], wszystko z największym wysiłkiem podejmować i odważnie przeprowadzać".

Czy nie dość jeszcze wyraźnie i nie dość wymownie skreślona tu jest i troskliwość Ojca św. dla tej części owczarni Chrystusowej, i stan ucisku i prześladowania w jakim się ona znajduje? Otóż, jak gdyby to jeszcze nie wystarczało, Papież wchodzi w szczegóły, wymienia jakie w różnych czasach podejmował kroki i pertraktacye, co mu rząd carski obiecywał — a że nic z tego nie dotrzymano, to oględnie, lecz niedwuznacznie wyraża, kiedy mówi, że od czasu tych układów nie przestał „domagać się wypełnienia obietnic", i że nadal domagać się będzie, i błagać Boga, jedynej, która jeszcze pozostaje, instancyi, by użył mocy jaką ma, wedle Pisma, „nad sercem królewskiem". Wkońcu biskupów zaboru rosyjskiego wzywa, aby z jednej strony wpajali klerowi i wiernym poszanowanie władz i praw państwowych, „iżby w ten sposób wszelkie pozory do podejrzeń i oskarżeń katolicyzmu usunięte zostały" — a z drugiej strony, aby i oni za jego przykładem „bronili dalej praw katolickiej religii" i wypełniali

[1] Papież nie mówi w tem miejscu, że chce im dać „zbawienną przestrogę" (jak przetłumaczono), ale że chce ich „posilić zachętą" *(hortatione muniamas)*.

[2] Takie jest znaczenie słów: *vestram ut sustineamus fiduciam.*

wszystkie funkcye, jakich dobro dusz wymaga, jak: udzielanie sakramentów i słowa Bożego, uczenie religii w szkołach, utrzymywanie całości i ozdoby świątyń Pańskich. Nie tajno jest oczywiście Papieżowi, że w tem wszystkiem biskupi skrępowane, jeżeli nie skute, mają ręce; ale dlatego właśnie mówi wobec świata, że to wszystko jest koniecznem religii katolickiej wymaganiem. I dodaje nawet śmiało: jeżeli się w tych rzeczach spotkacie z przeszkodami, to się oprzejcie na Mnie, „nie wahajcie się na zawarte ze Stolicą Apostolską umowy z powagą i roztropnością się powoływać".

Warto przytem zauważyć w tem całem przemówieniu Papieża do Polaków z zaboru rosyjskiego, z jakim taktem i delikatnością unika On wszelkiego słowa i zwrotu, któreby urazić mogły zbolałe serca uciśnionych. Zwracając mowę do nich, nie inaczej określa ich stosunek do Rosyi, jak temi słowy: „Wy, którzy podlegacie cesarstwu rosyjskiemu". Wymieniając cesarza i nie mogąc według wymagań etykiety pominąć przymiotnika, taki wybiera przymiotnik, którego nikt z nas carowi nie zaprzeczy: *Potentissimus* — „wielce potężny". Nakoniec, musząc uprzejme słowo cesarzowi powiedzieć, wspomina jego osobistą dla Siebie życzliwość i osobiste sprawiedliwości poczucie; o żadnej zaś dobroci, ani sprawiedliwości jego rządów nie wspomina; owszem w temże miejscu daje znać, że do owego poczucia cara napróżno kołatał, aby jakąś sprawiedliwość dla Kościoła w rządach otrzymać.

Cóż więcej mógł powiedzieć Papież, a nie powiedział? Niektórzyby chcieli, żeby w oczy wyrzucał samodzierżcy jego gwałty, żeby głos podniósł o krwi w Krożach przelanej... Dla Boga! czyby to było dobrze? czy po ojcowsku? czy prawdziwie w interesie ofiar prześladowania? Czy pasterz, patrzący na swą owieczkę w pazurach zwierza, któremu jej wydrzeć nie może, będzie drażnił umyślnie zwierza, narażając, nie własną osobę, ale owieczkę na nowe rany?

Gdyby był Papież wypomniał rządowi rosyjskiemu Kroże i podobne gwałty, byłby tylko osłabił wobec Rosyi i wobec

Europy siłę prawdy i słuszności, bijącą z tej encykliki. Takie pojedyńcze wypadki, im są okropniejsze, tem trudniej znajdują wiarę, tem łatwiej otoczyć się dają wątpliwościami. Dodam bez wahania, że mniej istotnie szkodzą katolicyzmowi w kraju, niż ta systematycznie gniotąca śruba ucisku, i mniej też obciążają rząd, który może część odpowiedzialności zrzucić na nadużycia organów. — Papież wypomina Rosyi wobec świata większe i cięższe winy niż mordy w Krożach i t. p., a winy nie dające się w żaden sposób utaić ni zaprzeczyć: Oto takie a takie są, mówi im, niezbędne warunki życia katolickiego, których wy nie dopuszczacie; to a to przyrzekliście mi uroczyście, aby to życie umożebnić; a spełnienia tych obietnic od początku mego papiestwa dopominam się napróżno. Wypowiedziane zaś jest to wszystko w sposób, który ani szczeliny do zaprzeczeń nie zostawia, ani pozoru nie poddaje do umotywowanego obrażenia się Rosyi. — I udało się Papieżowi to, co i mnie samemu, przyznam, wydawało się z góry niemożliwem: mówić razem do Polaków i do Rosyi, i mówić prawdę, a żadnej stronie nie ubliżyć.

W przeciwstawieniu do takiego przemówienia o Rosyi — co jeszcze bardziej ciężkość skargi na nią podniesionej uwydatnia — zupełnie innym językiem, innym słów doborem mówi Papież do Polaków podwładnych korony Habsburskiej i berła pruskiego. Pierwszych wzywa do wierności i wdzięczności dla najżyczliwszego Kościołowi monarchy; ale zarazem starać się im każe o wykonanie tego co jest dobrego dla religii w prawodawstwie, a ustanowienie tego co jeszcze w ustawach i instytucyach brakuje. „Starej i przezacnej Wszechnicy“ Jagiellońskiej życzy, by „całość i godność swą“ zachowała; życzy jej, by za przewodem dostojnego Kardynała pasterza krakowskiego współzawodniczyła z nowemi katolickiemi uniwersytetami w uprawianiu nauki w harmonii z wiarą, ku wielkiemu pożytkowi i nauki i kształcącej się młodzieży. Życzy dalej, by zakony cieszyły się u nas powszechnym szacunkiem, i świadomym się okazuje tego ducha odnowienia, który powiał od pewnego czasu po wszystkich niemal klasztorach naszej dzielnicy; zaczem też idzie pomno-

żenie nader pożytecznej dla Kościoła i społeczeństwa pracy. W szczególności odrodzonemu zakonowi św. Bazylego daje Papież to chlubne świadectwo, że z wielką Jego serca pociechą odpowiada położonej w nim nadziei i zdąża wielkim krokiem do chwały i pożytków, jakiemi ongi kościół ruski ozdabiał. Przy tej sposobności wzywa nas Ojciec św., abyśmy wszyscy, kler i świeccy, „ściślej i serdeczniej“ zjednoczyli się z Rusinami, uznając w nich, mimo różności pochodzenia i obrządku, braci i synów jednego Kościoła. Którą to przestrogę bierzmy bez zastrzeżeń do serca i przyłóżmy się do jej wykonania — skoro jest przestrogą Głowy Kościoła.

Polakom w Księstwie Poznańskiem przypomina Ojciec św., że spełnił ich życzenia, wynosząc na stolicę św. Wojciecha, „męża pobożnością, roztropnością, miłością znakomitego“. Winszuje im też, że z taką powolnością i przywiązaniem ulegają jego rządom; przez co też daje znać, że jeśli niektórzy stanowią wyjątek, to i oni za tym przykładem iść winni. Wkońcu namawia ich, aby zaufali wspaniałomyślnemu charakterowi cesarza i jego szczerej dla nich życzliwości.

* * *

Taki jest ten List papieski — pomnik wspaniały do historyi naszej — wielki dar Boży, który nam Opatrzność w tej ciężkiej dobie zesłała — pełen pociech i pochwał macierzyńskich — i pełen nauk i przestróg praktycznych dla prywatnego i dla publicznego życia.

Przyjąć powinniśmy ten dar z uszanowaniem i wdzięcznością. Jużeśmy to, Bogu dzięki, uczynili. Choć w pierwszej chwili niektórzy się zawahali, jednak prędko naprawili błąd. Cała prasa polska, a tem bardziej naród, przyjął słowo papieskie ze czcią. Wyjątki są tak nieliczne i tak mało ważące, że nie ma co o nich wspominać. Ale nie poprzestając na czci, wykonujmy, wprowadzajmy w życie prywatne i publiczne te święte rady i nauki. „A z pewnością — tą obietnicą zamyka swój List

Leon XIII. — i wiarę w narodzie ocalić zdołamy od grożących jej w tych ciężkich czasach niebezpieczeństw, i przodków sławę przechowamy, odtwarzając w sobie ich ducha i czyny". — Prośmy Boga, aby nasienie tych słów zakiełkowało na niwie naszej. Ojciec św., błogosławiąc nam na końcu, wzywa nas, abyśmy razem z nim, za przyczyną Bogarodzicy i innych patronów Polskiej Korony, modlili się gorąco o zmiłowanie Boże nad narodem.

Ks. M. Morawski.

GENEZA I HISTORYA SYMBOLU APOSTOLSKIEGO.

I. Symbol od w. XIX. wstecz do początków w. IV.

Mieliśmy od dawna liczne bardzo objaśnienia symbolu apostolskiego, dokonane przez takich mężów jak św. Ambroży, Rufin, Augustyn, św. Piotr Chryzolog, Bonawentura, św. Tomasz z Akwinu. Wiele z tych komentarzy i kazań są to prawdziwe perły kościelnej wymowy, zawierające przytem całe głębiny wiedzy i nauki teologicznej. Ale właściwej historyi symbolu nie było w obozie katolickim aż do ostatnich czasów. Najprzód trudno było o taką historyę z tego powodu, że materyał źródłowy jeszcze nie był zebrany; a z drugiej strony, przeświadczony o apostolskiem pochodzeniu nauki w symbolu zawartej, Kościół mniej się troszczył o połączone z nim kwestye czysto historyczne — zwłaszcza, że nikt powagi symbolu nie zaczepiał — a za to wytężał zawsze Kościół wszystkie siły w tym kierunku, aby boską jego treść przedłożyć dzieciom swoim w całej czystości i piękności. Dopiero w ostatnim roku pojawiły się w tej sprawie dwie monografie, z których jedna jest pióra uczonego Benedyktyna Baeumera[1], druga, wszechstronniejsza i gruntowniejsza, O. Bluma T. J.[2]

[1] Baeumer Suitbert, *Das Apostolische Glaubensbekenntniss. Seine Geschichte und sein Inhalt.* Mainz. Kirchheim. 1893, str. VIII, 240.

[2] Blume Clemens, *Das Apostolische Glaubensbekenntniss.* Freiburg i. Br. Herder. 1893, str. XVI, 304. (Zob. sprawozdanie o obu tych monografiach

Więcej prac nad genezą symbolu wykazać mogą protestanci. I rzecz to całkiem naturalna. Opuszczając w czasie reformacyi Kościół katolicki, zabrali z sobą symbol nie objęty kanonem ksiąg natchnionych, jeno przekazany ustną tradycyą kościelną. Otóż aby nie być z sobą w sprzeczności, że przyjęli formułę dogmatyczną na porękę Kościoła rzymskiego, którego nieomylną powagę zresztą odrzucili, musieli oni zawczasu oglądać się za podstawą historyczną tej formuły, czyli wykazać przy pomocy dokumentów historycznych, że sięga ona przynajmniej co do treści czasów apostolskich. Do takiego też istotnie protestanccy badacze w XVII. i XVIII. w. doszli rezultatu. W drugiej połowie naszego wieku do podobnych wyników doszedł zmarły w r. 1892 szlachetny, spokojny i bezstronny w swym sądzie profesor teologii protestanckiej w Norwegii, dr. Caspari [1]. Dopiero w ostatnich czasach znany profesor historyi kościelnej na wydziale teologicznym berlińskim, Adolf Harnack [2], zaatakował apostolskie pochodzenie symbolu, jakoteż treść większej części jego artykułów pod hasłem oczyszczenia symbolu z naleciałości pogańskich. Wywody jego znalazły poklask w obozie teologów, tego samego co on ducha, którzy wnet szaloną i namiętną na zjazdach, synodach, w broszurach i dziennikach rozwinęli agitacyę za wyrzuceniem symbolu z liturgii i zastąpienia go formułą krótszą, któraby się nie kłóciła z rozumem.

Chodzi tedy, jak widzimy, o rzecz niemałą, bo razem z tym symbolem runąć musi całe chrześcijaństwo, którego jest ekstraktem. Stąd jeśli już przed 20 laty Caspari nazwał obronę Składu apostolskiego i studya nad jego genezą, kwestyą apologetyczną pierwszej wagi, toć to samo powtórzyć należy z więk-

w *Przegl. Powsz.* Styczeń 1894). Do dzieła Bluma odsyłam też wszystkich, którzy chcą poznać całą literaturę katolicką i akatolicką, dotyczącą naszego przedmiotu.

[1] Caspari: *Ungedruckte, unbeachtete und wenig beachtete Quellen zur Geschichte des Taufsymbols und der Glaubensregel.* Christiania 1866—1879. 4 tomy. Dalej jego: *Alte und neue Quellen zur Geschichte des Taufsymbols.* Christiania 1879.

[2] *Das Apostolische Glaubensbekenntniss.* Berlin 1892. Cytuję według 13 wydania.

szym jeszcze naciskiem dzisiaj. Zresztą nigdy dla katolika nie mogło być rzeczą obojętną, jakie jest źródło, jakie dzieje i losy tego określenia wiary, które od najdawniejszych czasów było podstawą całego nauczania teologicznego, katechetycznego i kaznodziejskiego. Wszak na tym symbolu ucywilizowały się ludy nowożytne; na nim, niby na chlebie powszednim, urośli nasi przodkowie. Ojcowie Kościoła nie mogą, że tak powiem, dosyć się nim nacieszyć, i najpiękniejsze dają mu nazwy. Jest on dla nich pieśnią zbawienia, krótką co do słów, ale potężną myśli siłą, talizmanem, który ciągle w sercu nosić należy, dla ubezpieczenia się przeciw wszystkim wrogom duszy, przysięgą złożoną pod chorągwią Chrystusa-Wodza i pieczęcią umieszczoną na zawartym z Nim sojuszu. Jest to jeszcze klucz, którym roztwiera się duszy podwoje, aby wejść mogła w światłość Chrystusa, ziarno gorczyczne, mające pod osłoną i kierownictwem od Boga powołanych nauczycieli dalej się rozwijać i urość w potężne drzewo wiary, fundament, na którym ma być wzniesiony gmach życia chrześcijańskiego.

Tak wielbią Ojcowie symbol apostolski; jakież teraz przedstawiają się wyniki dzisiejszych badań nad początkami i historyą tego symbolu? Kto jest jego autorem? Jakie pierwotne jego brzmienie? Gdzie i kiedy spotykamy po raz pierwszy tekst dzisiejszy? Jaka historya i znaczenie ważniejszych jego dodatków? Na te pytania chcę dać odpowiedź, z uwzględnieniem głównie badań Caspari'ego, Bluma, Baeumera i Harnacka.

Najpierw jakie jest znaczenie wyrazów: „symbol“ i „apostolski“?

Etymologicznie i w mowie starożytnych słowo symbol oznaczało tyle co znak, z którego się coś wnioskuje, albo po którym stosownie do umowy coś się poznaje. W Kościele po raz pierwszy św. Cypryan nazywa tem imieniem wyznanie wiary, używane przez wiernych przy chrzcie św. [1]. Ojcowie IV. i V. wieku biorą je w znaczeniu συμβολή — *collatio*, skład — ponieważ według ich przekonania złożone zostało przez Apostołów. „Jak kupcy — powiada

[1] List 69, c. 7.

św. Ambroży — dla wspólnych celów składają pieniądze — czynią συμβολήν — tak Apostołowie złożyli i ustalili wyznanie wiary". Równie często, a nieraz także równocześnie przychodzi u Ojców słowo symbol w znaczeniu łacińskiego *tessera, signum, indicium, pactum* (σύμβολον = ἐξ οὗ συμβάλλεταί τι), a więc znaku religijnego, hasła i środka poznania i rozeznania chrześcijan od pogan, jakoteż katolików od heretyków. „Symbol — uważa Rufin — znaczy w języku greckim tyle co znak do poznania... Nazwa ta Składu apostolskiego stąd pochodzi, że w owym czasie, jak św. Paweł opowiada (I. Kor. XI. 18, 19) i Dzieje Apostolskie świadczą, wielu wędrownych Żydów podawało się jakoby byli Apostołami Chrystusa i za pieniądze głosili ewangelię, w której wprawdzie wspominali Chrystusa, ale go nie przepowiadali wedle autentycznej tradycyi. Dlatego też Apostołowie zaprowadzili ten znak (symbol), aby po nim każdy, opowiadający Chrystusa wedle nauki Apostołów, mógł być poznany. Tak samo postępuje się także w czasie wojny, wybuchłej wśród obywateli tego samego kraju: ponieważ mianowicie wszyscy mają jednaką broń, jednaki język, jednaką taktykę wojenną, więc każdy wódz daje swym żołnierzom pewne symbole, które u łacinników zwią się *signa* albo *indicia* (znaki, godła), aby w ten sposób przeszkodzić wszelkiej chytrej zdradzie. Dlatego też Apostołowie zarządzili, aby go nie spisywano na papierze lub pargaminie, ale przechowano w sercach wiernych, chcąc w ten sposób zapewnić się, że nikt nie wyuczył się go z czytania książek, które czasami także w ręce niewiernych się dostają, ale przez tradycyę apostolską" [1]. Innemi słowy: kto umiał symbol na żądanie wypowiedzieć z pamięci, ten dał tem samem dowód, że jest członkiem Kościoła Chrystusowego.

Katechizm rzymski przyjmuje oba znaczenia mówiąc, że

[1] *Expos. symb. apost.* 2. Takim symbolem czyli znakiem poznania były w pierwszych wiekach dla chrześcijan także rybki, *ichthys*, sporządzane z rozmaitego materyału a noszone na szyi. Hasłem *ichthys* poznaje w przepięknej historycznej powieści Farrara: „Zmrok i brzask", Brytannik, że część jego służby składa się z chrześcijan. Tym samym znakiem ryby, wyrysowanym palcem na piasku, oznajmia się Onezymus niewolnik, zbiegły Filemonowi, którego nawrócił św. Paweł, Pudensowi jako chrześcijanin.

ów skład dwunastu artykułów zowie się symbolem „bądź dlatego, iż z rozmaitych złożony jest części, które każdy z Apostołów dokładał, bądź dlatego, iż tego wyznania używali wierni jakoby godła czyli znaku pewnego, za którymby łatwiej rozeznać mogli odstępną i fałszywą bracią, którzy ewangelią kazili, od tych którzy przy niej i przy Chrystusie Panu prawdziwie stali“ [1].

Historya zna bardzo wiele takich symbolów, które ułożone zostały czy to przez pojedyńcze osoby lub kościoły, czy przez synody partykularne albo sobory powszechne; a przeznaczone były do tego, albo żeby były symbolami chrzcielnemi, które katechumen przy chrzcie odmawiał, albo żeby były regułami wiary — *regulae fidei, regulae veritatis, fides, κανὼν τῆς πίστεως* — służyć mającemi za normę prawowierności tak wobec innowacyj heretyckich jak i dla teologicznych spekulacyj wiernych[2]. — Ale ponad wszystkiemi wyznaniami wiary góruje jedno, używane przez Kościół łaciński przy chrzcie św., a noszące nazwę Symbolu apostolskiego.

Nazwa „apostolski“ także różne przypuszcza znaczenie. Może ona oznaczać najpierw, że treść symbolu jest nauką apostolską. W tem rozumieniu nietylko ten symbol jest apostolski, ale są niemi w równej mierze także symbol niceo-konstantynopolitański, używany we mszy św., symbol św. Atanazego i trydencki. Dalej może tytuł ten oznaczać także, że symbol powstał w czasie apostolskim, albo wreszcie, że autorami jego są sami

[1] „Katech. rzym.“. Cz. I, r. I, n. 3.

[2] Długi czas nie było ustalonej nazwy na oznaczenie Składu apostolskiego. Najstarsi pisarze Kościoła mówią wogóle o „wierze“, *fides, πίστις*; albo *regula, regula fidei, fidei sacramentum*. Niepodobna tutaj zastanawiać się szerzej nad tem, czy *regula fidei* oznaczało to samo co *symbolum*. Zaznaczam krótko, że jeśli była jaka różnica, czemu niektórzy przeczą, to w każdym razie jest rzeczą pewną, że wszystkim tak zwanym „regułom wiary“ służy za podstawę i podkład ściśle sformułowane krótsze wyznanie wiary, i bynajmniej symbol nie jest ekscerptem z reguły wiary. Zbiór najważniejszych reguł wiary zebrał Denzinger, w swem *Enchiridion Symbolorum* etc., i Fr. Hahn w swej *Bibliothek der Symbole und Glaubensregeln der katholischen Kirche*. Breslau 1842, którego dzieła drugie wydanie ukazało się w r. 1877.

Apostołowie. Tu zaznaczyć należy, że czystość i prawdziwość wiary zawartej w symbolu bynajmniej nie zależy i nie jest zawisła od rozwiązania kwestyi czysto historycznej, czy mianowicie Apostołowie sami bezpośrednio zredagowali symbol, czy też ułożyli go inni starzy chrześcijanie. Wiara nasza nie opiera się na żadnym pisanym symbolu mniej lub więcej problematycznej autentyczności, lecz na boskiej powadze, reprezentowanej na ziemi przez urząd nauczycielski Kościoła, na którego też dopiero porękę przyjmujemy symbol, jako rzetelną apostolską naukę. O kwestyi powstania i historyi symbolu możemy tak samo swobodnie rozprawiać, jak o pochodzeniu tak zwanej „Nauki dwunastu Apostołów“, jak o historyi powstania apostolskich konstytucyj i kanonów.

Pytanie teraz, w jakiem znaczeniu nasz symbol jest apostolski i któremu mianowicie tekstowi i brzmieniu ta nazwa przedewszystkiem przynależy? — Że symbol jest apostolski, o ile zawiera naukę apostolską, to najmniejszej nie ulega wątpliwości. Dla katolika kwestya to od dawna rozstrzygnięta przez praktykę Kościoła, używającego ciągle symbolu w liturgii i nauce. Ale i koryfeusze reformacyi widzieli w nim wyraz czystej i nieskalanej nauki apostolskiej. Posłuchajmy np. wywodów Kalwina. „Apostolskim — powiada on — nazywam symbol, nie troszcząc się na razie wcale o jego autora... Nie tajno mi jednak wcale, że już od samych Kościoła początków, nawet w czasach apostolskich, uchodził on za publiczny i powszechny wyraz wiary, skądkolwiekbądź wziął początek. Nie jest to prawdopodobnem, żeby został zredagowany przez prywatnego człowieka, ponieważ jak daleko myślą sięgniesz, zawsze u wszystkich pobożnych w największej był cenie. O co jednak na razie jedynie i przedewszystkiem chodzi, to niewzruszenie jest pewnem: nasza cała historya zbawienia jest tu przedstawiona w krótkich i zwięzłych słowach, i nie zawiera niczego coby nam nie było zagwarantowanem przez pewne świadectwa Pisma św.“ [1]. Tak samo sądził Luter i cały tekst symbolu zachował, z wyjątkiem przymiotnika

[1] *Institutio totius religionis christianae* (Genevae 1550) c. 6, 3, p. 166.

„katolicki“, w artykule o Kościele, który zamienił na „chrześcijański“. Innego zdania, jak już wspomniałem, są dzisiejsi liberalni teologowie protestanccy, którzy ledwie w kilku artykułach widzą resztki pierwotnej czystej nauki Chrystusa, a inne odrzucają jako wymysły ludzkie, przejęte z mitologii pogańskiej, albo wylęgłe z błędnej spekulacyi teologicznej.

Ale czy nie przystoi symbolowi nazwa „apostolski“ w jeszcze ściślejszem znaczeniu? Tak sądziły całe średnie wieki. Jednakże pisarze owych czasów, traktujący o symbolu, niepotrzebnie łączyli zwykle z sobą dwie rzeczy, które właściwie traktować należy oddzielnie, jako od siebie niezawisłe. Mówiąc mianowicie o genezie symbolu, stawiali zaraz kwestyę autorstwa każdego pojedyńczego artykułu. A kiedy w odpowiedzi na pierwsze pytanie godzili się prawie jednomyślnie — uważając za autorów symbolu wziętego w całości samych Apostołów — to co do punktu drugiego zgodzić się nie mogli. Joslenus z Soissons, współczesny świętemu Bernardowi, wyraźnie powiada w swem Objaśnieniu Symbolu: „W żadnem kanonicznem — tj. aprobowanem przez Kościół — piśmie nie wyczytałem dotychczas, ktoby ułożył pojedyńcze artykuły symbolu“. Co według jednego pisarza miał powiedzieć św. Andrzej, to według drugiego mówi św. Jakób i t. d. Nadto u św. Bonawentury[1] i św. Tomasza[2] symbol składa się z artykułów czternastu, które znowu rozpadają się na siedm artykułów bożych i siedm ludzkich o człowieczeństwie Chrystusowem: *septem articuli divinitatis et septem humanitatis.* Zauważyć też trzeba, że Ojcowie IV. i V. wieku, którzy dzielili

[1] Św. Bonawent., *Comment.* in III. Sent. dist. 25, art. 1. q. 1.

[2] Św. Tomasz, *Summa Theol.* 2. 2. q. 1. ar. 8. „Prima distinctio credibilium est quod quaedam pertinent ad majestatem divinitatis, quaedam vero pertinent ad mysterium humanitatis Christi“.

Św. Augustyn dzieli artykuły symbolu na dwie klasy: 1) „aeterna, quae intelligi a carnalibus non possunt“; 2) „temporalia: sive a) praeterita et b) futura, quae pro salute hominum gessit et gestura est aeternitas divinae providentiae“. Zob. *De fide et symbolo.* Wszystkie te podziały są natury dogmatycznej albo dydaktycznej i mają za cel ułatwienie katechumenom zrozumienie symbolu. Zaś podział na 12 artykułów natury jest historycznej, wyrosły z wiary, że symbol od dwunastu pochodzi Apostołów.

symbol na 12 części i przypisywali im zbiorowo pochodzenie apostolskie, inny, krótszy przed oczyma mieli tekst symbolu łatwo dający się rozłożyć na dwanaście artykułów, podczas gdy w naszym dzisiejszym tekście, aby to osiągnąć trzeba łączyć z sobą kilka zdań treścią pokrewnych. Dowody to chyba aż nadto wystarczające, aby się przekonać, że kwestya podziału symbolu na 12 części i pochodzenia pojedyńczych artykułów od pojedyńczych Apostołów nigdy w Kościele katolickim — jak twierdzą protestanci — nie była dogmatem. A jeśli katechizm rzymski przy objaśnieniu symbolu przyswaja sobie zdanie szeroko jeszcze w XVI. w. rozpowszechnione i powiada, że Apostołowie sami Duchem Św. natchnieni, symbol na dwanaście rozłożyli artykułów, zanim się rozeszli na wszystkie strony świata na opowiadanie ewangelii — to powtarza on tylko poważane zdanie niektórych Ojców Kościoła, nie chcąc przez to bynajmniej rozstrzygać kwestyi, który tekst i który rozkład tekstu należy uważać za apostolski.

Ostatecznie, mniemanie jakoby każdy z dwunastu Apostołów był autorem jednego z dwunastu artykułów, nie ma żadnej historycznej podstawy i jest tylko pobożną legendą [1]. Że jednak idea, która tę legendę stworzyła, piękna jest i głęboka, więc też przeszła i w sztukę i uwieczniła się pendzlem Ambrożego Lorenzetti († 1348) na sklepieniu sali u św. Augustyna w Syennie, gdzie każdy z Apostołów trzyma w ręce skrawek papieru ze swoim do symbolu dodatkiem. Tę samą myśl znajdujemy także wcieloną w budowę kościoła Najświętszej Panny w Trewirze.

---

[1] Pierwszy protest na Zachodzie przeciw tej legendzie i twierdzeniu, jakoby każdy z Apostołów był ułożył jeden z 12 artykułów dzisiejszego tekstu symbolu apostolskiego, założył w r. 1444 w Neapolu Wawrzyniec Valla, i wyraził mniemanie, że symbol nasz dziełem jest soboru nicejskiego. W XVI. wieku wyraził takież same wątpliwości Erazm Rotterdamczyk w r. 1522 w Niemczech. Jego zdanie obłożyła cenzurą Sorbona, powołując się na przeciwną tradycyę, której — jej zdaniem — Erazm widocznie nie chce znać. Postąpiła zaś ona tak surowo z obawy, aby powaga i treść symbolu nie ucierpiała, co widać z brzmienia cenzury: *Haec nescientia impietati deserviens scandalose proponitur.* Choć i to podnieść należy, że Erazm treść symbolu wyraźnie uznaje za naukę czysto apostolską.

Kopuła tego wspaniałego domu Bożego spoczywa na 12 potężnych filarach, przy każdym z filarów stoi jeden z 12 Apostołów, a na kamieniu wyryty jest jeden z artykułów Składu. Chciał przez to architekt powiedzieć, że Apostołowie są przez Chrystusa postawionemi filarami, które na wzór słupów materyalnych dźwigają duchowny Jego Kościół. I poezya zużytkowała tę legendę. Piękne nauki osnuł na jej kanwie ku zbudowaniu ludu, niemiecki poeta Fryderyk Spee T. J. Wyjmuję mały ustęp z jego „Złotej książki cnoty“ [1]:

Zaprowadził mię raz dobry anioł do książęco pięknego i wspaniałego pałacu, ubranego w najcenniejsze malowidła, dywany, złoto, srebro, klejnoty, i tak jaśniejącego, że wziąłem go za przedsionek nieba. Na podniesieniu siedziało tam dwanaście książęcych osób, całe w purpurze i bisiorze, każda na tronie prawie królewskim. Wszystkie miały w swym ręku złote, harmonijne harfy, na których wdzięcznie grali. Tymczasem przesuwało się przed nimi bardzo wiele rycerstwa i ludu wszystkich narodów, którzy częścią korzyli się u stóp wspomnianych książąt i hołd im oddawali, częścią zaś dumnie wypowiadali im wojnę o dziedzictwo. Wtedy zapytałem mego anioła, coby to było? A on mi odpowiedział, że pałacem tym to powszechny chrześcijański Kościół Boży, a dwunastu książąt to Apostołowie Jezusa Chrystusa. I cieszyłem się niemało, i słuchałem pilnie, co też oni grają. I zaczął Piotr, i uderzył w swą harfę i śpiewał, że jeden tylko i jedyny jest Bóg, który sam jeden ma władzę i panowanie, a bogi z kamienia i drzewa godne są pogardy!

Kiedy tak śpiewał, przystąpiła doń liczna czereda pogan, wrzeszcząc głośno, że nie można ich bogów odrzucać i przyganiać ich bezsilności i że oni takiej hańby nie ścierpią!

Cóż tedy sądzisz, moje dziecko? Czy trzymasz może z poganami, czy ze św. Piotrem? Daj odpowiedź, a jeśli trzymasz ze św. Piotrem, to schyl przed nim głowę i przyznaj się do prawdziwego, powszechnego Kościoła, do jedynie prawdziwego Boga. Odpowiedzże!

Odp.: Trzymam ze św. Piotrem i wytrwam w tem aż do końca, choćby mi i życiem przyszło nałożyć!

[1] *Güldenes Tugent-Buch.* Kolonia 1656.

Dobrześ i mądrze odpowiedział. Słuchaj tedy dalej, co św. Jan śpiewa!...

I tak poeta kolejno wkłada w usta każdemu z Apostołów jeden z 12 artykułów [1].

Jeśli brzmienie naszego symbolu, jak go dziś używamy przy chrzcie, śledzimy w przeszłości w drukach, pismach, a dalej w rękopisach Ojców Kościoła, to dochodzimy aż do drugiej połowy V. wieku. Dalej giną już wszelkie jego ślady. Po raz pierwszy spotykamy dość kompletny dzisiejszy tekst łaciński u Fausta z Reji (albo Riez). Wpływowy ten pisarz południowej Gallii był najpierw około r. 433 opatem Lerynu, a potem koło r. 460 biskupem w Reji, gdzie też umarł koło r. 490. W pierwszej księdze swego dzieła: „O Duchu Św." powiada on, że wiarę Kościoła katolickiego już Apostołowie ujęli w ścisłą formę czyli symbol. Otóż z tego dzieła jakoteż z dwóch jego homilij o symbolu da się odtworzyć cały prawie dzisiejszy Skład apostolski, który, wedle zgodnego zdania badaczy katolickich i protestanckich, począwszy od drugiej połowy V. w. był symbolem chrzcielnym kościołów południowo-gallickich.

Dosłownie [2] zaś znajdujemy wszystkie części formuły dzisiejszej, jakoteż po raz pierwszy legendę o ułożeniu przez każdego z Apostołów jednego artykułu, w dwóch kazaniach [3]: O Symbolu, z końca V. albo początków VI. wieku, fałszywie przypisanych św. Augustynowi. Tam czytamy:

„Piotr powiedział: wierzę w Boga Ojca wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi. Andrzej powiedział: i w Jezusa Chrystusa Syna Jego jedynego, Pana naszego. Jakób powiedział: który się począł z Ducha Św., narodził się z Maryi Dziewicy" i t. d.[4].

[1] Zob. Blume l. c., str. 204 i nast.

[2] Z wyjątkiem słowa *ad inferos*, zamiast którego stoi *ad inferna*.

[3] Sermo 240 i 241. Prawdopodobnie pochodzą one od św. Cezaryusza z Arles, który w 8—10 lat po śmierci Fausta był prymasem Gallii południowej.

[4] Sermo 240 de Symbolo inter Augustinianos in Append. Patr. Lat. Migne. T. 39, 2189. W kazaniu 241 w innym porządku rozdzielone są artykuły.

Poza granicami Gallii nie znajdujemy przed wiekiem V. żadnego śladu tekstu dzisiejszego. Za to dowiadujemy się od Rufina, że Rzym miał około r. 400 inny symbol, nieco krótszy od naszego, który Apostołowie mieli ułożyć wspólnie, i który Kościół rzymski zachował aż do jego czasów najzupełniej niezmieniony, podczas gdy w innych kościołach poczyniono niektóre dodatki. Ważne te dla naszej sprawy zeznania słynnego prezbitera akwilejskiego przytaczam dosłownie[1]: „Zanim się Apostołowie rozstali, ułożyli wspólnie normę dla swego opowiadania ewangelii, aby przypadkiem po rozstaniu się nie było między nimi jakiejś różnicy w nauczaniu tych, którzy do wiary w Chrystusa mieli być zaproszeni. Wszyscy tedy zebrani razem i pełni Ducha Św., ułożyli wspomniony główny zarys swego przyszłego nauczania; przyczem każdy wypowiedział swe zapatrywania; i postanowili tę normę wiary *(regulam)* podać wiernym". — Na uzasadnienie tego opowiadania Rufin powołuje się na tradycyę przodków *(tradunt maiores)*.

Niemniej cenne jest drugie świadectwo Rufina. „Należy — powiada on — przypomnieć, że do tych słów (a ma na myśli przedewszystkiem artykuł pierwszy) w różnych kościołach poczyniono niektóre dodatki. W Kościele jednak miasta Rzymu nie miało to miejsca, czego mojem zdaniem powód jest ten, że w Rzymie żadna herezya nie wzięła początku i ponieważ tam dawny istnieje zwyczaj *(mos inibi servatur antiquus)*, że ci, którzy łaskę chrztu otrzymują, czynią swe wyznanie wiary publicznie, tj. przed zgromadzonym i słuchającym ludem *(publice, id est fidelium populo audiente, symbolum reddere)*. I zaiste, ucho tych, którzy dawniej niż chrzestnik stali się uczestnikami wiary, nie ścierpi, aby choć jedno dodano słowo. W innych krajach poczyniono, o ile mogę sądzić, z powodu herezyj pewne dodatki, któremi chciano błędne zdania wykluczyć"[2].

Powiada tedy Rufin jasno, że symbol bezpośrednio pochodzi od Apostołów, a to mianowicie ten symbol, który był w Rzy-

[1] *Expositio symboli*, rozdz. 2. Migne, PP. Lat. XXI, 337.
[2] *Expos. symb.* r. 3.

mie koło r. 390. Co więcej? Od Rufina dowiadujemy się także, jakie było brzmienie tego symbolu. Wprawdzie komentuje on symbol kościoła akwilejskiego [1], ale że równocześnie tłumaczy, w których to punktach tenże różni się od rzymskiego, a raczej jakie dodatki miał akwilejski ze względu na heretyków, więc ubocznie daje nam tem samem tekst ówczesnego Składu rzymskiego. Oto jego brzmienie. Słowa zamknięte w klamrach są owemi dodatkami akwilejskiemi.

„Wierzę w Boga Ojca wszechmogącego (niewidzialnego i niecierpiętliwego). I w Chrystusa Jezusa Syna Jego jedynego Pana naszego; który narodził się za sprawą Ducha Św. z Maryi Panny; ukrzyżowan pod Ponckim Piłatem, i pogrzebion (zstąpił do piekieł); trzeciego dnia zmartwychwstał; wstąpił na niebiosa, siedzi na prawicy Ojca: stamtąd przyjdzie sądzić żywych i umarłych. I w Ducha Świętego. Święty Kościół. Odpuszczenie grzechów. (Tego) ciała zmartwychwstanie“ [2].

Wiarogodności Rufina w kwestyi symbolu poważna krytyka nic zarzucić nie może. Był to człowiek wykształcony i obdarzony dostatecznym zmysłem krytycznym. W Rzymie był przynajmniej trzy razy. W Aleksandryi bawił lat sześć, słuchając wykładów ślepego Dydymusa. Stamtąd udał się do Jerozolimy i poznał św. Cyryla, głośnego autora objaśnień Składu apostolskiego. Mógł tedy znać i z pewnością znał symbole różnych kościołów lokalnych, jakoteż rzymski. Ale czy podał tekst rzymski dosłownie, czy też cytował go może tylko wolno, i czy

[1] Rufin nie przytacza naraz tekstu symbolu w całej jego ciągłości, lecz cytuje jeden artykuł na wstępie każdego rozdziału i daje potem zaraz jego objaśnienie. Stąd też interpunkcya inna jest u niego, niż w tekście tu podanym. Kropki i średniki — ostatnie przy tajemnicach odnoszących się do Chrystusa Pana — mają informować, na których słowach kończą się u Rufina nagłówki poszczególnych rozdziałów.

[2] Dotychczas nie ustalono jeszcze tekstu Rufina aż do najdrobniejszych szczegółów. Pewne znaczenie mają dwa tylko waryanty, mianowicie ablatyw: *Credo in Deo — In Spiritu Sancto*, zamiast akuzatywu, i niezwykłe dla naszego ucha połączenie: *Christo Jesu* zamiast: *Jesu Christo*. Zresztą nie da się ze starych manuskryptów rozstrzygnąć stanowczo, czy w symbolu rzymskim stało: *Credo in Deo*, czy też *Credo in Deum*, i znowu czy *Christo Jesu*, czy też *Jesu Christo*.

uwzględnił z najdokładniejszą skrupulatnością wszystkie różnice, zachodzące między wyznaniem wiary rzymskiem a owem akwilejskiem, czy też tylko te, które uważał za znaczące i ważniejsze?

Aby to skontrolować i sprawdzić, trzeba nam się oglądnąć za innemi dokumentami współczesnemi, starszemi i nowszemi. Czy istnieją takie świadectwa, któreby nam podawały stary tekst rzymski bądź w całości, bądź przynajmniej fragmentarycznie? Otóż mamy takie dokumenta. Niepodobna mi tu przytoczyć wszystkich; ograniczę się tylko do najważniejszych.

Leon W. w liście dogmatycznym do patryarchy carogrodzkiego, Flawiana, z dnia 13 czerwca 449, powiada, że Eutyches wiedziałby, co należy trzymać o Wcieleniu Syna Bożego, gdyby pilnie baczył przynajmniej na powszechne i jednakie wyznanie *(communem et indiscretam confessionem)*: „Wierzę w Boga Ojca“ i t. d. Brzmienie tego wyznania zgadza się z tekstem Rufina, a składa się, wedle słów papieża w liście do cesarzowej Pulcheryi, z dwunastu zdań, które początek swój zawdzięczają dwunastu Apostołom. Ten sam tekst spotykamy dalej w języku łacińskim w drugiej połowie IV. w. u hiszpańskiego biskupa Pryscylliana († 385) i u św. Ambrożego. Wielki biskup medyolański, z rodu Rzymianin, uosabiał w swej dyecezyi ducha rzymskiego i wiernie trzymał się jego symbolu. „Jeśli kto nie chce dać wiary nauce kapłanów, — pisze on w liście do papieża Syrycyusza — to niech przynajmniej wierzy symbolowi Apostołów, który Kościół rzymski po wszystkie czasy zachował niezmieniony“. Takie same zapatrywania głosi autor „Wykładu symbolu dla neofitów“, którym, zdaniem poważnych znawców starożytności chrześcijańskiej, także jest św. Ambroży. „Jak śmielibyśmy — czytamy tam — zmienić symbol, który według tradycyi przez Apostołów został podany i przez nich też ułożony? Nic nam z tego nie wolno ująć, nic dodać. Ten to jest symbol, który jest w posiadaniu Kościoła rzymskiego, gdzie to pierwszy Apostoł Piotr miał siedzibę i dokąd ułożoną wspólnie przez Apostołów formułę przyniósł“.

Tenże sam tekst symbolu, co u Ambrożego, znajdujemy jeszcze w pierwszej połowie IV. w. u Marcelego, biskupa An-

cyry w Galacyi, w języku greckim. Aryanie oskarżyli byli Marcelego o sabellianizm. Udał się tedy do Rzymu, aby przekonać papieża o swej prawowierności, i bawił tam 15 miesięcy. Był także wtedy w Rzymie św. Atanazy, czekając na synod, który miał jego przeciwników potępić. Przed wyjazdem wręczył Marceli w r. 341 papieżowi Juliuszowi pismo, w którem własnoręcznie spisał wyznanie wiary w języku greckim. Akt ten mamy zachowany w całości, a w nim znowu symbol starorzymski. I to nie Marceli dopiero przełożył tekst łaciński na grecki, ale, jak cały duch i budowa wskazuje, grecki, wedle jednomyślnej zgody znawców, jest oryginalnym i starszym, a łaciński jego tłumaczeniem, jak tego dowodzą także grecyzmy, zachowane w łacińskiem brzmieniu. I nic w tem dziwnego, że Rzym obok tekstu łacińskiego używał także greckiego, i że grecki w naszym Rzymie był starszy niż łaciński, boć przecież część gminy chrześcijańskiej rzymskiej jeszcze w początkach IV. wieku była grecka.

Grecki symbol Marcelego spotykamy później w manuskrypcie brytońskim, pochodzącym prawdopodobnie z IX. w., a znanym pod nazwą Psałterza króla Etelstana. Przynieśli go do Anglii misyonarze, wysłani przez Grzegorza W. roku 596. Nowy to dowód, że wyznanie, przez Marcelego złożone w ręce papieża Juliusza, było oficyalnem wyznaniem rzymskiem, boć przecież obcego symbolu nie posyłałby papież ludom pogańskim.

Da się tedy brzmienie tekstu starorzymskiego, tak łacińskie jak greckie, z różnych i od siebie niezależnych dokumentów odtworzyć. Dla łatwiejszego przeglądu, przytaczam go tu wedle najważniejszych źródeł, obok formy dziś przyjętej. (Patrz niżej, str. 168—9).

Obok formy starszej znajdujemy także w Rzymie z końcem V. w. i przez wiek VI. symbol nicejsko-konstantynopolitański, który po soborze efezkim, a więcej jeszcze po słynnym ukazie cesarza Zenona z r. 482, wyparł na Wschodzie wszystkie inne symbole, do tego stopnia, że nawet pamięć o Składzie apostolskim u Greków w wiekach średnich zaginęła. Ponieważ mianowicie w tym czasie wiernym wielkie zagrażało niebezpieczeństwo

ze strony Ostrogotów-Aryan, którzy rozsiedli się i rozwielmożyli w Italii, więc Rzym kazał [1] swoim katechumenom uczyć się na pamięć symbolu, który wprost mierzył w błędy heretyckie. Bynajmniej zaś nie przyjął Rzym — jak chce Harnack — symbolu nicejskiego, z powodu niewolniczej zależności od Bizancyum, w jaką miał wówczas popaść biskup rzymski: bo nic o takiej zależności nie wie historya.

Z bardzo ciekawą uporać się nam teraz przychodzi kwestyą. Idzie mianowicie o to, w jakim stosunku zostaje tekst dzisiejszy, czyli, co jest jedno i to samo, tekst używany od drugiej połowy V. wieku jako symbol chrzcielny w południowej Gallii — do formy starorzymskiej, podanej przez Rufina i Marcelego? Dalej, czy ojczyzną formy gallickiej jest Rzym, gdzieby powstała przez poczynienie pewnych dodatków do formy pierwotnej, a potemby przeszła do Gallii i rozszerzyła się z czasem na cały Kościół zachodni — czy też przeciwnie, kolebką jej jest Gallia, skąd następnie przejął ją Rzym? Z góry muszę tu zaznaczyć, że kwestya ta dzisiaj nie da się jeszcze rozstrzygnąć z absolutną pewnością. Thalhofer [2] i Baeumer [3] sądzą, że nasz tekst powstał w samym Rzymie z formy starszej, drogą zmian i dodatków; zaś Blume [4] i Kraus [5], a z protestantów Caspari, Zerschnitz i Harnack [6] są zdania, że ojczyzną jego jest Gallia. Przeciw opinii Thalhofera i Baeumera świadczą jednak dobitnie Rufin i św. Ambroży, wedle których Kościół rzymski strzegł symbolu swego jak oka w głowie, i bez najmniejszej zmiany chował tekst jego pierwotny; trudno więc pójść za nimi. Ale z jakichby powodów Rzym był odstąpił od swej prastarej formy, aby ją zamienić na gallicką?

---

[1] Baeumer jest zdania, że nie nakazał, ale tylko pozwolił. (L. c. str. 50).

[2] Zob. jego artykuł: *Glaubensbekenntniss,* w Wetzer'a i Welte'go *Kirchenlexikon,* II. Aufl.

[3] Baeumer, l. c., str. 33, str. 50.

[4] Blume, l. c., str. 188 i nast.

[5] Kraus, *Real-Encyklopädie der christl. Alterthümer,* art.: „Symbole".

[6] Harnack, *Das Apostol. Glaubensbekenntniss,* str. 14 i nast.

Symbol dzisiejszy	Symbol starorzymski według Rufina koło r. 390.	Symbol według Marcelego z Ancyry r. 337 albo 338.
1. Credo in unum Deum Patrem omnipotentem, creatorem coeli et terrae.	1. Credo in Deum, Patrem omnipotentem.	1. Πιστεύω εἰς Θεὸν (Πατέρα) παντοκράτορα.
2. Et in Jesum Christum Filium eius unicum Dominum nostrum.	2. Et in Christum Jesum (*albo* Jesum Christum) Filium eius unicum, Dominum nostrum.	2. Καὶ εἰς Χριστὸν Ἰησοῦν, τὸν υἱὸν αὐτοῦ τὸν μονογενῆ, τὸν κύριον ἡμῶν,
3. Qui conceptus est de Spiritu Sancto, natus ex Maria Virgine.	3. Qui natus est de Spiritu Sancto et Maria Virgine.	3. τὸν γεννηθέντα ἐκ Πνεύματος ἁγίου καὶ Μαρίας τῆς παρθένου.
4. Passus sub Pontio Pilato, crucifixus, mortuus et sepultus, descendit ad inferos.	4. Qui sub Pontio Pilato crucifixus est et sepultus.	4. τὸν ἐπὶ Ποντίου Πιλάτου σταυρωθέντα καὶ ταφέντα,
5. Tertia die resurrexit a mortuis.	5. Tertia die resurrexit a mortuis.	5. καὶ τῇ τρίτῃ ἡμέρᾳ ἀναστάντα ἐκ τῶν νεκρῶν,
6. Ascendit ad coelos, sedet ad dexteram Dei Patris omnipotentis.	6. Ascendit in (*albo* ad) caelos.	6. ἀναβάντα εἰς τοὺς οὐρανούς,
7. Inde venturus est iudicare vivos et mortuos.	7. Sedet ad dexteram Patris.	7. καὶ καθήμενον ἐν δεξιᾷ τοῦ Πατρός,
8. Credo in Spiritum Sanctum.	8. Inde venturus est iudicare vivos et mortuos.	8. ὅθεν ἔρχεται κρίνειν ζῶντας καὶ νεκρούς.
9. Sanctam Ecclesiam catholicam, sanctorum communionem.	9. Et in Spiritum Sanctum.	9. Καὶ εἰς τὸ ἅγιον Πνεῦμα.
10. Remissionem peccatorum.	10. Sanctam ecclesiam.	10. ἁγίαν ἐκκλησίαν,
11. Carnis resurrectionem.	11. Remissionem peccatorum.	11. ἄφεσιν ἁμαρτιῶν,
12. Vitam aeternam.	12. Carnis resurrectionem.	12. σαρκὸς ἀνάστασιν.

Symbol akwilejski koło r. 390.	Fragmenta według Leona I. r. 449.	Według psałterza Etelstana z manuskryptu IX. w.
1. Credo in Deo Patre omnipotente invisibili et impassibili.	1. Credo in Deum Patrem omnipotentem.	1. Πιστεύω εἰς Θεὸν Πατέρα παντοκράτορα.
2. Et in Christo Jesu unico filio eius Domino nostro.	2. Et in Jesum Christum, filium eius unicum, Dominum nostrum,	2. Καὶ εἰς Χριστὸν Ἰησοῦν, υἱὸν αὐτοῦ τὸν μονογενῆ, τὸν κύριον ἡμῶν,
3. Qui natus est de Spiritu Sancto ex Maria Virgine.	3. Qui natus est de Spiritu Sancto et Maria Virgine.	3. τὸν γεννηθέντα ἐκ Πνεύματος ἁγίου καὶ Μαρίας τῆς παρθένου,
4. Crucifixus sub Pontio Pilato, et sepultus descendit ad inferna.	4. Crucifixus ... et sepultus,	4. τὸν ἐπὶ Ποντίου Πιλάτου σταυρωθέντα καὶ ταφέντα,
5. Tertia die resurrexit a mortuis.	5. Tertia die resurrexit.	5. τῇ τρίτῃ ἡμέρᾳ ἀναστάντα ἐκ νεκρῶν,
6. Ascendit ad caelos.		6. ἀναβάντα εἰς τοὺς οὐρανούς,
7. Sedet ad dexteram Patris.		7. καθήμενον ἐν δεξιᾷ τοῦ Πατρός,
8. Inde venturus est iudicare vivos et mortuos.		8. ὅθεν ἔρχεται κρίνειν ζῶντας καὶ νεκρούς.
9. Et in Spiritu Sancto.		9. Καὶ εἰς Πνεῦμα ἅγιον.
10. Sanctam ecclesiam.		10. ἁγίαν ἐκκλησίαν,
11. Remissionem peccatorum.		11. ἄφεσιν ἁμαρτιῶν,
12. Huius carnis resurrectionem.		12. σαρκὸς ἀνάστασιν. Ἀμήν.

Przypomnijmy sobie tutaj słowa wielkodusznego papieża Grzegorza I. w liście do zakonnika Augustyna w Anglii. Augustyn zapytywał się Grzegorza, dlaczego kościoły Galii przy sprawowaniu mszy świętej używają rytów rozmaitych i odmiennych od rzymskiego, — gdy przecież wiara jedna jest i ta sama. Na to odpowiedział Grzegorz: „Znasz, kochany Bracie, ryt kościoła rzymskiego, boć przecież w tym kościele wyrosłeś. Niemniej jest życzeniem mojem, abyś troskliwy czynił wybór z tego, co w rzymskim lub w jakim innym kościele znajdziesz, coby się więcej Bogu spodobać mogło; i żebyś w kościele angielskim, który jest jeszcze młody, to zaprowadził, co z różnych kościołów zbierzesz najlepszego, ku pouczeniu w wierze. Bo nie dla pewnego miejsca należy rzecz jakąś kochać, ale miejsce dla rzeczy dobrej. Wybierz tedy z pojedyńczych kościołów to, co pobożne, budujące i stosowne; zbierz to wszystko razem, jakby w jedno naczynie, i wprowadź to u Anglików w zwyczaj".

Innym razem, gdy niektórzy ganili Grzegorza, że przyjmuje zwyczaje innych kościołów, odpowiedział: „Gdyby coś dobrego nawet kościół carogrodzki (którego dumny patryarcha w tym czasie wypowiedział posłuszeństwo papieżowi) lub jaki inny kościół podawał, to i ja i moi podwładni, których jednak najusilniej od wszelkiej zdrożności chronię, gotowi jesteśmy naśladować je w dobrem. Albowiem głupcem jest ten, co mniema, że dlatego stoi na czele, aby dobre, które widzi, ze wzgardą odpychał" [1].

W tych złotych słowach maluje się powszechny, katolicki, szeroki duch Kościoła Chrystusowego, trzymający się ściśle nauk i ustanowień swego Boskiego Założyciela, a z drugiej strony, daleki od wszelkiej ciasnoty, krótkowidztwa i partykularyzmu. W tem jest także klucz do zrozumienia i wytłumaczenia naszej kwestyi.

Z końcem V. wieku widzimy w Gallii dążność i usiłowanie ku ujednostajnieniu liturgii i zaprowadzeniu w całym kraju jednego rytuału i wspólnego nabożeństwa. Otóż bardzo jest

[1] Zob. u Blume'go, l. c., str. 189, 190.

prawdopodobnem, że w tym samym czasie, z tych samych powodów, wszystkie kościoły gallickie przyjęły dzisiejszy tekst symbolu, który też napotykamy w starym mszale gallikańskim. Z Gallii południowej przejęli następnie symbol Frankowie i rozszerzyli go po całem państwie za panowania Karolingów. Z Frankonii przejął go Rzym w swą liturgię.

Zostało mianowicie na Zachodzie założone wielkie państwo chrześcijańskie. Najlepsza tedy nastręczyła się sposobność, aby wszyscy temi samemi słowy składali przysięgę wierności i swemu hetmanowi, Chrystusowi. Ale jaką na znak tej zewnętrznej, widzialnej jedności i powszechności wybrać ślubną formułę chrzcielną? Czy symbol konstantynopolitański? Był on w używaniu w Hiszpanii, Gallii i Frankonii przy mszy św., a Rzym posługiwał się nim od końca wieku V. i przy chrzcie. Gdyby tedy nań padł był wybór, to z jednej strony większa część chrześcijan Zachodu musiałaby porzucić swój symbol chrzcielny, który pewnie im był drogi, a z drugiej strony pomówionoby może kościół rzymski o partykularyzm dlatego, że narzuca własny swój symbol chrzcielny. Nie było też osobnej racyi polecać formułę konstantynopolitańską, bo aryanizm już był na wymarciu. Czy może wypadało natomiast wprowadzić dla wszystkich symbol starorzymski? Zmiana taka jeszcze była niebezpieczniejsza, bo polegałaby na tem, że opuszczonoby dodatki, zawierające także prawdę apostolską. Postępowanie to mogło łatwo wywołać mniemanie, że odrzucone dodatki były fałszywe. Został tedy wyłącznie symbol w tej formie, w jakiej go posiadali Frankowie. Harnack wietrzy tu znowu intrygę frankońską i zupełną zależność Rzymu i jego kościoła od Karolingów. „Rzym — pisze on — porzucił symbol nicejsko-konstantynopolitański przy chrzcie i powrócił do symbolu krótszego. Ale nie do swego starego — ten był znikł — tylko do gallickiego, który tymczasem przyjął się u Franków. I teraz stało się największe dziwo *(das Paradoxeste)*: przeniósł on legendę o ściśle apostolskiem pochodzeniu wyznania chrzcielnego, która przecież odnosiła się do formuły starorzymskiej, i zapisana jest u Ambrożego i Rufina, na symbol pochodny *(Tochtersymbol)*, który nigdy do niej nie miał prawa

i który nowego domagał się rozkładu artykułów między dwunastu Apostołów, gdyż więcej liczył części niż starożytny". I dalej ciągnie Harnack w tonie elegijnym: „Jakże dziwny jest pochód historyi! Kościół rzymski niesie swój stary symbol do Gallii. Tam rozszerza on się z biegiem lat. W tym czasie kościół rzymski wytwarza legendę o ściśle apostolskiem pochodzeniu swego niezmienionego symbolu. Potem ruguje go pod naciskiem zewnętrznych stosunków, tak że znika. Tymczasem wciska się symbol nowy z Gallii do państwa Franków i zyskuje tam miejsce naczelne. Państwo Franków staje się państwem świata i panem Rzymu. Rzym dostaje stamtąd nazad swój własny symbol, ale w formie rozszerzonej, przyjmuje dar, wywyższa nową formę powagą stolicy i koronuje córkę koroną matki... I tak odżyła nad nowym symbolem legenda, która wprzód aureolą otaczała formę starą i stała się znów na długi czas potęgą w Kościele, aż runęła w wieku renesansu i reformacyi" [1].

Fałsz tego zdania, którem Harnack piętnuje tradycyę o apostolskiem pochodzeniu symbolu jako prostą i zwyczajną legendę, okaże się później. Tu zauważyć musimy, że tylko protestant-liberał, nie znający istoty Chrystusowego Kościoła, takie pisać może rzeczy. My wiemy, że kościół gallicki, to nie odcięta latorośl, ale gałąź złączona z pniem macierzystym, jego krwią żyjąca i jego mocą rodząca zdrowe owoce życia kościelnego. I jak później cześć publiczną Eucharystyi, na kończynach mistycznego ciała zakwitłą, Kościół rzymski za własny płód uznaje; i jak następnie cześć Serca Jezusowego we Francyi rozpłomienionego, za swoje własne uważa dzieło: tak też kilkanaście wieków wcześniej stary swój symbol w Gallii wiernie zachowany, jeno kilkoma słowami rozszerzony, mógł Rzym przyjąć, i przyjął bez ujmy własnej godności. Byłby niefortunnie i błędnie postąpił, gdyby był przejął jakieś wyznanie wiary od Albigensów, protestantów lub Jansenistów; ale wolno mu było adoptować gallicki, bo nie porzucał przez to symbolu własnego, który cały w gallickim jest zawarty, a okazywał równocześnie, jak szeroko

[1] *Das Apostol. Glaubensbekenntniss*, str. 14, 15.

pojmuje swe zadanie i jak bardzo leży mu na sercu jedność. Symbol następny, późniejszy co do czasu, powiada św. Tomasz, nie obala poprzedniego, ale go wykończa. *Non enim symbolum sequens abolet praecedens, sed potius illud exponit* [1].

Tem samem jest już także rozwiązana kwestya, azali dzisiejszy nasz tekst prawnie i słusznie nosi imię apostolskiego? Otóż, jeżeli — co się jeszcze udowodni w dalszym ciągu — apostolskim był starorzymski, to Kościół nie zbłądził, chrzcząc tem imieniem rozszerzony — ale rzeczowo identyczny — symbol swój noworzymski.

Co się tyczy czasu, kiedy to przyjęcie rozszerzonej formy nastąpiło, zdania uczonych są podzielone. Według Caspari'ego mogło to się stać już w ostatnich dziesiątkach wieku V., albo w początkach VI. Zdaniem Baeumera, dzisiejszy tekst był w Rzymie prawdopodobnie już koło r. 500. Kraus nie określa ściśle czasu i mówi tylko ogólnie, że później, a więc po wieku V. ten tekst przyszedł do Rzymu. Blume zwalcza zdanie Caspari'ego i utrzymuje, że najwcześniej mogło to nastąpić w wieku VII.; Harnack twierdzi, że za Karolingów. Data chwieje się tedy między wiekiem VI. czy VII. a X-tym.

Ks. J. Bilczewski.

[1] *Summa theol.* 2. 2. q. 1. a. 9.

Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI.

Urywki z pamiętnika.

(Dokończenie).

VI. Kuracya na stepie i powrót do kraju.

O 40 wiorst od Omska, Krupieników miał *zaimkę*, czyli pewien obszar stepu, w części urobionego już na pole orne, w części step *in natura*, na którym chwilowo osiedlili się Kirgizi w liczbie kilkunastu *jurt*[1], tworząc mały *auł*[2]. Tam więc się udałem, spodziewając się, że tam lepiej i bezpieczniej będzie; Kirgizów bowiem tych po części już znałem i wiedziałem o nich, że są natury spokojnej, pracowici i grzeczni. Achmed z żoną swoją Emsunduk przyjęli mię z całą sympatyą. Umieściłem się w oddzielnej jurcie, którą Krupieników miał tam dla swego użytku w czasie przyjazdu, a kumys, baraninę i wszystko inne zobowiązali się dostarczać mi oni, jako najbogatsi w aule i najbliżej mi znani. Po kilku dniach jednak okazało się, że kumysu nie można było przynosić w butelkach, bo nawet grube szampanki, dobrze zatkane, pękały, a baranina krzepła w drodze; potrzeba było więc przyjąć propozycyę przychodzenia do nich na cały wikt, a nawet — dla prędszego i lepszego skutku kumysu, który bił do głowy, i potrzebował, jak utrzymywali Kir-

[1] *Jurta*, ruchome mieszkanie kirgizkie, z wojłoku rozpiętego na tyczkach w formie głowy cukru.

[2] *Auł*, rodzaj naszej gminy.

gizi, bezpośredniej operacyi słońca na głowę — ogolić sobie włosy i nałożyć *arakczyn* [1]. Dałem więc sobie ogolić głowę, Emsunduk uszyła mi arakczyn, którym przykryłem ciemię, włożyłem *beszmet* [2] i zacząłem uczęszczać do ich jurty.

Z początku nie bardzo to mi smakowało; ale z czem się to nie można oswoić, szczególnie widząc konieczność tego? Przychodząc do jurty, zastawałem zwykle całą kompanię Kirgizów i Kirgizek, siedzących przy ognisku na środku jurty rozłożonem, gwarzących coś z sobą i zajętych, jakby najpilniejszą robotą, biciem białych zwierzątek, w które ciała i ubrania Kirgizów obfitują bardzo. Na widok wchodzącego gościa, gospodyni Emsunduk popluła na paznogcie, obtarła je o koszulę, powstała ze swojej cielęcej skórki, którą ma przy ognisku dla siebie, sadza mię na takowej, a sama wydobywa z wiszącego na tyczkach jurty (formujących ściany) worka drewnianą miskę, porusza kumys tłokiem w *tursuku* stojącym tuż obok ogniska, nalewa i podaje mi do picia, a sama siada przy mnie. Miska ze dwa litry mieściła w sobie, nie można więc było duszkiem wychylić, lecz piło się powoli; zresztą kumys z początku trochę upajał; siedziałem zatem pomiędzy Kirgizami, przypatrując się dalszej robocie, przy jakiej ich zastałem, słuchałem ich rozmowy, wcale, albo bardzo mało co rozumiejąc, i dziwiłem się skąd u nich tyle brudu, że łuskanie ustać nie może; a robią to z podziwienia godnem namaszczeniem, obnażając ciała, gdzie tylko potrzeba im wypadnie, europejskie bowiem skrupuły wcale im znane nie są.

Pierwszego dnia takiego mego posiedzenia w gronie Kirgizów przy takiej ich robocie, dławiłem się kumysem, jakbym rycinę popijał; po upływie wreszcie przeszło pół godziny ujrzałem dno miski, ale na niem — *o horrendum!* — włosów, jakichś czarnych gałeczek, twarogu brudnego co niemiara. Myślałem, że zdetonuję gospodynię, gdy jej podam miskę z takiemi resztkami, więc co

[1] Czapeczka kirgizka, okrywająca sam czubek głowy, mająca taką formę, że tylko na golonej głowie utrzymać się może.

[2] Wierzchnie ubranie kirgizkie, długie, wcięte w stanie, z rękawami do ziemi długiemi, stopniowo coraz węższemi do spodu.

prędzej, połknąwszy ostatni łyk, chlusnąłem resztę na ziemię tuż przy ognisku. Ledwiem zamachnął się miską i kumys poleciał na ziemię, gdy cała gromada Kirgizów, jakby piorunem rażona, zeskoczyła z miejsc swoich; każde najprzód krzyknęło: *uj bojuj!* głosem okropnego przerażenia, i dalej zaczęli szeptać coś, ruszać się, oburzać, a każdy patrzył na mnie jakby na jakiego zbrodniarza. Chwilkę nie wiedziałem co to znaczy, i trochę zacząłem nabierać strachu, ale polegałem na znanej uprzejmości dla mnie Achmeda i Emsunduk, że mi nic złego zrobić nie dadzą. Jakoż rzeczywiście zrozumiałem, że Achmed zaczął zaraz tłumaczyć obecnym, że ja obcy jestem człowiek, nie znam ich zwyczajów, że jestem chory i używam kumysu jako lekarstwa, przez doktorów zaleconego; a tymczasem Emsunduk zaczęła zbierać rozproszone krople kumysu, nakładać na nie ognia, szeptać coś, a mnie grożąc palcem daje znaki, że to nie wolno rozlewać, że kumys religijną ma świętość, że miskę powinienem oddać jej taką, jak się zostaje po wypiciu kumysu, że ona już sama zrobi z resztkami co należy i t. d. Tym więc sposobem uniknąłem kary, którą Kirgizi niezawodnie wymierzyćby mi chcieli, gdyby nie wstawiennictwo Achmeda i jego żony: bo kumys rzeczywiście gra u nich bardzo ważną rolę i szanowanym jest jak świętość. Ale jaka to brudna ta świętość, szczególnie jeżeli się naleje ze świeżo zbełtanego tursuka! Bo tursuk jest to worek, uszyty ze świeżo zabitego albo padłego konia, w formie butli z czworokątnem dnem i długą wązką szyją. Skóra obraca się szerścią do środka tursuka czyli tej butli i wszywa się do środka tegoż tłok drewniany z szerokim końcem, coś nakształt używanych u nas w drewnianych naczyńkach do bicia masła; koniec rączki tego tłoka wychodzi ponad szyjkę tursuka. Cały ten aparat ma miejsce w jurcie zwykle przy ognisku, i w nim fermentuje kumys. Sztuka jego przyrządzania zależy na tem, że świeżo udojone kobyle mleko, niecedzone, wlewa się do tursuka przez szyjkę, i stać winno przy ognisku, raz dziennie poruszane tłokiem, przez ośm dni; następnie część zlewa się do innego tursuka i stanowi rozczyn do nowego kumysu, a w pierwszy dolewa się codzień świeży udój i codzień się zlewa do

użytku już gotowy kumys. Nic więc dziwnego, że na misce musiała się znaleść i szerść i twaróg, i czarne jakieś kawałeczki, skoro mleko końskie niecedzone kwaśnieje i twaroży się w tursuku z kosmatą powierzchnią wewnątrz, a ta naturalnie przegniwać i opadać na dno tursuka musi.

Kirgiz kumysem i *baursakiem*[1] jest w stanie przeżyć tygodnie i miesiące całe; to też kiedy się Kirgiz wybiera w jaką podróż, żona jego ma obowiązek najprzód złapać mu konia, jakiego mąż każe, osiodłać, do siodła przytroczyć mały podróżny tursuk z kumysem i woreczek z baursakiem, następnie ubrać męża i wsadzić na konia. Wogóle wszystkie domowe role pełnią wyłącznie kobiety, mężczyźni zaś poza domem załatwiają swoje sprawy. Główna ich czynność zależy na hodowli stad koni, bydła, owiec i kóz, a w domu wyrabiają siodła, uprząż plecioną z paseczków skórzanych, którą bardzo misternie wyrabiają, i handel drzewem, które ich nic nie kosztuje, bo są panami wszystkich stepowych lasów. Kobiety zaś wyrabiają rozmaite wełniane rzeczy i z szerści wojłoki, dywany i t. p. *Jasak* czyli podatki płacą skórami, łojem, bo pieniędzy w obrocie nie mają, gdyż zarobiony grosz wydają zaraz na zakupno niezbędnych przedmiotów, jak mąka, sól i t. p.

Drugiego dnia już pamiętałem o tem, aby miskę oddać gospodyni do rąk ze wszystkiem, co się w niej zostanie: wzięła więc Emsunduk miskę, wypiła do ostatniej kropli wszystką szerść, twaróg i co się tam na dnie zostało, a przyległe do boków miski resztki wytarła palcem, przed chwilą oplutym po operacyach nad zwierzętami z Egiptu, oblizując takowy po każdem nabraniu się nań twarogu, i tym sposobem wymywszy do czysta (?!) miskę, włożyła ją napowrót do worka, aby była gotową na następny raz do nalania mi w nią kumysu.

Po bliższem poznaniu się z całym aułem, Achmed ogłosił mię swoim *tamyrem* (przyjacielem), i jako takiego postanowił ugościć. Zebrał więc wszystkich Kirgizów i mnie razem do swo-

[1] Twaróg zmieszany z mąką, pokrajany w podłużne kluseczki, wysuszony na słońcu.

jej jurty, w oczach naszych zabił barana, a że w jednej jurcie chore wówczas było dziecko, przynieśli więc je i zaszyli w zdjętą z barana skórę, bo taki jest sposób leczenia dzieci u Kirgizów. Barana, po wyjęciu niektórych wnętrzności, wrzucili do kotła, podłożyli ogień, i w oddzielnym żelaznym garnuszku nastawili ryż: miał być bowiem *piław*, najparadniejsza kirgizka potrawa. Tymczasem zaś popijaliśmy kumys, przegryzali baursakiem i gwarzyliśmy sobie kto jak mógł i umiał. W parę godzin potem nastał obiad. Zasiedliśmy więc w kółko na skórkach, rozesłanych przy ognisku, gdzie się gotowało jedzenie, w trzy rzędy naokoło, bo dużo zebrało się gości; ja naturalnie, jako *persona grata*, zajmowałem pierwsze miejsce na skórce gospodyni jurty, a inni koło mnie po starszeństwie; Achmed wyciągnął z kotła ugotowanego barana, rozerwał go na części, i wziąwszy dwa małe kawałki do rąk, podszedł do mnie, włożył mi jeden do ust, a drugi memu sąsiadowi, i tak po kolei obdzielił wszystkich, a Emsunduk za nim traktowała ryżem, dając już nie palcami, ale drewnianą łyżką z miski, na której ryż obnosiła. Tak gospodarstwo obeszli po kilka razy, aż baran był cały zjedzony i ryżu już nie było; sami zaś oni nie widziałem aby co jedli, musieli chyba zostawić sobie na później. Po skończonym obiedzie, objaśnił mię Achmed, że jako „tamyr" mam prawo żądać od nich co mi się podoba i nawzajem nie mam prawa odmówić im czegokolwiek, jeżeliby żądali ode mnie. Podziękowałem mu za ten miły zaszczyt i solennie obiecałem wzajemną przyjaźń, w której rzeczywiście pozostaliśmy do końca, jakkolwiek nie wypadło żadnemu z nas nic nadzwyczajnego żądać od drugiego.

Tak zaprzyjaźniwszy się z całem towarzystwem Kirgizów, byłem już jakby członkiem małej ich gminy; wszędzie musiałem być, każdą jurtę odwiedzić, każdą żonę Kirgiza i jej dzieci (a było żon po kilka u każdego, stosownie do zamożności Kirgiza) bliżej poznać, przypatrywać się ich zabawom, pracom i wogóle cały czas spędzać z nimi, tylko na noc udając się do swojej jurty. Najwięcej mię zajmowały wyroby uprzęży i siodeł, ich zręczność i pomysłowość w wynajdywaniu rozmaitych sposobów upiększania tych prawdziwych arcydzieł ich sztuki. Rze-

czywiście, zrobione przez Kirgiza ubranie na konia jest to coś tak pięknego i gustownego, że nigdybyś nie posądził o to ręki prawie dzikiego człowieka, nie mającego pojęcia o żadnej estetyce. Wszystkie części tak dokładnie odrobione, tak misternie wyplecione z rozmaitej szerokości paseczków, w desenie podług kolorów skóry, że śmiało mogą się ubiegać o uznanie chociażby u najwybredniejszego znawcy. Szkoda tylko, że Kirgizi udoskonalając tak wyrób uprzęży, nie myślą o tem, aby takową mieli na coś odpowiedniego włożyć, bo konie u nich okropna mizerota; ale i nie może być inaczej przy tym systemie chowania, jakiego używają. U nich źrebię, zaraz po urodzeniu, bierze się na kantar i leży, albo z trudnością stoi, króciutko przywiązane do sznura, rozpiętego na wbitych do ziemi palach, i przypuszcza się do matki tylko trzy razy dziennie w czasie dojenia, dlatego aby pobudzić klacz do wydojenia; przytem źrebię naturalnie ani skosztuje pokarmu, lecz służy niejako za instrument do dojenia, mlekiem zaś matki zadawalniać się musi tylko podczas nocy, kiedy już swobodnie puszczone jest do niej, ale kiedy matka już do szczętu jest wydojona. Tak samo postępują z cielętami i jagniętami, to też wszystko u nich mizerne i karłowate. Dziwna rzecz, że u nich bydlęta wcale nie rozumieją tego znęcania się nad ich dziećmi: te biedne stworzenia po całych dniach, czy to zima czy lato, mordują się głodne na uwięzi pod gołem niebem, czy to skwar czy mróz, a matki, jakby to nie matki były, zaraz po wydojeniu odchodzą daleko w las i ani się zjawi która, póki Kirgizka nie zaśpiewa na nich, nawołując do nowego doju.

W końcu sierpnia, znacznie się podreperowawszy na zdrowiu, z lekkim jednak jeszcze bólem w piersiach przy oddychaniu, powróciłem do Omska. Klimowicz zrewidował mię skrupulatnie, powinszował skutków kumysu, ale radził przytem, abym przyłożył jakiś plaster na piersi i parę tygodni jeszcze pozostał w domu dla ostatecznego wyrugowania tego bólu, który w dalekiej podróży mógłby się powiększyć. Przeczekałem tyle, myślę sobie, przeczekam więc jeszcze i te parę tygodni, aby już zdrowo wyruszyć do Tambowa, a stamtąd kiedyś do kraju. Nalepiłem więc plaster na piersi i zająłem się uregulowaniem zaległości

biurowych w domu, zacny bowiem prezes izby kontrolnej, Władimir Dmitriewicz Chmyrow, przez cały czas mojej choroby nie pozbawiał mię służby, lecz pozostawiał moją rachunkowość nietkniętą, w nadziei że sam takową załatwię, i płacę asygnował mi akuratnie. Podwojona usilność w pracy pozwoliła mi w ciągu września wyrobić wszystkie zadawnienia rachunkowe, a że i plaster już był odpadł i piersi przestały boleć, w pierwszych więc dniach października postanowiłem udać się do biura, aby dziękując prezesowi, zdać mu całą czynność w porządku i wyruszyć w drogę.

Październik w Omsku, nie to co październik u nas. Tam już i wiatry mroźne i zawieruchy śnieżne były na porządku dziennym, a ja przez cały miesiąc siedząc w opalanem już mieszkaniu, przyzwyczaiłem się do ciepłej pokojowej temperatury, i dlatego winienem był z wielką ostrożnością poddać się wpływowi naturalnego powietrza. Za mało jednak widać miałem rozwagi w tym razie, bo zaraz po przyjściu do biura dostałem silnego bólu we wszystkich stawach, musiałem o południu już udać się do doktora, a ten skonstatowawszy, że opanował mię silny stawowy reumatyzm, nogi bowiem i ręce już wtedy brzęknąć zaczęły, co prędzej wysłał do domu i polecił natychmiast wdać się w energiczną kuracyę.

Gdyby nie to, że miałem już paszport na wyjazd w kieszeni, że myśl o zbliżeniu się do stron rodzinnych stanowiła jedyną spójnię ciała z życiem, byłbym machnął ręką na tę fatalność, z pokorą poddał się wyrokowi losu, bo już zdawało się, że szczęśliwsza dola nigdy zaświecić mi nie może; ale w takim stanie rzeczy, nowy ten zawód był dla mnie okropny! Przeklinałem moją nieostrożność, złorzeczyłem wiatrom, wymyślałem na doktorów, a wzmagający się coraz silniej ból i łamanie w obrzękniętych stawach łączyły jęki rozpaczy, żalu, tęsknoty i bólu w jedną pieśń dogorywającego nędzarza. Po kilku dniach rozmaitych daremnych prób lekarskich doszedłem do tego, że ani się obrócić na pościeli, ani łyżki do ust podnieść, ani westchnąć głębiej, ani zakaszleć, ani nawet nosa utrzeć nie mogłem. Przy każdym, choć najmniejszym ruchu któregokolwiek

stawu czy to w członkach, czy w piersi przy oddychaniu, czy nawet przy myśli, skierowanej ku któremukolwiek z siedlisk reumatyzmu, takie wszędzie odzywały się kurczowe bóle i łamanie kości, że gwałtu trzeba było krzyczeć, a tu i krzyczeć nie można, bo krzyk, i reumatyzm rozdrażnia i na piersi szkodzi, piersi zaś także wtórować chorobie znowu zaczęły.

Lekarze znów mieli niemały kłopot z takim pacyentem. Wprawdzie zupełnie obojętnie poddawałem się wszelkim operacyom, więc nacierali, kłóli, piekli, ostawiali wizykatoryami z całą swobodą i precyzyą, ale, że moralny nastrój stał się bardzo nieodpowiedni kuracyi i do tego mięsowstręt posunięty do najwyższego był stopnia, rady sobie dać ze mną nie mogli, bo te dwa czynniki rujnowały wszystko.

Później się dowiedziałem, że w przyległym do mego mieszkania pokoju urządzili straż z kolegów, których obowiązkiem było pilnować przez szparki, abym się nie targnął na życie, tak już byłem zniechęcony i zrozpaczony tem wszystkiem.

Upływały miesiące jeden za drugim, a polepszenia jak niema, tak niema: ta sama bezwładność, te same bóle, wycieńczenie coraz większe, zgryzota moralna, graniczącą z rozpaczą, słowem wszystko zdawało się sprzysięgać na to, abym kości swoje złożył w ziemi sybirskiej. Nie pomogły nawet kuracye przyjaciół moich Kirgizów, którzy dowiedziawszy się, że jestem chory, co tydzień prawie przyjeżdżali mię odwiedzać, i zawsze jakieś swoje podawali środki. Przywozili oni jakieś maście, zrobione ze szpików końskich, wielbłądzich i niedźwiedzich, kładli mię z łóżka na drabinę od wozu, przenosili na niej do pieca i przed ogniem wcierali te maście, wygniatali bolące części, naciągali stawy i t. p. swoje zastosowywali sposoby, których, pomimo przekonania o ich nieskuteczności i pomimo wszelkie wyobrażenie przechodzących męczarni, jakie znosić przytem musiałem — jako „tamyr“ odrzucić nie mogłem. Wszelkie usiłowania były daremne!

Jedna tylko okoliczność, już w styczniu 1872 roku, a więc w czwartym miesiącu tej powtórnej walki ze śmiercią, gwałtem

kazała mi wierzyć, że nie w Omsku mój koniec, że przeznaczenie jakieś inne zgotowało mi losy.

Może to był traf tylko, ale wrażliwość rozgorączkowanych myśli, a zresztą, jak tonący brzytwy się chwyta, tak i ja rad byłem chwycić się za cokolwiek, byleby podsycić nadzieję podźwignięcia się z tego położenia, byleby się choć na chwilę ożywić weselszą myślą; a to tem łatwiej mi przyszło, że zdarzenie, o którem zaraz wspomnę, bardzo dziwnej, prawie cudownej było natury.

Z przepisu doktorów musiałem między innemi codzień z rana i wieczorem wypić butelkę selcerskiej wody, którą zwykle przynosiła mi z apteki gospodyni domu, partyami po dziesięć flaszek naraz. Gdy więc pewna partya już wyszła, zabrała gospodyni próżne butelki i poszła do apteki. Powróciwszy, weszła do mego pokoju z miną wielce zafrasowaną i zastrzegając się abym się nie gniewał na nią, opowiada mi przygodę, że na zakręcie już w swoją ulicę niedaleko domu, poślizgnęła się, upadła i stłukła jedną butelkę, ale dodaje zaraz, jakby na moją pociechę, że przyniosła 10, bo w aptece zamiast 10-ciu dano jej 11-cie, i ta jedenasta właśnie została stłuczoną. Zapewniłem gospodynię, że gniewać się za ten wypadek nie będę, i poprosiłem aby mi jedną butelkę otworzyła, którą też zaraz wypiłem.

Wieczorem tegoż samego dnia, zadyszany, osypany śniegiem, zziębnięty, wpada do mnie dobry mój przyjaciel Norgiałłowicz, i widząc, że spoglądam na niego ze zdziwieniem, bom się wcale o tej godzinie i w taką porę nie spodziewał gościa, powiada:

— Dziwisz się, że przyszedłem, a ja dziękuję Bogu, że cię widzę żywego.

— A to dlaczego, — pytam — czy już na dzisiaj wyznaczyli mi lekarze ostatnią godzinę?

— Poczekaj, zaraz ci opowiem, tylko się otrząsnę ze śniegu i odetchnę trochę, bo taka na dworze zawierucha, że ledwiem do ciebie trafił, i zasypało mię kompletnie.

Po chwili więc, gdy się już uporządkował ze sobą, zaczyna Norgiałłowicz dyplomatyczną swoją rozmowę w ten sposób:

— Powiedz mi, czy posyłałeś dzisiaj po wodę selcerską?
— Posyłałem — odpowiadam.
— A piłeś z tej, którą ci przynieśli?
— Wypiłem jedną butelkę.
— A gdzie jest reszta?
— U gospodyni w *podpolju*[1].
— Każ mi przynieść wszystkie butelki.

Nie chcąc przerywać wątku ułożonej widać zawczasu rozmowy, która u Norgiałłowicza zwykle prowadzoną była z pewnym systemem, kazałem przynieść butelki i cierpliwie czekałem końca. Obejrzał wszystkie szczegółowo, zwracając głównie uwagę na drut i korek, a nie znalazłszy widać tego czego szukał, kazał sobie przynieść tę jeszcze, która już była próżną. Przyniosła więc gospodyni i tę. Gdy i ta nie zadowolniła go, zapytuje Norgiałłowicz, czy nie było jeszcze jakiej butelki?

Wtedy gospodyni opowiedziała, że wracając z miasta, kiedy zaszła do apteki po selcerską wodę, prowizor wskazał jej na róg stołu, gdzie takowa przygotowaną już dla niej była, — że tam zamiast 10-ciu znalazła 11-cie butelek, ale sądząc, że to był naddatek z powodu znacznej ilości wybieranej wody, zabrała wszystkie, zawiązała do chustki i niosła; na rogu jednak ulicy poślizgnęła się, upadła, i przytem stłukła jedną butelkę, która wypadła z chustki, i jako zbita, tam przez nią zostawioną została.

Wtedy klasnął w dłonie Norgiałłowicz i, obracając się do mnie, zawołał:

— No, możesz być spokojny o siebie, i żyć będziesz i wyzdrowiejesz i do kraju wrócisz, bo się widoczny stał cud nad tobą.

— Co za cud? — pytam.

Wtedy opowiedział mi co następuje:

— Wyszedłszy z kaznaczejstwa (Norgiałłowicz był rządowym urzędnikiem kasy, nie należał bowiem do kategoryi zesłanych, lecz jako krewny naczelnika kasy, przybył do Syberyi i był wówczas buhalterem w tejże kasie) przed godziną, zaszedłem jak zwykle do apteki (w przyjaźni był z prowizorem, któ-

[1] Piwnica pod podłogą, jak zwykle w tamtych stronach robią.

rego nazwiska nie pamiętam), i zastałem tam wielki rwetes; że zaś wiedzieli o naszej z tobą znajomości, nie dali mi nawet zdjąć płaszcza, lecz pchnęli tu, abym się dowiedział co się z tobą dzieje, przysłana bowiem przez ciebie gospodyni po wodę selcerską, zabrała razem z dziesięcią butelkami tej wody jeszcze jedną, która na stole stała nieopodal tamtych, a w której przygotowanem było dla szpitala pewne lekarstwo mające, przy użyciu w takiej ilości w jakiej się używa woda selcerska, własność trującą. W aptece nie wiedzieli o twojem mieszkaniu i dlatego dotychczas są w ogromnej obawie, czyliś przypadkiem nie wypił tej trucizny; a tu się okazuje, że właśnie ta sama butelka wypadła gospodyni z chustki i stłukła się, za co Panu Bogu niech będą dzięki, a ja pobiegnę uspokoić tamtych.

I nie czekając już dłużej, poszedł uspokoić swego przyjaciela.

Ta okoliczność rzeczywiście dodała mi trochę ducha, to też nazajutrz silniej zacząłem nalegać na Klimowicza, aby wszelkich używał sposobów do podźwignięcia mię z łóżka. Wezwał więc znów na pomoc swoich kolegów Klimowicz i znów we czterech dawaj medytować, radzić, przeradzać, jakby tu choć trochę wrócić mi władzy, żebym choć z łóżka podjąć się był w stanie. Stanęło na tem, że zaraz położyli mi ośm wizykatoryj na punkta silniej zaatakowane, przepisali rozmaitych miksturek, kropel i proszków co niemiara, a w dodatku zalecili, abym, nie żałując cierpliwości, zaraz po pęknięciu każdego wizykatoryjnego pęcherza, miejsce to smarował jodyną.

Jakoż powoli, powoli, raniąc naprzemian to wizykatoryami, to jodyną wszystkie główniejsze siedliska reumatyzmu, i biorąc jodynę wewnątrz w miksturze, pod koniec stycznia zacząłem już odzyskiwać władzę, tak w rękach i nogach, jak i całym korpusie, a 7-go lutego nawet już o dwóch kijach zwlokłem się z łóżka i mogłem sam przesiąść na sofkę.

Nic nie wiedzieli szanowni eskulapi, że przy pierwszym objawie skutecznego działania ich środków, już wszystko miałem zorganizowane do podróży, a gdy już usiadłem na sofce i tak mię na niej zastał Klimowicz, stanowczo oświadczyłem mu, że za trzy dni wyjeżdżam. Myślał z początku poczciwy mój doktór,

że sobie żartuję, bo i rzeczywiście wyglądało to na żarty; ale, gdy się przekonał, że na seryo zamierzam wyjechać, że mam już własne sanie, aby nie przeładowywać się często w drodze, że mam umówionych współpodróżnych, a nawet i konie pocztowe, obstalowane na 10-go lutego — za głowę się wziął nieborak, zaczął mi przedstawiać niebezpieczeństwo mego zamiaru, wycieńczenie moje, w jakiem się znajdowałem, jużto z powodu ciężkiej choroby, jużto z samego przez kilka miesięcy leżenia w łóżku, nareszcie stan temperatury wcale nieodpowiedni dla takich podróżnych, zima bowiem jakoś wyjątkowo była ostra, a w owych dniach mróz bez przerwy trwał na 30 stopni; ale to wszystko nic nie pomogło: powiedziałem że jadę, i wyjechać miałem stanowczo.

Widząc ten upór, troskliwy lekarz zwołał ponownie konsylium, i zaprosił przytem wszystkich moich kolegów, z którymi wiedział że bliżej żyłem, aby ci wpłynęli na mnie, ale już i to na nic się nie przydało; wszelkie strachy szanownych medyków, wszelkie perswazye koleżków i ostre wystąpienia niektórych, podniosły tylko żądzę wyjazdu; powiedziałem więc im ostatecznie, że gdybym na pewno miał umrzeć o pięć mil za Omskiem, co mi oni przepowiadali, to wolę jednak wyjechać, będę bowiem przynajmniej wiedział, że umieram w drodze do kraju. A przepowiednia ta nie była tylko dla strachu; było to mocne przekonanie wszystkich, tak doktorów jak i nie-doktorów, że więcej nad pięć mil drogi wytrzymać nie potrafię. Słysząc jednak to ostatnie słowo moje, przyznali wszyscy, że już lepiej niech jadę, bo gdybym został w Omsku, tobym się niezawodnie dogryzł tęsknotą; czy tak więc, czy inaczej, ryzykować muszę.

Tu jeszcze raz z wdzięcznością wspomnieć muszę, że prezes izby kontrolnej, Chmyrow, i przez te cztery miesiące mojej choroby zostawił mię przy moich czynnościach, które załatwiałem w domu z pomocą przysyłanych pisarzy, a kiedym zawiadomił, że już wyjeżdżam do Tambowa, wydał mi płacę po ostatni dzień pobytu w Omsku, napisał świadectwo, że przez cały czas służby w izbie kontrolnej byłem jednym z najużyteczniejszych dla niego współpracowników, a nadto przysłał mi

gorący list do prezesa izby tambowskiej, abym w razie potrzeby mógł tam zaraz dostać posadę. Nie mogłem mu osobiście podziękować za tyle, tak rzadkich u panów naczelników względności, bo, jakem postanowił, 10-go lutego moi współpodróżni: kolega, wracający do którejś z rosyjskich gubernij, i jakaś dama Rosyanka, jadąca do Moskwy, gdzie miała zamężną córkę — na rękach wynieśli mię z mieszkania, położyli do sanek, i tak wyjechaliśmy z Omska.

Nie przesadzam twierdząc, że jakem się poczuł w saniach i konie ruszyły na zachód, już o połowę byłem zdrowszy, już miałem sił tyle, że zacząłem powątpiewać o przepowiedniach lekarzy i kolegów; już zdawało mi się, że na najbliższej stacyi sam nawet wysiąść z sań potrafię, a byłem wesół jak nigdy.

Wysiadać i wsiadać jednak nie mogłem, bo to było tylko marzenie, ale za to kazałem dzień i noc jechać bez przerwy, i po dwóch tygodniach takiej podróży, stanąłem w Irbicie, powiatowem mieście permskiej gubernii, gdzie naówczas, z powodu jarmarku, bawili Krupienikowie. Krupienikowie jeszcze latem, zaraz po moim wyjeździe na kumys, udali się do Petersburga, tam bawili cały czas, a w końcu stycznia zjechali do Irbity; że zaś korespondowali ze mną ciągle i wiedzieli o moim zamiarze wyjazdu z Syberyi, zobowiązali, abym na odpoczynek zajechał do nich. Nie było to mi wprawdzie wolno, bo Irbit o parę set wiorst odległy był od drogi, ściśle wyznaczonej mi w marszrucie, ale polegając na tem, że jadę na wezwanie Krupienikowa, który i w permskiej gubernii miał swoje znaczenie, zboczyłem z drogi.

W Irbicie już nie wnieśli, ale wprowadzili mię do mieszkania Krupienikowych, postęp więc był już znaczny, ale jednak Anna Michajłowna i Arkadij Pawłowicz długo się wpatrywali i poznać nie mogli, tak staro i tak mizernie wyglądałem podobno. Odpoczywałem u nich dwa tygodnie, bawiąc się przeważnie rozpoznawaniem namiętności ludzkich do gry kartowej, która w Irbicie zwykle na wielką odbywa się skalę. Co wieczór prawie schodzili się amatorowie tej zabawki i gra kończyła się zwykle różnicą kilkudziesięciu tysięcy rubli, a na graczach wra-

żenia ani śladu! Tego zrozumieć nie mogłem, a gniewało to mię tem bardziej, że w rezultacie Krupienikow został grubo ograny. Oprócz tego jeździłem co wieczór z Anną Michajłowną do teatru, a w dzień czasami przejeżdżaliśmy się po mieście, aby się przypatrzyć tym stosom najrozmaitszych towarów, jakiemi Irbit, mała mieścina, napełnia się podczas jarmarku. Jest to jedyny w Rosyi punkt wymiany europejskich wyrobów na surowe towary Azyi i na herbatę; nie dziw więc, że gdzie spojrzysz, wszędzie kolosalne składy wszelkich produktów, jakich Azya żąda od Europy, a Europa pobiera z Azyi. Napływ zaś kupców i zwiedzających jarmark jest tak wielki, że literalnie niema kąta próżnego, a byle ciupka setkami rubli opłacać się musi; my zaś, ponieważ przyjechaliśmy w drugiej połowie jarmarku, formalnie nie mieliśmy się gdzie zatrzymać, moi więc współtowarzysze podróży, zostawiwszy mnie u Krupienikowych, sami tegoż dnia pojechali dalej, bo przenocować chyba mogli pod gołem niebem. Wielu i tak się urządza, a szczególnie prawie wszyscy doróżkarze, których natenczas zbiera się w Irbicie do tysiąca, że zakwaterowują się w sąsiednich wioskach, i dopiero równo z dniem zjawiają się w Irbicie, a na noc spieszą znów do domu, bo w mieście miejsca wcale niema.

Co do tych doróżkarzy irbitskich, to także miałem z nimi niemiłe przejście: są to prości włościanie, tak zwane „wańki", którzy pojęcia nie mają o prawidłowej jeździe, a szczególnie o regułach jazdy miejskiej — im się zawsze zdaje, że jadą po stepie, gdzie wszelką swobodę koniowi i swojej fantazyi pozostawić można; to też, pomimo licznie rozstawionej policyi w Irbicie podczas jarmarku, wypadki rozjechania, kalectwa ludzi i koni są na porządku dziennym. I ze mną więc miał się stać podobny wypadek, gdyby znów nie ta Opatrzność, która widocznie czuwała nade mną. Pewnego wieczora jechałem do teatru z naczelnikiem miasta, majorem Szamardinem, saneczkami, zaprzężonemi w jednego konia. Szamardin, człowiek stary, mocno otyły, trochę przygłuchy, okutany w ogromne futro z podniesionym kołnierzem, siedział po prawej stronie, ja siedziałem po lewej. Jechaliśmy dość ostro, bo koń Szamardina dzielny, rączy,

przyuczony do szybkiego biegu. Wtem, z bocznej uliczki po lewej stronie galopem pędzi „wańka“ i prościutko zmierza hołoblami w nasze głowy. Ratunek był bardzo trudny, bo Szamardina odchylić w stronę nie mogłem, siedział bowiem jak mur i o grożącem nieszczęściu wcale nie wiedział, konia zatrzymać już było za późno, uciec nasz furman także nie mógł, bo przed nim sanek kilkoro zagradzało drogę — słowem, położenie bez wyjścia, a koń „wańki“ już, już dolatuje naszych sanek w kierunku poniżej furmana, a więc w nasze piersi lub głowy. Instynktem jakoś tknięty, podniosłem moją *dubinkę* (kij dębowy gruby, na którym opierałem się, próbując już sam chodzić potrochu) i tak silnie wparłem się nią w szyję nadlatującego konia, że nacisnąwszy tym sposobem na Szamardina, całe nasze sanie odrzuciłem sobą w bok, i tym sposobem wyślizgnęliśmy się z pod hołobli, na których moja przynajmniej głowa zawisłaby niezawodnie; laska przytem moja, gruba, dębowa, przełamała się w połowie, że tylko zagięta rękojeść pozostała przy mnie, a Szamardin dowiedział się o tem wszystkiem wtedy dopiero, kiedyśmy, siłą mego pchnięcia, już byli daleko od „wańki“.

Pożegnawszy moich najlepszych przyjaciół w Irbicie (naturalnie żegnaliśmy się na zawsze), już sam jeden pojechałem dalej, bo już chodzić powoli mogłem sam, a włazić i wyłazić ze sanek pomagał mi furman. Pędziłem znów dzień i noc do Permy. Tam trafiła mi się kompania z kupcem, Żemczużnikowem, który młodziutką i bardzo ładną swoją żoneczkę wiózł do Petersburga, aby jej świat pokazać. Przyprzągnąłem więc do nich jednego konia na mój rachunek i pojechaliśmy razem. Ta część drogi z Permy do Niżnego Nowogrodu i dalej koleją do Moskwy, z powodu miłego towarzystwa pani Żemczużnikowej, była bardzo przyjemna, a szczególnie pani sama zobowiązała mię bardzo; bo, gdy jej mąż zanadto po kupiecku rachował się ze mną w Moskwie, każąc mi płacić trzecią część wszystkich bez wyjątku wydatków podróży, jakkolwiek do wielu z nich ja wcale nie należałem, żyłem bowiem w drodze wyłącznie pomarańczówką i *pielemieniami* (rodzaj kołdunów), których mi moja gospodyni w Omsku kilka garncy sporządziła na drogę, — ta biedna aż za-

płakała w kąciku i przepraszała mię serdecznie, a mężowi nic powiedzieć nie śmiała. Uspokoiłem ją zapewnieniem, że taka między nami była umowa — i oni pojechali do Petersburga, a ja na południe, do Tambowa.

W Tambowie pierwszym moim obowiązkiem było przedstawić się panu gubernatorowi.

Ubrałem się więc we frak i dalsze czarności, ale bez butów, bo buty zostawiłem był w Omsku, jako rzecz całkiem już dla mnie niepotrzebną, ponieważ nogi miałem tak rozpuchnięte, że tylko obszerne *walonki*[1] naciągnąć mogłem; w tych więc „walonkach", które oczywiście bardzo pasowały do fraka, z grubym kijem, szeroko rozstawiając nogi, podtrzymywany przez posługacza z hotelu, wdrapałem się po schodach na pierwsze piętro mieszkania pana gubernatora. Gdy mię zobaczył, i dowiedział się kto jestem, zmierzył jeszcze raz od stóp do głowy, i nareszcie zapytał:

— A masz pan środki do życia?

— Żadnych, — powiadam — w Syberyi utrzymywałem się z pracy, ale teraz i pracować nie mogę, bo, jak pan gubernator widzi, jestem zbiegiem z tamtego świata, uciekinier z grobu.

— Czy masz pan rodzinę w Królestwie Polskiem, bo na Litwę panu w żadnym razie wrócić nie pozwolą — zauważył gubernator.

— Mam brata — mówię — w Królestwie, który, zanim nie stanę się zdolnym do pracy, albo nie umrę przedtem, mógłby mię przyjąć do siebie.

A rzeczywiście, brat na kilka lat przedtem powrócił z permskiej gubernii do Warszawy i wówczas zajmował już posadę inżyniera oddziału na drodze warszawsko-terespolskiej, a mieszkał w Białej Podlaskiej.

— Wracaj pan do hotelu i nie fatyguj się już więcej do mnie, — zakończył rozmowę pan gubernator — ja zaraz będę telegrafować do ministra spraw wewnętrznych, i przez policmajstra zawiadomię pana, jaką otrzymam odpowiedź.

---

[1] Wojłokowe buty, wcale bez skóry i podeszew.

Skłoniwszy się grzecznie, o ile sztywność moja pozwalała na to, wyszedłem i wróciłem do hotelu, a trzeciego dnia pan policmajster przywiózł mi osobiście paszport na wyjazd do Królestwa Polskiego, i tegoż dnia jeszcze, zamiast spodziewanych dwóch lat pobytu w tambowskiej gubernii, byłem w drodze do Kongresówki.

W parę dni potem serce zaczęło mi bić gwałtownie, łzy radości i smutku razem cisnęły się do oczu, bom jechał koleją brzesko-moskiewską przez gubernie Litwy; ale wszystko to tak odmiennie, tak ponuro, tak wszystko po rosyjsku, jak nigdy za dawnych czasów nie bywało. Wieś Tewele, przez którą przeprowadzili kolej obecnie, ta najbliższa do moich serdecznych Małysz, skąd mogłem się dobrze rozpatrzyć w drzewkach własną ręką ojca mego niegdyś sadzonych, z której widać było nawet bocianie gniazdo na małyszowskiej stodole — dziś, jako stacya kolei, nazywa się „Tiewli"; ani słowa tam po polsku zasłyszeć nie mogłem. A jakbym jednak pozostał tu w tych Tiewlach, jakbym powędrował do Małysz uścisnąć starego ojca, odwiedzić siostrę, pomodlić się na mogile matki i drugiej siostry — niestety! nie wolno... pociąg gwiżdże, ruszamy dalej.

Dopiero w Brześciu pierwszy raz usłyszałem polską mowę z ust pani bufetowej, a przesiadłszy się dopiero do pociągu drogi terespolskiej, znalazłem się już pomiędzy swoimi kompletnie, bo obsługa pociągów i mowa na stacyach była wówczas polską.

O parę stacyj od Brześcia pociąg zatrzymał się w Białej, gdzie miałem wysiąść, bo tam mieszkał mój brat. Zabrałem się z manatkami, które miałem w wagonie, zacząłem wyłazić, ale widać jeszcze nie było dość sił do takich samodzielnych ruchów: z pierwszego stopnia wagonu zwaliłem się na peron, i dopiero posługacze podnieśli mię z ziemi.

Brata nie zawiadomiłem o przyjeździe, bo i sam bardzo niespodzianie powitałem te strony; gdy więc bialski żydek zatoczył swoją dryndulkę na dziedziniec zamku niegdyś księcia „Panie Kochanku", gdzie mieszkał pełnomocnik obecnego właściciela Białej, ks. Hohenloe, i brat zajmował oddzielny domek

w ogrodzie — wyszedł brat, siostra młodsza, bratowa i cała reszta kompanii na głos ujadającego psiuka, a żadne z nich domyśleć się nie mogło, co to za figura siedzi na bryczce. Dopiero, gdym się odezwał i zawołał pomocy, bliżej wpatrywać się zaczęli, i uwierzyli nareszcie, że to rodzony ich brat, we własnej swojej osobie. Taka to zmiana zaszła w ciągu dziewięciu niespełna lat wygnania; a gdy w kilka dni przyjechał do Białej mój ojciec, staruszek naówczas przeszło 70-letni, który mię naturalnie także nie poznał, i gdyśmy się wzięli z nim pod ręce i zaczęliśmy spacerować po pokojach brata, to z postawy mojej i ruchów ja wyglądałem na ojca, i ojciec wyglądał na syna swego.

Tu musiałem ponownie odbyć próby domowego leczenia, bo ojciec, wiedząc o mojej chorobie, przywiózł spory garnuszek „niezawodnych“ na podobne cierpienia muchomorów, przesypywanych grubemi warstwami soli, które, przed wzięciem się do leczenia, należało wycisnąć i sok wcierać do skóry tak, aby się aż krew pokazała. Zrobiłem więc tę satysfakcyę ojcu, że pozwoliłem wetrzeć w siebie do ostatniej kropli wszystek ów sok muchomorowy, że aż z krwią się mieszał i zasychał na ciele w formie jednolitego strupa na całej powierzchni mojej osoby, ale nie mogę jednak twierdzić, aby choć cokolwiek lżej mi było od tego sławnego litewskiego środka; sądzę, że prędzej rodzinne powietrze, kraj własny i moralna pociecha, jakiej na łonie krewnych nie brakło, uzdrawiały skutecznie i szybko.

Po kilku tygodniach pobytu w Białej, już chciałem wyjechać do Warszawy, aby się czemś zająć, ale mi brakło jeszcze mojej garderoby, która zaraz po wyjeździe z Tambowa zaginęła mi na kolei, i ledwie na skutek licznych korespondencyj odszukano takową w Petersburgu i nadesłano dopiero po upływie dwóch miesięcy. Wtedy więc już zaraz podążyłem do Warszawki i znalazłem posadę w dyrekcyi drogi terespolskiej.

Jerzy Kraskowski.

ŻYCIE ŚWIĘTEGO STANISŁAWA KOSTKI.

POEMAT ŁACIŃSKI GRZEGORZA Z SAMBORA,

wydany w Krakowie 1570 roku [1] u Szarfenbergera [2].

Niech kto chce ucztuje rok cały bez miary,
Aż przesyt go zmoże ohydnie;
Niech inny z gór winnych moszcz sączy do czary,
Niech pije, aż wino mu zbrzydnie;
Wrzask trąby bojowej niech zmienia w peany
I dzikim lud wrogiem przeraża:
Ja ciałem, różaną krwią Pana nad Pany
Nasycon u stopni ołtarza,
Gdy Chrystus zmartwychwstan mir w duszy mi budzi,
Pieśń słodką pokoju zanucę —
Zacnymi przykłady i pieśnią ja ludzi
Zachwycę, zbuduję — nawrócę.

Bo Świętych ja Pańskich mą pieśnią wysławię;
Niech blask ich rozjaśnia świat cały —
Byle mi Muz dziewięć sprzyjało łaskawie,
Jak świeckim mym pieśniom sprzyjały.
Gdym sławił przemożnych tej ziemi imiona
I Niebian opiewać się godzi —

---

[1] W dwa lata po śmierci św. Stanisława.

[2] Wstęp o życiu i pismach Grzegorza z Sambora, wraz z niniejszym wierszem, wyjdzie niebawem w osobnej broszurze.

Lecz kogoż wprzód wsławię, czy może Szymona,
Co go to Lipnica nam rodzi?
Czy Jacka, którego Dominik jak wonny
Kwiat wszczepił w swój ogród zakonny? —

Gdy innych mi Świętych odłożyć moc dana,
Co w krajach tych mają swe groby:
Opiewać chcę żywot polskiego młodziana,
Tak pełen przedziwnej ozdoby.
Lecz w pomoc wieszczowi, święty Stanisławie,
Racz przybyć, ziem polskich zaszczycie!
I ręce do Pana wznieś za mną łaskawie,
Gdy w pieśni Twe sławić chcę życie.

Gdzie zimą północny Wóz świeci nad Gdańskiem,
A Wisła nurt w morze swój leje:
Senator tam Kostka imieniem swem pańskiem,
Bogactwem śród możnych jaśnieje.
I dziatki z małżonką ma liczne i zdrowe,
Ostatni Stanisław się rodzi,
Co zacny ród ojca i czyny ojcowe
Zacnością umysłu przechodzi.

Dwanaście lat w domu żył skryty przed światem,
Talentem jaśniejąc i cnotą:
A potem do Wiednia wyprawion wraz z bratem,
W naukach się ćwiczył z ochotą.
Poznawszy tu braci z Jezusa zakonu,
Błyszczących cnotami szczeremi,
Ich wiarę, zasady właściwe ich gronu —
Aniołów w nich widział na ziemi.
I szczera owładła chęć umysł chłopięcy,
By w poczet był braci policzon —
Lecz chytra pokusa przez sześć go miesięcy
Wstrzymała swą sztuką zwodniczą.
Gdy miłość Jezusa nadzieję w nim budzi,
Gniew ojca strach wznieca mu w łonie:
To ogień niebiański mu w sercu zapłonie,
To ludzki wzgląd znów go ostudzi.

Stąd przykład pobożnych pociąga go męży,
Stąd straże go strzegą dwoiste;
Aż nauk i sławy ponęty zwycięży —
Ślubuje Twym uczniem być Chryste.

Raz w ławce siadł, w niebo wzniósł serce i oczy;
Wtem czarny pies z paszczą rozwartą
Po trzykroć w twarz chłopca trwożnego poskoczy
I trzykroć go krzyżem odparto.
Znikł wreszcie w mgle brudnej — stąd radość młodziana,
Że przemógł piekielne widziadła;
Lecz wkrótce choroba go zmogła nieznana
I niemoc nim dziwna zawładła.

Napróżno dopomódz mu pragną lekarze,
Choroba silniejsza niż leki —
Wtem wspomniał, że czytał o świętej Barbarze:
Kto jej zawezwie opieki,
Gdy Bogu, gdy Maryi się oddał w pokorze,
I sercem zaufał im całem,
Niech wierzy, że umrzeć on pierwej nie może,
Aż Pan go nakarmi swem Ciałem.
Więc śluby uczynił i obrał ją sobie
Za możną Patronkę w tej dobie.

I z twarzą promienną, podobna do gwiazdy,
Barbara mu święta zaświeci;
Zapewnia, że dozna pomocy jej każdy,
Kto sercem się szczerem poleci.
Lecz Boskiej opieki niech z wiarą sam wzywa,
A jej go obrona osłoni.
To rzekła i w obłok się lekki rozpływa
Śród blasków niebiańskich i woni.

To chociaż mdłe ciało, ozdrowiał duch chory,
Gdy takie oglądał zjawiska;
I oczy pobożnie w nieb wznosi przestwory,
W radości pierś dłońmi przyciska.

A w myśli mu stają to rajskich rzek wody,
To czarne piekielnych wód błota,
To znowu o niebie rozmyśla duch młody —
Ostatni kres widzi żywota.

Gdy biedny na łożu spoczywał śród nocy,
Nad nędznym bolejąc swym stanem —
„O Ty! — rzekł — co życie i śmierć masz w swej mocy,
Coś zdrowia, choroby jest Panem —
Nie dozwól, o Boże! bym umarł w tej chwili,
Aż Chleb mnie Anielski posili".

A gdy się tak modląc wzrok zwrócił w komnatę,
Blask ujrzał i oczy świecące;
Bo przed nim dwa stały młodziany skrzydlate,
Najświętszy mu Pokarm niosące.
Wnet chyży lot w górne unosi je kraje —
W nim serce zadrżało radością,
I noc ta rozkoszna dlań dniem się już staje,
A ciemność już nie jest ciemnością.
Duch mocny, lecz ciało, ach, jakże bezsilne —
Więc leki w zwątpieniu precz miota,
I śmierć mu już miejsce wyznacza mogilne,
Już Parki rwą nitkę żywota.

„O! gdyby mnie Jezus swym okrył puklerzem,
Nędznego w nieszczęściu wsparł takiem:
Gorliwym Jezusa zostałbym żołnierzem,
Pod jego nosiłbym broń znakiem.
O Matko Dziewico, Twej użycz opieki,
Racz spojrzeć, jak nędznie umieram;
A Ciebie i Syna ukocham na wieki —
Za matkę Cię sobie obieram".

Gdy umilkł, komnatę blask nowy oświeca —
W zdumieniu, w radości duch tonie;
Bo przed nim Najświętsza stanęła Dziewica,
Marya z Dzieciątkiem na łonie.

I Syna mu kładąc na łożu, tak powie:
„Patrz Kostko! twój lekarz przybywa;
On pragnie cię zbawić, przywróci twe zdrowie —
Na wierną służbę cię wzywa".
Już znikli Syn z Matką, a Kostka wraz młody
Zdrów usiadł na łoża krawędzi —
I uszła choroba na zawsze, bez szkody,
Jak woda z piór śnieżnych łabędzi.
I odtąd do dzieła Bożego żołnierza
Gorętsza w nim żądza zapłonie —
Więc zamiar dojrzały swym braciom powierza,
W Jezusa żyć pragnąc zakonie.

O czemuż zwodnicza nadzieja ulata?
Czyż młodzian zaszczytu takiego
Niegodzien? aż całe trzy czekać ma lata,
Nim wreszcie domierzy do niego?
Cóż było dla braci powodem odmowy? —
Że młodzian rok kończył piętnasty? —
Czy takim był Jezus? — Nie byłże gotowy,
Dopuszczać dziateczki, niewiasty?
Czy owszem, nie garnął maluczkich do siebie,
Im dając królestwo swe w niebie?

O! mieli powody Ojcowie zakonni...
Dla nauk im danyś młodzianie;
To miary słuszności przekroczyć nie skłonni,
Swe spełnić li chcieli zadanie.
Kto oddan w opiekę, strzedz trzeba go wiernie
I oddać, tu pieczy granica...
Nie byliżby bracia zbłądzili niezmiernie,
Wbrew woli go wiążąc rodzica? —

Cóż tedy? gdzież zbiegnie, strzygnąwszy uszyma,
Ten jeleń pragnący swobody?
Tu zakon niechętny — tam ojciec go trzyma,
Któż zwalczy podwójny prąd wody?
Co czynić? Gdy trudno nakłonić ich wolę,
Do celu w tor puszcza się śmiały:

Porzuca rodziców nieletnie pachołę,
Rzuca herb domu wspaniały
I wuja możnego, któremu zasobne
Prus ziemie swe skarby zwierzyły,
I drogich braciszków, siostrzyczki nadobne
I dziadków już blizkich mogiły.

Obmierzły mu wielkie z ról mnogich dochody
I sługi, obozy, wsie, grody;
I niczem mu łańcuch złocisty na szyję,
Ni strój purpury bogaty —
W ubogiem ubraniu swój możny stan kryje,
W pielgrzymie przebiera się szaty.

I rzecze: „O kiedyż zaniecham już świata,
Na służbę poświęcę się Boską,
Przestanę marnować młodości mej lata
I próżną obciążać się troską!
Nie znając wytchnienia, ach, iluż to ludzi
I zimą i latem się trudzi!...

Gdy jednym wiek krótki upływa bez celu
I wiele ciał młodych śmierć chłonie:
Tymczasem z Jezusem się łączy tak wielu,
By w Mistrza żyć swego zakonie.
Gdy siły wytężą, nad wrogiem zbawienia
Zaszczytne zwycięstwo im dane —
W nich zgoda, im wspólne najlepsze dążenia —
Jaż jeden od nich odstanę?

I na cóż mi promień oglądać słoneczny,
Gdy promień zakonu mi wzięty?...
Mniej cieszy mnie niebo i świętych blask wieczny,
Gdy dziś mi ten bliższy odjęty.
Gdziekolwiek los woła, posłuszny tam zajdę,
A nie dbam, mogiłę gdzie znajdę!...“

Te słowa do walki zaostrzą w nim wolę:
Jak jednorożec w skok bieży —

I niby zajęte czemś, spieszy pacholę
W dom Boży, wprost od wieczerzy.
A kiedy do wspólnej powrócił znów celi,
Już stróże uśpieni leżeli.

Więc ugiął kolana przed Panem wszechświata
I w cichej wyszeptał modlitwie:
„O Panie! jak Saula uśpiłeś w gonitwie,
Dozorcę mi uśpij i brata.
Jak we śnie-ś pogrążył straż Piotra z swej mocy,
Tak na nich sen ześlij tej nocy.
O Maryo! coś Matką wiernego Ci sługi,
Daj moim Herodom sen długi".

Rzekł, zaparł dech w piersi, z ukosa spoziera;
Ot, obu sen zmorzył głęboki —
Więc w obcy, obcisły płaszcz w lot się ubiera,
I z chlebem przypasał tłumoki.
Na bakier czapeczkę wdział obcą, przestroną,
A w rękę niewielki kij bierze —
Takim był Aleksy, gdy matkę wraz z żoną,
Gdy ojca porzucał drogiego,
Gdy rzucał kraj, który miłował tak szczerze,
Dla życia w niebiesiech wiecznego.

„Co czynisz? — rzekł z cicha — o Kostko! bez pieczy
Chcesz w taką sam puścić się drogę? —
Gdy młodsi na większe ważyli się rzeczy,
Czemuż się sam wybrać nie mogę?
Wszak Paweł szesnaście lat liczył, gdy skrycie
Na puszczy jął nędzne wieść życie —
Apollon, gdy Panu się oddał za młodu,
Zaledwie piętnasty rok liczy;
W dwunastym Benedykt świetnego blask rodu
I cały świat rzucił zwodniczy;
Toż Niward potężny i w złoto i w bronie
Dziecięciem się Panu oddaje;
A król, co z Barlamem szedł w puste ustronie,
Jak wielkie porzucał dlań kraje!

„A jażbym dla Pana nie rzucił mych włości
I drobnych nie ścierpiał przykrości? —
Lat dziesięć miał Flocel, a skronie chłopczyny
W męczeński już wieniec się stroją;
Wit w siódmym i Mammes niewinną krwią swoją
Te same zdobyli wawrzyny;
A Kwiryk trzyletni korony złociste
I życie dla Ciebie dał Chryste!...

„A o mnie-ż rzec mają: ‚niezdarne mu ciało
Znieść trudów podróży nie dało?
On ziemię nad niebo, a herby szczerniałe
Nad cnotę przenosił i chwałę?‘ —
To pocóż tam w niebo wzrok wznosim spokojny,
I rozum dlaczegoż nam dany?“

Tak w nocy czuwając i bronią tą zbrojny,
Polecił się Panu nad pany
Wraz z całą rodziną — i zaraz tej nocy
Bez wiedzy dozorcy i brata
W skok z Wiednia podążył w nieznaną dal świata,
W Augsburgu chcąc szukać pomocy.

Wieść niosła rozgłośna, że żył tam w zakonie
Kanizyusz, mąż dzielny i święty.
Więc w duchu rzekł: „Jemu do kolan się skłonię,
A pewnie zostanę przyjęty.
A gdy mnie litośnie przygarnąć nie raczy,
Pochwycę za kostur żebraczy —
Gród każdy nawiedzę i wszędy tam zajdę,
Gdzie ujrzę zakonną drużynę;
Aż w gronie ich świętem dla siebie kąt znajdę
I wreszcie do portu dopłynę“.

Tymczasem zwodniczy ogarnął sen brata,
Wskazując mu prawdę w obsłonie:
Ot łabędź śnieżysty mu z klatki ulata
I wolny się wzbija nad błonie;

A potem nad wieżą klasztorną się słania,
I w górne unosząc się szlaki,
Piosenkę ostatnią nuci pożegnania;
A smutno zawodzą w krąg ptaki,
Aż silny ruch skrzydeł łabędzia z piosenką
Na zawsze w nieb uniósł przestworza.

I budzi się senny i szuka w krąg ręką
Śnieżnego łabędzia śród łoża:
Nie masz go; choć wodzi rękami dokoła,
Nie mogąc uwierzyć swej stracie,
Nie masz go; więc przez sen żałośnie zawoła:
— „O bracie! gdzież jesteś mój bracie?!“...

Już ocknął się trwożny i widzi nieszczęście:
Brak Kostki, jak wielka komnata. —
Więc z żalu w pierś głośno zadudnią ich pięście,
W pierś mistrza, w rozpaczną pierś brata.
O biada — mistrz woła — z oddanych mej pieczy
Najlepszej zabrakło nam rzeczy!

I wraz się rozbiegli przeszkodzić ucieczce,
Pytając: „Nie widział kto chłopca?“
— Tak rzeką im ludzie — wsparta na laseczce
Szła tędy sierotka nam obca.

Więc konie brat sprzęga, woźnicy bicz bierze;
Trzasł z bicza, aż wzbił się pył z drogi.
„Szczęść Boże staruszku! lecz powiedz mi szczerze,
Szedł tędy chłopaczek ubogi?“

„Tak, szparko z kosturkiem pielgrzymczyk biegł młody,
W birecie, w sandałkach — więc rzekę:
Do Kompostelli wżdy? gdy nie chcesz mieć szkody,
W Jakóba się oddaj opiekę“.

To słysząc, brat z koni sił nowych dobywa,
Tnie biczem, aż kurzy się droga;
W tem słyszy: w najbliższej wsi chłopczyk spoczywa;
Więc znowu nie szczędzi batoga.

Znów bije, lecz nie chcą rumaki iść zgoła,
Nogami poruszać nie mogą.
„Cóż to? — rzekł woźnica, ścierając pot z czoła —
Tak krótką zmęczone już drogą?
Tor równy, więc cóż me wstrzymuje rumaki?
Wszak w piasku nie brodzą ich nogi...
Czy jaka zła wróżba, czy może czar jaki?
Nigdy mi nie stały w pół drogi!“...

Cóż pocznie brat starszy? wóz jakby przybity,
Więc pieszo wyprzedzi go snadnie.
Idź proszę! dlaczegoż sam stoisz jak wryty?
Wbrew woli i tobą czar władnie? —
Mistrz za to, plan w głowie układa, jak zdoła
Przed ojcem tłumaczyć los wrogi.

Tymczasem zaś Kostka odpoczął śród sioła
I zmienił kierunek swej drogi.

Poznają Świętego zefiry — w drzew cieniu,
Wiatr ciało mu chłodzi płonące,
Ptaszęta w wesołem witają go pieniu
I źródła po łąkach szemrzące.
I ziemia mu łożem, a niebo mu strzechą,
Jagody go krzepią i woda —
A wszystko go nęci, napełnia uciechą
I cała go pieści przyroda.

Lecz kiedy w las zaszedł, gęstwami podszyty,
Strach zdjął go i spojrzał nieśmiało,
Czy wilk nań nie skoczy w gęstwinie ukryty,
By wątłe poszarpać mu ciało.
A jeśli Europa libijskie lwy żywi
I tygrys przechodzi tą drogą,
Jeśli go i zbójcy opadną krwi chciwi,
To czyjeż go ręce wspomogą?
Kto oczy mu zamknie, kto w grobie go złoży,
Śród obcych gdy ducha wyzionie?...

Śmierć, życie od Boga, więc nic się nie trwoży,
I Pańskiej się zleca obronie.

Prawego Pan darzy spokojem wieczystym,
Gdziekolwiek śmierć nagła go zgoni;
Kto chłodził młodzieńców trzech w piecu ognistym,
Śród świata swych wiernych obroni.

Więc śmiało tam dążył, choć droga go nuży,
Gdzie sławna Dilinga go woła;
Tam spoczął i nowej trud znosi podróży
Pod strażą li swego Anioła.
Szedł szybko, aż wreszcie po trudach tak wielu
Rzym ujrzał i stanął u celu.
Bo w grono zakonne od braci przyjęty,
Powiększył on zastęp ich święty.

A gdy się pod nowe zaciągnął sztandary,
Do których lat tęsknił już troje,
Z reguły zakonnej najcięższe ofiary
Z radością ponosił i znoje.
I zawód ten nowy w tak wielkiej miał cenie,
Że pełen głębokiej pokory,
Na samo doznanych łask bożych wspomnienie,
Do westchnień, do płaczu był skory.

I mawiał: „Śród owiec jam koźlę oporne,
Niegodne tej świętej gromady,
Lecz pragnę, tak miłe mi życie klasztorne,
By każdy wstępował w me ślady".

Dla starszych zakonu czcią dziwną przejęty,
Objawiał ją w całej postaci,
I każdy mu kapłan był czestny i święty,
Sam chciał być najmniejszym śród braci.
W Chrystusie dlań każdy kochanym był bratem,
I wzajem go każdy miłował;
Jak cnotą ów Tytus, co rzymskim trząsł światem,
Tak wszystkich i Kostka ujmował.

Jak ideał piękności, kwitnące mu ciało
Przedziwną urodą jaśniało,

A dusza bez grzechu, niewinna, świetlana,
W naukach pokarmu szukała,
Gdy dzielny charakter i stałość młodziana
Wnet wszystkim objawić się miała.

Bo Kostka senator list wysłał do syna,
— Tak miłość nim władła gorąca —
Narzeka na zakon, a jego zaklina,
By wracał w przeciągu miesiąca.
Do zaklęć rozkazy dołącza i groźby,
To znowu pochlebstwa i prośby:

Gdy umysł odmieni, z rąk ojca bez miary
Obfite czekają nań dary;
A gdyby się zaciął, w Italii chciał zostać,
To okuć go każe i schłostać.
Syna w nim nie uzna; jak sługa, pojmany
Za zbrodnie, poniesie śmierć srogą.
Lecz ani pochlebstwa, gniew ojca, śmierć, rany,
Ni prośby go zmiękczyć nie mogą.

Stateczny w zamyśle, jak silny dąb stoi,
List tylko wysyła tej treści:
„Mój Ojcze, mój bracie i wszyscy wy moi!
Czy woda w krzemieniu się mieści?
Cóż chcecie odemnie? nie żyję dla siebie,
Umarłem na zawsze dla świata;
Na resztę dni moich wziął śluby Pan w niebie,
On cel mój, On moja zapłata!“

„Dlaczego niesłuszny gniew na mnie wywiera
Mój rodzic i grozi surowo?
Czy twardy dyament rozetnie siekiera,
Czy mury przebije kto głową? —
Nie ufaj, byś zdołał lwa zmienić w komara
I z ziemi zatrzymać lot ptaka.
Śmierć w imię Chrystusa nie straszna to kara,
Jak szczęsna godzina mi taka!“

Gdy list ten bez jego podpisu wysłano,
Już odtąd na zawsze był stały:
Zapomniał rodziców, ojczyznę kochaną,
Wyrzekł się dóbr świata i chwały.

Chciał ojcem mieć Boga, a Bogarodzicę
Mieć matką, ojczyznę mieć w niebie.
Tak kochał, szanował najświętszą Dziewicę,
Tak sercem polecił Jej siebie,
Że przy nim gdy usta wspomniały ją czyje,
To jakby już w niebie był zgoła;
A sercem i słowy pozdrawiać Maryję,
Witanie powtarzać Anioła,
W noc, we dnie myśl zająć Jej życiem i Syna,
To jego zabawa jedyna.

Gdy szedł raz w tum Maryi, zwan większy[1], śród drogi
Towarzysz pytanie mu czyni:
„Skąd ci ta cześć Maryi, dlaczego tak drogi
Jej obraz w tej oto świątyni?“

A chłopiec odpowie mu w sposób chłopięcy:
„Tam ojcze mej Matki siedlisko!
Ach jakże jej nie czcić, nie kochać wciąż więcej,
Gdy ona wciąż przy mnie, tak blisko!“

A ilekroć wspomniał na dobra tej ziemi,
Boskiej je przypisał przyczynie;
A jeśli ich użył, ucieszył się niemi,
W cześć Bogu to czynił jedynie.

Jak wielce czcią boską miał duszę przejętą,
Jak wielki miłości żar w łonie,
I jaką gotowość, gorliwość jak świętą,
By wszystkim usłużyć w zakonie,

---

[1] Mowa tu o jednej z najpiękniejszych bazylik Rzymu, zbudowanej na wzgórzu Eskwilińskiem, zwanej *Santa Maria Maggiore*, której powstanie łączy się z podaniem o Najśw. Pannie Maryi Śnieżnej.

I jaka mu skromność, niewinność dziewicza
Z zacnego patrzała oblicza,
I jaka w posługach najniższych pokora,
Choć skryta, a widna jak złoto,
I jaka powaga u chłopca zbyt skora,
Zmieszana z przedziwną prostotą:
Ach tego, choć w pomoc wezwałbym Anioła,
Ma dusza doścignąć nie zdoła!

I prędzej potrafię gwiazd skreślić obroty,
Niż lot twój, o Kostko, w tej chwili,
Bo żywot twój wyższy, górniejsze twe cnoty,
Niż ojców, co niegdyś tu żyli.

Ach nieraz twą ręką smagały ci bicze
Aż do krwi twe ciało dziewicze;
Bo wieniec męczeństwa chcąc zyskać przed Panem,
Sam sobie bywałeś tyranem.
A kiedy nad świętą trawiłeś czas księgą,
Twa dusza, w skupieniu porwana
Potęgą twych uczuć i myśli potęgą,
W modlitwie płynęła do Pana.
I duch twój płomienny w najwyższym zachwycie
W blask Boży zanurzał swe życie.

I nieraz obecnym naonczas się zdało,
Że duch twój porzucił już ciało,
Że zamiast pobudzać do lotu twe skrzydła
Potrzeba ci było wędzidła.
Toż przedsmak ten nieba mowami-ś świętemi
O życiu objawiał wieczystem;
Boś cnotą zasłużył i sercem twem czystem,
Żeś Boga oglądał na ziemi.

O jakże szczęśliwym młodzieńcze zwać ciebie,
Co żyłeś na świecie, jak w niebie!
O jakże wysoko to serce czcić trzeba,
Ten ołtarz dla Boga kapłański,

Na którym wciąż płonął zesłany żar z nieba,
Podsycan przez pokarm niebiański,
Aż razem, jak miła ofiara dla Pana,
Spłonęło i serce młodziana! —

Cóż więcej wam powiem? zostałoż co jeszcze?
Dokądże to Muza mnie woła? —
Przestańcie zamącać łzy serce me wieszcze,
Gdy śmierć mam opiewać Anioła.
Nie umarł on młodzian — on usnął na chwilę,
W Chrystusa spokoju spoczywa —
Tak lekka gorączka; a siły w niej tyle,
Że krzepkie to ciało rozrywa.

Na trzy dni przed śmiercią: „Skończona — rzekł — droga,
Już idę oglądać twarz Boga!“
I nadszedł dzień trzeci — różana lśni zorza,
I słońce promieńmi złotemi
Stanęło w południu; on zerwał się z łoża,
Pochylon na gołej legł ziemi,
I czyny swe grzeszne kładł w ucho kapłana,
— Grzecznemi je raczej zwać trzeba —
A potem pożywał z czcią Ciało, Krew Pana,
Bo droga daleka do nieba.

A wtedy przystąpił sam Rektor dostojny,
Któremu dusz piecza oddana,
I aby do walki ostatniej był zbrojny,
Olejem namaścił młodziana;
A potem w serdecznem zapytał go słowie:
— Czyś gotów? — a młodzian odpowie:

— „Ma wola gotowa na rozkaz już Boga,
Ostatni bój mężnie przetrzyma“.
— Żołnierzu ty młody! nie lękasz się wroga? —
— „Bóg wielki przemoże olbrzyma!“

Już słońce promienie nurzyło w głąb morza
I gasła wieczorna już zorza,
Gdy biorąc zwycięską koronę do ręki
Z posągu Najświętszej Panienki,
Rzekł: — „Jezu! jam gotów na posłuch Wodzowi,
O poleć mnie Matko Synowi!“
I spytał ktoś: — Po cóż się bawisz koroną? —
— „Na chwałę — rzekł — Matki to robię!“
— Szczęśliwyś! wnet z Matką połączysz się oną...
— „Ach! ujrzę mą Matkę w tej dobie!“

I ręce z radością wzniósł w błękit daleki —
Jej obraz całować zaczyna.
I zaszła noc — braciom sen skleił powieki,
I trzecia wybiła godzina.

Stał z boku braciszek, a młodzian mu powie:
— „Gdzież bracia? gdzie moi Ojcowie?
Zapewnie po pracy śnią teraz przyjemnie —
Pożegnaj ich z serca ode mnie,
I przeproś, gdy czynem lub słowem niemiłem
Niechcący którego zraniłem“.

I jakby minęły już walki i smutki,
A niebo mu było w pobliżu,
Zanucił: „Ach! krótki czas, Boże! ach, krótki!
Podajcież mi Pana na krzyżu!
O jesteś jedyna nadziejo zbawienia!
Jak Panie za twoją Ci pracę,
Za miłość twą wielką, bolesne cierpienia,
O naucz mnie, jak Ci odpłacę!“

„Z niczego Tyś Boską mnie stworzył wszechmocą
I twoją obmyłeś Krwią, Chryste!
Tyś słudze był wodzem, Tyś był mu pomocą,
Gdy w drogi szedł życia cierniste.
Tyś z Świętych twych, Panie, połączył mnie gronem
Co z twym mnie poznali zakonem.

O przebacz mi grzechy, o Jezu mój drogi!
Niech spocznę, duch w niebo przyjęty!“
To rzekłszy, całował i ręce i nogi
I głowę i stokroć bok święty.

A ufny, że pomoc i od nich otrzyma,
Miesięcznych Patronów swych wzywa,
I z miłym uśmiechem swą mowę urywa,
Jasnemi w krąg wodzi oczyma;
A oczy te, pełne gwiazd, ognia i siły,
Jak oczy Aniołów świeciły.

Nim czwarta z północy godzina wybiła,
Ktoś z braci go z cicha zagadnie:
— „Czy, synu, obecność ci nasza niemiła?
Odejdziem, gdy spocząć chcesz snadnie.
Tak patrzysz wesoło — wolałbyś sam zostać?
Twe oko coś objąć się stara...
Czy tobie Bóg widny — Jezusa to postać?
Czy z Matką twą święta Barbara?“
On milczy i tylko mu w twarzy wykwita
Blask dziwny i uśmiech uroczy —
— „Znasz Kostko ten obraz — braciszek zapyta —
Co teraz ci stawim przed oczy?...“

„Czy zasnął po troskach? czy czyste mu ciało,
Gdy dusza w zachwycie, stężało?
Dlaczegoż tak zimny i sobą nie włada?...
Puch nie drży przytkniony do nosa —
I głowa stężała na bok mu opada,
I ręce zwieszone z ukosa;
W tył szyja zapadła pomiędzy ramiona...
Przestało bić serce śród łona“.

„Zaiste! zabrany nam został w tej porze,
Gdy sercem tak modlił się całem —
Już Twoję ogląda Najświętszą twarz Boże!
Już zachwyt mu wiecznym udziałem!“

„Blask tylko anielski pozostał na twarzy,
Z ust dziwna woń płynie dokoła;
Jak kwiatek podcięty żelazem żniwiarzy,
Jak zwiędły mak polny śród sioła,
Gdy świetnych barw blaski i miłą woń traci,
Z dniem każdym mniej piękny z postaci:
On piękny — po śmierci piękniejszym się staje,
Jakby był z zastępu Aniołów".

„A nam tu najbardziej to dziwnem się zdaje,
Że żadnych nie cierpiał mozołów,
Że chłopiec, co ledwie ośmnasty rok liczy,
Nie doznał przy śmierci goryczy.
I ani w podrzutach przedśmiertnych mu ciało,
Ni lice, ni oko zadrżało —
Bo ani chorobą był ostrą podcięty —
Był wesół, zdrów, świeży — nietknięty".

„Zaiste! z Dawidem nam trzeba powtórzyć:
Twa ręka to Panie zdziałała,
Twa ręka, co spójnię sił zdolna rozburzyć,
Co żywe gruchoce w proch ciała —
Twa ręka, co ciało umarłe człowieka
Ożywia i w światłość obleka!"

„Męczennik Chrystusa, sam z własnej on woli
Swe długi zapłacił tu wcześnie —
A kto się sam karze i w świecie mozoli,
Ten życia nie kończy boleśnie".

„I jako Jan święty, on orzeł, z mogiły
Do nieba skierował lot śmiele,
Zdrów, krzepki, bez wzruszeń, nie tracąc swej siły,
Boleści nie czując w swem ciele:
Tak łabędź ten również bez bolu, cierpienia,
Orłowym w lot puścił się szlakiem,
I czystej swej duszy wiecznego zbawienia
Niemylnym ucieszył nas znakiem;

Bo właśnie w rocznicę dnia tego, gdy Święta
Dziewica do nieba jest wzięta,
I jego też dusza, już wolna od ciała,
Za Panią swą w niebo wzleciała".

Tak bracia, całując mu usta przeczyste,
Radośnie ze sobą gwarzyli;
A potem go w suknie ubrali wzorzyste —
Na nowy katafalk złożyli.

A starszy ze łzami: „Śpij Kostko! — powiada,
Nim w świętej cię ziemi pogrzebię —
Ach duch nasz wesoły, choć sercem żal włada,
Bo jakże się smucić gdyś w niebie!"

A gdy się to działo, dziw nowy w tej porze
Objawił znów świętość młodziana.
W szczerej z nim przyjaźni żył w innym klasztorze
Przezacny młodzieniec; ten z rana,
Nie wiedząc w oddali, że Kostka już nieżył,
Do niego się wybrać zamierzył.

Lecz zaspał, choć złota błyszczała już zorza —
I widzi w śnie twardym śród łoża,
Jak z domu Andrzeja, reguły tej samej
Mnich idzie i pyta od bramy:
„A dokąd?" — W świętego Andrzeja dom dążę —
„A po co?" — Bo przyjaźń mnie wiąże
Tam z Kostką. — „Napróżno — rzekł — wracać ci trzeba,
Stanisław już odszedł — do nieba".
— Czy prawda? — „Nie wierzysz? idź, nikt cię nie trzyma,
Własnemi to ujrzysz oczyma.
Wnet poległ ten żołnierz, lecz jakże bogaty
W zasługi, choć życie niedługie.
Gdy inni przynoszą owoce lub kwiaty —
On Bogu dał jedne i drugie.
Rok ledwie bojował, weteran dostojny,
Tak młody, a siłą swą jary,

I odniósł, gdy wszystkie ukończył już wojny,
Zwycięskie Wodzowi sztandary.
A Wódz mu zwycięztwa koronę dał złotą;
Dziś młodzian nad gwiazdy, w lazury,
Gdy sam się do Dziewic zaliczył swą cnotą,
Prowadzi przed Boga ich chóry.
Tam nowy on teraz hymn nuci niebiański
I w struny swej lutni uderza,
Tam pokarm wieczności, tam nektar mu Pański
Spragnione wciąż usta odświeża.
I okiem już Niebian blask Boży ogląda —
Myśl krzepią mu Bożych dóbr dary,
Waleczny bojownik ma, czego pożąda
W nagrodę swych trudów i wiary.
On nowozaciężny za Królem szedł wszędzie —
Nam za nim w te same iść szlaki,
Dla ludzi Bóg jeden był zawsze i będzie,
I ludzki duch zawsze jednaki;
A hojna dłoń Boża, jak była przed wieki,
Trwa dzisiaj — trwać będzie na wieki!“ —

To słysząc młodzieniec, chciał pytać — wtem oko
Otworzył i znikło widzenie.
Już zorzę słoneczne spłoszyły promienie,
Bo słońce już stało wysoko;
Więc zerwał się z łoża i w klasztor Andrzeja
Z obawą go wiedzie nadzieja.

Tam poznał, że prawdę rzekł we śnie mnich młody —
W zdumieniu sen braciom powtarza.
Ich twarze się mienią, bo na nich w zawody
To radość, to ból się wyraża.
Kto płakał przed chwilą, ten radość ma w łonie;
Kto wesół był — z szczęścia w łzach tonie.

Tłumaczył Wincenty Stroka.

KONGRES WSZECH RELIGIJ

W CHICAGO.

(Ciąg dalszy).

Przechodząc do charakterystyki innych wyznań chrześcijańskich, przytoczę najprzód mianą tam razu pewnego rozmowę. Spytała mię jedna znajoma: jakiego jestem wyznania?...

— Jestem katolikiem, — odpowiedziałem — a pani?

— Należę do kościoła episkopalnego, lecz ja siebie liczę do ogólnego kościoła.

— Jak mam to rozumieć? — spytałem zaciekawiony nazwą wyznania, o którem dotąd nie słyszałem.

— Bardzo prosto! — odpowiedziała — w kościele katolików jestem katoliczką, u luteranów jestem luteranką, u metodystów metodystką... w każdym kościele uznaję i czczę religię i wiarę w Boga... ich nazwy to słowa bez treści...

Rozmowa ta zwróciła moją uwagę w tym kierunku i w niedługim czasie następnie dostrzegłem, że ta — niech mi tak wolno będzie powiedzieć — przeze mnie odkryta sekta deistyczno-chrześcijańska, liczy już ogromną liczbę wyznawców. Z natury rzeczy ona nie jest jawną, nie może również, bo nie ma potrzeby, występować jako organizacya religijna, bo wszystkie kościoły są jej własne, a jednak ta sekta jest już wszędzie, przenika tam coraz więcej a więcej wszystkie wyznania niedogmatyczne. Jako katolika, nic mię bardziej nie ucieszyło, nad od-

krycie tej nowej sekty ogólnego kościoła. Jest to niwelacya różnic wyznaniowych, jak w obecnem stadyum, przedewszystkiem chrześcijańskich. Ostatnim a koniecznym wynikiem tego prądu religijnego będzie to, iż tam ponad wszystkie inne wyznania chrześcijańskie wzniesie się i duchowo nad niemi zapanuje to wyznanie, które się zniwelować nie pozwoli. Sądzę zbytecznem nazwać je po imieniu. Muszę nadmienić, iż nietylko już w łonie wyznań chrześcijańskich jest ten prąd niwelacyjny — przekonamy się o tem.

Przytoczona powyżej rozmowa była dla mnie wielce pouczającą, dała mi bowiem klucz do rozwiązania kilku ważnych, poprzednio nierozumianych zagadnień. Wyrazem powszechnie tam przyjętym dla pojęć: wyznanie, kościół, jest *denominatio*. Nieraz poprzednio pytałem siebie o duchową genezę tego słowa. Rzecz prosta. Różnice teologiczne, to sprawa drugiego rzędu, a główną, jest to zaznaczenie samoistnej organizacyi pewnego kościoła w niezależności od innych. Stąd wypływa konieczność odrębnej nazwy. Liczne świadectwa na to dali samiż protestanci w swych mowach. Tego stanu rzeczy koniecznem następstwem było, iż z wyjątkiem przedstawicieli kościoła anglikańskiego i uniwersalistów, nikt z protestantów nie zaznaczał jawnie i stanowczo w swej mowie, do jakiego wyznania należy, a byli i tacy, którzy wprost potępiali ten podział na kościoły i kościołki. Wynikiem tej, że tak się wyrażę, niejawności mówców wyznań niekatolickich było to, że cała ta ogromna część parlamentu nie odpowiedziała założonemu programowi. Każde wyznanie miało wypowiedzieć, w co i dlaczego wierzy i jak jego wiara wpływa na społeczeństwo jego wyznawców; tymczasem wszyscy przedstawiciele niekatolików wygłaszali traktaty, nierzadko wielkiej podniosłości myśli, niezwykłej wartości literackiej, lecz treści ogólno-religijnej, lub ogólno-społecznej. Wprawdzie w tym samym czasie niektóre wyznania odbywały swoje wyłączne kongresy, niektóre dość liczne, lecz te zebrania były w innych salach a w tychże godzinach, w których były sesye parlamentu. Słowem, tego, co kongres w programie ogłosił — zestawienia doktryn religijnych — nie było, a to w bardzo wielkiej

części, bo w całym dziale wyznań chrześcijańskich. Katolicy przedstawili cały ogół swych zasad religijnych i ich wpływ na społeczeństwo, lecz inne wyznania chrześcijańskie nie dały do porównania swych systemów religijnych. Ten fakt nie potrzebuje żadnych wyjaśnień, skoro się wie o istnieniu kościoła ogólnego. Tej ujemnej stronie parlamentu nie zaradzi nawet i to, że może w pamiętnikach kongresowych będą podane traktaty, odczytane na wyłącznych, poza obrębem parlamentu odbywanych, kongresach religijnych, bo tylko uniwersaliści, uczniowie Chrystusa, swedenborgianie, adwentyści, kwakrowie, luteranie, baptyści, ewangeliści, metodyści, kościół reformowany episkopalny i kościół reformowany amerykański, mieli swe zgromadzenia — gdy wszystkich wyznań chrześcijańskich w Stanach Zjednoczonych jest powyżej setki.

Na to zachowanie się niekatolików najlepsze a stanowcze światło rzucił odczyt miany przez pastora Carroll'a p. t. „Statystyka kościołów Stanów Zjednoczonych". Oto kilka danych i kilka wymownych ustępów z tej pracy. By listę długą liczb trochę ubarwić, autor pozwalał sobie często na dość złośliwe dowcipy. Rozpoczął uwagą, iż Stany Zjednoczone charakteryzują się pomysłowością, a to nietylko w industryi, tak różnorodnej w ich kraju, lecz również i w obszarach ducha, posiadają bowiem wszystkie religie świata, a nadto jeszcze inne, im tylko właściwe, jak np. mormonizm. Otóż wszystkich denominacyj jest ogółem 143, a nadto 150 kongregacyj religijnych najzupełniej niezależnych od jakiegobądź kościoła. Wyliczał następnie grupy tych denominacyj. A więc: presbiteryanie mają ich 12, metodyści 17, baptyści 13, bracia 7, adwentyści 7, katolicy 7 (liczył bowiem do grupy katolickiej właściwy Kościół katolicki, unitów, starokatolików, reformowanych katolików, kościół grecki, ormiański i prawosławie), uczniowie Chrystusa 2, komuniści 9, kwakrowie 4, dunkardzi 4, luteranie 16, menonici 12, episkopalni 2, reformowani 2, zjednoczeni bracia 2, żydzi 2, mormoni 2, a nadto jeszcze 33 wyznań jednolitych. Każda z tych denominacyj ma swoją odrębną nazwę, często zadziwiającej formy. Tak np. jedna denominacya baptystów brzmi jak nastę-

puje: Starzy-dwóch-w duchu-posiewów-predestynacyanie *(Old-two-seed-in-the-spirit-predestinarian)*. Ma to oznaczać, iż w duszy każdego człowieka jest podwójna predestynacya jego złych i dobrych czynów. Bracia mają 7 denominacyj, z których cztery stanowią odrębną grupę, nosząc dodatkową nazwę *Plymouth*; lecz na oznaczenie dalszych różnic, nie mogąc znaleść odpowiedniego wyrazu, dodają jeszcze cyfry, są więc *Brethren Plymouth* nr. I, nr. II, nr. III i nr. IV. Prelegent zaznaczył, iż nic bardziej trudnego nad wyszukanie różnic teologicznych zachodzących między kościołami jednej i tejże grupy. Tak np. kościół presbiteryański Stanów Zjednoczonych i kościół presbiteryański Stanów Zjednoczonych w Ameryce określają swoją różnicę teologiczną tem, iż pierwsi są supralapsaryanie a drudzy sublapsaryanie, „lecz ja pozwolę sobie wątpić — zauważył autor — czy który z ich teologów rozumie tę różnicę". — „Długo też jej szukałem — powiadał dalej — między reformowanym kościołem Stanów Zjednoczonych a reformowanym kościołem Stanów Zjednoczonych Ameryki, aż dopiero, gdy wziąłem do rąk ich wydawnictwa, znalazłem bijącą w oczy różnicę, a mianowicie pierwsi wydają swe publikacye w błękitnych okładkach a drudzy w gwoździkowych"... Zwykłą przyczyną tego rozdrabniania sekt jest przedewszystkiem rozluźnienie karności kościelnej. Sekty rozpadają się najpierw duchowo, na stare i młode pokolenie — tradycyonistów i reformatorów form życiowych; do tego przyłącza się spór o jakiś artykuł wiary — ostatecznie ambicya osobista jednego lub kilku ludzi tworzy odrębny kościół i nową denominacyę. Przykład takiej genezy sekt wykazał najjawniej w historyi sekty dunkardów. Najliczniejsze, a nawet wyżej nad porównania stojące wyznanie, jest katolickie, liczy bowiem 6,231.000 wyznawców, a przytem rośnie w niezwykły sposób. Przed stu laty liczyło tylko 25.000, a przed 50-ciu laty 1,200.000 dusz. Prelegent twierdził, iż ten wzrost katolicyzmu trzeba przypisywać licznemu napływowi ludności z krajów katolickich: z Irlandyi, Polski, Niemiec i Kanady, a nie nawracaniu się; wedle jego bowiem świadectwa,

na 100 nawróconych do katolicyzmu, 1000 katolików przechodzi na protestantyzm. Nie sądzę, by to zdanie p. Carroll'a mogło wytrzymać krytykę. Irlandczyków wywędrowało na cały świat od 1815 do 1883 roku razem wszystkiego 2,500.000; z Niemiec wychodzą przeważnie z protestanckich krajów; z Poznania i Szląska od 1871 do 1881 roku wywędrowało około 100.000; pozostaje więc jeszcze do wzięcia na uwagę Kanada, ale do tego nie mam żadnych cyfr statystycznych. Sądzę, iż jednym z bardzo ważnych czynników szybkiego wzrostu ludności katolickiej jest trudność uzyskania rozwodów.

Z niekatolickich wyznań najliczniejszem jest kościół metodystów episkopalnych, liczący 2,240.000; następnie regularnych baptystów kolorowych (Murzynów, Indyan i mieszańców) 1,362.000; baptystów południowych 1,308.000, i kościół metodystów episkopalnych południowych, liczący 1,210.000 wyznawców. Prócz pomienionych pięciu wyznań, prelegent nie wyliczał innych po szczególe, zaznaczył tylko, iż 98 z nich liczy poniżej 25.000, 75 poniżej 10.000, 54 poniżej 2500, a 32 wyznania poniżej 1000 dusz wyznawców. W tym dziale idą coraz mniejsze a mniejsze kościoły, aż do 25 wyznawców; a reformowanych presbiteryanów prelegent wykreślił z listy wyznań, liczyli bowiem tylko 21 wyznawców, z których 8 było w Pitsburgu, 4 w Filadelfii, 6 w państwie Illinois, a 3 w Missuri. Ta ostatnia notatka jest ogromnej doniosłości, rzuca bowiem niezmierne światło na religijne stosunki tego kraju, światło na pierwszy rzut oka przerażające, lecz nam, katolikom, ono musi dodać otuchy i nadziei na niedaleką — ufajmy w Bogu — o wiele lepszą religijną przyszłość.

Zechciejmy rozważyć. Lecz przedewszystkiem muszę zrobić nacisk na to, że Europejczyk, myśląc i mówiąc o Ameryce, nie powinien nałamywać swych wnioskowań wedle tego, co wie o stosunkach europejskich. W wielu, bardzo wielu stosunkach społecznych Europejczycy i Amerykanie wychodząc z tychże samych danych, w dalszym rozwoju poprowadzili te stosunki do zupełnie przeciwnych wyników, a nadewszystko w stosunkach religijnych. Już jeden fakt widzieliśmy. U nas w Europie

na podstawie ścierania się interesów państwowych ze sprawami kościołów doszło do rozdziału kościoła i państwa, lecz w formie przemocy państwa nad kościołem. Tam na tejże samej podstawie doszło również do rozdziału kościoła i państwa, lecz w formie wzajemnej pomocy i wzajemnej ochrony. Obszernie to wykazał traktat ks. Gormana. Drugie, również wielkiej doniosłości, przeciwieństwo mamy obecnie do rozpatrzenia. Odszczepieństwo Lutra, Kalwina i innych utworzyło u nas w Europie odrębne kościoły, które się później jeszcze bardziej rozpadały, i chociaż ten podział nie doszedł takiego rozdrobnienia, jakie widzimy w Ameryce, to jednak ostatnim wynikiem tego rozkładu kościołów u nas w Europie stał się zupełny upadek ducha religijnego w ogólnem znaczeniu tego wyrazu, jednem słowem bezwyznaniowość. Ta, nie sekta, lecz to pogaństwo szerzy się u nas w miarę tego, jak w klasach inteligentnych szerzy się tak zwana wolnomyślność, *recte* anarchia myśli, a w klasach roboczych socyalizm z jego najwyżej inicyowanymi, anarchistami. Sądzę, iż nie potrzebuję szczegółowiej zakreślać tych ogromnych obszarów, na których dziś w Europie panuje bezwyznaniowość, praprawnuczka wielkiej schyzmy z XVI. wieku, a panuje w majestacie despoty, przy dźwiękach „Marsylianki“ i innych podobnych pieśni, przy salwach dynamitowych bomb.

Teraz popatrzmy, do czego doszli Amerykanie, wyszedłszy z tegoż samego punktu, z reformacyi Lutra, Kalwina i t. p. Tam kościoły chrześcijańskie nie podzieliły się, lecz rozproszkowały się, bo na kilkadziesiąt milionów ludności Stanów Zjednoczonych jest przeszło 100 kościołów i 150 samoistnych kongregacyj, razem dwieście kilkadziesiąt niezależnych od siebie kół i kółeczek religijnych. A jednak upadku ducha religijnego w ogólnem znaczeniu — tj. braku poczucia potrzeby religii jako koniecznej potrzeby duszy ludzkiej, tj. upadku wiary w Boga i duszę ludzką, tj. pogaństwa — niema. Co może być większem świadectwem tego, nad ową sektę reformowanych presbiteryanów rozsianych w trzech państwach, nie mających i nawet nie mogących mieć domu modlitwy, a jednak żądających, by ich razem a razem 21, uznano za kościół? Wyobraźmy sobie, że u nas w Europie ośmiu

ludzi w Paryżu, czterech w Monachium, sześciu na Pomorzu a trzech w Tyrolu ogłaszają siebie za odrębne wyznanie!?... Wątpię, czy po tygodniu już władze państwowe nie zaradziłyby ich niemożności zbudowania sobie domu modlitwy, użyczając im na ten cel... domu obłąkanych. U nas nazywają, i słusznie, aktem odwagi, jeżeli kto otwarcie wyraża swe przekonania religijne. Gdy w Monachium z grona profesorów uniwersytetu jeden tylko Bolgiano szedł w todze na procesyi Bożego Ciała, wszyscy protestanci, a i katolicy, szydzili z niego. Gdy w dzień jubileuszu tegoż uniwersytetu jedno z pism katolickich przypomniało, że ta *Alma Mater* jest dzieckiem Kościoła katolickiego, że akt ten powinien był się rozpocząć nabożeństwem w kościele, artykuł ten na zgromadzeniu studentów-chrześcijan odczytano jako niezmiernie dziwną humoreskę i wzniesiono rozgłośne *pereat* na redaktora. A byli w tem zgromadzeniu i starsi, i to się działo — już nie chcę mówić: w katolickiem, lecz w chrześcijańskiem społeczeństwie i państwie... A tam w Ameryce, w społeczeństwie dwustu kościołów, każdy kongres, a na kongresie religijnym każda sesya była rozpoczynana modlitwą, a całe zgromadzenie samo, bez wzywania wstawało natenczas z miejsc, a to zgromadzenie to byli przeważnie ludzie w dojrzałym wieku, a jak na kongresie religij, przeważnie siwe głowy.

Liczne towarzystwa chrześcijańskiej młodzieży, mężczyzn i kobiet, chrześcijańskie towarzystwa robotnicze liczą tysiące a tysiące członków. Kongresy ich odbywały się wyłącznie w salach Kolumba i Waszyngtona, bo inne sale nie pomieściłyby uczestników. Najbardziej uwielbiani mówcy, to byli duchowni. Wyznanie, do którego oni należeli, nie miało najmniejszego wpływu na okazywaną im cześć. Gdy na kongresie delegatów młodzieży szkolnej z całego państwa, a więc w dziewięciu dziesiątych niekatolików, prezes kongresu biskup protestancki Fallows wziął pod ramię biskupa katolickiego Spaldinga i podprowadził do mównicy, te kilka tysięcy młodzieży, chłopców i dziewcząt, zerwało się z krzeseł, wołało i wiało chustkami przez kilka minut. Olbrzymi kongres wstrzemięźliwości obejmował wyznawców wszystkich religij, a prezesem był arcybiskup katolicki ks. Ire-

land. Najniebezpieczniejszy przeciwnik niekatolików, bo wychowujący młodzież duchowną, prezydent katolickiego uniwersytetu biskup Keane, jest otaczany najwyższym szacunkiem ministrów niekatolickich. Protestant wita kongres katolików na schodach pałacu... Dość tych wyliczań... tam jest zamęt religijnych pojęć, ale jest religia, jest wiara w Boga, wiara w duszę nieśmiertelną i niemasz pogaństwa, do którego doszła Europa, i tylko przez obłudę nazywa je nowem mianem bezwyznaniowości. Widzimy więc, iż, wychodząc z tegoż samego punktu, z odszczepieństwa, idąc zupełnie podobną drogą, ciągłego dzielenia się już istniejących organizmów religijnych na nowe samoistne; Stany Zjednoczone przychodzą nie do pogaństwa, lecz do świadomości, iż dalsze dzielenie jest rzeczą niemożebną a przytem najjawniej zgubną — czują, iż trzeba powrócić do jedności. Z tego poczucia tworzy się sekta ogólnego kościoła, ta żądza jedności rodzi myśl, i to w kole protestantów, kongresu wszystkich religij. Pojednania się jeszcze niema, ale dążenie ku niemu już jest, trzeba je tylko bacznie kierować i strzedz od nowych błędów...

Teraz dopiero rozumiemy te tłumy stojące na deszczu przed bramą kongresu, dopiero teraz mamy ostatnie światło rzucone na stanowisko katolików, jakie zajęli w parlamencie religij. Na tle tego obrazu, który tu podałem, jaśnieją w całym blasku natchnione słowa ks. Gibbons'a: „Czułem, iż ubliżyłbym swoim obowiązkom, obowiązkom przywódcy Kościoła katolickiego w tym kraju, jeżelibym nie stanął tu w waszem gronie i nie wypowiedział chęci, by religia katolicka była tu rozważoną, a jeśli można, przyjętą... Kain wołał niegdyś: ‚azali ja jestem stróżem brata mojego' — a ja wam powiadam: jesteśmy wszyscy stróżami braci naszych, i nic ku Zbawcy naszemu nie zbliża nas więcej nad niesienie światła z Niebios do ciemnic zbłąkanej duszy. — Ja już nie szukam religii, bo ja ją mam i skarbu tego nie kryję w swej piersi, lecz chcę nim obdzielić wszystkich". Teraz dopiero jasną nam jest myśl ostatniego ustępu w odczycie ks. Gormana: „nigdzie Kościół katolicki nie ma tak rozległego pola do działania jak w Stanach Zjednoczonych"... Ks. Gibbons

i jego towarzysze katolicy weszli do parlamentu jako misyonarze. Europa tego nie zrozumiała, bo tak przywykła do widoku bezwyznaniowych, a co najmniej indyferentnych mas, że nie jest zdolną pojąć, iż mogą istnieć masy religijne.

Nie myślę wcale zaprzeczać, że i tam są bezwyznaniowcy, również jak i u nas zwani wolnomyślicielami, lecz jak nieliczną musi być ich garstka, jeżeli można było ich wprost niedopuścić do pałacu kongresowego. Amerykanie uważali to za rzecz najsłuszniejszą; cóż bowiem w departamencie kongresów religijnych miał robić kongres bezreligijny?... To samo co w departamencie wstrzemięźliwości kongres gorzelników. Tylko Europejczycy byli do najwyższego stopnia zadziwieni i oburzeni tą nietolerancyą w tak wolnej rzeczypospolitej!... bo u nas w Europie tolerancya jest monopolem tych, którzy na religię krzyczą; ale krytykować bezwyznaniowość, to się nazywa najstraszniejszą, z ciemnego średnich wieków barbarzyństwa idącą, nietolerancyą.

Nie byłem na posiedzeniach wolnomyślicieli, lecz mam przed sobą ich program. Nie widzę wśród 27 mówców ani jednego nazwiska znanego w tamecznym świecie, a nadto program ten, jak na kongres naukowy, jest za bardzo muzykalny. Posiedzenia trwały pięć dni, było ich 14, a na nich było 22 przemów bez tytułu, 23 zatytułowanych odczytów i 20 produkcyj muzycznych. To za bardzo śpiewnie i za bardzo skąpo na międzynarodowy i to w czasie wystawy zgromadzony kongres. Pod względem zaś treści odczytów widzimy, iż wolnomyślicielstwo amerykańskie stoi na tym punkcie, na którym stało w Europie w przeszłem pokoleniu. Siedmiu prelegentów stacza walkę z chrześcijanizmem. To rzecz, nad którą wolnomyśliciele europejscy dawno już przeszli do porządku dziennego. Strauss i Renan już w grobie — teraz sprawa poszła dalej; szkoła antropologów w Paryżu zaprzecza najzupełniej istnieniu Boga i duszy, a tutaj widzę aż dwa odczyty o religii. Prócz tego były cztery odczyty o kwestyi kobiecej, dwa odczyty historyczne z Rosyi i Czech, a więc tylko siedm odczytów traktowało doktrynę wolnomyślicielstwa odpowiednio dzisiejszemu jej stanowisku. To

w każdym razie za mało na 14 sesyj. Niniejszy epizod o wolnomyślicielach muszę zakończyć wzmianką, iż jednemu z nich udało się zabrać głos w parlamencie religij, a to — o ile się domyślam — dlatego, iż dał swojej rozprawie tytuł, z którego trudno było wnioskować o treści. Idealizm — nowa religia, taki był tytuł rozprawy p. Brodbecka, pełnej komunałów na temat, iż człowiek powinien się starać, by wszystko było idealnie dobre. Posądzam jednak autora, że bardzo często sam siebie nie rozumiał, bowiem przedewszystkiem nie zaznaczył niczem, co ma być podstawą i miarą tego ideału. Dla muzułmanina ideałem — bogaty harem, a dla tylu innych wyznań ideałem rodzina oparta na monogamii. Dla Hindusa ideałem kontemplacya, dla innych życie pełne czynu. Zapewniał, że ta nowa religia liczy bardzo wielu wyznawców w Niemczech, o czem bardzo wątpię, ale nie wątpię bynajmniej, że nawet jednego ze słuchaczy nie nawrócił do tej pięknie i płynnie wypowiedzianej utopii, w najkrótszym czasie utopionej w niepamięci.

W dalszym ciągu prac parlamentu, niezmiernego wrażenia, a sądzę, że i wielkiego wpływu na przyszłość protestantyzmu, była sesya 21-go września. Pastor Caudlin, którego później poznamy bliżej, przez długie lata misyonarz w Chinach, który tam nawet zyskał stopień naukowy i występował na kongresie w stroju odpowiednim tej dystynkcyi, zrobił wniosek, by obecni Hindusi, Chińczycy i Japończycy wypowiedzieli swe zdanie o misyach chrześcijańskich (*recte* protestanckich) w swych stronach. Przystali na żądanie — mówili wprawdzie ogólnikami, lecz kilka wygłoszeń było tego rodzaju, iż dały najsmutniejsze świadectwo tej sprawie. Główna przyczyna leży w tym niezmiernym podziale na sekty. Każda zakłada odrębny misyjny dom, z tego powstaje najzgubniejsze w skutkach i najgorszego charakteru współzawodnictwo, nieprzebierające w środkach.

„Wysyłajcie do nas — tak wołał Darmapala, buddysta — ludzi z poświęceniem, pełnych miłosierdzia i tolerancyi, a nie szukających zysku. Pamiętajcie, że w naszym kraju są różne od waszych pojęcia i przekonania — wasze rzezalnie bydła przejmują nas wstrętem i zgrozą. My takiego chrześcijanizmu

nie chcemy. Nakażcie waszym misyonarzom, by przedewszystkiem uczyli się religii tuziemców. Buddyjscy misyonarze byli biedni, działali na moralność ludowych mas, oni to złagodzili dziki charakter Mongołów — a wasi misyonarze występują w dziwacznych strojach, z Biblią w jednej ręce, a butelką rumu w drugiej". — Narasimacharya, bramin, dowodził przekonywająco, dlaczego sprawa chrześcijaństwa idzie tak opornie w Indyach. „Ten kraj widział tyle systemów religijnych, które się podniosły i upadły tam bez śladu, a były to wyznania krajowe, tam wyrobione — jakże więc możecie żądać, by się przyjęła religia przyniesiona z obczyzny i to taka, która wymaga od nas, byśmy zabijali zwierzęta i jedli ich mięso? To naszej naturze do najwyższego stopnia jest wstrętne. Jak długo wasi misyonarze będą uważali za pierwszy krok do nawrócenia się jedzenie mięsa, tak długo nasz kraj będzie stał opornie przeciw nauce chrześcijańskiej. Mówcie waszym misyonarzom, niech przywdzieją żółty kaftan naszych mnichów-braminów i niech tak idą od domu do domu. Niech się nie zrażają wyśmiewaniem! Któryż z proroków nie był wyszydzanym? Myślicie, że wam teorye prawię! nie!... przed dwustu laty tak robił biedny Jezuita, Ojciec Beschi, i był wszędzie szanowany, w Madurze przez króla przyjęty, i czytał przed nim poemat o życiu Chrystusa. Przedewszystkiem uczcie, uszlachetniajcie nasz lud, a wtedy on przyjmie naukę Chrystusa". Nadmienił także, iż w Pondiszery widział katolików Hindusów, którzy się jawnie nazywali chrześcijanami. — Inny bramin, Satsumachyra, po krótkiej przemowie, w której podniósł zasługi wyśmiewanej w Europie Armii Zbawienia, a która u Hindusów jest w wielkim szacunku, wybuchnął krzykiem rozpaczy: „bodajby nigdy noga Anglika nie postała w moim kraju, w Indyach, bodajbyśmy nie znali cywilizacyi europejskiej, która z ludu naszego tworzy pijaków i bydlęta!" — Nikt nie zadał fałszu tym głosom, nie odezwał się w tej sprawie... tylko biskup katolicki, Keane, czytając nazajutrz rozprawę o miłosierdziu, na zakończenie dodał tonem najwyższego oburzenia te słowa: „Z całego serca popieram te skargi, które wczoraj wieczorem brzmiały tu z tej trybuny! Potępiam tych, którzy zgłodniałemu Hindusowi

podają pokarm, gwałcąc jego przekonania religijne! Oni hańbią siebie i chrześcijanizm!“

Do tej to dyskusyi o misyach „chrześcijańskich“ odnoszą się owe wspomniane powyżej debaty metodystów i sądy pastora Cooka, o stanowisku katolików w parlamencie, o podniesieniu przez to ich znaczenia i o przyszłości misyj protestanckich. Japończyk Harnichi Kozaki wołał także, iż nie chce sekciarstwa w chrześcijanizmie. Zaprawdę, nie wiem czy kiedybądź protestantyzm otrzymał taką surową admonicyę za swoje sekciarstwo i to tak *coram toto orbe*. Ci, których oni jeżdżą nawracać, nawracali w tym parlamencie ich samych.

Tem muszę zakończyć przegląd grupy chrześcijańskich niekatolickich wyznań. O odczytach, które z tej grupy były podane, nie mam w tej chwili nic do powiedzenia, coby stało w ścisłym związku z porównawczem studyum religij. Z drugiej zaś strony niema celu notować takich naprzykład rzeczy, że przy mowie pastora Milla o Zbawicielu świata ludzie płakali; że tłusty pastor Cook w zachwycie tak trząsł głową, że granatowe policzki drgały jak galareta, a tak w zapale tupał nogą i wzbijał pył, że siedzący na trybunie nie mogli się od śmiechu powstrzymać, a my korespondenci, u stóp trybuny, krztusili się z całej siły; że wielu z mówców na pierwszym wstępie starali się o rozmaite dowcipy i żarciki, co jest bardzo lubione u tamecznej publiczności, a bardzo wielki ma wpływ na jej sympatyę dla mówcy i t. p., i t. p. To są rzeczy należące do dziejów literatury i krasomówstwa tego kraju, ale nie do opisu parlamentu religijnego. Przejdźmy więc do charakterystyki innych grup wyznaniowych.

Żydzi zajęli na tym kongresie stanowisko niezwykłe. Z całej literatury talmudystycznej były zaledwo wzmianki, kilka ułamków z poetycznych tradycyj rabinów — ot i wszystko. Wyłączną podstawą ich traktatów był Pentateuch i Prorocy; Nowy Testament spotykało się bardzo często, a postać samego Chrystusa była otoczona niezwykłą czcią. Bardzo poważnym a ściśle naukowym był traktat rabina Wise'a, w którym przeprowadził całą historyę pojęcia Boga w Starym Testamencie, poczynając

od Elohim (po hebrajsku „siły“), a kończąc na Jehowie, Bogu obrońcy państwa i narodu Izraela. Pereira Mendez podniósł zasadę braterstwa ludzi, jako objawioną przez samego Boga w słowach St. Testamentu: „Izrael, to mój syn pierworodny“ — a zatem inne narody, to Jego młodsi synowie. Zaznaczył ogromny wpływ Starego Zakonu w dziejach religij na Wschodzie, wykazując, iż wkrótce potem, gdy Żydzi wnieśli do Babilonu swe księgi święte, podnosi się na nowo religia Zoroastra, a współczesnymi są Konfucyusz i Gautama Budda. Stosunki handlowe i kolonie żydowskie poniosły wszędzie posiew wiary w jedynego Boga. Odpierając zarzut ekskluzywności Żydów, twierdził, iż do tego są zmuszeni, bo chcą w całym świecie spokoju i braterstwa ludów, ogólnego szczęścia, a świat myśli tylko o wojnie — w Europie mamy 22,000.000 żołnierza. Zakończył swój odczyt wezwaniem do wzajemnej tolerancyi religij, stosując do pierwotnego objawienia taką przypowieść rabińską: „Gdy anioł wypędzał pierwszych rodziców z raju, zatrzasnął tak silnie bramę, zrobioną z brylantów, że ona się rozpękła w drobne kawałki, a te się rozsypały na cały świat. Dziś ludzie znajdują te szczątki i każdy twierdzi, że tylko on posiada prawdziwy, a nie wiedzą tego, że one wszystkie jednego pochodzenia. Bóg kiedyś w przyszłości złoży te kawałki razem“. Podobną myśl wypowiedział rabin Gotheil, mówiąc o wielkości Mojżesza: „Dlaczego nie mam uznać innych religij? Dlaczego nie mam i od nich uczyć się prawdy? Czy zrobię tem ujmę mej wierze w Mojżesza? Azali słońce przestało jaśniej świecić, gdy nauka dowiodła, iż ono nie jest centrem wszechświata, i że są inne jeszcze, również wielkie słońca? Mojżesz pozostanie zawsze mężem bożym olbrzymiej potęgi. Każda synagoga, każdy kościół chrześcijański i każdy meczet, to jego wielkości pomnik. Wszak i Chrystus ukrzyżowany, by się wypełniły słowa Zakonu!“ Jeszcze krok bliżej ku chrystyanizmowi zrobił rabin Lyon, mówiąc o tem, co Żydzi zrobili dla cywilizacyi. „Przedewszystkiem pomnijmy na to, — tak mówił — że Biblię, Stary i Nowy Testament dali światu Żydzi. To nie zmienia rzeczy, że nasza religia nie liczy Nowego Testamentu do kanonicznych ksiąg, lecz on był pisany przez ludzi naszego

plemienia... I pokażcie mi księgi jakiegobądź narodu, w którychby najgłębsze tajniki duszy znalazły wznioślejszy wyraz, niż w naszych księgach. Gdzie jest takie pożądanie jedności z Bogiem, jak w psalmach? Gdzie większa zgroza i oburzenie na widok występku i zbrodni, jak w naszych prorokach? Gdzie mi pokażecie obraz takiej miłości, takiego poświęcenia się, jak w Ewangelii?... Oto przed 2000 lat, tam, wśród naszego narodu, duch ludzki stanął na takiej wyżynie, że od tego czasu ani kroku dalej nie postąpił. Dziesięcioro przykazań i nauki Pawła gdyby w życie były wcielone, ziemia byłaby rajem. Gdzie mi pokażecie przykład tak gorącej wiary, jak w Abrahamie? Gdzie wyższy wyraz bezinteresownego patryotyzmu, jak w Mojżeszu?... karciciela upadłego ludu, jak w Jeremiaszu?... zaparcia się siebie, jak w Pawle? Jezus należy do całej ludzkości i dlatego w niepamięć poszło, że i On był Żydem, że Go zrodziła Judea a wychowała Galilea. Nie ważę się nawet określać charakteru i wpływu Jezusa w dziejach postępu ludzkości — by odpowiedzieć temu zadaniu, trzeba być wszystkowiedzącym!... Tu chciałbym tylko przypomnieć wszystkim narodowość Tego, w którym ogromna część rodzaju ludzkiego czci najwyższy swój ideał. Wiem o tem, że Żydzi jeszcze w ogromnej liczbie nie uznają wielkości Jezusa, lecz tego błędu powodem są twierdzenia teologiczne co do Jego osoby, a nadto te srogie prześladowania Żydów ze strony tych, którzy Jego imię noszą. Lecz z tego imienia i tej postaci tyle błogosławieństw, tyle uszlachetnienia spłynęło na ludzkość całą, że zaprawdę nie widzę powodu, dlaczegoby Żydzi nie mieli w nim uznać najwyższego ze swoich mistrzów. To właśnie mają na celu odezwy, które w ostatnich czasach wydały nasze synagogi". Rabin Silvermann mówił także o Chrystusie, twierdząc, że nie Żydzi, lecz Rzymianie Go umęczyli, bojąc się Jego wpływów; że On uległ losowi wszystkich wielkich ludzi, którzy za prawdę giną. Rabin Berkowitz zaznaczył, że socyalizm począł się w tej chwili, gdy Kain odpowiedział Bogu: „azali ja jestem stróżem brata mojego?" Następnie, wyliczywszy prawa Mojżeszowe, jakoto: zniesienie własności ziemskiej, nadanie niewolnictwu charakteru pokrewieństwa i t. p., któremi to prawami

usunął on, o ile to możebne, spory społeczne, podniósł tę piękną zasadę dobroczynności, której się oni trzymają, by nie datkiem doraźnym nieść pomoc bliźniemu, lecz postawieniem go w możności zarobienia własną pracą na chleb dla siebie i rodziny swojej. — Pozostaje mi jeszcze podnieść głos rabina Hirsch'a, lecz mówić o tem będzie odpowiedniej przy końcu tego opisu.

Idąc w porządku geograficznym, przejdźmy do mahometanizmu. Trzeba przyznać, iż był najsłabiej reprezentowany; nie ze względu na liczbę tych, którzy o nim mówili, — było ich bowiem czterech, a zabierali głos sześć razy — lecz ze względu, iż zdania ich były bardzo sprzeczne. Rzeczywisty muzułmanin, Kiretchian z Konstantynopola, upewniał tylko o wielkiem zainteresowaniu się jego współwierców przebiegiem prac kongresowych. Sanna-Abou-Naddara nazwał siebie deistą i mówił tylko o sprawie społecznej. Twierdził, że Mahomet miał wiele serca dla niewolników. Czemuż nie zniósł niewolnictwa. Mieć serce dla niewolników, i uznawać niewolnictwo, to rażąca sprzeczność. Twierdził, i rzeczywiście z całą słusznością, że Mahomet i jego następcy cenili bardzo kobietę i w owych czasach ona zajmowała wysokie stanowisko. Czemuż tych uczuć, teoryi tej nie wprowadzili w czyn, nie określili jej prawem religijnem, skutkiem czego upadek społecznego stanowiska kobiety był tylko kwestyą czasu.—Najsłabszem było wystąpienie niejakiego Webba, Anglika, który przed dwudziestu laty przeszedł na mahometanizm. Wypowiedziawszy z wielką emfazą, iż poligamia nie jest w duchu Koranu, a więc uznając jej zdrożność, w chwilę potem wygłosił również z naciskiem zdanie, że można przy poligamii być dobrym chrześcijaninem. Na to oczywiście powstały krzyki wśród słuchaczy: *shame! shame! off! off!* Twierdził następnie, że to także nie w duchu Koranu szerzyć wiarę siłą oręża, a najciekawsze było tłumaczenie, że niewolnictwo jest w zupełnej zgodzie z zasadą braterstwa, które jest podstawą nauki Koranu. „Stosunki społeczne robią człowieka moim niewolnikiem, ale pomimo to on mi zawsze bratem"; powiadał ostatecznie, że jeden tylko Amer-Ali w swojem dziele: *The Spirit of Islam*, przedstawił mahometanizm w należnem mu świetle. Dziwne to było zdanie wobec

tego, co mówił Washburn, prezydent kolegium w Konstantynopolu, nazywając Amer-Alego muzułmańskim Renanem. W sprawie zaś poligamii w parę dni potem dr. Post odczytał wszystkie ustępy Koranu, popierające tak jawnie poligamię, że nie potrzebował dodawać ani jednego komentarza.

Dwóch było przedstawicieli religii Parsów, czcicieli ognia. Jeden z nich, Jimanji Modi, miał o doktrynie Zoroastra przydłuższy traktat, którego wielką część poświęcił dowodzeniu, iż dualizm tej religii jest tylko rzeczą pozorną, a pojęcie to wyrobiło się wskutek niewłaściwego rozumienia nazwy Ormuzda, który jest Najwyższą Istotą. Co zaś w potocznej mowie zwie się Ormuzdem i Arimanem, to jest tylko symbolizowaniem twórczej i niszczącej siły, których przejawy widzimy wszędzie i ciągle w bycie widomego świata.

Hinduizm miał dziewięciu reprezentantów, oczywiście, iż tylko głównych wyznań, obejmuje on bowiem bardzo dużo najrozmaitszych religij, poczynając od ateistycznych aż do monoteistycznych. — Manilal-N.-D'wiwedi i Vivikananda, mnich braminski, byli przedstawicielami braminizmu, lecz muszę zauważyć, iż w wielu punktach sami z sobą byli w sprzeczności. Pierwszy utrzymywał, że idea Boga, jako istoty stojącej poza stworzeniem, istoty osobistej, jest najzupełniej przeciwną duchowi hinduizmu, i że Wisznu nie jest Bogiem Stwórcą wedle naszych pojęć, lecz duszą i esencyą wszystkiego, co na ziemi istnieje. Sam jednakże mówiąc o tolerancyi, jaką Hindus ma dla każdej religii, tłumaczył to jego wiarą, że „jak wszystkie strumyki toną w morzu, tak wszystkie modlitwy idą do Boga"... Do jakiego? — stawię zapytanie. Czy do tego, którego część tkwi w tym stole, przy którym siedzę? Vivikananda dowodził, że w ich wierze niema politeizmu, że te wszystkie bożki przedstawiają toż samo bóstwo, bo Hindus, modląc się do nich, każdego z nich nazywa wszystkowiedzącym, wszechmocnym i t. p. Jakże pojęcie wszechwiedzy i wszechmocy połączyć z pojęciem nieosobistego bóstwa? Mówiąc o metampsychozie, tłumaczył niepamięć o przeszłem życiu dość zręcznie. „Patrzcie, — mówił — oto w tej chwili, gdy do was po angielsku mówię, nie

pamiętam ani jednego słowa mego rodzimego języka, a przecież go znam!“ Utonięcie człowieka w Bramie, we wszechświecie, nazywał najwyższem szczęściem, bo jeżeli człowiek czuje się szczęśliwym w jednem ciele, o ileż on będzie szczęśliwszym w poczuciu współistnienia z całym światem?... Rozumowanie logiczne, pozostaje tylko małe zapytanie: czem on to będzie czuł, gdy jego osobisty duch utonie w nieosobistej istności Bramy? Mówił ostatecznie o możebnej powszechnej religii w przyszłości, bo Kryszna powiedział, że „on jest w każdej religii, jak nić w sznurku pereł“ — i zakończył wygłoszeniem przekonania, że to się stanie najpierw w tym kraju, „który swych rąk nie splamił krwią ludzką, który nie wie o tem, że najkrótszą drogą do uzyskania bogactw, to gwałt i grabież swego bliźniego! Ameryko! cześć tobie!“

Religię buddystów reprezentowali: Dharmapala z Cejlonu i książę Chandradat z Syamu. I tych również nie zawsze można było zrozumieć. Dharmapala twierdził, że Budda przyszedł na świat w epoce, gdy sceptycyzm począł grozić przyjętym prawom moralności, stworzył zaś nie nową, lecz syntetyczną religię. Uznał wprawdzie najwyższego Boga i pomniejszych bożków braminizmu, ale odrzucił Boga Stwórcę świata i przeprowadził reformę moralną, zniósł kasty i t. p. Więc i w buddyzmie mamy do czynienia z takiemże bóstwem, jakie widzimy u braminów. Mówca jednakże określił to bóstwo jako istotę pełną miłości, miłosierdzia, przytem jednakże patrzącą z największym spokojem *(equanimity)* na wszystko, co się dzieje; wszelkie bowiem nieszczęścia i cierpienia, których doświadczamy w tem życiu na ziemi, są niczem więcej, jak tylko skutkiem tych przewinień, jakieśmy popełnili w naszem przeszłem życiu. „Taki więc ustrój świata mało pozostawia miejsca dla interferencyi a nawet istnienia żywego Boga“... Od czasu do czasu przychodzi na świat Mesyasz; — od kogo on idzie i po co on potrzebny w świecie takiego ustroju? W czem i w jaki sposób objawia się miłość i miłosierdzie owego, z największym spokojem na wszystko patrzącego bóstwa? — tego zaprawdę zrozumieć niełatwo. Tem się chyba da wytłumaczyć, czem p. Hume charakte-

ryzował duchową stronę Hindusów, iż najbardziej różne rzeczy zestawiają razem i zdolni są wmówić w siebie i uwierzyć, że one są sobie zupełnie pokrewne. Metampsychozę tłumaczył książę Chandradat, i trzeba przyznać, że, na podstawie ich zapatrywania się na świat, wcale logicznie. Nic na świecie nie ma samoistnego bytu, wszystko jest cząstką wszechświata, która w danej chwili i na określony tylko czas przyjmuje tę lub inną formę. Cóż bardziej naturalnego, że cząstka wszechświata, którą obecnie widzimy w postaci człowieka, jeżeli w życiu swojem rozwinie popędy krwiożercze, to wraz z rozkładem obecnej formy przejdzie w formę tygrysa, lamparta i t. p.

Pan Virchand Gandhi był przedstawicielem sekty jainizmu, którą bramini nazywali ateistyczną, choć zaprawdę nie wiem, na jakiej podstawie. W pożegnalnem przemówieniu na ostatniej sesyi p. Gandhi nawet sam siebie nazwał poganinem; podejrzewam jednak, że tem powiedzeniem szydził z braminów i buddystów. Doktrynę tej religii starszej, jak utrzymują, niż braminizm, przedstawił w sposób następujący. Świat nie był nigdy stworzony, istnieje od wieków, ale to jego istnienie jest ciągłą koleją tworzenia i niszczenia. Jest dziewięć zasad bytu wszechświata, a pierwszą z nich jest dusza, która wie, myśli i czuje — drugą jest niedusza, tj. przeciwieństwo pierwszej — trzecią i czwartą, to zasługa i niezasługa i t. d. — dziewiątą jest boskość Moksah. Tak samo na boskości kończą cztery stany istnienia: pierwszy bez czucia, drugi z czuciem — to rośliny i zwierzęta, trzeci rozumowy — to człowiek, czwarty doskonały a najwyższy — to boski Moksah. Dusza i niedusza istnieją od wieków razem, więc nie mogły być stworzone, a zatem i Stwórcy niema. I cóż nowego powiedzieli Büchner, Haeckel i t. p.? Dodać muszę, iż sekta owa wierzy w metampsychozę jak bramini i buddyści, i ma cały system kapłański od najniższych stopni aż do arcykapłana. Jakiem więc prawem bramini nazywali ją ateistyczną — tego nie rozumiem.

Ogromnej doniosłości na przyszłość, a przez to niezmiernie ważnego stanowiska w parlamencie, była świeżo jeszcze powstała, dopiero około 6000 członków licząca, sekta Bramo-Somay (do-

słownie: Zgromadzenie Bramy). Głównym przedstawicielem jej był Mozoomdar, kapłan tej sekty, od którego dowiadujemy się następujących jej dziejów: „Przed sześćdziesięciu laty czczono w Indyach tysiące a tysiące bożków i nikt temu nie przeczył. Wtedy to Dohan Roy napisał księgę o ich fałszywości. Straszne oburzenie powstało w całym kraju na młodziutkiego autora, a właśni rodzice wypędzili go z domu. Odtąd rozpoczął on życie wędrowne apostolstwa swych zasad. W 1830 roku założonem było owo Zgromadzenie Bramy, a za główny artykuł wiary przyjęto monoteizm na podstawie ksiąg Wedy i Upanishad“... „Lecz Bóg nas dalej poprowadził, powtarzam głośno: Bóg! nikt z ludzi, żaden z misyonarzy, nikt ze stojących poza obrębem naszego zgromadzenia! Studyując nasze księgi święte, wzięliśmy też i innych narodów księgi, i otośmy dojrzeli, że i tam jest tyle wzniosłych, tyle wielkich, od Boga natchnionych prawd, a więc w nasz system myśmy włączyli wszystko, co dobre w Biblii, Wedach, Zend-Aweście, Koranie i nauce Buddy“... „Wszędzie! wszędzie jest Brama, — wołał w jednej przemowie — a to słowo znaczy: Bóg jest wielki i czyni wszystko wielkiem. Tron Jego w niebie, a ziemia Mu podnóżkiem; księga stworzenia to Jego język, natura cała to słowo Jego objawienia... Góra Synai wciąż dymi i ryczy gromami jak ongi, ale niema tych, którzyby ten głos rozumieli. Co było prawdą przed Chrystusem, jest prawdą i po Chrystusie, tak samo dla Azyi, jak i dla Europy... Niech człowiek szuka Boga we własnej piersi... Azya Go tak szukała i dała Go światu. Zaparcia się siebie przykładem to Jan Chrzciciel, my wszyscy za nim idziemy, a szczyt poświęcenia się to tam na Kalwaryi... Wierzymy w przyszłość naszego zgromadzenia, z gorącą wiarą powtarzamy słowa Ezechiela: ‚Patrzcie! oto chwała Pańska idzie ze Wschodu‘“. Drugim przedstawicielem Bramo-Somayi był Nagarkar. Oto treść jego przemowy: „Jeżeli się pisma różnią i wiary braknie, człowiek powinien jej szukać we własnej duszy. Bóg dla wszystkich jest ten sam i wierzymy w stosunek Ducha Bożego z duchem ludzkim. Czyż On mógł pozostawić ludzi bez swego ciągłego wpływu?... On i dziś tak mówi, jak w czasach proroków. Kró-

lem proroków to Chrystus, lecz aby Go uznać za Boga, nie jesteśmy jeszcze tak przygotowani, jak byli nasi bracia na Zachodzie! *(but we are not prepared to deify him as are our brothers of the west).* Przyjmiemy chętnie prawdy chrześcijańskie, jak prawdy innych proroków, lecz chcemy, by je Bóg nam wprost do naszej duszy podał. Nazywają Bramo-Somayistów eklektykami. Tak! nasze zgromadzenie jest inkluzywne, a nie ekskluzywne, bo wiek dzisiejszy wymaga uznania prawd ogólnych, a więc wierzymy, iż posłannictwem Bramo-Somayi jest szerzenie powszechnej miłości i zjednoczenia. Myśmy znieśli cześć bożków, myśmy znieśli kasty, myśmy wyjednali prawo krajowe, uznające mieszane małżeństwa z rozmaitych kast i małżeństwa wdów, założyliśmy szkoły dla mężczyzn i kobiet, a wiele z nich skończyło już wyższe zakłady. Jeśli powiadają, że każda religia winna być reformowaną, to na pewno każda reforma winna być opartą na religii"... Otóż widzimy i drugi ogólny kościół tam, na południowym Wschodzie, a jeszcze obaczymy trzeci, i to podwójny, na najdalszym Wschodzie, w Japonii. Ten prąd łączenia się małych organizmów religijnych w większe jest dzisiaj prądem wszechświatowym.

Na zakończenie hinduizmu niech mi się godzi wspomnieć jedną bardzo piękną chwilę. To głos Hinduski, chrześcijanki z rodu czcicieli ognia. Drobnej postaci kobietka, bronzowej cery, prześlicznych czarnych oczu i rysów twarzy ujmujących; w narodowym stroju, w szkarłatnej, dość obcisłej a krótkiej do kostek sukni, haftowanej w złote kwiaty i pasy — gdy z widoczną nieśmiałością podeszła do mównicy, tysiące okrzyków rozbrzmiało w sali, tysiące chustek powiewało w powietrzu. Rumieniec oblał bronzową twarzyczkę, widocznem było, iż głosu jej brakło — dopiero po chwili poczęła mówić. Joanna Sorabi niosła od kobiet hinduskich pozdrowienie dla Amerykanek, niosła szczere słowa sympatyi i zapewnienia, że i one uczą się, pracują, kształcą się gorliwie, by stanąć na równi ze swemi siostrami z Ameryki.

Konfucyanizm w mowach dwóch Chińczyków: Pung-Kwang-Yu i Kung-Hsien-Ho, przedstawił się jako kodeks praktycznej moralności. Jest tam pojęcie Najwyższej Istoty, nazywanej

niebem, duchem, siłą; lecz ono stoi na drugim planie. „Nie umiemy spełniać naszych obowiązków względem ludzi, jakżeż je mamy spełniać względem Ducha?“ „Nie wiemy czem jest życie, jakże możemy wiedzieć czem jest śmierć?“... Oto są dwa zdania, charakteryzujące dostatecznie stosunek myśli wyznawcy Konfucyusza względem tego wszystkiego, co jest poza obrębem naszego życia na ziemi. Jego myśl zajęta tylko człowiekiem i przepisami moralności w duchu jak najbardziej praktycznym. „Kara za złe a nagroda za dobre uczynki jest tak prostą koniecznością, jak to, że suche drewienka płoną, skoro się pod nie włoży zarzewie“. Jako zaletę swego wyznania stawia to, że ono jest proste, nie zna żadnych cudów, i to jest właśnie przyczyną jego wiekowej trwałości.

Japonizm miał także kilku reprezentantów głównych religij tego kraju. Zacznijmy od szintoizmu, najstarszej a przytem narodowej religii tej ziemi. Arcykapłan tego wyznania, Shibata-Reuchi, wielce sympatyczna postać, był obecny na kongresie, a otaczano go względami na równi z biskupami i arcybiskupami innych wyznań. Religia ta, jak tyle innych, ulegała przeobrażeniom; ostatnia reforma była w połowie XVI. wieku, a reformatorem był pradziad w dziesiątem pokoleniu obecnego arcykapłana. Oto jej zasady: *Szin* znaczy Bóg a *to* droga — *Szinto* więc znaczy droga boża. Jest Bóg, Istota Najwyższa, z niej poszły dwie istoty: męska i żeńska, lecz to są tylko fazy tejże samej Najwyższej Istoty. Jest to więc *trójca w jedności*. Było kiedyś stworzenie świata i wtedy się narodził liczny szereg bóstw: rodu cesarzy, pojedyńczych krajów, pojedyńczych rodzin i t. d. Dusza ludzka jest nieśmiertelną. Cesarz i każdy Japończyk, jakiejbykolwiek był wiary, musi być przytem szintoistą, w jego domu jest zawsze mała kapliczka szintoizmu. To jest wiara narodowa i ona obejmuje w sobie wszystkie inne wiary tego kraju. Otóż znowu spotykamy się z ideą kościoła ogólnego. W obecnej chwili szintoizm wszedł najzupełniej na drogę działań praktycznych, reform społecznych — na obecnym więc kongresie arcykapłan jego przemawiał gorąco za wprowadzeniem sądów rozjemczych i zaprzestaniem wojen: „Jesteśmy

dziećmi jednego Boga, a więc w spokoju i zgodzie powinniśmy żyć!“ Ogromny entuzyazm wywołała ta przemowa arcykapłana, panie obecne na trybunie ściskały mu dłonie, a on — zapewne wedle krajowych zwyczajów — całował je w twarz. Okrzyki i powiewanie chustkami trwały przez kilka minut. Arcykapłan wrócił na miejsce wzruszony do głębi, w oczach mu łzy jaśniały.

Przedstawiciele buddystów w Japonii nie wypowiedzieli żadnej nowej myśli co do samego wyznania, a tylko Kinza-Riuge-Hirai i Nohuta-Kishimoto, podawszy charakterystykę swego narodu, jako z natury syntetystów, rzucili wielkie światło na tameczne stosunki religijne. Z tego widzimy, że nietylko Hindus, lecz i Japończyk i wogóle ludzie Wschodu zdolni są zestawiać z sobą najbardziej różnorodne doktryny, tłumacząc sobie i drugim, że one są w najbliższem powinowactwie. Tak więc szintoizm, konfucyanizm i buddaizm stoją tam obok siebie, bo Japończyk twierdzi, iż każde z tych wyznań jest bardzo ważne. Szintoizm uczy o istności Boga, konfucyanizm daje wyborny kodeks moralności, a buddaizm uczy, jak się wybawiać od cierpień w życiu. Głos dwóch przedstawicieli chrześcijan z Japonii zaświadczył toż samo. Harnichi Kozaki, prezydent uniwersytetu w Doshisha, twierdził, iż Japończyk nie jest ślepym naśladowcą obczyzny, jak go często o to pomawiają, ale on stara się przyswoić sobie to wszystko, co za dobre uznaje. Stąd życie duchowe tego narodu jest ciągłem wahaniem się w dwie przeciwne strony. To się przejawia najbardziej w życiu religijnem. Wszystkie tam religie bez wyjątku są w opozycyi przeciw bezreligijności, lecz niechrześcijańskie religie stoją opornie przeciw chrześcijanizmowi, którego pierwszy misyonarz przyszedł tam przed 34 laty, a lat temu 20 stanął tam pierwszy kościół. Wkrótce potem przeciw tej religii nastąpiła reakcya, która przy końcu siódmego dziesięciolecia ucichła, a w ósmym chrześcijanizm doszedł takiego rozkwitu, że nawet poczęto mówić o uznaniu go za religię państwową. Z końcem tegoż dziesięciolecia poczęła się znowu reakcya narodowa, która dziś znowu słabnie, a duch narodu zbliża się do chrześcijanizmu. „Lecz tutaj — dodał — staje przed nami trudne do rozwiązania zadanie. Prócz katoli-

cyzmu, rzeczywiście najpotężniejszego tam wyznania chrześcijan, mamy jeszcze 30 sekt, których po prostu nie rozumiemy. Każda z nich ma swój kościół, swój dom misyjny, zamiast połączyć swe siły i działać wspólnie. Te sekty, powstałe w krajach o tysiące mil od nas, wyrobione wśród stosunków nigdy u nas niebywałych, przeniesione do naszego kraju, są dla nas rażącem dziwactwem. Już to jedno powstrzymuje rozwój chrześcijaństwa, a cóż dopiero inne względy — jakoto: zachowanie się chrześcijan względem tuziemców, wzajemne spory ich sekt?... Skutek tego jest ten, że chociaż powszechne przyjęcie nauki Chrystusa w Japonii jest tylko rzeczą czasu a nieulegającą najmniejszej wątpliwości, to jednak my nie życzymy sobie żadnego sekciarstwa — my utworzymy nasz Kościół Chrystusa w Japonii, do którego będziemy liczyli każdego Japończyka, z którejby on misyi nie wyszedł. Kiedy to będzie? — tego nie wiem. Wskazać błędy łatwo, ale zbudować kościół to rzecz inna"... Otóż mamy znowu ogólny kościół, a rzecz uwagi godna, że i tam w Japonii główną przyczyną jego formowania się jest to samo co i w Stanach Zjednoczonych — sekciarstwo.

Tem kończę przegląd pojedyńczych grup parlamentu, nie mogę jednak pominąć milczeniem kilku, poza nim stojących kongresów, które należały do departamentu religij, a odbywały się w tym samym czasie i w tymże domu.

(Dok. nast.).

Michał Żmigrodzki.

SĄDY LUDOWE NA LITWIE.

(Dokończenie).

III.

Najwięcej atoli w sądach gminnych toczy się spraw o ziemię, wynikających z działów rodzinnych, tudzież „wspólnego władania i użytkowania“. Trzeba bowiem pamiętać, że historycznie wyrobiła się u nas rodowa własność ziemska z prawami rozporządzania i alienacyi, skoncentrowanemi w rękach głowy rodu lub wspólnoty rodzinnej; prawo z r. 1861 ten stan rzeczy uświęciło, stanowiąc w art. 81 Ustawy miejscowej, że grunta nadane są własnością całej rodziny, nie zaś jej głowy, na imię której zostały zapisane. Artykuł ów nie dopuszcza osobistego władania i użytkowania, a tem bardziej prawa dowolnego rozporządzania i alienacyi; stosownie do jego brzmienia oraz wielkoruskiego prawa zwyczajowego, sądy zwyczajne w razie sporów majątkowych zawsze skazują procesujących się na „wspólne władanie i użytkowanie“, lud atoli nie ma o niem pojęcia; wyroki sądowe pozostają przeto „na papierze“. „W rzeczywistości — mówi p. Friedman — to wspólne władanie i użytkowanie, wywołując cały szereg nieporozumień, kłótni, sporów i procesów, wycieńczających, rujnujących i męczących obie strony, doprowadza je do tego, że dobrowolnie dzielą pomiędzy sobą faktycznie ale nieprawnie mienie sporne. Obawiając się, by Zebranie gminne nie odmówiło zatwierdzenia tych podziałów, unikają one

sądów gminnych, a natomiast zawierają umowy regentalne ‚względem porządku wspólnego korzystania z dochodów mienia spornego', określając, rozumie się, z jakiej części którego każdy ma korzystać" [1]. W ten sposób kolizya ustawy prawnej z prawem zwyczajowem staje się źródłem pieniactwa.

Wspólnością władania, p. Friedman i inni tłumaczą złe obejście się dzieci z rodzicami lub starszymi krewniakami, osadzanie ich na kącie, ciągłe podziały faktyczne, doprowadzające drobienie ziemi do ostateczności, tudzież masy procesów, którym towarzyszą zwykle kłótnie, zwady, bijatyki, zjednywanie i ugaszczanie świadków, częste krzywoprzysięstwa, a niekiedy nawet zabójstwa, co wszystko razem przedstawia szerokie pole dla działalności pokątnych doradców. Nie dziw przeto, że stare prawo zwyczajowe zaczyna powoli wychodzić z użycia... wobec kolizyi z pisanem; tak np. pierwsze zna dziedziczenie testamentowe, ale uznanie prawności testamentu zależy od dobrej woli spadkobierców, co doprowadza do zaniechania tego zwyczaju, dawniej powszechnego. Uprzednio mąż, nie mając dzieci, zawsze przekazywał swoje mienie żonie; dziś zaniechano tego zupełnie. Majoraty i minoraty też wyszły z użycia. Teraźniejsze testamenty zwykle określają tylko porządek i sposób podziału mienia pomiędzy spadkobierców; wykonanie ich następuje na mocy osobnego wyroku sądu gminnego. Oto parę przykładów:

Gospodarz testamentem tak podzielił swój grunt: 2 córkom zamężnym przekazał po 4 dzies., niezamężnej dziesiatynę łąki spławnej, a czwartej (zamężnej) 10 dzies. z warunkiem, by wyposażyła ona 4 siostry pozostałe i utrzymywała matkę. Sąd w Rumszyszkach wyrokiem za nr. 1, r. 1888, polecił wykonać to rozporządzenie. Tenże sąd [2] kazał wykonać testament, na mocy którego z 26 dziesiatyn gruntu, córka otrzymała 6 dzies., a dwaj bracia po 10 dzies. Jest to wypadek rzadki, bo prawo zwyczajowe dopuszcza kobiety do dziedziczenia tylko w braku spadkobierców płci męskiej. Dziedziczenie beztestamentowe sprowadza się do

[1] „Prawne poglądy i obyczaje", str. 83—84.
[2] 1888 r., nr. 4.

podziału nieruchomości między braci, bo siostry mają prawo tylko do posagu; zasada równego podziału przestrzega się bardzo pilnie. Tak w gminie traszkuńskiej starszy brat po śmierci ojca zabrał cały spadek; zapozwano go do sądu, który nakazał równy podział, dokonany z nadzwyczajną zręcznością i przezornością: nawet szynkę, ważącą 20 f., podzielono proporcyonalnie, a także i starą skórę końską[1]. Tu trzeba zaznaczyć, że w spólnotach rodzinnych *(jointes familles)*, spotykanych jako pozostałości, dziedziczenie właściwie nie istnieje, albowiem śmierć naczelnika spólnoty pociąga nie rozpadnięcie się jej, ale tylko zastąpienie go przez inną osobę. Postępowania spadkowego prawo zwyczajowe nie zna wcale.

Zwykle jednak podziały następują za życia ojca, co pozbawia je charakteru dziedziczenia; do niedawna kierował niemi ojciec, zwracając uwagę na prawo pierworodztwa, konieczne potrzeby członków rodziny, ich zdolności, postępowanie i t. d.; dziś zasada równości arytmetycznej wzięła górę. Długi spłacają się razem; gotówka pozostała zawsze należy do kobiet (sióstr). Członkowie rodziny, którym uprzednio wydzielono część mienia lub spłacono jej wartość, w podziale nie uczestniczą; stosuje się to do zięciów, krewnych i dzieci adoptowanych, mieszkających razem. Podział może nastąpić tylko za zgodą ogólną; żadnego zezwolenia nań nie wymaga się. Umowy podziałowe zawierane są przed regentem; zwykła forma — to umowa, ściśle określająca warunki wspólnego władania i użytkowania, w razie zaś działów przenoszących 10 dzies., żądają zatwierdzenia podziału przez Zebranie gromadzkie, na to bowiem zezwala ustawa miejscowa. Właściwe sprawy podziałowe rzadko dostają się do sądów gm., ale same podziały są źródłem masy procesów cywilnych i kryminalnych, ponieważ tylko wyjątkowo kończą się zgodnie.

To samo należy powiedzieć o wspólnem władaniu i użytkowaniu; nawet rodzeni bracia żonaci zwykle nie mogą pogodzić się, przeto prawie nigdy nie uprawiają wspólnie zagona

[1] 1886 r., nr. 4.

ojcowskiego. Nie umieją nawet korzystać z drzew owocowych, rosnących w sadybie wspólnej: jeden sprzedaje drugiemu prawo na nie za 16 rs., a lipkę rąbie sam, za co płaci bratu rubla [1]. Bracia gospodarzą wspólnie; jeden sprzedał sieczkarnię, za co drugi oskarżył go o kradzież; napróżno oskarżony dowodził, że „jest członkiem rodziny i ma prawo sprzedać sieczkarnię“ — sąd gm. w Średnikach skazał go na 3 dni kozy [2]. W gminie janowskiej dwaj bracia, gospodarzący wspólnie, posprzeczali się: jeden chciał sprzedać wołu a kupić krowę, natomiast drugi pragnął dokupić wołu do pary; sąd, „zważywszy okoliczności“, zakazał sprzedawać wołu [3]. Bracia gospodarzyli wspólnie; jednemu zwrócono dług ojcowski, ale on nie chciał podzielić się temi pieniędzmi z innymi braćmi; na zasadzie wyroku sądu wilkijskiego przekazano tę sprawę do osądzenia ks. proboszczowi [4]. Sąd gm. w Rumszyszkach postąpił jeszcze oryginalniej, a mianowicie: w sporach o połów ryby na Niemnie zrzekł się swej władzy sądowej na rzecz gromady rumszyskiej, do której należy rzeka [5]. Spraw o to było bez liku. — Nie znając własności wspólnej, prawo zwyczajowe dzieli ją na własność ukazową czyli rodową (ojcowizna, macierzyzna), tudzież „wolną“ czyli nabytą, która podlega prawu pospolitemu. Szczególnych form nabywania prawa własności niema; jej elementy lud zna i wyróżnia. Wogóle poczucie własności osobistej jest silnie rozwinięte, acz zamącone: samowolne przywłaszczenia cudzych gruntów są bardzo częste, co wywołuje nieskończone procesy o przywrócenie do naruszonego posiadania, toczące się w sądach pokoju.

Prawo zwyczajowe uznaje osobistą własność lasów, ale na samowolne poręby lud zapatruje się bardzo pobłażliwie; zwierzyna, ryby i raki w rzekach lub jeziorach, grzyby, szczaw, jagody, owoce i orzechy leśne, stanowią własność ogólną, dar Boży, z którego każdy może korzystać [6]. Jest to pogląd tak

[1] Sąd gm. towiański 1890, nr. 32.
[2] 1890 r., nr. 23. [3] 1875 r., nr. 16.
[4] 1890 r., nr. 17. [5] 1879 r., nr. 19.
[6] Friedman, 75.

głęboko zakorzeniony śród ludu, że go tolerują nawet dwory... z obawy zatargów lub spalenia lasu, co się zdarzało. Zasiewy lub budowanie na cudzym gruncie, przypadkowe lub rozmyślne, zawsze należą do właściciela gruntu; do niego też należą rzeczy znalezione na jego ziemi i skarby w niej ukryte; wyjątek stanowią zbłąkane zwierzęta i ptactwo domowe; przywłaszczenie ich uważa się za gorsze od kradzieży.

Prawo zwyczajowe surowo potępia samowolne korzystanie z cudzego mienia bez zgody i wynagrodzenia właściciela; tylko w razie klęsk żywiołowych, np. pożaru, wolno nawet gwałtem brać wszystko, co jest konieczne do gaszenia ognia; to samo można powiedzieć o konieczności ratowania życia ludzkiego. Odmowa pomocy w takich razach bywa zwykle karaną kryminalnie. Prawo zwyczajowe w niczem nie krępuje i nie ogranicza alienacyi: darowizny zdarzają się rzadko, niekiedy można je nazwać formą dziedziczenia. Taki np. charakter noszą darowizny mienia dzieciom adoptowanym; atoli w zastosowaniu do własności ukazowej znaczenia prawnego nie mają one; akty podobne sporządzają się teraz u regentów. Wyroby metalowe, zwłaszcza ostre, są przedmiotami, których nie należy dawać w podarku. Wogóle ze zmianą warunków można domagać się zwrotu darowizny; wyjątku nie stanowią nawet podarki, robione narzeczonej. Narzeczony darował swej lubej w zajezdnym domu przy traktamencie, „po znajomości w miłości", zegarek, rękawiczki i rubla; gdy atoli poślubiła ona innego, zażądano sądownie zwrotu darowanych rzeczy; kobieta wystąpiła z powództwem o obrączkę i chustki, ale zapłaciła jednak 6 rub., jako wynagrodzenie szkód [1].

Szczególnych form i obrzędów przy darowiznach lub aktach sprzedaży niema... W tej sferze prawo zwyczajowe bierze faktycznie górę nad pisanem: nie wolno np. sprzedawać nadziałów włościańskich, ale zakaz ten pozostaje martwą literą. Robi się to tak: sprzedający wydaje kupującemu notaryalny kontrakt dzierżawny na lat 12, z obowiązkiem wznowienia go po upływie

[1] Sąd gm. kiejdański 1883 r., nr. 57.

pierwszego 12-lecia. Roczna opłata dzierżawna — to suma podatków, opłat i powinności naturalnych, które spłaca i spełnia sam dzierżawca... wedle umowy. Opłata dzierżawna za 24 lata wnosi się po zaświadczeniu kontraktu, na którym pisze się pokwitowanie z uiszczenia połowy sumy zapłaconej; drugą zaś zabezpiecza oblig sprzedającego na imię kupującego z terminem 12-letnim; w dodatku wydają się obligi... w celu wykonania umowy. Po ukończeniu wykupu łatwo już będzie uzyskać uznanie prawa własności. Istnieje jeszcze inny sposób. Sprzedający wystawia na imię kupującego weksle, które on natychmiast zaczyna egzekwować, zwracając egzekucyę na grunt nadany; by umożliwić jego sprzedaż, wnoszą się do Izby skarbowej skapitalizowane opłaty indemnizacyjne i nabywa się grunt z licytacyi publicznej. Konkurencyi zapobiega się przez sporządzenie fikcyjnego 12-letniego kontraktu dzierżawnego z opłatą uiszczoną z góry. „W ten sposób — mówi p. Friedman — włościanie, acz drogą nielegalną, sprzedają swoje prawa własności do gruntów nadanych ukazem“ [1]. Proces więc drobienia się i koncentracyi własności ziemskiej odbywa się w najlepsze. Wywłaszczenie faktyczne postępuje krokiem szybkim... Tu zauważyć należy, że prawo zwyczajowe nie zna ni prawa rodowej blizkości, ni odkupu; nie przysługuje prawo blizkości nawet wtedy, gdy za niedobory podatkowe lub zaległości w powinnościach naturalnych władze gminne samowolnie a za bezcen wydzierżawiają grunta bez zgody ich właścicieli. „Często zdarza się, — mówi tenże autor — że grunta, za które możnaby zapłacić 100—150 rub., wydzierżawiane są za 30—40 rub. Takimi dzierżawcami bywają zwykle włościanie-lichwiarze“ [2].

Wogóle rozwój stosunków ekonomicznych oraz inne wpływy cywilizacyjno-kulturalne silnie oddziałały na prawne pojęcia ludu o umowach i zobowiązaniach; dziś te pojęcia nie tak bardzo różnią się od ogólnie uznawanych. Dla prawomocności umowy, zawieranej zawsze przy świadkach, potrzebną jest zdolność prawna cywilna, określana niemal tak, jak w prawie obowiązującem;

[1] Str. 92. [2] Str. 95.

zobowiązania się małoletnich, zawarte w dobrej wierze a z zupełną świadomością, sądy gminne uznają za ważne. Wykonanie umowy zabezpiecza się poręczeniem osób godnych zaufania, oraz złożeniem kaucyi; treść zobowiązania nie może sprzeciwiać się moralności i dobremu postępowaniu. Złamanie umowy zawsze pociąga za sobą wynagrodzenie strat bezpośrednich, a nawet pośrednich; wyjątek stanowi umowa najmu, której złamanie może być karanem. Umowy te zawsze są słowne... wedle starych obyczajów.

Za zawód gospodarzowi i porzucenie służby sąd gm. janowski kazał wyliczyć robotnikowi 15 rózg [1]. Gospodarz bardzo źle obchodził się z pastuchem wyrostkiem; matka, dowiedziawszy się o tem, odebrała chłopca; wytoczono jej proces; sąd w Worniach kazał zapłacić 10 rub. wynagrodzenia i osadził ją na 3 dni do kozy [2]. Analogicznie wyrokują i inne sądy gminne; wyroki te, tak sprzeczne z współczesnemi pojęciami prawnemi, często są kasowane przez Zjazdy komisarzy, ale niewiele to pomaga. Starają się też Zjazdy znieść cywilną odpowiedzialność rodziców za długi dzieci pełnoletnich; np. w r. 1885 sąd gminny w Krożach kazał trzem ojcom spłacić długi synowskie [3], a w Rumszyszkach na mocy wyroku rodzic zapłacił 100 rub. wynagrodzenia za konia ukradzionego przez syna [4] i t. d., i t. d.; zwyczaj ten zanika zupełnie.

W sprawach o umowy pożyczkowe, sądy gminne wyrokują nader oryginalnie... często z obrazą elementarnych pojęć o sprawiedliwości; przyczyny szukać należy w tem, że ani prawo zwyczajowe, ani praktyka sądów włościańskich nie wyrobiły dotąd jasnego określenia pojęcia pożyczki; wedle starego zwyczaju udzielała się ona w naturze, dzieląc się na bezprocentową — w razie klęsk żywiołowych — i procentową, przyczem procent pobierano w zbożu, robociznie i t. d. Umów piśmiennych nie zawierano: wystarczało słowo. W miarę rozwoju gospodarstwa towarowego, pożyczki coraz częściej zaczęły przybierać formę pieniężną; w ślad

[1] 1885 r., nr. 47. [2] 1886 r., nr. 51.
[3] Wyr. nr. 15, 17 i 69. [4] 1888 r., nr. 5.

za niemi zjawiły się zobowiązania na piśmie, obligi, weksle i t. d. Na scenę wystąpił chłop, lichwiarz wiejski, zwykle figura wpływowa. „Wysokość pobieranych procentów, terminy spłaty i formy zabezpieczenia długu niczem nie różnią się od warunków, praktykowanych przez lichwiarzy nie-włościan. Różnica polega tylko na tem, że działalność chłopa-lichwiarza jest znacznie szkodliwszą, niż działalność lichwiarza, nie mieszkającego na wsi. Chłop-lichwiarz, zamieszkały na miejscu, pobiera procent i zbożem i robocizną, których dłużnik prawie nie może obrachować“ [1]. Sądy i urzędy gminne zwykle znajdują się od nich w pewnej zależności, co się łatwo tłumaczy; stają one zwykle po ich stronie... Taki lichwiarz poszukuje 74 rub.; okazało się, że dłużnik oddał mu w procencie $^1/_2$ dzies. gruntu i odrabiał 20 „letnich dni roboczych“; pretensyę zasądzono [2]. Przed sądem w Ejragole wytoczono proces o zwrot 50 rs., pożyczonych przed 15 laty, z dodatkiem 5 rub. kosztów sądowych *(za wołokitstwo);* procenta: 4 pury żyta, pur grochu, gęś na św. Marcina i 10 dni roboczych; powództwo uznano za słuszne [3]. Chłop 5 grudnia 1886 r. pożyczył 62 rub., wystawiając wekśel na 80 r., ale już 6 czerwca 1887 r. nastąpiła egzekucya na mocy wyroku sądu gm. [4] z r. 1887; procent więc wynosił aż 58 rub.! Sąd gm. bernatowski powództwo o 100 rub., stwierdzone przez jednego świadka, uznał za słuszne... nawet w nieobecności pozwanego [5]; Zjazd wyrok ten zatwierdził i pieniądze wyegzekwowano. W podobnych sprawach sądy wierzą czasami powodowi na słowo, nie żądając innych dowodów; tak np. postąpił sąd w Płungianach, który, wyegzekwowawszy 13 rub., „za zgodą powoda postanowił oddać je na mszę“ [6]. W tych sprawach, widzimy, że i przedawnienie niewiele znaczy, zresztą prawo zwyczajowe ma o niem pojęcie bardzo niedokładne; prawo to jednak broni dłużników przed samowolą, nie dopuszczając zawładnięcia ich mieniem bez wyroku sądowego. Chłop pożyczył od swego sąsiada 4 funty wełny; po kilku la-

[1] Friedman, 97.
[2] Sąd gm. rumszyski 1888 r., nr. 5.
[3] 1890 r., nr. 45. [4] W Rumszyszkach za nr. 57.
[5] 1887 r., nr. 41. [6] 1885 r., nr. 25.

tach sąsiad, nie doczekawszy się zwrotu pożyczki, zabrał 3 owce dłużnikowi, zarżnął, skórami pokwitował dług, a mięso zjadł za procent; sąd gm. jeleonorowski skazał go na zapłacenie 12 rub. wynagrodzenia i 3 dni kozy, a 4 funty wełny pożyczonej d a r o w a ł dłużnikowi [1]. Sporów, wynikających z umów innego rodzaju, w sądach gminnych nie spotyka się, zresztą nie zna ich i prawo zwyczajowe.

Żadnych stowarzyszeń się wzajemnych w celu zrzeszenia pracy niema: lud zna tylko jednę tłokę, która jest często środkiem niesienia pomocy np. pogorzelcom; jeśli czasem powstaje spółka w celu zakupu ziemi, to po dokonanem zawiązaniu (intromisyi) wnet następuje jej podział. „Gdyby nie było przeszkód niezwalczonych — mówi p. Friedman — dawnoby podzielili oni (włościanie) nawet pastwiska“ [2]. Każdy za siebie — to hasło powszechne; to też rzadko się zdarza, by gromada występowała solidarnie. Znam tylko jeden przykład. Pewien chłop wydzierżawił na lato gromadzie byka „rasy niemieckiej“, ale w początku czerwca odebrał; gromada zapozwała go do sądu, żądając 40 rub. wynagrodzenia, które przysądzono [3]. Zdarza się też sądom rozstrzygać spory, powstające na tle niezwykłem; tak np. ktoś zabrał medalik „ratujący od bólu zębów“, i zapłacił zań 30 rub. wynagrodzenia [4].

Wogóle w wyrokach można czasami spotykać ślady zamierzchłej przeszłości; oto kilka, przenoszących nas niemal w czasy matryarchatu. Umiera gospodarz, pozostawiając wdowę i syna; po kilku latach kobieta urodziła nieślubne dziecko płci męskiej. Gdy chłopiec podrósł, wystąpił do brata z żądaniem „pochodzenia prawnego“ i części gruntu, pozostałego po ojcu tamtego; motyw powództwa — w s p ó l n o ś ć p o c h o d z e n i a o d j e d n e j m a t k i; sąd gm. towiański uznał je za słuszne, nakazując wypłacić wartość ziemi w ilości 80 rubli [5]. Wdowa dzietna „przyjęła męża“, tj. wzięła nadomnika *(uszkurisa)*, z któ-

[1] 1889 r., nr. 11. [2] Str. 85.
[3] Sąd gm. aleksandrowski, 1889 r., nr. 39.
[4] Sąd gm. surwieliski, 1872 r., nr. 40.
[5] 1890 r., nr. 3.

rym miała dzieci; sąd w Surwieliszkach podzielił ziemię, stanowiącą własność dzieci z pierwszego małżeństwa, równo pomiędzy dzieci z obu małżeństw, a to na mocy wspólnego pochodzenia od jednej matki, jak wyrażono z naciskiem w protokóle [1]. Wogóle zdarza się często, że dzieci nadomników dziedziczą na równi ze swymi przyrodnimi braćmi, chociażby mienie należało do pierwszego męża ich matki [2]; w wielu miejscach krewni po matce (kognaci) grają większą rolę niż krewni po ojcu (agnaci), i tak np. wuj uważa się często za bliższego krewnego niźli stryj, zwłaszcza wśród najniższych warstw ludowych.

Uprzednio napomknąłem już, że wśród ludu poczucie prawa własności osobistej jest niesłychanie rozwinięte, ale brakuje poszanowania cudzej: chłop nie ustąpi ani piędzi swojej ziemi, owszem — pragnie jej przysporzyć... wszelkiemi środkami, więc worze się w grunta sąsiada, przekosi mu łączkę i t. p. Ale i sąsiad pilnuje swego, a żywi takież same chęci i pragnienia; stąd nieuniknione zajścia i nieporozumienia. „Żeby odzyskać swoje naruszone prawo, częstokroć posiadające małą wartość, włościanie uciekają się do wszelkich środków, nie cofając się przed kosztami; pod tym względem nic nie jest w stanie utrzymać ich na wodzy. Bardzo często wartość przedmiotu lub strat, o które spór się toczy, nie przenosi pół rubla, a na procesa sądowe... wydają dziesiątki i setki rubli, a niekiedy nawet rujnują się zupełnie“ [3]. Tłumaczyć to należy przywiązaniem do ziemi, przesiąkniętej potem i krwią wieśniaczą, oraz brakiem ściśle określonego prawa materyalnego i procesualnego, którego zwyczajowe zastąpić nie może, zwłaszcza przy wadliwej organizacyi sądów gminnych. Być może — pewien wpływ wywarło przeobrażanie się zwyczajów i obyczajów ludowych, przeobrażanie się niekoniecznie zgodne z większem uspołecznieniem i umoralnieniem.

Przytaczam garstkę danych. W ciągu ostatnich 10 lat sądy gminne rozstrzygnęły spraw cywilnych: w powiecie wiłkomier-

[1] 1888 r., nr. 11.
[2] Friedman, 24. [3] Tenże 77.

skim 8522, kowieńskim 6580, telszewskim 6300 i t. d. Ilość spraw wzrasta nader szybko; tak np. sąd w Worniach w r. 1872 rozstrzygnął tylko 16 spraw, w r. 1885 — 132, a w trzy lata potem aż 178! Wogóle na wzrost pieniactwa uskarżają się wszyscy.

IV.

Sądy gminne posiadają też juryzdykcyę kryminalną; ich kompetencyi podlegają sprawy o obelgi słowne i czynne, bijatyki, burdy, zakłócenia porządku, spokoju i przyzwoitości publicznej, oraz inne drobne wykroczenia policyjne, tudzież sprawy o kradzież, oszustwo i fałszerstwo, nie przekraczające wartości 30 rub.; warunkiem niezbędnym jest też spełnienie wykroczenia przez włościan, a i to w obrębie gminy, nie wykluczając gruntów obywatelskich. Wogóle sąd gminny może sądzić tylko włościan, przeto sprawa, w której są zamieszane osoby innych stanów, podlega kompetencyi sądów ogólnych; wszakże każdy ma prawo za wykroczenie, popełnione przez włościan w obrębie gminy, zaskarżyć ich do sądu gminnego... Ścisłych jednak granic kompetencyi sądów gm. nakreślić nie można, prawo bowiem nie wskazuje, jakie mianowicie wykroczenia włościan mają mu podlegać; wyroki senatu, wyjaśniając wypadki poszczególne, nie wiele pomogły... Zresztą nawet wyraźnie wskazane granice przekraczają sądy gm. ustawicznie; tak np. rozstrzygają one sprawy o kradzieże kwalifikowane oraz nieposłuszeństwo i obrazę władz gminnych lub gromadzkich, chociaż wyroki senatu [1] zakazują to czynić. Ta okoliczność ułatwia poniekąd kasacyę, która jest możliwą o tyle, o ile wyrok został oparty na prawie pisanem, bo udowodnić jego sprzeczność z prawem zwyczajowem, jak tego wymaga wyrok senatu [2], jest prawie niemożebne. Przyczyna leży w tem, że kryminalne zwyczajowe prawo znajduje się w dobie zupełnego zaniku; poważnie mówić chyba można tylko o jego pozostałościach, od tylu bo już wieków zaprzestało ono działać:

---

[1] K. D. Kr. 69 r., 605; 70, 983; 71, 464 i t. d., tudzież I. D. 2/x, 78 r., 6784.

[2] K. D. Kr. 19/x, 76 r., 7744.

uprzednio juryzdykcya patrymonialna powoływała się na nie o tyle, o ile ono nie sprzeciwiało się Statutowi, co zaświadczają archiwa Ekonomii szawelskiej. Po przyłączeniu do cesarstwa, nowe prawo kryminalne zupełnie odrzucało zwyczajowe, zresztą wymiar sprawiedliwości spoczywał w ręku klas wyższych, od dawna hołdującym już zachodnim wpływom cywilizacyjnym. Ich społeczno-prawne pojęcia, acz powoli, przesiąkają do mas ludowych, zwłaszcza przez zamożnych chłopów-gospodarzy, których, jak to zaznaczyły *Kow. Wiadomości Gub.*[1], nie można odróżnić już od drobnej szlachty, tak w tej prowincyi licznej. Nie można też negować wpływów wschodnich (chociaż bardzo słabych), albowiem mają one licznych przewodników.

Obowiązujące prawo karne też styka się z ludem. Rozszerzenie się widnokręgu umysłowego, przeobrażanie się ludowych zwyczajów i obyczajów, oraz warunków życiowych, niewątpliwie wpłynęło na zmianę poglądów prawnych... Te wszystkie wpływy, krzyżując się wzajemnie i znosząc, doprowadziły niemal do chaosu, zupełnej dowolności w pojmowaniu i określaniu winy, oraz poczytalności i odpowiedzialności; to zamieszanie jeszcze bardziej potęguje ta okoliczność, że sądy gminne mogą powoływać się na artykuły 440—536 Ustawy sądowej wiejskiej, ale stosować ich ściśle nie są obowiązane[2]; mają te artykuły określać obowiązkowo stopień kary. Z inicyatywy swych pisarzy sądy gm. powołują się czasami nawet na wyroki kasac. Departamentów senatu, lubo częstokroć niestosownie. Jasno określonego przez prawo przewodu sądowego niema, atoli zwyczaj ustalił pewne prawidła, poniekąd go zastępujące. Publiczność posiedzeń sądowych oraz zupełna równość obu stron — to podstawy główne. W sądzie może świadczyć każdy lub każda z nader nielicznemi wyjątkami, które określić trudno; wszakże dzieci przeciw rodzicom, mąż przeciw żonie, a wogóle młodsi przeciw starszym krewnym lub powinowatym i odwrotnie, nie są obowiązani świadczyć. Zeznania świadków stanowią bardzo ważny dowód, ale

[1] 1891 r., nr. 3. Art. „Rozmowa podróżna w Radziwiliszkach".
[2] I. D. S. R. 3/1, 77.

ich ważność zależy od wielu okoliczności, np. od moralnej wartości, wieku, stanowiska, czasami płci i t. d. Przysięga świadków nie istnieje, chociaż t. zw. „bożenie się“ lub „przeklinanie“ zdarzają się w praktyce, acz nie posiadają znaczenia szczególnego; odprzysiężenie również nie istnieje[1]. Dowody rzeczowe posiadają bardzo wielkie znaczenie — lejce np., to ostateczny dowód kradzieży koni. Niestawienie się uważa się niekiedy za równoznaczne z przyznaniem się do winy, które dowodów innych nie wymaga. Rozmaite stopnie współudziału w przestępstwie sądy rozróżniają, atoli usiłowania puszczają płazem, chociaż karzą niekiedy nawet pogróżki. Znane są im też okoliczności obciążające lub łagodzące winę; do pierwszych niewątpliwie należy tylko recydywa, do drugich zaś — uprzednie dobre sprawowanie się, wiek, czasami stanowisko społeczne lub prawne, względy przyzwoitości i t. d. Zbieg przestępstw nie ma znaczenia szczególnego. Konieczność samoobrony uwzględnia się. Przedawnienie, ściśle biorąc, nie jest znane.

W sprawach karnych, wytoczonych przed sądy gm., chodzi zwykle o obelgi słowne i czynne, nieposłuszeństwo i nieposzanowanie władzy wiejskiej lub starszych, samowolę, obrażenia cielesne, bijatyki, burdy rozmaite, drobne kradzieże, oszustwa, fałszerstwa i t. d.; wyjątkowo toczą się i inne sprawy. Obelga słowna stosunkowo niedawno wystąpiła na jaw, jako obraza osobista; dziś sądy karzą za nią względnie surowo, ale dowolnie. Za zwymyślanie od durniów — rubla grzywny, a od niemców i złodziejów — 2 dni kozy i 15 rub. wynagrodzenia[2]. Niegrzeczne obejście się z płcią piękną nie uchodzi bezkarnie; tak „panna“ Fiedorowska oskarżyła niejakiegoś Rymkunasa, że on „osobiście zadał jej rozmaitemi nieprzyzwoitemi słowami zniewagę przy publice narodu“. Wyrok: 2 dni robót publicznych[3]. Wzajemne obelgi znoszą się, ale nie zawsze: dwóch włościan, nawymyślawszy sobie od waryatów i złodziejów, oskarżyło się wzajemnie;

[1] Tak zwane „przeklinanie się“, jako dawna pozostałość, bywa czasami w użyciu.

[2] Sąd gm. bernatowski, 1886 r., nr. 62 i 27.

[3] Sąd gm. rogowski, 1887 r., nr. 34.

sąd sałantowski [1] skazał ich obu na chłostę i grzywny. Za obelgi osób leciwych lub starszych krewnych, kara bywa surowsza niż za zobelżenie równych: do aresztu lub grzywien dołącza się zwykle chłosta. Wogóle w sprawach o obelgi słowne, sądy gm. często przekraczają zakres kompetencyi, a mianowicie sądzą sprawy o obrazę zwierzchności gromadzkiej lub gminnej; tak np. za obrazę wójta kazano wyliczyć 20 rózg, a starosty (sołtysa) — 15 rub.[2]. Publicznie zwymyślano poborcę podatkowego; sąd w Towianach [3] skazał winnych na chłostę, ale znieważony przebaczył, wyrok przeto nie został wykonany. Widzimy więc, że sprawy podobne umarzają się przebaczeniem pokrzywdzonych; niekiedy kończą się zgodą, w której wódka gra rolę poważną: „ponieważ — czytamy w protokóle — Kozakiewicz pogodził się z Rymowiczówną, przeto obiecał jej kupić kwartę wódki, co sąd postanowił zapisać do księgi wyroków“ [4]. Nie zawadziłoby dodać: „i poszedł razem do karczmy ją wypić“, jak się to zwykle dzieje. Obok tego sądy wielce dbają o swoją powagę. Robotnik „za okazany na sądzie hazard“ (uniesienie), trafił na dobę do kozy [5]; za uchybienie sędziom — 10 rózg [6] i t. d.

Ta opieka rozciąga się też i na urzędy gminne; tak w pewnym wyroku czytamy: „Karola R. za nieprzyzwoite zachowanie się w urzędzie gminnym, oćwiczyć rózgami“. Dbałość o dobrą opinię wiejskich dygnitarzy, sądy posuwają niekiedy do tego stopnia, że z własnej inicyatywy karzą za ich obmowę: ktoś rozpuścił pogłoskę o łapownictwie starosty, i trafił za to „na trzechdniową i nieprzerwaną robotę“ [7].

Wogóle oszczerstwo bywa surowo karane. Za plotkę o kradzieży ryby — 30 rub. wynagrodzenia pokrzywdzonemu, a za rozpuszczenie pogłoski o pewnym gospodarzu jako sodomicie —

---

[1] 1887 r., nr. 141.
[2] Sąd gm. wieprzowski, 1875 r., nr. 23—i traszkuński, 1874 r., nr. 36.
[3] 1886 r., nr. 86. [4] Sąd gm. surwieliski, 1872 r., nr. 1.
[5] Sąd gm. towiański, 1871 r., nr. 41.
[6] Sąd gm. traszkuński, 1889 r., nr. 48.
[7] Sąd gm. traszkuński, 1874 r., nr. 45.

chłosta i koza [1]. W gminie średnickiej brat razem z siostrą zarzucili sąsiadowi ojcobójstwo; sąd [2] kazał za to bratu wyliczyć 20 rózg, a siostrę posadzić na 6 dni do kozy; skazani odwołali oszczerstwo i prosili o przebaczenie, które otrzymali. Do sądu gm. w Janowie, wdowiec zaskarżył sąsiadkę, która o jego żonie zmarłej rozpuściła „nieprawidłowe i krzywdzące pogłoski, jakoby ona (niebòszczka) otruła się...“, ale skargi swej nie udowodnił, przeto zapłacił 50 kop. kary... „za głupstwa“ [3]. Niekiedy oszczerstwo przybiera formy oryginalne: do sądu aleksandrowskiego pewna kobieta wniosła skargę, w której pisała, że „panna“ K. „rozkleja we wszelkich publicznych miejscach krzywdzące ją p r o k l a m a c y e i paszkwile“; wyrokiem [4] sprawę tę przekazano urzędowi prokuratorskiemu; w kilka miesięcy potem tenże sąd sprawę o rysunek, uwłaczający czci niewieściej z obrazą przyzwoitości, a naklejony w miejscu publicznem, przesłał do sędziego śledczego [5]. Czasami sądy mają do czynienia z obelgami niezwykłemi. Powód żąda 5 rub. wynagrodzenia za „obelgę słowami i nieprzyzwoitym ruchem ciała“. Sąd powództwo zniżył do połowy, a babę kazał osadzić na 3 dni do kozy [6]. Posprzeczały się dwie kumy, i jedna drugiej „wytarła jajkiem twarz“, za co sąd kazał winnej myć 2 dni podłogi w urzędzie gminnym [7].

Najwięcej *atoli* toczy się spraw o obelgi czynne; zawalone są niemi sądy zwłaszcza na głębokiej Żmudzi. Wyroki w tych sprawach cechuje zupełna dowolność: za uderzenie wieśniaka biczem — chłosta, a za obicie kobiety w jednym wypadku — 2 rub. grzywny, w drugim zaś (obita leczyła się u doktora) — 5 rub. zwrotu szkód [8]. Ta sama dowolność panuje wszędzie. Tak sąd bernatowski skazał Stanisa, który „rozjuszywszy się, uderzył drugiego (przeciwnika) w policzek, skutkiem czego nastąpił krwiotok z ust, i powtórnie uderzył pięścią w pierś“ — na 3 godziny aresztu i 3 rub. wynagrodzenia; trochę później tenże sąd

[1] Sąd gm. krocki, 1875 r., nr. 31 i 25. [2] 1889 r., nr. 14.
[3] 1875 r., nr. 28. [4] 1879 r., nr. 34. [5] 1879 r., nr. 52.
[6] Sąd gm. rogowski, 1882 r., nr. 53.
[7] Sąd gm. traszkuński, 1890 r., nr. 33.
[8] Sąd gm. rozaliński, 1885 r., nr. 44 i 50, oraz 1886 r., nr. 1.

Apolonię Ł. za obicie polanem rywalki, posadził na 3 godziny do kozy[1]. Przed sądem w Worniach staje osobiście Anna B. i skarży się, że ją obili bez przyczyny: Piotr Bart. — cepem, Józef Bud. — nogą, Szym. — kijem, Straw. — pięścią, a Szat. zamierzał widłami; skargę udowodniono. Sąd skazał Bart., Bud. i Szym. na 3 dni aresztu, Straw. na dobę, a Szat. uwolnił[2]. Za ciężkie obrażenie cielesne, stwierdzone przez lekarza, 3 rub. wynagrodzenia[3], chociaż sprawa niewątpliwie kwalifikowała się do sądów przysięgłych.

Trudno wogóle czasami odróżnić obelgi czynne od obrażeń cielesnych; często sądy biorą jedne za drugie. W sprawach podobnych do kar zwykłych — aresztu i grzywien — wraz z wynagrodzeniem łączy się niekiedy chłosta. Pewien chłop uderzył mężczyznę, a w kilka miesięcy potem czynnie skrzywdził kobietę, za co spotkała go dwa razy chłosta[4]. Za „obicie kobiety kołem po nodze“ — 8 rub. „na lekarstwo“ i 5 rózg, a za uderzenie w twarz — 10 rub. „na leczenie“ i 15 rózg[5].

Chłop uderzył swego sąsiada cegłą; poszkodowany żąda 10 rub. Oskarżony stawił się, ale samowolnie opuścił sąd przed wprowadzeniem sprawy, co uznano za przyznanie się do winy. Świadkowie potwierdzili skargę. Pisarz zapisał: „sąd kierując się wyrokiem Senatu rządzącego z d. 10 października 1876 r., nr. 2877, rozstrzygnął sprawę zaocznie, i uznając powództwo i skargę za udowodnione, na zasadzie 96, 101 i 102 a także 107 art. Ogólnej ustawy włościańskiej, postanowił ukarać oskarżonego rózgami, 5 uderzeniami, i wyegzekwować na korzyść skarżącego rub. 3 kop. 20“. W tejże gminie tak kopnięto kobietę, że przeleżała parę tygodni. Wyrok: 2 dni aresztu i 6 rub. wynagrodzenia[6]. Czasami część wynagrodzenia ustanowiona bywa

[1] 1876 r., nr. 7 i 22.
[2] 1888 r., nr. 116.
[3] Sąd gm. towiański, 1890 r., nr. 21.
[4] Sąd gm. bernatowski, 1877 r., nr. 37, i 1878 r., nr. 4.
[5] Sąd gm. worniański, 1886 r., nr. 50, i 1887 r., nr. 23.
[6] Sąd gm. sałantowski, 1887 r., nr. 56 i 48.

w zbożu; np. za obicie kobiety sąd gm. towiański [1] kazał zapłacić jej 2 rub. i dać 10 garncy żyta.

Tu zaznaczyć należy, iż lud wogóle ma zwyczaj skrupulatnej zamiany obelg słownych i czynnych obrażeń cielesnych i t. p. na ruble, pury, łokcie i pudy; stąd to zdaje się powstało wyrażenie: „obił na tyle a tyle rubli“, spotykane często w praktyce sądowej. Sądy jednak systematycznie zmniejszają pretensye stron skarżących; np. znieważona kobieta żąda 40 rub.: przysądzono tylko 25 rub., a winnego wsadzono na 3 dni do kozy [2] i t. p. Z tem zjawiskiem walczą też niektóre Zjazdy komisarzy włościańskich, dochodzi bo już do tego, że — jak to stwierdził sąd gm. kryński [3] — powódka krzyczała naumyślnie, by otrzymać wynagrodzenie pieniężne.

Bijatyki zdarzają się nader często; powody ich bywają czasami oryginalne. Chłop nastąpił swemu sąsiadowi na nogę i przeprosił go „grzecznie“, ale sąsiad obił go „na 5 rub.“, które też zapłacił [4]; zwykłem atoli podścieliskiem bijatyk, burd, zwad i t. d., jest pijaństwo ludowe, dość rozpowszechnione, każda niemal kłótnia po pijanemu, kończy się użyciem pięści. Piło dwóch chłopów; pokłócili się, i jeden drugiemu „nabrykał obutemi nogami, ile wlazło, po twarzy“. „Za pijaństwo“ zapłacili obaj po 2 rub. grzywien, a powód otrzymał w dodatku 15 rub. wynagrodzenia [5]. W rodzinie poważnej „spokojnie“ odbywała się „wakaruszka“ (wieczorynka); wtem pewien gość „przedstawiając widok waryata, zaczął bić i wymyślać innym“; sąd „uznał za dobre, jako młodzieńca, ukarać 24 rózgami, w nadziei poprawy swawolnika“ [6]. W innym wypadku taka „wakaruszka“ skończyła się gorzej, bo w ogólnej bijatyce przyjęły udział i kobiety, „oblewając się piwem“ i rzucając w przeciwników dzbany, ale winny znalazł się tylko jeden, którego sąd gulbiński kazał oćwiczyć [7].

[1] Wyr. nr. 45, 1890 r.
[2] Sąd gm. rozaliński, 1886 r., nr. 53.
[3] Wyr. nr. 90, 1890 r.
[4] Sąd gm. traszkuński, 1889 r., nr. 35.
[5] Sąd gm. puszołacki, 1886 r., nr. 32.
[6] Sąd gm. rozaliński, 1885 r., nr. 64.
[7] 1885 r., nr. 37.

Hulanka w wesołem towarzystwie zakończyła się ogólną bijatyką, w czasie której pewnemu chłopu „głowę przebili“; poszkodowany od każdego uczestnika bijatyki otrzymał po 5 rub. a od jej sprawcy — 10 rub.[1]. Ten sam sąd sprawcę wielkiej burdy oćwiczył i wsadził na 5 dni do kozy[2]. Na weselu w gminie rumszyskiej, pewien wieśniak „pokazał drugiemu figę“, za co kropnięto go kijem; obaj „za grubijaństwo“ trafili do kozy na 2 dni[3].

Zdarza się niekiedy, że pijaństwo prowadzi do wykroczeń przeciwko prawu własności. Wesoła kompania przepiła nietylko gotówkę własną, ale i cudze futro; na rozprawie sądowej wyjaśniło się, iż — oprócz wódki — chłopi wypili butelkę spirytusu, po 2 butelki rumu i portwejnu, a zakończyli butelką porteru; sąd w Puszołatach kazał im zapłacić po rublu kary[4]. Brat przepił spodnicę siostry; wyrok: 19 rózg[5]. Mąż, rozłączony z żoną, zabrał z jej pola i przepił 40 snopów żyta, za co sąd gm. puszołacki[6] kazał wyliczyć „najokropniejszemu pijakowi“ 20 rózg Sprawy podobne wcale nie są rzadkie...

Nie zdarza się, by pijaństwo prowadziło do samowoli, chociaż praktykuje się ona często, zwłaszcza w formie zabijania lub kaleczenia cudzych zwierząt, schwytanych w szkodzie, co robi się niekiedy przez zemstę. Sądy na samowolę zapatrują się wogóle pobłażliwie. Za skaleczenie cudzych świń — rubla kary i godzina aresztu[7]; w gminie subockiej pastusi schwytali „w szkodzie“ krowę, wydłubali jej oko, wybili zęby, przekłóli bok i zapłacili za to, prócz wynagrodzenia szkody, 10 rub. grzywien[8]. Piesek „angielskiej rasy domowej“ zadusił 11 gąsiąt, a właściciel ich zabił go. Za pieska zabitego zażądano 50 rub., właściciel gąsiąt zaś ocenił swoje straty na 60 rub., ale sprawę przegrał i musiał za pieska zapłacić 25 rub., oraz przesiedzieć dobę w kozie[9]. Ale

[1] Sąd gm. towiański, 1876 r., nr. 35.
[2] 1890 r., nr. 35. [3] 1879 r., nr. 86. [4] 1876 r., nr. 18.
[5] Sąd gm. remigolski, 1884 r., nr. 16. [6] 1886 r., nr. 30.
[7] Sąd gm. bernatowski, 1876 r., nr. 11.
[8] 1887 r., nr. 67. [9] Sąd gm. krocki, 1888 r., nr. 38.

spotykamy i inne formy samowoli: pewien chłop rozebrał cudzy chlew, a drew użył na opał; wyrok: 10 rub. grzywien i 30 rub. wynagrodzenia [1].

Wogóle spraw o obelgi rozmaite, bijatyki, obrażenia cielesne i t. p. mamy bez liku; często w nich biorą udział i kobiety wiejskie, posiadające sporo skłonności wojowniczych. Pewna baba tak obiła rywalkę, że przeleżała 6 dni; winowajczyni zapłaciła 10 r. [2]. W gminie remigolskiej włościanka obiła sąsiadkę wraz z jej mężem „na 10 rub.“, ale przysądzono tylko 3 rub. [3]. Inna kobieta okrwawiła dorosłego mężczyznę oraz jego żonę „ze wszystkiego na 30 r.“; przysądzono 15 rub. W Wieprzach dziewka tak poturbowała chłopa, że aż zachorował; wyrok — ze względu na okoliczności łagodzące — zapadł łaskawy: 2 dni aresztu. Okoliczności łagodzące, o których tu mowa — to żarty nieprzyzwoite [4]. W gminie aleksandrowskiej pewna młoda niewiasta wrzuciła żołnierza urlopowanego do rzeki Szeszuwy; na sądzie nietylko, że przyznała się, lecz „przechwalając się siłą fizyczną“, z naciskiem zaznaczyła, że zrobiła to, aby go wywalać w błocie; zwolniono ją od kary, albowiem w tym czynie sąd uznał akt obrony własnej, konieczny wobec zbyt natarczywych zapędów miłosnych napastnika [5]. Do sądu towiańskiego zaniesiono skargę, w której powód pisał: „kiedy on pędził ze szkody gęsi, około 20 sztuk, to ich właścicielki napadły na niego, zbiły kamieniami i kijami, powtarzając: ‚kobieta obije, żadnego sądu nie będzie‘“; wyrok [6] skazał je na oćwiczenie rózgami.

Rozmaitego rodzaju wykroczenia przeciw prawu własności stanowią też znaczny odsetek spraw, rozstrzyganych w sądach gm.; kary są surowe, ale dowolne; do aresztu i grzywien, oprócz wynagrodzenia, dołącza się zwykle chłosta. Tak sąd gm. rozaliński [7] skazał za kradzież 5 polan brzozowych i jednego jesionowego na 20 rózg, ale za ukradzenie 25 rub. tylko na 2 rub.

---

[1] Sąd gm. wieloński, 1886 r., nr. 1.

[2] Sąd gm. rozaliński, 1885 r., nr. 56. [3] 1884 r., nr. 28.

[4] Wyroki sądów gminnych rogowskiego 1887 r., nr. 28, i wieprzowskiego 1889 r., nr. 23.

[5] 1878 r., nr. 26. [6] 1876 r., nr. 40. [7] 1885 r., nr. 4 i 12.

grzywien; remigolski zaś kazał wyliczyć za kradzież jednej gęsi 15 rózg, a za ukradzenie 28 rub. — 18 rózg [1]; za kradzież koszyka jabłek — 15 rub. grzywien [2] i t. d. Za kradzież drobnostki, znany złodziej otrzymał 20 rózg; kradzież żyta pociągnęła zwrot ukradzionego, a „za nieprzyzwoity postępek“ — 15 rózg [3]. Spił się chłop i legł odpocząć pośród drogi; mimo przechodził znany złodziej i pijak; spojrzał: buty — dobre, więc je ściągnął z nóg i przepił. Sąd kazał dać pierwszemu 10 rózg, a drugiemu — 5; oczywiście pijaństwo pierwszego było łagodzącą okolicznością dla drugiego [4].

Do okoliczności łagodzących należy wiek, a głównie uprzednie dobre sprawowanie. Do ogrodu owocowego, dzierżawionego przez Żydów, wpadli w nocy malcy i zaczęli gospodarzyć po swojemu; Żydzi jednego złodziejaszka schwytali, przywiązali do drzewa, jakoby „kłóli pałką“, ale nazajutrz zdrowego odstawili do sądu gulbińskiego, który zważywszy na dobre sprawowanie się chłopców, „dla przykładu“ kazał dwóch ochłostać [5].

Do okoliczności zwiększających winę, należy tylko recydywa, bo włamanie się nie jest nią stanowczo; złodziej już karany ukradł dzbanek piwa domowego, za co dostał 20 rózg [6]. Sądy nie rozróżniają kradzieży dziennej od nocnej; wyróżniają tylko kradzież spełnioną w dzień świąteczny, która często pociąga złożenie — tytułem kary — pewnych opłat na rzecz kościoła lub żebraków. Włościanin ukradł w niedzielę trochę lnu; wyrok: 5 rub. grzywien i rubla na ubogich, bo „kradzież spełnioną została w dzień świąteczny“ [7]. W sprawach o kradzież często sądy przekraczają swoją kompetencyę; sądzą np. sprawy o kradzieże spełnione przez służących u chlebodawców, chociaż podlegają one sądom pokoju [8]. Gospodarz oskarża swoją służącą

[1] 1884 r., nr. 47 i 48.
[2] Sąd gm. pompiański, 1886 r., nr. 23.
[3] Sąd gm. rogowski, 1882 r., nr. 100 i 101.
[4] Sąd gm. wieprzowski, 1886 r., nr. 15. [5] 1885 r., nr. 35.
[6] Sąd gm. kupiski, 1877, nr. 74.
[7] Sąd gm. puszołacki, 1886.
[8] Kr. D. K. S. R. 1872, nr. 130.

o kradzież i żąda wynagrodzenia; „pozwana odmówiła zadośćuczynić gospodarzowi, ponieważ on zadośćuczynił sobie zupełnie, bo bił ją ile chciał“; kazano za karę wymyć podłogę w urzędzie gminnym; w tejże gminie służąca przyznała się, że systematycznie okradała swoją panią; nakazano zwrócić wartość rzeczy skradzionych, a samą kradzież puszczono płazem [1]. Robotnik ukradł u swego gospodarza 7 rub. srebrnych, „schowanych pod pułapem“; wyrok: 15 rózg „dla przykładu innym, aby unikali podobnych występków“ [2]. Za kradzież u gospodyni 5 garncy grochu, 2 garncy mąki jęczmiennej i 3 funtów wełny, sąd gm. płungiański [3] kazał służącej zapłacić 2 rub. kary. Czasami sądy przebaczają złodziejom, przyznającym się do winy i proszącym o łaskę, ale za zgodą strony poszkodowanej. Skradziono kobiecie 5 rub.; w czasie posiedzenia sądowego złodziej przyznał się, zwrócił 5 rub. i prosił poszkodowaną o przebaczenie, które uzyskał. Sąd, „zważywszy na zupełne zadośćuczynienie powódce i skruchę obwinionego“, postanowił „p r z e b a c z y ć m u t e n r a z“ [4].

Oprócz spraw o wykroczenia przeciw prawu własności, bywają inne, np. o profanacyę kościoła. W gminie surwieliskiej pleban oskarżył chłopa o tańce w kościele; „nie tańczyłem — odparł oskarżony — tylko szedłem prędko“, ale i za to dostał 10 rózg [5]; za brzydkie wymyślanie około kościoła sąd gm. towiański kazał byłego żołnierza ocwiczyć [6]. Zdarzało się przedtem, że karano kryminalnie wykroczenia moralne lub po prostu zaniedbanie przepisów kościelnych. Za pożycie nieślubne brata z siostrą cioteczną, skazano brata na chłostę, 7 dni aresztu i 100 rub. wynagrodzenia, a siostrę — „za rozpustne życie wytrzymać na chlebie i wodzie 3 doby, z użyciem do ciężkich robót“. W tejże gminie z inicyatywy księdza, skazano „za rozpustę“ A. i D. W. „do robót publicznych“, a J. Cz. na pokutę kościelną, której wykonania miał dopilnować urząd gminny [7]. Dziś już po-

[1] Sąd gm. surwieliski, 1872 r., nr. 3 i 1873 r., nr. 67.
[2] Sąd gm. krocki, 1870 r., nr. 3. [3] 1885 r., nr. 20.
[4] Sąd gm. bernatowski, 1886 r., nr. 59. [5] 1873 r., nr. 65.
[6] 1876 r., nr. 27.
[7] Sąd gm. bernatowski, 1867 r., nr. 4, i 1866 r., nr. 5.

dobnych spraw nie spotykamy, chociaż niekiedy duchowni próbują, ale bezskutecznie, skarżyć do sądów gm. włościan za wykroczenia religijne, np. niechodzenie do spowiedzi, publiczne łamanie postu i t. p. Nawet przyjęcie skarg podobnych jest już przekroczeniem władzy, ale sądy gm. ustawicznie tem grzeszą; tak np. sąd subocki sądził sprawę o rajfurstwo [1], a ejragolski rozstrzygał nawet sprawę o usiłowanie zabójstwa, która zakończyła się wzajemną zgodą [2]; sprawę tę przekazał mu sędzia pokoju.

Wogóle w sprawach, toczących się w sądach gminnych, spotykamy ślady głębokiej starożytności: walki rodowe na małą wprawdzie skalę zdarzają się i teraz; przytaczam parę przykładów... W parafii kołtyniańskiej, obie strony, uzbrojone w kłonice, stoczyły zaciętą walkę; zwycięzcy spustoszyli do szczętu mienie zwyciężonych, wycinając np. drzewa owocowe, pojmane kobiety i dzieci oćwiczyli, a na zakończenie puścili swoje trzody na ziemniaki przeciwników; sąd gm. uznał ten napad za bijatykę [3]. Na południu, w powiatach litewskich, walki te nie są tak krwawe i zacięte. W gminie rogowskiej Borowscy napadli na Alelunasów; pierwsi zwyciężyli: Alelunasów „samowolnie obili", spustoszyli ich mienie, skaleczyli świnię i wycięli 34 drzew owocowych; sąd skazał mężczyzn na 2 dni robót publicznych, a kobietom przebaczył [4]. W pow. kowieńskim, w gminie krockiej też odbyła się walka dwóch rodów, w której wyróżniła się odwagą i męstwem kobieta brzemienna z kłonicą w garści; sąd skazał winnych na 3 dni kozy [5]. W takich napadach biorą udział tylko krewni, noszący jedno nazwisko.

Zdarza się też, chociaż już wyjątkowo, że sądy gm. rozstrzygają sprawy, powstałe na tle wiary w czary, połączone z możnością szkodzenia innym. Baba w ogrodzie spokojnie sadziła ziemniaki, gdy córka jej sąsiadki wyszła z chaty i zaczęła sadzić kamyki w grunt niezorany, co — wedle wiary ludu —

[1] 1887 r., nr. 71. [2] 1890 r., nr. 19.
[3] 1888 r., nr, 113. [4] 1890 r., nr. 67.
[5] 1880 r., nr. 18.

miało sprowadzić nieurodzaj; zrobiono to przez zemstę. Baba dziewczynkę oćwiczyła agrestem... za czary; zaskarżono ją do sądu, ale sąd skargę odrzucił, bo punkt 3-ci uwagi pierwszej do art. 470 Wiejskiej ustawy sąd. głosi: „t. zw. klikusze, oskarżające innych jakoby oni wyrządzili im złe za pomocą wróżenia lub złych duchów, podlegają sądowi kryminalnemu“ [1].

Bywa, że rodzice odpowiadają za dzieci nawet dorosłe, a zwłaszcza ojciec za syna, matka za córkę. W gminie towiańskiej pastuch obił dwie dziewczynki, za co dostał się do kozy, która nie ominęła i jego ojca [2]; za rozpustę córek skazano matkę na grzywny [3]; „za niepowstrzymanie dzieci od samowoli“ — rubla kary [4] i t. d.

Wogóle sądy gm. rozstrzygają znacznie więcej spraw kryminalnych niźli cywilnych.

Kończąc ten artykuł, zanoszę prośbę o wyprowadzenie zeń wniosków stosownych, ale koniecznych, nie zaś — dowolnych.

Jan Witort.

---

[1] Sąd gm. aleksandrowski, 1879 r., nr. 47.
[2] 1890 r.. nr. 41.
[3] Sąd gm. bernatowski, 1886 r., nr. 5.
[4] Sąd gm. janowski, 1875 r., nr. 50.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Z powieści polskich.

Najmłodsi. Powieść w 2-ch tomach. *Adam Krechowiecki.* Warszawa 1893.

Streścić tę powieść krótko, jest rzeczą dość trudną, z powodu wielkiej ilości osób występujących w niej i zawikłanych stosunków, jakie je między sobą wiążą. Powieść obejmuje trzy, a ściślej dwie generacye ludzkie. Pierwszy tom jest poświęcony generacyi starszej i skreśleniu warunków, wśród których wzrasta pokolenie najmłodsze, tom drugi zajmuje się działalnością, czynami owych „najmłodszych". Bohaterami powieści to „najmłodsi", a więc przedstawiciel rodu szlacheckiego, a nawet arystokratycznego, Zygmunt Czarnoszyński, reprezentant warstw niższych, syn ekonoma, Jurek Sipajłło, trzecią byłaby Olga, córka Borskiego, zrodzona z kobiety wychowanej i wzrosłej pod strzechą włościańską. Pierwszy tom, pozbawiony prawie zupełnie dyalogów, o fabule i akcyi wlokącej się leniwie, powoli, jest nużący; drugi, jakby autor chciał wynagrodzić braki pierwszego, pełen wypadków i zdarzeń, działających silnie na nerwy, tu i ówdzie może nawet sztucznie wyszukanych, pełen scen zręcznie i umiejętnie zdyalogizowanych — obudza żywsze zainteresowanie się. Wśród generacyi starszej zasługują na uwagę z powodu swej doskonałej charakterystyki: Roman Czarnoszyński, ojciec Zygmunta, i stary Sipajłło. Roman Czarnoszyński to marzyciel z pierwszych dziesiątków lat tego wieku, niepraktyczny, romantyk „mądry jak biblioteka", o sercu otwartem, nieszczęśliwy

w pożyciu małżeńskiem i szukający pociechy w wychowaniu syna. Tu się zaczynają te wpływy, które działają na wyrobienie charakteru Zygmunta, u którego ojciec pogłębił pogląd na świat, ale rozwinął w nim zarazem uczuciowość i wrażliwość. Równocześnie rośnie Jurek, syn Sipajłły, pod innym znowu wpływem, pod wpływem ambitnej, ale ambicyą nizką, parafialną, swej matki, która zaszczepia w jego sercu chęć dojścia do majątku, sławy, budzi w nim zazdrość względem wyżej stojących na drabinie społecznej, urabia go na człowieka praktycznego, a on sam w późniejszych latach dochodzi do żelaznej wytrzymałości, energii i siły dążącej wszelkiemi środkami do zamierzonego celu.

Zygmunt i Jurek wyjeżdżają po naukę do Odessy. Pierwszy uczy się wszystkiego, kształci się naprawdę, ale bez określonego ściśle praktycznego kierunku, drugi studyuje medycynę, która ma mu dać majątek i sławę. Zygmunt ulega w Odessie wpływom ks. Stanisława, którego rodzina zaopiekowała się obu młodzieńcami. Trafnie tu uchwycona tak częsta w młodym wieku pobożność, przejęcie się obrzędami religijnemi, marzenie poświęcenia się stanowi kapłańskiemu, to oddanie się zupełne, z najwyższą egzaltacyą pobożnym praktykom, które w późniejszym wieku ginie lub słabnie, ustępując zapałowi ku wiedzy, i powraca znowu pod starość. Przechodzi to każda prawie szlachetniejsza natura, i autor dając nam dokładny obraz przejść i zmian w życiu Zygmunta, nie mógł tych rysów pominąć. Jurkiem, tak w młodości jak w późniejszem życiu, p. Krechowiecki mniej się zajmuje, traktuje go dorywczo i ukazuje go nam tylko w punktach zwrotnych, najważniejszych życia, ale dzięki wybornemu, choć grubemu podmalowaniu na początku dzieła, występują te chwile znamienne jasno, wybitnie i z całą prawdą psychologiczną. Otrzymawszy raz zasadnicze dane charakteru Jurka, wierzymy i uznajemy, że w warunkach i otoczeniu, w jakiem go powieściopisarz postawił, musiał się tak rozwinąć, jak to widzimy w powieści.

Po latach studyów wstępuje Zygmunt w świat jako natura miękka, słaba, łagodna, jako umysł refleksyjny, rozwinięty, „chociaż bez wyraźnych zdolności w oznaczonym kierunku“, nie tak jednakowoż głęboki, jakim go chce mieć autor teraz i później. Typ to częsty u nas — ludzi, którzy wiele wiedzą, którym rokują wszyscy „piękną przyszłość“, którzy świetnie, rozumnie i dowcipnie rozmawiają w towarzystwie salonowem, ale którzy nie zrobili i nie zrobią nic — z braku wytrwałości, nacechowani tem tak często dziś wspominanem *l'improductivité slave.*

Młody Sipajłło składa egzamina świetnie i jedzie na praktykę do Humania, a towarzyszy mu w jego pracy wielka pamięć, pojęcie bystre lecz powierzchowne, umysł praktyczny, wytrwały, jest to jednem słowem natura twarda.

Po kilku latach spotykają się obaj w Paryżu, dokąd wyjeżdża Zygmunt po stracie majątku dla pracy literackiej, a Jurek, jako przyboczny lekarz Borskiego, dla doświadczeń nad rakiem. I obaj kończą smutno: Zygmunt rzuca się po nieudałych próbach literackich do dziennikarstwa, i wreszcie zostaje kochankiem kuzynki Ireny, sekretarzem jej męża, po którego śmierci od apopleksyi, spowodowanej zdradą żony, ścigany wyrzutami sumienia znajduje spokój w towarzystwie ks. Stanisława i oddaje się spokojnej pracy na skromnej posadzie bibliotekarza. Jurek, zaszczepiwszy umyślnie, dla doświadczeń, na młodej, zdrowej dziewczynie raka, potępiony od kolegów, kończy samobójstwem. Olga, córka Borskiego, wychowana przez Czarnoszyńskich, dostaje się również do Paryża, gdzie kształci swój głos, aby wystąpić na scenie; po odnalezieniu ojca w szpitalu obłąkanych, porzuca swe marzenia o sztuce i oddaje się cała pielęgnowaniu ojca i babki.

Książka ta, której treść powyższemi słowami przedstawiliśmy, ma tytuł za obszerny; najodpowiedniejszy byłby: „jedni z najmłodszych“, bo przecież Zygmunt, Jurek i Olga nie wyczerpują tej obfitej galeryi najmłodszych, jakich naokół siebie widzimy. Nie mamy tu nawet wszystkich stanów reprezentowanych, nie mamy syna chłopskiego, który w naszych czasach dobija się najpoważniejszych stanowisk i stanowi istotnie element, na który się wszyscy oglądamy i na którego z ufnością, jak dotychczas niczem nie zachwianą, spoglądamy. Tymczasem mamy tylko szlachcica: to dobrze i słusznie; syna oficyalisty: to już mniej, bo ci właściwie stanu nie tworzą, choćby z powodu swej nieznacznej liczby; trzecią jest Olga: to ani szlachcianka ani chłopka — i jaką ideę właściwie przedstawia i reprezentuje? Jakie jej posłannictwo? Czem usprawiedliwić wprowadzenie jej do powieści, która bez niej doskonaleby się obeszła, wszakże na akcyę istotnie nie wpływa? Chyba nie zaliczymy jej do „najmłodszych“ i będziemy uważali za figurę drugoplanową, ale wówczas tych najmłodszych będzie tylko dwóch!

Zdaje się z początku, że z tej Oli „znajdy“ urośnie w dalszym ciągu powieści coś niezwykłego, coś co zaważy na losach bohaterów, że autor zrobi z niej typ nowy, oryginalny, pełen siły, do czego się nadawała jej natura, zawierająca w sobie pierwiastki dwóch stanów.

Nadzieje te zawodzą: Ola staje się bierną — oryginalne, malowane jaskrawemi barwami cyganiątko wyrasta na przyzwoitą pannę i nic więcej.

Druga uwaga, że ci „najmłodsi“, to typy ujemne, nie dochodzące do celu. Z powieści czerpie się sens: teraźniejsi młodzi giną marnie, jedni z tego, drudzy z innego powodu. A przecież tak nie jest, i na to dowodów nie potrzeba. Autor sam wspomina o młodym uczonym z dobrego rodu, który przyjechał do Paryża dla badań historycznych. Jest wprawdzie w omawianej książce sylwetka młodego księdza (Stanisława), typ idealny i szlachetny, a u nas nierzadki, kapłana z poświęceniem, ale to postać epizodyczna.

Jestem. Powieść. *Adam Krechowiecki.* Warszawa 1894.

Wyżej pod względem artystycznego obrobienia musimy postawić drugą powieść p. Krechowieckiego: „Jestem“. Może dlatego, że bohater jeden, że akcya mniej skomplikowana, jest to powieść więcej jednolita, zaokrąglona, robi wrażenie rzeczy napisanej od jednego razu. Czuje się, że autor pisał „Najmłodszych“ jakby pod jakimś wewnętrznym przymusem, kiedy tymczasem „Jestem“ płynie swobodnie: nad pierwszymi unoszą się ciężkie skrzydła nocnej pracy, drugą owiewa prawdziwe natchnienie, zapał i zamiłowanie do obranego tematu. „Najmłodszych“ czyta się z przerwami, od „Jestem“ trudno się oderwać, a zasługa to w tym razie wielka, bo treść powieści nie obfita w wypadki, fabuła skromna i rozgrywająca się więcej w życiu psychicznem, niż zewnętrznem.

Całe światło rzucone na bohatera, malarza Augusta Oreckiego, drugie po nim miejsce zajmuje Jadwiga Olińska, mniej wykończona jest Janina Woryska; z innych postaci doskonale namalowany jest Warsz. Treść, po tem cośmy powiedzieli, wypadnie bardzo krótko: Orecki, malarz zdolny, z wyrobioną techniką, trudniący się w Monachium kopiowaniem dawnych arcydzieł i malowaniem drobnych „niezłych“ obrazków, spotyka w pinakotece i zaznajamia się z Janiną Woryską. Przychodzi między nimi do wyznania wzajemnej miłości, miłości zmysłowej. Chwila ta przyozdobiona we wspaniałe ramy burzy nad jeziorem Sterberskiem; nawiasem mówiąc, ten jeden opis zjawiska przyrody przewyższa wszystkie obrazy stepu i t. d., jakie rozwijają się przed nami w „Najmłodszych“, i stawia p. Krechowieckiego w rzędzie najlepszych, a tak rzadkich nowoczesnych malarzy natury. Stosunek Oreckiego z Janiną trwa krótko, bo chociaż on kocha ją miłością

pierwszą i pragnie ją pojąć za żonę, Janina żądna dostatków i świetnego życia, nie widząc tych warunków w pożyciu z Oreckim, uważa tę miłość jako odszkodowanie za przyszłe uleganie niemiłemu i niesympatycznemu mężowi. Leszczycowi, który się o nią stara i który swą pozycyą i majątkiem ma jej dać to, czego Oreckiemu brak, a co jej wydaje się nieodzowne do szczęścia, do życia, przepędzonego dotychczas wśród biedy i upokorzeń. Orecki odepchnięty choruje ciężko; wywieziony przez stryja do kraju, poznaje w jakiś czas we Lwowie (stosunki wśród „malaryi“ lwowskiej oddane wiernie i ze znajomością rzeczy) Jadwigę Olińską, której mąż, kochany przez nią bardzo, leczony jest w Berlinie w zakładzie obłąkanych. I teraz powoli powstaje w sercach obojga tłumiona przez długi czas, a wreszcie wyznana miłość. Miłość to czysta; owocem jej wejście w siebie Oreckiego, głębsze rozmyślanie nad celem i zadaniem sztuki, praca nad sobą samym, kształcenie się wszechstronne, dążenie usilne do znalezienia kierunku, w którymby mógł stworzyć arcydzieło, staranie do obudzenia w sobie prawdziwego, istotnego poczucia artystycznego, staranie uwieńczone skutkiem. Orecki z pomocą Warsza, z pomocą szczególnie Jadwigi, dodającej mu zachęty, budzącej w nim myśl, przez miłość ku niej, przez cierpienie, kiedy wróciła do uzdrowionego męża, dochodzi do swego „Jestem“ artystycznego, maluje obraz, który wprawia w zachwyt ostrego krytyka Warsza. Wycieńczony pracą umiera, podpisując obraz słowem „Jestem“.

Trudno odgadnąć, co było głównem zadaniem autora przy pisaniu tej książki, i toby był główny, zarzut stawiony tej powieści. Z jednej strony, sądząc z tytułu a nieco z treści, tezą było: przedstawienie, chociaż w ciasnym zakresie, dzisiejszego stanu malarstwa w Polsce i wynalezienie dla niego drogi pewnej i jasnej wśród kierunków przeróżnych w niem się przejawiających i branych najczęściej z zagranicy. Z drugiej, sądząc przedewszystkiem z treści, wnosićby można, z większem nawet prawdopodobieństwem, że autor chce nam dowieść tego, co z pewnem smutnem zdziwieniem stwierdza Warsz, co mówi często Jadwiga: że drogą cierpienia, a także i przedewszystkiem szlachetnej miłości dochodzi się do poznania siebie, do obioru prawdziwej drogi swego przeznaczenia, i to przeznaczenie się osiąga. Nie chcielibyśmy w to drugie zadanie uwierzyć, bo byłby to pomysł dosyć zużyty, rozwiązania zaś zadawalniającego pierwszego zadania, jeżeli je sobie autor postawił, w powieści nie znajdujemy. Nie mówimy w tej chwili o obficie w książce rozsianych uwagach o sztuce, bo te są prawdziwe

i bystre, ale to lekarstwo, ten środek, jaki daje p. Krechowiecki malarzom, jako drogowskaz wśród labiryntu teoryj malarskich, mianowicie połączenie idealizmu z realizmem, wypadł w przedstawieniu niejasno. Nie wskazał nam autor, jakby to się dało zrobić. Teorya to nie nowa, obija się często o uszy, i jak wogóle wszelkie teorye wymyślane przedewszystkiem przez filozofów sztuki a nie przez artystów-wykonawców, niepraktyczna i przez prawdziwych artystów odrzucana. Rzetelni artyści nie dyskutują wiele, zauważył to i p. Krechowiecki. Gdyby nam przynajmniej pokazał na obrazie Oreckiego, jak on to połączył idealizm z realizmem, możeby się nam wówczas kwestya rozjaśniła, ale tego w powieści niema. Zdaje nam się, że jedyną, najprawdziwszą i nieraz od artystów z „łaski Bożej“ słyszaną teoryą sztuki malarskiej będą słowa Sienkiewicza w „Tej trzeciej“: „...malarze powinni malować, co któremu serce dyktuje, i umieć malować, bo to grant“... — Tak więc niejasność tezy tej powieści, nienależyte przeprowadzenie tego, co w każdym razie w zamyśle autora leżało (zdanie sobie sprawy z zadania sztuki malarskiej), powszedniość zaś pomysłu drugiego (droga do samopoznania i doskonałości przez miłość kobiety) i jego, dająca się bardzo silnie zakwestyonować prawdziwość, to najcięższy zarzut, skierowany przeciw tej powieści.

Postacie, stojące na drugim planie, wyszły jasno, żywo i prawdziwie; jedyna Janina pozostawia wiele do życzenia w tem szczególnie miejscu, kiedy powraca do pierwszej miłości. Uczucia jej w tym czasie nie są zupełnie jasne, nie wiemy czy to jest dalszy ciąg popędów monachijskich, czy coś głębszego, spowodowanego poznaniem czczości życia z niesympatycznym mężem, brutalem. Wspomnieć także należy, że Janina, obiecująca początkowo wiele, malowana śmiałemi, energicznemi rzutami, w dalszym ciągu słabnie, zamazuje się, z postaci bardzo oryginalnej i zajmującej schodzi na typ powszedni, zblakły i zużyty. — Aby nie kończyć nieprzyjemnym dysonansem, podnosimy kunsztowne, psychologicznie bardzo wierne, realistyczne, ale z realizmem dobrego gatunku przeprowadzenie studyum psychicznego na osobie Oreckiego.

Małżeństwo mieszane. Powieść w 2-ch tomach. *Wojciech hr. Dzieduszycki.* Lwów 1892.

Klementyna Wronowska, poczciwe wiejskie dziewczę, któremu zawróciły główkę hołdy, składane jej przez panów podczas jednorazowego pobytu we Lwowie w czasie karnawału, stąd marząca o życiu

innem, świetniejszem niż to, jakie dotychczas na wsi prowadziła, i odsuwająca od siebie głęboką miłość sąsiada Kazimierza Oszmiańskiego, z namowy siostry swej Laury, wychodzi za Ernesta von Hohenschwangau, Niemca, szukającego po nieszczęśliwej miłości spoczynku wśród Karpat. Hohenschwangau wywozi ją do Bawaryi i tam rozpoczynają się cierpienia Polki, tęskniącej za krajem, prześladowanej przez rodzinę męża, poznającej coraz lepiej, że z mężem nie przyjdzie nigdy do zupełnego zrozumienia się z powodu różnic charakterów, wynikających z odmiennego wychowania, różnicy narodowości, wyznania i t. d.

Rozstrój ten wzmaga się coraz bardziej, a dochodzi do szczytu skutkiem zakochania się w Klementynie króla bawarskiego Ludwika, i skutkiem powrotu jej męża do dawnej ukochanej, przebiegłej, chytrej Frydhildy, która poluje na Ernesta, przedtem żyjącego z pensyi, którą mu starszy brat wypłacał, a po jego śmierci w pojedynku, ordynata! Pojedynek ten wywołali przyjaciele króla Ludwika, obrażonego przez starszego Hohenschwangau. Klementyna zapada w ciężką chorobę; wyzdrowiawszy, wyjeżdża do kraju, do rodziców, z rozkazu jednak ojca wraca do męża, któremu przysięgła posłuszeństwo i miłość. Przechodzi teraz straszną szkołę cierpienia, narażona na oszczerstwa swego męża, który gwałtem zmuszany do tego przez Frydhildę, chce na niej wymusić zezwolenie na rozwód. Ostatecznie daje mu to zezwolenie. Ernest kończy samobójczą śmiercią, skutkiem listu, którym się zobowiązuje wobec Frydhildy, dręczyć wszelkiemi sposobami swą żonę; Klementyna w rok po jego śmierci wychodzi za Kazimierza Oszmiańskiego.

Dziełem sztuki książki tej nazwać nie możemy. Zdaje się, jakoby była obrachowana na zajęcie i poklask tej części publiczności, która biorąc gazetę do ręki, spogląda najpierw na feljeton, potem na kronikę (książka była drukowana w jednej z gazet lwowskich). Autor chciał wykazać złe skutki małżeństw mieszanych, Polki z cudzoziemcem, i zamiast obrać do tego stosunki zwykłe i najczęstsze, najzwyklej się w takich razach trafiające, a więc najodpowiedniejsze do przeprowadzenia zamierzonego celu, wprowadza nas w świat najwyższy, między osobistości koronowane, tworzy fabułę nadzwyczaj fantastyczną, pełną wyszukanych efektów, nieraz nieprawdopodobnych. Wyprowadza na scenę króla bawarskiego Ludwika, co nam ostatecznie obojętne, ale skoro już w niej raz jest, to mamy prawo żądać, aby go traktowano poważnie, aby, kiedy w powieści zajmuje bardzo wiele miejsca i na tok akcyi stanowczo wpływa, aby nam dano wizerunek tego monarchy szczegółowy. Tymczasem autor traktuje go z bardzo wysoka, i zamiast

się nim zająć naprawdę, rzuca nam kilka rysów, jakby to była postać drugorzędna, jakby czytelnik nie miał prawa wymagać charakterystyki dokładnej, tłumaczącej nam to, co o tym królu wiemy, powiadającej nam, skąd, dlaczego ten król był nie takim, jak wielu innych monarchów. To co autor nam o nim mówi — to wygląda na żart, a z przedstawienia jego wynika, że temu królowi nic innego nie brak do zostania człowiekiem podobnym do innych, jak tylko wychowania staropolskiego...

Czasami spotykamy się nawet z pewną naiwnością i, powiedzielibyśmy, prostotą homerycką w przedstawieniu niektórych osób, zrozumiałą dla nas u początkujących autorów, a niewytłumaczoną u W. Dzieduszyckiego, znanego nam z innych poważnych prac. — Np. w sumieniu Ryszarda Wagnera odzywa się głos, przemawiający w ten sposób: „Ryszardzie Wagnerze! łudzisz sam siebie i jesteś łotrem“... (Tom I., str. 190). Zmysłu obserwacyjnego autorowi odmówić nie można w sprawach i stosunkach polskich, i zdaje się nam, że byłby go nie zawiódł również w stosunkach obcych, niemieckich, gdyby był powstrzymał bujny lot swej wyobraźni. Wówczas byłby stworzył dzieło poważne, a nie obliczone jedynie na szerokie masy, które z pewnością nie wyciągną z niej nauki, jaką autor miał na myśli, lecz zamkną książkę z głębokiem westchnieniem — porwani fabułą; czytali ją z zapartym oddechem — i okrzykiem: bardzo ciekawa! Powiedzą to z pewnością szczególnie kobiety, którym będzie się podobała wierna, cnotliwa, nie ulegająca namiętnym słowom króla Ludwika, Klementyna, i cierpliwy, idealnie wierny, poczciwy Kazimierz, odpalony początkowo, a potem, po śmierci Ernesta, drugi mąż Klementyny. Obawiamy się mocno, czy niejedna z czytelniczek nie pomyśli, a może i głośno powie: „ostatecznie nie jest to tak źle wyjść za niemieckiego grafa — kochał się w niej król, graf wkrótce umarł, a ona dostała się znowu w ręce najpoczciwszego, uwielbiającego ją męża. A kto wie, czy i Klimunia, przyszedłszy do godności babci, nie wzdychała czasem i nie mówiła ciekawie słuchającym jej dziejów: ‚piękne to były czasy, — jak ten król mnie kochał, jaki to był szlachetny człowiek! teraz już tak nie kochają!...‘“ Przecież podobne westchnienia nieraz nam się obijają o uszy, a i w literaturze napotykamy takie westchnienia za miłością wielkich ludzi, ujęte w pamiętniki.

Konkludując nasz sąd o tej powieści, przyznajemy autorowi talent żywego opowiadania, umiejętność wynalezienia zajmującej fabuły, wyobraźnię, która lubuje się w fantastycznych dekoracyach, zmysł

obserwacyjny, umiejący jednak podpatrzyć raczej zewnętrzne, i te co na wierzchu leżą, cechy charakterów, niż wnikający w głąb duszy. Stąd wynika pewna szablonowość w rysowaniu postaci szlachetnych, pewna ogólnikowość, przypuszczająca w duszy ludzkiej jednę główną sprężynę, poruszającą nią, zamiast uwzględnić tyle innych, które mechanizmem tak złożonym, jak człowiek, poruszają. Stąd też wszystkie osobistości, występujące w tej powieści, dadzą się określić bez ujmy dla ich psychologicznej treści jednym terminem: ten prawy, ona stała, silna, tamten chwiejny, owa to czarny charakter. Wyobraźnia więc autora poza tą chciwością nadzwyczajnych wypadków i zdarzeń, nie pomaga mu do głębszego wniknięcia w duszę aktorów opowiadania, zadawalnia się typami prostemi, jednolitemi, w swej budowie.

Językowi i stylowi autora co do poprawności nic zarzucić nie można, ale tej poprawności od każdego piszącego żądać mamy prawo, nie jest to więc zasługa; przyznać mu oryginalności i świetności nie możemy. Język jest suchy, styl pozbawiony rozmaitości i oryginalności. Z powieści odnosi się wrażenie pracy pospiesznej, nie poddanej refleksyi, koniecznemu podziałowi, przebrakowaniu materyału, dostarczanemu przez wyobraźnię.

Dr. A. M. Kurpiel.

Kraków w roku 1794. Przez *ks. Wacława, Kapucyna.* W Krakowie 1894.

Tadeusz Kościuszko i jego sławna bitwa pod Racławicami. Opowiedział *Karol J. Nitman.* Nakładem Komitetu wydawnictwa dziełek ludowych. Lwów 1894.

Gwiazda narodu polskiego i całej ludzkości. Napisał *Franciszek Kozdraś.* Nakładem Edwarda Feitzingera. Cieszyn 1894.

Stuletnia rocznica powstania kościuszkowskiego wywołała całą powódź broszur i broszurek; poczciwa chęć we wszystkich widoczna, choć taić sobie trudno, że chęciom nie zawsze sprostały siły; choć trudno się oprzeć pewnemu żalowi, że chęci te i usiłowania, skupiając się wyłącznie koło jednego punktu, przeważnie koło samej tylko bitwy racławickiej, nie wzbogaciły tak ubogiej naszej historycznej literatury popularnej, jakby to skądinąd było pożądanem, i bez spotrzebowania większego kapitału pracy i zdolności najzupełniej możliwem. Chcieć omówić wszystkie te wydawnictwa, z których cały niemal katalog dałby się ułożyć, byłoby może i za trudnem, i w każdym razie za nudnem; wspomnijmy o trzech przynajmniej, które do pewnego

stopnia wskazują trzy główne kierunki, w których i inne kościuszkowskie broszury się poruszają.

Znany nie od dziś z głębokiej czci dla racławickiego bohatera, *spiritus movens* peryodycznego pisemka *Kościuszko*, Kapucyn, O. Wacław, naszkicował w wydanej przez siebie broszurze obraz Krakowa w 1794 roku: jego murów, pałaców i domków, znaczniejszych osobistości, przebijających się w tym czasie z największą siłą w podwawelskim grodzie; zapatrywań i prądów. Farb do tego obrazu dostarczyły pracowitemu autorowi, prócz znanych skądinąd źródeł, cenne kroniki klasztorne, z których dwa najważniejsze ustępy umieszczone w dosłownym tekście w końcowych dodatkach. Pięć, bardzo starannie wykonanych sztychów zdobi miłą tę, wykwintną książeczkę.

Bardzo barwnem i interesującem jest opowiadanie p. Nitmana, z którego pracami nie po raz pierwszy już spotykamy się w coraz lepiej i harmonijniej rozwijającem się lwowskiem „Wydawnictwie dziełek ludowych". Parę zręcznie wplecionych, z wielką werwą, na powieściopisarską modłę skreślonych epizodów, przykuwa uwagę, prostszego zwłaszcza, mniej z historyą obeznanego czytelnika; parę z Lenartowicza zacytowanych ustępów urozmaica i utrwala w pamięci przytoczone historyczne szczegóły. Co, mówiąc otwarcie, mniej nam trafia do przekonania, to papier i obrazki, które niekoniecznie broszurze honoru i ozdoby przysparzają. Oczywiście p. Nitman nic w tem nie winien: i sam z pewnością by wolał, aby np. okładki jego „Kościuszki" nie szpecił niemożliwy bohomaz, bardzo podobny — nietylko z daleka, ale z blizka — do wielkiego kleksu na bibule; wolałby bez wątpienia, aby pracę jego wytłoczono na mniej ostentacyjnie do bibuły zbliżonym papierze.

Trzecia z przytoczonych w nagłówku broszur, również z życiem pisana, do wyobraźni i serca przemawia. Nieszczęściem praca p. Kozdrasia, wciągnięta przez cieszyńskiego wydawcę do cyklu „tanich książeczek dla ludu i młodzieży", znalazła się tu w arcynieodpowiedniem dla siebie towarzystwie; jak bardzo nieodpowiedniem, tego najlepszym dowodem, że sam p. Feitzinger, przysyłając „Gwiazdę narodu polskiego" do naszej Redakcyi, uznał za stosowne część dodanych ogłoszeń o swych wydawnictwach szczelnie grubym papierem zalepić. Nieco naiwny to środek; jak naiwnie wyglądają płatki papieru, któremi pan Feitzinger zalepił w niektórych broszurach nazwiska właściwych nakładców, aby ze swoją firmą na ich miejscu wystąpić; jak wogóle całe to, wyraźnie i wyłącznie na spekulacyę obrachowane przedsiębiorstwo,

w którem najgłówniejszą rolę odgrywają przeróżne kabały, senniki, historye o zamurowanych dziewczynach, oblubienicach bandytów, pięknych Meluzynach i pięknych Magelonach... bardzo, bardzo jest... naiwne — aby innego, dosadniejszego wyrazu nie użyć.

Zarys dziejów polskich w pytaniach i odpowiedziach dla dzieci. Przez *Stanisława Adamowicza*. Lwów 1894. Księgarnia H. Altenberga. (W 8-ce, str. 184).

W ostatnich latach ten dział naszej literatury wypełniło kilka wcale udatnych opracowań; dość, jeśli wspomnimy historyę polską p. Wodzickiej, p. Popławskiej i J. Chociszewskiego. Autor odstąpił od używanej dotąd formy opowieściowej w wykładzie naszych dziejów i zastąpił ją formą dyalogu, przeprowadzoną w szeregu pytań i odpowiedzi. Wierzyć pragniemy temu, co p. Adamowicz we wstępie mówi, że podobna metoda ułatwia niesłychanie dzieciom zapamiętanie sobie ojczystej historyi; wiemy o tem z doświadczenia, że tego rodzaju postępowanie, praktykowane przy nauce katechizmu, jest z wielką dla dziatwy korzyścią; ale pozwolimy sobie wątpić, azali takiem przedstawieniem przedmiotu, jak to uczynił autor, ułatwi istotnie uczniom opanowanie materyału dziejowego. Przecież historya przedstawia obrazy ujęte w jakąś całość, panowanie pojedyńczych królów nie da się ująć w kilku krótkich, niepowiązanych ze sobą pytaniach. A właśnie tak postąpił tu autor. Zamiast roztoczyć w odpowiedzi obraz jakiś z dziejów lub pogląd, ożywić to wszystko scenami, które dziecko zająć potrafią a tem samem i w jego pamięci się utrwalą — dał nam szereg pytań i odpowiedzi powiązanych tylko chronologicznie, nagromadził suche wzmianki o faktach, osobach historycznych i miejscowościach, o których przecież dziecko skądinąd niewiele wie; i tem pragnie młode umysły nauczyć historyi polskiej. Jest i metoda dyalogowa dobrą w historyi, ale stanowczo inna, np. powieściowa, jakiej w opowiadaniu dziejów biblijnych trzymała się pani Iwanowska, lub w świeżo wydanych „Dziejach apostolskich“ ks. Milczanowski, bo taka właściwie i uczy i zajmuje. „Zarys dziejów polskich“ p. Adamowicza w obecnej formie wydaje się nam dobrym dla czytelników, którzy historyi polskiej przez lat kilka się uczyli, a pragną ją powtórzyć sobie dla odświeżenia słyszanych rzeczy i uporządkowania tychże w jedną organiczną całość. Tyle co do formy metodycznej dziełka.

A teraz cóż powiedzieć o treści? Tu już tylko same pochwały pod pióro się cisną. Że autor z dziejami Polski i obeznany jest gruntownie

i wyzyskać umiał najważniejsze wyniki badań na tem polu, i traktować umie rzecz po mistrzowsku, to widać z tego ugrupowania najważniejszych faktów, jakie wypełniają panowanie każdego monarchy. Że miłuje prawdę i słuszność, poznajemy z tego bezstronnego przedstawienia osobistości i wypadków, w których obronie niejedni darmo kruszyli swe kopie. Dodajmy nadto, że dla uzupełnienia obrazu dziejów Polski wpleciono tu i rys naszej narodowej literatury. Rys ten jest wyczerpujący — i ma te same wady co układ całej książki, tj. że z pożytkiem czytanym być może chyba przez naszych abituryentów, gotujących się do egzaminu dojrzałości z historyi literatury polskiej. Jedno jeszcze zarzucimy: najprzód niepotrzebne mówienie dzieciom o jakimś osobnym okresie przedchrześcijańskim w polskiem piśmiennictwie, z którego przecież i najskrzętniejszy badacz niczego nie wyniósł; powtóre niedość dokładną ocenę niektórych pisarzy nowoczesnych, o których albo sąd jest za pochlebny, albo przytoczono dzieła miernej wartości, jak to uczyniono przy Jeżu, Orzeszkowej, J. I. Kraszewskim i innych. Dodatek mieści cenne rzeczy, warte pomieszczenia w osobnem dziele o historyi polskiej, bo obejmuje piękne uwagi geograficzne o Polsce i genealogię domów panujących. Z tym zasobem wiedzy, z jakim autor przystąpił do kreślenia tego „Zarysu“, powiedzieć mu możemy śmiało: *amice, ascende superius,* i podaj nam całokształt dziejów polskich, który z pod takiego pióra wyjdzie i dobry i pożyteczny.

Ks. A. Boc.

Mosty blaszane. Wykłady *Maksymiliana Thulliego,* dypl. inżyniera, profesora szkoły politechnicznej. Lwów 1893. (Litografowane).

Chociaż półki księgarskie zapełniają się u nas corocznie mnóstwem nowych książek, wśród nich jednak nie spotykamy prawie dzieł poświęconych naukom ścisłym. Wprawdzie Towarzystwo nauk ścisłych w Paryżu wydawało niejednokrotnie bardzo cenne w tym kierunku prace Malinowskiego, Folkierskiego, Klugera, Niewęgłowskiego, Sągajły, Gałęzowskiego i t. d., ale dzieła te bardzo mało są u nas znane; podręczniki zaś szkolne, po większej części tłumaczone i w dodatku nader liche, nie stanowią jeszcze bynajmniej literatury w tej gałęzi. Nie należy jednak sądzić, aby Polacy nie mieli zdolności i zamiłowania do nauk matematycznych, owszem, mamy wielu wybitnych nawet inżynierów i techników, ale ponieważ po większej części pracują oni na obczyźnie, piszą więc przeważnie w językach obcych: francuskim, angielskim, rosyjskim i t d., nie wzbogacając przez to wcale ojczystego

piśmiennictwa. Lukę w tej mierze stara się wypełnić do pewnego stopnia p. Thulli w dziełku swem pod tytułem: „Mosty blaszane“, co mu za zasługę poczytać należy. Wprawdzie jest to rzecz znana, ale bądź co bądź książka ta stanowi cegiełkę, dorzuconą do gmachu tak ubogiego w tym kierunku naszego piśmiennictwa. Pracę swą dzieli autor na sześć rozdziałów, z których dwa pierwsze poświęca wykładowi o belkach litych i blaszanych, w dwóch następnych określa ustrój poprzeczny mostów kolejowych i ciężar własny rozmaitych składowych ich części, a wreszcie w dwóch ostatnich mówi o pomostach i poręczach. Teoryę budowy mostów uzupełnia 60 tablic rysunkowych, bardzo starannie wykonanych; szkoda tylko, że terminologia nie jest należycie ustaloną. W każdym atoli razie praca p. Thulliego, chociaż traktująca przedmiot już nie nowy, zasługuje na zupełne uznanie, ponieważ dla inżynierów dróg i mostów służyć może za dziełko pomocnicze, którego brak w języku polskim bardzo już dawał się uczuwać.

Tytus Sopodźko.

Uwagi nad Męką Pańską, wyjęte z kazań najsławniejszych mówców kościelnych. Kraków. Nakładem Księgarni Katolickiej d-ra Wł. Miłkowskiego. 1894. (W 16-ce, str. 104).

Samotność duchowa, czyli rekolekcye miesięczne jako przygotowanie się na śmierć. Przez *W. O. B. v. M.* ze Zgrom. OO. Kapucynów. Przekład *M. P.* Warszawa, u Niemiery. 1893. (W 16-ce, str. 240, IV).

Jezus w duszy dziecięcia, czyli: Jaką naukę pobożna matka w dziecku najpierw rozwijać powinna. Przerobiła z niemieckiego *Magdalena Pawłowska.* Warszawa, u Niemiery. 1894.

Dobry to pomysł zebrać najpiękniejsze myśli najznakomitszych kaznodziejów o męce Pańskiej. Co za obfity a doborowy może stąd urość skarb świętych, w najwyższym stopniu uszlachetniających duszę uczuć, aktów i postanowień!... Zacytowana w tytule książeczka jest jakoby pierwszym w tym kierunku krokiem, w naszej przynajmniej literaturze.

Pod względem tłumaczenia bardzo się dobrze te Uwagi przedstawiają; nietyle zaś pod względem wyboru „najsławniejszych mówców kościelnych“. A wybór, jeśli idzie o taki przedmiot, jak męka Chrystusowa, kto wie, czy nie jest rzeczą najważniejszą.

Na trzydzieści wyjątków, Bossuet zabrał 12, Fenelon, najlepiej może z siedmiu wybranych ten przedmiot traktujący, dwakroć tylko

występuje. Wyjątek z O. Mac-Carthy'ego na (źle przytoczone) słowa Pana Jezusa: „Mój Ojcze, czemuś mię opuścił“ (powinno być: „Boże mój! Boże mój!“ i t. d.), lepiej żeby nie był wchodził do tego zbioru — zbyt sztucznie i nienaturalnie bowiem te wielkie słowa tłumaczy. Przemawiają jeszcze: Massillon 7 razy, kard. de Luzerne 2 (a szkoda że tak mało, bo z większem namaszczeniem mówi, niż wielu innych), Bourdaloue i ks. Dupanloup po razu.

Mimowoli nasuwa się pytanie: Czyż tylko francuscy mówcy mieliby być „najsławniejszymi“? Jaka szkoda, że z naszego Skargi niema ani jednego wyjątku; a on przecież tak godnie mógłby z tamtymi współzawodniczyć. Z niemieckich też i włoskich kaznodziejów niema ani jednego.

Ufajmy, że nam Księgarnia Katolicka na przyszły Post w nowem wydaniu da pełniejszy zbiór „Uwag nad Męką Pańską“, w który wejdzie nietylko Skarga, ale i Birkowski i Młodzianowski i inni rodzimi.

„Samotność duchowa, czyli rekolekcye miesięczne“, niech nikogo nie przerażają, jakoby mu kazały cały miesiąc być pustelnikiem. Chodzi tu tylko o jeden dzień w każdym miesiącu; a czyż dobra śmierć, i idąca koniecznie za nią szczęśliwa wieczność, nie zasługuje, aby jej tę mniej już niż dziesięcinę życia swego poświęcić?

Po wstępie, zatytułowanym: „Praktyka samotności miesięcznej“, następuje 36 rozmyślań, tj. po trzy w jednym dniu każdego miesiąca. I tak np. na styczeń: 1. Przeznaczenie człowieka, 2. Środki aby dojść do niego, 3. Nieurodzajne drzewo figowe; na wrzesień: 1. Śmierć, 2. Oziębłość, 3. Środki przeciw oziębłości i t. p.

Na końcu, prócz spisu rzeczy, dodane są bardzo pożyteczne aż cztery rejestra: 1. Czytania duchowne z Alfonsa Rodrygeza na każdy miesiąc, 2. Podział rozmyślań powyższych na rekolekcye trzydniowe, 3. takiż podział na rekolekcye pięciodniowe, i 4. na ośmiodniowe.

Spokojna i gruntowna pobożność wieje z tych krótkich rozmyślań, a co najważniejsza, przekład polski wcale tej miłej woni pobożności nie przytłumia, owszem czyni ją jakoby rodzimą, polską. Rzadki to przymiot tłumaczeń, dowodzący, że tłumacz zrozumiał nietylko język autora, ale i jego ducha, i potrafił go oddać swoim językiem i stylem.

Ale dlatego właśnie, że jest w tej książeczce ta najważniejsza podstawa każdego dobrego przekładu, musimy wykazać i drobne jej usterki. Teksty Pisma świętego, choć i cudzysłowem i kursywą (co jest niekonsekwencya typograficzna) zapewniają czytelnika, że są brane

dosłownie z naszej polskiej wulgaty, są jednak najczęściej tłumaczone dowolnie. Ten sam zarzut odnosi się i do drugich dwóch książeczek, wymienionych w nagłówku.

Również nie podniósł się nasz tłumacz nad styl dziennikarski w użyciu słów: słodki, słodycz. Powierzchowne przekłady oddają w ten sposób francuskie: *doux, douceur,* gdy jest mowa o cnocie przeciwnej gniewowi. Właściwy polski wyraz na to jest: cichy, cichość, a jego synonimy, których jednak nie można używać na chybił-trafił: łagodny, miły, dobry, cierpliwy (w bólach i chorobach), dobrotliwy, łaskawy. Słodki, o człowieku, wyraża raczej coś ujemnego: ckliwy, udający przyjaźń.

Inna usterka, to zbyt częste, na wzór języka rosyjskiego, opuszczanie w zdaniu łącznika jest, np.: „Jeśli miłość nasza ku Jezusowi owocem wysokiego szacunku, jakim nas doskonałości Jego przejmują: wówczas sympatya nasza coraz będzie wzrastała, i pobudzi nas do zbliżenia się coraz więcej do Tego, który samą świętością, wielkością i doskonałością". Widzimy też w tym przykładzie, (a i w wielu innych), zatracenie poczucia częstotliwości w naszych czasownikach („pobudzi nas do zbliżenia się coraz więcej", str. 154).

Pod względem dogmatycznym, jeśli to nie omyłka druku, to byłby błąd na str. 133: „Skoro raz poznamy doskonałości nieskończone Syna Bożego, ujmującą Jego istotę, która dla nas stała się człowiekiem"... Wszakże nie istota Boska, ale tylko druga Osoba Boska stała się człowiekiem.

Trzecia książeczka, to bardzo ładne opowiadania dla dzieci z Ewangelij. — Znać, że przerabiała je zamiłowana w swoim zawodzie nauczycielka. I treść i styl znakomicie zastosowane do pojęcia i usposobienia tego wieku.

Na podarki dla dzieci bardzo to odpowiednia książeczka. Z drugiej strony gorąco polecamy ją matkom i wychowawczyniom; bo słowa tytułu: „Jaką naukę pobożna matka w dziecku najpierw rozwijać powinna" — najważniejszy ich stanu obowiązek wskazują, a dziełko, tego obowiązku daje najpiękniejszy wzór.

X. H. P.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Institutiones theodicaeae sive theologiae naturalis secundum principia S. Thomae Aquinatis. Ad usum scholasticum accommodavit *Josephus Hontheim S. J.* Friburgi Brisgoviae. Herder. 1893. (W 8-ce, X, 832).

Filozofia nowożytna nie żywi wielkich sympatyj dla teodicei czyli działu filozofii o Bogu. Budzi się wprawdzie dzisiaj potężny zwrot do wielu dociekań metafizycznych, ale na właściwem polu teodicei spotykamy się jeszcze najczęściej z pewnym sceptycyzmem, agnostycyzmem lub rzekomym racyonalizmem, co wszelki byt zaświatowy *a priori* odrzuca. Lubi też dzisiejsza filozofia zajmować się kwestyami etycznemi, broni, jak może i umie, wielu prawdziwych zasad moralnych; lecz i tu natrafiamy zazwyczaj na mnóstwo krańcowych oscylacyj, kroków niepewnych, nieraz z gruntu fałszywych — wszystko to dlatego, że niema pewnego i trwałego fundamentu, jaki tylko teodicea dać może. W rzeczy samej bowiem teodicea jest może najważniejszą częścią filozofii, jest najpiękniejszem uwieńczeniem prawdziwego umnictwa filozoficznego, od niej zawisły kwestye największej doniosłości praktycznej i teoretycznej, ma zaś to do siebie, że jest mimo wzniosłości przedmiotu pewniejszą od innych gałęzi filozoficznych.

Stąd za wielką zasługę poczytać należy neoscholastyce, że ona jedna teodicei nigdy z zakresu dociekań swoich nie wykluczała, zawsze ją troskliwie pielęgnowała i jak mogła naprzód z nią postępowała. Nie mamy wprawdzie do tej pory podręcznika teodicei pod każdym względem doskonałego, jak nie mamy całokształtu filozofii wykończonego, mamy za to wiele pokaźnych i cennych prac w tej mierze.

Do takich należy spory podręcznik Hontheima. Najlepszą teodiceą na swój czas była, naszem zdaniem, *Summa contra gentiles* św. Tomasza, zwłaszcza jej pierwsze trzy księgi. Sądzimy też, że nie ubliżymy nikomu, jeśli powiemy, że nikt z dzisiejszych neotomistów nie doścignął w tej mierze Doktora Anielskiego, nie przecenimy zaś Hontheima twierdząc, że podręcznik jego po św. Tomaszu jest jednym z najlepszych. Mamy w tym podręczniku zebrany bardzo obfity materyał, zestawiony zwięźle i jasno, rozprowadzony systematycznie. Nie weźmie nam też autor za złe, że stawiając jego dzieło tak wysoko, odpowiednią doń zastosujemy miarę.

Wielką część tego dzieła, bo prawie 300 stronic, zajmują dowody na istnienie Boga. Z kwestyą istnienia łączy się kwestya istoty

samej, z tą zaś związane są ściśle przymioty boskie. Ostatnia część dzieła traktuje o tem, jak wszelki byt wiedzie swój początek od Boga. Jak widać, autor nie sadzi się na oryginalny podział teodicei, ale trzyma się utartego i powszechnie używanego w podręcznikach neoscholastycznych.

Przedewszystkiem i najbardziej chodziło autorowi o istnienie Pana Boga. Po wstępnych pojęciach, po rozprawieniu się z ontologizmem i tradycyonalizmem, wykazuje nieścisłość dowodu ontologicznego św. Anzelma, Descartes'a, Leibnitz'a i metodologicznego Gratry'ego, Günthera; następnie przechodzi do właściwych dowodów. Bardzo naturalny i racyonalny wstęp do tych kwestyj stanowi wyłuszczenie i rozprowadzenie zasady przyczynowości. Autor rozbiera przyczynowość bardzo dokładnie, wykazuje, że i Hume i Kant nie pojęli przyczynowości prawdziwie filozoficznie — atoli naszem zdaniem, wszystko to jest na teodicee za obszernie, nadto autor za mało położył nacisku na rzecz bezpośrednio do dowodów się odnoszącą, tj. że zasada przyczynowości jest prawdziwie ogólną, że więc odnosi się ściśle i do bytu zaświatowego a nie zamyka się w obrębie doświadczalnym, co właśnie nieraz podnoszą dzisiejsi ewolucyoniści i agnostycy.

Rozpoczyna się długi szereg dowodów. Argumentów metafizycznych podaje autor cztery: kosmologiczny, kinezyologiczny, ideologiczny, henologiczny. Tym sposobem autor w pierwszym dowodzie argumentuje z substancyi niejako, w drugim z wszelkiej formy czy to substancyalnej czy akcydentalnej, w trzecim z bytu możliwego, w czwartym z ogółu rzeczy i to tak z różnych stopni doskonałości, jak też z cech wspólnych. Rzecz ta w oderwaniu wydaje się wcale ładną i pociągającą, faktycznie jednak ma pewne ujemne strony. I tak zasada drugiego dowodu: *omne quod movetur, ab alio movetur,* albo mówi to samo co zasada przyczynowości, a wtedy dowód ten schodzi zupełnie na dowód pierwszy, albo wyraża co innego, a wtedy suponować musi do pewnego stopnia jeszcze nie dowiedzione współdziałanie Boga, wystawić się na prawie nierozwiązalne trudności przy wolnej woli człowieka, słowem dowód traci tę oczywistość i siłę przekonania, jakie dowody na istnienie Boga zawsze mieć powinny. Trzeci dowód z pojęcia możliwości i prawdy nie ma też, naszem zdaniem, dostatecznej siły filozoficznej. Wiedząc, że Bóg istnieje, że jego istota jest pełnią bytu, możemy wykazać, że wszelki byt możliwy, wszelka prawda w tej pełni ma swój ostateczny fundament, chociaż i to wcale nie jest rzeczą najłatwiejszą. Proces myśli odwrotny jest, jak każdy widzi, o wiele trudniejszy i ciemniejszy, stąd,

naszem zdaniem, na dowód ścisły a jasny mniej się nadaje. Wreszcie czwarty dowód mógłby posłużyć do pięknych amplifikacyj oratorskich, za ładną konfirmacyę dowodu pierwszego, lecz ściśle filozoficznie może nie każdego przekona. Wszak z tego, że są rzeczy różnej doskonałości, nie wynika od razu i koniecznie, że jest byt jakiś, co zawiera w sobie wszelką doskonałość, zupełnie podobnie jak z tego, że kamienie istnieją, nie wynika jeszcze, że rośliny istnieć muszą, lub z tego, że człowiek rozumny istnieje, nie wypływa, że czyste duchy muszą się znajdować; chyba że ktoś powie, że istnieją różne byty zależne *(entia ab alio)*, więc istnieje byt niezawisły *(ens a se)*, lecz wtedy nie będzie to dowód henologiczny jeno kosmologiczny, więc pierwszy. Tak samo zdaje się nam, z tego, że ogół rzeczy ma pewne wspólne cechy, jak bytu, prawdy i t. p. nie wynika koniecznie, że owa wspólność cech pochodzić musi od jednego pryncypium, podobnie jak z tego, że człowiek i małpa zgadzają się w bardzo wielu cechach, nie wynika koniecznie, iż obie te formy od tych samych przodków się wywodzą. Jeśli się zaś zejdzie na zależność i niezawisłość bytu, będziemy mieli dowód pierwszy, a nie czwarty.

Z dowodów fizycznych podane są: teleologiczny, entropologiczny, biologiczny, z cudów. Dowód teleologiczny rozprowadzony jest bardzo pięknie i ściśle, może nieco za obszernie. Argument entropologiczny opiera się na zasadzie entropii, którą fizyka dzisiejsza wykazuje i uzasadnia. Mógłby to być dowód bardzo dobry i na czasie, gdyby nie to, że owa zasada nie jest jeszcze w całej ogólności ściśle przeprowadzoną i że trudność Rankina o nierównoważeniu się cząstek na krańcach rzeczywistej przestrzeni naprawdę nie jest jeszcze dostatecznie rozwiązaną. Argument biologiczny wychodzi głównie z niemożliwości samorodztwa, z natury więc rzeczy słabszy jest od teleologicznego. Co się zaś tyczy dowodu z cudów, to bylibyśmy za zupełnem jego pominięciem w teodicei, bo nie tu jest miejsce wykazywać, że cuda rzeczywiście istniały, suponować zaś z teologii fundamentalnej nie wypada. Czuł to widocznie i sam autor, kiedy dowodu tego nie postawił w tezie jeno w asercyi.

Z dowodów moralnych rozprowadza Hontheim eudemonologiczny, opierający się na dążności człowieka do szczęścia, deontologiczny, wychodzący z pojęcia obowiązku, i etnologiczny, powołujący się na przeświadczenie wszystkich ludów.

W kwestyi o istocie Boga H. idzie za dość powszechnem zdaniem, że tak zwana istota metafizyczna polega na niezawisłości bytu,

chociaż nieskończoność bytu byłaby może właściwszą i praktyczniejszą. Następuje rzecz o doskonałości i jedności Bożej. Obszerne traktaty o materyalizmie i panteizmie wyjaśniają wszystko z innej strony.

Z następnej części o własnościach bytu nieskończonego, podnieść należy rzecz o rozumie i poznaniu Boga. Kwestya to w teodicei bardzo piękna i bardzo trudna zarazem. Autor opracował ją gruntownie, niektóre szczegóły widocznie bardzo głęboko przemyślał, całość zaś przeprowadził konsekwentnie, ładnie i jasno, bo stopniowo. Szczególnie dobrze przedstawia zdanie swoje lub raczej Molinistów, w jaki sposób poznaje Bóg przyszłe rzeczy wolne, zwłaszcza zawarunkowane; rozprowadza to najpierw w obszernej tezie 50, a następnie reasumuje bardzo krótko, bardzo zgrabnie i wcale jasno, w kilku niejako etapach w nr. 884. Dobrze też tłumaczy H. podział poznania bożego i uzasadnia racye bytu dla t. zw. *scientia media*, zwłaszcza w nocie na str. 653.

Ostatnia wreszcie część teodicei obejmuje stosunek bytu możliwego do Boga, stworzenie, zachowanie, współdziałanie i opatrzność Bożą.

Do tego pobieżnego rzutu oka na książkę H. dołączamy kilka uwag, wyrażających po części zarzuty, po części niektóre życzenia nasze.

Nasamprzód zdaje się nam, że autor nie pojmuje dość głęboko nieskończoności. Uderza to niemal wszędzie, gdzie tylko ta kwestya na wierzch występuje. Więc zaraz w pierwszym dowodzie metafizycznym, kiedy autor powstaje przeciw nieskończonemu szeregowi przyczyn, wnoszonemu przez ateuszów. Wprawdzie dobrze autor zrobił, że najpierw wykazał potrzebę bytu niezawisłego poza szeregiem nieskończonym, chociażby szereg taki był możliwy, lecz H. nie poprzestaje na tem. W dalszym ciągu stara się udowodnić, że wielość aktualnie nieskończona rzeczy istniejących bądź jednocześnie bądź sukcesywnie jest niemożliwą i sprzeczną. Przyznajemy, że niemożliwość taka z oczywistością wykazana mogłaby się nieraz przydać w filozoficznych dowodzeniach, atoli czy naprawdę uzasadnił już kto dotychczas tę niemożliwość? Zdaje się nam, że i autor nie uczynił tego. Wszystkie te dowodzenia przeciw wielości nieskończonej u naszego autora, jak u wielu innych, zasadzają się na tem, że wstawiają w pojęcie wielości nieskończonej pewne sprzeczności, np.: ciało nieskończenie wielkie a mające granice; następnie zaś w konkluzyi tryumfalnie wykazują, że wynika sprzeczność. Nic dziwnego że wynika, skoro sami ją wstawili; tymczasem nigdy nie wykazują, że tę nieskończoność tak a nie inaczej pojąć należy.

Po tej dygresyi w dowodzie kosmologicznym można się było spo-

dziewać, że autor odrzuci również możliwość stworzenia od wieków. Istotnie teza 59 wykazuje to, a zdaniem autora wykazuje z wszelką pewnością. Lecz i tu argumenta są bardzo słabe. Jeden powołuje się na dowody powyższe, kilka innych suponuje, że w takim szeregu odwiecznym musi być człon pierwszy. Na to chętnie przystajemy, że byt co ma początek w czasie, lub szereg sukcesywny co ma człon pierwszy, nie może istnieć od wieków, lecz zauważymy, że tu idzie o to, czy byt jakikolwiek z bezprzerwną zależnością od bytu absolutnego jest bez początku możliwy. Tej niemożliwości, zdaje się nam, nie uzasadnił autor wcale, stąd bez racyi odstąpił od mądrego zdania św. Tomasza.

Niespodzianką za to była dla nas teza 47, która twierdzi, że P. Bóg poznaje wielość rzeczy aktualnie nieskończoną. Nie wchodzimy już w to, czy jest sprzeczność jaka między temi różnemi tezami — autor broni się bardzo przed tem w 3-cim scholionie — na jedno tylko zwrócimy uwagę. Z okazyi tej tezy H. mówi, że byty możliwe stanowią przez się wielość potencyalnie nieskończoną, a tylko w poznaniu Boga aktualnie nieskończoną. Na to nie możemy się zgodzić. Wszak poznanie suponuje przedmiot. Jeśli zatem *possibilia* tworzą same przez się wielość aktualnie skończoną (bo potencyalna nieskończoność jest zawsze aktualnie skończoną), to jakim sposobem mogą w poznaniu Bożem wyróść w wielość aktualnie nieskończoną? I na odwrót, ponieważ *possibilia* jako mające byt idealny są rzeczywiście nieskończone, muszą być również takie, jako mające byt metafizyczny.

Z nieskończonością wielości łączy się do pewnego stopnia nieskończoność bytu. Wykazać nieskończoność Boga, jest to krok najważniejszy w całej teodicei, i krok z pewnością o wiele trudniejszy, niż sobie zazwyczaj wystawiamy. Wiemy dobrze skądinąd, że Pan Bóg jest nieskończony, i dlatego łatwo nam się zdaje, że jakaś racya przemawia za nieskończonością, której naprawdę daleko do tego. Korzystamy z tej okazyi i pragnęlibyśmy grubo podkreślić, że w tej rzeczy tak wysokiej doniosłości trzeba koniecznie racye swoje poddać surowej a gruntownej krytyce i analizie, i stawiać za dowód tylko to, co jest faktycznie dowodem niezbitym. Ci zatem, którym się zdaje, że wielość aktualnie nieskończona jest sprzecznością, muszą dokładnie zdać sobie sprawę z tego, czemu byt nieskończony tej sprzeczności nie ma. Wymaga tego do pewnego stopnia konsekwencya logiczna. Stąd np. konsekwentni krytycyści francuscy z Renouvier'em na czele, którzy absolutnie odrzucają wielość nieskończoną, odrzucają dla tych samych racyj nieskończoność Boga, a przyjmują Boga bardzo doskonałego, bardzo

mądrego, ale skończonego, ale czasowego i t. d. Autor tej trudności nie porusza wcale, a przecież sama się prosi i nasuwa.

Dowody też autora na nieskończoność Boga nie są ściśle przekonywające, choć wybierać jest z czego, bo jest ich 9. W pierwszym dowodzie *(ex ascitate)* tkwi, jak się nam zdaje, podobna wada co w argumencie ontologicznym, tj. skok nieuzasadniony od egzystencyi oderwanej do egzystencyi konkretnej. Prawdą jest, iż egzystencya w oderwaniu nie jest ograniczona do pewnego rodzaju bytu — atoli takiej egzystencyi nigdzie niema, i każda egzystencya, czy to realna czy też możliwa, jest ściśle określona, z pewnym bytem indywidualnym ściśle związana i innej rzeczy służyć nie może. Idzie teraz o to, czy egzystencya Boga, więc zupełnie konkretna, jest skończoną albo nieskończoną. Drugi dowód uboczny sam przez się niczego nie dowodzi. Trzeci *(ex ratione primi principii)* suponuje jedność Boga, a nadto, że doskonałości rzeczy możliwych są nieskończone; obie rzeczy nie są dostatecznie oczywiste przed udowodnieniem nieskończoności Boga. Czwarty i piąty (z rozumu i woli człowieka i Boga) są po części tylko jakieś konfirmacye, po części suponują wiele przyszłych rzeczy. Szósty (ze stworzenia) jest w gruncie dobry według naszego przekonania, ale za słabo jest przeprowadzony. Siódmy (z wieczności i niezmierzoności) opiera się na przyszłych rzeczach. Ósmy (z indukcyi) suponuje jedność, a najwyżej wykazuje, że Bóg jest doskonalszy niż stworzenia. Dziewiąty (z przeświadczenia wszystkich ludów) jest najsłabszy i wątpimy, czy wogóle z tego źródła można dać dostateczny dowód na nieskończoność.

Nie twierdzimy jednak, że dowody te są fałszywe, co więcej, wiele dowodów H. jest lepszych niż w innych nowszych teodiceach. I nam się zdaje, że w pierwszym i szóstym dowodzie są racye ściśle przekonywające, lecz trzeba je w tym celu gruntowniej przeprowadzić.

Nasuwa się pod pióro jeszcze wiele uwag o dziele H., wchodzić jednak w szczegóły nie możemy, o niektóre tylko potrącimy. Czasem spotykamy rzeczy niepotrzebne, jak np. 2-ga i 3-cia teza, które są raczej dopiero konkluzyami tez następnych, jak traktowanie doskonałości i nieskończoności Boga w osobnych rozdziałach, jak obszerne, z wszelkiemi szczegółami rozprowadzenie teoryi mgławicznej lub darwinizmu.

Wszak rozprowadzenie tych teoryj i ocena szczegółowa należy właściwie do kosmologii, w teodicei wystarczy pokazać, że wszystkie teorye, o ile opierają się na przyrodoznawstwie, istnienia Boga nie usuwają, ani dowodów na istnienie Jego nie osłabiają. Za często też

autor, jak się nam zdaje, powołuje się na rzeczy przyszłe, uprzedza porządek z natury rzeczy płynący, tak iż pierwiastek rozwojowy samej książki, dzisiaj tak bardzo pożądany, nieraz zupełnie zanika, a czytający nie odczuwa wcale, że postępuje naprzód. Za to przebija wszędzie w autorze pewna usilność o przystosowanie się do potrzeb, warunków i środowiska, w jakiem obecnie żyjemy. Z tego źródła płynie bardzo wiele zalet tej książki. Więc poszanowanie i częste uwzględnianie nauk przyrodniczych; stawianie licznych zarzutów po największej części nie szkolnych, ale z życia, z ludzi, od przeciwników wziętych; rozwiązywanie trudności nie czysto formalne, polegające na subtelnych dystynkcyach, ale rzeczowe, wynikające z dobrego zrozumienia przedmiotu; nierzadkie poglądy historyczne na rozwój jakiejś kwestyi lub klasycznego dowodu, jakkolwiek opanowanie najnowszych prądów filozoficznych nie zawsze przedstawia się wybitnie.

Kończymy ogólniejszą uwagą o ostatniej części książki H. Kto zabrawszy się systematycznie do studyum filozofii, przejdzie szczęśliwie wszystkie Scylle i Charybdy, wszelkie zwątpienia sceptycyzmu i idealizmu, najsprzeczniejsze systematy różnych sekt filozoficznych, z jakiemi trzeba się spotkać i w logice i psychologii i kosmologii, a wreszcie dobije do progów teodicei — ten dozna z pewnością jakiegoś nieznanego, przyjemnego uczucia. Tutaj dopiero zaczyna się swobodniej oddychać, pogląd na wszystkie owe małostki rozszerza się, kontury prawd potężnieją i zarysowują się coraz wydatniej, wszystko nabiera gruntu, posady pewnej i podwaliny. Skorzystać z tego uczucia, z tego stanu psychicznego, jest rzeczą ostatniej części teodicei. Zdaje się nam, że ta część, traktująca, w jaki sposób wszelki byt zależny, bądź realny, bądź możliwy, wszelka prawda, dobro i piękno biorą swój początek i wszystko co mają od niezgłębionej pełni bytu, powinna dać do pewnego stopnia jakby pogląd na drogę w filozofii przebytą, pewną rekapitulacyę całokształtu filozoficznego, pojętą z nowego punktu i pod nowym kątem widzenia, rekapitulacyę rzuconą w kilku obrazkach zdjętych aparatem na bardzo wielką skalę telefotograficznym, w kilku niejako olbrzymich projekcyach. Rzecz ta z całą świadomością przeprowadzona byłaby, naszem zdaniem, najpiękniejszem zakończeniem teodicei i całej filozofii. Tego jednak zazwyczaj w naszych teodiceach nie mamy. Niema też tego właściwie w książce H. Wiele z tych rzeczy autor wciągnął do dowodów na istnienie Boga, a tam musiały wypaść blado i niepewnie. Najlepiej tę rzecz pojął, najprościej i najwznioślej zarazem ją przeprowadził św. Tomasz w 2-giej i 3-ciej księdze *Summy*

contra gentiles. Ktoby napisał podobne dzieło z tak głębokiem zrozumieniem rzeczy, z tak wzniosłą prostotą, ale przystosowane do dzisiejszych prądów i dzisiejszego środowiska, wyświadczyłby niemałą przysługę filozofii, Kościołowi i społeczeństwu.

J. Nuckowski.

Aus den sibirischen Bleibergwerken. Unedierte Briefe des zu lebenslänglicher Zwangsarbeit verurtheilten russischen Professor *Vaszilij Jakszakov*. Aus dem Ungarischen übersetzt. Berlin 1893.

Po sybiryjskich obrazach Kennana, kreślonych spokojnem, nieuprzedzonem piórem cudzoziemca, przestaje być niewiarogodnym każdy inny, choć sam z siebie zdawałoby się tak straszny i czarny, że aż nieprawdopodobny opis sybiryjskich więzień i katuszy. Dostarczali ich dawniej Polacy, i nie zawsze znajdowali wiarę; dziś, po śmiałym i przemyślnym Amerykaninie, któremu udało się zbadać naocznie te tajniki, uchyla dalej pokrywającą je przed okiem cywilizowanego świata gęstą zasłonę, nie niechętny Polak, nie obojętny cudzoziemiec, ale rodowity Rosyanin. Młody, moskiewski profesor filozofii Jaksakow, porwany do więzienia w parę godzin po ślubie, w weselnym jeszcze stroju, skazany za wrzekomy udział w morderstwie Aleksandra II. na dożywotnie roboty w nerczyńskich kopalniach — pocieszał się w strasznych tych mękach spisywaniem swych przygód i uczuć w rodzaju troskliwie ukrywanego pamiętniczka, który w myśli swej przeznaczał dla rodziny, dla tak tragicznie bez pożegnania opuszczonej młodej małżonki. Przed śmiercią powierzył te zapiski młodemu przyjacielowi Bajkałjewowi, któremu w parę miesięcy później udało się uciec z kopalni i po dwuletniej wędrówce dotrzeć do Paryża, a następnie do Pesztu. Tu jeden z przyjaciół rosyjskiego wygnańca przełożył najbardziej interesującą część tych zapisków, spisanych częścią po francusku, częścią po łacinie, na język węgierski; z węgierskiego przetłumaczono je niebawem na niemieckie. Istotnie zasługują one na to, aby szersza publiczność z niemi się zapoznała; z jednej strony rzucają nowe światło na tajemnice, na groby, któremi Sybir pokryty, z drugiej poznać dają, co się dzieje w myśli, w sercu człowieka młodego, wykształconego, nie poczuwającego się w dodatku do żadnej szczególnej winy, a w ścisłem słowa znaczeniu pogrzebanego za życia.

„Czuję, — pisze Jaksakow po czterech miesiącach więzienia — że zwolna przekształcam się w nihilistę. Ale w tem nie moja wina!“... Rozglądając się w niżno-nowogrodzkiem więzieniu, z którego słowa te

datowane; w permskiem, irkuckiem więzieniu; w długiej a strasznej pielgrzymce przez sybiryjskie śniegi do straszliwszego jeszcze kresu — można zrozumieć, jakie powody i uczucia rozpaczliwe te słowa natchnęły. Na rzecznej drodze z Niżnego Nowogrodu do Permu, morzono skazańców w najściślejszem słowa znaczeniu głodem; każdy kęs chleba okupywać musieli knutowemi razami, aby na przyszłość „mniej szybko i lekkomyślnie trwonili kilka kopiejek danych sobie z góry na cały czas podróży". Niezadługo do głodu dołączył się tyfus i pochłonął mnogie ofiary. Zdarzało się, że więźniowie, przemienieni w służbę pogrzebową, rzucali do rzeki trupy razem z żyjącymi jeszcze, aby dla siebie w przepełnionych lochach miejsca więcej uzyskać. I nie dziw! wszak razem z garstką politycznych więźniów, i do jednej kategoryi z nimi zaliczeni płynęli wsławieni rabusie, najpodlejsi złoczyńcy. Pieszy marsz z Krasnojarska do Irkucka przypadł na zimowe miesiące, z powodu zbytniego przepełnienia wszystkich po drodze leżących więzień; znowu padał ktoś co chwila, a skuci z trupem towarzysze ciągnęli go do najbliższej stacyi. I autor zapisek rozchorował się ciężko i przebyć musiał kilka miesięcy w irkuckim szpitalu, „nie wiele milszym od więzienia, o tyle tylko wygodniejszym, że spałem w nim na pryczy, nie na gołej ziemi".

Przerażająca jest półtoraroczna droga do nerczyńskich kopalń; okropniejszy w nich pobyt. Historya dwóch lat, przepędzonych przy taczce w ciemnych tych podziemiach, streścić się da w paru słowach: bat, głód, praca bez wytchnienia i pociechy. Aż monotonne staje się to opowiadanie powtarzanemi w koło, nieprzerywającemi się torturami duszy i ciała; aż mimo wszelkich dowodów prawdziwości, wierzyć się nie chce, aby istnieć mogli ludzie tak źli, tak dzicy, którzyby bez racyi, bez pozoru racyi bliźnich swych tak męczyli. Czy to możliwe, czy to nie mistyfikacya, nie pamflet? Tak pytał się i tak nawet przekonanym był Kennan, kiedy odczytywał podobne wspomnienia przed rozpoczęciem swej wędrówki po rosyjskich więzieniach; po odbyciu jej smutna prawda zmusiła go do wyznania: „Nie, to nie pamflet, lecz prawda; a jakże często nie cała prawda!"...

L'Alsace-Lorraine et la Paix, par *Jean Heimweh.* Paris. Armand Colin.

Znamienity profesor i badacz nowoczesnej historyi, p. Ernest Lavisse, dobrał sobie rzewny pseudonim, aby co kilka miesięcy orędować w ulotnych pisemkach za umiłowaną sprawą oderwanego szmata ziemi ojczystej, aby krzywdę swoją, krzywdę Francyi przypominać ludz-

kości i o naprawę jej wielkim głosem wołać, nareszcie aby światu wskazywać na niebezpieczeństwa płynące z niezagojonej rany, sączącej jadem nienawiści plemiennych i piekącej żądzą odwetu. Dopóki między Francyą a Niemcami ta krwawa pozostanie bolączka, dopóty nie można spodziewać się przybliżenia ery pokoju ni rozbrojenia, dopóty żagiew niezgody i pierwiastek waśni tkwić nie przestanie w łonie Europy, a wszystkie ugody i kongresy pójdą na marne. Bardzo to wszystko logiczne, przekonywające wymową, żarem słowa i żarem uczucia poparte, ujmujące wytrwałością i nadzieją. Ale my, którzy chyba większej doznaliśmy krzywdy, i donioślejszej niesprawiedliwości padliśmy ofiarą, wiemy iż takie wołanie bywa najczęściej wołaniem na puszczy, że gwałciciele praw narodów nie rychło dają się nakłonić do ich uznania i wynagrodzenia, że sumienie Europy od stu lat z górą usnęło, i nie zna już ani przebudzeń ani zadośćuczynienia.

Trochę naiwnie autor spodziewa się pokojowego rozwiązania kwestyi, zwrotu Alzacyi, w zamian jakiej kolonii ustąpionej Prusom, może neutralizacyi granicznej prowincyi. Kto będzie pośrednikiem w onej sprawie? Dziś odgadnąć trudno, bo choć jest „monarcha nad innych do tego zadania przeznaczony i sposobny, pamiętać należy, iż nie został on wybranym, lecz urodzonym cesarzem, zaczem obciążonym być musi spadkiem tradycyj rodowych i dynastycznych przesądów, wstrzymujących i studzących wszelkie wielkoduszne porywy i zapały". Autor łączy nierozdzielnie kwestyę rozbrojenia powszechnego z kwestyą Alzacyi, przepowiadając, iż gdy rządy się uchylą od naprawy złego, socyaliści podejmą zaniechaną sprawę i siłą zniszczenia ją przeprowadzą, bo wśród ich mrzonek, nieraz szlachetniejszych od ich czynów, błyska wiecznie świt wymarzonego pokoju i nastania nowej ery, nie znającej militaryzmu. „Miryady żyjątek wspólnemi siły budują podmorskie skały Przyjdzie dzień, w którym ich robota wychyli się z fali, aż zabłąkany żeglarz nową rozpozna wyspę i nada jej imię. Od tej chwili byt jej zapewnionym i uznanym zostaje, a stosunki z resztą świata są unormowane. Niby ludzkie madrepory, pracujmyż razem przyjaciele na rzecz Alzacyi i Lotaryngii, cierpliwie budujmy dzieło idealne", które kiedyś ma przynieść światu pokój i pożytek. Trochę to materyalistyczne porównanie. O ileż nam się lepiej podoba stara nasza legenda o siedmiu braciach budujących wieżę wysoką i obronną, która się wiecznie, po każdodniowej robocie, zapadała przez noc w głąb ziemi. Niezniechęceni święci murarze, coraz wyższe wznosili piętra, acz znikały im z oczu gdy się na spoczynek udali. Aż oto uwieńczywszy szczyt krzyżem

świętym, nagle ujrzeli wyłaniającą się z ziemi całość budowy, nagrodą za ich znojną wytrwałość i wielką wiarę. Byle krzyż zatknąć na każdej robocie, i nim każdą służbę uwieńczyć, żadna nie zginie ani pójdzie na marne. Chyba piękniejszy to zadatek nadziei od przyrównania do koralowych żyjątek...

M.

Rozmaitości.

Przypiski nihilisty do książki „Nihilizm w Rosyi".

Autor rozprawy o „Nihilizmie w Rosyi", drukowanej w naszem piśmie, ks. Stanisław Załęski, otrzymał od jednego z najwybitniejszych polskich agitatorów za granicą następne sprostowania i uzupełnienia pewnych szczegółów w książce swej zawartych. Notatki te podajemy bez zmian, jako ważny, bo z pierwszej ręki pochodzący materyał do historyi socyalizmu i nihilizmu w Rosyi i w ziemiach polskich.

Str. 32 („Nihilizmu w Rosyi"). Blank nie mógł być przyczyną rozruchów w lipcu 1830 r.; w rozruchach czerwcowych 1848 r., jakkolwiek oskarżony, nie brał żadnego udziału.

Str. 73. „Katechizm rewolucyjny" jest Bakunina a nie Nieczajewa.

Str. 78. Wpływ komuny paryskiej na ruch rosyjski był, sądzę, żaden; zresztą żaden ruch rewolucyjny europejski nie mógł wywierać wpływu na życie rewolucyjne rosyjskie. Rosya nie ma życia politycznego ani tradycyj politycznych. Któraż klasa społeczna w Rosyi ma historyę? Jedyne tradycye, to fikcyjne odwoływanie się do Pugaczewa i Razina, do rozstrzelonych buntów chłopskich. Rosya nie ma miast ani tradycyj skoncentrowanego życia społecznego. Stąd anarchizm rosyjski i teorye bandytyzmu rewolucyjnego — wynik braku pojęcia o zbiorowej akcyi społecznej. Nawet terroryzm w Rosyi miał teoryę bandytyzmu i akcyi indywidualnej — rodzaj anarchicznego messyanizmu.

Str. 84. Czajkowcy w teoryi byli anarchistami i niepojmujący zupełnie politycznej akcyi. Dziś Krapotkin i Czajkowski są anarchistami. W Ameryce Czajkowski założył był komunę religijną; mistycyzm rosyjski — w istocie pewnego gatunku „humbug" — gra wielką rolę w anarchii rosyjskiej.

Str. 84. „Narodniczestwo“ rosyjskie jest przekręcony romantyzm demokracyi europejskiej w teoryach o „ludowości“, którą można znaleść i w polskiej demokracyi. Różnica: w Europie (i u nas) romantyzm polityczny połączony z metafizyką polityczną; — w Rosyi „Narodniki“ mają w sobie mistycyzm i panslawizm; gdy chcą przejść do akcyi politycznej, stają się buntarami, tj. zwolennikami bandytyzmu, a nie zbiorowej, planowej politycznej rewolucyi. (Proszę prześledzić wpływ panslawistycznych poglądów w geografii Reclus'a, który swe antypolskie teorye zawdzięcza Krapotkinowi i Dragomanowowi szczególnie).

Str. 181. Tichomirow był zawsze zwolennikiem *Narodnoj Woli;* również Morozow, jeden z najdalej idących zwolenników terroryzmu politycznego. Pisma *Czornyj Pieredieł* i *Zjerno* były organami federalistów Narodników [1] — pierwsze dla inteligencyi, drugie (wyszedł zdaje się tylko jeden numer) dla robotników. Pismem robotniczem „Narodowolców“ była *Raboczaja gazeta* (jeżeli się nie mylę, także jeden czy dwa numery).

Ziemlia i Wolia nie była przeciw terroryzmowi; chciała wyłącznie terroru ekonomicznego, oraz zgadzała się na zabójstwa szpiegów i urzędników (zabójstwa Mezencewa i Heykinga naprzykład były dziełem „Ziemleiwolców“). Na Południu Narodnicy chcieli także „samoobrony“ (Kowalski w Odessie, opór zbrojny w Kijowie); Dragomanow naprzykład nie jest za terrorem, ale popiera opór zbrojny.

„Narodowolcy“ chcieli tylko terroru politycznego i byli nawet — mniej lub więcej — przeciwni terroryzmowi ekonomicznemu, by nie straszyć niezadowolonych klas uprzywilejowanych. Zamachy ich bezpośrednio nie były popierane przez liberałów i panslawistów, ale pośrednio: zresztą car był tak skompromitowany niewzięciem Konstantynopola, że go nikt nie bronił.

Str. 221. List otwarty do cara napisał Herman Łopatin, zasądzony później w sprawie zabójstwa Sudiejkina.

Str. 235. Rozruchy antysemickie były dziełem — o ile na nie mogli wpłynąć rewolucyoniści — „Narodowolców“. Istnieją dwie odezwy „Narodowolców“, pochwalające te zaburzenia. Podszeptał im tę politykę Sudiejkin za pośrednictwem Degajewa.

W owym czasie poglądy „Czornopieredielców“ zaczęły się zbli-

[1] Główni: Stefanowicz, Dejcz, Zazulicz, Plechanow, Akselrod, którzy nawet z zagranicy wpływali na te dwa pisma.

żać do poglądów socyalizmu demokratycznego zachodniej Europy. Już w 1880 r. Plechanow wydrukował w polskiej *Równości* list, potępiający taktykę czygirynców i wykazujący niebezpieczeństwo socyalizmu carskiego. Fakt drukowania tego listu w polskiem piśmie dowodzi wpływu socyalistów polskich.

Str. 245. Areszty w Puławach nie mają styczności żadnej z ruchem rosyjskim. Salmanowicz np. był także w Dublanach, Hrebnicki był patryotą czystej wody — bez domieszki socyalizmu, zesłany za udział w smutnej sprawie pskowskiej.

Str. 257. Program *Ziemli i Woli* z 1883 r. jest przenoszonym płodem z 1881 roku i był tylko „ćwiczeniem“ zagranicznem; był to początek wyrzeczenia się dawnego krańcowego „narodniczestwa“ ze strony późniejszych rosyjskich socyalnych demokratów.

Str. 262. Bez wątpienia była znaczna garść młodzieży polskiej, która zginęła w ruchu rosyjskim, jak np. Podlewski, Mirski, Wł. Izbicki, Hryniewicki, Kwiatkowski, Lisowska i mnóstwo innych; — pochłonął ich ruch rosyjski dlatego, że nie mieli dosyć inicyatywy, by przebić mur niektórych tradycyjnych u nas poglądów konserwatywnych. Nie znając nadto dobrze historyi swego kraju, nie umieli się odpowiednio „nawiązać“ do przeszłości. Słabsze głowy, kształcone w uniwersytetach rosyjskich o szlacheckości, klerykalności i t. d., Polski, zostawały pod grozą polskiej reakcyi. Natomiast w Warszawie samorodnie powstały kółka rewolucyjne i socyalistyczne, których pierwszem zadaniem było „odciągnąć swoich“ od ruchu rosyjskiego. Polskie gminy robocze z 1876—77 r., to fikcya (str. 175); mogli tylko być Polacy, którzy, będąc w miastach rosyjskich, prowadzili grupy robocze rosyjskie (jak to nawet miało miejsce i w 1890—91 roku).

Str. 263, 264. Wpływ Polaków „z zabranego kraju“, jak nazywano tych, którzy byli z uniwersytetów rosyjskich, był prawie żaden. To oni ulegali wpływom warszawskim.

Zresztą nawet program z 1877 r. jest zupełnie zachodnio-europejski i nic nie ma w sobie „rosyjskiego“.

Str. 266. Uwagi Ławrowa i t. d. i Dragomanowa wydały się rzeczą ważną dla krakowskiej prokuratoryi; od 1878 r. młoda emigracya polska walczy np. przeciw Dragomanowowi.

Drobysz-Drobyszewski był Polakiem zruszczonym, potem na nowo odnarodowionym.

Str. 271. Hildowa aresztowana w Tule, dokąd się schroniła była; Płaskowicka zmarła na Syberyi (włościanie z 6-ciu wsi napisali prośbę

o wypuszczenie jej); Mondszein — student medycyny. Akimow aresztowany w Rosyi — korespondował z Grużewską i dlatego zaliczony do warszawskiej sprawy.

Str. 272. Dziankowski, dawny wychowaniec seminaryum katol. w Petersburgu, później medyk w Warszawie.

Str. 275. Organizacya „litewsko-białorusko-polska“ nigdy nie istniała; była to proponowana nazwa przez t. zw. federalistów litewskich, którą warsz. organiz. odrzuciła. „Ognisko“ i „Rada sekretna“, to fikcye; w Petersburgu istniały wtedy koła polskie, które traciły swą autonomię z chwilą, gdy się łączyły z Warszawą. Prokuratorye rosyjskie, przyzwyczajone do „krużkow“ rosyjskich, nie mogły się nigdy połapać.

Str. 280. Oprócz umowy Polaków z *Nar. Wolą*, która została ogłoszona w *Walce klas*, nie masz innej. Konfidencyonalna umowa została odrzuconą, bo już wtedy *Nar. Wola* przestawała istnieć; prokuratorya warszawska znalazła koncept i wbrew innym dowodom przyjęła to za dowód. Oskarżeni nie nalegali, bo nie chcieli udawać umiarkowanych. Projekt zamachu i podkop ze strony Hocha, są fikcyą. Bajka ta urosła i może była nawet później stwierdzana przez ludzi, lubiących przechwałki.

Wogóle w „Proletaryacie“ istniał zawsze prąd, który organizacyę stawiał na pierwsze miejsce, i dlatego prócz kilku zabójstw szpiegów, nigdy żadnego czynu terrorystycznego nie dokonano.

Organizacya „Proletaryat“ przetrwała aż do 1892 r. Jeśli jej działalność nie była później efektowną, natomiast liczba zwolenników wzrastała stale, a wpływ na ludność robotniczą zwiększał się bezustannie.

Pod względem liczby aresztowań, późniejsze lata stwierdzają to, co mówię; są one znacznie większe. W 1884 r. aresztowania liczne (sprawa Maryi Bohuszewicz); w 1886 r. (sprawa Ulrycha); w 1888 r. (sprawa Kulczyckiego); od 1888—1892 r. bezustanne ciągłe aresztowania.

Jednocześnie z „Proletaryatem“ w r. 1883 r. istniała organizacya „Solidarność“, o tendencyach bardziej umiarkowanych, dążąca głównie do rozszerzania świadomości socyalistycznej między robotnikami (aresztowano w 1883 r. przedstawiciela tejże, Puchewicza, syna dawnego [polskiego] inspektora t. zw. III. gimn.). Srogie wyroki na „proletaryatczyków“ wywołały w r. 1888—1889 r. pewne tendencye umiarko-

wania; podsycały to umiarkowanie władze, które w polskim ruchu szczególnie obawiają się elementu politycznego. Powstał tak „Związek robotniczy“, który rozwinął bardzo szeroko rozgałęzioną propagandę ekonomiczną. W 1892 r. powstaje dążność połączenia i w 1893 r. powstaje „Polska partya soc.“, a za granicą „Związek zagranicznych socyalistów polskich“. Krańcowi socyaliści ekonomiczni, którzy mówią o organicznem połączeniu się Polski z Rosyą, mają oddzielny organ: *Sprawa robotnicza.*

Do ruchu robotniczego w zaborze rosyjskim jest materyał liczny, zestawiony przez umiarkowanego w *Przeglądzie socyalnym.*

Str. 330. *Wolnyj sajuz,* był to zeszyt — jedyny — wydawnictwa Dragomanowa, o federalistyczno-panslawistycznych tendencyach. Wobec obawy Dragomanowa, aby Żydzi asymilując się z Polakami nie wytworzyli we wschodniej Galicyi polskiego stronnictwa, dążył on do nadania Żydom osobnego miejsca w tej federacyi.

Z drugiej strony Ignatiew, który w 1882—1884 r. dążył do tronu bułgarskiego, chciał mieć za granicą organ liberalny. Przez ajenta policyjnego Malczyńskiego wszedł w stosunki z Dragomanowem. Trzeci Wydział popierał to przedsięwzięcie, albowiem nowy organ: *Wolnoje słowo,* zwalczał terrorystów. Pismo prędko upadło. W 1889 r. założył Dragomanow drugie pismo: *Swobodnaja Rassija,* w której uczestniczył *agent provocateur* Landesin-Heckelman.

Str. 357. Aleksander Dębski, politechnik, tak dalece nie był oskarżany o robienie bomb, że śledztwo zostało zaniechane. Robiono próby z panklastytem. Późniejszy nieudany zamach panny Ginzburg, która miała proklamacyę, ale nie miała jeszcze bomby, zrodził legendę o związku Zurychu z Petersburgiem. *Agent provocateur* Landesin, zdoławszy wciągnąć w Paryżu Rosyan, dał wrzekome stwierdzenie tej legendy. Wówczas aresztowano w Paryżu i Dębskiego, ale wypuszczono go.

Str. 367. Stanisław Podlewski działał bez rozmysłu i bez planu z góry powziętego. Wypadkiem był on u Seliwerstowa, a mając w kieszeni rewolwer i widząc przed sobą „żandarma“, który był w Petersburgu podczas śmierci jego brata przez więzienie, będąc przytem impetykiem z natury, rozdrażniony zapytaniem Seliwerstowa: czy będą „ładne“ kobiety w kasynie — wystrzelił.

Strzał ten, zdawało się, będzie miał znaczenie polityczne, rozbije alians franko-rosyjski. Z tego powodu socyaliści solidaryzowali się z tym czynem.

Str. 369. Co się tyczy spisków konstytucyjnych, te nie istnieją. Są to niewinne i bezwpływowe krzątania się, wieczorynki i t. d. Obecna na tych gawędach młodzież, która potem zakłada tajne stowarzyszenia, przy aresztowaniu kompromituje starsze pokolenie. Różni zagraniczni korespondenci, którzy zarabiają od wiersza, potęgują fakty aresztowań; rosyjscy emigranci, żyjący tradycyą, i z patryotyzmu rosyjskiego zaprzeczający barbarzyństwu Rosyi, usiłują wmówić, że Romanowy to tylko naleciałość.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Zwycięstwo Wekerlego. — Niemieckie „bióra ludowe“. — „Nowy duch“ we Francyi. — Sprzysiężenie protestanckich Amerykanów. — Rozruchy w polskich parafiach.

ZWYCIĘSTWO WEKERLEGO. Nerwowe naprężenie, spowodowane w całych Węgrzech śmiercią Kossutha, straciło już nieco na sile, grzmiące manifestacye ucichły; inne pytanie, kiedy zagoją się rany, manifestacyami temi zadane równie religijnym, jak dynastycznym uczuciom i interesom? Jak rząd królewski mógł na tego rodzaju manifestacye pozwolić, jak mógł je protegować? Byłoby to zagadką nie do rozwiązania, gdyby w nieszczęśliwej chwili zainicyonowane reformy kościelne, nie zdały Wekerlego i całego sztabu jego adherentów na łaskę i niełaskę nieubłaganych zwolenników zasad z 1848 roku; dzisiaj w pierwszej linii na łaskę i niełaskę dwóch synów eks-gubernatora, którzy, przyjmowani w Peszcie z królewskiemi honorami, odgrywają z całą powagą rolę pretendentów i nie tają się z zamiarem ujęcia w swe ręce steru węgierskiej ojczyzny, mało, co prawda, dotąd sobie znanej. Niechby przed miesiącem Kossuth, „węgierski Chrystus“, jak go bluźnierczo nazwano; niechby dziś jego synowie oświadczyli się przeciw tak lekkomyślnie wniesionym projektom We-

kerlego, a w tej chwili poszłyby do grobu razem ze swym twórcą; schlebiać więc trzeba kossuthowskiej dynastyi, choćby z wystawieniem na szwank powagi tronu, z narażeniem własnej godności!

Polityka ta, trudno powiedzieć aby zbyt szlachetna i zgodna ze stanowiskiem ministra Habsburgów, odniosła istotnie chwilowy tryumf. Napróżno Apponyi raz jeszcze w końcowem, półtoragodzinnem przemówieniu ostrzegał przed nieobrachowanym w następstwach „skokiem w ciemnię"; napróżno niedość roztropny „republikanin", a obecnie sojusznik rządu, Otto Hermann, odkrył przed czasem dalsze plany Kossuthowego stronnictwa i ogłosił za absolutnie niezbędny dalszy krok na rozpoczętej drodze: konfiskatę majątków kościelnych! Liberalna większość nie przelękła się tych rewelacyj, słuchać nie chciała tych ostrzeżeń, i 281 głosami przeciwko 106 uchwaliła przejść do dyskusyi szczegółowej nad rządowym projektem. Oczywiście dyskusya ta sporo jeszcze zabierze czasu; niejedna poprawka zostanie wśród niej przedłożoną a może i przyjętą, ale ostatecznie, dzięki poparciu najskrajniejszych żywiołów, losy małżeńskiego ustawodawstwa są już w Izbie poselskiej rozstrzygnięte. Najważniejsza, powiedziećby można, jedyna kwestya teraz, jakie stanowisko zajmie Izba wyższa? Rządowe organa grożą niedwuznacznie opornym magnatom: „Nie róbcie nam trudności, bo się bez was obejdziemy!"; czasami nie wahają się wskazywać wprost na ulicę i zapowiadać w razie oporu rewolucyjne rozruchy. Co dziwniejsza, że nietylko dzienniki peszteńskie, bezpośrednio od Wekerlego zależne, ale i wiedeńska *Politische Correspondenz* powtarza te groźby, bardzo niebezpieczne, a na łamach notorycznie ministeryalnego dziennika, bardzo, bądź co bądź, oryginalne. „Reformy węgierskie — czytamy ze zdumieniem w wiedeńskim organie — mają zapewnioną w Izbie niższej znaczną większość, a tem samem i Izba wyższa ma sobie jasno wytyczony kierunek, w którym poruszać się musi. Z pewnością bowiem wszyscy członkowie tej Izby widzą jasno, jak byłoby nieodpowiedniem, wobec tak daleko sięgającej decyzyi przedstawicieli ludu, nowe rozdrażnienie wywoływać i pozostawiać dłużej

kraj w dotychczasowej niepewności". Po co, wedle tej teoryi, istnieje Izba magnatów, tego rzeczywiście zrozumieć nie można. Woda to po prostu na młyn czerwonych żywiołów, które dziś już wołają w Peszcie, Paryżu, Londynie, jutro wołać będą w Wiedniu: „Precz z niepotrzebnym, zawadzającym gratem: Izbą wyższą!"... Kto choć trochę zna czerwone te programy i dążenia, ten wie, że uprzątnienie Izby wyższej nie jest bynajmniej ich kresem, lecz jednym z etapów do zupełnie innego kresu.

NIEMIECKIE „BIÓRA LUDOWE". Wyszła z Francyi myśl katolickich „ludowych sekretaryatów", w których rzemieślnik, robotnik, proletaryusz, znalazłby pewną informacyę, poradę, a w danym razie pomoc i obronę, przyjęła się bardzo pięknie w Niemczech i rozwija się tu daleko szybciej i bujniej, niż z drugiej strony Renu. Rozwój ten datuje się od odbytego w roku 1889 katolickiego kongresu w Bochum, który jednomyślnie przyjął następną rezolucyę: „Rzeczą jest pożądaną, aby we wszystkich centrach przemysłowych założone zostały bióra, mające na celu obronę praw robotników, i dostarczanie im potrzebnych rad i wskazówek". Nie upłynęło kilka tygodni od zamknięcia obrad wiecowych, a pierwsze takie bióro funkcyonowało już w Essen. Za danym przykładem poszły: Aachen, Crefeld, Dortmund, Mühlhausen i t. d., i t. d.; w roku bieżącym przyłączyła się do tych miast Kolonia i Nassau; w najbliższej przyszłości przyłączyć się mają: Düsseldorf, Bochum i Paderborn. Działalność każdego z tych biór zatacza z roku na rok coraz szersze kręgi. Tak np. w r. 1891 zgłosiło się do bióra w Essen 3659 osób, w roku następnym liczba ta wzrosła do 7845, a w roku 1893 do 11.000. Założone na wiosnę zeszłego roku bióro w Crefeld interweniowało w przeszło 2000 wypadkach; zredagowało przeszło 500 różnego rodzaju obszerniejszych aktów, próśb i t. p.; otrzymało dla swych klientów kilkadziesiąt rządowych zapomóg; załatwiło polubownie znaczną liczbę sporów. W każdem biórze urzęduje stale paru doświadczonych prawników; udać się może do nich o pomoc i poradę każdy, kto uiszcza roczną wkładkę, wynoszącą, stosownie do

miejscowości, od 1 do 3 marek; ubodzy i od tej wkładki mogą być uwolnieni. „Bióra ludowe — wyraża się bardzo prawdziwie jeden z katolickich organów niemieckich — to najsilniejszy wał przeciw propagandzie socyalistycznej; to już nie czcze deklamacye, ale czyny, dowodzące namacalnie, komu właściwie i komu goręcej chodzi o dobro warstw pracujących".

NOWY DUCH WE FRANCYI.

Co sprowadziło i wychowało Ravacholów, Vaillantów, Pauwelsów, co kolejno usiłują wysadzić w powietrze: parlamenty i hotele, teatry i kościoły? Pytanie to zadaje sobie Juliusz Simon w piśmie: *La Vie Contemporaine,* i odpowiada bez ogródki, wskazując nieszczęśliwe szkolne prawa: „Te prawa tłumaczą mi Ravachola".

„Dziecko ludu wychowuje się bez religii; dziecko bogacza wychowuje się bez zasad. I jedno i drugie wyuczyło się na pamięć obowiązków obywatela z danego sobie podręcznika, który nie ma żadnej siły ani powagi, jeśli jest dobrym; gubi i zatruwa, jeśli jest złym. Skończyli szkołę, wchodzą w świat, nie skrępowani żadnemi wewnętrznemi więzami. Pierwszy lepszy, głośno gardłujący apostoł komunizmu i anarchii, z którym w klubie się spotka, zrobi z jego duszą co sam zechce. Proboszcz w kościele przypominać będzie kobietom kazanie na górze: ‚Dzieci moje, miłujcie się wzajemnie!'; a komunistyczny delegat w klubie lub karczmie głosić będzie chłopcom anarchię.

„Jakto? — chcecie z niego zrobić dobrego republikanina, prawego obywatela, człowieka słuchającego głosu obowiązku, niosącego pomoc nieszczęśliwym braciom i ofiarującego krew za ojczyznę? chcecie zeń to wszystko zrobić i w tym celu zapewniacie mu na sam początek, że niema ani dobra, ani zasad, ani życia po śmierci? Liczycie jedynie, aby go utrzymać na dobrej drodze, na pomoc sędziego i żandarma?!...

„I potem dziwicie się, że odpowiada wam dynamitem?!"...

Ale nietylko szkołę przeniknąć musi „nowy duch", o którym w kilku ostatnich przemowach wspominał minister Spuller z godnym pochwały naciskiem; trzeba, aby „nowy duch", praw-

dziwej tolerancyi, zawładnął całą maszyną państwową, do wszystkich jej sprężyn i kółek się przedostał.

„Przed kilku zaledwie latami — kończy znowu J. Simon wielki, programowy artykuł, umieszczony w *Figaro* — nie było pewniejszego środka dla zebrania rzęsistych oklasków, dla uformowania większości, nad biadanie na tryumfy klerykalizmu: szkoły klerykalne równie liczne jak szkoły państwowe, kwitnące pielgrzymki, kościoły przepełnione wiernymi, mieszanie się śmiałe, wytrwałe, często szczęśliwe w polityczne walki. Na pierwsze słowo w tym kierunku wybuchał entuzyazm na ławach lewicy i Centrum; z parlamentu szedł w kraj głośnem, niczem niezamąconem echem pochwał. Nowi ministrowie, a Bogu jednemu liczba ich wiadoma, wypisywali na pierwszej linii swego programu walkę przeciw klerykalizmowi; zaręczali, że palladyum rzeczypospolitej stanowią prawa szkolne i wojskowe; mówiąc wyraźniej: szkoła bez Boga, i ksiądz z tornistrem na plecach.

„Ruch ten nagle się zatrzymał; zatrzymać go potrafił pan Spuller. Oświadczył on, że duchowieństwo nie powinno, korzystając z przywiązanych do swego urzędu przywilejów, mieszać się do walk politycznych; zaręczył, że jego członkowie nie będą na przyszłość prześladowani i uciskani, i nikt przeszkadzać im nie będzie w spełnianiu poruczonego im posłannictwa; wytłumaczył, że wolność religijna jest bezpośredniem i koniecznem zastosowaniem wolności filozoficznej... W rzeczy samej, powiedzieć sobie trzeba, że nikt nigdy żadnego narodu nie ucywilizował i nie poprowadził na drogę uczciwości, opierając się wyłącznie na żandarmach i więzieniach. Trzeba z rozumem ludzkim się rachować. Człowiek, jeśli ma umieć myśleć, jeśli ma mieć moc do uczynienia z siebie, w danym razie, ofiary, musi przedtem wierzyć. Kto nic przed sobą nie widzi, jak tylko grę interesów, dążyć będzie do używania wszelkiemi możliwemi drogami. Prawo jest czemś więcej, niż prostym kontraktem pomiędzy stronami interesowanemi. Ofiary obowiązku nie są prostemi ofiarami głupoty. Prawo i obowiązek istnieją niezależnie od ludzkiej umowy. A zatem i Bóg istnieje... Powtarzam z panem Spullerem: Naród potrzebuje Boga. Owszem, dalej idę i mówię: Bez Boga niemasz narodu“...

SPRZYSIĘŻENIE PROTESTANCKICH AMERYKANÓW.

Protestancka reakcya przeciw kroczącemu naprzód katolicyzmowi w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, przybrała w ostatnich miesiącach niepokojące rozmiary. Rzucone hasło: „Bronić się musimy przeciw rzymskim zamachom!“ znalazło grunt sposobny w paru stanach, w szczególności w Michiganie, Ohio i Kolorado, i wywołało zawiązanie wielkiego, tajnego związku: *American Protective Association*, którego pierwszym, powiedzieć można, jedynym celem: walka z katolicyzmem. Stosownie do angielskiego zwyczaju, wszystkie pisma, mówiąc o związku, cytują tylko pierwsze litery: *A. P. A.*, urzędowej jego nazwy; stąd znowu członków jego mianują „Apiastami“, a imię to zupełnie się już dziś utarło i każdemu mieszkańcowi Stanów Zjednoczonych doskonale jest znane. „Apiaści“ bardzo wojowniczo są usposobieni, a w podjętej walce żadną bronią nie gardzą. Korzystając z nizkiego poziomu oświaty wielu z swych współobywateli, puszczają w obieg broszury pod zaciekawiającemi tytułami: „Ręka Pecci'ego w sprawach amerykańskich“, lub „Polityczna platforma stronnictwa papieskiego“; skomponowali osobną i nieznaną dotąd w Europie encyklikę Leona XIII., noszącą datę 25 grudnia 1891 r., a wystosowaną do „Jezuitów *(sic!)*, patryarchów, prymasów, arcybiskupów“ i t. d. Encyklika ta, obrachowana widocznie na bardzo naiwnych czytelników, oznajmia „Jezuitom, patryarchom i całemu katolickiemu ludowi“, że Ameryka należy z prawa Bożego do Papieża, i że blizki już czas, w którym katolicy ją zdobędą i między siebie rozdzielą; tymczasem powinni katolicy starać się zgładzić, a przynajmniej wyrzucić daleko za amerykańskie granice niewiernych heretyków. Olbrzymie afisze, popularne dzienniki i broszury, odczyty i konferencye po miastach i miasteczkach, rozpowszechniają te bajki, których u nas i małe dzieci słuchaćby nie chciały; rozpowszechniają je zwłaszcza w przeddzień wyborów, zaklinając wszystkich uczciwych ludzi, aby najmniejszego urzędu nie poruczali „katolickim zdrajcom i zbrodniarzom“.

Silny to, aż dziwnie jak silny, prąd w krainie „wolności i tolerancyi“. Niebezpiecznym też być musi, kiedy niektórzy bi-

skupi uznali za stosowne otwarcie przeciw niemu wystąpić w listach pasterskich; kiedy nawet rozumniejsi i prawdziwiej po chrześcijańsku usposobieni pastorzy protestanccy zwalczają równie w pismach jak na ambonach „niezdrowe te, hańbiące tendencye". Jeden ze znakomitych protestanckich kaznodziejów, dr. Waszyngton Gladden, oświadczył wprost w artykule umieszczonym w *Century*, że zdaniem jego każdy, kto się wciąga w szeregi „Apiastów", gwałci kardynalne zasady konstytucyi amerykańskiej i niezdolnym jest do piastowania jakiegobądź urzędu. W niektórych miastach organizują się „antyapiastyczne" stowarzyszenia, których członkowie zobowiązują się unikać wszelkich, przedewszystkiem handlowych stosunków z członkami „apiastycznych" lóż. Wychodząca w St. Louis *America* zaręcza, że praktyczny ten środek wydał już bardzo dobre owoce i skłonił wielu kupców do szybkiego wykreślenia się z list świeżo wzrosłej, fanatycznej sekty.

ROZRUCHY W POLSKICH PARAFIACH.

Nie przebrzmiały jeszcze echa dawno upragnionej wiadomości o nawróceniu się długoletniego odszczepieńca, „detroickiego papieża polskiego", ks. Kolasińskiego, a już znowu z za Oceanu, z kilku od razu polskich osad dochodzą nad wyraz bolesne, dla imienia polskiego upokarzające wieści. W Camden musiała policya stawać w obronie świeżo mianowanego proboszcza, ks. A. Dynia, na którego garstka podłych awanturników rzuciła się w kościele, stoczyła tu walkę z obrońcami napadniętego księdza i za uciekającym rzucała jeszcze kamieniami. Na mniejszą nieco skalę, ale również bardzo skandaliczne zaburzenia miały miejsce w polskich parafiach w Wilkesbarre, Nowym Jorku i w Hazleton. Redaktor *Jutrzenki*, pisma, którego przez szczypce tylko dotykać się można, osławiony Chrostowski [1], nawołuje, równie w swej gazecie jak w angielskich

[1] Jak z prywatnego źródła dowiadujemy się, Chrostowski — a właściwie Chrząstowski — jest bardzo jeszcze młodym człowiekiem. Przed siedmiu latami uciekł z czwartej klasy *gimnazyalnej* i w Ameryce zaawansował na przywódcę antykościelnego stronnictwa polskiego. Z zacną rodziną, żyjącą w Królestwie Polskiem, zerwał zupełnie stosunki.

dziennikach, do odszczepieństwa, do oderwania się od Kościoła katolickiego; pewna liczba kupiących się koło niego w Cleveland warchołów, dała się słyszeć z groźbą, że porzuci Kościół, jeżeli biskup nie odda napowrót parafii usuniętemu przez siebie ks. Kołaszewskiemu, i nie odwoła przysłanego przez siebie, energicznie z błędem walczącego kapłana. Rzeczy zaszły tak daleko, że biskup z Cleveland, ks. Horstman, uznał za niezbędne rzucić klątwę na wichrzycieli i zakazać czytania ich pisma pod grozą kar kościelnych. Drugiego marca przybył sam ks. biskup do polskiego kościoła pod wezwaniem św. męczennika Stanisława, cisnął na niepoprawnych kościelne gromy, a do dobrych owieczek przemówił w pasterskich, z ojcowskiego serca płynących wyrazach, które i przypuścić niepodobna, aby w prawdziwie polskich sercach znaleść nie miały odgłosu:

Od pierwszych dni mej młodości, dwa były narody, które zawsze wzbudzały we mnie podziw i nadzwyczajną sympatyę — Irlandya i Polska. Patrzyłem na nie, jako na narody męczeńskie chrześcijaństwa, których wierny lud cierpiał prześladowania i przeróżne katusze za swoją wiarę i zawsze pozostawał wierny Kościołowi św. Ta miłość i ten podziw mój się nie zmieniły! Dnie prześladowania minęły dla Irlandyi, dla Polski one jeszcze istnieją, niech jednak jej dzieci zawsze pozostaną — podobnie jak ich praojcowie, od chwili powstania chrześcijańskiej Polski, wiernemi dziećmi Kościoła, niech idą śladem św. Stanisława, swego przesławnego biskupa, i tego drugiego młodzieniaszka św. Stanisława Kostki i św. Jana Kantego. Co było przyczyną wielkości Polski jako narodu? Czyż nie jej katolicyzm? Co było powodem jej wszystkich cierpień od czasu jej podziału? I znowu tylko katolicyzm! On był jej męczeńskim protestem przeciwko schyzmie!

Cóż więc mam powiedzieć o tej schyzmatyckiej proklamacyi, w której dano takie zgorszenie? Żaden katolik, znający katechizm, nie napisałby nigdy tych słów: ‚My jesteśmy najprzód Polakami, a potem katolikami'. Narodowość nie ma miejsca w Kościele Chrystusowym, bo w tym Kościele niema ani Greka, ani Rzymianina, ani niewolnika, ani wolnego, jeno wszyscy są jedni w Chrysusie. Tak, Polska zaprotestowała krwią życia tysięcy swoich dzieci przeciwko rosyjskiej schyzmie. Polak i katolik to jedno. A ponieważ Polacy zawsze tak mniemali, przeto Rosya nigdy nie zaprzestała swych sza-

tańskich prześladowań. I oto teraz kilku obłąkanych ludzi, powodowanych gniewem i oślepionych złością i nienawiścią, grozi tą schyzmą, przeciwko której katolicka Polska zawsze protestowała i przeciwko której walcząc, umarła, jako państwo. Co za wstyd! Co za hańba! Odpuść im Ojcze, bo nie wiedzą co czynią!... Biskupi są wszyscy ustanowieni od Papieża, i należy to do biskupa, wyłącznie tylko do biskupa, ustanawiać proboszczów nad różnemi parafiami w swojej dyecezyi. Pod żadnym względem nie należy to i należeć nie może do ludu, rozsądzać, kto ma być jego pasterzem. To należy wyłącznie do biskupa...

Pamiętajcie, że waszą sławą jako Polaków, była zawsze Polska katolicka; że Polacy są katolikami i nie mogą niczem innem być, jak tylko katolikami. Nie dajcie się uwieść nikomu, kto pragnie was nakłonić do schyzmy. Rosya nie jest w możności skłonić Polaków do niej wszystkiemi prześladowaniami swemi: nie przyczyniajcie się do pohańbienia swej nieszczęśliwej ojczyzny, dając się otumanić i obłąkać dla zamysłów przewrotnych ludzi. Ponieważ jesteście Polakami, bądźcie zawsze wiernymi katolikami. Dla miłości Boga, dla dobra wiary i religii, dla powodzenia waszego św. Kościoła, dla zbawienia waszych dusz, bądźcie połączeni, odłóżcie na stronę wszelkie gniewy i osobiste urazy, porzućcie wszelkie niesnaski, bądźcie wiernymi katolikami myślą i sercem, i niech duch świętej zgody będzie z wami wszystkimi, i niech wasza Patronka, Matka Boska Częstochowska będzie waszą protektorką w życiu, waszą orędowniczką i pozdrowicielką w życiu wiecznem.

Znaczna część uwiedzionych upamiętała się; niestety! nie wszyscy. Kołaszewski, prowadzony przez złego swego ducha, Chrostowskiego, zakłada podobno niezależną gminę kościelną; jego stronnicy ogłosili w gazetach wezwanie do delegata apostolskiego, ks. Satollego, aby natychmiast opuścił Amerykę, kiedy wziął w obronę nie lud, lecz biskupa. Dalej już chyba głupstwo iść nie może; smutno i wstyd, że do ostatnich granic właśnie u biednych naszych współrodaków dobiegło.

Ks. Jan Badeni.

Listy australskie polskiego emigranta.

(Ciąg dalszy).

Sydney, 19 lutego 1889.

...Chciałem w tym roku do Europy na miesiąc lub sześć tygodni pojechać dla interesów, lecz losy inaczej zrządziły, zostałem...

...Powiedzcie, proszę, p. X., że ceny wełny są tu dość zmienne, zależnie od targu londyńskiego, którego cenniki gdy dostanie, po odtrąceniu kosztów transportu, różnych komisów i t. d. będzie miał cenę wełny tu na miejscu. — Interesa wełniane (agentury, nie spekulacye) są tu najkorzystniejsze. Firma niemiecka Fink i Betz, setki tysięcy reńskich rocznie w powyżej wymieniony sposób zarabia. Główną siedzibą takiej agentury musi być Europa, a kolonie powinny mieć reprezentantów tejże. Spekulacyi na własną rękę, nikomubym nie radził, można bowiem, co prawda, grubo zarobić, lecz grubiej jeszcze stracić. Ja tu do interesów wełnianych używać mogę kilku doskonałych agentów, którzy się dobrze na wełnach znają.

Tyle o tem — teraz o sobie: Firma moja egzystuje, lecz jak dotąd oczywiście tylko jeszcze z imienia, gdyż interesów żadnych nie robi, nawet nie spodziewam się z niej dochodu przed rokiem. Grodno powoli postępuje ku lepszemu; powinienbym powiedzieć „powolniej“, odprawiłem bowiem dwóch robotników, tak, że dwóch ich tylko pozostaje. W tych ciągłych tarapatach aż siwieć zaczynam, lecz pomimo to, codzień silniejszym się czuję i zdaje się jestem.

...W zamian za wasze, tak mnie miłe listy, wyślę wam w tych dniach dużą fotografię moją, zrobioną przez jednego z mych przyjaciół. Natychmiast po otrzymaniu listów waszych, odpowiadam na nie w klubie francuskim, którego jestem członkiem; tu obecnie zwykłem jadać i poświęcać czas przedobiadowy (pół godziny) na korespondencyę prywatną, do których was oczywiście zaliczyć muszę, kiedy *business*'ów z sobą nie robimy. Dzwonią... ściskam was zatem, moi kochani korespondenci „prywatni“.

Sydney, 28 lutego 1889.

...Wczoraj i przedwczoraj mieliśmy bardzo przykry czas, parny upał, wszyscy chodziliśmy oblani potem. Dziś na deszcz się zabiera i chłodno. Z owoców mam już w tym roku jabłka; jest ich nawet dużo, jak na tak młode drzewka.

Wczoraj zdarzyło mi się coś nadzwyczaj niemiłego: musiałem zapłacić weksel na 60 funt. szterl., który byłem żyrował za p. X. przed trzema miesiącami; jakoś mu się jego plany nie powiodły i sam zapłacić nie mógł; obiecuje mi oddać za rok (?!). Biedę mam z wielu tutejszymi znajomymi: „kiedy bieda, to do mnie, nie do żyda". Wszystkim staram się pomódz jak i czem mogę, to też wszyscy mi coś winni, a żaden nie oddaje, wielką mi tem wyrządzając krzywdę. Po nauce, jaką mi teraz dał X., wątpię by mię ktokolwiek złapał...

...Zrobiłem niedawno temu *un grand coup;* dobrałem w imieniu Cavalchini'ego (dla nas) 1280 akrów, tak iż całość Grodna wynosi 2560 akrów. Nazywam to *grand coup,* bo wziąłem tę ziemię bez widocznych na prowadzenie gospodarstwa większego funduszów, pomny na to, iż przed trzema laty, gdym zaselektował 1280 akr., jeszcze mniejsze widoki, a żadnych funduszów nie miałem, *et je me suis débrouillé tout de même.*

Wziąłem także $96^1/_2$ akrów dla Millera, tuż za moim płotem, a zrobiłem to, by sobie Millera przywiązać. Znam go już od lat trzech: wieśniak polski, tu przyjechał, szewstwa się nauczył, ożenił się, ma dzieci; źle mu szło z początku, nigdy grosza nie miał; uczciwy i pracowity, będę więc miał komu zaufać, gdy z Grodna wyjadę. Powiększę u siebie hodowlę kur i innego drobiu, Miller bowiem zna się na tem doskonale. Przyślę wam niezadługo mapkę (rządową) naszych posiadłości; jest już obecnie wykończoną i pójdzie do druku.

Był tu niedawno niejaki p. Ferreri z Turynu, człowiek milionowo bogaty, znajomy Cavalchini'ego. Odwiedzał kilka razy Grodno; bardzo mu się ono z jego właścicielami podobno podobało. Przybył tu dla zwiedzenia Australii, której jeszcze nie znał. Wysłałem przez niego małą kolekcyę pająków dla wuja K.; odbierze je w czerwcu.

Setne wam dzięki za *Biesiadę Literacką.*

Sydney, O'Connell Street, 31 maja 1889.

Pierwszy to list, który wysyłam z mego nowego bióra. Jest ono bardzo ładne; pokój maleńki na drugiem piętrze, ślicznie umeblowany. Podłoga pokryta ceratą (linoleum, naśladujące posadzkę dębową), w środku duży, ładny dywan, na nim stoi biórko z drzewa cedrowego, nowiutkie, kilka krzeseł, szezląg, kasa ogniotrwała, mała umywalnia i... koniec. Dom, w którym jest to moje bióro, nowy, w stylu domów holenderskich. Powiadam, iż mam kasę ogniotrwałą — wprawdzie puściutełka, może jednak z czasem się napełni.

4 czerwca. Mieliśmy temi dniami duże deszcze i powodzie; ja na szczęście wielkich szkód nie poniosłem. Poczta odchodzi dopiero pojutrze, list jednak dziś oddam, gdyż jadę do Grodna, które, jak da Bóg pożyję zdrów i zarabiać będę, stanie się cackiem, jakich w Australii jeszcze mało. Zwiedził Grodno, dni temu kilka, najsławniejszy winnik tutejszy, p. Frère; ja niestety byłem w Sydney, lecz słyszałem opinię jego, wypowiedzianą przed jednym z moich znajomych; że dobrą, nie potrzebuję dodawać. Najbardziej cieszy mnie to, że według niego, niema w Grodnie jednego grosza włożonego, któryby dziś nie był wart trzech.

Mam tam obecnie sześciu ludzi pracujących przy winnicy i ogrodzie owocowym. Wątpię, bym w przyszłym roku dosadzał i powiększał, zaczekam na rezultat z tego co już jest, zwłaszcza iż zamierzam stawiać dom z kamienia; do teraźniejszego wkradły się termity, które niezadługo wszystko zjedzą.

Biesiadę odbieram regularnie, wdzięczny wam za nią jestem; brakuje mi tylko kilku początkowych numerów. Czytałem w niej opowiadanie o dorobieniu się przez pewne indywiduum majątku; nie mam i ja czego się skarżyć, ta jeno między nami różnica, że ów pan zaczął z pieniędzmi, a ja bez gronia!...

Sydney, 26 czerwca 1889.

Już od kilku tygodni listu od was nie miałem; czyni mię to niespokojnym.

U mnie tu nic nowego, pcham taczkę swoją naprzód, choć trochę ciężka (rzadko komu lekką się wydaje), byle naprzód. Interesów napiętych huk, lecz jedne za prędko, drugie za późno przychodzą. Gdyby mi się udało sprządz się z kim przedsiębiorczym i trochę groszowitym w Europie, to mógłbym i sobie i jemu fortunę zrobić, nie jedną, lecz dwie. Kołatałem już od kilku miesięcy o cukier rosyjski, przewidując grubą zwyżkę cen tutejszych; zwyżka jest, i to kolosalna, 14 ff. na tonie, lecz cukru niema. Można byłoby paręset tysięcy rubli zarobić jak nic! Ludzie są dziwni, wolą „z pewnością“ stracić, niż „może“ zarobić...

Czyby kto z was nie mógł mi wyrobić agencyi kół i klepek dębowych? I na tem można ogromnie zarobić. W Rosyi lasy eksploatują, powinno więc być o to łatwo. — Szczęście mam; czem się zajmę, idzie dzięki Bogu nieźle, muszę jednak mieć pole do pracy, trzeba mi ru-

chu, życia; nie chcę tych małych interesików *d'épicier*, w których można ledwo kilka groszy zyskać na przeżycie. „Maciek zarobił, Maciek zjadł", a potem nic...

Sydney, 15 sierpnia 1889.

Firma moja et C^ie^ w ciągłych opałach, cały czas mi teraz zajmuje, a co gorsza bez widocznych z tej pracy rezultatów. Zrobiliśmy podanie o podrad na dostawę 250.000 gal. olei do kolei rządowych. Zarobilibyśmy około 3000 ff. Najdalej pojutrze wszystko będzie zdecydowane; prawdopodobnie jednak nie utrzymamy się, z powodu, iż komisya decydująca jest złożona z kilku szkockich fanatyków protestantów. Nazywają ich tu *Orangeman*'ami. Jeśli się utrzymamy, pojadę do Europy na miesiąc, by umowy pozawierać z naszymi dostawcami; wyjechałbym stąd 28 b. m., wpierw jednak napisałbym do was.

W tych kilku słowach wszystko powiedziałem, i doprawdy niema co dodać, chyba że Grodno coraz się bardziej cywilizuje i że p. Ferreri mi pisał, iż pająki wysłał już wujowi.

Jeśli przyjadę do Europy, pojedziemy razem na wystawę paryską...

Nic jeszcze zdecydowanego niema co do mego wyjazdu. Interesa trochę zaczynają się ruszać. Dzisiejszą pocztą wysyłam zamówienie na 840 gal. oleju; nie jest to wiele, jednak i to człeka cieszy; za tem pójdą i inne.

Grodno tak ładne, że mi aż żal myśląc, że trzeba je będzie za lat parę sprzedać; a może, jeśli mi dobrze pójdzie, to wspólnika spłacę i fermę dla siebie zatrzymam...

Sydney, 12 września 1889.

Mając dziś trochę czasu, nie chcę by poczta do Europy odeszła bez listu ode mnie, choćby z kilku tylko słowy, by wam powiedzieć, żem żyw, zdrów, i że was zawsze bardzo a bardzo kocham!...

Pytacie o rodzaj *business*'u i co oleje znaczą. Firma nasza reprezentuje tutaj oleje mineralne, pochodzące z Galicyi i Rosyi; nadaliśmy im nazwę: *The Ropa lubricating mineral oils,* aby przez to ustalić pewną „markę", pod którąby się rozchodziły i potem znane były. Ropa, miejscowość w Galicyi, w której mieszka p. Feliks Skrochowski, obywatel i właściciel kopalni nafty; przysyła on nam oleje swoje na sprzedaż. Bióro nasze jest pod mojem nazwiskiem z dodatkiem C^o^, oznaczające K. M.....g'a, przez którego stosunki dostaliśmy reprezentacyę olei. Jest to dopiero początek; koniec tak zamglony, że go jeszcze

nie widać, zamglony brakiem, jak zwykle, kapitału potrzebnego do rozwinięcia, choćby tylko kłębka nici, gdyż nim się go rozwinie, trzeba wprzód kupić takowy. Początkowe wydatki, jak wzięcie bióra, umeblowanie go i t. d. poniosłem ja, gdyż mój wspólnik też nie „groszowity".

Nie mam zamiaru poprzestać na olejach tylko, owszem staram się o reprezentacye wszystkiego co korzyść, choćby nawet małą, przynieść mogło i z czasem rozwinąć ten, dopiero co kupiony, kłębek w duży dom komisowo-handlowy, zajmujący się specyalnie eksportem i importem produktów pochodzenia polskiego. Jeśli tego dopnę, stanę się nietylko sobie, lecz i krajowi użytecznym. Przypominam sobie słowa babuni Cz....: „siedzieć w domu i służyć krajowi". Czy tylko ten krajowi służy, co w domu siedzi i biedę klepie, ciągle narzekając? Żaden kraj prosperować nie może bez eksportu nadprodukcyi; czyż nie lepiej by tę nadprodukcyę eksportował Polak, niż Niemiec lub Anglik, który zrobiwszy pieniądze nigdy ich do Polski nie wwiezie, lecz za granicą użyje. Dużoby się dało powiedzieć w odpowiedzi na zdanie babuni, na dziś jednak wolę o czem innem pisać.

Grodno moje kochane coraz ładniejsze; winnice rosną, drzewa owocowe i kwiaty kwitną, kurki kwoczą, papużki zielone świergocą, a ja niby król między tem wszystkiem; to też gdy sobie wielką fetę chcę sprawić, przez dwa dni z Grodna nie wyjeżdżam. Staram się u rządu o pocztę w Eckersley i o wykończenie dróg — to ostatnie mi obiecano.

Socyalizm galicyjski na kongresie austryackich socyalistów w Wiedniu.

W Niedzielę Wielkanocną, 25 marca, rozpoczął się w wielkiej sali *Colosseum* Schwendera w Wiedniu, walny sejm austryackich socyalistów, reprezentowanych przez 134 delegatów, wysłanych przez socyalistyczne związki całej monarchii. Galicyę reprezentowało tylko czterech posłów: Daszyński, Fraenkel, Mańkowski i Żelaszkiewicz; ale choć stosunkowo szczupłą była liczba galicyjskich wysłańców, skarżyć się nie mogli, aby mało zwracano na nich uwagi, aby rozwój i interesa galicyjskiego socyalizmu odkładano na drugi plan. Przeciwnie — jak nietrudno przekonać się ze szczegółowych sprawozdań, ogłaszanych w gazetach niemieckich i w polskiej socyalistycznej prasie — Galicya

jest pewnego rodzaju pieszczonem dzieckiem wszystkich austryackich socyalistów; uważają ją, zdaje się, za bardzo wygodny i sposobny teren do zamierzonych w bliższej lub dalszej przyszłości eksperymentów. Niech i tu „głupie Polaki“ na pierwszy ogień idą!

Ale, ażeby bez oporu poszli na pierwszy ogień, nie trzeba im — idąc utartemi śladami wielkich wodzów i sprytnych agitatorów — szczędzić grzecznych słówek, entuzyastycznych wykrzykników! Główni przewódcy i referenci: Popp, Adler, Ellenbogen, unosili się na wyścigi nad poświęceniem galicyjskich „towarzyszów“, wskazywali na ich męczeńską niezłomność w ponoszonych prześladowaniach. „Nie dziwmy się, — tłumaczył Popp — że Galicya mało stosunkowo przyczynia się do ogólnych wydatków; organizacya tam młoda, a władze tak nieprzyjaźnie się zachowują, że, aby z niemi walczyć, trzeba nadludzkich ofiar“. Ellenbogen — choć, mówiąc nawiasowo, Daszyński srodze referat jego pokiereszował — wychwalał gorąco inicyatywę, zajętą przez galicyjską partyę w sprawie powszechnego głosowania. Adler dłuższą część długiej swej mowy poświęcił galicyjskim stosunkom; powtórzył z naciskiem ubolewania na srogość władz i zachęcał polskich socyalistów, aby nie ograniczali się w podjętej agitacyi granicami Galicyi: Macie przed sobą Szląsk, Morawię — tam pracuje tysiące polskich robotników; idźcie pomiędzy nich, pozyskujcie ich dla partyi — wy jedni jesteście w stanie dzieła tego dokonać!...

Mile brzmią takie słowa i mimowoli wzywają do zapewnień: „Nie bójcie się! na nas się nie zawiedziecie!“ — „Nie bójcie się! — wołał Żelaszkiewicz, z jednej strony odurzony dymem pochwał, któremi galicyjską organizacyę otoczyli sprytni przewódcy wiedeńscy; z drugiej podrażniony pewnemi powątpiewaniami, wyrażonemi przez sceptycznie usposobionego morawskiego agitatora: d-ra Ingwera. — Nie bójcie się! Lwowscy i krakowscy robotnicy przystąpią do jeneralnego strejku; owszem lwowscy robotnicy oświadczyli się już publicznie za strejkiem. Zwłaszcza Czesi z Polakami iść winni razem przeciw wspólnemu wrogowi; wywalczać sobie razem należne prawa! W Pradze istnieje stan wyjątkowy, i nad tem Polacy boleją; ale w Galicyi również od dawna istnieje stan wyjątkowy, chociaż przez parlament nie zatwierdzony“.

„Możemy dziś z dumą powiedzieć, — zaręczał Daszyński, wśród powtarzających się oklasków, wśród tryumfalnych okrzyków zgromadzonych — że mimo niesłychanych trudności, idziemy wciąż naprzód; sieć organizacyi naszej rozszerzyliśmy na cały kraj, w pierwszym rzędzie

na obie stolice i na szereg miast prowincyonalnych... W Krakowie, Lwowie, Nowym Sączu, Stanisławowie i Przemyślu mamy silne punkty oparcia, i z pewnością zyskamy dalsze, coraz nowe pozycye... Uchwałą kongresu z r. 1892 postanowiono, że tam, gdzie granice obszarów narodowościowych nie zgadzają się z granicami administracyjnemi, należy wyłącznie trzymać się obszarów narodowościowych. W ten sposób mogliśmy z Krakowa prowadzić doskonale zorganizowaną agitacyę na Szląsku od Białej aż do Cieszyna wśród ludności robotniczej. W ciągu roku 1893 powstał tam cały szereg stowarzyszeń robotniczych, które się dobrze rozwijają...“

W ostatnich ustępach swej mowy, Daszyński rzucił wprost groźbę rewolucyi ludowej, zapowiedział bez ogródki nową rzeź, „o którą roztrzaska się nawa szlacheckiej potęgi“. „Historya Galicyi — mówił dosłownie — powinnaby ślepych i głuchych pouczyć, że są granice cierpliwości ludowej... Wypadki w rolniczej Sycylii niech będą wielką przestrogą dla tych, którzy sprawę swoją budują na nieludzkiej cierpliwości naszego chłopa. Galicya może się stać polską Sycylią... Dłoń ludowa w rozpacz uzbrojona może się prędzej podnieść do ciosu, niżby to ślepi politycy przepowiedzieć zdołali, a po tem, com wam dzisiaj z dziejów ruchu robotniczego w Galicyi opowiedział, zrozumiecie, że nie będziemy się czuli powołanymi do powstrzymania tej ludowej dłoni“...

To przynajmniej jasne i wyraźne słowa; jasny, nietylko socyalny, lecz wprost anarchistyczny program. — W galicyjskich gazetach i na galicyjskich zebraniach uważają nieraz jeszcze nasi socyaliści za odpowiednie ukrywać się za pewnemi, dwuznacznemi frazesami; w Wiedniu, w dobranem kole oświeconych towarzyszów, zrzucili do reszty maskę „burżuazyjnej“ przyzwoitości i wyznawali bez wstydu, bez krępujących obsłonek, jak i do czego dążą. Niechże się tylko z udaną naiwnością nie dziwią, że społeczeństwo przeciw nim się broni; bronić się musi tem energiczniej, im lepiej ich pozna!

J. B.

Druk ukończony 28 kwietnia 1894 r.

MIESIĄC W SZWAJCARYI.

Biorąc pióro do ręki, ażeby spisać wrażenia jednomiesięcznego pobytu w kraju, który jest ulubionem *rendez-vous* turystów całego świata, nie mam zamiaru powtarzania tego, co już tyle razy opowiadano o piękności gór szwajcarskich, o uroczych położeniach jego okolic, o przezroczystości wód Lemanu lub jeziora Czterech Kantonów, o niebotycznej wysokości Mont-Blanc, lub Wielkiego św. Bernarda. Wszystko to dzisiaj jest tak powszechnie znanem, że wątpić należy, ażeby można o tych rzeczach coś nowego, coś interesującego powiedzieć. Jeżeli postanowiłem te kilka słów skreślić, to odnosić się one będą do zupełnie innego rodzaju wrażeń, zawierać będą krótkie spostrzeżenia o rzeczach innych, mało u nas znanych, a które, wskutek zupełnie specyalnych okoliczności, miałem sposobność bliżej poznać. Dodać winienem, że dzielę się niemi z czytelnikiem, nie z własnej inicyatywy, lecz namówiony i ośmielony do tego przez jednego z szanownych członków redakcyi niniejszego pisma.

Ponieważ mój kilkotygodniowy pobyt w Szwajcaryi spowodowany był udziałem w misyi dyplomatycznej Stolicy św., do której miałem zaszczyt należeć, więc nie od rzeczy będzie, chociaż w pobieżnych tylko słowach, obznajomić czytelnika z organizacyą centralnej władzy dyplomacyi Stolicy świętej.

Wiadomo powszechnie, że naczelnym organem dla spraw dyplomatycznych wszystkich rządów jest ministeryum spraw zagranicznych, którego naczelnik jest przełożonym wszystkich posłów akredytowanych przy innych rządach i któremu powierzonem jest czuwanie nad stosunkami z innemi krajami. Naczelna władza Kościoła, czyli Stolica św., ma także taki organ czyli ministeryum, powołane do czuwania nad stosunkami z rządami rozmaitych krajów, i które stoi ponad misyami dyplomatycznemi przy niektórych z nich akredytowanemi. Pozornie zdawałoby się, że ten naczelny organ dyplomacyi Stolicy św. zupełnie podobnym powinien być do ministeryów spraw zagranicznych w rządach świeckich. W istocie rzeczy zupełnie tak samo nie jest: istnieją pomiędzy niemi wybitne charakterystyczne różnice, wynikające z odmienności przeznaczenia i z odmienności organizacyi, zachodzących pomiędzy naczelnym rządem Kościoła i poszczególnemi rządami świeckiemi. Podczas gdy te ostatnie przeznaczonemi są do wykonywania atrybucyj władzy i do starania się o dobro społeczeństw w granicach pewnego, ściśle oznaczonego terytoryum państwowego, poza którego granice sięgać im nie wolno — to z władzą Kościoła dzieje się przeciwnie: jej granice oznaczone są granicami świata, jego misya rozciąga się do całej ludzkości, krwią Chrystusową odkupionej, ona więc obejmuje całą kulę ziemską. Z tego wynika, że Kościół wszędzie jest u siebie, a dalej także i to, że naczelna jego władza, tj. Stolica św., spraw zagranicznych w ścisłem słowa znaczeniu, podobnie jak rządy świeckie, nie ma i mieć nie może, wreszcie, że stosunki i układy z rządami pojedyńczych państw odnośnie do spraw kościelnych są zupełnie odmiennemi od tych, które zawierają rządy państw pomiędzy sobą: te ostatnie dotyczyć mogą rzeczy, w których każdy rząd, każde państwo jest niezależnym, nieograniczonym władcą i posiadaczem, tamte odnoszą się do spraw, w których Kościół i najwyższa jego władza jest jedyną i najwyższą instancyą, bez względu na to, komu przysługuje prawo wykonywania atrybucyj władzy świeckiej w obrębie pewnego terytoryum. W dawnych czasach, tj. w epoce, w której rządy państw były ściśle chrześcijańskiemi, taki sposób pojmo-

wania rzeczy był właściwym nietylko Kościołowi, ale także i rządom samym, i z niego to wynikał, na nim się opierał ówczesny stosunek Kościoła do państwa, ówczesne prawo publiczne, którego główną charakterystyczną cechą była uznawana *de jure* przez państwo supremacya Kościoła. Jeżeli rządy świeckie *de facto* działały nieraz w sposób mało zgodny z zasadą i myślą przewodnią tego prawa publicznego, to zasada sama jako taka była szanowaną, i dlatego gdy rządy wdawały się w sprawy czysto kościelne, gdy wykonywały atrybucye władz duchownych, do nich z natury rzeczy nie należące, działo się to zwykle pod pozorem dawania pomocy Kościołowi, nibyto w charakterze t. zw. *brachium saeculare*.

Oczywiście, że ten prawny stosunek Kościoła, a stąd i papiestwa do rządów pojedyńczych państw nie mógł pozostać bez wpływu na organizacyę organów najwyższej władzy kościelnej, tj. Stolicy św.; organa te, tj. kongregacye rzymskie załatwiały, każda w swoim zakresie, sprawy dotyczące dobra Kościoła i zbawienia dusz w pojedyńczych krajach, a odnośnie do samych panujących i do rządów, to wyrazem stosunku Stolicy św. do nich były różnorodne łaski i przywileje udzielane im przez Głowę Kościoła. Dalej Stolica św. wysyłała także swoich legatów, z juryzdykcyą bardzo obszerną odnośnie do spraw ściśle kościelnych w pojedyńczych krajach; oni to bywali także ich rzecznikami na dworach monarchów, z którymi zachodziły różnice zdań co do mniej zasadniczych rzeczy, gdyż, jak już powiedziano, zasady samej supremacyi Kościoła nad państwem nikt w wątpliwość nie podawał.

Tak było w krajach mających regularne rządy i chrześcijańskich prawowiernych władców. Ale dużo było takich, które znajdowały się w odmiennem położeniu, dużo było żyjących w ciemnościach pogaństwa, albo u których światło chrystyanizmu słabo tylko świeciło, tak, że ich prawo publiczne i ich naczelne organa władzy na podstawach chrześcijańskich nie mogły być zbudowane. Kościół, jako dobra matka, pomna swojego najważniejszego zadania, którem jest prowadzenie wszystkich dusz

do portu zbawienia wiecznego, nie mógł zapomnieć i tych plemion zaludniających po największej części kraje dalekie, zamorskie: czuwanie nad niemi, ułatwianie im dojścia do wiary i do prawdy powierzył więc kongregacyi t. zw. *de propaganda fide*. Kongregacya ta, której najważniejszem zadaniem jest kierownictwo misyj w całym świecie, zyskała na znaczeniu i rozszerzyła swój zakres działania po t. zw. reformacyi XVI. wieku; gdy bowiem herezya i odszczepieństwo zapanowały w niektórych krajach Europy i gdy na czele buntu przeciw Kościołowi stanęło wielu władców, Stolica św. zerwała z nimi regularne stosunki, a kraje te zostały uznane za misyjne, tj. podległe propagandzie. Do nich należy cała Wielka Brytania, Holandya, Dania, Szwecya, Norwegia i wiele krajów północno-niemieckich.

Gdy po wielkim przewrocie religijnym i po apostazyi kościelnej, nastąpiła, wskutek rewolucyi francuskiej, także i apostazya polityczna prawie wszystkich państw, musiała zajść zarazem bardzo znaczna zmiana w urządzeniu niektórych organów jej administracyi. Zmiana ta wynikała z potrzeby uregulowania stosunków z rządami tak, ażeby, chociaż nie uznając formalnie zasad, na których one odtąd zaczęły się opierać, to przecież ze względu na dobro duchowe ludności, było możliwem Stolicy św. nie zrywać z niemi zupełnie, lecz i owszem starać się utrzymywać swój wpływ przez stwarzanie różnorodnych *modus vivendi*, odpowiednich różnorodnym nowym sytuacyom, które się wytworzyły.

Dla tych nowych spraw, z powodu tych nowych sytuacyj, którym Kościół, jako niezgodnym z rzeczywistemi zasadami Kościoła i z jego prawem do bezwzględnej wyższości i bezwzględnego pierwszeństwa nad wszelkiemi rządami świeckiemi, dotychczas zawsze tylko prowizoryczny, przejściowy charakter przyznaje, powstała kongregacya nowa, dawniej nieznana: *degli affari ecclesiastici straordinarii*, czyli po polsku: spraw kościelnych nadzwyczajnych. Ona to jest w dzisiejszych czasach głównym urzędem dyplomatycznym Stolicy św., — jest więc czemś nakształt ministeryum spraw zagranicznych w rządach świeckich. Kongregacya ta jest rzeczywiście polityczną, albowiem myślą prze-

wodnią przy załatwianiu spraw jej przydzielonych jest przedewszystkiem to, ażeby z każdej sytuacyi wyjść w sposób, o ile możności najmniej niezgodny ze ścisłemi zasadami Kościoła, a przecież najmniej szkodliwy dla jego istotnego dobra, a więc w sposób zgodny ze znanem hasłem polityki: *La politique c'est l'art des choses possibles.*

W biurach, czyli w sekretaryacie tej kongregacyi pracuje pewien dosyć liczny zastęp urzędników, mających charakter stały, albo prowizoryczny. Ci ostatni, jako przeznaczeni do właściwej służby dyplomatycznej w nuncyaturach, spędzają zwykle w biurach kongregacyi czas stosunkowo krótki dla obznajomienia się z tokiem spraw i nabycia poglądu na szerokie Kościoła stosunki. Szkoła to rzeczywiście bardzo dobra dla wykształcenia zwłaszcza młodszych duchownych, przeznaczonych do reprezentowania Stolicy św. wobec innych rządów i do traktowania interesów nieraz bardzo delikatnych i zawiłych.

I zdawałoby się, że w zastępie tych ludzi, którzy się poświęcili dyplomatycznej służbie Stolicy św., która przecież jest instytucyą najbardziej wszechświatową, najwięcej kosmopolityczną, znajdować się powinno dużo ludzi należących do rozmaitych szczepów, do rozmaitych narodowości, i że nawet słuszną i dobrą rzeczą byłoby dla interesów Kościoła powszechnego, ażeby tych elementów, pod względem narodowym różnorodnych, było jak najwięcej. Tymczasem tak nie jest: dzieje się wprost przeciwnie. Dyplomacya rzymska, jako przeznaczona nietylko dla spraw wyłącznie kościelnych, ale także i dla interesów państwa kościelnego, a więc państwa włoskiego, z dawien dawna tj. od wieków posługiwała się zwykle i z reguły samymi tylko synami włoskiej ziemi, tak, iż innoplemieńcy, jeżeli tu i ówdzie znajdujemy ich imiona w jej annałach, bywali nader tylko rzadkiemi wyjątkami, — wyjątkami, których dzieje Stolicy św. i roczniki nuncyatur zaledwie tylko kilka wykazać zdołają. Piszący, jakkolwiek krótki stosunkowo czas, bo przez przeciąg tylko sześciu lat był w tym zawodzie czynnym, zaliczyć siebie musi do tych wyjątków. Nie może też nie przypomnieć przy tej sposobności, że ostatni nie-Włoch, który bezpośrednio go poprzedził,

był także synem polskiej ziemi, — był to nieśmiertelnej pamięci kardynał Włodzimierz Czacki, którego cieniom składając na tem miejscu powinny hołd, dodać winien, że jego to wpływom i staraniom przedewszystkiem zawdzięcza, że i on miał zaszczyt stanąć w tym nielicznym szeregu.

Niezadługo, bo zaledwie w cztery miesiące po mojem wstąpieniu do wzmiankowanego sekretaryatu kongregacyi *degli affari ecclesiastici straordinarii*, tj. w lutym r. 1888, miały się rozpocząć układy dyplomatyczne z rządem rzeczypospolitej szwajcarskiej, dla których miał być wysłanym umyślny delegat Stolicy św. do Berna. Wypada coś powiedzieć, czego miały dotyczyć te układy, a następnie dlaczego mnie spotkał honor brania udziału w misyi przeznaczonej do ich zawierania.

Kto należy do pokolenia ludzi dzisiaj już starszych i wie co się dzieje od lat kilkunastu w dziedzinie spraw publicznych, ten wie także, jakie koleje przechodził, przed laty kilkunastu, Kościół w ojczyźnie Wilhelma Tella, w tym kraju w o l n o ś c i i r ó w n o ś c i republikańskiej; pamięta, jak smutnemu losowi uległo dwóch znakomitych biskupów, Lachat i Mermillod. Pierwszy, z powodu wielkich nieporozumień z rządem, wywołanych przez uchwalenie ustaw antykościelnych, musiał ustąpić ze swojego stanowiska biskupa bazylejskiego, — drugi został nawet wydalonym z terytoryum związkowego; ażeby tej ekspulsyi zupełnie przeciwnej prawu krajowemu, niedozwalającemu na wydalanie żadnego Szwajcara, dać pozór legalny, zostało ono umotywowanem jego godnością wikaryusza apostolskiego, który, jako bezpośrednio zależny od Papieża, miał niby charakter funkcyonaryusza zagranicznego! I to wszystko się działo dlatego tylko, że republikańskiej cnocie chciało się być *à la mode*, chciało się naśladować potężnego sąsiada niemieckiego, który uwiedziony fanatyczną nieprzyjaźnią do Kościoła, wydał mu zaciętą walkę, walkę zakończoną wydaniem na świat owego poronionego płodu, który znany jest dzisiaj pod szumną, ale zarazem i smutną nazwą s t a r o k a t o l i c y z m u.

Ponieważ moda bywa zwykle grymaśną i krótkotrwałą,

dlatego niedługotrwałą była także i era *kulturkampfów*. W ślad za żelaznym kanclerzem wstąpiły na drogę ustępstw także i inne rządy, a i mała Szwajcarya zrozumiała, że kiedy Niemcy przestały się dąsać na Kościół, to jej tem mniej wypada i przystoi trwać w nieprzyjaźni, jej tem mniej uchodzi licznych swoich katolickich obywateli niepokoić i prześladować. Zdecydowała się więc na zrobienie ustępstw i na częściowe przynajmniej naprawienie krzywd wyrządzonych tak wiernym jak i duchownym, a przedewszystkiem biskupom. Ażeby doprowadzić do pewnego *modus vivendi*, jeździł kilka razy wysłannik Stolicy św. do Berna, i usiłowania te nie pozostały bez skutku, skutku tem trudniejszego do osiągnięcia, że Szwajcarya podzieloną jest, jak wiadomo, na kantony, niezależne w bardzo wielu rzeczach od rządu centralnego, czyli związkowego. Autonomia ich idzie bardzo daleko i dotyczy prawie wszystkich spraw nieodnoszących się bezpośrednio do bezpieczeństwa całego kraju i do politycznego jego stanowiska wobec zagranicy. Sprawy wyznaniowe należą, wedle zasad konstytucyi, do kompetencyi władz kantonalnych: nie wszystkie jednak mogą tym ostatnim podlegać zupełnie i wyłącznie: przy niektórych, a zwłaszcza tych, które wymagają układów ze Stolicą św., potrzebnem jest porozumienie wzajemne kantonu z władzą centralną, porozumienie będące częstokroć powodem wielu nieporozumień, trudnych nieraz do usunięcia głównie z tego powodu, że rządy kantonalne przesiąknięte są nieraz duchem i zasadami odmiennemi od tych, które przeważają w naczelnym rządzie związkowym.

Do tego rodzaju spraw należała, od dawna wisząca, sprawa uregulowania położenia katolików i juryzdykcyi kościelnej w kantonie Ticino. Kanton ten najbardziej na południe wysunięty, a nawet klinem wchodzący w kraje włoskie, ma ludność wyłącznie katolicką, pod względem usposobienia, języka, narodowości, tradycyj historycznych odrębną od tych, które zamieszkują inne okolice pięknej Helwecyi. W dawnych wiekach juryzdykcyę kościelną w Ticino wykonywali włoscy biskupi; było ono częścią kościelnej prowincyi medyolańskiej. Święty Karol Boromeusz dopełniał w niej wizytę kanoniczną, która była nadzwyczajnie mo-

zolną i uciążliwą, tak z powodu braku odpowiednich środków komunikacyjnych w tych wówczas dzikich jeszcze okolicach, jak i z powodu agitacyi reformatorów. On to głównie swoją energią i gorliwością pasterską zdołał wstrzymać niszczące dzieło tych ostatnich i utrzymać w tej uroczej krainie czystość katolickiej wiary. Praca świętego biskupa nie pozostała bezowocną. Ze swojej wiekuistej chwały, którą Pan Bóg nagrodził jego heroiczne cnoty i poświęcenia, patrzy on dzisiaj prawdopodobnie z zadowolnieniem na swoje owieczki z ticińskiego kantonu: jest u nich wielkie przywiązanie do wiary, wielka prostota obyczajów, idąca w parze z wielkiem zamiłowaniem wolności.

Sprawy kościelne tego kantonu wywołały w ostatnich latach zatargi z centralną władzą związkową. Niepodobna tutaj wdawać się w opisywanie rozmaitych faz tej spornej sprawy, której pierwszy początek daleko, bo niemal początku tego wieku sięga. Wystarczy powiedzieć, że głównym powodem wszystkiego było, iż rządowi związkowemu zależało bardzo na tem, ażeby na terytoryum helweckiem żaden zagraniczny biskup nie wykonywał juryzdykcyi biskupiej, a więc także, ażeby Ticino nie podlegało żadnemu z prałatów włoskich prowincyi medyolańskiej. Stolica św., ażeby nie dać pozoru do niesnasek, weszła w układy z rządem związkowym. Ale długiego czasu potrzeba było zanim doszło do jakiego porozumienia. Gdy mons. Lachat musiał ustąpić z biskupstwa bazylejskiego, został mianowanym administratorem apostolskim Ticinu. Po jego śmierci inny prałat uzyskał to samo stanowisko; ten stan rzeczy jednak miał przez długi czas cechę zupełnie prowizoryczną, i dlatego z wielu względów był dla rozwoju życia kościelnego niekorzystny, a to tem więcej, że ludność kantonu nie była z niego zadowoloną i że wzbudzał on w niej głęboką niechęć do tych, którzy stali na czele rządu centralnego i w których upatrywała głównych sprawców niezupełnie jeszcze zakończonego *kulturkampfu*.

Rząd związkowy, mający w swojem łonie ludzi rozumnych i wytrawnych, zrozumiał bardzo dobrze, że trzeba usunąć te powody niezadowolenia, oddziaływające szkodliwie na stosunki polityczne całego kraju. Dlatego oznajmiono Stolicy św. chęć przy-

stąpienia do układów, mających koniec położyć anormalnym stosunkom. Stolica św. chętnie się zgodziła na ponowne wysłanie swojego reprezentanta do Berna. Delegowanym został do tego mons. Dominik Ferrata, obecnie nuncyusz apostolski w Paryżu, który w owym czasie był nuncyuszem w Belgii. Dobrze był on już wówczas znanym w Pałacu Federalnym, albowiem on to był, który jeździł poprzednio do Berna i zdołał usunąć trudności, wynikłe z zajść i wypadków lat ostatnich.

Praca delegowanego jakiegokolwiekbądź rządu przy konferencyach i układach dyplomatycznych z innym rządem jest zwyczajnie dosyć znaczną: wymaga dużo pisaniny i zajmuje dużo czasu, zwłaszcza jeżeli, jak to częstokroć bywa, podczas samych układów rodzą się nowe, różnorodne trudności. Dlatego sam jeden niełatwo mógłby podołać wszystkiemu: potrzebuje mieć co najmniej jednego a nieraz nawet i więcej towarzyszy i pomocników, którzy mu ułatwiają pracę. W misyi, o której mowa, taka pomoc była wysłannikowi Stolicy św. tem potrzebniejszą, że chodziło o rzeczy, co do których układy musiały się toczyć nietylko ze samym rządem związkowym; trzeba także było wysłuchać zdania głównie interesowanych, tj. mieszkańców Ticina, i zapewnić się, czy i o ile propozycye rządu centralnego odpowiadać będą ich stosunkom miejscowym i zdołają ich zadowolnić.

Dla tych wszystkich powodów mons. Ferrata potrzebował towarzysza, czyli sekretarza legacyi. Na mnie, jakkolwiek dopiero od czterech miesięcy byłem czynnym we wzmiankowanym sekretaryacie spraw kościelnych nadzwyczajnych, padł wybór. Wpłynęła na to może po części ta okoliczność, że znane mi są trzy języki, któremi władają mieszkańcy Szwajcaryi, tj. niemiecki, francuski i włoski, a prawdę mówiąc, dokładna znajomość obcych języków, u prałatów pracujących w biurach Stolicy św., nie jest zjawiskiem codziennem.

Dzień 27 lutego był wyznaczony na początek konferencyi. Układy dyplomatyczne pomiędzy rządami wymagają zwykle pewnego przygotowania w miejscu samem; przygotowanie to po-

lega głównie na poznaniu osobistości, do składu rządu należących, jak niemniej i tych rozmaitych elementów, które mogą nań wpływ wywierać — jednem słowem na wysondowaniu terenu co do szans i widoków dla przyszłego toku i wyniku układów. Dlatego przybyliśmy do Berna na kilka dni przed terminem powyżej oznaczonym.

W naszych dniach przebycie przestrzeni takiej, jak ta, która dzieli Rzym od Berna, nie przedstawia zwyczajnie większych trudności, i śmiesznemby się może wydawało, gdyby ktoś chciał opisywać wrażenia podobnej przejażdżki. W tym wypadku opis taki byłby tem trudniejszym, że, z powodu pory zimowej i wielkich śniegów, podróż nie przedstawiała nic uroczego: trwała ona wszystkiego jeden dzień i dwie noce. W miejscu przeznaczenia stanęliśmy o bardzo wczesnej godzinie porannej, w dzień piękny i mroźny.

Przybycie nadzwyczajnego poselstwa, w małem mieście stołecznem, jak Berno, jest zwykle faktem znaczącym, o którym dużo mówią w całem mieście, a osobliwie w salonach dyplomatów, a nikt więcej nie jest nim zajęty i nikomu więcej stąd roboty nie przybywa, jak współpracownikom miejscowych dzienników i reporterom prasy zamiejscowej i zagranicznej. Nasz pobyt w siedzibie rządu federalnego tem większe robił wrażenie, że to była pora zimowa, w której zwykle nikt obcy tamże nie przybywa.

Zaciekawienie, wywołane naszemi osobistościami i celem naszej misyi, objawiło się zaraz po naszem przybyciu do hotelu „du Jura“, gdzieśmy zajęli dosyć obszerny i wygodny apartament. Współpracownicy dzienników zaczęli nas pilnować i śledzić nasze ruchy z nadzwyczajną skrupulatnością, a podobno jeden z nich, ażeby tem dokładniej i szczegółowiej dowiadywać się o tem co nas dotyczyło, nie wychodził prawie z lokalu restauracyjnego, znajdującego się na dole. Niektórzy z tych panów starali się nawet dotrzeć do nas samych i wzdychali do t. zw. *interwiewów,* od których jednak zdołaliśmy się dosyć szczęśliwie obronić. Owocem tego pilnego obserwowania naszych osób i naszych ruchów były różnorodne artykuły i korespondencye w dziennikach, pełne komentarzy, o mających się rozpocząć, a następnie

o będących w toku układach. Komentarze te były najróżnorodniejsze, i wtajemniczonym we wszystkie szczegóły sprawy wydawać się mogły bardzo oryginalnemi, ale wiadomościom samym, jako takim, nie można było robić bardzo wielkich zarzutów: bywały one zwykle dosyć trafne i, jeżeli nie zawierały może całej i zupełnej prawdy, to były od niej niedalekie, szły z nią mniej więcej równolegle, a zboczenia, które się przytrafiały, bywały zwykle nieznaczne. Jeżeli co razić mogło, to przebijająca w ocenianiu samej sprawy, nieznajomość spraw kościelnych, nieznajomość niestety w naszych czasach bardzo rozpowszechniona, a z której wynikały, odnośnie do układów samych, bardzo dziwaczne kombinacye.

Wypada także wspomnieć o wrażeniach odniesionych z wizyt u członków ciała dyplomatycznego, akredytowanych przy rządzie federalnym, których odwiedziliśmy zaraz po naszym przyjeździe.

Świat, czyli towarzystwo dyplomatyczne ma swój odrębny, właściwy charakter, którego główną cechą jest nadzwyczajna wykwintność form towarzyskich i przestrzeganie ich bardzo sumienne i szczegółowe, a nadto wymaganie, ażeby je inni zachowywali. Niezachowanie jednej z reguł etykiety światowej uważanem bywa za obrazę, obrazę wyrządzoną może nietyle osobie posła, jak raczej jego godności i stanowisku, a stąd i pośrednio samemu rządowi, który on przedstawia. I prawdę mówiąc, ta skrupulatność w przestrzeganiu prawideł kodeksu życia towarzyskiego jest czemś bardzo przyjemnem, bardzo ułatwiającem stosunki światowe. Jest ona tem potrzebniejszą pomiędzy ludźmi należącymi do różnorodnych narodowości, którzy, jako reprezentanci rozmaitych rządów, przedstawiają rozmaite interesa i rozmaite dążności.

Pomiędzy dyplomatami akredytowanymi przy jednym i tym samym rządzie istnieją zwykle dobre, przyjacielskie stosunki, istnieje pewna koleżeńska zażyłość, nawet wtenczas, gdy stosunki rządów, które reprezentują, i narodowości, do których należą, nie są bardzo dobre i bardzo serdeczne. Każdy zdaje się pamiętać o tem, że misya dyplomacyi jest ściśle pokojową,

że tam, gdzie istnieją przeciwieństwa, dyplomatów zadaniem jest je łagodzić, dalej, że w stosunku do rządu, przy którym są akredytowanymi, wszyscy mają zwykle pewne wspólne interesa, co do których tem większe korzyści dadzą się osiągnąć, im więcej będzie się działało w porozumieniu i łącznie z innymi; nadto, że zadaniem dyplomacyi jest także wszystko obserwować, wiedzieć o wszystkiem co się dzieje i powiadamiać własny rząd o tem, co słychać w świecie, o tem na co się zanosi w kraju, w którym się jest, a nawet i gdzieindziej. Przyjacielskie stosunki z kolegami to wszystko ułatwiają; bez nich byłoby prawie niepodobnem wywiązać się dobrze ze swojego zadania. Dlatego w świecie dyplomatycznym życie towarzyskie kwitnie, i więcej się nieraz robi na obiadach i towarzyskich zebraniach, aniżeli w oficyalnych godzinach biurowych.

Reprezentanci dyplomatyczni Stolicy św. nie mogą usuwać się od brania udziału w życiu towarzyskiem, w którem, wskutek swojego stanowiska, zajmować im wypada przynależne sobie, zwykle pierwsze miejsce. Ale ponieważ natura rządu, który przedstawiają, ponieważ ich charakter duchowny są odmienne od natury innych rządów i od charakteru ludzi świeckich, reprezentujących rządy świeckie, dlatego także ich stanowisko w świecie i ich stosunek do kolegów świeckich muszą być nieco odmienne. Rozumie się, że chodzić im powinno przedewszystkiem o przestrzeganie godności, tak stanu duchownego, jak i Stolicy św., i o polepszanie położenia Kościoła wogóle, jak i poszczególnych jego interesów w odnośnym kraju. Działanie w tym kierunku jest ułatwionem do pewnego stopnia przez to, że w dyplomatycznych kołach ma się do czynienia z ludźmi, jakkolwiek bardzo różnych wyobrażeń, to przecież, jak już powiedziano, gładkimi, o wychowaniu światowem i wykwintnem. Nie przestaje ono jednak być trudnem, i jest nawet trudniejszem, aniżeli zadanie dyplomatów świeckich, z powodu różnorodnych innych przyczyn, z powodu różnorodnych faktów społecznych i politycznych, o których wypada coś powiedzieć, chociaż tylko pobieżnie.

Za dawnych czasów, gdy stosunek Kościoła do państwa, stosunek społeczeństwa świeckiego do duchownego był inny

aniżeli dzisiaj, gdy prawo świeckie uznawało zwierzchnictwo prawa kościelnego, gdy państwo uznawało zasadę, która je podporządkowywała powadze Kościoła, wtenczas Kościół był czynnikiem niejako oficyalnym w stosunkach rządowych i dlatego mężowie stanu i dyplomaci, wychowani w tych dawnych tradycyach, rozumieli dobrze, jakie jest właściwe zadanie urzędowych Kościoła reprezentantów, tj. wysłanników Stolicy św., jak i biskupów i kapłanów wogóle w stosunku do rządów świeckich. Być może, że ten dawny stan rzeczy, to niejako przymusowe wypełnianie przepisów kościelnych i obowiązków religijnych, być może, że w ostatnich czasach nie wychodziło ono już na korzyść wiary samej i że niejeden, wypełniając praktyki kościelne, robił to więcej dlatego, że prawo tak przepisywało, aniżeli z przekonania, i że od kiedy istnieje wolność zupełna, ci którzy idą za wołą Kościoła, mają więcej ducha, więcej wiary, a nawet, że w epoce najnowszej, potężny zwrot religijny, który się objawia wszędzie, wynika z tego, że smutne doświadczenie nauczyło i naucza ciągle, iż bez wiary i bez wychowania chrześcijańskiego dobrze się dziać nie może. Ale to przekonanie, rozpowszechniające się coraz więcej, nie przeniknęło może jeszcze bardzo głęboko umysłów mężów stanu i dyplomatów wogóle, nie przeniknęło dlatego przedewszystkiem, iż wychowanie wyższe, a zwłaszcza uniwersyteckie studya, a dalej duch wielu postanowień i przepisów prawnych oddalone są od ducha Kościoła, — stąd więc już od lat młodych zakorzeniła się w pojęciach ludzi, którzy głównie te rzeczy studyowali, pewna obojętność, może lekceważenie dla wszystkiego co od Kościoła pochodzi, a zwłaszcza dla kleru. W latach późniejszych przyzwyczajenia światowe, które przyczyniają się do osłabienia tęgości charakteru i wywołują pewien rodzaj miękkości usposobienia, rodzą także pewien wstręt do wszystkiego, co jakiekolwiek więzy i obowiązki nakłada, a wskutek tego także i do wielu rzeczy przez Kościół nakazanych lub zakazanych. Gdy się jeszcze zważy, że pośród akredytowanych w każdej stolicy dyplomatów, znajdują się innowiercy, a pomiędzy katolikami zdarzają się i tacy, którzy żyją w małżeństwach, pod względem

wyznania mieszanych, lub takich, których legalność ze ścisłem prawem kościelnem nie zdaje się być bardzo zgodną — łatwo się zrozumie, że kto nosi suknię duchowną, nadto kto przedstawia Stolicę św., musi mieć dużo taktu, dużo zręczności i oględności, ażeby przejść wśród tych wszystkich szkopułów bez szkody dla godności swojego stanowiska i dla sprawy, której ma służyć. I niech mi wolno będzie nawiasowo tutaj wspomnieć, że nietylko w świecie dyplomatycznym, ale i gdzieindziej, wszędzie w stosunkach towarzyskich kleru ze światem istnieją mniej więcej te same trudności. W wielu miastach, w wielu okolicach, nietylko u nas, ale i gdzieindziej, nastąpił wielki przedział między suknią duchowną a świecką, powodem zaś najważniejszym tego zjawiska jest niezawodnie to, iż pomiędzy duchownymi czuć się daje bardzo dotkliwie mniej więcej wszędzie wielki brak elementów obdarzonych przymiotami w życiu towarzyskiem koniecznemi, brak ludzi o wykwintnych formach światowych, co więcej takich, którzyby mieli rodzaj wykształcenia odpowiedni do wywierania rzeczywiście dobrego wpływu na zmodyfikowanie wyobrażeń, co więcej do zjednywania sprawie Kościoła gorliwych zwolenników. A szkoda stąd wynika znaczna dla rozwoju ducha chrześcijańskiego i dla prawdziwie zdrowego i zbawiennego postępu! Ale zastanawiać się dłużej nad tem i nad środkami, mogącemi temu złemu zaradzić, nie należy w tej chwili do nas: wypada raczej wrócić do tego o czem już wzmiankowaliśmy, tj. do naszych odwiedzin u przedstawicieli obcych rządów w stolicy Szwajcaryi i do stosunków z nimi.

Że przyjęcie, któregośmy wszędzie doznawali, było grzecznem, że z kodeksem form i przepisów towarzyskich doskonale się zgadzało, o tem mówić nie potrzeba, bo to się ma rozumieć samo przez się. Dodać tylko należy, że niemal wszyscy zainteresowani byli celem naszej misyi i że prawie każda wizyta schodziła głównie na omawianiu sprawy samej i możliwego jej załatwienia. Kto nie zna tradycyj i zwyczajów dyplomacyi, temu się dziwnem może wyda, iż sprawa dotycząca wyłącznie układów między dwoma rządami, może być przedmiotem konwersacyi towarzyskiej między reprezentantami jednego z nich, a przed-

stawicielami innych, zupełnie jej obcych. Kto jednak się obracał w tych sferach, ten się tem nie zadziwi, albowiem wie, że to jest zwyczaj dyplomatyczny, i że bardzo często wpływy, a nawet może i pośrednictwo jednego z posłów zagranicznych bardzo silnie oddziaływać mogą na załatwienie rzeczy. Jest nawet dowodem wielkiej zręczności dyplomatycznej, jeżeli poseł zdoła sobie wyrobić stanowisko takie, iż nawet w sprawach dla niego obcych, głos jego ma rzeczywiste znaczenie i jest słuchany: do tego znaczenia i wpływu przyczynia się bardzo często znaczenie i potęga państwa, które reprezentuje. Nie potrzeba, zdaje się, dodawać, że dyplomata, starający się w rozmowie z kolegami o wysondowanie terenu i poznanie możliwych szans powodzenia dla swojej misyi, winien mieć dużo taktu i dyskrecyi, ażeby nie zdemaskował właściwych swoich zamiarów i nie zdradził instrukcyj otrzymanych od własnych przełożonych.

Czy i o ile wpływy obcych reprezentantów były nam pomocnemi w układach dla których przybyliśmy, nie byłoby właściwem wyjawiać. Wypada teraz wspomnieć o składzie samego ciała dyplomatycznego, rezydującego w stolicy Helwecyi.

Kraj ten, jakkolwiek terytoryalnie mały, że jednak z powodu swoich olbrzymich gór jest niejako naturalnie ufortyfikowany, że nadto graniczy bezpośrednio z czterema pierwszorzędnemi mocarstwami kontynentu, ma więc stanowisko pod względem geograficznym i politycznym ważne. Ponieważ nadto, wskutek bardzo liberalnej swojej konstytucyi, jest on schroniskiem różnego rodzaju ludzi, a nawet może i czasem gniazdem tajnych knowań i spisków dla porządku świata bardzo niebezpiecznych, łatwo się da pojąć i zrozumieć, dlaczego innym rządom zależy na tem, ażeby mieć w nim swoich przedstawicieli, których głównem zadaniem jest obserwowanie wszystkiego, co się tam dzieje.

Wiadomo, że stosunki dyplomatyczne państw do siebie opierają się z reguły na zasadzie t. zw. wzajemności, tj. że rządy mają zwykle posłów tylko przy tych rządach, które także uwierzytelniają swoich przedstawicieli przy nich, i że ci reprezentanci winni być równego stopnia. U małych państewek, nie odgrywa-

jących wielkiej roli politycznej i które więcej biernie i neutralnie się zachowują, istnieje częstokroć pewnego rodzaju ambicya, może słabostka, ażeby przypominać się światu przez swoich reprezentantów dyplomatycznych, zajmujących miejsce obok reprezentantów największych i najpotężniejszych mocarstw. Rząd szwajcarski jest pod tym względem o wiele praktyczniejszy: o blichtr, o stawianie się na równi z wielkimi i potężnymi sąsiadami mu nie chodzi — najwięcej dba o to tylko, ażeby ze skarbu publicznego, na który się składają obywatele pięknego, ale niebogatego kraju, wychodziło jak najmniej pieniędzy na rzeczy nieproduktywne, i dlatego wszystko co dotyczy administracyi publicznych spraw nosi charakter wielkiej oszczędności. I stąd pochodzi, że nie we wszystkich krajach, utrzymujących posłów przy rządzie federalnym, rezydują szwajcarscy posłowie; znajdujemy ich tylko w stolicach czterech wielkich państw pogranicznych, z któremi istnieją, z natury rzeczy wynikające liczne stosunki. W innych państwach europejskich, z wyjątkiem Anglii, gdzie jest szwajcarski *chargé d'affaires*, załatwiają sprawy międzynarodowe odnośni konsulowie, ustanowieni głównie dla rzeczy handlowych. Nawet Belgia, którą łączą z rzecząpospolitą szwajcarską liczne stosunki polityczne, wynikające z tego, iż obadwa kraje mają terytorya mniej więcej równe co do wielkości, że obadwa graniczą z dwóch stron z temi samemi wielkiemi mocarstwami, wobec których starają się zachowywać zwykle mniej więcej tę samą politykę — nawet i ona nie liczy pomiędzy posłami u siebie akredytowanymi, reprezentanta rządu federalnego, chociaż poseł belgijski rezyduje w Bernie. Wogóle powiedzieć można, że Szwajcarya pod względem reprezentacyi dyplomatycznej jest popsutem dzieckiem Europy: w zamian za jej obojętność na stosunki z innemi rządami, ona jej się wywdzięcza pewnym rodzajem współubiegania się w utrzymywaniu z nią stosunków. Francya wyprzedza inne rządy do tego stopnia, że, jakkolwiek poseł szwajcarski w Paryżu ma tylko stopień zwyczajnego ministra pełnomocnego, to poseł francuski w Bernie ma rangę ambasadora: osobliwa ta kurtuazya względem małego neutralnego państewka jest, jak mi mówiono, dowodem wdzięcz-

ności okazywanej przez republikę francuską za usługi, które jej wyświadczyła Szwajcarya przy rozmaitych sposobnościach. Rzecz prosta, że przedstawiciel Francyi, wskutek swojej wyższej rangi, jest tem samem pierwszym z dyplomatów, czyli dziekanem ciała dyplomatycznego w Bernie rezydującego.

Lepiej od europejskich rządów traktuje Szwajcarya swoje koleżanki, republiki zamorskie. Jakkolwiek prawdopodobnie nie ma więcej stosunków rzeczywistych ze Stanami Zjednoczonemi Ameryki północnej, aniżeli z państwami Europy, zapewne jednak nie dla czego innego, jak tylko dla okazania szczególniejszej sympatyi temu rządowi republikańskiemu *par excellence,* utrzymuje swojego posła w Waszyngtonie. Dla jakichś innych (może nie bardzo ważnych powodów) znajduje się jej przedstawiciel w Buenos-Ayres, stolicy rzeczypospolitej argentyńskiej.

Dyplomaci w Bernie rezydujący, są to po największej części, albo ludzie, którzy już mają za sobą dosyć długą karyerę, a z rozmaitych powodów nie zdołali dojść do wysokich stanowisk, albo młodzi nie mający jeszcze wiele lat służby, dla których to stanowisko jest tylko przejściowem, poprzedza dojście do pierwszorzędnych posad.

Pobyt wśród gór szwajcarskich tak uroczy w lecie, nie jest ponętnym podczas długich zimowych miesięcy; zwłaszcza też młodzi ludzie, przydzieleni do poselstw, żony i córki posłów zwykle nie bardzo sobie chwalą mieszkanie w Bernie i berneńskie towarzyskie stosunki. Te ostatnie nie są w istocie bardzo świetnemi, albowiem wśród miejscowego towarzystwa mało jest domów zamożnych, zwłaszcza takich, któreby się poczuwały do obowiązku przyjmowania u siebie. Stary patrycyat, czyli najzamożniejsze rodziny mieszczańskie zajmują stanowisko to samo co gdzieindziej t. zw. arystokracya: za dawnych czasów w ich to rękach spoczywał rząd kraju; dzisiaj wskutek nowej konstytucyi demokratycznej wszystkie warstwy ludności biorą udział w rządzie, ale sfery arystokratyczne, pomimo zasady równości, którą przesiąknięta jest konstytucya, faktycznie nie dochodzą do żadnego w nim udziału — stąd między niemi, a tymi, którzy zajmują wybitne stanowiska w pałacu federalnym, istnieje

głęboki przedział, zupełny brak zażyłości towarzyskiej. Łatwo pojąć, że to nie przyczynia się do ożywienia towarzyskich stosunków małej stolicy, tem więcej, że sami członkowie rządu nie mogą nadać mu cechy wielkomiejskiej i wielkoświatowej, gdyż ani majątkiem, ani położeniem socyalnem nie zajmują stanowisk, dających im możność znaczenia w wyższym świecie. Oficyalne uczty, które rada federalna, jako najwyższy organ rządu, daje od czasu do czasu, ograniczają się do obiadów, dawanych w hotelu. Zwykle w ten sposób żegna się jakiego obcego dyplomatę, który przez dłuższy czas był uwierzytelnionym przy rządzie związkowym, lub oddaje się cześć jakiej koronowanej głowie, przebywającej chwilowo w kraju, albo też obchodzi się jakie pomyślne i znaczące polityczne zdarzenie. Konwencya, która, wskutek naszego pobytu, zawartą została ze Stolicą św., do rzędu tych zdarzeń należała, i po jej podpisaniu żegnano nas obiadem w hotelu „Bernerhof".

I te przyjęcia, tak jak wszystko inne, noszą na sobie charakter wielkiej prostoty: nie świecą w nich żadne w dyplomatycznych kołach tak zwyczajne odznaki orderowe, albowiem członkowie rządu, wierni postanowieniom konstytucyi swojej ojczyzny, nie przyjmują żadnych tego rodzaju wyszczególnień, które u nich także nie istnieją dla akredytowanych w Szwajcaryi zagranicznych reprezentantów.

Przystępując teraz do tego co było właściwym celem pobytu naszego w Bernie, tj. do układów dotyczących ostatecznego uregulowania stosunków kościelnych i juryzdykcyi biskupiej w Ticino, nie będę mógł oczywiście zbyt długo nad niemi się rozpisywać, gdyż i przedmiot sam nie dla wszystkich byłby może bardzo zajmującym, i inne względy, których tłumaczyć chyba nie potrzeba, nie pozwalają zanadto wiele szczegółów podawać.

Delegowanymi ze strony rządu szwajcarskiego do prowadzenia układów byli dwaj członkowie rady federalnej, pp. Droz i Ruchonnet. Pierwszy z nich był w owym czasie szefem departamentu spraw zagranicznych, drugi — departamentu sprawiedliwości, obydwaj protestanci i wyszli ze stronnictwa radykalnego.

Być może, że właśnie te okoliczności były powodem, dla którego rada federalna ich upoważniła do traktowania sprawy czysto kościelnej, gdyż tym sposobem zniknąć musiały podejrzenia o stronniczość i zanadto wielką względność dla katolickich interesów.

Wzmiankowani panowie odznaczali się obydwaj [1] nietylko wielkiemi zdolnościami, które ich wysunęły na tak wysokie stanowiska polityczne, ale nadto, pomimo swoich zasad radykalnych, okazywali dużo dobrej woli, ażeby załatwić sprawę w sposób mogący koniec położyć zatargom, i starali się, o ile to od nich zależało, działać w duchu najwięcej pojednawczym. Dlatego konferencye z nimi, które codziennie, czasem co kilka dni się odbywały, należały do chwil bardzo przyjemnych i najwięcej interesujących w czasie tego pobytu mego w stolicy Szwajcaryi.

Ponieważ chodziło głównie o to, ażeby administracya duchowna w Ticino była zupełnie prawidłową i raz na zawsze uregulowaną, należało więc, albo stworzyć dla niej nową dyecezyę, albo też przyłączyć ją do jednej z już istniejących. Ta ostatnia kombinacya najwięcej może odpowiadała widokom rządu, który z jednej strony nie życzył sobie powiększania liczby dyecezyj w obrębie terytoryum związkowego, a z drugiej pragnął, ażeby mieszkańcy tego włoskiego, może nieco separatystycznego kantonu ściślej połączeni byli z resztą ludności, zamieszkującej wspólną ojczyznę. Dlatego myślano początkowo o stworzeniu dla Ticina wikaryatu jeneralnego, zależnego od jednego z biskupów dyecezalnych.

Wedle zasad i zwyczajów kanonicznych wikaryusze jeneralni są zwykle delegatami i zastępcami biskupów na cały obszar dyecezyi: zdarzają się wypadki rzadkie i wyjątkowe, iż wikaryuszowi jeneralnemu powierzoną bywa juryzdykcya duchowna tylko nad pewną ściśle oznaczoną częścią dyecezyi, i że rezyduje on nie w jej stolicy, ale w jednej z miejscowości obszaru, pod względem kościelnym sobie podległego. Taka odrębność administracyi jednej części dyecezyi od innych, ponieważ może

[1] Ruchonnet umarł w roku ubiegłym.

być powodem jakiegoś rozluźnienia się węzłów, łączących właściwego tj. dyecezalnego pasterza z owieczkami, ponieważ nadto może się przyczynić do osłabienia wpływu, który tenże wywierać winien na całość dyecezyi — przez Kościół nie jest dobrze widziana i stąd w rzadkich tylko wypadkach i tylko dla nader ważnych powodów ustanawiane bywają wikaryaty jeneralne dla pewnych terytoryów.

Na samej granicy Szwajcaryi, w państwie austryackiem, istnieje wikaryat jeneralny w Feldkirchen dla całego Vorarlbergu, podlegającego juryzdykcyi biskupa z Brixen w Tyrolu. To był przykład dla rządu szwajcarskiego bardzo wygodny, ażeby i dla Ticina coś podobnego uzyskać. Ale odwołanie się na ten przykład niewiele zdołało posunąć rokowania w kierunku pragnień rządowych. W tym samym czasie obradował w Bregencyi sejm vorarlberski, w którym sprawa administracyi kościelnej kraju została poruszoną; okazało się, że istnienie wikaryatu jeneralnego wywołuje wielkie niezadowolnienie i że objawia się w kraju życzenie, ażeby istniała dla Vorarlbergu osobna dyecezya. Jakkolwiek poruszenie tej sprawy i dyskusya nad nią w Izbie sejmowej nie była stosowną, gdyż do kompetencyi sejmów sprawy tego rodzaju należeć nie mogą — to przecież fakt ten służył za bardzo wygodny argument, ażeby sprzeciwić się skutecznie propozycyom rządu, który zrozumiał, że jeżeli w Vorarlbergu, zamieszkałym przez ludność tego samego plemienia co Tyrol, taki stan rzeczy wywołuje niezadowolnienie, to może ono być bez porównania większem w Ticinie, zamieszkałem przez lud narodowości odmiennej od reszty Szwajcaryi; powody do zatargów i różnego rodzaju niesnasek mogłyby się tylko pomnożyć. I rzeczywiście przystąpiono do traktowania sprawy na innych podstawach.

Dla rady federalnej i dla jej pełnomocników najważniejszem było, ażeby nie razić większości protestanckiej i postępowych stronnictw stwarzaniem zupełnie nowej dyecezyi w kraju; fakt ten zrobiłby był bardzo złe wrażenie, albowiem mogło stąd paść posądzenie na rząd, iż zanadto faworyzuje katolików, a przytem ta włoska i bardzo odrębna część kraju nie byłaby

się nic a nic zbliżyła do innych jego części, a na tem właśnie rządowi bardzo zależało.

Niełatwo więc było wyjść z tych rozmaitych trudności. Udało się jednak ostatecznie znaleść kombinacyę, która obydwie strony zadowolniła i która była rzeczywiście bardzo korzystną dla interesów Kościoła w tej okolicy. Kombinacya ta polegała głównie na koncesyach formalnych ze strony Stolicy św. I tak w tekście pierwszego, najważniejszego artykułu konwencyi zdołano uniknąć wyrazów „dyecezya", „erekcya nowej dyecezyi", posługując się innemi, duchowi prawa kościelnego może nawet więcej odpowiedniemi, a które uszy profanów mniej rażą, i przez które osiągnięto właściwy cel. Artykuł odnośny brzmi: Kościół kolegialny św. Wawrzyńca w Lugano podniesionym będzie do godności *(sera érigée)* kościoła katedralnego dla całego terytoryum kantonu Ticino. Czyż lepiej i jaśniej można było wyrazić, że Ticino staje się odtąd nową dyecezyą?

Chodziło dalej rządowi o to, ażeby tychże samych elementów nie razić ustanowieniem nowego biskupa; ale i ta trudność dała się zręcznie, chociaż na pozór mniej świetnie obejść, robiąc znaczne, chociaż także tylko formalne ustępstwo. Polegało ono na tem, że juryzdykcya biskupia w Ticino powierzoną została prałatowi, mającemu charakter biskupi, który jednak nie miał nosić nazwy biskupa dyecezalnego, ale tylko administratora apostolskiego; nazwa zaś tej nowej dyecezyi, czyli mówiąc w sposób więcej zgodny z tekstem konwencyi, tego nowego kościoła katedralnego przeszła na biskupa Bazylei, który odtąd nazywa się „biskupem Bazylei i Lugano". Ten tytuł jednak jest czysto tylko formalnym, albowiem rzeczony biskup nie wykonywa juryzdykcyi w kantonie ticińskim — ta ostatnia należy jedynie i wyłącznie do wzmiankowanego administratora apostolskiego. Biskupowi bazylejskiemu zastrzeżonym tylko został w konwencyi pewien wpływ na nominacyę administratora, mianowanego przez Stolicę św. po porozumieniu się z nim.

Konwencya ta, zawierająca jeszcze kilka innych artykułów

mniejszego znaczenia, podpisaną została w dniu 16-go marca 1888 roku.

W ostatnich dniach naszego pobytu w Bernie zebrało się zgromadzenie narodowe *(assemblée fédérale)*, czyli parlament szwajcarski, wykonywający, podobnie jak gdzieindziej, władzę prawodawczą. Istnieje tam system dwuizbowy. W Izbie niższej, zwanej radą narodową *(conseil national)*, zasiadają reprezentanci ludności, wybierani na podstawie ordynacyi wyborczej bardzo szerokiej i bardzo demokratycznej; druga, czyli t. zw. rada stanów *(conseil des états)*, złożoną jest z reprezentantów kantonów, wybieranych przez rady kantonalne — z każdego kantonu po dwóch.

Ponieważ członkom rady federalnej, z którymi mieliśmy częste stosunki, bardzo zależało na tem, ażebyśmy się przypatrzyli obradom parlamentu, więc poszliśmy odwiedzić Izby obradujące w dwóch różnych lokalach pałacu federalnego.

Obecność legacyi papieskiej w tem zgromadzeniu, w którem przeważają protestanci i w którem elementa Kościołowi wrogie były do niedawna wyłącznymi panami, zrobiła na wszystkich niemałe wrażenie. Niektórzy z członków parlamentu ruszyli się ze swoich miejsc i przyszli się nam przedstawić. Był to ewenement dnia. Wieczór i nazajutrz rano wychodzące gazety miały o czem pisać; komentarze, które się w nich ukazały, odnośnie do naszych osobistości i do naszej obecności w Izbach, były jednak grzeczne i przychylne, tak jak w ogólności cały nasz pobyt w Bernie i zbliżenie się do tamtejszych sfer oficyalnych przyczyniło się niemało do usunięcia licznych uprzedzeń, które pierwej u nich istniały przeciw Kościołowi i klerowi katolickiemu.

Przypatrzywszy się bliżej obradom tego parlamentu i działalności rządu, nie można nie przyznać, że mogą z wielu względów służyć za wzór innym rządom i innym parlamentom, a to głównie dlatego, że ci, którzy dzierżą ster spraw publicznych, nie szukają zadowolnienia miłości własnej i ambicyi, nie są kie-

rowani chęcią wyniesienia siebie samych, ale że dobro kraju jest główną pobudką ich działalności.

Izby zgromadzają się trzy razy do roku na krótkie, bo zwyczajnie tylko po dwa tygodnie trwające sesye. W tym czasie żywy ruch panuje w pałacu federalnym. Znać, że tam wszyscy pracują dla rzeczy samej. Mowy, wygłaszane w Izbach, mają cechę wielkiej praktyczności: mówi się dlatego, ażeby załatwić sprawę, mówi się *ad rem*, bez chęci wywołania efektu, bez dążenia do odznaczenia się i dla pozyskania oklasków galeryi.

Zdarza się nieraz, że ustawy, które gdzieindziej napotkałyby na bardzo wielkie trudności, przechodzą przez Izby berneńskie z jak największą łatwością, po dyskusyi krótkiej i węzłowatej. I tak niedawno przedtem uchwalone zostało prawo o pospolitem ruszeniu *(Landsturm)*; sposób, w jaki zostało przeprowadzonem, jest rzeczywiście podziwienia godnym. Zgromadzenie związkowe uchwaliło fundamentalne artykuły ustawy, polecając radzie federalnej, o której atrybucyach i składzie będzie jeszcze mowa, a która jest równocześnie i szefem rządu i ministeryum, ażeby się zajęła wydaniem postanowień szczegółowych. Ta ostatnia wydała więc dekret odnośny, który w sposób bardzo lakoniczny i prosty określa bliżej wszystko to co ustawa w sposób ogólny normuje.

Na umysłach zagranicznych dyplomatów, przyzwyczajonych zwykle do zupełnie czego innego we własnej ojczyźnie, przywykłych zwłaszcza do tego, że sprawy tak wielkiej doniosłości, jak wzmiankowana, wywołują zwykle długie i bardzo drażliwe dyskusye w Izbach, których rezultatem są częstokroć prawa bardzo niedostateczne i bardzo wadliwe — fakta tego rodzaju robią głębokie wrażenie i budzą wielkie uszanowanie dla dojrzałości i wytrawności politycznej republikanów szwajcarskich.

Odnośnie do naszej sprawy: po tych dniach pogodnych, po tych symptomatach pokojowych nie obeszło się bez małej burzy w parlamencie. Odezwała się mała recydywa dawnych, jak widać, niezupełnie uśpionych niechęci, gdy, już po naszym wyjeździe, przedłożoną została konwencya zgromadzeniu związkowemu dla uzyskania jego sankcyi i mocy obowiązującej w kraju.

Dyskusya, która się wszczęła nad pojedyńczemi artykułami, wywołała silną opozycyę partyi przeciwnej, i powstała stąd burza, tak, że zdawało się chwilowo, iż dojdzie do zajść groźnych, a nawet do obalenia z takim mozołem zawartego układu.

I gdyby chodziło o taką samą sprawę w innym kraju, rząd tj. ministeryum byłoby miało prawdopodobnie ciężkie przeprawy i byłoby może musiało ustąpić, ale w Szwajcaryi kryzy ministeryalne są nieznanemi. Wynika to ze zjawiska, które jest także jednym z pięknych rysów charakteru i zmysłu politycznego tego ludu, to jest z jego zaufania do tych, którym powierzył naczelną władzę rządową. Ta ostatnia, tj. rada federalna, ma zawsze tyle powagi, że zdoła przekonać przedstawicieli narodu, iż zrobiła wszystko co tylko mogła, ażeby interesa jego nie ucierpiały. W razach ostatecznych, tj. gdy parlamentowi coś się stanowczo nie podoba, wyraża on swoje niezadowolenie jedynie tem, że daje do zrozumienia, iż życzyłby sobie, ażeby kiedyindziej w inny sposób działano, lub co najwięcej, ażeby odnośnie do tego co już zrobiono, to albo owo, w tym albo w owym kierunku było poprawionem. Dlatego i nasza konwencya nie przepadła: po dyskusyi, jakkolwiek dosyć długiej i burzliwej, została ona uznaną i przyjętą przez obydwie Izby zgromadzenia związkowego.

Jakkolwiek i w innych urządzeniach publicznych tego kraju dużo można pięknych i pouczających rzeczy zacytować, to przecież nie o wszystkiem da się to samo powiedzieć, a mianowicie: w prawodawstwie jego istnieją niektóre postanowienia, tchnące duchem wielkiej nietolerancyi religijnej. Tak np. jeden z artykułów konstytucyi nie pozwala zakonowi Jezuitów egzystować na terytoryum związkowem, byt innych zakonów bardzo jest także ograniczonym; duchowny nie może być wybranym na członka parlamentu. W niedalekiej przeszłości wszystko co tylko tchnęło nienawiścią do Kościoła i do papiestwa było bardzo popieranem u góry. Jednym z zabytków tych czasów jest fakt, że niedawno temu postawiony kościół katolicki w Bernie znajduje się dzisiaj w ręku t. zw. starokatolików, a katolicy muszą się chronić ze swojem nabożeństwem codziennem do kaplicy

urządzonej w dziedzińcu domu zamieszkałego przez proboszcza, pod osłoną szklanego dachu; ponieważ zaś w niedziele i święta uroczyste kaplica ta byłaby za ciasną dla liczniejszego zastępu wiernych, w tych więc dniach nabożeństwo katolickie odbywa się w kościele, który przed reformacyą był Dominikańskim, obecnie zaś zamienionym jest na zbór protestancki, a wskutek gościnności, którą daje i nabożeństwu katolickiemu, jest tem co się nazywa *église mixte*. Zanim stanął wzmiankowany wyżej kościół, wystawiony przez katolików, był ów zbór protestancki jedynem miejscem, w którem przez długie, długie lata odbywało się nabożeństwo katolickie; gdy w ostatnich dziesiątkach lat zdołali katolicy zebrać fundusze na wystawienie pięknego i obszernego domu Bożego i gdy tenże stanął, opuścili zupełnie zbór protestancki z nadzieją nie wrócenia do niego nigdy więcej. Ale ta ich swoboda w nabożeństwie nie miała długo trwać, gdyż smutne zajścia, które nastąpiły, gdy po soborze watykańskim powstała nowa sekta, pozbawiły ich, jak już powiedziano, tej pięknej świątyni i zmusiły do żebrania znowu gościnności u protestantów.

Objaśnić może wypada, dlaczego Stolica św., jakkolwiek nie aprobuje tej wspólności kościołów katolickich z innemi wyznaniami, to jednak wchodząc w trudne położenie katolików w wielu krajach przeważnie protestanckich, nie odmawia zupełnie swojego *tolerari potest*, gdy chodzi o protestantów, a nie daje go odnośnie do starokatolików. Powodem tego jest, iż protestanci istnieją już od dawna i różnią się pod każdym względem od katolików, tak, że ich każdy rozróżni, nadto nie mają ofiary Mszy św. w ścisłem słowa znaczeniu, właściwie więc nie popełniają świętokradztwa; u starokatolików dzieje się wprost przeciwnie: nie są oni dotychczas zupełnie stanowczo, a przynajmniej na zewnątrz i bardzo widocznie oddzieleni od katolików; ich nabożeństwa są do katolickich bardzo podobne i ofiarę eucharystyczną sprawiają we Mszy świętokradzkiej. Z tych powodów niejeden z mniej oświeconych mógłby być w błąd wprowadzonym, gdyby nabożeństwo katolickie odprawiało się pod

jednym dachem ze starokatolickiem, i dlatego Kościół tej wspólności stanowczo zabrania.

Te objawy niechęci i nietolerancyi względem Kościoła i jego sług tem nieprzyjemniejsze robią wrażenie, gdy się widzi, że inne przepisy prawne dają dużo swobody i zapewniają wolność elementom dla porządku i bezpieczeństwa społecznego wrogim, i że wskutek nich Szwajcarya jest przybytkiem najróżnorodniejszych sekt, które pod mianem nihilistów, socyalistów, anarchistów zamącają spokój rozmaitych krajów. Publicyści, apoteozujący urządzenia Szwajcaryi, bronią ją od zarzutu, jakoby dawała schronienie tym, którzy pod pozorami politycznemi popełniają najzwyklejsze zbrodnie. Trudno z nimi się sprzeczać, zresztą nie chodzi o to, ażeby robić jakieś zbyt ostre wyrzuty rządowi związkowemu, ale i bez posądzania go o winy, które na sumieniu jego nie ciążą, przyznać trzeba, że tym członkom różnorodnych związków, porządkowi publicznemu wrogich, jest w obrębie jego terytoryum przyjemniej i swobodniej aniżeli gdzieindziej; dowodem tego najlepszym jest, że w Szwajcaryi liczniej może aniżeli gdzieindziej przebywają.

Czy ta swoboda, której używają elementa, na które rządy dzisiaj niezbyt są łaskawemi, czy ta możność egzystowania na terytoryum rzeczypospolitej, łatwiej aniżeli gdzieindziej, nie pociągnie może z czasem jakich dla kraju tego skutków mniej pomyślnych? W latach ostatnich były już jakieś zajścia z cesarstwem niemieckiem, a potężny ekskanclerz miał się gdzieś odezwać w sposób dla neutralności Szwajcaryi, gwarantowanej na kongresie wiedeńskim w r. 1815, nieco groźny.

Jakoby w obawie jakiejś smutnej ewentualności, rząd związkowy nie spuszcza z oka spraw wojskowych. W razie mobilizacyi Szwajcarya mogłaby postawić pod bronią około pół miliona ludzi — dla potęgi czysto defensywnej to niemało, tem bardziej, że ta siła zbrojna zasłoniętąby była olbrzymiemi górami. Wolność i niepodległość kraju może więc rachować na dostateczną obronę, siła zbrojna może usiłowania nieprzyjacielskie zupełnie zniweczyć, a w najgorszym razie, gdyby przyszło nawet osta-

tecznie uledz przemocy, to smutny wynik walki byłby bardzo opóźnionym.

Troskliwość o środki obrony kraju i w parze z nią idąca hojność na cele wojskowe jest jednym z pięknych rysów życia publicznego Szwajcaryi, tem piękniejszym gdy się zważy, że kraj ten, z natury niebogaty, jest, jak już wyżej powiedziałem, bardzo oszczędnym na wszystko co do administracyi publicznej należy. Oszczędność uderza w całej organizacyi najwyższych władz rządowych, rezydujących w pałacu federalnym w Bernie. W biurach tegoż pracuje bardzo mała liczba urzędników. Prawie wszystkie czynności załatwiają sami szefowie departamentów, których jest siedmiu; wybiera ich zgromadzenie związkowe na lat trzy, z nich zaś wybierany bywa prezydent i wiceprezydent na rok jeden. Kto raz jedną z tych ostatnich godności piastował, nie może ponownie jej dzierżyć w tym samym okresie wyborczym. Piastowanie godności członka rady federalnej jest poświęceniem prawdziwie obywatelskiem, gdyż praca tam bardzo wielka i bardzo zmudna, a honoraryum stosunkowo bardzo małe: każdy z członków rady ma dziesięć tysięcy franków rocznej płacy, prezydent związku ma tysiąc franków rocznie więcej przez krótki czas swojego urzędowania. Prostota i skromność przebija w całem urządzeniu siedziby najwyższej władzy. Pałac federalny jest stosunkowo bardzo niewielki; oprócz lokalów dla obu Izb i należących do nich pokojów, w których mieszczą się odnośne biura parlamentu i pokoje dla komisyj, zawiera on jeszcze w samej części środkowej gmachu salę obrad rady federalnej, która się zbiera dwa razy na tydzień, dalej salon przyjęć, w którym prezydent związku daje audyencye tak dyplomatom zagranicznym, jak i innym zgłaszającym się do niego osobistościom, salę konferencyjną dla wszelkiego rodzaju narad i konferencyj dyplomatycznych i innych, obszerną czytelnię, w której znajdują się wszelkiego rodzaju dzienniki, i inne lokale dla urzędników. Biuro każdego z członków rady federalnej składa się z jednego pokoju, który jest jego pracownią a zarazem także i salonem do przyjmowania. Tak zwanych *sales d'attente*, które w ministeryach i innych gmachach

rządowych zwykle dużo miejsca zajmują, w berneńskim pałacu federalnym niema, a skazani na czekanie spędzają czas w bardzo skromnych pokoikach, urządzonych w sposób przypominający poczekalnie na naszych najpodrzędniejszych dworcach kolejowych, lub rozmównice po klasztorach. Nie przytykają one bezpośrednio do ubikacyj, w których przyjmuje prezydent i członkowie rady związkowej; do tych ostatnich wchodzi się prosto z sieni, stąd, wchodząc jest się w ambarasie, co zrobić z paltotem — niemiła operacya zdejmowania go i wdziewania napowrót musi się zwykle odbywać w tym samym pokoju co i przyjęcie.

Pięknem i bardzo także pomyślnem zjawiskiem w stosunkach publicznych tego kraju jest tolerancya narodowa. Szwajcarya liczy dzisiaj około trzech milionów mieszkańców; większość, bo przeszło dwa miliony, jest niemiecką, mniejszość, licząca mniej więcej sześćkroćstotysięcy, jest francuską, a oprócz tego jest jeszcze około stopięćdziesiąt tysięcy Włochów. Przeważa więc i to bardzo znacznie liczba obywateli niemieckich.

Organizacya rządu związkowego, polegająca na bardzo szerokiej autonomii kantonów, utrudniałaby wszelkie usiłowania do centralizacyi i wynaradawiania pojedyńczych części kraju, nie można jednak powiedzieć, iż byłyby one zupełnie niemożliwemi, biorąc zwłaszcza w rachubę tak znacznie przeważającą siłę szczepu germańskiego. Ale tych usiłowań właśnie niema. Poczucie równości i wolności jest pod tym względem bardzo głęboko zakorzenione w umysłach republikańskich: w Izbach mówi się po niemiecku i po francusku (Włosi z Ticino mówią także po francusku) i wszystko się drukuje i czyta w tych dwóch językach, a pomimo to obrady idą szybko, sprawy załatwiają się energicznie, chociaż separatyzm istniejący pomiędzy narodowościami jest tak wielki, że częstokroć Szwajcar niemiecki nie umie ani słowa po francusku i przeciwnie. W samej radzie federalnej zasiadają nieraz ludzie znający tylko jeden z tych języków, i tak np. w r. 1888 prezydentem związku był Niemiec, pułkownik Hertenstein, który zupełnie nie umiał po francusku, a że mons. Ferrata po niemiecku nie umiał, więc pierwsza nasza audyencya

oficyalna u niego odbyła się w obecności urzędowego tłumacza, będącego zawsze w pogotowiu dla podobnych zdarzeń.

Na zakończenie powtórzmy, że szkoda wielka, iż obok tylu pięknych rzeczy, któremi się odznacza administracya publiczna Szwajcaryi, świecą w niej usterki takie, jak wzmiankowany brak dostatecznej swobody dla Kościoła katolickiego i zbyt wielka tolerancya dla żywiołów przewrotu.

Co do braku odpowiedniej swobody dla Kościoła, to powodem jego są zakorzenione od czasów reformacyi przesądy przeciwko wszystkiemu co jest katolickie. Ci, którzy dzisiaj wpływają na losy i stosunki kraju, nie są winni temu, że ich wychowano w takich wyobrażeniach: wielu z nich działa, bez wątpienia, w dobrej wierze, a to tem więcej, że to co zasiali reformatorowie religijni w okolicach protestanckich, zostało dopełnionem i spotęgowanem przez reformatorów politycznych, przez głosicieli liberalnych zasad nawet i w krajach katolickich, i że prawda jest dzisiaj dla bardzo wielu przyćmioną.

Ale czy katolicy, których w niektórych zwłaszcza częściach Szwajcaryi jest dużo i bardzo gorliwych, korzystając z wolności, którą tchną instytucye publiczne ich kraju, nie mogliby starać się o rozwinięcie szerszej działalności w życiu publicznem? czy nie mogliby dążyć jawnie i otwarcie do tego, ażeby prawa i przepisy krzywdzące Kościół i jego sługi były zniesione?

Bez posądzania katolików helweckich o niedbałość dla interesów Kościoła, lecz przeciwnie, wierząc, że dotychczas nie zdołali usunąć tego co Kościół najwięcej krępuje dlatego tylko, iż to było niemożliwem, życzyć im wypada, ażeby z czasem rozwinąć zdołali taką samą działalność, jak ich sąsiedzi w Niemczech, i ażeby, podobnie jak oni, stanęli raz na drodze pomyślnej, bo prowadzącej, wcześniej lub później, do ostatecznego zwycięstwa.

Ks. Fr. Starowieyski.

KONGRES WSZECH RELIGIJ

W CHICAGO.

(Dokończenie).

Z pochodzenia chrześcijańskiem, a obecnie tylko deistycznem jest wyznanie unitaryanów. Nie należy wprawdzie do najliczniejszych, jednakże w liczbie swoich wyznawców liczy przeważnie ludzi wykształconych. Wierząc tylko w Boga, a zresztą nie przyjmując żadnych dogmatów chrześcijańskich i kierując się tylko wiedzą i rozumowaniem, stali oni na tym kongresie na samem rozgraniczu chrześcijańskich i niechrześcijańskich wyznań. Nietylko na posiedzeniach ich wyłącznego kongresu, lecz nawet w obie niedziele, przypadłe w ciągu trwania parlamentu, na kazalnicach ich kościołów przemawiali kapłani braminów, jainistów, buddystów, a nawet świeccy ludzie, jak książę Wołkoński, który tam czytał życiorys księżnej Galicyn, założycielki klasztoru Wizytek w Stanach Zjednoczonych. Odczyt ten był przygotowany na kongres katolików, lecz nie był na nim czytany. Zapraszali unitaryanie i ks. biskupa Keane'a, ale bez skutku.

Drugim kongresem niezmiernego w pierwszej chwili wrażenia, był kongres theosophistów, pod nowem mianem odrodzonych gnostyków. Gdy otwierając kongres, prezydyum zastrzegło sobie, by ich nie liczono do jakiegobądź wyznania; gdy zapowiedziało, że staraniem ich będzie wykazać tożsamość głównych zasad we wszystkich religiach świata, a nadto we wszyst-

kich systemach filozoficznych i etycznych — to oczywiście zrobiło ogromne wrażenie, publiczność tak napływała, że wielka jej część musiała stać na korytarzu. Latwo się domyślić, że i buddyści i bramini i ludzie innych wyznań zapisali się do głosu.— Za podstawę było wzięte istnienie Boga i braterstwo ludzi, „bo to dla każdego zrozumiałe — resztę Bóg zakrył dla rozumu ludzkiego, więc nadarmo dążyć do przeniknienia tajemnic przez Niego zakrytych". To w myśl Konfucyusza. Wkrótce jednak poczęły wychodzić na jaw dziwne zapatrywania. Jeden wypowiedział, że zwierzęta oczekują takiegoż rozwoju duchowego, jaki posiada człowiek. Drugi twierdził, że on, jako człowiek, w zasadzie jest równym Bogu i różni się tylko miarą potęgi. Inny znów utrzymywał, że wszystkie postacie zbawców ludzkości są to tylokrotne inkarnacye Jezusa Chrystusa. Wkońcu najjawniej wyszła teorya reinkarnacyi i metampsychozy braminów i buddystów, wedle której dusza z absolutu przechodzi przez minerały, zwierzęta, człowieka i znowu wraca do absolutu — a już ostatecznie skompromitowała ten kongres Anna Besant, która nomenklaturą i astralnem światłem tak szpikowała swoje przemowy, że nawet reporterzy dzienników, którzy, jak wiadomo, już ze swego urzędu muszą wszystko rozumieć, tym razem złożyli broń, przyznając, że nic nie rozumieli [1]. Kongres zawiódł kompletnie oczekiwanie ogółu.

Nie będzie, sądzę, zbytecznem dodać jeszcze kilka drobniejszych rysów, charakteryzujących ten ruch religijny i jego parlament. To już zwykła rzecz, że przy założonych na większą skalę sprawach, wypływają na jaw podobne i tychże samych celów lecz drobnych rozmiarów usiłowania, które aczkolwiek nie są złe w zasadzie, lecz dlatego są szkodliwe, iż rozrywając uwagę

[1] Oto mała próbka: „Let us first look to the genesis of action. In the first place is the thought, then there is the image of the thought in the eteornal astral light. Lastly there is the precipitation of the image in the action and material effort. It is only because we are blinded that we lay so much strut on the empty action and so little on the mental cause of the action. Thons can never forget that belief on the physical plane is and can be but palliative. — Relief is not on the material plane but on the plane of mentality".

ogółu, zwróconą ku głównej sprawie, tworzą niepotrzebny zamęt. Tak naprzykład dziwnym był proponowany *mitting*, mający na celu rozważyć, jakiemi środkami rozszerzyć jak najbardziej poczucie braterstwa ludzi? Zaproszony na to zgromadzenie książę Wołkoński w odmownej, a publicznie na posiedzeniu parlamentu wygłoszonej odpowiedzi, dał komitetowi wielce zasłużoną a dosadną naukę, wykazując, że on za cel stawia to, co powinno być podstawą naszych wszystkich czynności. „Kto tego uczucia nie ma, to mu nie pomoże kokardka, świadcząca o należeniu do towarzystwa braterstwa ludzi". Takim również, wobec parlamentu, bezcelowym był kongres religijnej jedności, którego hasłem było, iż „uznając jedność interesów wszystkich ludzi, witamy z radością każde światło, z jakiegobykolwiek źródła ono szło, i życzymy sobie ciągłego wzrostu poznania prawdy, miłości i stwierdzania tego służbą ludzkości". Miało to być coś w rodzaju Bramo-Somay amerykańskiej, z tą tylko różnicą, iż brakło jej zapału i natchnienia, których indyjskiej zaprzeczyć trudno.

Tutaj muszę nadmienić o dwóch objawach eklektycyzmu, posuniętych do ostateczności. — Higginson, znany pisarz, w swojej rozprawie, niezwykle pięknie napisanej, dowodził, iż przyjdzie czas, gdy księgi święte wszystkich narodów będą stanowiły jeden kanoniczny kodeks religijny; Jibara zaś, archimandryta kościoła syryjskiego, dowodził, że Stary, Nowy Testament i Koran stanowią jedność, że on wtedy dopiero zrozumiał Ewangelię, gdy przeczytał Koran. Ten człowiek tak był przejęty swoją ideą, że zasłyszawszy o mającym się zebrać parlamencie religij w Chicago, przywędrował tam o żebranym chlebie, niosąc rękopism swego traktatu.

Przesadę spotykało się nieraz, często rażącą bardzo. Gdy Szaku-Soyen, Japończyk buddysta, przedstawił w jaskrawych barwach, jak on sam nazywał, „fałszywych chrześcijan", którzy nietylko w obcych ziemiach, ale nawet u nich w kraju, pewni opieki konsulów, pozwalają sobie traktować Japończyków na równi ze zwierzęciem, łżyć ich mianem pogan — gdy oburzony i rozżalony wybuchnął gorzkiemi słowy: „jeżeli wedle tych czy-

nów mamy sądzić o wierze chrześcijańskiej, to pozostawcie nas w spokoju — nie przysyłajcie misyj — my chcemy zostać poganami"... — wołania jego były słuszne, toć gdy skończył, pastor J. Loyd ujął go za szyję i w twarz całował przy gromowych oklaskach, wianiu chustkami i krzyku tysiąca głosów: „Hańba! hańba fałszywym chrześcijanom"... Gdy pani W. Brow, murzynka, przedstawiwszy całą szkaradę handlu niewolnikami, zakończyła twierdzeniem, iż trzeba to poczytać za łaskę Bożą, że murzyn pomimo tych zbrodni dopełnionych nad nim przez chrześcijan, jednak nie stroni od tej religii i wciąż się nawraca — słuchacze również byli wzruszeni i oburzeni — i słusznie. Gdy biskup metodystów afrykańskich, Arnett, prześliczny typ murzyna, z całą boleścią mówił o tej krzywdzie, jaką Afrykanom wyrządzają chrześcijańskie mocarstwa białych — gdy wołał: „dziś jedna stopa ziemi nie należy do nas, lecz Bóg nam ześle Jefersona i Washingtona — wierzymy gorąco, że on Afrykę da Afrykanom"... kogóż nie oburzyła ta chrześcijańskich ludów polityka gwałtu? któż i kiedy nie potępi fałszywych chrześcijan?... Lecz oto występuje p. Wilkinson z odczytem, w którym dowodzi, że chrystyanizm stał zawsze wrogo względem niechrześcijańskich społeczeństw. Odczyt pięknie wypowiedziany, deklamujący o tolerancyi, porwał słuchaczy, zagrzmiały oklaski, siedzący na trybunie ściskali dłoń prelegentowi... jedno tylko serce, serce kobiety nie dało się uwieść, odczuło w tej mowie bluźnierczą obelgę... Na trybunie siedziała nieruchomie bialutka staruszka, p. Howe... nie przyklasnęła mówcy... prosiła o głos i w słowach pełnych serca, wykazała cały fałsz jego dowodów... bo chrześcijanizm to nauka Tego, który był wcieleniem prawdy, wcieleniem miłości, więc On nie mógł przekazać nauki komubądź wrogiej!... Zgromadzenie zerwało się z krzeseł i zagłuszyło staruszkę okrzykami. Było to już późno w noc... w tej chwili w półcieniach galeryi ktoś na organach zaintonował: „Chwałę przychodzącego Pana widziały oczy moje!...", hymn kompozycyi tejże p. Howe, a kilka tysięcy głosów rozbrzmiało wzniosłym chórem religijnej pieśni. Zaprawdę! bywały chwile niezwykle pięknego nastroju.

* * *

Skończywszy przegląd stanowisk i prac pojedyńczych grup parlamentu, rzućmy jeszcze raz wzrokiem na cały ten obraz. Widzimy, iż w grupie katolików występowali ludzie pierwszorzędnej powagi, prace ich były podane w ścisłym systemie, w którym nikt nie mógł wykazać sprzeczności. Inne wyznania chrześcijańskie, właściwie mówiąc, nie wystąpiły wcale. Reprezentantami starozakonnych byli także ludzie pierwszorzędnej powagi; w ich traktatach nie było wprawdzie ściśle określonego systemu, ale też nie było rażących sprzeczności. — Z wyznań niechrześcijańskich najpiękniej stanęli Bramo-Somay'ici. To religia, która dopiero się tworzy, a przedstawicielami jej byli jej apostołowie. Pięknie stanął szintoizm, bo go przedstawił arcykapłan tego wyznania — człowiek wielkiej powagi. — Jakże obok tego stoją bramini i buddyści, tylekroć w jawnej z sobą sprzeczności? Cóż mówić o muzułmanizmie pobitym na głowę tekstem Koranu? O parsach, jainistach, o Konfucyuszu słyszało się zaledwie parę pobieżnych traktatów — słowem, kongresowi temu brakło należnej organizacyi. — To było jawnem, iż dwuletnie przygotowania nie były wystarczające.

Uwagi te i podniesiony projekt zwołania następnego kongresu (w Paryżu 1900 r.??), spowodowały mię do złożenia na ręce prezydyum wniosku następującej treści: „Wszechświatowy parlament religij, zgromadzony w Chicago 1893 r., ogłasza siebie za nieustający parlament religij, sesyj swoich nie zamyka nigdy, a tylko odracza na czas nieograniczony — jak obecnie do 1900 roku. Na czele tego parlamentu stoi Rada nieustająca, która się dzieli na dwie części: *a)* Komitet wykonawczy centralny tj. rezydujący w tem miejscu, gdzie było ostatnie zgromadzenie parlamentu, jak w obecnym razie w Chicago. *b)* Członkowie zagraniczni w nieograniczonej liczbie. Członków tych będzie mianował komitet centralny, starając się, by miał przynajmniej jednego w każdej głównej prowincyi rozmaitych wyznań, tak np. dla buddystów czterech: w Tybecie, Cejlonie, Chinach i Japonii. Warunkiem zostania członkiem Rady jest utworzenie miejscowego pomocniczego komitetu, złożonego z powag miejscowej religii. Komitety pomocnicze

znoszą się wprost z wykonawczym, od niego odbierają wskazówki działania, jemu przesyłają swe wnioski i t. p. Członkowie komitetów pomocniczych przygotowują traktaty, czytają je na swych posiedzeniach i tylko przyjęte przez komitet będą wysłane do prezydyum parlamentu na kilka miesięcy przed jego otwarciem. Tych traktatów prezydyum nie ma prawa odrzucać, a również, tylko tą drogą nadeszłe traktaty będą czytane na głównych posiedzeniach parlamentu, tj. rano i po południu. Na posiedzeniach zaś dodatkowych, tj. wieczorem, mogą być czytane wszelkie odczyty, które prezydyum uzna za stosowne". Tego rodzaju organizacya przyszłego parlamentu, ochroni go od gadulstwa i popisów oratorskich tych ludzi, którym jedynie o to chodzi; powtóre da możność, aby prezydyum ułożyło systematyczny program posiedzeń głównych, a co najważniejsze, iż traktaty religijne, pochodzące od powag lub potwierdzone przez nie, będą przedstawiały religię w jej rzeczywistym świetle, co jest rzeczą nieodzowną przy porównawczem studyum. Będąc członkiem doradczego komitetu parlamentu, uważałem za obowiązek sumienia podać ten wniosek.

A teraz zapytajmy, czem stał się ten parlament w obecnej chwili dziejów ludzkości? Jaką naukę dał on tym, którzy w nim brali udział? Jakie jego wpływy na przyszłość?

Pytali mię bezwyznaniowcy z ironią: i jakaż korzyść z tej całej komedyi? Kto i do jakiej religii się nawrócił? — Religia to nie odzież, którą się zrzuca skoro się nową kupiło. Nikt jeszcze i nikogo nie nawrócił w ciągu siedmnastu dni — więc nie dziś jeszcze mówić o skutkach parlamentu; ręka Opatrzności pokieruje wolę ludzi, a skutki przyjdą w przewidzianej przez Nią dobie. Dziś można tylko zaznaczyć drogi, na które myśl i wola ludzi widocznie się zwraca. Postarajmy się wskazać owe kierunki.

Co to jest chrześcijanizm w najogólniejszych zarysach? To wiara w Boga, Stwórcę wszechświata, Ojca nas wszystkich ludzi... wiara w Syna Bożego, który dla odkupienia ludzkości żył tu na ziemi; ta wiara, która niegdyś była najświętszem przeczuciem a dziś jest najświętszem wspomnieniem... Wiara w Ducha Świętego, który od wieków, dziś i na wieki oświeca i prowadzi ducha ludz-

kiego... Bóg tak ukochał świat, że dał mu Syna jednorodzonego, a Ten ukochał tak ludzi, że poniósł za nich krzyżową śmierć. Chrześcijanizm, to ta jedyna religia, która tę nazwę przyjęła dopiero przed dziewiętnastu wiekami, lecz która istnieje już od tej chwili, gdy po raz pierwszy uderzyło serce ludzkie!... A odkąd Słowo stało się ciałem, odkąd krew Boża zbawiła ród ludzki — toć całe dzieje jego podniosły się wraz z krzyżem Golgoty, on go pociągnął i wiedzie za sobą... Tak, krzyż podniesiony tam, na Kalwaryi pociągnął całą ludzkość i nikt jego sile oprzeć się nie może... Niema już ziemi zakątka, gdzieby jego wpływ nie doszedł; niema cywilizacyi, na którejby chrześcijanizm nie wycisnął swego piętna. Kto pilnie śledził ducha wszystkich odezw i traktatów niechrześcijańskich przedstawicieli tego parlamentu, ten widział to jawnie.— Czy któremu z wierzących w Chrystusa przyjdzie myśl porównywać Go z innymi założycielami religij? Cóż więc powodowało buddystę Dharmapalę do zestawiania nauki Chrystusa z nauką Buddy? Czuł, że tem porównaniem doda blasku nowego swojej religii. Postawił domniemanie, że buddaizm miał wpływy w Palestynie, i stąd podobieństwo — zapomniał jednak o tem, że księgi proroków Starego Zakonu, tych chrześcijan przedchrystusowych, właśnie w tym czasie rozeszły się po Azyi, gdy na świat przyszedł Budda... Pod czyim naciskiem mahometanin usprawiedliwiał swych wyznawców z zarzutu wielożeństwa i niewolnictwa?... Prawo Mahometa ustępuje pod naciskiem prawa Chrystusa... A ów reformowany szintoizm, wołający: „wszyscy jesteśmy dziećmi jednego Boga, a więc powinniśmy żyć w pokoju i zgodzie!“ Czy na nim nie widać piętna naszej religii?... Cóż mówić o Bramo-Somay, tej najnowszej religii?.. Wyznawcy jej przyjęli księgi święte wszystkich narodów... „nikt, nikt ich do tego nie prowadził, to Bóg jedynie podał im tę myśl!“ — i oto zaledwo w drugiem pokoleniu, a już Chrystusa uznali „Królem proroków“, a tak ich porwały słowa Jego święte, że one co chwila były na ich ustach... Już z uwielbieniem najwyższem patrzą w stronę Golgoty, lecz wyznają w szczerości serc: „My jeszcze nie przygotowani Chrystusa uznać Bogiem“... Bóg im tej łaski użyczy wszystkim, jak użyczył

jednemu z nich... Mozoomdar publicznie uznał Chrystusa Synem Bożym. — W jakiejże czci widzimy Chrystusa w mowach rabinów starozakonnych! Pod czyim naciskiem tam, na wolnej ziemi, były pisane odezwy ich synagog, uznające Chrystusa największym z ich nauczycieli? Czem była chęć usprawiedliwienia Żydów z winy morderstwa na Golgocie?

Żadne wyznanie niechrześcijańskie, żadne (prócz renegata Webba) nie wypowiadało zasad moralnych przeciwnych nauce chrześcijańskiej. Chrześcijanizm w swej części etycznych zasad (nie praktyki) już jest panującą religią wszystkich cywilizacyj. Wszyscy obecni tam niechrześcijanie całem swojem zachowaniem się dawali jawne świadectwo, że czują całą wzniosłość nauki Chrystusa. Czuli i nie taili, że Jezus z Nazaretu i jego nauka jest szczytem wszelkiej doskonałości ludzkiej. Ani Hindusi, ani Japończycy nie wołali: „nie chcemy chrześcijanizmu“, a tylko żądali: „przysyłajcie nam prawdziwych chrześcijan, ludzi gorącej wiary, niech lud nasz uczą, kształcą, a wtedy my przyjmiemy chrześcijanizm“. Wspomniany powyżej Szaku-Soyen, buddysta, wołał: „z całą zawziętością walczyłem i będę walczył przeciwko fałszywym chrześcijanom, lecz nigdy przeciwko nauce Chrystusa! nigdy!“

Oto jakie prądy zaznaczyły się najjawniej w kole niechrześcijańskich wyznań. — Krew Chrystusowa z krzyża Kalwaryi przesiąkła już całą ziemię... Jako ta woda podziemnych źródeł, która niewidzialnemi drogami przenika całą ziemię, a gdzie wytryśnie na jej powierzchnię, gasi pragnienie, podnieca zdrowie i życie wokoło... tak również i słowo Chrystusa niezbadanemi często drogami dosięgło już krańców tej ziemi, podnosząc, kształcąc, uszlachetniając ludzi. Postać Jezusa z Nazaretu jest już wszędzie w najwyższem uwielbieniu... Więc już czas, by ci, co miano Chrystusa noszą, zrobili krok stanowczy w Jego świętej sprawie, lecz do niej trzeba przystąpić godnie... a prawdy tej rzecznikiem był Horin Toki, Japończyk: „Przyjmiemy chrześcijanizm, lecz nie chcemy sekciarstwa...“ Oto przestroga dla pracy w przyszłości... Czy głos jego pozostał głosem wołającego na puszczy? Czy ziarno to upadło na skalisty grunt?... Bogu dzięki

nie!... Ponad wszystkie inne głosy woła w parlamencie szlachetny głos pastora Candlina: „tylko razem z pojednaniem się chrześcijan dokonanem będzie nawrócenie ludów, które w Chrystusa nie wierzą".

Jakie więc prądy okazały się w tym kierunku pojednania się chrześcijan?

Przedewszystkiem trzeba zwrócić uwagę, że tu sprawa jest o wiele trudniejszą — tu błędy kilku wieków trzeba odrobić, trzeba się przyznać do nich, trzeba nagrodzić krzywdy... a temu się sprzeciwia duma i egoizm. Świat niechrześcijański to calizna, ciężka niezmiernie do pierwszej orki, ale to żyzna gleba — tu zaś mamy grunt wypleniony sofizmatem i zwątpieniem, tutaj potrzeba lat długich użyźniania na nowo jałowej gleby. A przecież i tu było tyle objawów wielce pocieszających na przyszłość. Najważniejszym na dziś, to istnienie ogólnego kościoła. Gdy raz pierwszy posłyszałem tę nazwę, byłem zdziwiony niemało. Odtąd śledziłem bacznie, by się przekonać o prawdzie, lecz nim kongres minął, nie miałem już żadnej w tym względzie wątpliwości. By zliczyć wszystkie o tem świadczące objawy i powiedzenia, potrzebowałbym na to za dużo miejsca, więc zaznaczę tylko główniejsze. Czem naprzykład jest ten fakt, że ministrowie jednych denominacyj występują na kazalnicy drugich? Jeżeli np. metodysta może w kościele baptystów nauczać religii i odwrotnie, toć dla nich różnice teologiczne muszą być rzeczą drugiego rzędu. Czy p. Carroll, wyśmiewający różnice teologiczne sekt — czy misyonarz Candlin, wołający: „nasze denominacye to anachronizm"... nie są wyznawcami tegoż kościoła?... A najjaśniej pojęcie jego sformułowali pastor Schaff, głosząc, iż „poza wszystkiemi kościołami stoi jeden kościół..." i pastor Wightman, stawiając zasadę, iż „więcej niż lokalne kościoły waży ogólny kościół, który chociaż nie ma jawnej organizacyi, ale jest wszędzie; kościoły mają różne nazwy, lecz duch, który je ożywia, jest tenże sam". Słowo w słowo to, co słyszałem z ust mojej znajomej. — Pogaństwo to calizna, na której jeszcze nikt nie siał — głęboko zapuszczaj tam swój pług, rozbijaj bryły radłem a potem siej ziarno, które chcesz mieć... ale na polu, gdzie

szereg pokoleń zasiewał, twój posiew może zagłuszyć zielsko z lat przeszłych... lata będziesz walczył, nim grunt przygotujesz. I tutaj to pole zasiane ziarnem 200-tu odrębnych wyznań musi przejść lata ich niwelacyi.

Tak w czasie, gdy Syn Boży miał przyjść na świat, były zniwelowane wszystkie ówczesne religie jedynie na *denominationes*. Nikt nie był pewnym, w co ma wierzyć. Jeden z najlepszych w ówczesnem społeczeństwie mówi do Chrystusa tonem szyderstwa: „Cóż to jest prawda?“

Ale religia to nieodzowna potrzeba duszy ludzkiej, więc umysły ogółu cofnęły się wtedy do pierwotnej wiary w jedynego Boga, i tak się przygotował grunt, na którym rozkwitł chrześcijanizm. Podobny proces odbywa się tam w Ameryce, tym jest rozwój sekty ogólnego kościoła. Gdy ona zniweluje różnice wyznaniowe, duch ludzki, pożądając prawdy ujętej w system, zwróci się ku temu wyznaniu, które będzie zdolne zaspokoić jego żądania. Religia to nie wytwór myśli człowieka — ona leży w najgłębszych tajnikach jego serca, jest jego duchową naturą. To jest już dzisiaj uznaną powszechnie prawdą. Szczere przyjęcie innej religii musi być zarazem duchowem przeistoczeniem się człowieka. Nigdzie więc nawrócenie nie przychodzi bez walki, często długich lat, a kto wiernie na swem stanowisku wytrwa, do tego przyszłość należy.

Zróbmy teraz przegląd tych wygłoszonych publicznie wyznań z koła protestantów, które świadczą o tej chęci powrotu do jedności i zgody. Najpiękniej, najotwarciej wystąpił w tej sprawie pastor Candlin, ów misyonarz chiński. Oto główne jego myśli: „Reformacya XVI. wieku, to była wojna domowa w Kościele Chrystusowym. Dlaczego misye pozostają bez skutku? bośmy podzieleni!... A skąd płynie ten podział?... bo zamiast walkę naszą zwrócić przeciw złemu, przeciw grzechom, myśmy siły trawili na wzajemnej walce. I oto skutek!... Ośmdziesiąt towarzystw misyjnych jedno drugiemu zachodzi w drogę... a krajowiec błąka się wśród nas chrześcijan i nie wie, co jest prawdą, nie wie, czego się trzymać. Pamiętajmy! Nawrócenie pogan może być tylko przy pojednaniu się chrześcijan! Nasze denominacye

to anachronizm! Sami wyczerpujemy własne nasze siły... Najlepsze płody literatury nie z naszego koła wyszły; dziś najważniejszą sprawą jest sprawa społeczna, ale ci, którzy ją prowadzą, nie mają w nas żadnej ufności... Hańba nam, że zadania, które przekazał Chrystus, myśmy do dziś, przez dziewiętnaście wieków, nie wypełnili!... a największa hańba, że my w sporach o formułki teologiczne zapominamy o najważniejszem zadaniu, o nakazie z nieba: ‚pokój na ziemi ludziom dobrej woli!'"... Ważnem także było wystąpienie pastora Wightmana. Przyznał, że „gdy protestantyzm zwrócił się do Biblii, jako do jedynego źródła prawdy, myślał, że zrobił — coś; tymczasem okazało się, że nie zrobił — nic, bo każdy począł tłumaczyć Biblię jak chciał. Skutek był najgorszy, bo kościoły, spierając się o drobnostki, zapominały najgłówniejszych spraw. Trzeba się zwrócić z tej drogi, trzeba interesa denominacyonalne podporządkować pod główną sprawę chrześcijańską. Pora już zacząć tę sprawę, zbliżenie wielkie już jest, i chociaż o połączeniu się organicznem w tej chwili nie może być jeszcze mowy, to jednak trzeba wyzyskiwać wszelką ku temu sposobność". Niema tego złego, coby na dobre nie wyszło. Wskutek właśnie owego rozdrobnienia się kościołów w Stanach Zjednoczonych z konieczności stało się ich zbliżenie się wzajemne. Przykład tego jawny w mieście Maine podał tenże pastor Wightman. Dwie sekty baptystów, kongregacyonaliści, metodyści i jeszcze parę drobnych sekt urządziły w tem mieście stały interdenominacyonalny komitet, w którym omawiają i stanowią o sprawach dotyczących ogółu mieszkańców bez różnicy wyznań. Istnieje on zaledwo od kilku lat, a skutki dodatnie widoczne. Im więcej rozwinie się idea ogólnego kościoła, tem prędzej przyjdzie do zlania się tych miejscowych kościołów. Dodatnie skutki tej zgody będą przykładem dla drugich — połączenie się kościołów niekatolickich w Stanach Zjednoczonych jest tylko kwestyą czasu, i to będzie przejściowym stanem do ogólnego połączenia się tamecznych chrześcijan.

Zwróćmy bowiem uwagę na to, jaki charakter to połączenie mieć musi. Jeżeli wyznają, że dozwolenie każdemu szukać prawdy okazało się błędem, doprowadziło bowiem do podziału,

który ze swej strony przyniósł najgorsze skutki; jeżeli dziś nawołują się wzajemnie do połączenia; jeżeli chcą stworzyć jedność — to przecież nie na to, żeby na drugi dzień miał prawo ktoś tam powiedzieć: ja w to lub owo nie wierzę, a więc nie mogę być z wami — i znowu rozpoczął nową epokę podziałów. Charakterem więc owego kościoła interdenominacyonalnego musi być stałość jego zasad wyznaniowych. Prąd więc ów jednoczenia się denominacyj musi być z konieczności rzeczy zwrotem od scyentyzmu do dogmatyzmu w rzeczach religii. Oto pierwszy a zasadniczy krok, który ich zbliży do katolicyzmu w dziedzinie teologii. Tu jeszcze raz muszę przypomnieć Europejczykom, iż nie mają prawa sądzić tamecznych stosunków miarą swych własnych. U nas są jeszcze wyznaniowe nieprzyjaźnie, wynikłe z nierówności przysługujących im praw, a tam wszystkie wyznania mają też same prawa, też same swobody — jeżeli więc jedno wyznanie czuje się słabszem od drugiego, to tylko na siebie może narzekać i siebie tylko obwiniać. Wyznanie silniejsze nie pobudza słabszego do zawiści, lecz staje się dlań przykładem i rodzi chęć współzawodnictwa. To właśnie stanowisko ma Kościół katolicki w Stanach Zjednoczonych. Mogę przytoczyć cały szereg tego rodzaju ukazywań w stronę Kościoła katolickiego. Pastor Candlin przyznał mu największą stałość zasad. Pastor Rutt, tłumacząc się z zarzutu, który robią „Reformowanemu kościołowi“, że nie zaznacza swej odrębności, zawołał: „Przyznaję! bo zasadą naszego kościoła to reforma, a dziś jest dążenie do jedności... Patrzcie na Kościół katolicki, on jest jednolity i w tem jego potęga!“ — Pastor Schaff, anglikanin, dowodził, że może być jedność kościoła z zachowaniem denominacyj. „Patrzcie na Kościół katolicki, ile w nim zakonów, ile w nim rytuałów, ile kongregacyj zupełnie różnych celów, różnych organizacyj, a przecież to wszystko w jedności pod jedną jedyną Głową — pod papieżem“. Pastor „Uczniów Chrystusa“, Owen, twierdził, że „jedną z największych sił katolicyzmu jest to, że wierni wracając z kościoła do domu, widzą tam krucyfiks, widzą Matkę Bożą z Dzieciątkiem Jezus, słyszą dzwony kościoła, które na nich ciągle dzwonią“. Pastor tegoż wyznania, Moor, twierdził, że organizacya przy-

szłego kościoła połączy organizacye wszystkich teraźniejszych kościołów — on będzie episkopalnym, bo będzie miał biskupów będzie prezbiteryalnym, bo w nim starsi będą mieli pierwszy głos, będzie kongregacyonalnym, bo i lud będzie miał wpływy... Oczywiście, że logika każe dodać, że biskupi będą mieli swego zwierzchnika — więc o jakim kościele on mówił?... Przyszło też i z Europy świadectwo dla katolików. Hrabia Bernstorf z Berlina wypowiedział najotwarciej, że prawa wyjątkowe nietylko nie poniżyły stanowiska katolików, lecz przeciwnie, kościół ich urósł w potęgę.

Do połączenia się z Kościołem katolickim przywiodą niekatolików anglikanie. Wypowiedzieli to najotwarciej. Oni na tym kongresie stali najbliżej przy katolikach, a to, co o nich poza kongresem słyszałem, potwierdziło mi najzupełniej powzięte o nich przekonanie. Gdy biskup Dudley z Kentuky miał odczyt p. t.: „Chrystus jako postać historyczna", byłem przekonany, że jest katolikiem, dopiero później dowiedziałem się prawdy. Gdyby pastor Richey, profesor seminaryum w Nowym Jorku, nie był zapowiedziany jako reprezentant anglikańskiego kościoła, byłbym aż do drugiej części jego odczytu w tymże samym błędzie. O pierwszych wiekach papiestwa mówił jako o własnym kościele. Na wzór stawił stosunek Karola Wielkiego ze Stolicą Apostolską: „bo naród nie stoi na państwie lub kościele, lecz na kościele i na państwie razem". Religia ma ogromną potęgę: „gdy Rzym upadł pod ręką barbarzyńców, czem powstał? — religią... bo Rzym musi być na wieki!... Komu naród angielski zawdzięcza swój rozwój? — kościołowi, bo kościół wyrobił naród angielski, a nie przeciwnie; bo tylko religia robi człowieka tem, czem on jest. Kościół i państwo muszą być w jedności, lub runie cała budowa narodu". Wkońcu wypowiedział, że kościół anglikański wierzy w to, iż jest powołanym od Boga, by zagoił tę ranę, która rozdarła Kościół Chrystusowy. Pastor Schaff, ten, o którym wspomniałem, iż pomimo groźby śmierci przybył na kongres [1], tak wołał: „połączmy się — nasz podział na sekty mąci umysł

[1] Wróciwszy do domu wkrótce umarł.

niechrześcijan, nasze kłótnie domowe gorszą katolików. Po co w małej gminie kilka kościołów, gdy jeden wystarczy i więcej zdziała. Zaprzestańmy zawiści wzajemnych, zapomnijmy o grzechach pojedyńczych kościołów, a zliczmy ich zasługi". Rozpoczął od Kościoła katolickiego długiem wyliczeniem jego zasług; o żadnym innym tyle nie powiedział; a zaś do zasług własnego kościoła zaliczył to, iż z niego wyszli Pusey, Newmann, Manning, Keeble... „Kościół anglikański stoi najbliżej z Kościołem katolickim i będzie służył za spójnię..."

Takie to prądy i takie kierunki zaznaczyły się najjawniej dla tych, którzy w tym kongresie wzięli udział, lub których dobiegły miejscowe dzienniki. Ostrzegam, by tylko sprawozdaniom amerykańskim wierzyć, bo prasa europejska, a szczególnie polska, popisała takie fałsze, że zaprawdę wstydzić się trzeba za taką bezsumienność. — Niebawem kongres ten rozciągnie swe wpływy na daleko większe obszary. Wszystkie odczyty, wszystkie przemówienia, cały przebieg tych pięćdziesięciu posiedzeń będą spisane i wydane w dwóch wielkich tomach. Książka ta pójdzie w świat, w najdalsze jego krańce. Gdy dotrze do ognisk protestantyzmu i judaizmu w Europie, to zapewne nie z jednej kazalnicy ich zborów polecą klątwy na głowy Candlina, Schaffa, Wightmana i innych; nie w jednej synagodze będzie wyklętem imię Pereiry, Silbermanna, a nadewszystko Lyona i Hirscha... lecz jesteśmy przekonani, że będą i tacy, którzy ich śladem pójdą i po całej ziemi odezwą się te same głosy pojednania się i powrotu do dawnej jedności. Do dziś protestant lub starozakonny, skoro z tytułu książki zauważył, że to pisane przez katolika lub chrześcijanina, odrzucał ją z niechęcią. „Pamiętniki kongresu", w którym i jego wyznawcy brali udział, przeczyta z ciekawością... a skutek czytania w ręku Opatrzności... Już sam widok tych przeszło stu ludzi, wśród których było tylu pierwszorzędnej powagi; tych ludzi najrozmaitszych wyznań, wszelakich narodów, stojących obok siebie w ciągu dni kilkunastu w niczem niezamąconej zgodzie i życzliwości, podających sobie dłonie do uścisku z serdecznem słowem: „jesteśmy dziećmi jednego Boga, jesteśmy bracia rodzeni" — ten widok nie może zostać bez do-

datniego wrażenia na każdego człowieka dobrej woli i prawego serca. A jeśli tę książkę odczyta z uwagą, to będzie musiał przyznać pierwszeństwo tym, którzy swe wyznanie podali w najlepszym systemie, w których nauce nie było sprzeczności, którzy ją stanowczo nazywali prawdą jedyną... odwaga i silna wiara porywają serca ludzi, a za niem pójdzie i myśl. Ta książka pójdzie też i do świątyń niechrześcijańskich ludów, tych, które wołały, iż w zamęcie sporów sekciarskich nie wiedzą, gdzie szukać prawdy — w tej książce znajdą wskazówkę... Przecież nie u tych szukać prawdy, którzy sami sobie wołali: „hańba nam za nasze swary!“ — Ta księga pójdzie do muzułmanów, do jainistów, buddystów, szintoistów... nie ona ich nawróci! tak! lecz poruszy umysły, poruszy pleśń na tych zastałych wodach, da przystęp świeżemu powietrzu... resztę dokona Opatrzność, dokona łaska Tego, którego modlitwę: „Ojcze nasz“, oni powtarzali codziennie. — A w jednem kole niechrześcijan powitają tę księgę radośnie i będzie tam czytana z najwyższą uwagą... w kole Bramo-Somay, tych chrześcijan dnia jutrzejszego. — Dziś, w obecnej chwili, doniosłość tego kongresu polega na tem, że on się odbył, że stał się fakt niebywały od wielu a wielu wieków, a nadto że odbył się w takiej zgodzie. Dawniejsze przed wiekami zgromadzenia międzywyznaniowe kończyły się większem niż poprzednio rozdrażnieniem przeciwników, a w tym kongresie było zaledwo parę fałszywych nut, zagłuszonych od razu olbrzymim chórem zgody i braterstwa. Jakiś dziwny nastrój religijnego charakteru panował nad tymi tysiącami przez cały ten czas, a doszedł najwyższego szczytu w dniu zamknięcia kongresu na ostatniej sesyi wieczorem.

W ciągu tego dnia największej doniosłości były odczyty rabina Hirsch'a, biskupa Keane'a, i pana Merwin-Marie-Snell — wszystkie na temat: „religia w przyszłości“. Ostatni prelegent wprawdzie katolik, lecz na kongresie nie należał do koła katolików i nie mógł należeć ze względu na swe przekonania. Odczyt jego był umieszczony w *The Open Court,* w piśmie nie katolickiem, lecz ogólno-religijnych dążności. Rabin Hirsch w swoim odczycie zaznaczył najpierw, że ten kościół w przyszłości nie

może mieć żadnych cech narodowościowych. Minęły czasy narodowych religij; „chrzest może być dany i w Gangesie i w Tybrze. Kościół powszechny musi mieć dar ognistych języków, on musi głosić swe prawdy w mowie każdego narodu. Główną podstawą tego kościoła nie będzie teologia, lecz poczucie Boga w sercu i sumieniu. Czy tych, którzy trzepali modlitwy a żyli nieprawo, chwalił wielki nauczyciel z Nazaretu? Czy dziesięcioro przykazań, czy kazanie na górze to teologia?... Uczynki i charakter a nie wyznanie wiary będą podstawą powszechnego kościoła ludzkości. ‚Cokolwiek uczynicie najmniejszemu z was w imię moje' — oto zasada przewodnia przyszłej religii. Precz ze słowem Kaima: ‚zalim ja jest stróżem brata mojego!' Precz z podwójną moralnością, jedną na dzień świąteczny i do kościoła, a drugą na dnie powszednie i do biur bankowych! Hańba twierdzeniu ‚interes interesem' — co mu do kazania na górze. Religia, wedle nauki Jezusa, powinna przejąć wszystkie nasze stosunki życiowe. Azali Jezus uznawał różnicę między świeckiem a duchownem?... wszystko powinno być albo świętem, albo nie warte nazwy ludzkiej. Słuchajmy głosu proroka, który do nas woła: ‚omyjcie się, czystymi bądźcie'... Czy będzie modlitwa w tej przyszłej religii? — tak! lecz tylko dodatkiem do życia czynu... Azali serce zawzięte może się modlić: ‚odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy?'... Czy może prosić o ‚chleb powszedni' ten, który go odmawia głodnemu? Czy ta modlitwa wielkiego mistrza z Nazaretu nie uczy wszystkich ludzi i po wszystkie wieki, że modlitwa ma być podnietą miłości bliźniego?... Czy będzie Biblia?... Taż sama co dziś, lecz głębiej, duchowo pojęta... Jak się ten kościół będzie nazywał?... Czyż Bóg swe imię objawił?... On rzekł: ‚Jam jest, którym jest'... Ten przyszły kościół będzie kościół Boży!" — Zakończył niezwykle piękną tradycyą rabinów: „Gdy Jakób uciekał z domu rodziców i przyszedł na pole, gdzie noc miał spędzić, szukał wokoło kamienia, na którymby sposobnie mógł głowę złożyć. I oto wszystkie kamienie poczęły doń wołać, bo każdy chciał usłużyć mężowi Bożemu. Bóg zrobił cud i wszystkie kamienie zlały się w jeden, a Jakób go

Bogu poświęcił... Och! niech wszystkie wyznania tak gorąco pragną służyć ludzkości... Bóg zrobi cud i połączy je z sobą!"...

Biskup Keane rozpoczął swą przemowę stawiając pytanie: czego nas ten kongres nauczył? „Oto rodzeni bracia rozsiani po całej ziemi od czasów wieży Babel zeszli się razem, podali sobie ręce; i kto z nas nie czuje w głębi serca swego, jakie to szczęście żyć w jedności i zgodzie? Roztrząsnęliśmy tyle religij i widzimy, że każdej dążnością jest zjednoczenie człowieka z Bogiem. Słyszeliśmy krzyk ze wszystkich narodów i wszystkich wieków, iż życie bez Boga nie warte nazwy życia. Słyszeliśmy, że sprawy społeczne tylko religia zdolną jest rozwiązać, a im więcej rozwija się państwo, tem więcej potrzebuje pomocy religii ku utrwaleniu swojego bytu. Parlament ten dowiódł nam, że tylko monoteizm ma racyę bytu, i że szczytem połączenia się ludzkości i Boga, to Wcielenie Jezusa Chrystusa. On jest punktem środkowym tej jedności i całych dziejów naszego rodu, On to wypowiedział w modlitwie swojej: ‚niech będą w jedności jako ja w Tobie'... Kościół, który On założył, jest ideałem społeczeństwa ludzkiego, ten Kościół to ciało Chrystusa... on obejmuje wszystkie dążności, wszystkie pożądania ducha ludzkiego. On wyrzekł, że Jego Kościół jest jedyny... Oto moja wiara na wieki!"...

Ostatniej myśli nie wypowiedział, bo po tem wszystkiem, co przed nim już wypowiedzieli w tem zgromadzeniu katolicy, byłoby to zbytecznem. A pamiętajmy nadto, że gdy jakaś, wedle naszych przekonań święta a wzniosła myśl lub dążność, sama już, bez naszego udziału, poczyna kiełkować w społeczeństwie, to lepiej jest często nie wskazywać na razie ostatniego jej wyniku i celu, lepiej pozostawić własnemu rozwojowi. Skuteczniej daleko, jeżeli ktoś, obcy nam, tę myśl wypowie. Wypowiedział ją właśnie Merwin-Marie-Snell. Wychodząc ze stanowiska ogólnochrześcijańskiego przy największem uwzględnieniu innych deistycznych religij, a mówiąc o przyszłej jedności religij nietylko pod względem zasad, lecz i w ustroju społecznym, zawołał w te słowa: „ta chorągiew już była raz wzniesiona, możemy o niej mieć różne zdania, lecz ona przez długie wieki powiewała

nad ludzkością. Oddajmy jej cześć! pochylmy przed nią głowy!... O ty! w białej szacie arcykapłanie wiekowej Romy! wcielenie marzeń naszych! ty niosłeś z pokoleń w pokolenia pochodnię miłości!... tyś był dziedzicem i stróżem wykwitu uczuć i myśli plemienia Aryów i Semitów!... W twojej koronie potrójnej widzimy symbol jedności Żydów, chrześcijan i pogan! Cześć tobie królu pierwszego braterstwa wszech ludów, a cześć najwyższa temu Boskiemu Mistrzowi, który cię nauczył, który ci skronie koroną uwieńczył... Największe różnice rasowe, najbardziej różnorodne talenta i dążności mogą być połączonemi w jednej wielkiej organizacyi, bo one już były raz połączone w Kościele katolickim"...

Nadeszła chwila zamknięcia kongresu, jedna z najpiękniejszych, jakie do dzisiaj w życiu spotkałem. Dwie olbrzymie sale Kolumba i Waszyngtona miały wspólną ścianę tak, że małemi drzwiczkami można było przejść z jednej trybuny na drugą. Na tę uroczystość były zajęte obie sale, a mówcy w każdej powtarzali swe przemowy. Do sali Kolumba mieli wstęp tylko członkowie kongresu, sala Waszyngtona była otwartą dla wszystkich. Pomimo osobnego biletu, zaledwie się mogłem docisnąć. Pierwszy rząd krzeseł na galeryi zajął olbrzymi chór śpiewaków, mężczyzn i kobiet. Wśród grzmotu oklasków weszli na trybunę reprezentanci wszystkich religij, w świątecznych strojach; hymn wzniosły kardynała Newmanna: „Och! światło ożywcze Niebios, prowadź nas z ciemności", zabrzmiał z tysiąca piersi. Dr. Bonney otworzył posiedzenie i wezwał zamiejscowych przedstawicieli wyznań do krótkich pożegnalnych przemówień. Wychodzili więc z kolei — każdy przemawiał serdecznie, dziękując za gościnność, dziękując za naukę, jaką tu znalazł... niejednemu głos drżał ze wzruszenia. Arcykapłan szintoizmu, człowiek wiekowy, błogosławił zgromadzonych imieniem wszystkich bóstw swej ziemi i żegnał tu na tej ziemi do zobaczenia się tam w życiu przyszłem. Gdy wszyscy cudzoziemcy skończyli swe mowy, potężny chór rozbrzmiał w niebogłosy prześlicznym hymnem: „Alleluja! Alleluja!" Nic w życiu piękniejszego nie słyszałem nad ten hymn Haendla. Potem żegnali się tuziemcy ze swoimi gośćmi z całego świata. Piękna była chwila, gdy znana nam staruszka, p. Howe,

stanęła przy mównicy — całe zgromadzenie powstało na jej cześć — zaledwie mogła mówić, tak była wzruszona. Jeden z mówców podniósł zasługi d-ra Bonney, w którego myśli najpierw przed kilku laty powstał ten zamiar... Poczęto wołać, powiewać chustkami, staruszek stanął przy mównicy. Trzęsła mu się poważna broda, łzy w oczach stały, zaczął coś mówić: „Podobało się Bogu podać mi tę myśl, On urzeczywistnił“... usta mu drżały, głosu zabrakło — znowu go zakrzyczano, zagłuszono oklaskami. Również uczczono d-ra Barrows'a, który ten parlament zorganizował i przeprowadził... Jeszcze raz na tej sesyi zabrał głos biskup Keane: „Gdy myśl tego kongresu powstała i wezwano katolików, a oni naradzali się z sobą w tej mierze... zapytywano wówczas, azali przyjdą? I któż miał stanąć na tej trybunie, jeżeli nie najstarszy Kościół? A gdy potem mówiono: ‚jeżeli katolicy przyjdą, to nikt nie przyjdzie!‘ — naówczas katolicy powiedzieli: ‚chociażbyśmy sami mieli tu stanąć, przyjdziemy!‘ A teraz patrzcie! czy nie stoją nam w oczach łzy, że oto przyszła chwila, gdy znowu się rozejść musimy!?.. Och! módlmy się, módlmy się do Boga gorąco, by nas połączył na zawsze! Przecież sam Chrystus modlił się za nas, byśmy w jedności zostali... Módlmy się, módlmy! wołajmy do Boga: ‚Przyjdź światło ożywcze z Niebios! wywiedź nas z ciemności! wywiedź z obłędu, wprowadź do pełni światła!‘“...

Ostatni głos zabrał dr. Barrows; przemowę swoją skończył modlitwą: „Bogu najwyższemu niech będzie chwała i cześć za dokonanie tej sprawy! Niech mojem ostatniem słowem w tym parlamencie będzie imię Tego, do którego wszystkie nasze myśli i chęci winny być zwrócone! O niech na wieki będzie uwielbiony Jezus Chrystus, Zbawiciel nasz!“

Ostatnia chwila nadeszła. Dr. Bonney uderzył młotkiem w mównicę i wyrzekł uroczystym głosem: „Chwała bądź Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli“. „Amen“, odrzekło zgromadzenie. „Zakończmy nasz parlament modlitwą! — ogólną modlitwę będzie prowadził rabin Hirsch“. Całe zgromadzenie powstało, rabin stanął przy mównicy, złożył ręce do modlitwy i począł: „Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech“. Kilka tysięcy głosów powtarzało za nim słowa modlitwy Pańskiej.

Po nim stanął biskup Keane, wzniósł ręce ku niebu i modlił się, błogosławiąc zgromadzenie, prosząc o łaskę, o światło Boże dla wszystkich. — Późno w noc skończyło się posiedzenie, tłum powoli wypływał z sali. Na organach zabrzmiał tryumfalny, narodowy marsz: „Cześć ci Ameryko! cześć!“ Nikt nie śpiewał... jakiś dziwny nastrój tęsknoty, rozrzewnienia, podniesienia duchowego panował nad tym tłumem.

Oto jakie kierunki zaznaczyły się w tem zgromadzeniu wszystkich religij z całego świata. Oto w jaką stronę zwrócił się duch ludzki tam na dalekim Zachodzie... Ledwie okiem dojrzeć, gdzieś na horyzoncie jaśnieje świetlny punkt! Ku niemu się zwracają oczy i serca tych, wśród których już ozwał się głos starca: „Ślepym jest ten, który nie widzi, że oto zbliża się czas i blizką jest doba, gdy wcieli się w życie przepowiednia naszego Zbawcy o jednym pasterzu i jednej owczarni“.

Tam na tej ziemi wolności wiary, wolności myśli ludzkiej najpierw wybije wielka godzina dziejów na zegarze wieków, poruszanych ręką wszechmocnego Stwórcy. Tam dla tych ludzi ona wybije najpierw, bo oni chcą tego, pożądają gorąco, i choć jeszcze wielu z nich błędnie wodzi okiem wokoło... toć dla pięciu sprawiedliwych Bóg chciał Sodomie przebaczyć i dać czas do poprawy... a tam przecie miliony prawych Jego wyznawców wołają za siebie i za innych braci, wołają w niebogłosy: „Przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja!“... a błogosławi im i te wołania popiera, podnieca głos tego, któremu Bóg zwierzył duchowe rządy świata: „Naprzód katolicy Amerykanie! wciąż naprzód! z Ewangelią w jednej ręce, a konstytucyą Stanów Zjednoczonych w drugiej“... a wśród szeregów tej karnej, jak nurty olbrzymich rzek tej ziemi, niczem niepowstrzymanej armii, brzmi głos jednego z ich wodzów: „Pracujmy z całych sił, zasady wiary naszej wcielmy w naszego życia wszystkie a wszystkie stosunki, a staniem na czele ludzkości!... znękaną zwątpieniem, łaknącą prawdy Bożej wwiedziemy do świątyni, nad bramą której będzie świecił napis: K o ś c i ó ł k a t o l i c k i!“..... Amen...

Michał Żmigrodzki.

MORAWSKA CZĘSTOCHOWA[1].

Już w Kromieryżu wagony trzeciej klasy przepełnione, trzeba było pomyśleć o przyczepieniu nowych; w Střebětic, w Holeszowie czekają przed dworcami całe procesye i do wagonów się tłoczą; im bliżej Bystrzycy, tem tłumy te większe, tem dłużej pociąg spóźnia się na stacyi, zanim różnobarwna fala hanackich, słowackich, wołoskich strojów przepłynęła i znikła w jego głębiach.

— To — objaśnia konduktor, jakby w odpowiedzi na zaciekawioną mą minę — wszystko pobożni pątnicy do świętego Hostynia. Wysiądą w Bystrzycy i pójdą później piechotą na świętą górę.

— Tak, tak — dopełnia tych informacyj młodziutki ksiądz, Morawianin, wikary z Holeszowa, jak mi się następnie przedstawił — jutro Matki Boskiej Różańcowej, ostatni tegoroczny odpust na Hostyniu; więc kto może, od Przerowa, od Kromieryża, od Napajedla, ba! i od Ołomuńca, od Hradyszcza, bywa że i od Strażnicy, do Hostyńskiej Matki Boskiej pielgrzymuje. Jeśli tylko deszczu jutro nie będzie, to piękna tam będzie uroczystość.

Wedle pierwotnego, nakreślonego przez uczynnych przy-

[1] Opowiadanie to wyszło jednocześnie w zbiorowej księdze *Charitas*, wydanej na korzyść katolickiego Towarzystwa Dobroczynności przy kościele św. Katarzyny w Petersburgu.

jaciół w Bernie czy Kromieryżu, planu podróży, wysiąść miałem w Holeszowie, by zwiedzić i oddać cześć miejscu uświęconemu długoletnim pobytem bł. Jana Sarkandra. Przed paru właśnie dniami oglądałem w Ołomuńcu podziemną kaplicę, przerobioną z lochu, w którym męczennik ten poniósł śmierć za wiarę; oglądałem rozwieszone w kapliczce narzędzia tortury, któremi heretycy usiłowali go zmusić do zdradzenia tajemnicy spowiedzi; należało teraz, w naturalnem niejako dopełnieniu, przypatrzyć się miasteczku, pomodlić się w kościele, w którym jako proboszcz tak żarliwie pracował i na przyszłe męczeństwo sobie zasługiwał. Ale z drugiej strony, jak opuścić nadarzającą się, tak wyborną sposobność wzięcia udziału w wielkim odpuście w morawskiej Częstochowie, na hostyńskiej górze? Może przecież — choć dnie i godziny strasznie szkrupulatnie odliczone i odważone — uda mi się z powrotem, może uda mi się kiedyś później do Holeszowa dotrzeć; a tymczasem — nieodwołalne to już postanowienie — jedźmy dalej, do Bystrzycy, zmieszajmy się tu z pielgrzymią nawałą i podążajmy z nią razem do cudami słynącej świątyni!

Gdzie ona, w której stronie? Wskazują mi na wierzchołku jednej z gór otaczających Bystrzycę, małą, przysięgać gotóweś, że maleńką kapliczkę, która teraz ledwie z za mgły przegląda; ku niej, jak okiem sięgniesz, ciągną się niekończącym się wężem gromadki kobiet, mężczyzn, dzieci. Bliżej się przypatrując, widzisz, że obok największego tego węża, niby głównego korpusu pielgrzymiej armii, rozrzucone po prawem, po lewem skrzydle drobniejsze hufce, wspinają się mozolnie bocznemi, bardziej stromemi dróżynami. Malowniczy to widok. Z leśną zielenią mieszają się zielone kurtki Hanaków, od niej odbijają czerwone ich, bardzo szerokie, silnie na kolanie ściągnięte spodnie. Obok kilkanaście szarych słowackich płaszczów; dalej bogato haftowane wołoskie szpencery; czerwone, szafirowe gorsety Wołoszek; różnobarwne, spadające od pasa, wstęgi Hanaczek; różnobarwne ich zapaski, wydęte jak balon rękawy śnieżnych koszul, do łokcia nawet nie sięgające, podobnie jak spódnice ledwie do kolan sięgają; szare, czarne, poważne jakieś i prozaiczne stroje

niemieckich kolonistów, które wyglądają jak plamy na tym żywym, ruszającym się, rzekłbyś, z pstrych kwiatów ułożonym dywanie.

Malownicza to procesya, ale nie po samych strojach jedynie przypomnisz sobie od razu, że nie nasza polska. Wszystkie drogi i ścieżki, wiodące dajmy na to do Kalwaryi, do Leżajska, rozbrzmiewają w przeddzień odpustu pobożnemi śpiewami; tutaj te tłumy poruszają się w milczeniu, niema urzędowych przewodników intonujących pieśni, „przepowiadających“ każdą zwrotkę, każdy wiersz z kolei; czasem tylko, w gromadkę jakąś się wmieszawszy, słychać półgłosem odszeptywane modlitwy, dochodzi do ucha odgłos przesuwanych na różańcu paciorków. Niektórzy — takich niewielu — gwarzą swobodnie; inni długą drogą, parogodzinnem, uciążliwem wspinaniem się na górę widocznie zmęczeni, mierzą raz po raz okiem odległość oddalającą ich jeszcze od powiększającego się w oczach kościoła; tu i ówdzie zatrzymuje się jakaś wspólnie pielgrzymująca rodzina, rozsiada się pod drzewem, na murawie, i do podwieczorku się bierze; potem przyklęka przy gęsto rozsianych figurach, figurkach, w drzewa wpuszczonych obrazkach Matki Boskiej Hostyńskiej, modli się chwilę, i dalej, dalej w drogę, bo i godzina wieczorna szybko się zbliża, i niebo chmurami niepokojąco się zaciąga, i wichry po górach, lasach do smętnej, groźnej jakiejś muzyki się gotują.

Na szczęście, wstępne te przegrywki z wichrowych szumów i świstów nie przeszły jeszcze w muzykę deszczu i grzmotów, kiedy coraz liczniejsze gromadki znikać poczęły poza bramą hostyńskiego kościoła, kiedy przed polskim pielgrzymem roztwarła się naoścież gościnna furta klasztorku połączonego z kościołem. Mały klasztorek przeznaczony na dwóch, trzech kapłanów, którzy mieszkają tu od wczesnej wiosny do późnej jesieni i niemało przez ten czas namęczyć się muszą, aby odpowiedzieć wymaganiom wszystkich pobożnych, którzy dzień w dzień przybywają tu z całej Morawii, z Czech, ze Szląska, pokłonić się Niebieskiej Królowej, wyprosić dla siebie i dla swoich zdrowie dla ciała, zdrowie dla duszy. Przez grube klasztorne ściany, przez

wązkie okna przedzierają się właśnie przytłumione dźwięki pieśni, któremi pielgrzymie te zastępy witają cudowną „Rodiczkę Bożą“:

Usedla si holubice čistá
Na temeno hory zelené,
Pani krásná, Matka Pána Krista,
Na Hostýnské výši milené;
Jako hvězda, z temna lesů sviti,
Hlavu Jeji zdobi rajské kviti,
Moravan k Ni s touhou pozirá,
Prosebně k Ni ruce prostirá [1].

Pieśń się nie myli, nie przesadza. Na twarzach pielgrzymów, którzy już cały kościółek napełnili, maluje się głębokie wzruszenie, serdeczna radość, że dopełnili dawnych pewnie pragnień, ślubów; oczy ich z czcią i miłością utkwione w wizerunek Matki Bożej, która tutaj, jak głoszą hymny na chwałę Jej usnute, jak tysiące wdzięcznych ust na wszystkie tony powtarza: „cuda czyni, codzień wielkie cuda czyni“; ręce ku ołtarzowi wyciągnięte, jakby przyspieszyć chciały pomoc Królowej Niebieskiej. Od dawna, od wieków płyną z tej góry do nieba takie modły serdeczne; od dawna, od pierwszej jutrzenki chrześcijaństwa na Morawii, panowała Najśw. Panna jako prawdziwa królowa na tej górze, błogosławiła stąd i broniła kraj sobie oddany. Przed zaprowadzeniem wiary chrześcijańskiej rozciągał się tu cmentarz, wznosiła się pogańska świątynia bożka gościnności, czego po części sama przechowana po dziś nazwa „Hostyn“ (*host* — gość) zdaje się dowodzić; na miejscu tej świątyni wystawili słowiańscy apostołowie: Cyryl i Metody, jak stara tradycya niesie, kapliczkę poświęconą Matce Bożej. W r. 1241 tatarskie hordy, niszcząc Morawię ogniem i mieczem, zapędziły się i pod hostyńską górę. Jedna z pieśni „Królodworskiego ręko-

[1] Siadła sobie biała gołębica
Na wierzchołku góry zielonej,
Matka Boża, przecudna Dziewica,
Na przemiłej nam górze Hostynia.
Jako gwiazda z ciemni lasów świeci,
Rajskie kwiaty zdobią święte skronie.
Morawianin z czcią na Nią pogląda
I proszące k' Niej wyciąga dłonie.

pisu“ tak samą tę górę opisuje, tak następne, złączone z nią dzieje i dziwy opowiada[1]:

Gdzie Ołomuniec rej wiedzie grodom,
Jest mały wzgórek w owej ziemicy,
Hostyniem zwany, szeroko słynie
Cudotworami Bogarodzicy...
Stracona jedna i druga bitwy,
Tatarzyn w Polsce pan, gospodarzy.
Bliżej i bliżej puszcza gonitwy,
Pod Ołomuńcem już są Tatarzy,
Nędzą porosła cała kraina.
Walczą dzień jeden i w drugiej dobie
Zwycięstwo w równi na strony obie.
Patrz, rój hordyńców rośnie w przestrzeni:
Tak ćma wieczorna rośnie w jesieni.
Tam wśród rozjadłej rzezią nawały,
Hyba się nawskróś huf naszych mały.
Czyż im ku Chełmku przedrzeć się uda,
Gdzie Matka Boża słynie przez cuda?

Szczęśliwie udało się. Rozzłoszczona bardziej jeszcze tem powodzeniem horda tatarska:

Aż pod sam Chełmek napaści puszcza,
Przestrasznie wyją, a rykiem grozy
Rozlegały się góry, wąwozy.
Chrześcijanie zewsząd naspy obsiedli
Chrobrzy pod Matki Boskiej opieką.
Obłęczne łuki rączo nawiedli,
Gęsto mieczami raz po raz sieką;
I rój Tatarów został odparty.

Straszniejszy od Tatarów wróg: zupełny brak wody, grozi zagładą mężnym obrońcom Hostynia; odejmuje im siłę i odwagę:

Dzień w południowe rozpłonął skwary,
Nasi bez wody lecą na mary,
Sprażone usta resztą tchu zieją,
Ku Matce Bożej chrapliwie pieją;
K' niej podnosili omdlałe wzroki,
Żałobne z jękiem łamali ręce,
Od ziemi tęskno patrząc w obłoki.

[1] Pieśń: „Jarosław“. Przekład Siemieńskiego, z tą tylko drobną różnicą, że z niemieckiego wziętą a używaną przez tłumacza nazwę *Hostajnów*, zmieniliśmy na czeski *Hostyń*.

Już niektórzy zamyślają Tatarom się poddać, dzika rozpacz górę bierze; kiedy mężny Wratysław potężnem swem słowem na nowo wlewa do serc otuchę:

Jarzmo niewoli Bogu w ohydzie,
Grzeszy, kto w jarzmo niewoli idzie.
Za mną mężowie! Kto ze mną wierzy,
Przed Matką Bożą czołem uderzy!
Lud mnóstwem idzie w kaplicy progi:
„Wstań w gniewie Twoim, wstań mocny Panie!...
Kołem nas zamknął Tatarzyn dziki,
Wyrwij nas z sideł co wróg obstawił,
I odwilż uschłe nasze języki,
A lud głosami będzie Cię sławił!
Z ziem naszych wypędź, gdzieś w świat daleki,
Zetrzyj go Panie, na wieków wieki!“
Spojrz! tam obłoczek płynie w lazurze!
Zadęły wichry i ryczą grzmoty,
I całe niebo jak w jednej chmurze,
Błyski raz po raz w pogan namioty,
I zlew podsycił źródło studnicy...
Zmyka kto może, zmyka tłum dziki
Tam, dokąd słońce powstaje z rana!

Wdzięczni Morawianie rozszerzyli na pamiątkę zwycięstwa kaplicę i umieścili w wielkim ołtarzu obraz Najśw. Panny z Bożem Dzieciątkiem na ręku, które ciska na Tatarów gromy i błyskawice, a oblężonych chrześcijan orzeźwia strumieniem wody cudownie ze skały wytrysłym. Obraz zasłynął szeroko cudami, a powiększona kaplica okazała się wnet niedostateczna dla mnóstwa czcicielów Maryi, którzy ze wszech stron spieszyli tutaj dziękować pokornie za doznane łaski, prosić z ufnością o nowe. W r. 1658 wystawił pan na Bystrzycy, hrabia Jan z Rottalu, dwie jeszcze kapliczki obok starej, i jedną obok źródła płynącego wciąż ze skały, od chwili, w której Bóg przed czterema wiekami płynąć mu z niej kazał. Jeden z dziedziców pobożnego fundatora, Franciszek Antoni z Rottalu, założył w pół wieku później węgielny kamień pod obszerny kościół, do którego przeniesiono cudowny obraz, wśród nadzwyczajnych uroczystości, wobec tysięcy i tysięcy ludu zalegających całą hostyńską górę. Ale niedługo morawski lud miał się kościołem tym cieszyć. Ledwie Józef II. chwycił stanowczo w ręce austryackie berło, ro-

zeszła się wokoło żałobna wieść, że hostyński kościół, jako gniazdo zgubnych przesądów, ma być zamknięty, obraz Matki Bożej zabrany. „Niechaj się lud oświeci, — zadecydował cesarz — niechaj z błędu się wywiedzie, jakoby należało czcić Matkę Bożą na jednem tylko jakiemś szczególnem miejscu". Napróżno arcybiskup ołomuniecki usiłował powstrzymać wykonanie zapadłego dekretu i wytłumaczyć co sądzi Kościół o miejscowościach, o obrazach szczególnemi łaskami słynących, dlaczego wierni do tych miejsc tak są przywiązani; w Wiedniu i słuchać tłumaczeń nie chciano. Wykonano więc nakaz, zabrano z kościoła co dało się zabrać, resztę zniszczyły wkrótce śniegi i deszcze i zmieniły dawną świątynię w ruinę porosłą bujnie chwastami. Pobożni Morawianie patrzyli z niezmiernym żalem na to spustoszenie; lud okoliczny opowiadał z płaczem o dawnych pielgrzymkach, o panowaniu Matki Bożej na łaskami słynącej górze, ale wśród strasznych burz wojennych, które przez Morawię przeciągały, wśród ciągłych klęsk i zamieszek nie było możności pomyśleć o budowaniu nowego, godnego przybytku dla hostyńskiej Królowej. Dopiero wobec zbliżającej się sześćsetletniej rocznicy stanowczego zwycięstwa nad Tatarami, energicznie wzięto się do dzieła. Po całym kraju rozbrzmiała, do najdalszych zakątków Czech, Szląska, Morawii, doszła pieśń poety Wincentego Furcha, wzywająca ognistemi słowy: Kto chrześcijanin, niech pomaga! I stanęła, stoi składkowemi, wdowiemi groszami zbudowana świątynia, stanął obok niej niewielki klasztorek; kwitnie na hostyńskiej górze chwała Boża, ciągną ze wszech stron pielgrzymki, rozlegają się — jak dawniej kiedyś — pobożne hymny, i jak dawniej potężna prawica Dzieciątka Bożego, prośbami Maryi nakłoniona, wlewa w serca pobożnych, którzy przybyli tutaj z Bogiem się pojednać, na duchu pokrzepić, całe zdroje swej łaski...

Trudno i teraz wieczorem przy blasku kilku lamp i nazajutrz rano przy słonecznych promieniach, wciskających się do kościółka całemi snopami, trudno od serdecznego wzruszenia się obronić słuchając tych pieśni, tych modlitw wznoszących się do góry, a tak widocznie z samej głębi serca wyrwanych; patrząc

na te twarze uszczęśliwione, wpatrzone w obraz Matki Boskiej z niewysłowionym jakimś zachwytem. Pieśń po pieśni płynie, modlitwa po modlitwie; długie procesye kobiet, mężczyzn na klęczkach do ołtarza się zbliżają, na klęczkach go obchodzą; niektórzy, jakby nasycić się nie mogli tym aktem uwielbienia Boga a własnego umartwienia i upokorzenia, powtarzają go po kilkakroć; potem ustami do ziemi przypadają i, jakby chcąc przekonać, zniewolić Najśw. Pannę do wypełnienia swej prośby, obie ręce ku Niej wyciągają. Inni konfesyonały obstąpili, cicho i spokojnie czekając swej kolei, do spowiedzi się gotują. Niema tu naszego odpustowego ciśnienia się, wzajemnych popychań i szturchań, choć niejeden długie musi wystać godziny, zanim nakoniec przyjdzie kolej i na niego i dostać się może do kratek konfesyonału; byli tacy, co o czwartej, o piątej po południu się dostali i wtedy dopiero przystąpili do Stołu Pańskiego. A nietylko to dzisiaj taki natłok. Często, — opowiadają miejscowi kapłani — często, zwłaszcza przed świętami, spowiadać musimy do dziesiątej wieczorem i nazajutrz znowu od świtu. Dzięki Bogu w ludzie morawskim pobożność jeszcze nie wygasła! Tu na Hostyniu widać najlepiej, jak chętnie słucha słowa Bożego, jak garnie się do Sakramentów, jak przechowuje w sercu wiarę głęboką i pobożność szczerą!

— Wierzaj mi — kończy z zapałem stary misyonarz, który niejeden już kraj zwiedził, na niejednej roli i w niejeden sposób z pożytkiem chwałę Bożą szerzył, a o ukochanym swym Hostyniu piękną, popularną książeczkę napisał[1] — wierzaj mi, nigdzie nie jest tak miło pracować, jak na naszej słowiańskiej niwie, nigdzie może gorliwy kapłan nie ma przed sobą żyźniejszego pola. Tylko sam widzisz, że za szczupła liczba nas tutaj. Żniwo wielkie, robotników mało, o! za mało! Nie wszędzie to już dziś tak w Czechach, i w Morawii nie wszędzie!...

Wichry, wyrwane tytańską jakąś siłą z przepaścistych głębin czarnych, okiem nieprzejrzanych lasów, hulają i szaleją,

[1] *Náš svaty Hostýn a velechram jeho*, popisuje P. Jan Nep. Cibulka. V Brně 1891.

usiłują przygłuszyć poważne odgłosy dzwonów i organów, wzywających do oddania należnych hołdów błogosławiącemu Panu nad pany, wdarły się z szumem w stojącą na uboczu kapliczkę bł. Sarkandra, wstrząsną, zda się, i zwalą strzegące bram kościelnych posągi śś. Cyryla i Metodego; szerzą spustoszenie w setkach kramów, kramików, co jakby osobne jakieś miasteczko na stokach góry uformowały. Czasem wicher zerwie namiot nad kramem rozwieszony, czasem uniesie daleko kilka obrazków, książeczek, wyrwie nieostrożnemu chłopcu kapelusz z dłoni i ku lasom z nim pędzi. Ale pielgrzymi znać oswojeni z temi napaściami, śmiało burzy czoło stawiają, patrzą spokojnie na czarne chmury, wśród których migać już zaczynają groźne błyskawiczne pręgi: w oczach ich, w sercu wyryty i uwagę całą pochłania obraz Dziewicy, co tu, sześć wieków temu, błyskawicami poraziła wroga chrześcijańskiego imienia. Czyż i czegóż mieliby się niepokoić? — czyż sam widok tych tysięcy, które obok nich, które nieprzerwanie od wiosny do jesieni na hostyńskiej górze z taką ufnością, z takim wewnętrznym żarem, objawiającym się na obliczach, wyciągają ręce do cudownej Matki Bożej — nie najwymowniejszym dowodem, że moc ramienia Bożego nie zmniejszona, że Królowa Niebieska jak przed wiekami, tak dziś wierny swój lud od każdej, by najsroższej nawałnicy zasłonić, obronić potrafi?

Ks. Jan Badeni.

GENEZA I HISTORYA SYMBOLU APOSTOLSKIEGO.

II. Symbol w trzech pierwszych wiekach.

Z wyznania wiary, które Marceli, biskup Ancyry, w pierwszej połowie IV. wieku złożył w ręce biskupa rzymskiego, jakoteż z wiarogodnych świadectw Ambrożego i Rufina, doszliśmy do stanowczego wniosku: że istniał w Rzymie, przynajmniej od samych początków IV. wieku, symbol, uważany przez Ojców i pisarzy Kościoła na podstawie tradycyi przodków za bezpośrednie i bez wszelkiej zmiany zachowane dzieło Apostołów. Rzecz jasna, że w badaniach nad historyą symbolu, na tych świadectwach, stosunkowo późnych, poprzestać nie możemy. Nasuwa się więc pytanie: czy niema starszych dokumentów, któreby tradycyę IV. wieku potwierdziły? dalej, jaki jest stosunek tego Składu starorzymskiego do wyznań chrzcielnych innych kościołów? gdzie szukać jego kolebki, na Wschodzieli czy na Zachodzie? a wreszcie jak wytłumaczyć różnice istniejące między symbolami poszczególnych kościołów, w przypuszczeniu, że Apostołowie sami są autorami symbolu chrzcielnego?

Uporajmy się najpierw z pierwszą kwestyą. Otóż bezpośrednich świadectw, na wzór tych, jakie później znajdujemy u św. Ambrożego i Rufina, z trzech pierwszych wieków nie mamy; ale niema też ani jednego, któreby istnieniu takiego symbolu zaprzeczało. Dalej niema z czasów przed Konstantynem żadnego dokumentu, któryby tekst symbolu zawierał dosłownie

i w całości; ale nie brak też wiarogodnych świadectw historycznych, które z całą pewnością pośrednio stwierdzają istnienie takiegoż Składu, co najpóźniej w połowie II. wieku; nie brak wreszcie innych świadectw, które pozwalają na wniosek bardzo prawdopodobny, że symbol istniał już za życia Apostołów.

I tak, jeśli od czasów Konstantyna idziemy wstecz, to znajdujemy znaczne fragmenta symbolu u znanego prezbitera rzymskiego a później schyzmatyka Nowacyana, oraz w piśmie papieża Dyonizego (259—269) przeciw Sabellianom. Daleko obfitszem w tej kwestyi źródłem są pisma Tertulliana. Podaje on w różnych miejscach ustępy Składu kartagińskiego; a że kościół ten — wedle jego własnego zeznania — otrzymał swój symbol z Rzymu, więc poznajemy tem samem ówczesny symbol rzymski. „Patrzmy — pisze on w księdze *de praescriptionibus* — jaką naukę kościół rzymski wziął od Apostołów, czego nauczał i jaki symbol podał kościołom Afryki. Wyznaje on jednego Boga, Stwórcę wszechświata, i Chrystusa Jezusa z Dziewicy Maryi, Syna Boga Stwórcy, i ciał zmartwychwstanie“ [1]. Widocznem jest, że Tertullian ma przed sobą ściśle sformułowane wyznanie, z którego cytuje ustępy w streszczeniu jużto dokładniej, jużteż mniej dokładnie. Od tego samego pisarza dowiadujemy się także, że heretyk Marcyon złożył w Rzymie koło r. 150 wyznanie wiary, aby być przyjętym do wspólności kościelnej. Musiał to być symbol rzymski, albo jeśli był taki, jakiego Marcyon nauczył się przy chrzcie w Poncie albo Synopie, to ów pontyjski musiał być zupełnie zgodny z rzymskim, inaczej Rzym nie byłby się takiem wyznaniem zadowolnił. Z fragmentu tego symbolu, zachowanego u Tertulliana, widzimy, że miał całkiem takie same artykuły, jakie koło r. 200 spotykamy w Składzie kartagińskim i rzymskim. Z świadectwa tedy Tertulliana i wyznania afrykańskiego, zestawionego z rzymskiem, niezbicie wynika, że znany tekst Rufina i Ambrożego istniał w Rzymie już w połowie II. wieku.

[1] *De praescript.* r. 36. Więcej jeszcze artykułów zawiera jego księga: *De virginibus velandis.* Ten sam symbol afrykański da się także skonstruować z pism św. Cypryana i Augustyna. Jest on zupełnie podobny do starorzymskiego, z wyjątkiem, że w kilku miejscach nieco jest rozszerzony.

Zgadzają się na to katolicy i protestanci. „Jeśli kościół afrykański — pisze Harnack — już za czasów Tertulliana ściśle sformułowany miał symbol, a ten był, co nie ulega wątpliwości, recenzyą rzymskiego, to rzymski musiał powstać koło połowy w. II. Rezultat ten, do którego doszliśmy przy pomocy świadectw zewnętrznych, potwierdza także dokładna rewizya treści symbolu starorzymskiego“ [1]. A trochę dalej: „Należy przyjąć za pewny wynik badania *(als ein gesichertes Ergebniss der Forschung),* że symbol starorzymski powstał w połowie, albo niedługo przed połową II. wieku“.

W początkach wieku III. powołuje się jeszcze św. Ireneusz na „niezmienną regułę prawdy, którą chrześcijanin otrzymuje przy chrzcie“, i przytacza następnie wolno pojedyńcze artykuły, rozszerzone cytatami z Pisma św. W II-gim wieku odnajdujemy ustępy naszego symbolu w Pastorze Hermasa [2], napisanym w Rzymie przed r. 150, u św. Justyna i w Apologii Arystydesa z r. 130. Św. Justyn w Dyalogu z Żydem Tryphonem mówi: „Każdego demona można zwyciężyć, jeśli się go zaklina w imię owego właśnie Syna Bożego i Pierworodnego między wszelkiem stworzeniem, który zrodził się z Dziewicy jako człowiek cierpiętliwy, pod Ponckim Piłatem ukrzyżowany przez wasz lud, umarł, zmartwychwstał i wstąpił na niebiosa“.

Widoczna ta zgodność, jaka ciągle wraca w wyrażeniach i formułach Ojców i pisarzy kościelnych II. wieku, ile razy mówią o chrzcie albo przygotowaniu doń przez złożenie wyznania wiary, z terminologią artykułów symbolu III. i IV. wieku, da się tylko w tym razie wytłumaczyć dostatecznie, jeżeli przyjmiemy, że wszyscy oni mieli w pamięci symbol, różniący się może miejscami od znanego starorzymskiego pod względem wyrażenia, ale zupełnie z nim identycznego co do treści, a najczęściej nawet co do frazesów.

Dalej znajdujemy formuły i wyrażenia, przypominające nasz symbol u św. Polikarpa, Ignacego, Klemensa rzymskiego, w liście

[1] *Das Apost. Glaubensbekenntniss,* str. 10.

[2] Znane jest jego: Πρῶτον πάντων πίστευσον... Artykuł pierwszy jest: wierz, że jeden jest Bóg, który wszystko stworzył i t. d.

Barnaby i w tak zwanej „Nauce 12 Apostołów". Tym sposobem wkroczyliśmy już w czasy uczniów apostolskich, a stąd konkluzya, że autorami symbolu byli w jakiś sposób sami Apostołowie — już blizka.

Oprócz tych świadectw czyli dowodów zewnętrznych starożytności formuły rzymskiej, możemy jeszcze znaleść dowody wewnętrzne, porównywając ją z innemi formułami symbolów kościołów lokalnych wschodnich i zachodnich. To porównanie przekonywa, że forma starorzymska jest pierwotną i tą, z której inne z czasem się wydzieliły. Istotnie ona jedna jest krótka, zwięzła, ściśle przedmiotowa i wolna od wszelkich zwrotów, skierowanych przeciw pewnym herezyom [1], jakoteż od zwrotów, zdradzających już głębsze spekulacye teologiczne; podczas gdy wschodnie — a znamy ich już dzisiaj sporą liczbę — zawierają wszystkie jakieś dodatki antyheretyckie, czy to antygnostyczne, czy antymonarchiczne, antyaryańskie i t. d. Tłumaczy się to tem, że na Wschodzie Kościół w pierwszych wiekach w ciągłej zostawał walce z herezyami, a stąd i jego symbol w ciągłym był pochodzie, ruchu i rozwoju i ciągle wzbogacał się coraz to nowemi terminami technicznemi, stanowiącemi jakby hasło katolików przeciw wspólnemu wrogowi. I forma w nich zwykle jest wolniejsza, bo miejsce pierwotnych wyrazów historycznych zajęły z czasem formuły i wyrażenia dogmatyczno-teologiczne. Mniejsze zmiany napotykamy w symbolach kościołów zachodnich — Afryki, Akwilei, Rawenny i t. d., choć i tu są dodatki wywołane potrzebami miejscowemi, jakich wyznanie rzymskie nie ma. Niemniej przypominają wszystkie — tak wschodnie jak zachodnie —

[1] Wedle Baeumera, który dokładnie zestawił wyrażenia Klemensa rzym., św. Ignacego, listu Barnaby i Pasterza Hermasa, symbol, który oni mieli przed oczyma, musiał mniej więcej następujące mieć brzmienie:

„Wierzę w (jednego) Boga wszechmogącego. Wierzę w Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, naszego Pana. Który narodził się mocą Bożą (albo za sprawą Ducha Św. i nasienia Dawidowego) z Dziewicy; który pod Ponckim Piłatem został ukrzyżowany, zmartwychwstał dnia trzeciego, przyjęty do nieba, siedzi na prawicy Bożej, i który sądzić przyjdzie żywych i umarłych. Wierzę w Ducha Św., święty Kościół, odpuszczenie grzechów, ciała zmartwychwstanie". *Das Apost. Glaubensbekenntniss*, str. 156.

pod względem swej budowy, rozkładu pojedyńczych artykułów a często i wyrażenia, symbol starorzymski. Stąd ogólna zgoda między badaczami, że tenże symbol rzymski, nie zawierający ani jednego artykułu, któregoby nie było w symbolach prowincyonalnych, a z drugiej strony wolny od wszelkich dodatków antyheretyckich, jest pierwotnym, apostolskim tekstem, na którym wzorowały się wszystkie inne, i źródłem, z którego wszystkie wypłynęły. „Symbol rzymski — pisze Harnack — był podstawą, na której urabiały się wszystkie symbole prowincyonalne... Wykształcały one się na nim zupełnie wolno i swobodnie. Tak znajdujemy np. w kościele akwilejskim zaraz w pierwszym artykule przy słowach: ‚Boga Ojca wszechmogącego' — dodatek: ‚niewidzialnego i niecierpiętliwego' i t. d. Poznajemy tu znowu znaczenie Rzymu dla kościoła zachodniego... Brzmienia swego symbolu strzegł on jednak najskrupulatniej, i dla ustalenia go i unieruchomienia, wymyślił legendę o jego pochodzeniu ściśle apostolskiem“ [1].

A więc, podobnie jak dowody zewnętrzne, tak i racye wewnętrzne świadczą za tem, że jeśli który, to chyba pierwotny symbol rzymski uważać należy za dzieło samychże Apostołów.

Ale czy mamy wreszcie na to dowody, że jakiś symbol istniał już za życia Apostołów?

Niektórzy pisarze naszych czasów postawili twierdzenie, że to sam Chrystus Pan w owych dniach 40 między zmartwychwstaniem a wniebowstąpieniem dał Apostołom i Kościołowi symbol, jako kompendium swej nauki. Zdanie to jednak niczem nie jest uzasadnione. Fakt taki i taka formuła byłyby się niezatartemi głoskami wyryły na duszy i w pamięci Apostołów, podobnie jak Ojcze nasz, i musiałaby być o nim jakaś wiadomość u Ojców I., II., III. i IV. wieku. A potem, w takiej formule nie byłby sobie nikt pozwolił na zmiany i dodatki, jakie napotykamy w różnych kościołach prowincyonalnych. Nie można tedy przypuszczać, żeby sam Chrystus był bezpośrednim twórcą symbolu.

Wszelako bardzo jest możliwe i bardzo prawdopodobne,

[1] L. c. str. 9. Zob. także: Caspari, *Quellen* i t. d. I, str. V.

że jakiś symbol chrzcielny istniał już za życia Apostołów. Z jednej strony przemawiają za tem racye stosowności i potrzeby *(rationes convenientiae)*, z drugiej zaś strony pewne alluzye do niektórych artykułów naszego symbolu, znajdujące się w pismach przedewszystkiem św. Piotra i Pawła. Otrzymawszy od Chrystusa rozkaz nauczania po całym świecie i chrzczenia w imię Trójcy świętej, tym tylko mieli Apostołowie udzielać chrztu, którzy ich naukę przyjęli. Zaś o dobrem zrozumieniu i przyjęciu ewangelii nie inaczej mogli się oni upewnić, jak żądając, aby nowonawróceni przed chrztem czynili głośno wyznanie wiary. Takiej rękojmi żąda wyraźnie św. Filip od eunucha królowej Kandaki, mówiąc: „Możesz być ochrzczony, jeśli wierzysz ze wszystkiego serca“. Na co eunuch: „Wierzę, iż Jezus Chrystus jest Synem Boga“ [1]. Prawda, że to formuła wyznania jeszcze bardzo krótka; ale to, co się nam tu w stanie niejako zarodkowym przedstawia, musiało się niebawem rozwinąć w formułę obszerniejszą i powagą apostolskiego urzędu ustaloną. Czemu łatwo damy wiarę, gdy zważymy, że już za życia Apostołów grasowali po Kościele heretycy, że wielu przyjmowało wiarę nieszczerze i dla doczesnego interesu [2], i jedyną dla Kościoła rękojmią, iż nie puścił wilka między owce i nie miota pereł między wieprze, mogło być złożone przez katechumena wyznanie wiary nie w dowolnych i dwuznacznych słowach, tylko według formuły przez sam urząd nauczycielski zatwierdzonej. Dalej dowiadujemy się z „Nauki 12 Apostołów“, z pism św. Justyna i Tertulliana, że wierni przed samą ceremonią chrztu wedle stałej, aż do naszych czasów zachowanej formuły, wyrzekali się „szatana i pompy jego i aniołów jego“. A stąd konkluzya, że jeśli ryt i formuła wyprzysiężenia się szatana już w pierwszych czasach były w kościele ustalone, to tem bardziej ustalona być musiała od samego początku formuła ważniejsza, różna od pierwszej i zawierająca wyznanie wiary, będące podstawą i chrztu i całego życia chrześcijańskiego. Wreszcie większa część wier-

[1] Dzieje apost. VIII.

[2] Widzimy to z historyi Szymona Maga i z zachowania się Nikolaitów.

nych w owych czasach składała się z prostaczków i niewolników, nie umiejących czytać ani pisać; jeśli w ich sercu i pamięci chciał Kościół wiarę utrwalić, to musiał od początku postępować z nimi w ten sam sposób, jak postępował w wieku IV. i następnym, kiedy biskupi stale żądali od wiernych, aby przed chrztem nauczyli się symbolu na pamięć. Między innymi pisze o tem autor „Objaśnienia symbolu dla katechumenów“ (św. Ambroży): „Na to chciałbym zwrócić waszą uwagę, że nie wolno spisywać symbolu dlatego, że przed chrztem musicie go odmawiać z pamięci. Niech nikt go nie spisuje! Dlaczego? Taka jest tradycya, że nie wolno go pisać. A więc co czynić? Zachować go w pamięci. Ale jak można zachować go w pamięci, jeśli go się nie napisze? I owszem, lepiej można go spamiętać, jeśli go się nie napisze. W jaki sposób? Uważaj: z tem, co napiszesz, nie zadasz sobie trudu, aby to codziennie przechodzić w pamięci, bo pocieszasz się myślą, że to znowu możesz odczytać; czego zaś nie napiszesz, boisz się zapomnieć i dlatego codziennie to w pamięci rozważysz. A jest ten symbol wielkiem lekarstwem: znajdziesz się w opałach cielesnych lub duchowych, uderzy na cię pokusa szatana, który nigdy nie spoczywa, napadnie cię febra lub inna niemoc — powtórz wtedy symbol i zastanów się nad nim szczerze“.

Alluzye do symbolu spotykamy kilkakrotnie w kazaniach św. Piotra, w Dziejach Apostolskich podanych, których treść i rozprowadzenie myśli jest następujące: 1) Bóg, którego opowiadamy, jest Bogiem ojców naszych. 2) On Syna swego uwielbił, 3) którego wy ukrzyżowaliście, waszego Odkupiciela, 4) który jednak zmartwychwstał, 5) czego my świadkami jesteśmy, 6) który Twórcą jest Now. Testamentu i Królestwa, 7) dlatego wy czyńcie pokutę, abyście zostali obywatelami tego Królestwa, 8) który przyjdzie sądzić żywych i umarłych [1].

Św. Paweł przypomina ukochanemu uczniowi Tymoteuszowi, jak on to niegdyś w Lystrze wobec wielu świadków pię-

[1] Dzieje apost. r. II, 36; III, 12—26; V; X. Porówn. także I list św. Piotra I, 21, i t. d.

kne złożył przy chrzcie wyznanie [1]. Rodzajnik, położony w tekście greckim przy słowie: wyznanie — τὴν καλὴν ὁμολογίαν — wskazuje, że Apostoł mówi o jakiemś wyznaniu wiary wszystkim znanem. Wiele innych jeszcze jest miejsc u obu Apostołów, które z pewnem prawdopodobieństwem pozwalają nam konkludować, że wszystkim ich pismom za wspólną podstawę służyło jakieś wyznanie chrzcielne, zawierające w głównych zarysach najważniejsze prawdy wiary, jakaś wspólna — że użyję słów św. Pawła — ὑποτύπωσις ὑγιαινόντων λόγων, *forma sanorum verborum* [2]. Nie chcę wcale przez to twierdzić, jakoby ten symbol miał od razu pełne brzmienie, które w wieku IV. napotykamy u Marcelego albo św. Ambrożego; może istniał on w początkach w formie pytań i odpowiedzi; a może też jako krótka formuła chrzcielna, z której niebawem albo sami Apostołowie, albo praktyka kościelna, przez Apostołów aprobowana, wytworzyła formę symbolu starorzymską.

Czy tak czy owak, w każdym razie należy się temu symbolowi nazwa apostolskiego, boć w formie swej pierwotnej, którą napotkaliśmy w pierwszej połowie II. wieku w Rzymie, najwierniejszem jest odbiciem nauki apostolskiej, i dziełem mężów apostolskich, tj. albo samych Apostołów albo ich uczniów, którzy znowu tylko sformułowali ściślej to, co wzięli w spuściźnie po swoich nauczycielach. „Symbol chrzcielny — pisze Caspari — sięga bez najmniejszej wątpliwości całą swą treścią, i przynajmniej wedle mego naukowego przekonania, także w największej części pod względem formy, jeszcze w wiek apostolski, mianowicie w stadyum Jana Apostoła, a może i w drugą połowę stadyum św. Pawła, kiedy to Kościół po raz pierwszy otrzymał wyrazistszą i bardziej rozwiniętą postać organizacyi i kultu. I to trochę, co później doń dodano, nietylko było już przedmiotem kazań apostolskich i pierwotnej wiary, ale też nie inaczej się rozwinęło, jak pod wpływem zewnętrznych okoliczności i stosunków z istniejących już formuł, w któ-

[1] I. list do św. Tymot. VI, 12. *Certa bonum certamen fidei, apprehende vitam aeternam, in qua vocatus es, et confessus bonam confessionem coram multis testibus.*

[2] II. list do Tymot. I, 13.

rych od początku było zawarte. Co więcej, kto pamięta o tem, że symbol chrzcielny we wszystkich starych kościołach, po wszystkich miejscach, miał jednakowy typ główny, ten chyba nie obroni się myśli, że typ ten podstawowy *(Grundtypus)* czyli pierwowzór wziąć musiał początek od wyższej — apostolskiej powagi — choćby tylko pośrednio, przez głośną sankcyę albo cichą aprobatę, skoro inaczej trudno sobie wytłumaczyć ową wielką wolność, z jaką stare kościoły, zwłaszcza wschodnie, traktowały jego brzmienie“ [1].

Ostatnie słowa uczonego protestanta wyjaśniają już kwestyę, postawioną na początku, jak mianowicie wytłumaczyć zmiany, jakie prawie wszystkie kościoły prowincyonalne poczyniły w symbolu? Gdybyśmy przyjęli, że Apostołowie sami bezpośrednio zredagowali ten tekst, który później spotykamy w Rzymie, to rozwiązanie tej kwestyi dosyć byłoby trudne, choć ostatecznie i tu jeszcze na wytłumaczenie tej dowolności możnaby powiedzieć, że nikt nie uważał za obowiązek trzymać się materyalnie brzmienia formuły, która zresztą nie była podana na piśmie, lecz tylko ustnie przekazana.

Z tego co powiedzieliśmy wynika także, że na podstawie dotychczasowych dokumentów niepodobna jeszcze oznaczyć miejsca urodzin naszego symbolu. Nie wiemy bowiem, czy formę jego pierwotną ułożyli razem wszyscy Apostołowie, czy kilku, czy jeden, czy wreszcie — jak już zauważyliśmy — może żaden z nich nie jest bezpośrednim jego autorem. Tem samem trudno też powiedzieć, czy powstał w Jerozolimie, Antyochii, Efezie, czy też w Rzymie? Caspari sądzi, że przyniesiono go do Rzymu ze Wschodu, Harnack broni przekonania, że powstał w Rzymie koło połowy II. wieku, Baeumer i Blume mniemają, że mógł tamże powstać jeszcze za życia Apostołów albo uczniów apostolskich. Na tem moglibyśmy rzecz naszą ukończyć. Ponieważ jednak punkt zasadniczy destrukcyjnej pracy dzisiejszych symbolobórców i całego ich sporu z katolikami i prawowiernymi

[1] Caspari l. c. str. IV. i V.

protestantami nie tyle spoczywa w wyjaśnionych powyżej kwestyach historycznych, ile raczej w dogmatycznej ocenie starego naszego symbolu, więc nie od rzeczy będzie zwrócić jeszcze pokrótce uwagę na niektóre jego dodatki i artykuły najbardziej zaczepione.

I tak symbol starorzymski nie zawierał w I. artykule słów: „Stworzyciela nieba i ziemi“. Spotykamy takowe dopiero w połowie V. wieku u pisarzy zachodnich, Nicetasa, Fausta z Reji, i w kazaniach (240—243) przypisanych św. Augustynowi. Jasna rzecz, że przez ten dodatek nie uczyniono w symbolu żadnej zmiany istotnej, bo wyrazy te były już od początku zawarte w słowie: „wszechmogący“. Miały one jedynie ściślej i jaśniej wypowiadać naukę Kościoła o stworzeniu świata przeciw gnostykom, którzy stworzenie materyi przypisywali demiurgowi. Niepodobna jeszcze dzisiaj rozstrzygnąć stanowczo kwestyi, czy symbol z końca II. wieku opiewał: „Wierzę w jednego Boga wszechmogącego“, czy też, jak tekst z III. wieku: „Wierzę w Boga Ojca wszechmogącego“. Baeumer broni pierwszego zdania i utrzymuje, że papież Zefiryn skreślił słowo: „„jednego — ἕνα“ z tekstu pierwotnego i złagodził jeszcze całe brzmienie artykułu przez dodanie wyrazu: „Ojca“, aby tym sposobem potępić naukę monarchianów i patripasyanów i zaakcentować silniej różnicę osób Boskich w jedności natury. Prócz kilku zdań Ojców, przywodzi on na poparcie swego twierdzenia świadectwa monumentalne, jak np. napis katakumbowy: „Kasyusz położył nagrobek Witaliuszowi, który wierzył w jednego Boga“. Jeśli jednak przypomnimy sobie słowa św. Ambrożego i Rufina, którzy z całym naciskiem podnoszą, że Rzym żadnej nie dopuścił zmiany w swoim symbolu, a dalej tę okoliczność, że niema drugiego przykładu skreślenia jakiegoś słowa w tekście starorzymskim, co nawet Harnack przyznaje, to raczej z Blumem utrzymywać będziemy, że nigdy w symbolu starorzymskim przed wyrazem „Bóg“ nie było słowa: „jeden“.

Najzaciętsza walka toczy się dziś w obozie protestanckim między teologami liberalnymi a ortodoksami o artykuł trzeci, który w symbolu starorzymskim brzmiał: „Który się narodził

z Ducha Św. i Maryi Dziewicy". Z czasem został on nieco inaczej sformułowany. Powód, dla którego to nastąpiło, podaje św. Augustyn, mówiąc, że dla człowieka niewykształconego słowa: „który się narodził z Ducha Św. i Maryi", nie są dość jasne i nie tłumaczą dostatecznie, dlaczego Chrystus Pan nie jest także Synem Ducha Św., kiedy i z Niego i z Maryi Panny się narodził. Otóż aby położyć nacisk na to, że nie narodził się z Ducha Św. jako ojca, a znów, że narodził się z Maryi jako matki, wprowadzono w artykuł (jeszcze przed św. Augustynem) dwa różne przyimki: *de* i *ex*, tj. *przez* i *z*, a nadto wybrano dwa różne czasowniki: *conceptus* i *natus*: począł się i narodził się. Pierwszy raz spotykamy ten artykuł w brzmieniu dzisiejszem w wyznaniu wiary, ułożonem w r. 359 na soborczyku w Rimini.

Liberalni protestanci odrzucają dziś ten artykuł dlatego, że zawiera cuda, a cuda ich zdaniem są niemożliwe. Według słów berlińskiego kaznodziei Sydowa, jest to symboliczno-poetyczna legenda, przed którą wzbrania się rozum i wiara; krytyka, odrzucając ten artykuł, pracuje w interesie czystej ewangelii i biblijnej estetyki. Dr. Rade, pastor w Frankfurcie nad Menem, zwalcza go dlatego, że stoi w przeciwieństwie z jego ewangelicznem pojęciem o małżeństwie [1]. Harnack apeluje do rozumu chrześcijan dojrzałych na ewangelii i historyi kościelnej. „Przeciwnego zdania — pisze on — nikomu nie chcę odbierać, ale nie wolno w kościele stawiać jako artykuł fundamentalny wiary tego, co nie należy do treści pierwotnej ewangelii i co w najlepszym razie uchodzić może za jeden ze sposobów tłumaczenia i środków pomocniczych, choć właściwie w naszych czasach dla wielu jest ono kamieniem obrazy i powodem obrzydzenia ewangelii" [2]. Zarzuty to, jak widzimy, nie nowe. Od najdawniejszych czasów walczą przeciw dziewiczej Matce Chrystusowej herezya, szyderstwo i tak zwana krytyka naukowa. A od wieków także śpiewa Kościół: *Gaude, Maria Virgo, cunctas haereses sola interemisti* — „Ciesz się, Dziewico Maryo, Tyś sama wszystkie herezye zwal-

[1] Zob. jego rozprawę: *Der rechte evang. Glaube.* Beiheft Nr. 1 zur *Christlichen Welt.* Leipzig, Grunow, 1892. Str. 13.

[2] *Das Apostolische Glaubensbekenntniss,* str. 44.

czyła, któraś słowom archanioła Gabryela uwierzyła; Dziewicą Boga porodziłaś i po narodzeniu Dziewicą nienaruszoną pozostałaś!“ Wobec tak potężnej nieprzyjaciółki nie mogą kacerstwa złożyć broni. Jeszcze za życia Apostołów wystąpili przeciw tej nauce Cerynt i Ebionici, ucząc, że Jezus jest Synem Maryi i Józefa; obrazili przez to najświętsze uczucia całego chrześcijaństwa, którego imieniem wystąpili w obronie nauki powszechnej św. Ignacy, Arystydes, św. Justyn, Ireneusz. Na zarzuty i szyderstwa profesorów protestanckich, którzy całą siłą prowadzą dziś propagandę na rzecz nauki Cerynta, Ebiona, Karpokratesa, można powiedzieć to samo, co niegdyś na podobne zarzuty i szyderstwa pogańskiego filozofa Celsa odpowiedział Origenes: „są to dziecińśtwa, niegodne siwej głowy filozofa“. A kiedy w wieku IV. Helwidyusz zaprzeczył wiecznego dziewictwa Maryi, św. Hieronim napisał przeciw niemu te słowa: „Mogę ci przytoczyć na poparcie nauki katolickiej cały szereg starych pisarzy: Ignacego, Polikarpa, Ireneusza, Justyna męczennika, i wielu innych wymownych mężów apostolskich, którzy przeciw Ebionowi, Teodotowi, Byzancyuszowi, Walentynowi, jednomyślni w wierze, całe spisali tomy pełne mądrości! Gdybyś do nich zechciał kiedyś zaglądnąć, tobyś przejrzał i inaczej rozumował“. Przeciw nowym nowatorom możemy przytoczyć jeszcze słowa Lutra: „Es müssen warlich alle drey stück gegleubt sein, nemlich, das er (Christus) Gott sey, jtem das er mensch sey, jtem das er für uns solcher mensch worden sey, das ist, wie das erst Symbolon (der Apostel) sagt: Empfangen vom heiligen geist, geboren von Maria der Jungfrawen, gelidden, gecreutziget, gestorben und auferstanden etc. Feilets an einem stücklin, so feilen alle stück“ [1].

Pewne trudności sprawia, nie pod względem dogmatycznym, ale co do kwestyi historycznej: kiedy i w jaki sposób przyjęty został do symbolu — artykuł: „zstąpił do piekieł“. Symbol starorzymski go nie ma. Na Wschodzie wstawiła go w swój symbol, wedle świadectwa historyka Sokratesa, aryańska sekta

[1] U Blume'go. *Das Apostolische Glaubensbekenntniss*. str. 161, ad not.

Anomeów w r. 359. Stale spotykamy go w IV. wieku w symbolach kościołów hiszpańskich i południowej Gallii. Jest to jedyny właściwy dodatek, wyrażający rzecz nie zawartą w pierwotnym Składzie. Przydano go dlatego, aby ten ważniejszy moment w życiu Zbawiciela nie był w symbolu pominięty. — Dodatek „katolicki“ (powszechny) do słów: „święty Kościół“ jest tylko rozwinięciem pojęcia Kościoła. Wspomina o tym przymiocie już św. Ignacy koło r. 107. Jako stały dodatek spotykamy to słowo w IV. wieku w symbolach wschodnich. Na Zachodzie przyjął się najpierw w Gallii i Hiszpanii. Wedle tekstu starorzymskiego brzmi ten artykuł: „Wierzę święty Kościół“, podczas gdy wszędzie, gdzie jest mowa o osobach Trójcy Świętej, czytamy: Wierzę *w* Boga Ojca — *w* Jezusa — *w* Ducha Św. Różnicę tej konstrukcyi objaśnia Rufin. „Gdzie mowa o wierze w Bóstwo, — powiada on — mówimy: *w* Boga Ojca... Gdzie zaś nie jest mowa o Bóstwie, ale o stworzeniach, tam nie dajemy przyimka ‚we‘, nie mówimy: wierzę *w* Kościół, tylko: wierzę Kościół, nie: wierzę *w* grzechów odpuszczenie, jeno: wierzę grzechów odpuszczenie i t. d., aby przez to odróżnić Stworzyciela od stworzeń i nie kłaść na równi prawd stworzonych z tajemnicami niestworzonemi“. Podobne tłumaczenie daje także Faustus z Reji koło r. 450. Również dogmatyka czyni różnicę między wyrażeniami: *Credo Deum (scil. esse), credo Deo* i *credo in Deum.*

Tyle o historyi kilku dodatków i waryantów tekstu. Jak widzimy, nic Kościół w symbol nie wprowadził nowego, nic istotnego nie zmienił. Dodał tylko kilka rysów i wycieniowań do obrazu pierwotnych artystów, przez co niezmieniony oryginał w kilku miejscach wystąpił jaśniej i wyraziściej. A za prawdziwość tych rysów poręcza Duch Święty.

Ostateczny tedy rezultat dzisiejszych badań nad historyą symbolu i jego tekstu tak się przedstawia:

Nie ma żadnej podstawy zdanie, jakoby sam Chrystus bezpośrednio był ułożył symbol chrzcielny.

Nie ma żadnego uzasadnienia w Piśmie św. i najstarszej tradycyi twierdzenie, że każdy z Apostołów, jakby z nagłej in-

spiracyi, zredagował jeden z dwunastu artykułów symbolu. Nie ma też pewności, przynajmniej do dziś dnia, zdanie, że wszyscy Apostołowie razem bezpośrednio ułożyli tekst starorzymski, albo że to uczyniło kilku z nich, lub jeden. Bardzo jednak jest prawdopodobnem, że jakiś symbol chrzcielny istniał już w pierwszych czasach Kościoła, i że z tej formuły pierwotnej, dla której jako podstawa i rusztowanie służyła forma chrzcielna, zawierająca inwokacyę trzech Osób Boskich, rozwinął się jeszcze za życia Apostołów, a przynajmniej św. Jana, opatrzony co najmniej w cichą aprobatę apostolską, późniejszy pełny symbol chrzcielny starorzymski.

Pewną jest rzeczą, że pełny tekst starorzymski istniał już za życia pierwszych uczniów apostolskich, a co najpóźniej w latach 120—130. Zjawia się on najpierw u najstarszych Ojców jakby przez mgłę i zasłonę: czasami czynią doń tylko jakąś alluzyę, gdzieindziej cytują zeń jakieś słowo charakterystyczne, czasami znowu przytaczają już prawie dosłownie jeden lub drugi jego artykuł. Czuć go — powiedziałbym — od samego początku w Kościele na każdym kroku.

Ogólnie przyjętą jest rzeczą, że tekst grecki jest pierwotnym. W każdym razie jego łacińskie tłumaczenie pochodzi jeszcze z wieku III. Rzecz to zupełnie zrozumiała. W pierwszych dwóch wiekach przeważał w liturgii rzymskiej język grecki, a w jego literaturze panował on wszechwładnie. Dopiero od połowy III. w. stan ten się odmienił: papieże wydawali swe dekreta już w języku łacińskim, pisarze kościelni Zachodu tylko wyjątkowo posługiwali się językiem greckim, a lud — jak to widać z napisów grobowych — mało już tylko rozumiał tego języka, choć ciągle jeszcze obok frakcyi łacińskiej silnielszej, istniała grecka słabsza.

Starorzymski tekst grecki znajdujemy w wyznaniu wiary biskupa Marcelego; łaciński mamy u św. Ambrożego i Rufina. Do tego też tekstu przedewszystkiem odnosi się tradycya o pochodzeniu apostolskiem symbolu chrzcielnego i jego podziale na dwanaście artykułów.

Pod koniec V. wieku używano w Rzymie przy chrzcie albo

wyłącznie albo obok symbolu starego także wyznania nicejsko-konstantynopolitańskiego.

Tymczasem w drugiej połowie wieku V. symbol starorzymski przybrał w Gallii południowej wszystkie te dodatki, które spotykamy w tekście dzisiaj przez nas przy chrzcie używanym. Tak rozszerzony został on przyjęty w całej Frankonii, a stamtąd najprawdopodobniej za czasów Karolingów przeszedł do Rzymu, wyparł tam z liturgii chrzcielnej symbole poprzednie i rozszerzył się na cały kościół zachodni [1].

Dodatki te nie wprowadziły w symbol pierwotny żadnej zmiany istotnej, bo spotykamy je wszystkie od początku w nauce Kościoła.

* * *

Ośmnaście tedy wieków istnieje nasze *Credo*. Przez ten czas walka zaciekła toczyła się kolejno o każdy jego artykuł. A jaki jest tej walki rezultat? Czy choć jedno słowo w niem zblakło, czy musiał Kościół choćby jeden cofnąć z niego wyraz? Przenigdy! Przetrwało ono niewzruszone i nieskazitelne w swej Bożej piękności wszystkie burze, podobne do owych piramid granitowych, przeniesionych z puszcz libijskich na rynki rzymskie, którym ząb czasu i złość ludzka ni jednego nie skruszyły kantu! Z drugiej strony nie jest to mumia skamieniała i martwa. Pod osłoną każdego wyrazu kryje się życie niezgłębione, boć to słowa żywota wiecznego — *verba vitae aeternae*.

A jeśli tak jest — jeśli symbol to samo zawiera, co od po-

[1] Baeumer streszcza w następujących słowach wyniki swoich studyów: „O ile historycznemu badaniu udało się zasłonę przeszłości odsłonić, i ciemności, zalegające jeszcze na pierwszych wiekach chrześcijaństwa, rozświecić, pokazało się, że Kościół rzymski, który od najdawniejszych czasów miał sławę, że jest najwierniejszym stróżem symbolu, także za najstarszą ojczyznę, jeśli nie za miejsce urodzenia owej formy uważany być powinien, z której obecny z niektóremi odmianami powstał. Jeśli nie przyniósł tego spadku po Apostołach z Jerozolimy Piotr św., to albo on, albo jeden z jego najbliższych następców z końcem I. lub na początku II. wieku, tj. jeszcze w czasach apostolskich ułożył". *Das Apostolische Glaubensbekenntniss*, str. 227.

czątku było treścią nauki apostolskiej, i jeśli nawet co do kształtu swego sięga w czasy apostolskie — to stoi jak mur konkluzya, którą na podstawie długich badań źródłowych uczynił przed laty Caspari: że nikt nie ma prawa do imienia chrześcijanina, kto z całego serca nie przyznaje się do całej jego treści!

Nie mogę lepiej zakończyć, jak słowy wielkiego biskupa z Poitiers, św. Hilarego, który dwunastą swą księgę o Trójcy Św. zamyka następującą modlitwą: „Zachowaj, błagam, o Boże, tej wiary mojej niepokalane wyznanie, i aż do ostatniego tchu życia mego zostaw mej duszy to gorące pragnienie posiadania zawsze tego, co wyznałem w symbolu mego odrodzenia, kiedy chrzczony zostałem w imię Ojca i Syna i Ducha Św., tj. abym czcił Ciebie Ojca naszego, a z Tobą Syna Twojego, i abym wysłużył tego, który z Ciebie przez Syna pochodzi, Ducha Świętego“.

Ks. Józef Bilczewski.

LISTY Z PODRÓŻY PO AZYI.

Część II.: Chiny i Japonia.

(Ciąg dalszy) [1].

Hiogo, 24 lutego 1889.

Budzimy się na statku na widoku miasteczka Kobe, już w Japonii! Czas śliczny, słońce; ranek zimny, ale w południe, gdy się wspinamy z Biegelebenem na okalające góry, by się przypatrzyć krajowi, ciepło zupełnie. Widok pyszny! Zatoka ogromna, otwarta tylko w dwóch miejscach, okolona górkami, których szczyty bieleją od świeżego śniegu. Na wybrzeżu płaskiem roi się od miast, miasteczek, wsi! Śliczne te górki przypominają zupełnie kształtami Alpy, ale w miniaturze. Cała zatoka morska przypomina jakieś wielkie alpejskie jezioro; gra kolorów cudowna.

Kobe, to kolonia europejska; obok miasto czysto japońskie, Hiogo. — Na północny zachód stąd, o półtorej godziny koleją, leży Osaka, stare, ciekawe miasto, przezwane Wenecyą japońską. Za mało mamy czasu, więc zostajemy w Hiogo, zwiedzenie Osaki zostawiając na później.

Zwiedzamy pierwszy japoński sklep. Zrujnować się istotnie łatwoby można, — u kieszeni każę sobie guziki i haftki poprzyszywać, żeby przynajmniej mieć za co wrócić. Skusiło mnie jednak licho! Kupiłem dwie rzeczy z kości słoniowej za 32 do-

[1] Ob. zeszyt majowy zeszłoroczny.

lary. Swoją drogą przekonany jestem, że w Europie zapłaciłbym akuratnie dwa razy tyle. Co to będzie dalej?

Tokio, 10 marca.

Już dwa tygodnie oglądam Japonię, a jeszcze trudno mi skreślić swoje wrażenia. Bo też trudno oderwać się od oglądania przedmiotu, żeby zasiąść do pisania. Jest to wielka uwodzicielka ta Japonia, która nas Europejczyków jakby kobiecym wdziękiem owłada. Boć tu wszystko takie miłe, takie milusie; życie tu takie łatwe, powietrze miękkie, rozmiękczające, rozleniwiające, a tyle w niem jakiejś lubej elektryczności, co zarazem i nęci i rozdrażnia i uspokaja i usypia. Pisać o Japonii, to nielada zadanie. Wszak pisało już tylu — a zwłaszcza te nieszczęsne blagiery francuskie, a na ich czele p. Loti. Co prawda poznali i przedstawili oni tę Japonię tylko z tej jednej strony — niewieściolilliputowo-herbaciano-zabawnej; z tej strony, jaką się w tych kilku miastach portowych, w „joszywarach“ i „czajach“ czyli domkach herbacianych poznaje. A przecież ta Japonia ma, a zwłaszcza miała tyle innych ciekawych, wielkich, imponujących stron. Wszak w Japonii do roku 1868 trwały nasze średnie wieki z całą swoją wyrafinowaną rycerskością! Ażeby to wytłumaczyć, muszę się trochę cofnąć ku tej przeszłości Japonii, która obecnie najwięcej moją myśl zaprząta.

Z początku III. w. (r. 860 ery japońskiej) Japonia już zjednoczona pod jednem berłem, rozpoczyna erę walk z ludami kontynentu azyatyckiego. Cesarzowa Zingu-Kongo, za poradą bogów, prowadzi wspólnie z wiernym swym wodzem i sługą, Take-no-Utszy, wyprawę na Koreę, podówczas lenne państwo potężnej chińskiej dynastyi Tsin. Zwycięska cesarzowa, zaraz w początkach najezdczej wojny, przekonywa się, że jest w błogosławionym stanie. Rzuca się na ziemię i póty błaga bogów o pomoc, aż otrzymuje talizman, kamień jakiś, który wszywa w swój pas *(oti)*. Skutkiem talizmanu opóźnia się przyjście na świat spodziewanego dziecięcia. Cesarzowa przerywa swój zwycięski pochód, wraca do Japonii, i tu daje życie przyszłemu na-

stępcy swemu, wielkiemu Odżin, któremu, wliczając go później w rząd bogów, nadano imię Hadżiman, czyli bóg wojny. Koreę zmuszono do płacenia zwycięskiej cesarzowej haraczu. Jeszcze przed laty kilku, rząd japoński tak energicznie dopominał się u króla koreańskiego zapłaty owego haraczu, że tylko dzięki interwencyi reprezentantów mocarstw europejskich i Chin, zażegnano wojnę między dwoma krajami.

Zwycięska wojna cesarzowej Zingu-Kongo miała jednak inne jeszcze, o wiele ważniejsze następstwa dla Japonii. Było to bowiem pierwsze zetknięcie się barbarzyńskiej Japonii z cywilizacyą chińską, panującą w Korei. Sztuki, nauki, literatura kwitły już w Chinach. Religia buddyjska, urokiem swych obrzędów, niemniej jak pełną powabu nauką, przemawiała do wyobraźni. Z szybkością niezwykłą buddyzm się rozkrzewia w Japonii, a z buddyzmem i cywilizacya chińska; następnie kompletny przewrot w umysłach. Zaczem idzie liczna immigracya Chińczyków. Źródła chińskie rzekomo twierdzą, że w owej epoce cała ludność 17-tu południowych prowincyj chińskich wyemigrowała ku wyspom japońskim, a specyalnie ku wyspie Kiu-Ziu; i nie ulega wątpliwości, że mieszkańcy Kiu-Ziu typem, wzrostem raczej do Chińczyków zbliżeni. Wielki uczony koreański, Wang Jen, zaproszony do Japonii przez cesarza Odżin (koniec III. stulecia po Chr.), zjawia się istotnie na dworze mikada, przywozi całą bibliotekę ksiąg chińskich, a między niemi i pisma wielkiego Kung'a, tj. Konfucyusza. Od owej to epoki datuje się bezsprzecznie pismo chińskie w Japonii. (Jak wiadomo znaki japońskie nie różnią się prawie niczem od znaków chińskich; wymowa tylko zupełnie odmienna, skutkiem zaś tego jest zabawny fakt, że Chińczyk z Japończykiem za pomocą pisma najdoskonalej się porozumieć mogą, wzajemnie swoich języków nie rozumiejąc).

Od tej chwili aż do końca IX. wieku, przez długi peryod zupełnego pokoju, Japonia się cywilizuje i rozwija na wewnątrz. Tworzą się podstawy ustroju państwowego; rodzą się kasty, dziś już nie istniejące, a mające rzekomo swój początek w rozmaitości ras. W owym to czasie powstają klasy włościan, samu-

rajów czyli szlachty, rycerstwa po większej części wiszącego u klamki możnych; dalej tak zwanych *kuge* czyli magnatów, aliantów rodziny panującej. W tym to czasie poczynają już nabierać znaczenia wielkie rody Taira, Minamoto, Fudżiwara, istnych naszych polskich królewiąt, co miały niebawem zbroczyć krwią całą ojczyznę, walcząc zaciekle o pierwsze w państwie urzędy, wpływ i znaczenie. Z końcem VIII. stulecia naszej ery, ród Fudżiwara zajmuje między pierwszymi pierwsze miejsce. Wszystkie ważniejsze posady swymi krewniakami lub kreaturami obsadza. Przyboczna rada cesarska zapełniona samymi zaufanymi potężnej familii. Tylko z jej łona brano żony dla mikada. Cesarze pomału, krok za krokiem oskrzydleni, opanowani przez tych możnowładców, uginają wkońcu dobrowolnie karku pod jarzmem potężnych swych sług. W r. 888 utworzono dla głowy rodu Fudżiwara dziedziczną godność *kwambaku* czyli wielkiego klucznika, który był po prostu rodzajem wielkiego wezyra, łączącego w swym ręku władzę i prerogatywy wice-cesarza i regenta. Dwór, dotychczas nie rezydujący nigdzie stale, zawsze w pogotowiu wojennem żyjący, odtąd osiada w Kioto, gdzie w pysznem więzieniu, zwanem „Goszo“ czyli pałacem cesarskim, trzymają cesarza-półboga, aż do roku 1868. Życie cesarzy schodziło na modlitwach i zniewieściałych zabawach; otoczono ich istnym murem etykiety. Żadne oko śmiertelnika nie śmiało na dostojną ich osobę patrzeć. Lud oddawał im, podobnie jak swym bałwanom, cześć boską, nigdy ich nie widząc. Władza była w ręku innem; wykonywano ją w imię cesarza, a walczono o nią z coraz to większą zawziętością. Odtąd zaczyna się epoka strasznych, wieki całe trwających walk domowych. Dwa rody z Fudżiwarami spokrewnione, Taira i Minamoto, powoli doszedłszy w cieniu tamtych do znaczenia, przez całe pokolenia drą się o władzę i wpływy. W historyi ludów europejskich chyba Włochy i Niemcy tylko mogą podobnemi poszczycić się walkami. Mord, zemsta, bohaterskie, z niepodobieństwem graniczące czyny waleczności — to głoski, któremi historya tych czasów zapisana. Pokolenia całe przygotowują zemstę, bo krew ojca, dziada, pradziada zmazaną być musiała. Ostatni z rodu Minamoto, Joritomo, 1192 r. schwytany przez

przeciwników, ułaskawiony na prośby którejś z pięknych cór domu — podstępem, długoletnią uległością, chytrością — wyzwala się. Wkoło niego grupują się malkontenci. W wielkiej bitwie morskiej, u północno-zachodnich wybrzeży wyspy Kiu-Ziu, miażdży potęgę Tairów; ogarnia wszystko, zmusza mikada do oddania sobie najwyższej władzy i zakłada wraz z miastem Kamakura, nową siedzibę i dynastyę, w imię i w zastępstwie mikada rządzących regentów. Doszedłszy do władzy, chce się pozbyć narzędzi, które mu pomagały; zaczyna od braci. Najstarszy z nich, Jositsune, według jakiegoś podania, nie pruje sobie brzucha, jak kazał zwyczaj, ale ucieka na wyspę Jesso, między Ajnów, którzy mu boską cześć oddają. Stąd przechodzi na ląd stały i wypływa na widownię światową jako Czyngis-Chan.

Dynastya Minomoto wielkie Japonii oddała bezsprzecznie usługi. Pod jej rządami rozkwita przemysł i sztuka. Z owych to czasów datują się najpiękniejsze laki, porcelany, jedwabie. Dawny duch rycerski nie zamarł także w Japonii. Kublej-Chan obaliwszy dynastyę chińską Sung i zalawszy całe państwo niebieskie, wysyła posłów do Japonii po haracz. Hojo-Tokimune, ówczesny *sajgun* czyli regent, z pogardą odpycha poselstwo, które sześć razy jeszcze powraca, a zawsze tę samą słyszy odpowiedź. Wówczas Kublej-Chan wysyła dziesięciotysięczną armię mongolską. Ta ląduje na wyspie Kiu-Ziu, i tu walne nad nią odnoszą Japończycy zwycięstwo, tak że Mongołowie w popłochu ku Chinom odpływają. Dziewięciu posłów wraca jednak do Japonii z oświadczeniem, że póty przed oczy Kublej-Chana stanąć nie mogą, póki haraczu od Japonii władcy nie przywiozą. W odpowiedzi Tokimune kazał posłom głowy pościnać; równocześnie jednak rozpoczął przygotowania do walki odpornej. Ponownie wysłane poselstwo Kublej-Chana spotkał ten sam los. Wówczas zjawiło się na wybrzeżach Zatoki Koreańskiej 100.000 Mongołów; 7000 Koreańczyków odpłynęło ku Japonii na ogromnych dżonkach, zbrojnych w katapulty i barany, które nauczył ich budować gość ich tak bardzo ceniony, Marco Polo. Zdawało się, że zagłada ostateczna Japonii się zbliża, mimo bajecznej waleczności jej rycerzy. Szczęściem żywioły przyszły im w pomoc.

Jeden z owych strasznych uraganów, tajfunami tu zwanych, które w miesiącach letnich przechadzają się po morzach japońskich, wpadł na flotę Mongołów; część wspaniałych żaglowców pogrążył na dno oceanu, rekinom na uciechę, część roztrzaskał o nadbrzeżne skały, część własnem w drzazgi rozszarpał tchnieniem; rozbitków siekła na lądzie czyhająca armia japońska. Wielka armada znikła bez śladu; trzech tylko świadków klęski wróciło z opowieścią do domu. Czytając o tej nawale Mongołów, rzucającej się na kraj sąsiedni, a rozbitej przez wichry, mimowolnie żałowałem, że my w Polsce tajfunów nie mieliśmy!

W r. 1333 ery chrześcijańskiej, mikado ówczesny próbuje wyjść z pod nazbyt ciężącej opieki sajguna; obala wprawdzie dotychczasową dynastyę Hojo; popada jednak w gorszą jeszcze niewolę rodziny Aszikaga. By tem pewniej owładnąć osobę mikada, a z nią i władzę, przeciwstawiają oni prawemu cesarzowi innego, i zaczyna się walka domowa straszliwa; wszystko, bo dwór, prowincye, pojedyńcze klany, rodziny, dzielą się na dwa obozy. Przez 60 lat wre ta bratobójcza burza w całym kraju. Korzysta z niej tylko rodzina Aszikaga; aż do końca XVI. stulecia bowiem, godność sajguna pozostaje w jej ręku dziedzicznie. Żywioł wojskowy coraz to wyłączniej ogarnia wszystko. Obyczaje dziczeją; podejrzliwość zachmurza umysły; *vendetta* zaczyna być alfą i omegą kodeksu moralnego samurajów. Wówczas to w całem tego słowa znaczeniu rodzi się stosunek lenniczy między wielkim panem a małym rycerzem (samurajem); stan rycerski wszystkiem przywyka gardzić, co nie imponuje mu odwagą lub siłą; żyje w rozpasaniu bezprzykładnem; sztuki, nauki coraz bardziej z horyzontu nikną. Nawet ogniska nauki, owe liczne zakony buddyjskie, schodzą zwolna na arsenały i kryjówki dla łotrów. Tak bardzo dotąd w nich ceniona i uprawiana kultura umysłowa zamiera, bo nikt już o nią nie dba. Koniec temu rozkładowi socyalnemu, politycznemu i religijnemu kładzie dopiero wielki reformator Nobunaga. Ten, ulegając rzekomo wpływowi Jezuitów, którzy podówczas z Chin i Indyj śladami św. Franciszka Ksawerego tu się jawią — zaczyna od wypowiedzenia wojny na śmierć bonzom, więc klerowi buddyjskiemu,

który ulega w tej walce. Zredukowawszy do minimum wpływ kleru, Nobunaga zwraca się do trudniejszego dzieła, bo zjednoczenia wszystkich pomniejszych księstewek, które w tej długotrwałej zawierusze z pod wszelkiej niemal przewagi i zależności od centralnego rządu się wyzwoliły. Nie dokończywszy dzieła, ginie; ale znajduje godnych następców, którzy prowadzą dalej, iście żelazną dłonią, bo tnąc i siekąc bez litości i wypoczynku, zaczęte dzieło unifikacyi. Już wielki Taiko-Sama, nasz Kazimierz Odnowiciel, włada całą niemal Japonią. Syna jego morduje przyjaciel i towarzysz broni ojca, a własny teść jego, Ijejas — pan wielkiej fortuny, potomek po kądzieli prastarego domu Minamoto, pierwszy z rodu Tokugawa, co zasiada na tronie sajgunów. Któż, co bodaj kilka lepszych laków japońskich miał w ręku, nie zna nazwiska Tokugawa, i herbu ich, owych trzech liści malwowych kołem zamkniętych? Wszystkie wielkie rody, rody ambitne na całej kuli ziemskiej starały się pamięć nazwiska swego uwiecznić. Nikt tego w tym stopniu, co ci Tokugawowie, nie dokazał. Gdziebyś się nie ruszył w Japonii, wszędzie, na każdym kroku spotykasz pyszniący się ów herb ich, na najwspanialszych świątyniach, na najcenniejszych lakach, na najpiękniejszych makatach, wszędzie zawsze oni. Bo też była to dynastya świetna i wielka. Aż po rok 1868 siedzieli dziedzicznie na utworzonym umyślnie dla nich, innym od poprzednich, tronie, piastowali umyślnie dla ich protoplasty Ijejasa stworzoną godność „Sei-i-Tai-Sajgun“ czyli wodza naczelnego, co ma barbarzyńców zwalczać. A byli po większej części ludzie rozumni, światli, charaktery żelazne, znali ludzkie słabostki jak nikt, umieli je wyzyskiwać, i co może najdziwniejsze w tej, doprawdy do panowania samowładnego jakby stworzonej rodzinie, to tak zresztą rzadka umiejętność i chęć korzystania z doświadczenia innych.

Stosunek Tokugawów do tronu o tyle odmiennym był od poprzednich, że oni właściwie byli panami i władcami Japonii — mikado pół-bogiem, jakąś już istotnie wyłącznie moralną tylko władzą; łączył ich zaś rodzaj jakiegoś nibyto stosunku lennika do lennodawcy. Tokugawowie potrafili tak zredukować mikadów, że nieraz rzekomo ryżu brakło na dworze cesarskim, że mikado

po prostu żył jak żebrak, mimo że *de nomine* sajgun płacił roczną pensyę mikadowi i co roku do Kioto z pokłonem winnym synowi bogów zjeżdżał. Wspaniałe, istotnie nieraz chyba prace tytanów przypominające budowle, za ich czasów powstają. 300.000 robotnika pracuje za pierwszego zaraz z rodu, by niebotyczne wznieść mury i wykopać te rowy, jak przepaści, wkoło rezydencyi sajguna w Jeddo (dziś Tokio przezwanem), dokąd sajgun przeniósł swą rezydencyę. Wiekopomne są prace Tokugawów około kanalizacyi; im niezaprzeczenie zawdzięcza Japonia możność uprawiania ryżu w takiej ilości, bo im zawdzięcza tę masę wody w całem wnętrzu kraju. Przemądrze pomyślana była etykieta, którą się sajgunowie otoczyli. Czemś musiał się zająć ten stan magnacki i szlachecki, co bić się umiał, ale robić nie chciał. Zupełnie doprawdy podobny objaw jak w Wersalu i tu się spostrzega. Sajgun gromadzi wkoło siebie coraz liczniej szlachtę, magnatów. Raz puściwszy ich na drogę etykiety, wiedział, że sami zajdą dalej niż zechcą. Stąd się to wyradza owa grzeczność, owe maniery, takie filigranowe, takie manierowane, takie przesadne, takie wyrafinowane, że doprawdy najlepiej wystylizowany z dworzan Ludwika XIV. mógł tu uchodzić za niewychowanego prostaczka. A cel był osiągnięty. Panowie ci istotnie żyli i umierali przez i dla tej etykiety. Za lada najmniejsze przekroczenie prawideł tych, któremi, jak najsubtelniejszą pajęczyną, omotany był każdy, więc za najmniejszym, niedosyć spokojnym, obrachowanym ruchem, drgnieniem duszy, serca lub ciała, musiał zaczepić i przerwać choć jedną z tych delikatnych nitek; za lada jakie przekroczenie tej subtelnej tkaniny prawideł — sam się skazywał na śmierć, sam na sobie wyrok swój spełniał. *Harakiri* (otwieranie brzucha, a raczej wypuszczanie sobie wnętrzności) teraz dopiero zaczyna kwitnąć, dziesiątkując stan rycerski i magnacki. A czegóż bardziej mógł pragnąć sajgun, jak żeby ta, dotychczas tak niespokojna, zawadyacka szlachta puszczała sobie sama krew, głowę łamała bezustannie nad coraz nowemi rafinacyami etykiety, i coraz dokładniej, mocniej, dokumentniej wiązała sobie ręce i nogi, jedwabną nicią etykiety i dobrych manier.

Ijejasu, ów wielki pierwszy Tokugawa na tronie, w jednym tylko punkcie był nieprzejednanym i może nierozumnym. Chrześcijaństwa się bał, i chrystyanizm, a raczej powiedzmy katolicyzm, prześladował i tępił, bo czuł i wiedział, że Kościół katolicki, choć tylko moralnie, ale zawsze państwem w państwie (według wyrażeń *Nowej Pressy* i *Kuryera lwowskiego*) być musi i będzie. Wiedział i czuł, że katolicyzmem oświeconych dusz i serc nie zadowolni dłubaniem w etykiecie i przerzynaniem sobie brzuchów. Jął więc tępić, co było katolickiem, a było tego już wiele — a zaczął wskrzeszać buddyzm. Po 13-to letniem panowaniu zostawił następcy władzę pełną, silną i wielką. Umarł w roku 1616. Przez 250 lat Japonią rządzili Tokugawowie. Dziś żyje jeszcze ostatni ze sajgunów i ostatni z Tokugawów.

Rządy w tym stopniu samowładne musiały w biegu czasów koniecznie stworzyć i oprzeć się na tajnej policyi — rosyjska jest dziecinną zabawką w porównaniu z policyą Sejgunów. Wszystkich podejrzywano i wszyscy podejrzywali, wszystkich się bano i wszyscy się bali, wszystkich szpiegowano i wszyscy szpiegowali. Na zewnątrz zamknięto kraj murem gorzej niż chińskim. Bano się głównie Europejczyków, bo od europejskich kupców wiały inne idee, inne urządzenia państwowe, wiał przedewszystkiem duch katolicyzmu. Jedynych Holendrów cierpiano, ale bo też Holendrzy ci nic w sobie katolickiego, więc niebezpiecznego nie mieli. Podłość, lizanie się dla zysku i grosza nigdzie chyba takiej ilustracyi nie znalazło i nie znajdzie, jak w stosunkach owych kramarzy holenderskich z rządem sajgunów. Na wysepce De-sima żyli całe wieki, pilnowani, strzeżeni, w potrzebie bici, szturchani, pomiatani. W ich oczach męczono, palono, ścinano setki i tysiące chrześcijan. Kazano co roku, jak wszystkim poddanym państwa wschodzącego słońca, deptać w czasie uroczystości znak krzyża. Holendrzy wszystkiemu potakiwali, bo nad wszystkiem stał interes, porcelana, jedwabie, ryż, laki; raz w rok wolno im wysłać jeden statek do Europy, raz w rok jednemu żaglowi holenderskiemu wolno było wpłynąć do portu Nangasaki.

Odmienne jednak prawa i na Tokugawach się sprawdziły.

Usadowiwszy się na swym tronie, otoczywszy armią szpiegów, zdemoralizowawszy przedewszystkiem dostatecznie społeczeństwo, tak że znikąd nie groziło żadne niebezpieczeństwo, poczęli spoczywać na laurach, niewieścieć i gnuśnieć. Władza absolutna, dla pewnych może społeczeństw i w pewnych okolicznościach pożądana, musi być energiczną, przedsiębiorczą i dobroczynną. Z chwilą kiedy przestaje być taką, traci racyę bytu. To stało się w Japonii. Przybycie Europejczyków w r. 1853 było bez kwestyi ostatnią przyczyną rozpadnięcia się gmachu władzy sajgunów. Dawno ten gmach zaczynał się rysować — stał jeszcze własnym ciężarem. Z Europy i Ameryki zawiały inne idee; uśpione społeczeństwo budzić się poczęło. Tylko stara arystokracya i szlachta, najbardziej psute, demoralizowane przez sajgunów, strupieszały, nie znalazły w sobie dość sił żywotnych, by z letargu powstać — przyszli inni ludzie, „ludzie nowi“, i ci zwalili starą Japonię.

Jak widzę, rozpisałem się ni stąd ni zowąd o historyi Japonii, może za długo na list. Ale to mam teraz w głowie. Dla dokończenia rzeczy trzebaby najnowszą skreślić rewolucyę, która obecny stan stworzyła, ale to zrobię może później, kiedy się więcej Japończykom przypatrzę.

Dziś spieszę list wysłać. Jutro audyencya u mikada.

Jokohama (Tokio), 12 marca.

Wystawiam sobie jak, podczas kiedy tu siedzę, wszystkie dzienniki europejskie, notując fakt nadania konstytucyi narodowi japońskiemu, rozpowiadają przy tej okazyi niezliczone mniej lub więcej znane przypowiastki, mające rozszerzyć i uzupełnić wiadomości czytelników o tym tak dziwnym ludzie i kraju. Co prawda, jakież bo są te wiadomości, które przeciętny Europejczyk ma o Japonii, jak wogóle o reszcie świata? Powiedziałbym prawie żadne! Tak samo o sztuce i rękodziełach, wogóle produktach ściśle japońskich, to jest przez Japończyków dla Japończyków robionych, nikt prawie właściwego wyobrażenia nie ma,

sądząc z lichot rozmaitego gatunku, robionych przez spekulantów na eksport; tak samo i jeszcze w wyższym stopniu sądzi Europa o Japonii, powiedzmy: o całej może Azyi, z małemi nader wyjątkami, z dzieł i dziełek spisywanych często na kolanie w wagonie, lub na statku *entre deux repas*, przez t. zw. podróżnych, czyli ludzi, którzy najczęściej, w dobrej wierze zresztą, z błahych pozorów o istocie rzeczy sądzą, z koperty lub nagłówka o treści całego listu wnioskują, według etykiety chcą poznać, znać i módz z prawdą zgodnie opisać jakość, smak, zapach, siłę, słowem istotę wina w butelce zawartego, nie skosztowawszy go naprawdę wcale! Jak niesłychanie trudnem jest zadanie Europejczyka, biorącego się do opisania jakiegoś kraju, a bardziej jeszcze jego mieszkańców, jeżeli ludzie ci nie należą do tej samej, co my, rodziny ludów, w innych warunkach wzrośli, a cywilizacya na innych danych, na innych od naszych premisach oparta, najdosadniejszym tego dowodem jest dzieło p. t.: *Les Chinois peints par eux-mêmes, par le colonel Tseng-ki-tong, attaché mil. de Chine à Paris,* które przed kilku laty w Paryżu na jaw wyszło, dzieło — jeśli wogóle na ten zaszczytny tytuł książka ta zasługuje — które obecnie czytam, studyuję.

Chińczyk, *ipso facto* sprytny, więc i rozumny; do tego Chińczyk wysłany przez własny rząd do Europy, jako *attaché militaire,* i to wysłany po ostatniej wojnie chińsko-francusko-angielskiej, więc w chwili kiedy Chiny dosadnie się przekonały, że pod względem militarnym trzeba im zmienić system, pójść za przykładem mocarstw europejskich — otóż więc taki Chińczyk, spędziwszy lat dziesięć w Europie, niestety tylko w zachodniej, bierze się do opisania Chin w porównaniu do Europy, czyli stawia się na stanowisko o ile możności zbliżone do stanowiska europejskiego, by tym sposobem swój opis Chin dla Europejczyka jak najbardziej uczynić zrozumiałym. Cóż jednak się dzieje? — zamiast opisywać, porównywa Europę i Chiny, daje się porwać pokusie i głównie krytykuje Europę. Tu pokazuje się, że nawet przeciętnie sprytniejszy od Europejczyka Chińczyk, nawet po dziesięciu latach pobytu, nie zrozumiał, nie poznał Europy jako całości, a społeczeństwa, w którem żył, w szczególe. Popadł w ten

sam błąd, który u Europejczyków tak krytykuje, tj. powierzchowność. Przeczytał Woltera i Musseta, liznął trochę nawet Biblii, obracał się niby w najwyżej umysłowo stojącem społeczeństwie Europy, i strzela też w większej części swych aprecyacyj bąka po bąku. A przecież nie przesadzę, zdaje mi się, twierdząc, że Europejczyk, któryby tyle dokazał np. w Chinach, co ów *attaché militaire* w Europie, tj. któryby nietylko nauczył się języka mandarynów (tyle co francuski w Europie), ale przeczytał kilkanaście dzieł uczonych chińskich i poetów, ba nawet sięgnął do ksiąg Konfucyusza (miasto Biblii) — Europejczyk taki uchodziłby w Europie za pierwszorzędną powagę jako chinolog, zdanie jego byłoby alfą i omegą, wystarczałoby przeczytać dzieło jego, by znać *à fond* i rozumieć Chiny!

Na ten temat możnaby jeszcze godzinami pisać. Nim wrócę do Japonii, zacytuję zdanie, raczej życzenie mego autora Chińczyka: „Sądzę, że kraje cywilizowane powinnyby założyć akademię, któraby kontrolowała książki o wrażeniach z podróży i publikacye o obyczajach obcych krajów. Czemuby nie zrobiono sanitarnego kordonu przeciwko kalumnii?“ Pod wrażeniem tego *pium desiderium* mojego szanownego autora Tseng-ki-tonga, patrzę na kraje, które zwiedzam; pod tem wrażeniem zwłaszcza notuję coraz rzadziej t. zw. wrażenia z podróży w moim dzienniczku! Zamiast pisać, kupuję fotografie, te przecie w niższym stopniu kłamią, jak autorowie opisów podróży, choć i one kłamią, bo nie mówią nic o kolorycie, o oświetleniu, same kontury ludzi i krajów notując.

Czytając większość opisów podróży po Japonii, nabywa się mimowoli wyobrażenia, że ta przyroda tutaj, to miniatura przyrody gdzieindziej, że ludzie tu liliputy, i to liliputy, dzieci, umiejące ładniutkie rzeczy w bronzie wyrabiać, ładniutkie figurki z kości słoniowej wyskrobywać, śmiać się, jeść nader malutko malutkich owoców i zdziebełek ryżu. Wszystko w diminutywach, wszystko w miniaturze; ludek głupiutki; łaskawi nań zowią go narodem małpim, dlatego, że doszedłszy nagle ni stąd ni zowąd do przekonania, że cywilizacya europejska stoi najwyżej ze wszystkich innych, z pośpiechem istotnie zadziwiają-

cym przerabiają siebie i swój kraj na wzór europejski! Nie przeczę, że ludek, liczący jednak podobno wyżej 36-ciu milionów dusz, na pierwszy rzut oka w niektórych swych przedstawicielach dziwne robi wrażenie, tj. wrażenie niedorosłego moralnie i fizycznie. Zapewne, że większość, zwłaszcza południowych Japończyków, nie dorosłszy miary zwykłej, wypsnęła się Stwórcy z rąk na ziemię. Żeby to były liliputy, przeczę, bo już w tym krótkim czasie, który tu bawię, spotkałem niejednego wzrostem mnie zupełnie równego! Co do dziecięcości Japończyków, owej tak zwłaszcza przez Francuzów okrzyczanej dziecięcości, naiwnej wesołości, to, o ile widzę, rzeczywiście mają poniekąd racyę ci panowie; ale zaiste trzeba być nader ograniczonym, by ową tradycyonalną, niestety coraz podobno bardziej w niepamięć idącą grzeczność i uprzejmość względem każdego i wszystkich, wielkiego i małego, biednego i ubogiego, ów może co prawda nieraz według naszych pojęć za daleko idący konwenans we wzajemnych stosunkach towarzyskich obu płci, ów prawie wieczny uśmiech na twarzy Japończyka, a tak częste, daleko się rozlegające wybuchy śmiechu — brać za dno charakteru narodu, a nie za to czem owe przymioty są, tj. za objawy temperamentu z natury wesołego, a ujętego w formy starannego wychowania. Trzeba być ślepym, by módz tak sobie od niechcenia, jak ci panowie to czynią, *à la légère* traktować to całe społeczeństwo japońskie, jakby ładniutki gracik! Toć przecie ci ugrzecznieni Japończycy przeprowadzają z bezprzykładną wytrwałością i siłą woli proces przeistoczenia kilkudziesięcio milionowego społeczeństwa w kilkunastu latach! Z barbarzyńców (zawsze w pojęciu liberała postępowego) stają się w latach 18 czy 20 społeczeństwem na równi stojącem, pod względem wynalazków, nauki i t. d., ze społeczeństwami od lat dziesiątków nad ucywilizowaniem się pracującemi; toć ci Japończycy, zupełnie nie myśląc o utworzeniu wygodnego dla kupców europejskich targowiska ze swego kraju, biorą z Europy i Ameryki północnej to co za pożyteczne uważają, mając zresztą Europę i Europejczyków za środek dla siebie, za cytrynę, którą po użyciu wyrzuca się; i nietylko nie oddają im kierownictw lub własności swych wiel-

kich przedsiębiorstw handlowych, ale nawet do wnętrza swego kraju ich prawie nie puszczają. Wreszcie Japończycy, owe niewiniątka, które według pp. podróżnych nie mają mieć najmniejszego przywiązania do religii, skoro ktokolwiek, swój czy obcy zrani choćby najniewinniej ich uczucia religijne, mażą to przewinienie krwią winowajcy! Fanatyzm religijny może tutaj potężniejszy u jednostek, niż w Chinach, zwłaszcza między sintoistami. Wszak sześć dni przed naszym przyjazdem tutaj, w dzień ogłoszenia konstytucyi nowo nadanej, zebrane ciało dyplomatyczne i dwór, daremnie i ku wielkiemu ogólnemu zdziwieniu czekały na przybycie ministra oświecenia. Po chwili nareszcie dowiedziano się, że minister ten nie żyje, gdyż został właśnie zamordowany. Zupełnie niepojęta energia i decyzya, spokój i przemyślność owego mordercy. Minister oświecenia przed półtora rokiem zwiedzał jedną ze świątyń sintoistów; przyczem nie zdjął wbrew prastaremu obyczajowi obuwia i podniósł kotarę, zasłaniającą świętości, w sposób nie okazujący uszanowania, bo laską. Syn kapłana owej świątyni poprzysiągł zemstę. Przez najrozmaitsze, niesłychanie skomplikowane drogi i wykręty udało mu się otrzymać audyencyę u ministra, pod pozorem, że chce go ostrzedz przed zamachem na jego życie. Udał krótkowidzącego, by mieć pretekst zbliżenia się do ministra. W chwili gdy o kilka kroków od siebie byli i zamieniali zwykły ukłon, morderca utopił nóż swój ogrodniczy w brzuchu ministra.

Podobno tych parę uwag wystarczy, by dać do myślenia, że uprzejmość i uśmiech na twarzy, to nie są jedyne rysy charakterystyczne Japończyków. Że ta cywilizacya europejska narzucona, wciśniona na ten naród, równa się klęsce narodowej, to może możnaby jako hipotezę, mającą wiele *pro*, mało *contra*, pod dyskusyę poddać. Że dziś nikt nie wie i wiedzieć nie może, jakie będzie jutro Japonii wobec nadania owej, co najmniej niewczesnej konstytucyi — to także nie ulega wątpliwości.

Oto moje pierwsze wrażenie o Japończykach!

Tokio, 15 marca.

Wczoraj był niby obiad, niby zabawa, którą dał dla mnie p. Siebold za pośrednictwem p. O-hara, to znaczy „grubego żołądka“, Japończyka niewielkiej dystynkcyi, ale wielkiej fortuny i wielkiej biegłości w urządzaniu „przyjęć książęcych“, jak się o nim wyrażono. Naprzód więc przydługa wizyta u p. O-hara, gdzie piwem nas traktowano, podczas czego gospodarz żuł malutką pomarańczkę. Buty naturalnie musieliśmy zdjąć; siedzieliśmy jednak na krzesłach. Potem właściwa ekspedycya do Josziwara, rzeczywiście *comme coup d'oeil* niesłychanie ciekawa; wreszcie kolacya w herbacianym domku, gdzie na ziemi patyczkami świństewka się jadło. Szczegóły pozostawiam do ustnych opowiadań moim kochanym znajomym i przyjaciołom.

Polowałem temi dniami na malutkie zajączki japońskie, przyczem ubiwszy jednego, wpakowałem pono parę śrócin biednemu psiarczykowi, Japończykowi, który w sposób niesłychanie rycerski ranę omył, ciągle się uśmiechając, i chodził dalej za psami jeszcze lepiej jak przedtem. Zresztą kupowałem i oglądałem te tysiączne, najrozliczniejsze, ładne, śliczne, prześliczne i cudowne przedmiociki, które Anglicy, głównie zaś, zdaje mi się, Amerykanie, przezwali *Curio;* owe arcydziełka, ba nawet arcydzieła gustu, cierpliwości i niezrównanej dokładności w wykończeniu, które stanowią sztukę i rękodzielnictwo Japonii; kupiłem parę rzeczy nader pięknych, choć stosunkowo do dawnych cen nader drogo. Kupując, przechodziłem istotnie Tantalowe męki. Gorączki w kupowaniu dodawał mi sowicie niebawem spodziewany przyjazd hrabstwa Bardi'ch, którzy zapewne i te resztki pięknych rzeczy wykupią, które jeszcze do dziś dnia w Japonii pozostały.

Co tu powiedzieć o rękodziele, o sztuce japońskiej? O rękodziełach tom, o sztuce tomy spisaćby można. Kto nie był w Japonii, kto nie zna owych kilku rzadkich przedmiotów starojapońskich w Europie przechowywanych, ten o sztuce pojęcia nie ma i mieć nie może! Sztuka ich wykończeniem, wiernością, naszą dzisiejszą przewyższa, przedewszystkiem znajomością natury.

Najbardziej przypomina mi może arcydzieła starych mistrzów dobrych czasów sztuki niemieckiej; ale stoi o tyle wyżej, że obejmuje daleko więcej fachów, bo i malarstwo i haft i rzeźbiarstwo, w najszerszem słowa znaczeniu, wraz ze snycerstwem, o jakiem od dawna w Europie nikt pojęcia nie ma. Tu trzeba może na pierwszem miejscu wyliczyć laki japońskie. Częścią może one należą do rękodzieł, ale są zarazem z takim artyzmem, z tak niepojętą finezyą wykonane, że je pomiędzy arcydzieła sztuki liczyć śmiało można. Za długoby to trwało, za dalekoby nas zawiodło, chcieć tu wyliczać, opisywać, tłumaczyć każdą z osobna z owych cudownie pięknych i bogatych gałęzi, w które tak obfituje, obfitowała sztuka i rzemiosło japońskie. Spróbuję przywieźć parę małych rzeczy na pokaz — to najkrótszy i najłatwiejszy sposób tłumaczenia. Niestety, za późno tu przyjechałem! Przed laty dziesięciu trzeba tu było być, i wtedy mieć dużo czasu i monety na rozkazy.

Widzę, żem zakroił na wykład o Japonii; możem za długo, a jednak za mało wyczerpująco napisał; reszty za powrotem, da Bóg, dopowiem... Na tem na dziś kończę, bo przychodzi mój najmilszy kelnerek, Japończyk, mówiący 10 słów po angielsku, by mi oświadczyć, że gaz w pokojach wolno palić tylko do 12-tej w nocy — poczem zawsze swoim szczebiocącym głosikiem mówi: *yon mow?* kłania się śliczniutko i życzy: *yon night* (połykając naturalnie pół liter) i wychodzi! Ten kelner, choć ma lat ze 30, wygląda na 15, i jest rzeczywiście nie większy jak 13-letni chłopiec.

Miliony razy ściskam.

P. S. Załączona koperta, którą mam jeszcze z domu, zrobi faktycznie *le tour du monde,* jadąc na Amerykę!

W drodze do wysp Riu-kiu, 17 marca.

Korci mię poznać to, co jest najmniej znanem w Japonii. Dlatego skorciło mię zrobić wycieczkę do wysp Riu-kiu (Japończycy, którzy *r* nie wymawiają, mówią Liu-kiu), najbardziej południowej posiadłości Japonii, już w pobliżu Formozy

położonej. Później zamierzam zrobić podobną wycieczkę na północ, na wyspę Jesso. Podobno dopiero trzech Europejczyków było na Riu-kiu. To zaostrza ciekawość, ale też piętrzy trudności przed taką wyprawą.

Nabieramy więc odwagi i ruszamy, najprzód do Kobe, gdzie mamy wsiąść na statek. Biegeleben w Tokio, już jest u mety swej wędrówki; ale udało mi się znaleść nowego towarzysza podróży w osobie p. Franca Neydhart, artysty-malarza, Austryaka, bawiącego przejściowo w Japonii. Obaj rankiem, przed wyjazdem statku, puszczamy się konno, by oglądać zachwalaną przez Siebolda miejscowość kąpielową Arima. Rozczarowanie na całej linii; do widzenia absolutnie nic, — beknąłem 10 dolarów za szkapy, jakiś rodzaj potworów bez nerwów, które, zdaje mi się, tylko złośliwi japońskiemi końmi przezywają.

Po południu dnia 16, o czwartej, ruszył nasz parowczyk ku Kagosimie i Riu-kiu. Uczucia, które nami formalnie miotały, nie dadzą się opisać! Do zrobienia wycieczki do Riu-kiu namówił mnie Siebold. Cóż będzie, jeżeli się okaże, jak wszyscy, prócz Siebolda, przeze mnie pytani twierdzili, że nie warto było zupełnie jechać do tego nieszczęsnego Riu-kiu! W malutkim parowcu japońskim, ja i mój Neydhart jesteśmy jedyni biali, z kapitanem Japończykiem, z kuchnią japońską. Cóż poczniemy nieszczęśliwi w razie burzy, które o tym czasie pono na obu morzach, i Chińskiem i Oceanie Spokojnym, często się zdarzają? Dalej, tyle czasu, pieniędzy, fatygi stracić, by nic i znowu nic ciekawego nie zobaczyć! o bogowie! coby to była za okropność! Wszystkie ujemne strony tej podróży ze zdwojoną siłą stawały przed naszemi oczami. Dodajmy, że, jak wspomniałem, każdy któregom pytał, uśmiechał się litościwie nad tą szaloną głową, która dobrowolnie pod miecz się kładzie i do Riu-kiu jedzie! — W biurze, gdzieśmy bilety kupowali, nawet urzędnik, sprzedający nam te tak zabawnie wyglądające papierki, japońskiemi znaczkami okryte, nawet ten urzędnik litować się zdawał nad nami. W hotelu żegnano nas, jak żegnali zapewne Hiszpanie odpływającego Kolumba.

Pod takiemi auspicyami opuszczamy Kobe. Na statku kuchnia

japońska, trzeba więc było wziąć co potrzeba na 14 dni, i samemu przy pomocy przewodnika, który z nami jedzie, gotować. Boże, bądź nam miłościw! Mam uczucie, że robię głupstwo, a jednak coś mi w duszy mówi, że końcowo będę z tej ekspedycyi zadowolniony; nie zapominając, że będziemy 4-tym i 5-tym Europejczykiem, którego noga po ziemi wyspy Riu-kiu chodzić będzie.

Na statku japońskim, 21 marca.

Pierwszy dzień oficyalny wiosny u nas. Tu już dobrze słonko dogrzewa. Jesteśmy w Osimie, co znaczy po japońsku: wyspa. Jak zwykle, tak i tym razem obawy nasze się nie ziściły. Nasz stateczek choć malutki, ale czyściutki; mamy bardzo dobre kajuty, ja nawet ogromną. Z jedzeniem wprawdzie trochę biedę klepiemy, ale jakoś to idzie. Kapitan, Japończyk, nadzwyczaj miły i grzeczny, robi co może, by nam egzystencyę uprzyjemnić. Morze również grzeczne dotychczas; co naturalnie nie przeszkadza, że np. wczorajszego dnia w przejeździe między Kagosimą a Osimą, wydostawszy się na pełny ocean, skakaliśmy jak waryaty! „Ocean Spokojny“, tak przezwany dlatego, że właśnie nigdy nie jest spokojny; dziwnie musiał on dojechać temu, kto go „Pacyfikiem“ przezwał, bo w tem przezwaniu przebija trochę ironii i może trochę rozpaczy.

Kagosima, port i główna osada wyspy Kiu-Ziu, gdzie owa słynąca z porcelany Satsuma leży, gdzie jeszcze ostatni *Daimios*, książe udzielny żyje — to istny raj! Nic piękniejszego, jak ta zatoka, u której północnego końca miasto Kagosima leży. U wejścia pyszne skały; daleko w oceanie potężny wulkan; nad samem wejściem do zatoki drugi, Satsuma-fudżi zwany; oba czynne, dymiące, sapiące, straszne, stoją na straży tej pięknej wyspy. Całość krajobrazu ma wulkaniczny charakter, więc jest śliczna; zieloność bujna, prześliczne drzewa, domki, ogrody; w górze niebo południowe, w dole lazurowe morze, które w nocy miliardem iskier fosforyzuje; to wszystko zamknięte skałami bazaltowemi, oblanemi zastygłą czarną lawą — obraz cudowny. Przytem mimo skał, wulkanów, kraterów na wsze strony, zatoka

potężna, szeroka, ogromna, a w środku wyspa przez wygasły wulkan utworzona. Ludzie mniej mili za to, niż na wyspie głównej „Nippon“, mniej czyści, mniej o porządek i czystość dbali. Białych nie cierpią, to też chodząc po ulicach otoczeni bywaliśmy całą czeredą dzieci, chłopców, starszych i starych; wszyscy w sposób rzeczywiście niemiły gapią się na tego waryata białego, i uwagi najniepochlebniejsze wzajem sobie komunikują.

Nad miastem Kagosima wisi góra, cała z lawy, porosła dziś zupełnie podzwrotnikową, bujną roślinnością, lasem bambusowym. To Szirojama, pamiętna z czasów ostatnich wysiłków partyi separatystów, przeciw centralizującemu rządowi mikadów. O bitwie, która tu miała swego czasu miejsce, chcę przetłumaczyć z angielskiego bardzo dobrze napisane dziełko, tak jak tłumaczę obecnie *Tales of old Japan*, myśląc, że kilka takich opowiadań o wiele ciekawszemi być powinny dla naszej publiczności, niż nawet najciekawiej napisany opis podróży, dają bowiem wyobrażenie o tem, czem Japonia była; dzisiejsza Japonia i mniej piękna, i nie rycerska i mniej warta. O dzisiejszej ma się jakie takie w Europie wyobrażenie, o minionej, dawnej, rycerskiej, feudalnej Japonii — nikt pojęcia nie ma.

Osima to dziura, miasteczko portowe, około 700 domostw liczące; klimat piękny, ziemia wydaje się niezła; ale ludność brudna, brzydka i uboga. Eksportują stąd rocznie 70.000 *oké* (136 ton angielskich) cukru, który w sposób rzeczywiście więcej niż prymitywny wyciskają z trzciny cukrowej. Dwa walce drewniane okute blachą, poruszane za pomocą koła młyńskiego, wygniatają cukrowy sok z trzciny.

(C. d. n.).

Paweł Sapieha.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Dzieje filozofii w zarysie. Tom I. Ogólny wstęp do dziejów filozofii i dzieje filozofii na Wschodzie. Przez *d-ra Maurycego Straszewskiego,* zw. profesora filozofii w Uniwersytecie Jagiellońskim. Kraków 1894. (W 8-ce, str. 411).

Dzieło p. Straszewskiego rozpada się na cztery działy: rozdz. I. nosi tytuł: „Ogólny wstęp do dziejów filozofii"; rozdz. II.: „Dzieje filozofii w Indyach"; rozdz. III.: „Dzieje filozofii w Chinach"; wreszcie rozdz. IV.: „O filozofii u Egipcyan i u narodów zachodniej Azyi".

We Wstępie daje autor treściwy pogląd na istotę i zadanie filozofii, na stosunek jej do religii i do innych szczegółowych nauk. Cały ten Wstęp jest z jasnością i ścisłością przeprowadzony. Autor trzyma się tu przeważnie pojęć o filozofii klasycznych, co wśród dzisiejszego chaosu wyobrażeń niemałą jest oryginalnością i zasługą — a po swojemu ją w całość ujmuje. Dowody, jakie daje na poparcie swych wniosków, są zwięzłe i przejrzyste, odprawy szkołom Hegla, Comte'a i innym są nieraz świetne. Szczególnie to na uwagę zasługuje, że ważna a trudna kwestya o stosunku religii do filozofii, z której tylu dzisiejszych myślicieli wybrnąć nie może, znajduje w tym Wstępie jasne i naturalne wytłumaczenie. Od sposobu zaś rozwiązania tej kwestyi zależy nietylko ocena pojedyńczych filozoficznych systemów, ale także pomieszczenie lub pominięcie w dziejach filozofii całych wielkich odłamów historycznego rozwoju myśli ludzkiej, mniej lub więcej religią przesiąkłych. Otóż, jakkolwiek religia i filozofia wychodzą z różnych

punktów widzenia, — „religia — jak mówi autor (str. 8) — opiera swe prawdy na wyższej powadze, filozofia zaś buduje oparta na powadze rozumu ludzkiego“ — to jednak ani religia bez filozofii, ani filozofia bez religii obejść się nie może i nie obchodzi. I tak z jednej strony „religia zmierza do systematycznego i umiejętnego ujęcia swych prawd i zasad, wytwarza teologią, która bez pomocy rozumu obejść się nie może“; z drugiej zaś strony „trudnoby nam przyszło wskazać kierunek filozoficzny zupełnie nie dotknięty wpływem panujących wyobrażeń religijnych“ (str. 9). Skąd autor wnioskuje: „że zakres dziejów filozofii nie da się całkowicie i ściśle oddzielić od zakresu dziejów religii i teologii“. Ten właśnie wniosek był powodem, że p. Straszewski do swego „Zarysu dziejów filozofii“ wciągnął ludy Wschodu, których filozofia tak ściśle złączoną była z religią. Wreszcie należy być nader wdzięcznym autorowi, iż nie żałując zmudnej pracy, podał dokładny i dobrze zrobiony wykaz piśmiennictwa, odnoszącego się do historyi filozofii.

Rozbiór poszczególnych dziejów rozpoczyna autor od Indyj. „Z wieku i godności“ to pierwszeństwo należało się Indyom, i autor słusznie najwięcej poświęcił miejsca dziejom filozofii tego kraju. P. Straszewski podaje najprzód treściwy pogląd na „początki filozoficznych spekulacyj w hymnach Rigwedy“; następnie przyjmuje trzy systemy filozoficzne, mianowicie: Samkhya, Nyaya i Waiśeszika, i przechodzi dość szczegółowo każdy z nich. W dalszym ciągu zajmuje się autor Buddyzmem i Wedantyzmem i doprowadza ich przebieg aż do ostatnich czasów.

Nie będziemy się sprzeczać z autorem o klasyfikacyę filozofii hinduskiej, zaznaczyć jednak musimy, że tego podziału nie trzyma się znaczna część piszących o tym przedmiocie: Nyaya jest właściwie logiką albo dyalektyką, Waiśeszika zaś kosmologią, są zatem raczej „działami“ filozofii a nie „systemami“. Lecz nie możemy godzić się z autorem, że filozofia hinduska polegała głównie na subtelnych pojęciach wyrażeń „atman“ i „rtam“, i że z różniczkowania tych pojęć wyłoniły się różne szkoły filozoficzne. Nie możemy przystać na zdanie autora, jakoby systemy filozoficzne wypływały z walki między Brahmanami i Kszatryami. „Wojownicy i królowie — pisze p. Straszewski (str. 206) — pragnąc złamać powagę kapłanów, przenieśli walkę z dziedziny praktyki także na pole teoryi i stali się krzewicielami filozofii niezależnej od kapłańskiej liturgii“. W tej epoce i jeszcze później filozofami byli właśnie li tylko kapłani, którzy pochodzili z kasty Brah-

manów; nie każdy Brahman był kapłanem i filozofem, nie każdy kapłan był filozofem, ale każdy filozof był kapłanem i Brahmanem. Kszatryowie dowodzili zbrojnemi zastępami, rządzili krajami; od ich orężnego poparcia zależał nieraz los tego lub owego systemu filozoficznego; lecz sami nie stawiali własnych systemów, to nie było ich zadaniem, i historya stwierdza to dostatecznie. Genezy i rozwoju filozofii należy szukać gdzieindziej.

W czasach całkiem historycznych, w których powstały pierwsze pomniki piśmiennictwa hinduskiego, ludność Indyj składała się z trzech odrębnych ras: aryjskiej, chamickiej i turyjskiej; każda z nich miała swe własne pojęcia religijne, wyrobione wiekami, i usiłowała je uzasadnić rozumowo — stąd różne systemy filozoficzne. Jeżeli gdzie, to przedewszystkiem w Indyach filozofia była ściśle połączona z religią, była tylko jej narzędziem. Ludom hinduskim chodziło głównie o kwestyę: w co wierzyć, kogo i jak czcić. Tak samo dzieje się i dzisiaj. W ostatnich czasach tacy mężowie hinduscy, jak: Ram-Mohun-Roy i Keszab-Czandra-Sen, do tego pismem i słowem dążyli, żeby swych ziomków zwrócić do pierwotnej wiary aryjskich przodków. Każda z trzech ras starała się przeprowadzić swoje zapatrywania religijne: były spory filozoficzne i walki orężne; lecz koniec końcem, każda została przy swojem. Pomimo mieszania się tych ras i ścierania pojęć, powstały i dziś jeszcze istnieją w Indyach trzy religie: Wisznuizm, Siwaizm i Buddyzm, które, jakkolwiek zmienione nieco w szczegółach, noszą jednakże niestarte ślady swego pochodzenia, i odpowiadają dawnym religiom trzech głównych ras. Jakkolwiek p. Straszewski zaznacza w swem dziele, że „filozofia w religii ma swój początek i w religią ostatecznie się przekształca“ (str. 324), jednakże w praktyce niedosyć może uwzględnił to „wielkie prawo“, nie przeprowadził go w swych wykładach, i dlatego pomimo niezaprzeczonego talentu, z jakim przedstawia różne systemy filozofii hinduskiej, trudno uchwycić związek, jaki między niemi istnieje, jako nie oparty na żadnej rzeczywistej podstawie.

W części trzeciej autor podaje przebieg filozofii chińskiej. Lecz czy istnieje chińska filozofia? Jeżeli — jak słusznie twierdzi p. Straszewski: „Każda filozofia obraca się zawsze około następujących głównych zagadnień: Jakie są pierwsze wszechrzeczy przyczyny? — Kto jest Ten, co tu ład i porządek utrzymuje? — czem jest świat? — czem człowiek, jako istota działająca i myśląca, i jakie jego przeznaczenie?“ (str. 209) — wówczas na powyżej zadane pytanie wypada odpowiedź

przecząca. I w istocie. Głównym przedstawicielem filozofii w Chinach jest bezsprzecznie Konfucyusz i jego szkoła; otóż Konfucyusz na pytania swych uczniów, odnoszące się do pierwszych przyczyn, celu człowieka, przyszłego życia, odpowiadał wymijająco, a nawet często wyrażał się, że o tych rzeczach nic nie twierdzi, bo nic o nich nie wie. Konfucyusz zajmował się jedynie etyką i polityką i wszyscy niemal późniejsi myśliciele chińscy na tem poprzestają. Uczeni, a raczej „piśmienni“ Chińczycy są przedewszystkiem „patryotami“, powtarzają bezmyślnie sentencye Konfucyusza, niewolniczo spełniają stare praktyki swych przodków, nie troszcząc się bynajmniej o ich znaczenie przyczynowe lub celowe, sama forma zewnętrzna jest dla nich treścią.

Przedstawicielem szerszych i głębszych poglądów był współczesny Konfucyuszowi Lao-ce; dzieło jego pod tytułem: *Tao-te-king*, znalazło uznanie nawet wśród uczonych europejskich, lecz należy zauważyć, że pojęcia rzeczywiście filozoficzne, jakie tam spotykamy, przedostały się z Indyj, jak to już dziś stwierdzono. Te nowe pojęcia wzbudzały wielki ruch umysłowy w Chinach: był czas, że sami nawet panujący byli zwolennikami Lao-ce'go, a ruch ten wzmógł się jeszcze bardziej, skoro Buddyzm, rozwielmożniony w Indyach, coraz więcej szerzył się w Tybecie i wdzierał się do Chin. Patryoci chińscy, chcąc położyć tamę Buddyzmowi, na podstawie pojęć Lao-ce'go, zawartych w Tao-te-king, utworzyli sektę zwaną Taoizmem. Taoizm jest Buddyzmem skrajanym na modłę chińską. Obecnie w Chinach istnieje Taoizm obok Buddyzmu; lud należy do jednej lub do drugiej z tych sekt, piśmienni należą do religii państwowej, zwanej również „religią Konfucyusza“. Czytelnik znajdzie w „Zarysie dziejów filozofii“ p. Straszewskiego treściwy ale wyczerpujący przebieg pojęć religijno-filozoficznych w Chinach, doprowadzony do ostatnich czasów.

Czwarta część „o filozofii Egipcyan i narodów Zachodniej Azyi“, stanowi ostatni rozdział książki p. Straszewskiego. Na trzydziestu kartkach autor pomieścił filozofię Egipcyan, Chaldejczyków, Persów i Żydów — to za mało. Widoczną jest rzeczą, że autor, spiesząc się z wydaniem swej książki, zbyt polegał na badaniach cudzych, a na nieszczęście, wybrał sobie przeważnie racyonalistów za swych przewodników. Jeżeli gdzie, to w Egipcie należało mówić o religii, albowiem jedynie pomniki religijne tam istnieją; i tu właśnie przewodnicy zaprowadzili naszego autora na mylne drogi. Niepodobna jest wdawać się w szczegółowy rozbiór poglądów p. Straszewskiego; zauważymy tu tylko ogólnie, że pierwotna jednobożność Egipcyan, wiara ich w nie-

śmiertelność duszy, tylu stwierdzona dokumentami, jednozgodnie prawie przyjęta przez uczonych Egiptologów, jest albo zakwestyonowana przez p. Straszewskiego, albo też gubi się wśród frazesów ewolucyonizmu.

Podobny też pośpiech znać w przedstawieniu pojęć religijnych Chaldejów. Mało jest wprawdzie pomników piśmiennych z Chaldei, przeto niewiele możemy wiedzieć pewnego o pojęciach religijno-filozoficznych tych ludów; ale też dlatego nie należało pomijać milczeniem takiego dokumentu, jakim są „Przygody Izdabara"; należało wspomnieć o hymnach akkadyjskich, które wyrażają tak podniosłe pojęcia o Najwyższej Istocie.

Wreszcie przychodzimy do Awesty. Jeżeli można się było wymówić brakiem dostatecznych materyałów w ocenieniu pojęć Egipcyan i Chaldejów, to żadną miarą wymówka ta nie może służyć co do Awesty. Księga, która swą przeszłością sięga głębokiej starożytności, która spowodowała cały zastęp pierwszorzędnych uczonych do poświęcenia się jej badaniom, wymagała lepszego opracowania i sprawozdania. Co więcej, ponieważ p. Straszewski nie uwzględnił tego co dziś jest rzeczą zupełnie dowiedzioną, tj. że części Awesty powstały w różnych czasach i z różnych pochodziły źródeł, poglądy jego dogmatyczne na Awestę nie są organicznie zestrojone, a wyniki etyczne wydają się bezpodstawne.

Poruszyliśmy niektóre zarzuty, które poddajemy do ocenienia znawcom, a przedewszystkiem uczonemu autorowi. Stąd jednak nie wynika, żebyśmy mało cenili tę pracę i nagromadzoną w niej erudycyę i jasność wykładu i oddaną krajowi przysługę. Nie mieliśmy dotąd żadnej oryginalnej pracy, obejmującej całość dziejów filozofii; książka p. Straszewskiego jest pierwszą w tym rodzaju. Streścić w jednym tomie wiekową pracę myśli ludów wschodnich, nie było rzeczą łatwą, tem bardziej, że historycy filozofii pomijali ją milczeniem, właśnie dlatego może, że im była zanadto z historyą religii związana. Stąd niełatwo było ustrzedz się pewnych usterek. W każdym razie p. Straszewski wydając swą książkę zasłużył się niezaprzeczenie naszemu piśmiennictwu, wypełnił w niem lukę, zapełnianą dotąd nieudałemi tłumaczeniami. Śmiało więc polecamy te „Dzieje filozofii" wszystkim, których filozofia i historya myśli ludzkiej interesuje. Prof. Straszewski stoi wyżej od wielu filozofów, bo z prawdziwego stanowiska, jakeśmy powiedzieli na początku, na całość filozofii patrzy, a nadto rozumie jej stosunek do religii — i umie w danym razie swój pogląd na ten

stosunek pięknie wypowiedzieć. Oto jak kończy niniejszą książkę: „Na schyłku starożytnego świata stosunki tak się ułożyły, iż po jednej stronie stanęły wszystkie dorobki spekulacyjne i religijne Wschodu w sojuszu z filozofią grecką, po drugiej stronie stanęło Objawienie w księgach Starego Testamentu zawarte, a dopełnione przyjściem Chrystusa na świat, Jego nauką, Jego śmiercią na krzyżu męczeńską i Zmartwychwstaniem. I rozpoczął się bój umysłowy, największy jaki ludzkość widziała! Zwycięskim wyszedł z niego Ten, o którym powiedziano, iż w Nim jest żywot i prawda".

Ks. W. Zaborski.

Filozofia jako nauka akademicka. Napisał *dr. Aleksander Skórski,* docent uniwersytetu lwowskiego. We Lwowie. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 1893. (Str. 153 dużej ósemki).

Celem i treścią tej książki jest przedstawienie głównego zadania i zakresu nauk filozoficznych. Autor, podawszy własne określenie filozofii, przystępuje do podziału jej na trzy części: logikę, metafizykę i etykę; każdej z tych części zakreśla granice, obejmujące właściwy jej — według swych zapatrywań — przedmiot. Trzy te główne działy wyczerpują wszystkie inne nauki, jakie autor uważa za należące do filozofii; nad każdą z tych nauk oddzielnych zastanawia się obszerniej, właściwy jej wyznaczając zakres i określając zadanie. Taka jest mniej więcej treść sześciu pierwszych rozdziałów. Rozdział siódmy poświęcony jest rzutowi oka na różne poglądy filozoficzne, a przedewszystkiem na poglądy samego autora. Ostatni rozdział, z kolei ósmy, zajmuje się krytyką metod w samodzielnem badaniu i w nauczaniu filozofii.

Już samo to wytoczenie tak ważnych i praktycznych kwestyj o filozofii — choćby poglądy autora niezupełnie się zgadzały z naszemi — wydaje nam się rzeczą bardzo pożyteczną, mogącą się przyczynić przynajmniej do wyświetlenia jej i należytego postawienia.

Przypatrzmy się poglądom autora na zasadniczą kwestyę o pojęciu filozofii wogóle i zakresie nauk filozoficznych. W pewnym jakimś systemie filozoficznym kryteryum, służące do rozstrzygnięcia sporu, czy ta a ta nauka należy do filozofii czy nie, stanowi i stanowić tylko może to pojęcie i określenie filozofii wogóle, jakiego się trzyma ów system. System szanownego autora opiera się na pojęciu filozofii jako „nauki umiejętności" czyli nauki, „którąby samo doświadczenie w przedmiotowych i podmiotowych jego warunkach, samą genezę i rezultaty poznawania, samą wogóle wiedzę wytłumaczyć się starała"

(str. 9). Przez filozofię autor rozumie umiejętność ogólną, „która samą wiedzę ludzką za wyłączny przedmiot swoich rozbiorów sobie obrała“ (str. 8). To pojęcie filozofii miało wypaść „w genetyczny niejako sposób“, według zapowiedzi autora na początku rozdziału pierwszego (str. 3), z pojęcia umiejętności wogóle — i rzeczywiście wypadło, ale chyba tylko dlatego, że się tak autorowi podobało; owej genezy, co to „najnaturalniejszą drogą do pojęcia filozofii“ doprowadzić nas miała, pomimo najlepszej woli nie możemy się dopatrzeć. Jeżeli co logicznie możnaby wysnuć z badań autora, podjętych w celu dojścia do określenia filozofii, to co najwyżej to, że uzasadnioną jest zupełnie nauka, za przedmiot sobie właściwy mająca wiedzę jako taką. Ale, czy pojęcie tej nauki przystaje do pojęcia filozofii, czy filozofia nie jest właśnie niczem innem, jak tą nauką o wiedzy jako takiej, tego w żaden sposób nie rozstrzyga dochodzenie autora. Co gorsza, nawet nie została rozstrzygniętą kwestya, czy ta nauka o wiedzy należy do filozofii czy nie, gdyż pod koniec wywodów autora nic więcej o filozofii nie wiemy, jak w samym ich początku, czyli ani o krok nie postąpiliśmy na tej drodze badań naprzód.

Pomijając jednak samą drogę, jaką autor obrał, rachujmy się z danem przez niego określeniem filozofii po prostu jako z faktem. Powiada autor: przez filozofię rozumiem naukę o wiedzy. Dobrze; czekajmy, co więcej usłyszymy o tej, tak pojętej, filozofii.

Autor odwołuje się na podobne pojmowanie filozofii przez Fichtego, Hegla i „najwybitniejszych też dziś myślicieli“. Co do owych „najwybitniejszych myślicieli“, to zamiast tego ogólnika, wolelibyśmy gdyby nas autor zapoznał z ich nazwiskami i systemami, wiedzielibyśmy wtedy, czy ma prawo uciekać się do ich powagi. Fichte zaś i Hegel mogli tak pojmować filozofię, gdyż z ich idealnego stanowiska należy wiedzę podmiotową uważać za jedyne źródło wszelkich rzeczy i wszelkich o nich nauk. Ale p. Skórski przecież nie jest idealistą, przynajmniej stanowczo się tego wypiera na str. 98 i nast., zatem prócz wiedzy podmiotowej musi uznać coś poza tą wiedzą będącego, a najogólniejszej o tem c z e m ś nauki nie może identyfikować wraz z idealistami z nauką o wiedzy jako takiej.

Mielibyśmy słuszny powód przypuszczać, że filozofia, określona jako nauka o wiedzy samej, nie będzie się zajmowała jak tylko tą wiedzą. Tymczasem, ku niemałemu naszemu zdumieniu, wyczytujemy na str. 11, że „teorya umiejętności wydziela z siebie i drugą część filozofii, to jest metafizykę“. Według samego autora przedmiotem metafizyki jest „byt

ogólny", „realne zasady wszechbytu". Jakżeż to pogodzić z określeniem filozofii jako nauki o wiedzy samej? Czyż realne zasady wszechbytu, „byt ogólny", to jedno i to samo, co nasza wiedza? A jeśli nie to samo, to albo ta druga część filozofii do filozofii nie należy, albo przez filozofię należy rozumieć coś więcej, niż naukę, za wyłączny swój przedmiot mającą samą wiedzę ludzką. Skoro autor znalazł w swej filozofii miejsce dla metafizyki, to już i etyka ma prawo do takich samych względów, gdyż słusznie autor zauważył, że etyka wypływa z metafizyki. Tak więc, pomimo bardzo ścieśnionego określenia filozofii, autor zgadza się na historycznie utarty podział filozofii na logikę, metafizykę i etykę.

Zobaczmy, jak autor określa oddzielne te nauki i jaki każdej z nich zakres przeznacza.

Trudno się dopatrzeć ścisłego określenia logiki, określenia takiego, któreby nam jasno tę naukę od innych wyróżniło. Dowiadujemy się tylko o niej, że jest to najogólniejsza część „teoryi umiejętności", zajmująca się „umiejętnym rozbiorem tego ogólnego pojęcia wiedzy, które jest wzajemnem źródłem, wspólnym pierwiastkiem wszelkich umiejętnych badań, w specyalnych naukach złożonych, a z powyżej określonego wyższego stanowiska uważanych" (str. 10—11), że można ją uważać za „naukę, której głównem zadaniem jest naukowy rozbiór i uzasadnienie ogólnego pojęcia umiejętności" (str. 14). Autor uważa to sformułowanie głównego zadania swojej logiki za właściwe jej określenie, owszem, twierdzi, że w tem „określeniu zbiega się wszystko, cokolwiek o rozległem znaczeniu tej filozoficznej dyscypliny przez najrozmaitszych myślicieli wygłaszane bywa" (str. 14—15). Ta logika, nazwana przez autora „teoretyczno-poznawczą", ma przedstawiać pośredni kierunek, utworzony „z jednostronnych kierunków formalnej i metafizycznej logiki razem wziętych i stosownie przerobionych" (str. 15).

Z tego wszystkiego wcale jeszcze nie mamy jasnego i dokładnego pojęcia o logice p. Skórskiego. Cokolwiek więcej rzuca na nią światła pobieżnie skreślony zakres każdej z trzech części, na które, zdaniem jego, logika „teoretyczno-poznawcza" ma być podzielona. Pierwszy dział podmiotowy, omawiający „formalne funkcye rozumu" (str. 14), jest to zwykła logika formalna czyli t. zw. dyalektyka. Drugi dział „przedmiotowy" tak określa autor: „Druga przedmiotowa (realna lub metafizyczna) część naszej nauki rozbiera przedewszystkiem ogólne pojęcie bytu czyli przedmiotowości, zastanawiając się, o ile w wykazanych w pierwszej części prawach i prawidłach myślenia ta przedmiotowość

swój wyraz i odbicie znaleść może; czyli o ile zasadnicze stosunki i względy przedmiotowości odpowiadają rzeczonym, a w każdym razie za ich sprawą powstającym, wytworom intelektualnym" (str. 17). Drugi zatem dział logiki, o ileśmy autora zrozumieli, łączy w sobie część ontologii i część logiki materyalnej, t. zw. krytyki czy noetyki. Trzeci dział obejmujący „wyjaśnienie teoretyczno-poznawcze wzajemnego węzła między podmiotowością a przedmiotowością" (str. 14) ma wyłuszczyć „teoryę o początku wiedzy", „rozwinąć naukę o metodach, traktującą o postępowaniu analitycznem i syntetycznem, o definicyi, dywizyi, partycyi, analogii, hipotezie, dowodzie i systemie", „w końcu zaś wykazać prawdziwe zasady i cechy umiejętności: przyczem znamiona prawdy... przedewszystkiem szczegółowo wyłożone być muszą". Jak z tej zapowiedzi widać, trzeci dział logiki p. Skórskiego wkracza w sferę psychologii z jednej strony, z drugiej zajmuje się przedmiotami właściwemi dyalektyce i krytyce; zatem sądzilibyśmy, że lepiej było pozostać na dwu tylko działach, skoro bez trzeciego bardzo wygodnie można się obyć, owszem przez wprowadzenie jego popełnia się błąd przeciw jednej z dyalektycznych reguł podziału.

Drugą część swojej filozofii, tj. metafizykę, za przedmiot mającą „byt ogólny", uzasadnia autor w ten sposób, że „o ile każda rzecz jest częścią ogólnego bytu, należy ją w teoryi umiejętności uważać ze względu na te realne najogólniejsze podstawy i zasady" (str. 11). To uzasadnienie, choć samo w sobie dobre, nie zdaje się nam być zgodnem z określeniem filozofii, podanem przez autora, gdyż przedmiotem „teoryi umiejętności" jest umiejętność, nie jakaś specyalna, np. matematyka, lecz umiejętność jako taka: „sama wiedza" stanowi jej „wyłączny przedmiot", nie zaś rzecz sama. Jeżeli zaś autor, niepomny na określenie filozofii jako nauki o wiedzy, zaliczyć do niej chce metafizykę jako naukę o bycie ogólnym, toć nie powinien jej ram zacieśniać tak bardzo, jak to czyni w 3-cim rozdziale swej książki. Paradoksalnie wygląda wobec określenia metafizyki, jako nauki o ogólnym bycie, następujące zdanie autora: „Z zakresu naszej metafizyki wyrugowane jednak całkiem być muszą te działy Wolffowskiej jeszcze metafizyki, które: jak ontologia (w naszej logice częściowo uwzględniona), kosmologia (z apriorycznemi pojęciami o świecie), racyonalna psychologia i teologia, jeszcze przez krytykę Kanta raz na zawsze z obrębu właściwej filozofii wyłączone zostały". Naprawdę bardzo to dziwne zdanie: raz na zawsze została wyłączona z obrębu właściwej filozofii ontologia, a autor w swojej filozofii nie zawahał się jej

uwzględnić, jak to sam przyznaje; racyonalna psychologia raz na zawsze została wyłączona z filozofii, a autor w swojej filozofii zajmuje się niejednem z jej zagadnień (por. str. 28—29; dość długi ustęp o wolności woli na str. 36—40; ustęp o nieśmiertelności duszy na str. 110—111). Filozofia p. Skórskiego mieści w sobie także „krytykę religii" czyli nauki „o bóstwie i jego stosunku do świata" (str. 57), o ile przeto taka krytyka należy do filozofii, o tyle i teologia (naturalna) jako nauka o bóstwie należeć do niej musi. Projektowana przez autora treść pierwszej części jego metafizyki prawie cała ściśle znów należy do kosmologii, raz na zawsze wyłączonej z filozofii.

Prosilibyśmy szanownego autora o danie nam odpowiedzi na to pytanie: czy możliwą jest nauka, traktująca o kwestyach, należących do ontologii, teologii przyrodzonej, psychologii t. zw. racyonalnej i kosmologii, a jeśli jest możliwą, to jakby ją najstosowniej można nazwać?

Metafizyka p. Skórskiego trzy obejmuje działy: metafizykę świata nieorganicznego, metafizykę świata organicznego, prócz fenomenów świadomości, i metafizykę tych ostatnich fenomenów.

Nie możemy sobie pozwolić na szczegółowy rozbiór całego rozdziału o metafizyce i jej częściach. Natomiast zastanowimy się nieco dłużej nad poglądami szanownego autora na etykę i filozofię religii.

Co autor rozumie przez etykę? Część filozofii, która treścią swą obejmie „rozwagę wszelkich zdarzeń i fenomenów, które się odbywają pod godłem ludzkiej — wolności" (str. 33). Przedmiotem etyki, albo — jak ją autor nazywa — „dziejowo-etycznej umiejętności", jest „świat rodzinny, towarzyski, społeczny, polityczny, estetyczny, religijny i umiejętny", świat, który „wytworzył sobie człowiek pod wpływem swojej własnej umysłowości" (str. 32). Bardzo słusznie autor twierdzi, że w tym świecie istnieją podobne normy i wzory „dla postępowania i zachowania się w życiu, jakie mamy w samej nauce dla odróżnienia prawdy od fałszu". Takie stanowisko zajmuje autor na samym wstępie do swej etyki. Stanowisko to z pewnością jest dobre i bezpieczne. Teraz o toby tylko szło, ażeby istnienie tych norm stwierdzić faktycznie, uzasadnić teoretycznie, wykazać ich naturę, podstawy i t. d. Istnienia norm moralnych broni autor argumentem *ex absurdo* przeciw zarzutom skeptycznym krótko, ale wystarczająco; szkoda tylko, że pominął prawie zupełnie silny i niezachwiany dowód empiryczny na istnienie norm przedmiotowych w porządku moralnym.

Dotąd wszystko dobrze. Z natężeniem oczekujemy filozoficznego

wytłumaczenia natury tych norm moralnych. Niestety, doznajemy zawodu, czytając: „Te ogólne zasady nie mogą być czem innem, tylko naturalnemi popędami, kształtującemi siłami“ (str. 35). W dalszym ciągu autor normom tym daje nazwę „zasadniczych moralnych popędów apriorycznych“ (str. 36). Kardynalną niedokładność popełnia autor, nie odróżniając popędu od tego, do czego ten popęd jest skierowany: to drugie pojęcie dopiero może w pewnem znaczeniu odpowiadać pojęciu normy. Jeżeli się tego odróżnienia nie zrobi, jeżeli się zidentyfikuje pojęcie popędu z pojęciem normy, tem samem zajmie się stanowisko tak niebezpieczne w etyce, stanowisko czystego subjektywizmu kantowskiego.

Czem dalej, tem bardziej autor popada w rażące niedokładności. Mówiąc o wolności, autor miesza z sobą dwa pojęcia, które w etyce koniecznie należy od siebie odróżnić: pojęcie wolności woli jako takiej, czyli wolności psychologicznej, i pojęcie wolności pod względem moralnym uważanej (tj. że wolno to lub owo zrobić bez naruszenia prawa moralnego). Tem pomieszaniem pojęć tłumaczy się cały szereg zdań błędnych a co najmniej grzeszących swą niejasnością.

Według autora „zagadnienie wolności, o którem starożytna filozofia prawie nic nie wiedziała, wyłoniło się jasno z dziejów ludzkości dopiero wtedy, kiedy z rozwojem wyobrażeń religijnych doszli ludzie do świadomości ‚grzechu‘“ (str. 36). Tkwi tu naprzód nader gruby błąd historyczny, jakoby starożytna filozofia nic prawie nie wiedziała o zagadnieniu wolności: Arystoteles więcej o niem wiedział od wielu dzisiejszych filozofów, a Epikur bardzo dokładną zdawał sobie z niego sprawę. Następnie tkwi tu drugi błąd historyczny, jakoby ludzie dopiero w dalszym jakimś okresie dziejów doszli do świadomości grzechu. Dalej w zdaniu przytoczonem mowa co najwyżej być może tylko o wolności etycznej, nie należało zatem rozciągać twierdzenia do wolności wogóle; wolność bowiem wogóle, tj. wolność psychologiczna może być uważaną zupełnie niezależnie od świadomości grzechu. Wreszcie zdanie to nie da się uzasadnić w żaden sposób historycznie, a, jako stwierdzić mające fakt, tylko tą drogą musiałoby być udowodnione; owszem raczej zagadnienie wolności wyprzedzić było powinno świadomość grzechu, gdyż grzech bez świadomości wolności ani pomyśleć się nie da.

Wolność woli określa autor w ten sposób: „Tak okazała się potrzeba przyjęcia, choćby dla teoryi, takiej wyższej władzy psychicznej, któraby przełamać mogła konieczne funkcye życia duchowego w celu spełnienia powinności, — i tak wykombinowaną władzę nazwano —

wolnością“ (str. 37). Dziwna to władza, przyjęta tylko tak sobie, dla teoryi; jeszcze dziwniejsze są te konieczne funkcye życia duchowego, które może przełamać jakaś przypuszczona wyższa władza; a najdziwniejsza tak wykombinowana wolność! Mówi to autor wprawdzie niby nie od siebie, lecz — jeżeliśmy go zrozumieli — w duchu tych, co w taki sposób dochodzą do uzasadnienia wolności woli; w każdym razie popełnia autor znowu wielką niedokładność. tak ogólnie przedstawiając dziwaczne to zdanie, że zupełnie się nie wie, co chciał przez nie powiedzieć.

Jednak już od samego siebie z pewnością wypowiada zdanie następujące, które jeszcze może dziwniejsze jest od poprzedniego: „A jednak t. zw. ‚potrzeby serca‘ przywodzą ciągle na pamięć tę nieuchronną alternatywę teoretyczną: albo uznawać ściśle umiejętny pewnik przyczynowości, a tem samem odmówić waloru powinności: albo uznać powinność i przyjąć tę władzę wolności, któraby odpowiadała ‚rozkazującej‘ formie powinności, a w takim razie zakwestyonować znów powszechną i konieczną ważność prawa przyczynowości“ (str. 38). Oczywistą jest rzeczą, że autor nie zdaje sobie sprawy jasno z tego, co to jest powinność, uważa ją nie za coś rzeczywistego, lecz za jakąś formę fikcyjną, nieuchwytną, nieokreśloną; pewno, że takie rozumienie powinności nie potrafi jej pogodzić z zasadą przyczynowości; ale wina tej niezgody leży nie w naturze rzeczy, lecz w niejasnem ich pojmowaniu. A jednak autorowi rozjaśniła „tę kwestyę jeszcze przed laty krytyczna rozprawa Karola Goeringa“ (str. 38).

Sam autor rozwiązuje kwestyę wolności woli na podstawie pojęcia normy. Przez normę moralną autor rozumie na str. 35 coś innego niż na str. 39: tam norma była „popędem apriorycznym“, tutaj „te, powszechnie obowiązujące normy stanowią uprzywilejowany niejako wybór z całej rzeszy tych wyobrażeń moralnych, które wytwarza naturalna prawidłowość psychiczna pod rozmaitemi warunkami“ (str. 39). Jak należy rozumieć jedno i drugie określenie norm moralnych, w jaki sposób jedno z drugiem się godzi, tego nam autor niestety nie tłumaczy.

„Właściwą wolność człowieka“ wyjaśnia autor w następujący sposób: „Uznane więc powszechnie normy moralne nie muszą, lecz mogą nadawać kierunek ludzkiej woli; a mogą dlatego, bo będąc dokonanym raz wyborem z pośrodka rozmaitych możliwości psychologicznych, nie przełamują tem samem przyczynowego łańcucha w mechanizmie życia duchowego“ (str. 39). Ośmielimy się zapytać sz. autora:

1) kto tego wyboru pierwszy raz dokonał i jak taki wybór wyjaśnić, skoro przed nim nie było jeszcze owych norm powszechnych?; 2) czy ten pierwszy wybór nie wszedł w kolizyę z zasadą przyczynowości?; 3) a jeśli nie wszedł, to dlaczegóżby nie można każdego następnego wyboru woli od tej kolizyi ocalić?

Jeżeliby jeszcze kto z czytelników „Filozofii jako nauki akademickiej" nie zrozumiał dotąd jasno poglądów autora na wolną wolę, to do reszty je sobie rozjaśni po przeczytaniu ostatecznej jego konkluzyi: „Gdybyśmy tedy cały zasób świadomych norm moralnych, panujących nad poszczególnemi popędami i namiętnemi poruszeniami człowieka, nazwać chcieli ‚rozsądkiem', wówczas powodowanie się takim rozsądkiem stanowiłoby całą istotę wolności: wolność zaś sama będzie ideałem w życiu podobnie, jak wszystkie normy umiejętne!" (str. 40).

Wyłożywszy swą teoryę wolności woli, autor zajmuje się „krytycznem sformułowaniem głównej zasady moralności" (str. 40) i dochodzi „do wyniku, że sama świadomość obowiązków jest istotnie główną zasadą morału" (str. 42). A więc norma czysto subjektywna, zupełnie po kantowsku pojęta, stanowićby miała główną zasadę moralności. Do subjektywnego jednak formalizmu kantowskiego dodaje autor poprawkę, że należy uwzględnić i podstawy historyczne, mające pouczyć o tem, „jakiego jest rodzaju ten obowiązek w danym wypadku" (str. 42).

Reszty rozdziału o etyce podajemy pobieżną treść tylko.

„Zadanie pierwszej części etyki ogólnej będzie już wyczerpane", jeżeli „okaże się dowodnie, że sumienie można nazwać obrazowo: siedliskiem norm moralnych". „Treścią zaś drugiej jej części będzie rozbiór i ustalenie pojęć poszczególnych norm". „W trzeciej nakoniec części naszej dyscypliny chodzić już będzie o rozwinięcie pojęcia obowiązku i o rodowód tych kardynalnych cnót, które życiu moralnemu właściwy nadają kształt, utrzymując równowagę między zmysłową a umysłową stroną człowieka" (str. 43).

Etykę specyalną określa autor w ten sposób: „Tutaj zastanowimy się nad normami działań człowieka nasamprzód w stosunku do własnej jego rodziny, następnie do całej gminy, plemienia, ojczyzny, państwa, a ostatecznie do całej ludzkości". „Wszystkie odnośne teorye obejmujemy mianem ‚filozofii społecznej'" (str. 45). „Filozofię społeczną" dzieli autor na „ekonomikę" wraz z ekonomią społeczną, filozofią prawa i filozofią historyi.

Cały rozdział następny (V.) poświęca autor wyłuszczeniu swoich

poglądów na filozofią religii. Jest to najsłabsza część pracy autora i najważniejsze zawierająca błędy.

Zaczyna on dziwnie od Feuerbacha, jakoby począwszy od niego „filozofia religii“ przeobraziła się w „krytykę religii“. Któż kiedy brednie Feuerbacha o religii brał na seryo? i gdzież są jego „gruntowne poszukiwania“? Gdybym z niego cokolwiek przytoczył, wprawiłbym w wesoły humor czytelnika, ale może w zły humor autora. Mniejsza zresztą o Feuerbacha; ale czemuż krytyka religii ma zastąpić filozofię religii? W dalszym pochodzie myśli autor wpada w utarty szablon: religie opierają się wyłącznie na „uczuciu wiary“ *(sic)*, — filozofia nie może „mniemanego ich świata zaziemskiego poczytywać za rzeczywistość“, — może tylko konstatować sprzeczności religij między sobą i badać fakt ich istnienia jako „imponujący przedmiot“. O odprawach sto razy danych temu szablonowi szan. autor zdaje się nie wiedzieć; ale przynajmniej toby powinien był spostrzedz że swoją idzie drogą owa krytyka religij na uczuciu opartych, a swoją drogą filozoficzne badanie absolutu i najwyższej przyczyny świata i naszego do niej stosunku, teorya religii wogóle, — filozofia religii. Jedno nie wyklucza z natury rzeczy drugiego. Autor, który w zasadzie nie odrzuca metafizyki, nie powinienby tego ostatniego badania uważać za niemożliwe; a w każdym razie nielogicznie je z góry odrzuca dlatego, że ową krytykę uznaje za dobrą.

W dalszym ciągu tego rozdziału idzie cały szereg twierdzeń błędnych o religii i jej stosunku do filozofii, nie wiadomo skąd zaczerpniętych i nie wiadomo na czem opartych, ułożonych mniej więcej według tej modły: „Wszystkie też usiłowania, począwszy od ojców kościoła aż do Hegla, ażeby drogę rozumową zawiązać i ustalić spokój i zgodę między filozofią a religią, musiały spełznąć na niczem“ (str. 56). Nie możemy szczegółowo zbijać tych ogólników, gdyż naprawdę trzebaby większą na to poświęcić książkę, niż cała „Filozofia jako nauka akademicka“.

Treść szóstego rozdziału stanowi program pedagogiki ogólnej i stosunek jej do pedagogiki specyalnej. Rozdział ten o wiele lepiej napisany jest od poprzednich — a choć i tutaj nie brak błędnych zapatrywań (na cel wychowania osobliwie), to jednak wiele jest w nim zawartych cennych wskazówek i trafnych uwag. W pedagogii najwięcej autorowi trafia do przekonania system Herbarta, zmodyfikowany i udoskonalony przez filozofów-herbarcyanów.

Wiele również zdrowych poglądów autor wypowiedział w siódmym rozdziale swej książki. Podnieść tu należy np. zdanie, że pośród najróżnorodniejszych poglądów filozoficznych na świat i życie jeden jest tylko prawdziwy, gdyż „jedna tylko może być prawda, acz wielorakie jej przedstawienia“ (str. 82); albo że „wskazaną jest zawsze dla początku filozofii taka ogólna zasada kierująca, któraby pełne zaufanie rozumu do swojej zdolności rozeznawania prawdy od fałszu, za swe niczem nie zatarte ogłosiła godło“ (str. 84).

Nie możemy się jednak stanowczo zgodzić na to, jakoby wiadomo było powszechnie, że „trzecie znaczenie filozofii“, tj. określające główne jej zadanie jako: formułowanie religijnych przekonań, „przeciąga nić swoją przez całe t. z. wieki średnie“. Historycznie fałszywem jest również zdanie następujące: „Przeważna nawet cecha tych czasów polega na tem, aby religijnemu przekonaniu wiernych nadać naukowy wyraz zewnętrzny“ (str. 88).

Uzasadnienie krytycystycznego stanowiska autora w filozofii napisane zajmująco i stosunkowo do reszty książki jasno. W krytykę tych wywodów nie wchodzimy, potrzebaby na nią bowiem poświęcić osobny co najmniej artykuł.

Ostatni rozdział napisany jest z całej książki najlepiej i z największą znajomością rzeczy, zwłaszcza ustęp o sposobie nauczania filozofii w uniwersytetach (str. 137—153). Bardzo są trafne uwagi o seminaryach filozoficznych i pedagogicznych, za których utworzeniem przy katedrach uniwersyteckich autor przemawia stanowczo. Ku pociesze autora dodamy, że Uniwersytet Jagielloński posiada już od wielu lat konwersatoryum filozoficzne i pedagogiczne, spełniające funkcye projektowanych seminaryów.

Co do sposobu wprowadzania początkujących do filozoficznych przybytków, autor jest za tem, aby uczeń zaczął swą naukę filozoficzną od zagłębienia się w systemie jednego „wielkiego jakiego myśliciela“, wczytując się w jego dzieła. Nam się zdaje, że młody człowiek, z gimnazyum przechodzący na uniwersytet, powinienby zacząć od skróconego studyum klasycznej filozofii, choćby od byle jakiego podręcznika filozofii podług Arystotelesa. To mu otworzy w głowie szufladki i uzdolni go do oryentowania się w późniejszych czytaniach i wykładach. Gdyby zaś zaczął od zatapiania się w dziełach jednego z nowożytnych filozofów, to albo nic nie zrozumie, albo, co gorsza, wyrobi sobie od razu myślenie jednostronne podług szablonu tego autora.

Mimo tylu niedostatków w szczegółach, na które z obowiązku krytyka zwróciliśmy uwagę, książka ta ma rzeczywistą wartość i ubogą naszą literaturę filozoficzną wzbogaca. Brak jej może precyzyi, ścisłości, ale nie brak wielkiego bogactwa myśli i obfitego materyału informacyjnego. Ogólny pogląd na filozofię, za ciasno najprzód sformułowany, potem się jednak rozszerza i obejmuje nieledwie jej całość. Główne działy filozofii — nie wyjąwszy metafizyki, co jest niemałą w naszej literaturze filozoficznej zasługą — postawione są na swoich miejscach. Cel więc autora: skreślenie programu filozofii jako nauki akademickiej, jest w znacznej części dopięty.

S. K.

Czem filozofia jest a czem będzie. *Z. Gabryelski.* Kraków. Nakładem G. Gebethnera i Spółki. 1894. (Str. 78 dużej ósemki).

Tytuły rozdziałów według spisu rzeczy są następujące: I. Wstęp. II. Odpowiedzi różnych filozofów na pytanie: „Czem filozofia jest". III. Moja odpowiedź na to pytanie. IV. Odpowiedzi różnych filozofów na pytanie: „Czem filozofia będzie". V. Moja odpowiedź na to pytanie. VI. Zestawienie i rozbiór czynionych filozofii zarzutów. VII. Zakończenie.

Wstęp zawiera zapowiedź tego, o czem autor chce pisać, czyli powtórzenie spisu rzeczy, a nadto logicznie nie wiążące się z tą zapowiedzią dwa cytaty z Jana Śniadeckiego, zbyt znane, iżby je trzeba było przedrukowywać. W rozdziale drugim autor wspomina o określeniach filozofii, do jakich doszli Spencer, Zeller i Flügel. Metody, jakiemi oni do swych określeń dochodzili, uważa za błędne, wszystkie one bowiem tę posiadają wadę, iż „zapominają, że filozofia jest nietylko pojęciem, ale i wyrazem" (str. 18). Zrobiwszy to odkrycie, autor zestawia poglądy rozmaitych filozofów na filozofie. W następnym rozdziale autor podaje własne określenie filozofii: „Filozofia jest to nauka ogólna, mająca na celu rozumienie nauk szczegółowych i religii, a więc zespolenie wiedzy i wiary w całość zaspokajającą potrzeby umysłu i serca" (str. 27). Rozdział IV-ty stanowi króciutka wzmianka (24 wierszy) ogólnikowa o zapatrywaniach niektórych filozofów na zadanie filozofii. W rozdziale V-tym autor dochodzi do wniosku, że kiedyś „nazwiskiem filozofii szczycić się będzie jedynie metafizyka, a filozofia, która pierwotnie była nauką ogólną, przestanie być wogóle nauką i przeobrazi się w sztukę" (str. 37). Rozdział szósty, najlepszy ze wszystkich, zajmuje więcej niż połowę książki; broni w nim autor filo-

zofii przeciw zarzutom, jakoby ona była niepraktyczną, niepotrzebną i zmienną. W ostatnim rozdziale autor podaje streszczenie swej broszurki.

Pan prof. Skórski, zdając sprawę z tej książeczki w marcowym numerze *Ateneum*, wykazuje, że jest w niej mnóstwo miejsc wypisanych z cudzych książek; mybyśmy na to głównie zwrócili autorowi uwagę, że ona zdradza jeszcze wielki brak przetrawienia przedmiotu, a gęste cytaty i nazwiska filozofów nie robią jeszcze wrażenia filozoficznej uczoności, bo to wszystko nie bardzo jest logicznie powiązane.

Żywimy nadzieję, że dalsze może prace szan. autora na tem polu wyrosną z tego usterku.

S. K.

Tadeusz Kościuszko, jego życie i czyny. Napisała *Aniela Korngutówna*. Gdańsk 1894. Drukiem i nakładem B. Milskiego.

Najbardziej chyba opuszczoną, zapomnianą i odłogiem leżącą dzielnicą ziemi polskiej jest pod wielu względami Pomorze. Nietylko Niemcy we własnym interesie głoszą całemu światu, że polski ten niegdyś zakątek został już zupełnie zgermanizowany, ale nawet my Polacy niewiele jaśniejsze w tej mierze mamy dotąd pojęcie. A jednak na Pomorzu żyje obecnie około dwóch milionów Kaszubów, czujących się nawskróś Polakami. Wprawdzie przez czas długi Kaszubi pogrążeni byli jakby we śnie głębokim, nie dając na zewnątrz żadnego znaku życia, ale od lat kilku zaczynają budzić się powoli z tego duchowego letargu. Wielką w tej mierze zasługę położył przedewszystkiem p. Bernard Milski, który od lat czterech wydaje w Gdańsku poczciwą, prawdziwie katolicką i polską *Gazetę Gdańską*, od czasu do czasu zaś ogłasza drukiem niewielkie, ale zacną myślą owiane książeczki dla kaszubskiego ludu. Jedną właśnie z tych książeczek wymieniliśmy powyżej w tytule. Autorka w sposób nader barwny i zajmujący kreśli w niej biografię racławickiego Bohatera, podając nawet wiele szczegółów, pomijanych przez innych biografów Kościuszki, lub może zupełnie im nieznanych. Zeszkicowawszy pobieżnie pobyt Kościuszki za granicą, p. Korngutówna kładzie główny nacisk na jego działalność w kraju, przeplatając zręcznie swe opowiadanie ustępami z dzieł naszych poetów, a zwłaszcza z „Bitwy Racławickiej“. Nader zajmujący jest opis rozmowy Kościuszki z carem Pawłem I., jak również ostatnich lat jego życia w Solurze. Wogóle autorka, postawiwszy sobie za cel scharakteryzowanie Kościuszki, jako człowieka wielkiego ducha, zacnego serca

i głębokiej wiary, która nigdy go nie opuściła — wywiązała się wybornie ze swego zadania, i chociaż w szczupłych ramach, ale nader plastycznie potrafiła odtworzyć postać tego znakomitego wodza, zachęcając zarazem swych współobywateli do godnego obchodu stuletniej rocznicy jego walk i zwycięstw.

Nie da się też zaprzeczyć, że powyższe dziełko, podobnie jak i inne popularne wydawnictwa *Gazety Gdańskiej,* jak np.: „Jarmark na świętego Dominika", powiastka z dziejów Gdańska skreślona przez Milewską — „O Sejmie Czteroletnim i Konstytucyi 3 Maja" i „Kozacze zawieruchy" opowiedziane przez Sedlaczkównę, a wreszcie przeróbki Sienkiewiczowskich powieści, dokonane również przez tę ostatnią, daleko większą ludowi polskiemu, zarówno na Pomorzu jak i u nas, przynieść mogą korzyść, niż fantastyczne opowiadania „O Gryzeldzie", „Stylfrydzie", „Hirlandzie" lub też „O Alibabie" i „Czterdziestu rozbójnikach" *e tutti quanti,* jakiemi inni księgarze i wydawcy niemal corocznie go darzą.

Tytus Sopodźko.

Z najświeższych wydawnictw dla młodzieży.

Po Jantar — wyprawa rzymska do ujścia Wisły z rozkazu Cezara Nerona. Napisał *Szczęsny Morawski.* Kraków 1894. Nakład Waler. Ciesielskiego. (W 8-ce, str. 339).

Zaszczytnie znany badacz i miłośnik naszej przeszłości, szczególnie przedhistorycznej, pokazuje nam w tej książce nowe owoce swych mozolnych studyów i niebezpodstawnych hipotez. Nie zrażajmy się tytułem, nie sądźmy iż to suche dzieje jakiejś rzymskiej drużyny po bursztyn, — bo to znaczy z fenickiego urobiony wyraz *jantar* — nie myślmy, że tu tylko archeologiczna jakaś rozprawa się toczy o nazwy ludów, krajów i rzek. Autor na tle zajmującej wyprawy rzymskiej, z historycznie możliwą ścisłością przedstawia nam dzieje, charakter ludów, jakie przed pojawieniem się Polski historycznej zajmowały te ziemie. W swoją opowieść wplótł misternie to wszystko, czem wyobraźnia ludu ubrała nasze pierwotne dzieje — i niejedną legendę wyjaśnia przystępnie i sprowadza do właściwej miary i znaczenia. Z tego, co autor przytacza o nazwach opisywanych ziem i ludów, pokazuje się niezwykła jego erudycya, znajomość dokładna pisarzy starożytnych — przedewszystkiem Tacyta. Dla zajmującej treści i sposobu opowiadania, które jest w stanie zająć młode umysły, polecić możemy

śmiało tę książkę starszej młodzieży szkolnej. Jakkolwiek spotka tam ona miejscami ustępy trudniejsze, dedukcye filologiczne dosyć zawiłe, znajdzie zarazem wiele ciekawego materyału historycznego, który ją pouczy i poznawać i kochać naszą przeszłość i przekazane przez nią pamiątki.

Z dziejów odkrycia Ameryki. Opowiadania historyczne. *C. Falkenhorst.* Przełożył z niem. *Karol Jurkiewicz.* Warszawa 1893. Nakładem Gebethnera i Wolffa. (W 8-ce, str. 560).

Nie tak dawno święcił cały nowy i stary świat pamięć wielkiego odkrywcy nieznanych ziem, Kolumba. Kiedy się przeglądało liczne stosy publikacyj zagranicznych w najrozmaitszym kierunku, a których treścią była ta wspaniała postać, świecąca jako słońce zachodzące u końca średnich wieków, żal się budził w duszy, że w tym ogólnym hołdzie ludzkości myśmy tylko zostali na uboczu. Prócz bowiem obowiązkowych sprawozdań po dziennikach, prócz kilku niewiele mówiących rozprawek po pismach peryodycznych, nie pojawiło się u nas nic poważniejszego z tego zakresu.

Książka, którą właśnie omówić mamy, jakkolwiek ściśle należy do epoki odkryć Kolumba, nie jest również dziełem oryginalnem, ale tłumaczeniem tylko. A i niemiecki autor, kto wie, czy nie skorzystał z dawniejszego już dzieła Campego, który te same trzy momenta rozwinął w swem opowiadaniu o Ameryce, streszczając całość w historyi Kolumba i jego towarzyszy, w przygodach przy zdobywaniu Meksyku i przy odkryciu złotodajnej Peruwii. Jakiekolwiek może być ostateczne źródło, skąd Falkenhorst wziął pomysł do swej pracy, opowiadanie jego jest ściśle historyczne. Nadto pisane jest widocznie dla młodzieży, uwzględniono w niem wszystko, czego od takiego dziełka pedagogia wymagać tylko może. Więc jest tu opowiadanie zajmujące, barwne, miejscami przeplecione rzewnemi scenami, nie rozmija się przecież nigdzie z dziejową prawdą, a tem samem i poucza i bawi młodego czytelnika. Trzy części dziełka: „Towarzysz Kolumba“, „Pod chorągwiami Korteza“ i „W złotodajnej Peruwii“, obejmują w całości dzieje odkrycia nowej części świata, wszystkie ważniejsze wypadki towarzyszące pracom Kolumba, sceny z wojen meksykańskich i dalszego tryumfalnego ale nie zawsze nacechowanego chrześcijańską miłością pochodu Hiszpanów.

Polski przekład zdobi 16 udatnych rycin, a co się tyczy poprawności, czystości i gładkości języka, wystarczy powiedzieć, że tłumaczenia dokonał p. Jurkiewicz, znany zaszczytnie z innych już prze-

kładów i prac swoich. Jakkolwiek więc skromny to z naszej strony hołd, złożony czci Kolumba — dobry jest przecież i młodzieży naszej bardzo pożyteczny być może. *Ks. A. Boc.*

Atlanta czyli przygody młodego chłopca na wyspie tajemniczej. Przez *Zofię Urbanowską*. Kijów i Kraków 1893.

Czujność sterników opinii i straży bezpieczeństwa ducha niedość jest zwróconą ku przyszłości, niedość baczy na przypływ książek pisanych dla młodego wieku, kształtujących umysły i serca dziecięce. Krytyka w lot chwyta nikłe powieści, jednodniowe wydawnictwa, fantastyczne opowiadania, filozoficzne rozprawy i roczniki dziejowe, aby je ocenić lub zasądzić, pomija natomiast milczeniem ten bodaj najważniejszy dział literatury, który głodnym wrażeń a świeżym umysłom dostarcza pokarmu i strawy, działając nieraz rozstrzygająco na myśl, sumienie i życie. A byłoby obowiązkiem brać na przetak obfity plon w różnej formie podawany spółczesnej dziatwie, i oddzielać plewy od czystego ziarna, choć niełatwo przyszłoby opanować olbrzymie zapasy rosnącego wciąż piśmiennictwa dla młodego wieku. Co we Francyi, w Anglii, w Niemczech książek, powieści, baśni, czasopism wyłącznie wydawanych dla dzieci lub młodzieży! We Francyi firma Hetzela niemal wyłącznie służy tej sprawie, a zarazem i podstępnie popiera systematyczne odchrześcijanienie młodych pokoleń, karmionych ślicznemi zresztą gadkami, z których dzieci mogą nabrać wyobrażenia o całym Bożym świecie, jeno nie o jego Twórcy, o którym nigdy wzmianki nawet nie bywa w tych ozdobnych i starannych publikacyach. W książkach przeznaczonych dla dzieci, koryfeusze bezbożności nie śmieją wprost zaczepiać religii i wypleniać wiary, ale próbują milczeniem obojętnem zapomnieniem i pominięciem wzgardliwem odzwyczajać od niej młode dusze. A podstęp tak bywa osłonięty i na pozór niewidzialny, że nikt zrazu nie dostrzeże zasadzki.

U nas podobnego rodzaju niebezpieczeństwa dotąd niema, owszem, pewne moralne zdrowie i poczciwość rodzima wieje z mnożących się wydawnictw dla młodego wieku, co najwięcej grzeszących pewną czczością lub sztuczną naiwnością, na którą się młodych czytelników nie łapie, bo im chodzi o to, aby ich na seryo traktować, rozwijać i podnosić, a nie zniżać się ku nim, dając im odczuć czynione ustępstwo. Zasłużyłby się istotnie naszej społeczności krytyk podejmujący przegląd coroczny wydawnictw gwiazdkowych, sypiących się jak z rogu obfitości, mianowicie w Warszawie. Rośnie tam literatura dziecięca, — rośnie w miarę ucisku. „Skąd tam tyle książek dla młodego

wieku się drukuje i rozchodzi, stokroć więcej aniżeli w Krakowie, Lwowie lub Poznaniu?“ — pytaliśmy niedawno krakowskiego księgarza. — „Bo u nas swoboda, a tam uczyć się po polsku nie wolno!“ — brzmiała wymowna odpowiedź.

Z pośród mnóstwa nowości, zalegających w ostatnim roku półki biblioteki dla młodego wieku, na osobną uwagę zasługuje powieść nie-powieść, baśń czarodziejska na rzeczywistości oparta, której tytuł wypisaliśmy powyżej. Nie obce nam nazwisko autorki. Udarzyła nas już ona niejednym pociągającym utworem, żeby tylko wspomnieć powieść dla młodzieży p. t. „Księżniczka“, oraz studyum małomiejskich w Królestwie Polskiem stosunków zatytułowane: „Wszechmocni“. Obecnie innego chwyta się rodzaju, uprawianego tak świetnie przez francuskich pisarzy, zespoleniem nauki z zabawą, zręcznem pomieszaniem uczonego wykładu i uroczego opowiadania, fantazyi i rzeczywistości, lekcyi i rozrywki, spopularyzowaniem wiedzy, uprzystępnionej łatwością i ubarwieniem lekcyi. Nowy to system, nowa w pedagogii metoda i prądy. Przyszłość wykaże płynące stąd korzyści, rozstrzygnie o wyższości nowego nad starym obyczajem. Czy pomyślny rezultat uwieńczy zabiegi dzisiejszego pokolenia i zgotuje nam następne świetniej i głębiej wykształcone i ukształcone? Orzec trudno, przewidzieć niepodobna. Osiągnięte jak dotąd skutki niezbyt pomyślne rokują nadzieje. — *Je ne crois pas aux méthodes faciles d'apprendre les choses difficiles* — mawiał hrabia Józef de Maistre, utrzymujący słusznie, iż trudem tylko zdobyć można rzeczy trudne. W „Atlancie“ p. Urbanowska próbuje nietyle udzielić swym młodym czytelnikom różnych wiadomości z dziedziny nauk przyrodzonych, przedewszystkiem botaniki, ile raczej rozmiłować ich w otaczających nas cudach przyrody, przypomnieniem i pełnem wdzięku wskazaniem dziwów świeżo odkrytych i rozpoznanych w zaklętej krainie głównie roślinnego świata, acz nie brak pobocznych wycieczek i w inne dziedziny natury.

Król Bożydar trzem synom swoim, królewiczom: Kryształkowi, Pióropuszkowi i Zielonce, przeznaczył na mieszkanie czarowną wyspę Atlantę, w której sobie wedle upodobania dobrali dzierżawy. Kryształek zapanował nad światem minerałów, Pióropuszek nad fauną, Zielonko nad florą przyznanego sobie państwa. Gdy „Wieczory rodzinne“ zapragnęły mieć korespondenta z onej czarodziejskiej krainy, Zielonko upoważnił dawnego mistrza swego do sprowadzenia z Warszawy chłopczyka miłością do kwiatów wyróżnionego, któryby mógł słać redakcyi swoje wrażenia z obcych wybrzeży. Przybywa tedy Janek Sierota na

ląd nieznanej wyspy, nurza się w odsłoniętych oczom czarach i cudach, zdumiewa się ukrytemi obojętnemu lub krótkowidzącemu oku zjawiskami, które natychmiast spisuje, dla przesłania redakcyi „Wieczorów rodzinnych“. A jednocześnie snuje się nić jego własnych kolei, uwieńczonych odnalezieniem ojca, o którego śmierci był pewnym, a który skazany niegdyś do kopalni złota, kilkakrotnie ucieczką się ratował, żeby nareszcie nędznym rozbitkiem zawinąć do gościnnej przystani Atlanty. Owa to postać tajemnicza dodaje niewymownego uroku opowiadaniu p. Urbanowskiej, a podaje jej sposobność zastosowania nadzwyczajnej zdolności wypowiadania pół słowem, pół cieniem, tego co mówić, co pomyśleć nie wolno! Gdy wobec Bożydara i jego synów, przeciągają wysłańcy trzech królestw przyrody, oraz posłowie różnych mocarstw świata, znajduje się i reprezentacya niemych — z krainy, kędy mówić nie wolno! Przynoszą owi wysłańcy w darze gałązkę tarniny, białym okrytą kwiatem, pomimo mrożących wichrów i bladego nad ich ziemią słońca. Król Bożydar łzami zrosił ów dar nieszczęśliwych, a wręczywszy w zamian obcym, tajemniczym przybyszom wiązkę złożoną z passiflory, niezapominajek i palmy zwycięzców, gałązkę tarniny między synów niby relikwię podzielił, dla każdego z nich inną wyciągając naukę z onego kwiatu w ciężkich wychodowanego warunkach: „Ty Kryształku pierworodny, spoglądaj nań często i ucz się miłości dla swoich minerałów takiej, jaką mieli dla ziemi swej ci ludzie, co go przynieśli. Ty najmłodszy Zielonko, patrz na niego i staraj się, aby twoje rośliny równie bujnym pokrywały się kwiatem, wtedy nawet, gdy Bóg poskąpi im słońca i powietrza. A ty średni Pióropuszku, zwracaj nań także oczy i staraj się, aby życie ożywiające twoje zwierzęta, tak było mocne i niespożyte, jak to, które pobudziło do kwitnienia tę roślinę, na biednym wyjałowionym gruncie“.

Ów *leit-motiv* snuje się uszlachetniającą, przewodnią nutą przez cały ciąg długiego opowiadania. Na innem miejscu, z życia roślin mistrz wyciąga naukę, jak ludziom należy owe rośliny naśladować w wytrwałości, ucząc się od nich sposobu osiągnięcia małemi środkami wielkich celów.

— Chyba żartujesz! — odzywa się Janek Sierota.

— Nie żartuję. Człowiek gdy mu się coś nie wiedzie, zniechęca się łatwo, choć ma rozum i rozwagę, choć uważa się za coś lepszego od innych tworów Bożych; a wątła roślinka przyczepiona do skały, wpija się w nią powoli a wytrwale drobnemi, cienkiemi jak włosy ko-

rzonkami i kruszy ją. Nauka to dla ludzi i dla ludów. Człowiek żali się i narzeka, roślina milczy i robi swoje.

Takich nawiasowych uwag nie braknie w toku pięknej książki p. Urbanowskiej. Wspomnijmy jeszcze ustęp o cudzoziemcu, zażywającym gościnności dobrego Zielonki, który się swym dobrodziejom wypłaca szczyptą ziemi swej rodzinnej, noszonej w woreczku na sercu, ażeby mu ono ciągle do niej biło. „Schowaj ten woreczek do naszego skarbca — mówi Zielonko do żony. — Jest w nim dużo kosztowności, ale ta będzie najcenniejsza, bo w niej zawarta jest niejako dusza człowieka!“

Takich zwrotów nie brak w książce drukowanej w „krainie niemych“, dodają jej one znaczenia i rzewności. Zdawaćby się mogło iż rzecz za długa, za poważna dla dzieci, uwagę ich wyczerpnie i znuży. Użyliśmy tedy przed spisaniem niniejszej recenzyi rozstrzygającego probierza, oddając „Atlantę“ w rękę dziesięcioletniego chłopczyka. Jego zajęcie i zachwyt — o wartości opowiadania, miarodajnego dostarczyły tętna. Wielkie bowiem urozmaicenie toku więzi uwagę, myśl przykuwa i rozciekawia. Okrom uroczystego pochodu trzech królestw przyrody, znalazło się tu miejsce i na wybuch wulkaniczny, który ostatecznie zatapia w morzu tajemniczą wyspę, i na turniej wspaniały, w którym Janek Sierota, niby nowy Dawid, poskramia kapitana Ursusa, olbrzyma szydzącego z jego narodu, i do odwołania oszczerstw przymusza. Alegorya, ukryta w tem pohańbieniu mocarza przez słabe pacholę, dostraja się do ogólnej osnowy i wątku, a osobno niewoli młodych czytelników jaskrawym opisem turnieju, oraz świetnych zabaw zarządzanych na przemian w Różanym gaju, rezydencyi Zielonki, Koralowym grodzie, siedzibie Pióropuszka, lub Marmurowej górze Kryształka, wydającego niebywałe festyny w podziemnej swego królestwa stalaktytowej grocie. Jedno chyba gotowoby nas zaniepokoić w tej skądinąd tak pięknej i zasługującej na uznanie i rozpowszechnienie książce. Czy rozmiłowanie w przyrodzie nie zawiodło czasami autorkę na szlaki pewnego mętnego panteizmu? Na zapytanie Janka, czy kwiatki mają duszę, mistrz odpowiada, że „Duch Boży ożywia cały świat żyjący, przejawia się on zarówno w piersi człowieka jak w drobnym robaczku; zarówno w palmie wyniosłej jak w wątłej trawce. Jest on wszędzie: w niebie, na ziemi i na każdem miejscu. Słusznie przeto nazwałeś duszą ustrój kwiatka wewnętrzny i sposób życia“. Z tem jednem zastrzeżeniem, chwalić tylko można śliczną, przykuwającą do siebie powieść o zatopionej w dalekich morzach Atlancie. Autorka do-

brze się zasłużyła polskiej dziatwie nanizaniem takiego bogactwa ciekawych wiadomości na przewodnią nić swego barwnego opowiadania. Powtarzamy, iż może młodzi jej czytelnicy niewiele zapamiętają z przywiedzionych tu klasyfikacyj botanicznych lub zoologicznych, których po dawnemu przyjdzie się uczyć ze szkolnych podręczników; atoli niezawodnie nabiorą stąd większego interesu dla zjawisk i cudów przyrody, ogólniejszej ciekawości dla otaczającego ich dzieła stworzenia, a przedewszystkiem utwierdzenia i rozgrzania w najdroższych i najbardziej zobowiązujących miłościach.

M.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Le Cardinal Manning et son action sociale. Par *m. l'Abbé I. Lemire.* Paris. 1893.

Równie nazwisko bohatera tej biografii jak i jej autora zwrócić musi uwagę i obudzić ciekawość każdego, kto bacznem okiem śledzi tak potężny dziś rozwój i przeróżne fazy i formy socyalnego ruchu: bohater, to jeden z najpierwszych, najśmielszych przywódców chrześcijańskiego socyalizmu, to nieustraszony obrońca wszystkich słabych, uciśnionych, przed którego wspaniałą, w najściślejszem słowa znaczeniu chrześcijańską i kapłańską postacią, najzawziętsi przeciwnicy uchylić muszą czoła; autor, to gorący wielbiciel Manninga, od dawna znany i ceniony w swej ojczyźnie; dziś — po zamachu Vaillanta w parlamencie — znany przynajmniej z nazwiska w świecie całym, odważnie wstępuje w ślady angielskiego kardynała i nie lęka się z otwartą przyłbicą kruszyć kopie o zasady, w których jedynie upatruje rozwiązanie mnożących się a coraz groźniejszych zagadek społecznych. Jeden z kościelnych dygnitarzy, których listy pochwalne autor — francuskim zwyczajem — umieszcza na wstępie swej książki, wyznaje, że czytając z najwyższym interesem te kartki, niejednokrotnie z obawą pytał, czy kardynał i jego biograf nie poszli za daleko. „Może to skutek, tłumaczy się, podeszłego mego wieku, w którym trudno mi już dążyć tak rączo i śmiało po tych ścieżkach przyszłości. Ale z drugiej strony, czy wolno nam się wymawiać latami, kiedy widzimy Manninga podążającego naprzód w ośmdziesiątym roku życia, patrzącego śmiało w oczy każdej, przez nowe prądy i potrzeby sprowadzonej nowości w dzie-

dzinie społecznej, politycznej, religijnej?“ W każdym razie, choćby kto nie godził się nawet z wszystkiemi zapatrywaniami „uczciwego radykała“, jak Manning lubiał sam siebie nazywać, nie może odmówić czci pobudkom, z których płynęły; a kto wie, czy głębiej się zastanowiwszy, nie dojdzie do poważnych wątpliwości, czy kardynał nie patrzył jasno w przyszłość, czy najlepszej nie obrał drogi, na którą wszyscy będziemy musieli kiedyś wstąpić, a może im prędzej tem lepiej.

Autor przedstawia nam kardynała w trzech niejako odrębnych obrazach, jako księdza, patryotę, demokratę. Obrazy te, zwłaszcza pierwszy, malowane nieco dorywczo, robią wrażenie raczej szkicu, powiedzmy trzech szkiców, niż wykończonego portretu; mimowoli na myśl czasem przychodzi, że ks. Lemire bardziej do czynów, do gorących przemów, niż do pióra wprawiony; ale — choć pod względem literackim byłoby może niejedno do życzenia — treść taka bogata, że nad pewnemi niedoskonałościami formy, niema czasu się zastanawiać.

Jakim Manning był księdzem, jakim był ascetą, to widać najjaśniej z prześlicznych jego książek duchownych: takich jędrnych, praktycznych, a jednocześnie tak głęboko patrzących i w Serce Boże i w serce człowiecze. Któż z księży nie zna prześlicznego dzieła: „O kapłaństwie wiecznem“? kto z pracujących pilniej nad wykształceniem swem duchownem nie czytał przetłumaczonych i na nasz język rozpraw: „Sprawy Ducha Św.“, „Grzech i jego następstwa“, „O ufności w Bogu“, „O miłości P. Jezusa w Najśw. Sakramencie“? Do nauk w księgach tych podanych ściśle stosowało się życie. „Chuda jego postać, — pisze również znakomity jego następca na westminsterskiej stolicy, kard. Vaughan — wyschłe członki nosiły na sobie oczywiste ślady umartwienia Chrystusowego; w ziemskiem ciele przebijało nadprzyrodzone życie duszy“. Ale jak w księgach tak w życiu, ascetyzm ten nie miał w sobie nic przerażającego i odrażającego. Z głębi duszy do każdego dogmatu wiary przywiązany i uważany powszechnie, w przeciwieństwie do „liberalnego“ kardynała Newmana, za żarliwego ultramontanina, był pełen do ostatnich granic posuniętej wyrozumiałości, dla opinii, dla błędów drugich. „Dziwna to rzecz, — pisał — że znajdują się ludzie nie posiadający się z uciechy, kiedy zdaje im się, że potrafili wykryć nową jaką herezyę; kiedy mogą kogo oskarżyć o dopuszczenie się jakiego błędu lub grzechu. Katolik podoba sobie w prawdzie i spogląda z radością na najdrobniejsze ździebełko prawdy, kryjące się między ludźmi odłączonymi od Kościoła“.

Świątobliwy, pełen zaparcia się katolicki kapłan był zarazem ro-

zumnym, gorącym, angielskim patryotą. Nie było kwestyi, obchodzącej drogą ojczyznę, któraby żywo nie zajmowała dobrego jej syna; nie było męża stanu, nie było człowieka, z którym, różniąc się nawet dyametralnie w wielu innych religijnych i politycznych względach, chętnie razemby nie pracował, gdy sądził, że swym współudziałem przysłuży się wierze i ojczyźnie. Dawny, z młodzieńczych jeszcze lat przyjaciel Gladstona, szedł z nim ręka w rękę w irlandzkiej kwestyi i do końca życia zachował serdeczne stosunki, co nie przeszkadzało bynajmniej energicznej walce z bronionemi przez liberałów zasadami szkolnemi, nie osłabiało osobistej czci dla Salisburego. A jaki żywy, jaki ciągły we wszystkich tych walkach brał udział; jak nie uważał za ubliżenie wysokiej swej godności, chwytać za każdą broń w obronie prawdy: wyjaśniać ją w książkach i broszurach, ścierać się za nią w dziennikach, w otwartych listach, na wiecach, konferencyach. Hasłem jego było: „Prawda dojść powinna wszędzie“, i dlatego nie wahał się umieszczać swych rozpraw, polemicznych artykułów, listów, w najbardziej poczytnych, choć wręcz nawet nieprzyjaznych Kościołowi dziennikach. „Jestem — mówił więcej jeszcze całym sposobem postępowania, niż słowami — nietylko kardynałem, ale i obywatelem angielskim; kardynała może kto w protestanckim kraju nie chcieć znać i uznać, obywatelowi nie możecie odmówić prawa zajmowania się losami swego kraju“. I nikt mu tego prawa nie śmiał odmówić. „Po Gladstonie, najpopularniejszym człowiekiem w Anglii jest Manning“, pisał jeden z protestanckich dzienników. „Cóż robić, — wyznawał inny, potężny *Standard* — bramą dla kardynała otwartą, przelała się do Anglii cała fala papizmu; to fakt dokonany i na to już nie poradzimy. Lecz zarazem wyznajmy, że mieliśmy fałszywy sąd o katolikach, podając, od czasów Armady, w podejrzenie patryotyczne ich uczucia. Byliśmy w błędzie. Jeżeli katolicy podobni są do Manninga, z jakiej racyi wykluczaćbyśmy ich mieli od publicznych funkcyj?“ Tak piszą protestanckie pisma; katolickie zwią go Mojżeszem, który wywiódł swych współwyznawców z trzystaletniej niewoli i wprowadził do obiecanej ziemi wolności; zakończył erę katakumbową, rozpoczął nową erę swobody, rozwoju Kościoła.

Za życia jeszcze dano Manningowi prześliczny przydomek: „biskup ubogich“, „kardynał robotników“; do grobu odprowadziły go tłumy londyńskich biedaków; obok najwyższych przedstawicieli urzędowego świata, szli w skupieniu znani londyńscy agitatorzy i przewódcy strejków. Wielkie i wzruszające były te dowody wdzięczności;

ale były też zasłużone. W pamięci wszystkich tkwił tak niedawny, olbrzymi strejk około 300.000 robotników w londyńskich dokach, zażegnany dzięki interwencyi i nader gorliwych zabiegów ośmdziesięcioletniego starca; Irlandczycy przypominali sobie głęboką, w czynach objawiającą się miłość, którą dla nich żywił; publicznie głosili, że jeśli pijaństwo nie tak gwałtowne, jak dawniej, szerzy między nimi spustoszenie, to w znacznej części mają to do zawdzięczenia szerzonej wszelkiemi siłami przez Manninga „Lidze krzyża"; najgłośniejsi przedstawiciele socyalistycznych teoryj nie wachali się głośno twierdzić, że gdyby więcej było wpływowych mężów ożywionych takim duchem, taką miłością, groźna dziś, do strasznego jakiegoś kataklizmu prowadząca kwestya socyalna dałaby się załatwić zgodnie, pokojowo.

Jakie drogi do rozwiązania piekącej tej kwestyi? Na pytanie to Manning odpowiada jasno w licznych mowach swych i pismach, wytłumaczonych i popartych czynami. Zakładać należy i popierać prywatne stowarzyszenia; domagać się rozumnej interwencyi państwa na korzyść warstw pracujących; starać się o zjednanie tych warstw dla Kościoła i otoczenie ich ojcowską jego opieką.

Pierwsza z tych zasad nie mogła w Anglii, w kraju, w którym inicyatywa prywatna tak wielką gra rolę we wszystkich stosunkach życia, napotkać na jakąbądź trudność; to też kardynał powtarzał ją z naciskiem mając raczej na oku Francyę i inne państwa, trzymające się zawzięcie centralistycznych tradycyj. „Każde miasto nasze — mówił do ks. Lemire — to mały kraik, mieszczący się w wielkiej ojczyźnie. Gdyby jutro z Londynu zostały tylko ruiny, natychmiast Liwerpol, Edynburg, Birmingham podniosłyby się i zajęły jego miejsce. U was przeciwnie, Paryż rozkazuje Francyi, pochłania ją, a Francya przyzwyczaiła się do tej tyranii i zanim do czegokolwiek się weźmie, czeka rozkazu z góry... Podobnie w parlamencie waszym cały ruch płynie z góry, kiedy, jeśli parlament ma mieć jakie znaczenie, płynąć powinien z dołu. Nie może dobrze być w kraju, dopóki kraj nie nauczy się sam się rządzić; nie może kraj sam się rządzić, dopóki obywatele nie mają jak najszerszego prawa stowarzyszania się". Nawet robotnicze zmowy uznaje Manning w zasadzie za słuszne, czasami za konieczne. „Zmowa jest rodzajem wojny. Bez wątpienia łączą się z nią pewne niedogodności, ale nieraz robotnik nie ma innej broni dla nałożenia despotyzmowi kapitału zbawiennego hamulca... Dopóki robotnicy w jedno wojsko się nie złączą, zależeć będą od kapitalistów. Ludzie zgłodniali, odosobnieni, zawsze ustąpić muszą; płacz żony i dzieci, brak

pożywienia nakłoni ich do pochylenia głowy pod każde jarzmo. Aby mogli sprawiedliwość osiągnąć, mają prawo porozumiewać się, wzajemnie sobie dopomagać, szukać w zjednoczeniu siły, której sami z siebie nie mają".

Lecz samo prawo stowarzyszania się, choć w najszerszych granicach praktykowane, nie wystarcza. Walka między chlebodawcą a robotnikiem — wykłada kardynał — między kapitałem a pracą nierówna. „Chlebodawcę broni tarcza złota. Choć praca ustała, on czekać może, nie potrzebuje koniecznie dzisiaj zyskać, ma pełną kasę na swe usługi; robotnik czekać nie może... Kapitał martwy może spać spokojnie; kapitał żyjący jeść musi". A któż słabszego ma bronić, jeśli nie państwo? „Jeżeli celem życia jest wyrabiać jak najwięcej łokci sukna i płótna; jeżeli chwała Anglii zależy na puszczaniu w świat jak największej masy i o ile można najtaniej tych towarów i innych im podobnych; w takim razie, rzecz oczywista, idźmy dalej na drodze, na której dziś się znajdujemy. Lecz jeżeli prawdziwem życiem, którem naród żyje, jest życie domowe; jeżeli pokój i cześć domowego ogniska, wychowanie dzieci, obowiązki żony i matki, zapisane są w prawie przyrodzonem trochę ważniejszem, niż wszelkie prawa ekonomiczne; jeżeli wszystkie te sprawy inną mają wagę i znaczenie niż rzucane na targ towary — natenczas, powtarzam, konsekwentnie działajmy... uznajmy zasadę, że parlament w to wszystko wdać się powinien!"

Jak i w jakiej mierze się wdać? I na te pytania, kardynał uznając z góry, że bardzo są trudne i zawiłe, nie pozostaje dłużnym w odpowiedzi. Za dalekoby nas zaprowadziło, powtarzać tutaj przedłożone przezeń, do drobnych nawet szczegółów schodzące propozycye uregulowania pracy kobiet i dzieci, pracy nocnej, odpoczynku świątecznego; ograniczenia *maximum* godzin pracy i *minimum* zarobku. Śmiałe to propozycye, często tak śmiałe, że aż mimowolny lęk przed niemi zbiera; ale Manning sądził, że są na chrześcijańskiej sprawiedliwości oparte, a przeto uważał za najświętszy swój obowiązek, jawnie z niemi występować, całą swą powagą ich bronić. Owszem, powtarzał nieraz, że najpiękniejszą chwałą katolickiego Kościoła być powinno i będzie dopomódz do tryumfu tych idei. Niech Kościół będzie ubogim, niech mu państwo wszystko zabierze, ale niech mu da wolność zupełną, a powrócą wspaniałe dni pierwszych chrześcijańskich czasów. „W Anglii katolików niewielu, — składa jakby swe wyznanie wiary — ale mamy szczęście być odłączonymi od świata i dworów królewskich; z istoty położenia naszego nie podlegamy rozstrajającej atmosferze urzędowych

faworów i świeckich protekcyj. Prawdziwą protekcyą Kościoła w Anglii, — jak w Irlandyi, Ameryce, Australii — jest jego niezależność, prawdziwą potęgą — jego wolność".

Czy to nie za daleko idące programy? nie zanadto do socyalistycznych zbliżone? Sam Manning odpowiedział raz z uśmiechem: „Zarzucają mi, że jestem socyalistą; o nazwę sprzeczać się nie będę, ale jeżeli praktyczne wyprowadzenie wszystkich wniosków, zawartych w zasadach wiary chrześcijańskiej, zechce kto tak zatytułować, to wtedy prawda: Jestem socyalistą". Kiedyindziej mówił i pisał szerzej i dokładniej:

„Myli się, kto nazywa mię socyalistą. Jestem zwolennikiem organizacyi socyalnej, a nie socyalizmu. Między jednem a drugiem taka zachodzi różnica, jaka ma miejsce między rozumem a racyonalizmem... Istotą socyalizmu jest skonfiskowanie na własność narodową ziemi i zarobku. Socyalista zaprzecza własności prywatnej, domaga się powszechnej równości i wspólności dóbr. Ale kto pomaga robotnikom i ubogim, kto oddaje na ich usługi potęgi państwowej, w celu przeszkodzenia wszystkiemu, co się sprzeciwia przyrodzonemu i chrześcijańskiemu prawu, ten toczy walkę z brutalnem samolubstwem, podkopującem wszelki pokój i stałość, ten spełnia swój obowiązek"...

Może nie wszyscy uznają za słuszne doktryny głoszone z taką bezwzględną otwartością przez angielskiego kardynała; może godząc się na cel pracowania nad podniesieniem klas roboczych, nie zgodzą się na wszystkie środki; to pewna, że nikt nie pożałuje czasu, kto przeczyta biografię wielkiego tego, nikt nie zaprzeczy, że jednego z największych mężów naszego wieku. Nowe światy się otwierają, nowe idee pojawiają się na horyzoncie; warto i trzeba tym światom się przypatrzyć, o istnieniu tych idei się dowiedzieć.

Ks. J. B.

Une capitale d'autrefois. Cracovie. *Casimir Stryjenski.* Paris. Chez Laisney.

Polak z rodu, nazwiska, serca, kreśli uczucia i wrażenia, których doznał zaglądnąwszy na dni parę do właściwej, choć nieznanej dotąd sobie ojczyzny; do dawnej jej stolicy, która — jak Francuzom wytłumaczyć się stara — przedstawia dla Polaka jednocześnie Paryż, Reims i St.-Denis; Londyn i Westminsterskie Opactwo, Florencyę i Santa-Croce. Wszystko go tu uderza, zaciekawia, czuć nieraz, jak serdeczną sympatyę obudza; wszystkich, z którymi się spotkał, raczy, z francuską

galanteryą, grzecznem słówkiem; dla bliższych, dla krewnych, przyjaciół, i polskiego serca nie brak. Dziękujemy za tę pamiątkę ze zbyt krótkiego pobytu; prosimy aby następny był dłuższy i zostawił po sobie pamiątkę trwalszą jeszcze: nie broszurę, lecz książkę, i to książkę nie o samym tylko Krakowie, jeśli możliwa, nie o samej tylko Galicyi...

X. M.

Zjawiska ziemskie. I. Lądy stałe. *Elizeusz Reclus.* Z upoważnienia autora przełożyła i uzupełniła *dr. M. Stefanowska.* Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1894. (W 8-ce, str. 204).

Książka ta jest pierwszym przekładem polskim dzieła E. Reclusa: *Les Phenomènes terrestres*, Tome I. *Les Continents.* Wymiary gór, rzek i t. p., które w piątem wydaniu oryginału były błędne i przestarzałe, w tłumaczeniu poprawiono: dwa zaś ostatnie rozdziały (o krążeniu wód i o ruchach ziemi) uzupełniono na podstawie najświeższych danych naukowych, zebranych przez geologa francuskiego de Lapparent.

Rozdział pierwszy opisuje kształt naszej planety i charakterystykę lądów stałych w ogólnych ich zarysach, mówi również o spornej dotąd kwestyi o naturze wnętrza ziemi. W rozdziale drugim traktuje autor równiny, płaskowzgórza i góry, wyliczając i opisując rozmaite ich kształty; pomija jednak milczeniem ostateczne przyczyny nierówności skorupy ziemskiej. Rozdział następny zawiera szczegółowe przedstawienie obiegu wody i jej oddziaływania na plastykę lądów. W ostatnim wreszcie rozdziale dowiadujemy się o objawach ruchu ziemi, jakiemi są wulkanizm, trzęsienia ziemi i zmiana poziomu lądów i mórz. W ustępie końcowym tej części wyłuszcza autor genezę raf koralowych. Ostatnie dwa rozdziały bez wątpienia najgruntowniej są opracowane.

Cała książka napisana jest nader zajmująco i przystępnie; a opatrzona poprawkami pani Stefanowskiej, może dostatecznie poinformować niefachowych czytelników o obecnym stanie nauki. Polszczyzna wogóle dobra, z bardzo małemi tylko wyjątkami [1].

Sądzimy, że książka ta nietylko uczącej się młodzieży, na którą geografia zawsze szczególny wywierała i wywiera urok, ale i wszystkim dorosłym miłośnikom tej umiejętności, pożądane odda usługi, zwłaszcza,

[1] Tak np. str. 14 „Warstwy powierzchowne“, zamiast: zwierzchne lub zewnętrzne, górne; str. 40 „trawiaste obszary“ zam.: stepy; str. 9 „obrót“, zam.: obieg ziemi, „erodowanie“ zam.: rozmywanie.

że literatura nasza tak jest ubogą pod względem książek popularnych z dziedziny geografii fizycznej.

Les Mères des Saints. Par *Ch. d'Héricault*. Paris. Gaume. 1894.

Autor niezmordowanie pracujący piórem dla dobrej sprawy, wydał już bardzo cenną popularną Historyę Rewolucyi francuskiej i cały szereg powieści, z których parę oceniliśmy w *Przeglądzie*, nie bardzo korzystnie z punktu literackiego.

Tym razem wpadł autor na pomysł prześliczny. Powiedział sobie, że jeżeli wogóle znakomici w różnych kierunkach ludzie, miewali znakomite matki, to tem bardziej Święci musieli mieć zazwyczaj matki świątobliwe, którym warto się bliżej przypatrzyć. I z tą myślą puszcza się on poprzez dzieje i pomniki chrześcijańskiego świata; wyszukuje przy kolebkach wielkich Świętych, starych i nowszych, śliczne duchowo kobiece postacie, których większą część ledwośmy z imienia znali; odtwarza, ile może, częścią z pomników, częścią z trafnie zestawionych warunków czasu i miejsca, ich duchowe sylwetki; odgadnąć usiłuje, co ze znanych rysów Świętego pochodziło od matki, jakiego rodzaju wpływ na niego wywrzeć mogła; — i w ten sposób skreśla całą galeryę pociągających obrazów, w których widzimy to co jest najcudniejszego w naturze: miłość matki dla dziecka, w zetknięciu z tem co jest najpiękniejszego w sferze łaski: tj. kiełkowaniem świętości w młodziuchnej duszyczce. Czy może być szczęśliwsza myśl?

Sposób jej przeprowadzenia nie wszędzie równie szczęśliwy. Pierwsza część (którą nie wiem czemu nazwał autor „historyą powszechną świętego macierzyństwa od I. do IV. w." — w przeciwstawieniu do drugiej zatytułowanej „kroniką św. macierzyństwa od IV. do XVIII. w.") jest najsłabsza. Jest w niej wiele zapału, ale ten zapał często przechodzi w ckliwość. Źródła historyczne do tej epoki nie są odpowiednio wyzyskane. Zamiast wielu gorących słów, wolelibyśmy tu znaleść szersze i głębsze wytłumaczenie tego, dla dzisiejszych ludzi tak mało zrozumiałego zjawiska: jak mogło w owej bohaterskiej epoce pomieścić się w sercach matek, nietylko godzenie się na męczeństwo dzieci, ale zachęcanie ich do śmierci, radość w ich męczeństwie?

Druga część obejmuje szereg 32 krótkich monografij, począwszy od matki św. Atanazego (r. 296—376) aż do matki świeżo beatyfikowanej Ludwiki de Bourbon, królowej Maryi Leszczyńskiej.

Niektóre z wyżej wspomnianych usterek i tu się czuć dają; jednakowoż ta część jest daleko lepiej i treściwiej napisana. Pomija

autor z umysłu matki Świętych, które same też w poczet Świętych zaliczone zostały, bo tych życia dosyć już są znane. Nie zrobię mu z tego zarzutu, że wybiera swe bohaterki przeważnie z krajów najbliższych siebie — boć oczywiście ograniczyć się musiał. Ale zdaje mi się, że mógł nieraz wybrać szczęśliwiej; a przynajmniej mógł pominąć niektóre z tych matek, o których zbyt mało posiadał wiadomości, co zastępował rozpisując się zbyt wiele o świętych ich synach. Dzieło jako takie byłoby tylko zyskało na opuszczeniu tych kartek. Z drugiej strony pochwalić należy, że autor nie daje się, jak wielu hagiografów, porwać swemu przedmiotowi i nie wszędzie równie wysoki widzi heroizm; owszem uznaje tu i ówdzie w swoich matkach świętych słabości macierzyńskiego serca — co nic nie ujmuje podniosłości jego dzieła, a dodaje mu ludzkości i prawdy.

Koniec końcem, mimo wspomnianych pisarskich niedostatków, jest to książka prawdziwie cenna i warta czytania; szczególnie interesująca dla matek. Matka-chrześcijanka ma zawsze wspaniałe zadanie w społeczeństwie, dziś może jeszcze większe niż kiedyindziej; bo jeśli ona nie wpoi w dusze dzieci korzenia wiary i miłości Bożej, jeśli nie okaże mężowi jak z pobożności wyrasta cnota — to co uratuje społeczeństwo od powiewu niewiary i materyalizmu? Nie potrzebuję dodawać, że na matkach-Polkach w dwójnasób ten obowiązek ciąży: bo serca ich są z woli Bożej ostatnią warownią, do której wróg — rabujący i księdza i szkołę katolicką i pisma dobre — przystępu nie ma. Książka, która zawiera pouczające dla nich przykłady i podnoszące ducha pociechy, zasługuje na ich uwagę.

Ks. M. Morawski.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Głosowanie węgierskiej Izby magnatów. — Jezuici w Niemczech. — Walka przeciw socyalizmowi. — Podziękowania za encyklikę do Biskupów polskich.

GŁOSOWANIE WĘGIERSKIEJ IZBY MAGNATÓW.

Nie pomogły prośby, nie pomogły i groźby, któremi rząd Wekerlego usiłował zmusić opornych węgierskich magnatów do zawotowania obowiązkowych ślubów cywilnych; nie pomogły rewolwerowe artykuły w ministeryalnych pismach umieszczane, jak nie na wiele się przydały jawnie organizowane i podtrzymywane uliczne manifestacye, jak wreszcie zawiodły rozpaczliwe próby niedopuszczenia do urny kilku katolickich magnatów, którzy piastują jednocześnie wysokie urzęda dworskie. Wekerlemu żywo stała w pamięci porażka, którą przed kilkunastu latami poniósł w Izbie wyższej rząd Tiszy w kwestyi małżeństw mieszanych; czuł, że podobna porażka obecnie go czeka, a w niewesołem tem oczekiwaniu stracił zupełnie równowagę, i posunął się do kroków, do których żadnemu szanującemu się, broniącemu społecznego porządku mężowi stanu, posuwać się nie wolno. Katolicka prasa zarzucała mu już od dawna, że mylnie poinformował Koronę o usposobieniu panującem w kraju; nie dość na tem! — na parę dni przed stanowczemi obradami wystąpił *Pester Lloyd* z widocznie inspirowanym artykułem, w któ-

rym możliwy opór magnatów przeciw ślubom cywilnym nazwać śmiał jawnym buntem przeciw woli cesarskiej. Sam Wekerle rzucił bez ogródek groźbę: „Nowe idee dobijają się do bramy i domagają się wstępu; otwórzmy im, bo inaczej powrócą, aby zamkniętą bramę siłą wysadzić“. Nawet radykalnemu Ugronowi, który dla arystokracyi, a w szczególności dla konserwatywnej partyj Izby magnatów, nie żywi z pewnością szczególnych sympatyi, w niesmak poszły te pogróżki: „Dopokąd, wyraził się ostro ale prawdziwie, Izba wyższa kiwała głowami na wszystko, co jej przedstawiono; nie miało liberalne stronnictwo nic a nic przeciw niej do nadmienienia. Wtem rozchodzą się pogłoski, że magnaci zamierzają odrzucić wniosek przez rząd postawiony; dostateczna to przyczyna, aby magnatów terroryzować. Próbować wolno, ale byłoby to wstydem i hańbą, gdyby w jednej — mniejsza o to, tej czy tamtej — z Izb parlamentarnych, zasiadali mężowie, którychby można sterroryzować śmiało rzuconemi groźbami“.

Energicznym przywódcom katolickich magnatów, na pierwszem miejscu kardynałowi Vassaremu i hr. Ferdynandowi Zichemu, mają Węgry do zawdzięczenia, że do hańby tej nie przyszło. Wstępem do bezpośredniej walki w pełnej Izbie „za wiarę, kraj i rodzinę“, była mowa kardynała, wypowiedziana na otwarcie jeneralnego posiedzenia „Stowarzyszenia św. Stefana“, mowa sama w sobie nader doniosła; dla nas tem bardziej interesująca, że wyprowadziła naprzód, jako pouczające, pełne grozy ostrzeżenie, chwalebne dawne, bolesne teraźniejsze nasze dzieje:

„Słyszymy raz po raz, że na widnokręgu politycznym nie widać najmniejszej chmurki. Czyliż jednak nie może nagle zerwać się burza z owych chmur, które gromadzą się na stropie naszego społeczeństwa? W ostatniem dziesięcioleciu ubiegłego wieku, właśnie sto lat temu, znikło potężne państwo, które wybrało sobie królem jednego z największych naszych monarchów (Ludwika) i jednego z najznakomitszych siedmiogrodzkich książąt (Stefana Batorego). Ziemia ojczysta, *patria,* istnieje tam wprawdzie po dziś dzień; ale narodowe, polskie panowanie w grobie złożone. Zdaje się, jakoby wielkiemu naszemu wieszczowi

przesuwała się przed oczami bolesna ta katastrofa, gdy we wspaniałem swem *Szózat* śpiewał: ‚Ludy otaczają grób, w którym naród do śmierci się ułożył, a w oczach milionów błyszczy łza żałobna'. A przecież ani szczere współczucie wszystkich wolnych ludów, ani sympatyczne oświadczenia prawodawców w parlamentarnych salach, nie zdołały tak wielkiemu niegdyś narodowi przywrócić ojczyzny. Bohaterski ten naród doświadczył, że ani własną siłą ani ludzką pomocą nie może ojczyzny do życia wskrzesić; dlatego tysiące i tysiące rodzin polskich klęka w pańskich kościołach, a z ust milionów rozlega się śpiew: ‚Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie!' — Co zapisane jest w księdze żywota odnośnie do przyszłości tego szlachetnego i lepszej doli godnego narodu, to dla nas zakrywa zasłona tajemnicy; natomiast otwartą jest przed nami księga jego przeszłości i nauczyć się z niej możemy, do czego doprowadzają społeczne, religijne i polityczne walki!...“

Dalszym ciągiem tej mowy było wystąpienie kardynała zaraz w pierwszym dniu obrad. „Jako głowa węgierskiego Kościoła i jako członek Izby magnatów, przyjąć nie mogę rządowego projektu. Przyjąć go nie mogę, bo wbrew wywodom referenta Czordy, sprzeciwia się wprost Kościołowi, który uczy, że małżeństwo jest nierozwiązalne, że jest sakramentem i podlega kościelnej juryzdykcyi. Twierdzenie, jakoby Kościół nie poniósł w innych państwach żadnej straty przez małżeństwa cywilne, niczego nie dowodzi; — czyż poniósł może stratę przechodząc przez ogień wielkich pogańskich prześladowań? Książę Bismark, kiedy był jeszcze tylko zwyczajnym posłem do parlamentu, nazwał sam małżeństwa cywilne francuską szarlataneryą. Tak nazwał je protestant; jakże można katolikom narzucać prawo, które w najlepszym razie tylko na czysto protestanckim gruncie znaleśćby mogło jakiekolwiek usprawiedliwienie!...“

Niemniej wymownie i przekonywająco przemawiał kardynał Schlauch, wykazując z historyą w ręku, do czego dawne i nowe państwa, do czego starożytny Rzym i nowożytną Francyę doprowadził rozkład rodziny, któremu cywilne śluby z samej swej natury drogę torują. Jan Mariassy wdawać się nawet

nie chciał w wewnętrzną wartość projektu, zawdzięczającego dotychczasowe swe tryumfy jedynie radykalnym, turyńskim (kossuthowskim) wpływom. Zdecydowanych katolików poparli metropolici: rumuński i serbski, tudzież protestant hr. Mikołaj Zay. „Czyż to jest dowodem politycznego rozsądku — pytał ten ostatni — pod koniec dziewiętnastego wieku, kiedy kwestya socyalna olbrzymiemi krokami ku nam się zbliża, nadwyrężać religijny kapitał i rzucać w kraj, między spokojną ludność, cały arsenał palnych materyałów? Pomyślcie, jaki los nas czeka, gdy narodowościowe agitacye, zawarłszy sojusz z socyalistycznemi tendencyami, przypuszczą szturm do gmachu naszego tysiącoletniego państwa?... Zainicyonowane obecnie kościelno-polityczne reformy nie leżą wcale a wcale — jak chcianoby w nas wmówić — w interesie protestantyzmu. Stronnictwo rządowe, o życie i władzę się lękając, dosiadło tego konika, aby na nim uratować dla siebie, co się da uratować... Daremne usiłowania! Rząd dzisiejszy się przeżył; pochwycić należy nadarzającą się sposobność i nowych ludzi do steru powołać!...“

Wotum Izby magnatów usprawiedliwiło ostry ten, ale w całej pełni najsłuszniejszy sąd. Na 330 członków Izby wyższej, zjawiło się 257 — liczba trzy razy większa, niż na zwyczajnych posiedzeniach — i 139 głosami przeciw 118 odrzuciło wekerlowskie reformy. Miałby więc twórca tych projektów, aż nadto wystarczający powód, aby rządy w inne złożyć ręcę; słuszność i parlamentarne zwyczaje — jak podpowiada mu to nawet wiedeńska *Presse* — domagałyby się przynajmniej, aby, jeśli zbyt trudno mu z fotelem ministeryalnym się żegnać, odwołał się do kraju i nowe rozpisał wybory. Ale Wekerle wie wybornie, że kraj w przeważającej większości ślubom cywilnym jest przeciwny, że zatem wybory pod tą konstellacyą przedsięwzięte, zupełnie innych posłów wprowadziłyby do parlamentu; z drugiej strony nie ma bynajmniej ochoty rozstawać się z ministeryalną teką; zamiast zatem na coś stanowczego się zdecydować, ucieka się do półśrodków, nie pytając, czy te półśrodki nie pogrążą Węgier w straszniejszy jeszcze zamęt, czy wogóle na coś przydać się mogą. Istotnie zrozumieć trudno, jakie praktyczne znaczenie

ma mieć ponowne odesłanie kościelnych reform przed forum Izby poselskiej. Izba ta w dzisiejszym swym składzie znowu je naturalnie uchwali; ale też spodziewać się należy, że Izba wyższa znowu, a prawdopodobnie nawet poważniejszą większością, je odrzuci. Pokądże trwać będzie ta kosztowna, do najwyższego stopnia całe Węgry denerwująca zabawka?...

JEZUICI W NIEMCZECH.

Wytrwała polityka niemieckiego Centrum, domagająca się regularnie od paru już lat zniesienia ostatniego ważniejszego zabytku z czasów walki kulturnej, banicyjnego prawa wymierzonego przeciw Jezuitom, uwieńczona została nakoniec zwycięstwem. Być bardzo może, że na razie teoretyczne to jedynie zwycięstwo; być może, że Rada Związkowa nie potwierdzi parlamentarnej uchwały. W każdym razie, sam fakt, że wniosek ten pozyskał 23 głosów większości, nie jest bez znaczenia. Najciekawszem w swym rodzaju było oświadczenie przewódcy socyalistów Liebknechta, który głosował za Jezuitami w imię równouprawnienia i wolności, wszystkim bez wyjątku obywatelom przysługującej. Przyznać trzeba, że stanowisko to, przez niemieckich socyalistów zajęte, o wiele było logiczniejsze, niż stanowisko przeróżnych „liberalnych“ partyj, głosujących w ściśnionych szeregach za dalszą banicyą niemieckich obywateli, którym ostatecznie żadnej ani zbrodni, ani winy udowodnić nie zdołano — niż protesty wiedeńskich liberałów, spieszących w pomoc zagrożonym jezuickim najazdem berlińskim kolegom. Z oryginalnym takim, arcyzabawnym protestem wystąpiła w długim artykule królowa liberalnej wiedeńskiej prasy: *N. Freie Presse:*

Parlament niemiecki — lamentuje wiedeński dziennik — stanął w jawnem przeciwieństwie z wolą narodu... Zaprawdę, niema racyi, niema przyczyny, aby przywoływać do kraju tak niebezpiecznego wroga, sprzymierzonego ze stronnictwem Centrum; tem bardziej, że i bez tego nie brakuje już w Niemczech rozkładowych, destrukcyjnych żywiołów. Ze socyalistami — czytamy dalej — niemiła walka: niemilsza i trudniejsza z Jezuitami; stąd jest to prawdziwym historycznym błędem porównywać prawo

przeciw Jezuitom z prawem przeciw socyalistom, dlatego, że jedno i drugie jest prawem wyjątkowem. Jezuici siali i sieją wszędzie nieszczęście; przed potęgą i organizacyą jezuickiego zakonu drżeli nawet papieże, równie „szlachetny i oświecony“ Benedykt XIV., jak Ganganelli (Klemens XIV.), którego bulla kasująca zakon była krzykiem wołającego o pomoc przeciw rozrośniętej do niemożliwych rozmiarów potędze zakonnej.

WALKA PRZECIW SOCYALIZMOWI. Ciekawym istotnie okazem jest ten artykuł, w którym wyśmiany i wyszydzony przez socyalistów liberalizm do nóg się im chyli, byle sobie łaskę ich pozyskać. Próżne starania! Socyaliści od dawna mają dla niepoprawnych liberałów starego autoramentu tylko pogardę; od dawna jawnie słowem i pismem wyznają, że jeśli z kim się rachują, jeśli kogo obawiają się, to jedynie katolickiego Kościoła. Bojaźń ta przebija z każdego niemal numeru równie naszych *Naprzodów, Gazet Robotniczych, Nowych Robotników,* jak najważniejszych zagranicznych organów socyalistycznych; w ostatnim czasie wzrosła do zenitu, dając tem znać, że dzięki Bogu, coraz więcej katolików pojmuje ważność sprawy społecznej, i spełniając nakreślony przez Papieża program, zajmuje się nią nietylko słowem i pismem, ale bardziej jeszcze czynem.

Ogólny obraz strasznej owej roboty „czarnych demagogów“ maluje na postrach swym czytelnikom berliński *Vorwärts* w jednym z ostatnich swych numerów. Jeżeliby wierzyć nienawiścią oślepionemu pismu, to cała Francya ugina się dziś pod tyranią despotycznego kleru, któremu udało się podbić pod swą władzę całą, bogatszą i uboższą „burżuazyę“, zawładnąć równie mężczyznami, jak kobietami. „Papież Leon XIII. — czytamy dalej w charakterystycznej tej rozprawie, którą pewnie polskie pisma „partyjne“ pospieszą przedrukować — umie wybornie wszędzie się wcisnąć, nie ustaje na chwilę przy kreciej swej pracy. W encyklice o kwestyi robotniczej udaje on opiekuna robotników, a jednocześnie, aby sobie kapitalistów nie odstręczyć, nazywa się obrońcą własności prywatnej. Wyższe duchowieństwo przyjęło tę encyklikę bardzo chłodno i po prostu ją

ignoruje; natomiast niższe duchowieństwo, pełne ambicyi i fanatyzmu, rzuciło się z żarliwością na drogę przez Papieża wytyczoną. Na szczęście ‚klechy' i ‚zaprzysięgli agitatorowie' nie mają u robotników powodzenia; ‚demagogiczna wyprawa krzyżowa', podjęta przez duchowieństwo, nie powstrzymała, lecz owszem znacznie posunęła naprzód socyalistyczną propagandę. Po pierwszy raz od istnienia katolickiego kościoła, przyczynili się jego księża do rozszerzenia prawdy; — oczywiście przyczynili się wbrew najszczerszej swej woli...“

Naiwni muszą być czytelnicy berlińskiego *Naprzodu*, jeśli słowa te nie wzbudzą w nich przynajmniej podejrzenia, że owa „demagogiczna wyprawa krzyżowa“ daje niemało do myślenia socyalistycznemu sztabowi, kiedy takie wywołuje w nim gniewy. I jakże dawać nie ma do myślenia, jak gniewów nie ma obudzać, gdy widzi, że tyle cenny monopol opiekowania się uboższemi, niejednokrotnie rzeczywiście wyzyskiwanemi warstwami z rąk mu się wymyka?

Najznakomitsi katoliccy socyologowie z całych Niemiec, zebrani pod przewodnictwem księcia Loewensteina, opracowali i ogłosili już obszerny program, obejmujący wszystkie ważniejsze, najbardziej na czasie będące postulaty społeczne, których urzeczywistnienie ma odtąd Centrum uważać za główne swe zadanie i racyę bytu. Program uznaje, jako fundamentalną zasadę, że dzisiejszy stan rzeczy, zrodzony z doktryn antychrześcijańskiego liberalizmu, nie odpowiada dostatecznie pojęciom sprawiedliwości, i wymaga reformy. „Zasady antychrześcijańskie doprowadziły w prawodawstwie do prawa mocniejszego; doprowadziły w kwestyach ekonomicznych do zapoznania godności i praw przynależnych pracy, którą oddały na łaskę i niełaskę kapitału; zniszczyły w lwiej części dobrobyt klasy średniej; spowodowały nagromadzenie własności ziemskiej w rękach nielicznej garstki bogaczów... Stan to rzeczy niezdrowy, prowadzący społeczeństwo do ruiny. Dlatego odrzucamy stanowczo pomysły i zasady liberalizmu. Ale niemniej stanowczo odrzucamy zasady socyalizmu, ponieważ sprzeciwiają się przyrodzonemu prawu, jakie ma każdy człowiek, posiadania osobistej własności; ponieważ

człowieka bezczeszczą i czynią niemożliwem wspólne, zgodne pożycie na ziemi. Jedynem lekarstwem na cisnącą nas chorobę społeczną, jest szczere, zupełne zastosowanie zasad chrześcijańskich, tak, jak je streszcza encyklika *De conditione opificum.* W szczególności katolickie stronnictwo społeczne domagać się musi i przeprowadzić cały szereg reform, odnoszących się do rolnictwa, przemysłu, handlu, innych ogólnego znaczenia postulatów, jak np. spoczynku niedzielnego, zupełnego zakazu lichwy, zakładania biur informacyjnych, budowania domów robotniczych i t. d.“ Za tem idzie szereg bardzo szczegółowo, technicznie opracowanych postulatów praktycznych.

Podobny, ściśle na gruncie chrześcijańskim oparty program, postawiła w Belgii, niedawno temu założona „Unia chrześcijańsko-demokratyczna“; we Francyi postawił drugi kongres robotniczy, który w drugiej połowie kwietnia obradował w Reims. Nawet w zajętym ciągle osobistemi waśniami i ambicyami, nie mającym zazwyczaj czasu na ważniejsze sprawy parlamencie paryskim, odbiło się głośne echo szlachetnych tych usiłowań w przemówieniu hr. de Mun, doświadczonego przywódcy i jednego z inicyatorów chrześcijańsko-socyalnego ruchu. „Wasza nauka — mówił zwracając się do socyalistów — prowadzi do rewolucyi społecznej, do gwałtownego przewrotu... My staramy się usunąć antagonizm, który rewolucya zostawiła w spadku, między ubogimi a bogatymi; staramy się, i to na drodze pokojowej, zapełnić rozdzielającą ich przepaść. Walka klas, którą głosicie, opóźnić tylko może reformy możebne i pożądane, reformy niezbędne... Dzisiejszy stan rzeczy jest zły: opiera się na materyalizmie, a sumienie chrześcijańskie go odrzuca.

„Złym jest ten stan, ponieważ za cel całej ludzkiej działalności położył bogactwo; zniszczył wszystkie żyjące w kraju organizmy, zostawiając przy życiu tylko pojedyńcze jednostki i państwo; dozwolił na rozwój wszelkim wszelkiego rodzaju nadużyciom... Odpowiedzialność za to, co się dziś dzieje, pod względem moralności, ponoszą ci, którzy od lat dwudziestu gromadzą moralne ruiny. Naruszyliście prawo Boże, pozwoliliście królować bezczelnej spekulacyi pod wszelkiemi kształtami... Usi-

łowaliście zgnębić głos Ewangelii; dziś on się znów odzywa. Nauki wyłożone w encyklice papieskiej zaniepokoiły was. Istotnie encyklika nabrała szerszego rozgłosu, niżby to z góry dało się przewidzieć; encyklika stworzyła ruch, którego już nikt nie zatrzyma...“

PODZIĘKOWANIA ZA ENCYKLIKĘ DO BISKUPÓW POLSKICH.

Oby ostatnie te słowa, odnoszące się do encykliki o kwestyi socyalnej, odnieść też było można — w naszym kraju przynajmniej — do tak dla nas ważnej, tak cennej encykliki do Biskupów polskich! Encyklika ta, z takiem zrozumieniem położenia naszego napisana, taką dla nas głęboką miłością tchnąca, domagała się koniecznie z naszej strony winnej podzięki. Złożyli ją, Polskę całą wyręczając, bawiący w Rzymie w czasie świąt Wielkanocnych kościelni dygnitarze i przedstawiciele polskiej arystokracyi; składa ją u stóp Ojca św. osobna polska pielgrzymka; złożyli w prześlicznem piśmie biskupi archidyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej; a złożyli — powiedzieć wolno — nietylko w imieniu swych owieczek, ale wszystkich, którzy przyzwyczajeni są od dawnych wieków nazywać arcybiskupa gnieźnieńskiego swym prymasem. Przytoczmy choć parę ustępów dziękczynnej tej, wspaniałej odezwy, ogłoszonej naprzód w łacińskim tekście w *Osservatore Romano*:

Cieszymy się, Ojcze Święty, że nietylko nie pominąłeś naszego nieszczęśliwego narodu, lecz „jak najmilej o nim wspominasz i stale uznajesz jego względem Ciebie z ufnością połączoną miłość wielką“; — cieszymy się, że chrześcijańskiemu światu łaskawie przypomnieć raczyłeś, iż przodkowie nasi, „kiedy Europa drżała wobec napadów przemożnych nieprzyjaciół chrześcijańskiego imienia, przed wszystkimi innymi w świetnych bitwach zasłaniali ją przedmurzem piersi swoich, że byli religii i cywilizacyi najgorliwszymi obrońcami i najwierniejszymi stróżami, po ojcach odziedziczonej wiary prawdziwą ozdobą, że do Matki swej, Kościoła, przywiązani byli zawsze z największą wiernością i zawsze niewzruszenie wytrwali w tem samem posłuszeństwie dla rzymskich Papieży“; cieszymy się, że smutnym sercom naszym „jakkolwiekby się ułożyły sprawy, przyniosłeś pociechę“, — i jako synowie całem sercem Tobie, Ojcu Naszemu, oddani, od razu dobrze pojęliśmy

znaczenie i ważność słów Twoich. Dlatego z sercem wdzięczności pełnem zbliżamy się do Twojej Świątobliwości, aby Ci złożyć szczególne podziękowanie...

Skoro tylko doszła nas, Ojcze św., Twoja Encyklika, posłuszni Twemu rozkazowi, udzieliliśmy jej natychmiast duchowieństwu i naszemu wiernemu ludowi i na przyszłość będzie nam leżało na sercu, żeby zawarte w niej napomnienia i przepisy przy sposobności szerzej wyłożyć, objaśnić i zalecić, aby stąd wszyscy odnieśli jak najobfitsze owoce.

Pomiędzy innemi wielce zbawiennemi przestrogami zalecasz nam, Ojcze św., pielęgnowanie świętości związku małżeńskiego. Dzięki staraniom naszych poprzedników, naród nasz w czasie obecnym przestrzega tej świętości z daleko większem poszanowaniem, niż w wieku poprzednim; atoli zachęceni ojcowskiem napomnieniem Waszej Świątobliwości, nie zaniedbamy z czujną troskliwością strzedz powierzonego nam ludu szczególnie od małżeństw mieszanych i ślubów cywilnych. Z równą gorliwością, ile będzie w naszej mocy, czuwać będziemy, aby młodzież nie zarażała się w szkołach i gimnazyach fałszywemi i wierze katolickiej przeciwnemi naukami i nie wychowywała się w bezbożnych obyczajach; nie tajno nam bowiem, że tacy będą obywatele, jakich szkoła wychowa. Szczególną pieczę i staranie mieć będziemy, aby duchowieństwo nasze uważane było *za sól ziemi i światłość świata i było takiem rzeczywiście;* co tem pewniej spodziewamy się osiągnąć, iż z pomocą Boską seminaryami naszemi rządzą pobożni i uczeni kierownicy. Nauki Waszej Świątobliwości wykonywając, nie przestaniemy wpajać różnym stanom naszych dyecezyj zasad chrześcijańskiej miłości, które są ogniwem i główną obroną rodzin i państw, a czynić to będziemy w tym celu, aby wszyscy „w czynie i w prawdzie“ czuli się i uważali jako członkowie jednej rodziny chrześcijańskiej...

Słowem, Ojcze święty, najszczerszą czujemy wdzięczność za wszystkie napomnienia, zachęty, nauki i wskazówki, niemniej za pieczołowitość i miłość, których dowody znakomite w Twej Encyklice nam podałeś. My nawzajem pochwytując tę sposobność, w imieniu naszem i naszego ludu wiernego, uroczyście ślubujemy, że jak przodkowie nasi tak i my synowską miłość, szacunek, ufność i posłuszeństwo względem Ciebie i Twej Stolicy świętej, stale w sercach naszych zachowamy, a nic nas od Ciebie nie odłączy, ani pokusy ni podstępne obietnice, ani groźby najokrutniejsze ni śmierć sama.

Nie taimy sobie, że droga nasza jest wielce stromą i wielu

trudnościami zasłaną, ale słowem Twem wzmocnieni i zapaleni, a poparci pomocą Świętych Pańskich i Patronów Polski, o których pośrednictwo modlić nam się zalecasz, ufamy w Bogu, że jak przodkowie nasi napady niewiernych nietylko od siebie, ale i od sąsiednich ludów chrześcijańskich odbijać potrafili, tak i dziś naród nasz, stały w wierze, szacunku i przywiązaniu do Stolicy św. Piotra, pod Twym przewodem, szalejącą burzę tegoczesną, która zamierza obalić cały, od wieków ustalony porządek chrześcijański, potrafi powstrzymać, a pilnie i stale pielęgnując Twe nauki, uchyli się od niebezpieczeństw, grożących wierze, i tym sposobem ustrzedz zdoła od szwanku chwalebną sławę swych przodków...

Ks. Jan Badeni.

U Jezuitów w Loango [1].

Wyjątek z „Pamiętników d-ra Żel., lekarza okrętowego, z pobytu w południowo-zachodniej Afryce".

Jakkolwiek cała ta długa podróż wzdłuż zachodnich wybrzeży Afryki obfituje w ciekawe i dla Europejczyka nieznane wrażenia, które w pamięci niezatarte pozostają, to jednakże z estetycznego punktu widzenia brzegi te nie są piękne, widok ich nie ma w sobie nic ponętnego. To też podróżnik wśród tych martwych skał czując się samotnym, przejęty jest tem większą wdzięcznością, jeżeli choć kilka godzin spędzić może wśród otoczenia, które go przenosi do jego kraju.

Takich właśnie kilka miłych chwil zawdzięczam OO. Jezuitom, którzy są misyonarzami na tych zachodnich brzegach Afryki. Nie podaję tu ani miejscowości, ani nazwisk misyonarzy dlatego, żeby mieć więcej swobody w opowiadaniu, żeby mnie nie posądzono, iż robię reklamę misyi, choć już to samo, że jestem protestantem, od tego zarzutu uwolniłby mnie powinno.

Już zdaleka ze statku widząc długie czarne sutanny i wielkie słomiane kapelusze Ojców przechadzających się w przystani, cieszyłem się, że kilka miłych godzin spędzę w ich towarzystwie.

[1] Terytoryum francuskie na zachodniem wybrzeżu Afryki.

Ojcowie, dla których prawie każdy z przybijających statków ma coś do wyładowania, zwykle oczekują sami na brzegu, ze wzgórza bowiem, na którem wpośród ogrodów stoją budynki misyi, można już z daleka rozpoznać nadchodzące statki. Skoro tylko okręt zarzuci kotwicę, wnet na swej łodzi przybywają misyonarze.

Kilka razy już tamtędy przejeżdżałem, a jakkolwiek Ojcowie zapraszali zawsze do siebie, różne zajęcia przywiązane do mego urzędu stawały zawsze na przeszkodzie; tą razą jednak korzystając z uprzejmych i usilnych zaprosin ojca K., wsiadłem do jego łodzi by zwiedzić zakład.

U steru łodzi siedział uderzająco piękny murzynek, około 15 do 16 lat mieć mogący, o rysach inteligentnych; powaga jaką okazywał była nad jego wiek i jaką tylko u naczelników plemion dotychczas spostrzegać mi się dało; dowiedziałem się od Ojców iż był synem jednego z książąt murzyńskich osiadłego w głębi kraju. Młodzieniec ten, którego bystrości umysłu ojciec K. nie mógł się dość nachwalić, ukończył już wprawdzie wykształcenie swe w zakładzie misyjnym, wolał jednakże i nadal pozostać w misyi, jak przebywać wśród swych współplemieńców, do czego, zdaje się, przyczyniały się zapewne jego nowo nabyte pojęcia religijne; za powód zaś podawał, iż wśród swoich brak mu wszelkiej sposobności do dalszego kształcenia się.

Wobec niego czarni wychowańcy Ojców zachowywali się z uszanowaniem, a to tem więcej, ile że pomagał misyonarzom w szkole, i okazywał wiele talentu pedagogicznego. Mimo swego stanowiska, niejako urzędowego, nie pozwolił się nikomu ubiedz w oddawaniu Ojcom różnych przysług osobistych, których od niego wcale nie wymagano, i tak między innemi towarzyszył zawsze ojcu K. we wszystkich jego wycieczkach, do niego bowiem przedewszystkiem czuł największe przywiązanie, widocznie z wdzięczności za staranne wychowanie, jakie dzięki temuż odebrał.

Na brzegu oczekiwał nas tłum czarnych chłopców, którzy już z daleka rękami skromnie nas witali; zadaniem tych chłopców jest przybijającą do brzegu łódź przytrzymywać, aby ją bałwany napowrót nie odbiły, i przenieść na swych barkach ładunek, który tym razem ograniczał się wyłącznie do dwóch osób.

Z początku miałem niejaką obawę, czy słabe chłopcy nie upuszczą którego z nas do wody, tem więcej, że ojciec K. przy swojej dobrej tuszy przedstawiał wcale znaczny ciężar; chłopcy jednakże,

mimo iż fale nieraz do piersi ich zalewały, nieśli nas szybko i spokojnie i zupełnie suchych na brzegu postawili.

Pierwszy rzut oka na dzieci te wskazywał, że tutaj panuje porządek i karność, a pogoda i wesołość tych malców, z jaką wskazaną im czynność zręcznie i z ochotą wykonywali, dowodziły, iż tak fizycznie jak i moralnie należycie są rozwinięci.

Ciała ich gładkie jak u węgorza kazały wnosić, że są dobrze odżywiani, murzyn bowiem pod wpływem braku pożywienia lub choroby traci natychmiast ten połysk skóry, która staje się wówczas u niego szorstką i robi wrażenie jak gdyby nieumytej.

Tu jednak musiało się malcom dziać dobrze, a przemawiały za tem ich uszczęśliwione twarze, wśród których błyszczały dwa rzędy połyskująco białych zębów, tem bardziej gdy widziały zadowolenie ojca K. z swej pracy.

Łatwo pojąć, że obcy ze wszystkiem co ma na sobie i przy sobie, jest przedmiotem ich najwyższego zaciekawienia, zdradzały to miny malców; mimo to jednakże nie naprzykrzali się, jak to ma miejsce z innymi murzynami, którzy zaraz nieznane sobie przedmioty chcą dotykać, na co jeżeli się w swej prostoduszności zezwoli, stają się wprost nieznośnymi.

Wielką uciechę sprawiłem im, dając niektóre rzeczy do niesienia, widocznie jednakże z obawy, by czegoś nie popsuć, nie poddawali niesionych przedmiotów bliższej obserwacyi.

Z przystani, gdzie stały również szopy, służące do przechowania łodzi Ojców przed wpływami atmosfery, prowadził mnie ojciec K. szerokim, gałęziami w górze łukowato zasklepionym, jak altana zacienionym chodnikiem, który wznosząc się coraz wyżej, kończył się na szczycie pagórka bezpośrednio przed budynkami misyi. Kilka przerw w ścianach tegoż chodnika, otwierało widok na ogrody, nader symetrycznie i z niesłychaną pieczołowitością założone, a które misyę wokoło otaczają.

Miejscami ogrody te, jak później miałem się sposobność przekonać, tworzą rodzaj parku, a aleja pomarańczowa, jaką tamże w całej swej wspaniałości tak co do piękności jak i wielkości drzew widziałem, stoi zawsze przed memi oczyma; podobnej nigdzie więcej bowiem *nie spotkałem.*

W dalszym obrębie zamknięta jest misya tak od strony lądu jak i z obydwóch boków nieprzebytemi gąszczami, w których gdzienie-

gdzie wyrąbane są chodniki, bardzo dogodne dla Ojców do samotnych medytacyj; chodniki te naturalnie zamknięte są znowu gęstwiną.

Budynki misyjne budowane są, odpowiednio do warunków klimatu, wysoko i przewiewnie: stanowi je tylko wysoki parter, spoczywający na podmurowaniu i przykryty dachem.

W zupełnie prostym domu przełożonego misyi znajduje się wspólna sala jadalna, gdzie zastaliśmy już stół nakryty i bardzo gustownie owocami i kwiatami przyozdobiony przez kilku chłopców, którym na teraz ta służba oddaną została, a którzy tak tę jak i inne kolejno na przemian wykonywają. Tu poznałem większą część Ojców, w tej misyi czynnych, kilku tylko pozostało przy swem zatrudnieniu i ci jedli obiad dopiero później. Przełożony misyi, mężczyzna poważny, dobrej tuszy, a na twarzy jego maluje się dobroć serca, oczekiwał nas już na schodach i witając mnie w języku portugalskim, którego wcale nie rozumiałem, wprowadził mnie do domu i zaraz posadził za stołem. Języka niemieckiego wcale prawie nie posiadał, ku wielkiej mej przykrości, mimo to jednakże czynił następnie z uprzejmości nadludzkie wysiłki, by się ze mną w tymże języku porozumiewać.

Zresztą potocznym językiem był powszechnie język francuski; ponieważ jednak i w tej mowie rozporządzałem tylko najwięcej używanemi a nader szczupłemi wyrażeniami, „wzajemne porozumiewanie się“ przedstawiało przeto niemałe trudności. Przełożony misyi żył tutaj już od dwudziestu ośmiu lat i corocznie po kilka razy zapadał na febrę, tamtejszemu klimatowi właściwą chorobę, która też w oczach jego i twarzy piętno swoje wyryła. Obiad był suty, a szczególnie przypadł mi do smaku deser w postaci naszej rodzimej rzodkiewki, od której zawiało do mnie jakby pozdrowienie z mej dalekiej ojczyzny.

Misyonarze odżywiają się dobrze i żyją higienicznie, co w tym klimacie jest rzeczą konieczną dla Europejczyka, jeżeli nie chce paść ofiarą śmierci przed czasem. To też każda potrawa, przygotowana przez czarnych chłopców, którą na stół podawano, była pożywną i nader smacznie przyrządzoną.

Ażeby czytelnik miał pojęcie co się też jada w Afryce, oto jakie było *menu* owego dnia.

Naprzód zupa z ekstraktu mięsnego z różnemi jarzynami, którąby u nas w naszej najczystszej niemczyźnie nazwano *Jardinière*; dalej jakaś nieznana mi ryba z ostrym sosem; potem jaja sadzone z surową szynką i kiełbasą; pieczyste z kurcząt z korzeniem *jams* (jarzyna znakomicie zastępująca nasze ziemniaki); legumina z *tapioki*, którą przed

jedzeniem napuszcza się sokiem limonii (miasto cytryny) dla nadania jej delikatniejszego smaku; wreszcie deser, z przeróżnych rodzajów serów z masłem i przepysznych owoców.

Podczas obiadu można było słyszeć prawie wszystkie języki cywilizowanego świata, gdyż pomiędzy tamże obecnymi Ojcami nie było trzech tej samej narodowości.

Ja ze swej strony, nie chcąc wyłącznie z mym sąsiadem rozprawiać po niemiecku, przywiodłszy sobie na pamięć „Plötza I. i II. część", puściłem się na konwersacyę francuską, która jednakże rozumie się nie tęgo wypadła.

To też ponieważ, jak już nadmieniłem, Ojciec przełożony z grzeczności mówił po niemiecku, z czego ja często ani słowa nie rozumiałem, a ja mu na to po francusku odpowiadałem, co dla niego prawdopodobnie również nie mogło być zrozumiałem, rozmowa nasza musiała być nader pocieszną. Przynajmniej ojciec K. opowiadał mi później przy kawie, iż były nader humorystyczne chwile, gdy zagadnięty, nie rozumiejąc z tego co się doń mówiło ani słowa, mimo to znaczącym uśmiechem potakiwał mowie drugiego, a następnie zaraz ze swej strony zaczynał mówić o jakimś przedmiocie, o którym poprzednio wcale nawet wzmianki nie było.

Pod kierunkiem czcigodnego ojca K. i drugiego Ojca „ogrodnika" rozpoczęliśmy naszą przechadzkę po budynkach i gruntach, należących do misyi. Ponieważ kolonia misyjna w ostatnich czasach znacznie powiększyła się i budynki nie mogły pomieścić tak wielkiej liczby wychowanków (blizko czterystu), zamyślali Ojcowie o znacznem rozprzestrzenieniu wszystkich budynków misyi.

Przedewszystkiem znalazłem kaplicę, w której się służba Boża odprawia, zbyt szczupłą, Ojcowie jednak radzą sobie w tej mierze w ten sposób, iż wychowańców swych wprowadzają do niej oddziałami. W kaplicy stało harmonium, które jednakże już obecnie trafił ten sam los, jakiemu wszystkie instrumenta na wybrzeżu ulegają, jakkolwiek harmonium to zdawało się jeszcze prawie zupełnie nowe. Mianowicie wszystkie części żelazne były zupełnie zardzewiałe, drzewo popaczone, a głos jego zaledwo jakimś tonem nazwać było można.

W infirmeryi świeciło wszystko nadzwyczajną czystością; wówczas leżał tam tylko jeden młody chłopiec, któremu śmierć piętno swe na czole już wyryła, a na którego ciele można było dokładnie zaobserwować ową szorstkość i szaro-czarną barwę skóry, właściwą podczas choroby u murzynów.

Malec, którego ciężka choroba płuc tak wcześnie z tego świata zabrać miała, zdawał się godzić ze swym losem; ani jedno słowo skargi nie wydobywało się z ust jego, gorączką spieczonych. W ręce trzymał wiszący na piersi krzyżyk, który tylko wówczas puszczał, gdy pielęgnujący go Ojciec podawał mu przyrządzany z limonii chłodzący napój.

Następnie zwiedziliśmy budynki gospodarskie, w których zastaliśmy kilkanaście wieprzów i owiec w nędznym stanie; te zwierzęta długo tu żyć nie mogą.

Do tych budynków przytyka bezpośrednio ogród warzywny, gdzie dopiero pojąć można, z jak wielkim mozołem i trudem Ojcowie misyonarze usiłują przyswoić tam europejskie jarzyny, starania te jednak przy większej części tychże jarzyn niestety zawodzą.

Jużto trzeba przyznać, iż dla oka naszych gospodyń widok tego ogrodu warzywnego byłby nieco dziwny, gdyż z pewnością większa ich część stałaby przed niektóremi roślinami, otworzywszy usta, nie mogąc odgadnąć, jaka część tychże da się użyć na potrawę; ja także, wyznaję szczerze, znajdowałem się w tem samem położeniu.

Misya tutejsza należy do tych, które się same utrzymują, i od Kongregacyi nie otrzymują wsparcia. Rzecz ta warta jest zapisania, albowiem jak wiadomo płody tutejsze z wielką trudnością dostają się na rynki europejskie. Zresztą płody, jakie misya uprawia, konsumują w największej części wychowańcy zakładu, a tylko cenniejsze produkta bywają gdzieindziej spieniężane.

Tymczasem nadeszła południowa przerwa pracy w całej misyi, co obwieściło kilka uderzeń wielkiego i nader rozgłośnego dzwonu; w jednej chwili otoczeni zostaliśmy tłumem malców, którzy od różnych swych zatrudnień spieszyli do obiadu, trzeba jednakże na ich pochwałę powiedzieć, iż zachowali się spokojnie i trzymali się skromnie w przyzwoitem oddaleniu i tylko najstarszy z nich przystąpił do ojca K. z zapytaniem, czyby nam nie mogli się czemś przysłużyć, życzyliby sobie bowiem sprawić obcemu *dottore* jaką przyjemność. Zaledwie też wymówiłem moje życzenie, by mi schwytali kilka motyli, które im ojciec K. przetłumaczył i dał swe w tej mierze pozwolenie, rozpierzchł się natychmiast cały tłum i rozpoczęły się prawdziwe wyścigi, każdemu chłopcu zdawało się bowiem, że zna najodpowiedniejsze do łapania motyli ustronie.

Następnie przybyliśmy do pysznego ogrodu owocowego, mającego również wygląd parku, ponieważ drzewa owocowe bądźto pojedyńczo,

bądź grupami stały malowniczo wśród trawnika, dającego im prześliczne tło zieleni. Wedle mego zapatrywania, utrzymywanie pod tym stopniem szerokości tak dużych w stanie zielonym świeżych trawników, jakie widziałem w małym parku kameruńskim, wymaga wielkich nakładów; tutaj w każdym razie przyznać trzeba, że roślinność nie była w zupełności zwiędła i uschnięta. Prawdziwie piękny widok przedstawiały potężne banany i grupy platanów ze swoją wspaniałą ozdobą liści, obwieszone właściwemi im wiązkami owoców. Jak Ojciec „ogrodnik" opowiadał, poszukiwania ich, aby dla roślin tych wyszukać najodpowiedniejszy grunt, trwały bardzo długo i dopiero po wielu próbach udało im się osiągnąć tak świetne rezultaty.

Jedną z najpiękniejszych w świecie alei drzew pomarańczowych, o której już powyżej wspomniałem, przepyszną tak swą bujnością jak poważnym wiekiem drzew, szliśmy prawie pół godziny; w końcu alei znajduje się szkółka różnych drzew i krzewów. Co za bogactwo! Jeszcze dzisiaj żałuję, iż więcej młodych pędów, które i tak obcięte być musiały, ze sobą nie zabrałem. Co za pyszne z nich laski!

Nieraz na statku dziwiłem się, dlaczego do obiadu podawano nam na deser często zielone jak trawa pomarańcze, to też nigdy nie mogłem się na nie zdecydować, uważając je za niedojrzałe, a zatem cierpkie. Tu jednakże przekonałem się, że rzecz ma się przeciwnie, pokosztowawszy takiej pomarańczy, którą mi jeden z Ojców dla ugaszenia pragnienia zerwał, a właściwie pokosztowawszy jej soku, gdyż w tych gorących okolicach ze wszystkich owoców, a nawet z ananasu spożywa się tylko sok, części stałe obciążają bowiem niepotrzebnie żołądek, nie przysparzając ciału żadnych pożywnych pierwiastków. Tu panuje nawet takie zapatrywanie, które uważam jednak, że za przesadzone, że spożycie choćby jednego plasterka ananasu, nawet obranego go jak najstaranniej, sprowadza w skutkach febrę, jeżeli się nie ograniczymy na samym soku tegoż. Swoją drogą to jest pewnem, iż wszelkie przeładowanie żołądka może nabawić febry, właściwej tamtejszemu klimatowi. Zielone te pomarańcze, mimo swego pozoru, mogły współzawodniczyć co do słodyczy z sławnemi messyńskiemi.

Przeróżne drzewa Europy, jakie u nas używają do zakładania parków, widać tu było jużto pojedyńczo, jużteż grupami posadzone, a to w tym celu, aby je następnie jako materyał budulcowy zużytkować; widocznie jednak klimat nie jest tu dla nich korzystny, miały bowiem wygląd chorowity, również jak każdy mieszkaniec Europy tam osiadły, i pozbawione były zupełnie swej właściwej piękności, która

jest u nas tak miłą dla oka, a kora ich ma liczne pęknięcia i pory, — wogóle właściwy ich charakter, jaki mają w swej ojczyźnie, zmienił się nie do poznania.

Ponieważ ogród doświadczeń (szkółka) dotykał bezpośrednio od strony zewnętrznej do niedostępnej dla ludzi gęstwiny, wskutek czego nie dawał bezpieczeństwa przed lampartami, przeto ojciec K. wziął dla naszego bezpieczeństwa kilku murzynów, uzbrojonych w łuki i strzały, do których ja jednakże, przyznaję, na wypadek podobnego spotkania, niewiele miałem zaufania, licząc raczej na swój wyborny rewolwer, który pożyczyłem od naszego pierwszego maszynisty na statku. Wkrótce jednakże przekonałem się, że taka broń, jak łuk i strzała, przy należytej wprawie, nie jest wcale do pogardzenia, zręczność bowiem, z jaką ci ludzie używają łuku, jest aż nadto dostateczną obroną nawet przeciw lampartowi.

Opodal wejścia do ogrodu w poprzek drogi, pełzało jakieś zwierzę na metr długie, które wziąłem na razie za młodego krokodyla; w mgnieniu oka z odległości może sześćdziesięciu kroków ugodził je jeden murzyn strzałą w głowę w ten sposób, iż przybił je tąż strzałą do gliniastego gruntu. Zbliżywszy się, poznaliśmy, iż postrzelone zwierze, które jeszcze ogonem po bokach biło, jednakże już w ostatniej agonii leżało, był to *legwan* lub *wazan*, który oprócz swej postaci, podobnej do jaszczurki, nie ma z krokodylem nic wspólnego i mimo swych ostrych zębów jest stworzeniem nader spokojnem i pożytecznem. Murzyn, który dał ten strzał prawdziwie mistrzowski, ściągnął ze zwierzęcia skórę, która wraz z łukiem i kołczanem, pełnym strzał, od których zwierzę śmierć poniosło, do dziś dnia znajduje się w mym skromnym zbiorze.

Po tej małej przygodzie weszliśmy do dalszej części ogrodu doświadczeń, deskami od drogi odgrodzonej, i tu zadziwiła mnie rozmaitość wszelkich roślin pożytecznych, jakie tylko prawie egzystują, począwszy od naszego żyta aż do wanilii i krzewów bawełny. Naturalnie zainteresowały mnie przedewszystkiem nasze rodzime warzywa i jarzyny, po ich jednak nędznej wegetacyi widać było, iż oprócz niektórych gatunków kapusty, hodowla tychże w tamtejszych okolicach nie osiągnie nigdy korzystniejszych rezultatów. I tak fasola i groch mimo najtroskliwszego pielęgnowania nie wydają tu wcale owoców; również zaniechano sadzić ziemniaki, w miejsce tych ostatnich jednak ma tamtejsza okolica korzenie rośliny jams, które, co do mnie przynaj-

mniej, bardziej mi smakowały, jak niejedne ziemniaki, które w mej ojczyźnie jadłem. Za to różne gatunki naszych zbóż nie dadzą się tu niczem zastąpić.

Tu stały grupami drzewa kawy, kakaa, herbaty (ta ostatnia nie przedstawia jeszcze dotychczas większej wartości) i inne rośliny, każda grupa oddzielona od drugiej ścieżką w ten sposób, iż każdy niejako klomb obejść można ze wszystkich stron. Na altanie, ulubionem miejscu Ojca przełożonego, pięła się cenna wanilia, z której hodowli obiecywali sobie Ojcowie dobre rezultaty. Wprawdzie strączki jej nie były jeszcze zupełnie dojrzałe, widać jednak było z całego wyglądu rośliny, że tutaj będzie prosperować.

Podobnie racyonalnie prowadzonej uprawy ananasów jak tutaj, nigdy jeszcze nie widziałem, to też corocznie zbierają Ojcowie tysiące tych owoców, i to tak soczystych i smacznych, o jakich my w naszym klimacie zaledwie i wyobrażenie mieć możemy. Trudno wystawić sobie, jaki zapach mają owoce ananasu, dojrzewające na swej łodydze, niema pod tym względem żadnego porównania z owocami, które do nas sprowadzają lub w cieplarniach hodują, owoce te bowiem na miejscu zbierają w stanie niedojrzałym i dopiero następnie muszą dochodzić. Taż sama różnica w smaku zachodzi i co do bananów, które się tam wprost z drzewa dojrzałe zrywa, a do nas je również niedojrzałe transportują.

Głęboki i błotnisty rów oddzielał szkółkę roślin od gęstwiny, mimo to jednakże, jak mi opowiadał Ojciec, nie stanowi to z powodu zwieszających się potężnych gałęzi, prawie żadnej przeszkody dla niemiłych gości, i on sam znalazł się raz w przykrem położeniu, z którego wydostał się nagłą ucieczką, gdy spostrzegł w poblizkich zaroślach błyszczące ślepie jakiejś drapieżnej bestyi. Najniebezpieczniejszem, przecież dla chłopców zatrudnionych w ogrodzie są węże, które też już kilka ofiar z pośród nich wyrwały. Na owoc i inne produkta ogrodowe licznemi amatorami i odbiorcami są małpy, które mimo postawionych strażników często całemi gromadami plantacye odwiedzają. Początkowo bały się one metalowej grzechotki strażnika, przekonawszy się jednak raz i drugi, że narzędzie to nie jest wcale tak groźne, nie robiły sobie nic z takowej, tak, iż strażnicy zmuszeni byli zamienić grzechotkę na strzelbę, która im stanowczo zakaz wkraczania do ogrodu głosiła.

Wśród takich opowiadań i udzielanych mi różnych wyjaśnień,

doszliśmy do budynków szkolnych, stojących między opisanym ogrodem doświadczalnym, a resztą zabudowań misyi.

Przedmiotem nauczania w tej szkole było wtajemniczanie wychowanków w przeróżne rzemiosła; taka nauka ma dla nich w życiu późniejszem pierwszorzędne znaczenie, mieszkańcy całego bowiem wybrzeża zmuszeni są dla zupełnego braku rzemieślników sprowadzać najniezbędniejsze narzędzia gotowe z innych części świata.

Tu urzędowali Ojcowie: szewc, krawiec, kołodziej, tam znowu obrabiał Ojciec kowal młotem kawał rozpalonego żelaza; wychowanków za to było tu wówczas niewielu; reszta bowiem wolała, korzystając z wolnego popołudnia, dla usłużenia mi, uganiać po polach. Przy wszystkich tych zatrudnieniach jednak widocznem było, iż pozostali przy robocie (być może za karę, o co nie wypadało mi się pytać), oddawali się zajęciu swemu z ochotą i prawdziwem zamiłowaniem, przyśpiewując przytem wesoło. Wkońcu wprowadził mnie ojciec K. do swego skromnego mieszkania, które jakkolwiek dla wygody niewiele posiadało, za to dla oka badacza i miłośnika natury przedstawiało wiele nader zajmujących rzeczy. Widziałem tam naprzykład tak bogaty i urozmaicony zbiór Algów (porosty morskie), jakim żaden może gabinet przyrodniczy się nie pochwali, a ojciec K. hojnie obdarował mnie wielu zbytecznemi okazami, jakie miał w zapasie. Od niego otrzymałem również prawdziwą perłę, jednakże nie myśl szanowny czytelniku, że była to perła zrodzona w muszli perłowej — była to inna perła, było to mianowicie maleńkie arcydzieło snycerskie, statuetka przedstawiająca jakiegoś biskupa, która miała stanowić początek różańca, a była wyrzeźbiona z orzecha przez jednego murzynka. Artysta umarł niestety, pozostawiając rozpoczęte dzieło niedokończone, a nikt inny się nie znalazł, coby umiał dalej robotę poprowadzić; rzeczywiście jest to, jak już powiedziałem, prawdziwe, nader misterne arcydzieło.

Na głos dzwonka, głoszącego czas podwieczorku, udaliśmy się i my do domu Ojca przełożonego, gdzie właśnie jest ogólny punkt zborny; tu przybyli więc znowu wszyscy ci Ojcowie, z którymi siedziałem razem już przy obiedzie.

Tymczasem słońce chyliło się już znacznie ku ziemi i był ostatni czas wyruszyć do statku, jeżeli nie miała mnie zaskoczyć zupełna ciemność. Z chęcią byłbym dłużej jeszcze tam pozostał, wszystko bowiem, co tu widziałem i słyszałem, było dla mnie nowem i nieznanem a bardzo zajmującem, i czas mile mi tam uchodził, do czego w pierw-

szej linii przyczyniła się, jak to już we wstępie wspomniałem, pełna prostoty uprzejmość Ojców.

Ponieważ statek dopiero nazajutrz wieczorem miał odpłynąć, siłą prawie zatrzymywali mnie Ojcowie na noc, nie mogłem jednak dłużej się zatrzymać, bo jakkolwiek chwilowo wszyscy na pokładzie statku byli zdrowi, nie można było jednak wiedzieć, co w czasie mej nieobecności zdarzyć się mogło.

Tymczasem wróciła czarna rzesza z swej wycieczki i otoczyła schody, a z oczu chłopców i śmiejących twarzy, widać było radość z dobrego połowu, na co moją uwagę zwrócił ojciec K., dodając przytem, iż malcy widocznie przynieśli coś szczególnego. Gdyśmy do nich wyszli, oddawał każdy swój łup w motylach, niektóre z nich opakowane należycie do transportu w papier, inne, gdy im papieru zabrakło, zawinięte w liście, ogółem może kilkaset sztuk. W każdym razie była tego wcale pokaźna paka. Teraz dopiero miała przyjść największa niespodzianka. Jeden z chłopców przyniósł mi całe gniazdo kolibrów z jajkami, które razem z gałązką krzewu odłamał, inni gniazda ptaków tkaczy, które się całemi gromadami w plantacyi manioku (maniok, roślina, z której rdzenia robi się tak często w naszych kuchniach do potraw używana mąka tapioki) zagnieździły. Lecz, jak się to powszechnie dzieje, najlepsze przychodzi na ostatku, co i tu się sprawdziło, ostatni bowiem z chłopców, promieniejący z radości, wręczył mi mały koszyczek upleciony z liścia kokosowego, w którym uwięziony był żywy kameleon, który jakby dla okazania swego zadowolenia przybrał swą najpyszniejszą, lśniąco-zieloną szatę. To też byłem tylu skarbami tak obładowany, iż wśród drogi nie wiedziałem, co mam trzymać przedewszystkiem jako najważniejsze, a jeszcze przy wsiadaniu do łodzi ofiarował mi jeden murzyn trzy na czarno wypalone fajki gliniane własnej roboty, które swą oryginalną formą i prostotą wyrobu przewyższały wszelkie podobne wyroby, jakie dotychczas miałem sposobność widzieć; w ten sposób objuczony przybyłem na statek, gdzie obudziłem prawdziwą zazdrość tyloma tak pięknemi przedmiotami, jakie ze sobą przyniosłem.

Nadto Ojciec przełożony przysłał, bez mej wiedzy, już wcześniej na pokład statku dwa wielkie kosze z ananasami, brzoskwiniami i pomarańczami, co wszystko wśród podróży sam jeden spożyłem, przynajmniej to, co możliwe było do jedzenia, nic bowiem przy tym wszystko wysuszającym upale więcej nie orzeźwia jak owoce. Między temi owo-

cami były niektóre nader szczególne, jak np. strączki wanilii lub owoce kakao, które jednakże z wyjątkiem jednego wśród drogi zepsuły się.

Poczciwy ojciec K. towarzyszył mi aż na pokład statku, gdzie prawdziwie serdecznie żegnany rozstałem się z nim.

Niestety z pięknych moich rzeczy niewiele dowiozłem do domu w stanie nieuszkodzonym.

Mianowicie podczas oglądania zaraz po przybyciu na statek usiadł pierwszy maszynista na gnieździe kolibrów, które naturalnie razem z jajami do niepoznania zgniecione zostało. Z fajek dwie rozbiły się, a z gniazd tkaczy jeden tylko egzemplarz zdołałem uratować. Kameleona zaś przywiozłem z wielkim trudem do Berlina, gdzie jakiś czas zdobił ogród zoologiczny, wkrótce jednakże zdechł, popadłszy w zwykłą u tych zwierząt, w niewoli trzymanych, ospałość, lub być może, iż uważał się u nas za zbyt „egzotycznego", by się trudzić jedzeniem.

Tylko dwa razy w czasie całej podróży przybrał ową lśniącozieloną barwę, jaką miał w chwili oddania mi go, a było to każdą razą po obfitej uczcie w postaci *kakerlacz*'ów, jak je majtkowie nazywali, owadów, które my zresztą pospolicie nazywamy „szwabami".

Żywienie jego nie było, mianowicie z początku łatwem, i tylko pomysłowości jednego majtka zawdzięczam, iż go żywego przywiozłem, zwierzątko nie chciało bowiem jeść robaków i chrząszczy, jakieśmy mu dawali. Majtek zaś ów kładł kłąb wełny, o ile możności jak najwięcej oplątanej, zwykle z poprutej pończochy, do skrzyni, do której wrzucano odpadki kuchenne, a po krótkiej chwili kłąb roił się od szwabów tak, iż nie trzeba było nic więcej, jak tylko włożyć go tak jak był do klatki kameleona, który już sam sobie najtłustsze sztuki wybierał, podczas gdy mniejsze pospiesznie uciekały wszystkiemi szparami. Lecz już w Hamburgu przestało zwierzątko samodzielnie jeść i jego zewnętrzny wygląd zdradzał, iż nie czuje się dobrze, od tego już bowiem czasu stale zatrzymywał brunatną barwę skóry, na którą, gdy go zbyt przy jedzeniu zmęczono, czego obecnie trudno było uniknąć, występowały ciemne prawie czarne plamy. Co jest szczególne, że jak tylko zdechł, skóra jego przybrała znowu połysk zielony.

Motyle wszystkie, między któremi były niektóre bardzo cenne okazy, zepsuły się również, a to z powodu mej nieświadomości w obchodzeniu się z niemi, gdy bowiem jednego dnia spostrzegłem, iż u wielu skrzydła odpadły, poprostu je wyrzuciłem, nie przeczuwając, że prawie wszystkie zagraniczne motyle w tym właśnie stanie do nas przychodzą,

gdzie je dopiero zbierający bardzo misternie sklejają, co wcale egzemplarzom nie szkodzi.

Jakkolwiek z tylu rzeczy, jakie ze sobą na statek przyniosłem, niewiele w całości zdołałem utrzymać, to przecież pozostała reszta jest dla mnie miłą pamiątką i wspomnieniem owego dnia, który się w mej pamięci nigdy nie zatrze, a który danem mi było spędzić w misyi, i przez całe życie zachowam dla czcigodnych Ojców prawdziwą wdzięczność za uprzejmość, z jaką zupełnie obcego przyjęli, i za to, co im zawdzięczam, muszę bowiem przyznać, że w tym jednym dniu więcej poznałem życie pod zwrotnikiem niż gdzieindziej przez całe tygodnie.

Listy australskie polskiego emigranta.

(Spóźnione).

Sydney, 29 października 1886.

Przez kilka tygodni znaku życia nie dawałem, powodem tego był przykry stan interesów, dla których w żałosnym tonie pisaćbym musiał *et moi j'abhore le lyrisme*, zwłaszcza, gdy nań rady niema; wolałem zatem milcząc czekać lepszych czasów. No — i przyszły.

Zostałem właścicielem ziemskim. Wziąłem jako selekcyę 1280 akrów. Jak? gdzie? co z tem pocznę? i t. d.; na wszystkie te pytania, nie pomijając nawet tego „i t. d.“, odpowiem.

W ostatnim miesiącu pobytu mojego w Komisyi Wodnej, miałem dużo do czynienia z mapami kolonii. Kolonia podzielona jest na sto czterdzieści kilka hrabstw, a każde hrabstwo na pewną liczbę parafij. Pierwszem jest hrabstwo Cumberland, w którem leży Sydney. Tu wszystka ziemia od rządu zabrana, bardzo już jest droga. Otóż przechodząc mapy pojedyńczych parafij tegoż hrabstwa, znalazłem w parafii Eckersley ten kawał ziemi, który należąc jeszcze do rządu, był do wzięcia. Pojechałem natychmiast by go obejrzeć, pojechałem potem drugi raz i trzeci, ostatecznie wziąłem go. Selektowanie nazywa się także kondycyonalnem kupnem ziemi od rządu. Kondycye są następujące:

1) Trzeba przez 5 lat na gruncie mieszkać osobiście.

2) Ogrodzić go w przeciągu lat dwóch.

3) Ulepszać ziemię.

Warunki kupna są następujące: Kupuje się akr ziemi w cenie 1 funt. szterl. na 20 lat spłaty. W pierwszym i drugim roku trzeba płacić 2 szylingi od akra, począwszy od trzeciego po szylingu co roku, aż do całkowitego uiszczenia się. Nie przyjmują całej sumy, dopiero po pięciu latach. Ziemia w ten sposób kupiona jest na pół-darmo. Rząd — powiedzieć można — płaci prawie za to, by na gruncie mieszkali, chcąc uzyskać ludzi przywiązanych do kawałka ziemi i uprawiających tenże.

Na dowód tego, com powiedział, dodam, że niesposób tu kupić ziemi, bez powyżej wymienionych kondycyj, poniżej $2^1/_2$ do 3 ff. za akr.

Jest jeszcze jeden rodzaj selektowania bez warunku mieszkania na selekcyi, wtedy jednak warunki są o wiele cięższe: płacić trzeba za akr 2 ff.; natychmiast 4 szylingi, a dalej płaci się po 2 szylingi od akra rocznie, ogrodzić zaś trzeba w przeciągu roku. Ja zamierzam przemieszkać lat 5 na mojej ziemi, następnie spłacić resztę, by uzyskać prawo sprzedania onej natychmiast. W pierwszym roku dochodu żadnego mieć nie mogę, wszystka bowiem ziemia zarośnięta lasem i krzakami musi być wykarczowana, aby można coś na niej zasiać. Krowy mogłyby mi dać dochód zaraz, gdyż mam dobrą trawę...

Ponieważ muszę las wyciąć, będę zatem, nie jak tu robią, palił drzewo na miejscu, lecz dowoził je do kolei, a tąż do Sydney, gdzie za tonę płacą $9^1/_2$ szylingów. Czy się uda, nie wiem, w każdym razie spróbuję.

Ziemię sprzedają o milę odemnie po 30 ff. akr, ja marzyć nawet o takiej cenie nie chcę, ale spodziewać się mogę przynajmniej od 5—10 ff. i fortuna zrobiona!... Jaka to szkoda, że nikt nie daje nagród za bujną wyobraźnię, gdyż jabym dostał z pewnością *un premier prix d'imagination*...

...Zima nasza już minęła, upały się zaczynają, a co najgorsze to komary, moi najzaciętsi nieprzyjaciele, a jest ich w każdym pokoju najmniej z parę tysięcy. Nazywają je tu „muskitami". Prawdziwa plaga. Zima tu ciekawa, nigdy mniej nie było jak 8^0 ciepła, a pomimo to marzliśmy, nawet ja z Północy; z przyjemnością przy ogniu siadywaliśmy, to też w biurze cały dzień na kominku się paliło, boby inaczej nie można było pracować...

Sydney, 22 stycznia 1887.

...Ziemia moja (właściwie las), położona jest o 30 mil koleją od Sydney, 9 mil po dobrej drodze od stacyi kolejowej Liwerpol, a 4 tylko mile angielskie bez drogi, przez las, od stacyi Ingelburn; spodziewam się, że z czasem drogę rząd zrobi, gdy okolica bardziej się zaludni. Wszystko teraz przygotowuję do wyjazdu z Sydney na pięcioletnie tam zamieszkanie. Początkowo, przez parę może miesięcy, będę mieszkał w namiocie i las wycinał i karczował; potem dom będę stawiał, oczywiście drewniany (dwa pokoje i kuchnia), pokryty blachą, bo to najtańsze, słomą kryć nie można z powodu częstych pożarów leśnych. Czasem tu po kilka mil kwadratowych lasu się pali, zowią to *bush fire*.

Wziąłem człowieka na rok, jest on cieślą; będzie mi, w ciągu tego roku, musiał dom wystawić, szopy pobudować, grodzić, ścinać drzewa i t. d., być, jak tu mówią: *generally useful*. Płacić mu będę 30 szylingów tygodniowo, co na tutejsze ceny nie drogo.

Zamierzam zakładać, o ile będę mógł, jak najwięcej winnic, które się tu świetnie udają i bardzo dobrze płacą...

Czas między ostatnim listem moim a dniem dzisiejszym spędziłem częściowo na podróżowaniu po Australii, właściwie Nowej Południowej Walii, i zbieraniu owadów, pająków, wężów i t. d. dla wuja Konstantego [1]. Poszukiwania moje nieszczególnie się powiodły z powodu częstych deszczów, które mi w wycieczkach przeszkadzały. Dostałem na kilka miesięcy bilet wolnej jazdy, pierwszą klasą, po wszystkich kolejach kolonii, dzięki temu jeździłem na polowania i wyżej wspomniane wycieczki. Mieszkam w Sydney od trzech już miesięcy u Polaka, nazwiskiem Miller; nadzwyczaj poczciwy człowiek, dobry katolik, ożeniony z Angielką tutejszą, także katoliczką. Zajmuje się poprawianiem rozmaitych niedokładności, ba nawet zaszywaniem luk w butach, pochodzących z nadmiaru używania tychże po źle bruko-

[1] Konstanty Jelski, syn Michała i Klotyldy z Moniuszków Jelskich, ur. na Litwie w gub. Mińskiej w dobrach rodzicielskich „Lada“ emigrant, z 1863 r., podróżował w celach naukowych po Europie i południowej Ameryce, gdzie był przez lat 10 profesorem nauk przyrodniczych na uniwersytecie w Limie. Obecnie kustosz zbiorów przyrodniczych przy Uniwersytecie Jagiellońskim i profesor w kilku zakładach naukowych w Krakowie.

wanych ulicach sydneyskich, jednem słowem jest on szewcem, a ja w wolnych chwilach jego uczniem i bezpłatnym pomocnikiem. Kto wie, czy mi się to w życiu jeszcze nie przyda? Miller łataniem butów zarabia od 3—4 ff. na tydzień, pomimo to niewdzięcznik, nie lubi się przyznawać do swego rzemiosła, wolałby być ministrem, jak F. Abigail, który po szydle i smolonej dratwie doszedł do ministerstwa przed paru dniami; nazywają go teraz *Dotektor Abigail.*

Anglicy każdego znajomego, z którym się witają, nazywają przyjacielem; do tego rodzaju przyjaciół zaliczam Abigail'a. Muszę też przy sposobności opisać sposób tego witania: Nikt się tu jeden drugiemu nie kłania po europejsku, kapeluszem (szkoda czasu). Mało znajomym, lub ludziom, których się chce uczcić, kiwa się głową na znak powitania; dobrze znajomi mrugają sobie tylko prawem okiem i czasem z lewej strony ku prawej głową kiwną prawie nieznacznie. Człowieka, coby na ulicy kapelusza uchylił, można bez pomyłki najmniejszej wziąć za niedawno przybyłego *foreigner*'a. Mężczyzna znajomej kobiecie się nie kłania, aż mu się ona ukłoni. Ogromnie mi się to z początku dziwnem wydawało i często na ulicy śmiechu powstrzymać nie byłem w stanie na widok niejednego takiego kiwnięcia lub mrugnięcia! Kłaniając się kobiecie można lekko, ale tylko lekko kapelusza uchylić bez zwrócenia na siebie uwagi. Ja zwyczaje te bardzo pochwalam, nietylko bowiem oszczędzają one kapelusze, a przez to kieszeń, ale też nie dopuszczają do naszego europejskiego „czapkowania", które jest, bez żadnej kwestyi, ohydnem. Gdyby tu posłyszano nasze, z kapeluszem o stopę od ziemi „padam do nóżek", „ścielę się do stópek", „uniżony sługa", „pan dobrodziej" i t. d. i t. d., toby ludzie śmiechem parskali. Tu służący, gdy swego pana na ulicy spotka, tak mu się ukłoni jakby to był jego najlepszy przyjaciel: cała różnica w tem tylko może będzie, że swego znajomego powita kiwnięciem głowy z uśmiechem na ustach i doda może: *Allo Jack*, a panu swemu kiwnie głową lub mrugnie poważnie (jeśli poważnie mrugać można).

Zacząłem pisać o przyjaciołach, opiszę zatem przy sposobności jednego z moich prawdziwych przyjaciół. Jest nim niejaki p. d'Apice, starzec 69-letni, Włoch. Za młodu żył on w najwyższych dworskich sferach paryskich, następnie w Rzymie jako oficer gwardyi przybocznej papieskiej, a jako potomek starej bardzo włoskiej rodziny szlacheckiej, ze wszystkimi najjaśniejszymi tamże panami obcował. Straciwszy, w jednym z europejskich krachów, całą fortunę, przed trzydziestu laty

do Sydney przyjechał, tu się ożenił i jako profesor muzyki, którą dobrze posiada, osiedlił, pozostając zawsze w najlepszych z Europą i jej „najjaśniejszymi“ mieszkańcami stosunkach. Ma ośmioro dzieci. Nadzwyczaj to poczciwa rodzina. Stary d'Apice, wielki konserwatysta, o ile możności unika wszystkich nowoprzybywających do kolonii. Gdy ja tu przyjechałem, byłem mu przedstawiony na statku „Océanien“ jeszcze, jako „wielki chemik“ i t. d., „trzymający może przyszłość Australii w ręku“. Zaraz spostrzegłem, żem się staremu podobał, ale nieufny, nie zapraszał mię do siebie. Między jego najlepszymi przyjaciółmi w Europie jest księżna Karolina Z..., do której bardzo często pisuje. Tej napisał w pierwszym swym liście o przyjeździe moim, z zapytaniem, czy nie wie, kto też jestem. Księżna mu odpowiedziała, że mię zna doskonale, i że prosi d'Apice'a, by dla mnie był takim jakimby był dla niej samej. To lody przełamało, zostałem zaraz do nich zaproszony i blizko rok już tam bywam — codzień, jeśli można, bardziej lubiany. Stary dziś nic nie zrobi bez zapytania mię o zdanie. Przebył niedawno bolesną operacyę; w czasie choroby z nikim się widywać nie chciał prócz ze mną...

27 stycznia. Wczoraj cały prawie dzień spędziłem na szyciu sobie ubrania chińskiego zwanego *pindżamer*. Składa się ono z kolorowych płóciennych bardzo szerokich spodni i takiejże bluzy. Kostium taki używany jest tu do spania (dla ochrony od muskitów) i jako ranne ubranie. Francuzi nazywają taki strój *Moresque*.

Od dziewięciu już dni deszcz leje, co powoduje ogromne wylewy. Jest to fenomen nie widziany jeszcze w Australii, która zwykle na brak deszczu choruje...

Sydney, 12 lutego 1887.

Za dwa dni zamierzam ostatecznie już z Sydney wyjechać i osiedlić się na mojej ziemi, a raczej w moim bezbarwnym eukaliptusowym lesie. Rad jestem jednak z tego zakątka, gdyż po dokładnem obejrzeniu go, znalazłem skarb prawdziwy — wodę. Największą plagą Australii jest właśnie brak onej i niemożebność irrygowania małym kosztem; otóż ja tej troski nigdy chyba mieć nie będę. Przez moją posiadłość płynie rzeczka, cacko, zwana Harasses Creek. Wziąłem był selekcyę moją temu 5 miesięcy, nie obejrzawszy jej dokładnie, i to wielkie szczęście, bo gdybym był wiedział, że w środku są ogromne skaliste

parowy, tobym o braniu nie pomyślał nawet, a te właśnie parowy dziś są moją radością, środkiem ich bowiem płynie Harasses Creek, którego początek jest na moim gruncie. Jest też w temże miejscu bardzo szeroka dolina, a raczej przepaść na 150 stóp głęboka; stopniowo się potem zwęża, a na samej granicy mej ziemi ma już tylko 150—200 stóp szerokości. Jeśli tam postawię tamę, otrzymam duże jezioro, które wartość posiadłości nie o 100, lecz o 1000 procent podniesie. Z drugiej znów strony mam rzeczkę Deadmans Creek, na niej jednak trudniej tamę postawić. Dom stanie koło drogi, na doskonałym czarnoziemiu, który będę uprawiał; reszta roli to lekki grunt, doskonały pod winną latorośl, dobrze się tu udającą i ogromne przynoszącą zyski.

...Syn przyjaciela mego d'Apice'a tak się do mnie przywiązał, że lubo jest teraz o 400 mil od Sydney, w Dubbo, co tydzień niemal pisuje do mnie, dawniej po francusku, ale jak!?... dziś po angielsku, uważa bowiem, że w tym tylko języku dostatecznie wyrazić może przywiązanie swe ku mnie. On to będzie może kiedyś wspólnikiem moim w gospodarstwie drobiowem, o którem dawniej wspominałem...

Sydney, 27 marca 1887.

Od miesiąca już prawie mieszkam na moim gruncie, lecz teraz dopiero zaczynam budować: nie chciałem tego czynić pierwej, gdyż ziemia nie była odmierzona, od dni paru dopiero mam urzędnika, który mi ją odgranicza. Dotąd zajęty byłem wycinaniem drzew i karczowaniem, chcąc co najprędzej założyć winnice: koszta na nie stosunkowo niewielkie, a dochód znaczny dają. Australskie wina już eksportują i dobrze w Anglii sprzedają.

Grono tutejszych Polaków zmniejsza się nieco: rodzina pp. C... wraca do Europy, a biedny dr. S. nagle życie zakończył...

28 *marca*. Wczoraj przerwał mi pisanie Jan Ł..., z którym spędziłem kilka godzin na miłej pogawędce. Dziś wracam do siebie, a w sobotę znów tu przyjadę. Zima się już zaczyna; wprawdzie zaledwie chłodną nazwać ją można, jednak przyzwyczajeni do gorąca, czujemy ją i z przyjemnością przy kominku się grzejemy.

Pytaliście mnie w jednym liście, czem żyję? Odpowiadam: solonem mięsem, chlebem, herbatą, sardynkami, mięsem konserwowanem w blaszankach, serem, mlekiem kondensowanem i t. d., oczywiście nie wszystko naraz, lecz czasem jedno, czasem drugie. Mięso świeże ku-

puję, gdy jestem w mieście, najwyżej na dwa dni, bo w czas gorący i wilgotny tak prędko się psuje, że czasami i jednego dnia nie wytrzymuje. Jak się urządzę, do tego wszystkiego będę miał własne warzywa.

Selekcya, 2 kwietnia 1887.

...Do Sydney jeździłem by obstalować drzewo do budowy domu, którego fundamenta już założone. Piszę „fundamenta", gdyż będzie stał na 32-ch, dwie stopy wysokich palach, napuszczonych dziegciem naftowym. Robię to dla zachowania domu od termitów, których tu wszędzie ogromne są masy, a powtóre, by mieć pod podłogą przeciąg ochładzający znacznie mieszkanie; aby zaś przeciąg nie wciskał się do pokoju, pokrywa się podłogę „linoleum" — jest to rodzaj grubej ceraty. Domek mój składać się będzie z czterech pokoi, kuchnię zaś umieszczę w osobnym budynku. Naokoło domu będę miał werandę 6 stóp szeroką. Materyał budowlany przywiozą mi w przyszłym tygodniu. Pałacyk mój skończony będzie mniej więcej za miesiąc. Mebli żadnych prawie nie mam, ale z czasem, jest nadzieja, że jak wszystko, tak też i one się znajdą, bo ja rzeczywiście zwykle najbardziej na znalezienie rachuję, *no — i jakoś znajduję*. W przeszłym tygodniu np. znalazłem kilka liwrów, sprzedając drzewo suche, leżące na ziemi, do palenia w piecach. To jest prawdziwie z nieba zesłany pieniądz; jeśli to komu opowiadam, nie chce wierzyć, gdyż się tu drzewa w lasach nie kupuje; lasy są wszędzie i każdy kontent, gdy mu go zetną, bo przez to trawa rośnie. Cena, którą wziąłem, jest śmiechu warta, 6 pensów za tonę!... ale „dobra psu i mucha", gdy głodny.

Cały tydzień dobrzem pracował, dziś sobota, jutro spoczynek; nie bardzo go wprawdzie użyję, gdyż wybieram się piechotą przez las do 4 lub 5 mil odległego Minto, w interesie. Idę zaś piechotą, gdyż trzeba przechodzić przez George's River o bardzo skalistych i wysokich brzegach, a mostu niema, więc konno przejechać niesposób; wracam tego samego dnia wieczorem.

Gdyby mię w tej chwili kto z europejskich znajomych ujrzał, pewnoby dawnego W... nie poznał. Opiszę jak wyglądam: kostium flanelowy w czerwone kraty, niezupełnie cały, do naprawy którego się nie biorę dla braku czasu i dlatego, że tutaj tualety nikt nie wymaga, trzewiki grube: twarz chustką podwiązana, bo mam fluksyę, broda długa, kapelusz niegdyś bronzowy, wysoki, dziś biedak pokrzywiony

i zielony, a wreszcie skórzany pas z takąż torbą na nóż, zegarek, tytoń i zapałki; twarz i ręce jak u kominiarza, bom cały dzień drzewo ciął i ognie palił, jakoteż od miazgi drzew zielonych, które tak ręce czernią, że ich odmyć przez długi czas nie można. Gdyby mię Europejczyk w lesie ujrzał, z małą do tego siekierką u pasa i strzelbą na ramieniu, toby zmykał, coby mu sił starczyło, lub bez pytania oddałby zegarek i portmonetkę; Australczyk zaś spotkawszy mnie, powiedziałby: *Good morning sir*, a pomyślałby: *some honest looking bushman*.

Obecnie mam ze sobą Francuza, który nibyto u mnie pracuje, a właściwie nic nie robi, bo mu z początku robota, którą mu daję, za ciężka. Za to mi doskonałe potrawy przyrządza z kartofli, cebuli i solonego mięsa. Na śniadanie mieliśmy solone mięso gotowane, potem smażone, ze smażonemi kartoflami, herbatę, chleb, ser i masło (trochę już jełkie); na obiad potrawkę z solonego mięsa, kartofli i cebuli; na kolacyę takież mięso na zimno z kartoflami smażonemi z cebulą; jednem słowem, od kiedy go mam, żyję prawie po europejsku. Przyprowadził mi Francuza tego Jan Ł... z prośbą, bym go sobie zabrał i dobrze pilnował, bo w częste wpada desperacye i próbuje się zabić, tłukąc głową o mur. Ł... sądzi, że ja zdołam mu wytłumaczyć, iż ani murem głowy, ani głową muru nie przebije. Mieć go będę przez miesiąc, a jeśli się sobie wzajemnie spodobamy, to zostanie dłużej. Dziś rano dałem mu robotę, za pół godziny patrzę, leży pod drzewem spoglądając na mnie pracującego, nic mu nie mówiąc pracowałem dalej. Po długiej chwili podchodzi Francuz do mnie z fajką w ustach i mówi: *Nom de nom! Si vous avez un jour des rentes, vous ne les aurez pas volées.* Ja mu na to: *Faites de même, mon bon. — Il fait trop chaud! je vais prendre un bain, cela me ravigotera.* Jak poszedł, tak i nie wrócił, aż na ugotowanie obiadu.

...Dobranoc Wam, już po dziewiątej, idę spać, bom strasznie zmęczony, a wstaję co rano o 6-tej lub wcześniej. Dziś muszę jeszcze konie poić. Jeden z nich dychawiczny; otóż ten do złości mnie doprowadza, po pierwsze, że jest dychawiczny, a po drugie, że taki żarłok, jak mało, a przytem ile razy mię zobaczy, zdaje mu się, że dostanie obroku, lub że go poić będę, tak się zawsze oblizuje i językiem mlaszcze, jakby jaki smakosz... Dobranoc, bo pół do dziesiątej....

Korespondencya Redakcyi.

W ostatnim numerze *Przeglądu,* zdając sprawę z książeczki: „Kraków w 1794“, przez ks. Wacława Kapucyna, wspomnieliśmy, że czcigodny autor jest *spiritus movens* peryodycznego pisemka *Kościuszko.* Otóż szanowny Redaktor tego Pisma upatruje w tem słowie przypuszczenie, jakoby on sam bez takiego *spiritus movens* „nie zdobył się na oddanie czci należnej Racławickiemu Bohaterowi“ i t. d. — Spieszymy oświadczyć, żeśmy wcale takiego przypuszczenia do tego słowa nie przywiązywali.

Druk ukończony 30 maja 1894 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronica.

Encyklika do Polaków. Przez *ks. Maryana Morawskiego T. J.* . . . . . (Dodatek) 1*—12*

Kongres wszech religij w Chicago. Przez *Michała Żmigrodzkiego* 39 212 334

Miesiąc w Szwajcaryi. Przez *ks. Fr. Starowieyskiego* . 305

Artykuły naukowe i literackie.

Sądy ludowe na Litwie. Przez *Jana Witorta* 1 235

Ksiądz Karol Antoniewicz. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.*:

V. Misye po rzezi 21

Z niedawnej przeszłości. Urywki z pamiętnika. Przez *Jerzego Kraskowskiego:*

V. Życie w Omsku na swoją rękę 58

VI. Kuracya na stepie i powrót do kraju. (Dok.) 174

Zapatrywania religijne Wespazyana Kochowskiego. (Charakterystyka). Przez *L. M. Dziamę* 77

Geneza i historya Symbolu Apostolskiego. Przez *ks. J. Bilczewskiego:*

I. Symbol od w. XIX. wstecz do początków wieku IV. 153

II. Symbol w trzech pierwszych wiekach . . 363

Stronica.

Życie świętego Stanisława Kostki. Poemat łaciński Grzegorza z Sambora. Tłumaczył *Wincenty Stroka.* 192

Morawska Częstochowa. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 354

Listy z podróży po Azyi. Część II.: Chiny i Japonia. (Ciąg dalszy). Przez *księcia Pawła Sapiehę* . . . 379

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

Pisma Pawła Popiela. 2 tomy. *(W.)*. 104

Ludzie i wypadki z 1861—1865 r. Obrazki z powstania. Zebrał i ułożył Pułkownik Struś. 2 t. *(Z.)*. 111

Literatura dla młodzieży, jako czynnik wychowawczy w domu i w szkole. Napisał Karol J. Nitman. *(C.)*. 113

Nowe epizody z ostatnich lat życia IMci Pana Jana Chryzostoma z Gosławic Paska. Przez Aleksandra Kraushara. *(J. S.)*. 113

Dzieje Apostolskie. Opowiedział ks. Jan Milczanowski. prof. dyec. Zakładu teologicznego ob. łać. w Przemyślu. Z 6-ciu rycinami i mapą 114

Z powieści polskich. *(Dr. A. M. Kurpiel)*. 258

Kraków w roku 1794. Przez ks. Wacława, Kapucyna. — Tadeusz Kościuszko i jego sławna bitwa pod Racławicami. Opowiedział Karol J. Nitman. — Gwiazda narodu polskiego i całej ludzkości. Napisał Franciszek Kozdraś. . . 266

Zarys dziejów polskich w pytaniach i odpowiedziach dla dzieci. Przez Stanisława Adamowicza. *(Ks. A. Boc T. J.)*. . . . 268

Mosty blaszane. Wykłady Maksymiliana Thulliego, dypl. inżyniera, prof. szkoły politechnicznej. *(Tytus Sopodźko)*. . . 269

Uwagi nad Męką Pańską, wyjęte z kazań najsławniejszych mówców kościelnych. — Samotność duchowa, czyli rekolekcye miesięczne jako przygotowanie się na śmierć. Przez W. O. B. v. M. ze Zgrom. OO. Kapucynów. Przekład M. P. — Jezus w duszy dziecięcia, czyli: Jaką naukę pobożna matka w dziecku najpierw rozwijać powinna. Przerobiła z niemieckiego Magdalena Pawłowska. *(Ks. H. P.)* 270

Dzieje filozofii w zarysie. Tom I. Ogólny wstęp do dziejów filozofii i dzieje filozofii na Wschodzie. Przez d-ra Maurycego Straszewskiego, zw. prof. filozofii w Uniwersytecie Jagiellońskim. *(Ks. W. Zaborski T. J.)*. 398

Filozofia jako nauka akademicka. Napisał dr. Aleksander Skórski, docent uniwersytetu lwowskiego. *(S. K.)* . . . 403

Czem filozofia jest a czem będzie. Z. Gabryelski. *(S. K.)*. . 413

Tadeusz Kościuszko, jego życie i czyny. Napisała Aniela Korngutówna. *(Tytus Sopodźko)* 414

Z najświeższych wydawnictw dla młodzieży. *(Ks. A. Boc T. J. i M.)* 415

Stronica.

Z piśmiennictwa zagranicznego:

CONSTITUTIONES DOGMATICAE SS. Oecumenici Concilii Vaticani ex ipsis ejus actis explicatae atque illustratae a P. Theod. Granderath. *(Ks. Augustyn Arndt T. J.)* 115

IBRIŠIMOVIĆU FRANJEVAČKI BOGOSLOVI. *(Tytus Sopodźko)*. 118

SURSUM CORDA! Básně Františka Skalíka. *(Tytus Sopodźko)* . . 122

INSTITUTIONES THEODICAEAE sive theologiae naturalis secundum principia S. Thomae Aquinatis. Ad usum scholasticum accommodavit Josephus Hontheim S. J. *(J. Nuckowski T. J.)*. 273

AUS DEN SIBIRISCHEN BLEIBERGWERKEN. Unedierte Briefe des zu lebenslänglicher Zwangsarbeit verurtheilten russischen Professor Vaszilij Jakszakov. Aus dem Ungarischen übersetzt 280

L'ALSACE-LORRAINE ET LA PAIX, par Jean Heimweh. *(M.)* . . . 281

LE CARDINAL MANNING ET SON ACTION SOCIALE. Par m. l'Abbé I. Lemire. *(Ks. J. B.)* 421

UNE CAPITALE D'AUTREFOIS. Cracovie. Casimir Stryjenski. *(X. M.)*. 426

ZJAWISKA ZIEMSKIE. I. Lądy stałe. Elizeusz Reclus. Z upoważnienia autora przełożyła i uzupełniła dr. M. Stefanowska 427

LES MÈRES DES SAINTS. Par Ch. d'Héricault. *(Ks. M. Morawski T. J.)* 428

Rozmaitości: PRZYPISKI NIHILISTY DO KSIĄŻKI: „NIHILIZM W ROSYI". 283

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

KWIECIEŃ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Węgierskie rozprawy. — Oświadczenia Spullera. — Nawrócenie się ks. Kolasińskiego. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 127

ZE ŚWIATA NAUK, ODKRYĆ I WYNALAZKÓW: Jajo kukułki i jego zagadka. — Czy człowiek może latać? Przez *J. Nuckowskiego T. J.* 136

LISTY AUSTRALSKIE POLSKIEGO EMIGRANTA. (Ciąg dalszy) . . . 144

MAJ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Zwycięstwo Wekerlego.— Niemieckie „biura ludowe". — „Nowy duch" we Francyi. — Sprzysiężenie protestanckich Amerykanów. — Rozruchy w polskich parafiach. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 289

LISTY AUSTRALSKIE POLSKIEGO EMIGRANTA. (Ciąg dalszy) 298

SOCYALIZM GALICYJSKI NA KONGRESIE AUSTRYACKICH SOCYALISTÓW W WIEDNIU. Przez *J. B.* 302

Stronica.

CZERWIEC.

Sprawy Kościoła: Głosowanie węgierskiej Izby magnatów.— Jezuici w Niemczech. — Walka przeciw socyalizmowi.— Podziękowanie za encyklikę do Biskupów polskich. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 430

U Jezuitów w Loango. Wyjątek z „Pamiętników d-ra Żel., lekarza okrętowego, z pobytu w południowo-zachodniej Afryce". 440

Listy australskie polskiego emigranta. (Spóźnione) 452

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. Morawski T. J.